R G B WH GR BL

Grey Scale #13

C M Y K

DANES PICTA .COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

Colour Chart #13

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Inches 1 2 3 4 5 6 7 8

Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19

DANES PICTA .COM

NOWE WYCHOWANIE.

„Na Wschodzie i Zachodzie, Południu i Północy daj, by wszystkie żyjące istoty, — wolne od wrogów i przeszkód, przezwyciężyły smutek i osiągnęły radość, idąc swobodnie każda swą własną drogą".

Stara modlitwa indyjska.

„Bramy Przyszłości są szeroko otwarte".

Bergson.

C. H. HENDERSON

NOWE WYCHOWANIE

(WHAT IS TO BE EDUCATED)

TŁUMACZYŁA

I. MOSZCZEŃSKA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA—KRAKÓW—LUBLIN—ŁÓDŹ
PARYŻ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

37. 301

6488/1



SKŁADY GŁÓWNE:
„The Polish Book Importing Co., Inc." — New-York.
„Księgarnia Polska na Śląsku, Sp. Akc." — Katowice.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.
1925

PRZEDMOWA.

Około 1902 roku wydałem książeczkę pod tytułem „Wychowanie i szersze życie“. Pisząc ją—wahałem się, nie dlatego, bym wątpił o prawdzie w niej zawartej, lecz że przeciwnie wydawała mi się ona zbyt oczywistą, zbyt powszechnie znaną. Powodzenie książki było niespodzianką zarówno dla mnie, jak i dla wydawców. Co mnie zdumiewa jeszcze więcej, to fakt, że książka dotąd ma czytelników i nabywców. Powodzenie jej — mojem zdaniem — znacznie przewyższa jej zasługę. Pragnieniem mojem jest, by jak najprędzej miejsce jej zajęła inna, niemniej świeża i przekonywająca swą formą, lecz mniej ogólnikowa i, oczywista, dojrzalsza i bardziej wnikająca w szczegóły. Istotnie bowiem pierwszą książeczkę pisałem jako wstęp do dzieła, które — w braku innej nazwy — chciałbym nazwać „Nowem Wychowaniem“.

Na pojawienie się takiego dzieła czekałem nadaremnie. Zdaje mi się jednak, że istnieje żywo odczuwana potrzeba takiej książki, a sądząc z dotychczasowego powodzenia mego „Wychowania i szerszego życia“ — znalazłby się na nią i popyt. Postanowiłem zatem—zanim się zestarzeję—napisać ów upragniony ciąg dalszy; to jest, krótko mówiąc, punkt wyjścia

obecnej książki. Mojem dążeniem jest dać jej charakter ile możności konkretny i praktyczny. Chcę, by ona przyniosła realną pomoc rodzicom i wychowawcom, nietylko ostrzegając ich przed popełnianiem błędów w wychowywaniu dzieci, które Opatrzność—może niekiedy przedwcześnie, powierzyła ich pieczy, lecz pozytywnie wedle sił moich stać się ich doradcą i współpracownikiem w codziennych wychowawczych zabiegach.

Rodzice mają pewien przywilej, którego nie mają nauczyciele, zwłaszcza dający lekcje na godziny: ich stosunek z dziećmi jest bliski i zażyły, a miłość, którą zwykle żywią w sercu dla nich, daje im zarazem pewne jasnowidzenie, dar wnikania w dusze dziecięce, niezawsze będący udziałem tych, którzy nie zaznali uczuć rodzicielskich. Wobec wielkiej wagi tego przywileju każdy wychowawca, który—jak ja—niema własnych dzieci, musi dobrowolnie pogodzić się z tem, że rola jego jest drugorzędną. Choćbyśmy najwspanialsze i najliczniejsze mieli szkoły i powierzyli je nauczycielom najbardziej zaufania godnym—zawsze matki i ojcowie będą pierwszymi wychowawcami narodu, i nigdy nie mogę pojąć ani uznać skwapliwości, z jaką gotowi są to swoje ważne zadanie przekazać innym. Może gdy zniknie ze świata żądza zysku, gdy nie będzie sług, gdy braterstwo stanie się powszechnem zjawiskiem, jakieś pokolenie, mniej kramarskie, a bardziej artystycznie usposobione, z zapałem rwać się będzie do spełnienia nastręczającej się misji, i ojcowie zajmą się synami, matki córkami. Zwracam się tedy przedewszystkiem do rodziców; im jest to najbardziej potrzebne, gdyż w ich mocy leży najwięcej.

Mówię jednak także i do nauczycieli. Przy obecnym układzie społecznym i ekonomicznym znaczna większość ojców i matek nie ma czasu ani chęci oddawać się wychowaniu swych dzieci. Bardzo często nie podejmują się nawet miłego zadania przyzwyczajania swych dzieci do porządku i przyzwoitego zachowania się. Zadania wychowawcze spadają na nauczycieli. Muszą oni nietylko udzielać nauk, jak za dawnych czasów, lecz zajmować się tysiącznemi sprawami, dotyczącemi zdrowia, moralności, przyzwoitych manier, zabawy i pracy, słowem — tego wszystkiego, co się składa na pomyślność młodych pokoleń.

Może to szczęście, że nauczyciel — mając zresztą bardzo ograniczone pole działania, posiada pewien przywilej przed rodzicami. Może on popełniać bardzo poważne błędy—podobnie jak oni, lecz ma możność prostować je, gdyż przez jego ręce przechodzi nieskończony szereg dziatwy, która mu dostarcza materjału do doświadczeń i spostrzeżeń. Nie ten jest niemądry, który błądzi, lecz ten, który powtórnie ten sam błąd popełnia. Z upokorzeniem wspominam mój pierwszy rok nauczania. Tak źle spełniałem swe zadanie, że kilkakrotnie chciałem już moje obowiązki porzucić i złożyć je w ręce kompetentniejszej osoby. Tylko przychylność i wyrozumiałość starszego kierownika szkoły powstrzymała mnie od tego kroku. Dziś nawet, po wielu latach praktyki nauczycielskiej, wyznaję, że zawód mój jest mieszaniną rozkoszy i udręczenia. W ciągu długich wakacyj, gdy wszyscy uczniowie mnie opuszczą i, siedząc sam przy swem domowem ognisku, rozmyślam, niekiedy chciałbym minione miesiące wykreślić z mego życia, cofnąć się wstecz

i rozpocząć pracę na nowo, by ją wykonać bez porównania lepiej, niż zdołałem dotąd. Przypuszczam, że niekiedy i rodzice, którzy mieli kilkoro dzieci, korzystali również ze sposobności, by swe pierwsze pomyłki naprawić i młodszą dziatwę wychować lepiej niż dziecko pierworodne. A być może, że wszyscy sumienni ojcowie i matki, niepozbawieni siły wiary i dobrej woli, w jakiejś późniejszej inkarnacji będą mieli możność na nowo zaczynać od początku i wyższą doskonałość osiągnąć.

Muszę uprzedzić czytelnika, że w następujących kartkach nie znajdzie u mnie metodycznego traktatu o wychowaniu, obejmującego to wszystko, co się zazwyczaj tym tytułem obejmuje. Chciałem tu tylko wypowiedzieć te poglądy, którym przypisuję wagę i doniosłość. Starałem się je w ten sposób wyrazić, by rodzice i nauczyciele, czytając tę książkę, znaleźli w niej tyle pożytecznych wskazówek, ile ja mogę udzielić a oni przyjąć. Nie będę uniewinniał mojej daleko posuniętej otwartości. Piszę tylko dla nauczycieli i rodziców, nie dla młodzieży i również nie dla tych czytelników zwykłych, którzy się zabawiają książkami. Dotykając spraw tak doniosłych, jak życie ludzkie, zbrodnią byłoby nie mówić zupełnie otwarcie.

Jakkolwiek książka obecna jest, przynajmniej z mojego punktu widzenia, dalszym ciągiem „Wychowania i szerszego życia“, niemniej stanowi ona sama w sobie dzieło odrębne, i mogą ją czytać śmiało ci, co nie czytali i nie zamierzają czytać książki poprzedniej. Nie będą ich drażniły żadne odnośniki, nie spotkają się nawet z żadną wzmianką o tamtej książce nigdzie poza przedmową i bibljografją. Ci, co poznają

obie książki, z łatwością odkryją i podobieństwa i różnice, jakie między niemi zachodzą. Gdyby tu była mowa o dwóch powieściach, powiedziałbym, że charaktery dorosły i dojrzały. W poprzedniej książce popełniłem ten błąd, że zacząłem ją od rozdziału abstrakcyjnego i cokolwiek trudnego, zawierającego filozofję wychowania. W owym czasie wydawał mi się on dość przystępnym, a nawet sądziłem, że zanadto oczywiste wykładał prawdy. Przekonałem się jednak, że odstręczył on wielu czytelników, a zatem był niewłaściwy. W obecnej książce unikałem powtórzenia podobnego błędu. Od samego początku starałem się być konkretnym i trzymać się szczegółów, a dopiero w ostatnim rozdziale skupiłem wszystkie nitki moich wywodów, wiążąc je w pewne uogólnienia, zasługujące na nazwę filozoficznych twierdzeń. Czytelnik — jeśli zechce — może oczywiście opuścić te ostatnie rozdziały — łatwiej pominąć ostatnie niż pierwsze — wyznam jednak, że jeśli to uczyni, doznam przykrego zawodu, gdyż, mojem zdaniem, ich treść ma wielką wagę.

To są jednak zewnętrzne szczegóły. Głębsza różnica tkwi w samej filozofji. Poprzednia książka opierała się na jawnym idealizmie, lecz idealizmie platońskiego, statycznego rodzaju. Jądro tego idealizmu zamknąć można w sentencji—*Wszystko jest dane.* W teologji zamyka się on w pojęciu Bóstwa,—*dziś tego samego, co wczoraj, od wieków i na wieki.* Jednem słowem trwały wszechświat, a prawda przedwieczna. Rola człowieka była bardzo skromna. Mógł on doskonalić się i zabawiać odkrywaniem prawdy, lecz nie mógł niczego stworzyć, niczego zmienić, niczego zapoczątkować. W rzeczywistości żaden czyn nie mógł mieć

znaczenia, gdyż dostojny świat zostawał zawsze niezmiennym. Filozofja książki obecnej jest również idealistyczną, gdyż przenosi dramat życia w dziedzinę ducha, lecz jest to idealizm wyraźnie dynamiczny. Wszystko nie jest dane; nigdzie w empireum nie istnieje cała prawda; sądzimy, że nawet sam Bóg nie wie, co się stanie, gdyż całe istnienie jest wiecznym ruchem, wiecznem tworzeniem. Wszechświat nie jest czemś ustalonem, lecz wciąż płynnem, wciąż stającem się, a nawet my, drobne stworzenia, którym Bóstwo dało władzę nad ziemią, mamy nasze własne twórcze zadania do spełnienia, a to, czy je źle, czy dobrze spełnimy, w pewnej mierze oddziała na złe lub dobre losy świata. Zbyt żywotną sprawą jest to nowe pojęcie płynnej natury prawdy, by można ją w wychowaniu pomijać. Winniśmy przeciwnie uczynić z niej kamień węgielny wychowania, gdyż ona odpowiedzialność człowieka podnosi do ogromnego, nieznanego dotąd znaczenia.

Niejeden widzieć może w filozofji tylko zabawkę umysłową, jeden z wielu systemów pojmowania zjawisk, który można dowolnie wybrać, unikając potrzeby uzgodnienia go z czynami. W istocie rzeczy prowadzi to jednak do bagatelizowania samego życia. Jeśli filozofję naszą bierzemy poważnie, musi ona posiadać siłę przekonania i musi zabarwiać wszystkie myśli, czyny i słowa nasze. Duch nasz jest nią przesiąknięty nawskroś, a wtedy ona rozstrzyga o naszym stosunku do życia, a więc o naszej religji. Ona kształtuje i urabia nasze czynności fizyczne, a zatem naszą ekonomiczną rolę. To też sądzę, że wychowanie — zamiast omijać religję i ekonomję — jak dzieje się w naszych

szkołach publicznych, winno oprzeć się na jednej i drugiej jako na jedynej pewnej podstawie. Jest ono sprawą ducha i ciała, i wtedy tylko może być zdrowem, jeżeli z duchem i ciałem postępuje szczerze i rozumnie. W następujących rozdziałach podjąłem ryzykowne lecz nieuniknione zadanie oparcia wychowania na religji i ekonomji, na duchu i ciele, i doprowadziłem następnie do wykazania, że te dwa pierwiastki życia ludzkiego muszą być ze sobą w zupełnej harmonji. Niekażdy zgodzi się z moim poglądem na religję, niekażdy podzieli moje zdanie o ekonomji; nie pojmuję jednak, jak mogliby poważnie myślący rodzice i nauczyciele próbować zbudować jakikolwiek zarys wychowania na mniej pewnej podstawie, niż jakieś dające się uzasadnić pojęcie religijne i ekonomiczne.

Wychowanie dla niejednego z tych, co na nie patrzą zdaleka, nie biorąc w niem czynnego udziału, może się wydawać zadaniem niewdzięcznem, na które składa się nudna jednostajność, swawole chłopców i nieuchronne rozczarowanie w ostatecznym wyniku. Kto jednak tem wychowaniem się zajmuje, kto w nie duszę kładzie, wie, że niema na świecie równie przejmującego dramatu, równie doniosłego i ciekawego zarazem, jak ten cichy dramat wychowania.

Jako zadanie na dziś, pochłania ono wszystkie siły i środki jednostki, jej wiedzę, umiejętność, uczucie, intuicję. Nigdy nie może ona być zbyt dobrze uposażona do wywiązania się z tego zadania. Jako proces dziejowy jest ono czynnikiem rozstrzygającym o przyszłości rasy, składa ono w nasze ręce cząstkę Przeznaczenia. Uczucia wychowawcy są tak do głębi

poruszone, tak całkowicie istotę jego pochłania jego zawód, że może w nim stąd zrodzić się skłonność do przeceniania tego, co robi. Ponieważ wychowanie w swej całości jest tak rozległem i doniosłem zadaniem, najdonioślejszem może z tych, które człowiek podejmuje, wychowawca może łatwo swą rolę wyolbrzymiać. Sądzę jednakże, że z latami skłonność ta słabnie. W każdym razie mogę czytelnika zapewnić, że mimo zapału, jaki mnie ożywiał, zawsze miałem w pamięci doskonałą maksymę Anatola France'a: „Oświadczam, że nadmiar jest zły we wszystkiem".

C. H. H.

Samarcanda N. C.
Kwiecień 1914.

CO ZNACZY BYĆ WYCHOWANYM?

I.

PODSTĄWY.

Mam zamiar przedstawić wychowanie nie jako naukę, lecz jako sztukę. Z tego wynika potrzeba uświadomienia sobie, że cokolwiek chcemy, by dzieci czyniły, sami czynić musimy. Słowem, trzeba nam w naszych własnych duszach dokonać tych przeobrażeń, jakie chcemy przeprowadzić w duszach dzieci. To jest, mojem zdaniem, pierwsze i najważniejsze prawo w sztuce nauczania.

Nigdy woda nie tryśnie wyżej niż jej źródło. Jest rzeczą oczywistą, że nie możemy udzielić tego, czego nie mamy, to też rozumie się, że nikt nie nauczy tego, czego sam nie umie. Nie jest równie powszechnie wiadomo, że także i charakter, dobroć, duchową wyższość — przejąć można tylko od tych, którzy je posiadają. Co innego jest kształcić dzieci, a co innego kształcić siebie samego, ale jedno z drugiem musi się rozwijać równolegle, iść ręka w rękę.

Tylko na tej drodze można dokonać czegoś żywotnego i wartościowego. Nauczyciel i uczeń muszą podróżować razem. Nie jest to zbyt surowe wymaganie, gdyż droga duchowego wysiłku zawsze sowicie opłaca trud podjęty dla jej przebycia. Częściowo osiągając to, co chcemy dać osiągnąć dzieciom, przekonywamy się, jak cenną i pożądaną jest zdobycz; możemy jednak zebrać jeszcze obfitszy plon. Rodzice i nauczyciele, którzy mogą powiedzieć dziecku — nie: „Idź“ — lecz „Chodźmy“ — usunęli szary pył nudy ze swej drogi a zamienili ją na

ciekawą wycieczkę. Wyruszają na nią wraz z uczniami jak poszukiwacze skarbów i nigdy nie powracają z próżnemi rękami. Występując w roli przyjaciół i towarzyszy, usuwają z porządku dziennego sprawę t. zw. karności. Zanim ktoś zacznie nauczać, musiał się sam nauczyć, ale powinien także mieć ochotę uczyć się wciąż nadal. Może prowadzić dziecko, gdy je za rękę trzyma, nie zaś, gdy mu tylko drogę pokazuje.

To kształcenie przez współuczestnictwo, że je tak nazwę, przedstawia tę ogromną korzyść, że wprowadza do wychowania prawdziwą rzetelność i szczerość. Usuwa z roli nauczyciela wszelką hipokryzję; wlewa zdrową krew i tętno życia w nauczanie, czyni je źródłem obfitych rozkoszy i uciech. W następujących rozdziałach będę czynił silny nacisk na tę zasadę; mówić będę nietylko o tem, co mamy czynić dla dzieci, lecz co rodzice i nauczyciele winni czynić dla samych siebie.

Ponieważ nauka dotyczy tego, co mamy wiedzieć, a sztuka tego, co mamy robić, niejeden sądzi, że od nauki zaczynać należy, że winno się najprzód wiedzieć, a potem dopiero umieć można. Jednakże nie taką kolej zauważyć się da w historji. Najprzód ludzie czynili różne rzeczy, a dopiero potem, czas i doświadczenie uczyły ich robić je coraz lepiej. W drodze do doskonałości sztuka i nauka muszą iść ręka w rękę, uczymy się czyniąc. Toż samo dzieje się w wychowaniu. Człowiek chciałby przyswoić sobie cały ogrom wiedzy związanej z tak doniosłem zadaniem, lecz nauka jest suchą i jałową, póki nie przejdzie próby żywego doświadczenia.

W ten sposób prowadzone nauczanie ma zawsze pociągający urok nowości. Każdy dzień w szkole przynosi nową podnietę, zwracając się do nauczyciela z upomnieniem: „Strzeż się! wiesz niejedno, ale nie wiesz wszystkiego. Dziś dam ci nową, ważną naukę“. W domowem życiu każda chwila nastręczać może podobne okazje do studjów i odkryć.

W słowach istnieje przeciwieństwo między sztuką a nauką, lecz w świecie rzeczywistości jest między niemi

najzupełniejsza zgodność. Istnieją również te dwie strony i w wychowaniu; nauczać dziecko, to w pewnej mierze wychowywać je, jednakże nie zdołamy dokładnie objąć tego procesu, jeśli nie odpowiemy sobie na pytanie, co nazywamy wychowaniem. Czy nazwą tą obejmujemy tylko udzielanie wiadomości, czynność, którą wykonywać może każdy, kto wymagane wiadomości posiada, niezależnie od wszystkich cech charakteru i ducha? Czy też mamy tu na myśli jakieś wewnętrzne zmiany, które chcemy przeprowadzić w duszy dziecka? Czy może chodzi nam o jedno i drugie razem? Powinniśmy sobie jasno postawić zagadnienie; rozróżnić te dwie odrębne czynności; choćbyśmy mieli wkońcu dojść do wniosku, że one są nierozerwalnie połączone ze sobą. Jak sztuka i nauka, podobnie kształcenie i wychowanie winny iść zawsze ze sobą w parze. Nie można dziecku udzielać wiadomości, nie wnosząc równocześnie pewnych przeobrażeń do jego wewnętrznego życia; nie można również dokonywać tych zmian wewnętrznych inaczej, niż przez udzielanie pewnych wiadomości. To nieustanne współdziałanie sprawia, że wychowanie wypełnia wszystkie chwile dnia, a przez to ściśle się wiąże z całym dramatem życia.

Jednakże, choć nauczanie i wychowanie ściśle są ze sobą związane i choć winny być zawsze nierozłączne, wartość ostatecznych wyników wychowania zależy od tego, czy kładliśmy odpowiedni i właściwie ustosunkowany nacisk na jedną i drugą stronę. Jeśli naprzykład przedewszystkiem dbać będziemy o udzielanie wiadomości i wyćwiczenie rąk i na tem poprzestaniemy, dochowamy się bardzo niskiego typu jednostki ludzkiej, pozbawionej wychowania w szerszem znaczeniu, nieobdarzonej mądrością i tylko bardzo słabo uzdolnionej do pożytecznej działalności. W ten błąd popadają ludzie tak zwani praktyczni, a spotykać ich można nietylko u przedstawicieli umiejętności technicznych, lecz w kołach uczonych, wśród takich specjalistów, którzy posiadają zdumiewającą energję, lecz nie są ani mądrzy, ani wielcy, ani istotnie wykształceni. Jeśli z drugiej strony zasadzać będziemy wychowanie na

oddziaływaniu na ducha przez wywoływanie w nim rozlicznych reakcyj, budzeniu wrażeń, a wszystko to w rozrzedzonej atmosferze nieskalanego idealizmu, możemy wypielęgnować istotę bardzo wrażliwą i dobrą, lecz poruszającą się wyłącznie w dziedzinie cieniów i złudzeń. Dobrze wychowanym nie będzie żaden z tych dwóch okazów ludzkich, a oba będą nieszczęśliwe.

Nie będę tedy na dalszych kartkach popierał ani jednej, ani drugiej z tych krańcowości. Trzymać się będę własnej definicji wychowania, uważając, że jest ono rozwijaniem i doskonaleniem ducha ludzkiego. Przyjmę definicję Herbarta, że wychowywać, to tworzyć w duszy dziecka moralny i estetyczny obraz wszechświata. Będę miał zawsze w pamięci maksymę owego hiszpańskiego wychowawcy, który mówił: „Wychować, to nie znaczy dać komuś zawód, jako sposób do życia, lecz duszę jego do życia przygotować". Słowem, wychowaniem nazywać będę proces wewnętrzny, duchowy wzrost, wyzwolenie wszystkich sił wrodzonych — zarazem również i te przeobrażenia, które się dokonywają pod wpływem dokładnego i gruntownego poznania zewnętrznego świata przyrody i ludzkości. Tak samo jak luźne fakty z historji naturalnej mają bardzo małą wartość, póki ich nie połączymy w całość konsekwentnego obrazu przyrody, tak i dokładniejsze ale urywkowe wiadomości, skrzętnie zbierane przez pracowitych badaczy, mają same w sobie bardzo mało duchowej wartości. Są one podobne do bezkształtnego stosu cegieł, póki budowniczy nie użyje ich do kształtnej budowy. Jeśli jednak budowa ma być trwałą, cegły winny być mocne, a plan musi być umiejętnie obmyślony, jeśli gmach ma być godny podziwu.

W taki to prosty sposób przedstawiam sobie proces wychowania. Jest on zarazem podmiotowy i przedmiotowy. Celem jego jest rozwój i udoskonalenie ducha ludzkiego przez objawienie indywidualnym duszom prawidłowego, moralnego i estetycznego obrazu wszechświata. Lecz wszechświat ten nie jest stały i nieruchomy; jest on z natury swej płynny; nie ma określonej mety, lecz przeobra-

ża się nieustannie jako wspólny wytwór działalności boskiej i ludzkiej a ulega nawet tak znikomym i drobnym siłom, jak indywidualny wysiłek człowieka.

Proces wychowania winien być tak rzeczowy i praktyczny, jak tylko żądać można. Musi on gromadzić cały skarbiec czuć zmysłowych, całe mnóstwo faktów sprawdzalnych, ogromny zapas ścisłych i poglądowych wiadomości. Nic tam nie powinno być płytkie, niedokładne, powierzchowne. Żaden materjalista nie będzie mógł wymagać większej niż my gruntowności. Lecz to będzie dopiero wstęp do wychowania. To nam da materjał, lecz stąd daleko jeszcze do skończonej budowy.

Gdybyśmy poprzestali na tem, zrobilibyśmy to, co byłby uczynił Salomon, gdyby sprowadził cedry Libanu, złoto Ofiru, drogocenne kamienie Wschodu a oprócz tego cegły, drzewo, kamienie, ale nie przystąpił do budowania świątyni. To prawda, że nie może być mowy o rzetelnem wychowaniu bez poprzedniego zgromadzenia materjału, ale następny krok jest również ważny a nawet ważniejszy. A tutaj będziemy musieli być tak podmiotowi, jak największy idealista. Ten materjał, który nagromadzą zmysły, tak obfity, różnorodny, pospolity i doniosły, bliski i rodzimy lub wspaniały i olśniewający, materjał, w którym jest wszystkiego potrosze, musi być tak uporządkowany, by utworzył harmonijną i konsekwentną całość, której rozmaitość i obfitość nie oszałamia zamętem, lecz którą dusza człowieka całkowicie opanować może. Mamy przed sobą materjał zmienny; organizujemy go i tworzymy z niego świat wedle naszej woli. Ten podwójny proces gromadzenia i organizowania nazywamy wykształceniem. Nie potrzebuję kłaść na to nacisku, że obie te czynności: wybór materjału i budowanie, całkowicie od nas są zależne.

Zawsze z wielkiem zainteresowaniem patrzę na cegielnie, zakłady kamieniarskie, warsztaty ślusarskie i ciesielskie. Tyle w nich się kryje osobliwych możliwości. Gdy architekt bierze stamtąd tak mozolnie otrzymany wyrób, co z niego uczyni? Czy zbuduje z nich halę tar-

gową, bazar, dom mieszkalny, czy świątynię? Gdy materjał jest bardzo piękny i cenny, spodziewam się, że będzie miał bardzo dostojne przeznaczenie. Gdy widzę ojców i matki, pochłoniętych rodzinnemi obowiązkami, nauczycieli i nauczycielki, spieszących do szkół, mam dla nich podziw i uznanie. Widzę w nich widomych wysłanników Przeznaczenia. Jakie plany piastują oni w swych sercach, jakie gmachy zamierzają wznosić?

Plany te muszą być nieuchronnie bardzo różnorodne i tak być powinno. Jednostajność bynajmniej nie jest warunkiem doskonałości.

„Moje dzieci są tak niepodobne jedno do drugiego“, ubolewa niejedna matka. To prawda, pani, ale jakieby to było straszne, gdyby były wszystkie jednakowe!

Muszą jednak istnieć pewne ogólne zasady, na których opiera się wychowanie, tak jak budownictwo się opiera na prostych i niewzruszonych prawach mechaniki. Każdy inżynier i budowniczy musi się ich trzymać w swej pracy, gdyż inaczej waliłyby się budowle, które stawia. Materjał, jakim się posługuje, podlega prawom ciążenia, działaniom żywiołów, wpływom atmosferycznym, ale stopień i rodzaj tego oddziaływania zależy od tkwiących w nim sił molekularnych, ich wewnętrznej natury i ducha, jeśli się tak wyrazić można. Daremniebyśmy usiłowali sprowadzić tak skomplikowany ustrój, jak istota ludzka, do równie prostych pierwiastków, jak molarne i molekularne siły, a jednak w wyniku ostatecznej analizy dochodzimy i tu do równoległych składników, do ducha i ciała; a choćbyśmy nawet pragnęli każde dziecko do innego wychowywać przeznaczenia, musimy jednak przestrzegać tego ogólnego prawa, by w procesie wychowania uwzględniać te oba pierwiastki: ducha i ciała. W przekładzie na społeczną terminologję te składniki prowadzą do ekonomji i religji, ekonomji, która ma na celu dobro ciała, zaopatrzenie w żywność, odzież, mieszkanie, narzędzia i sprzęty materjalne, oraz religji zabezpieczającej zdrowie ducha, a w pojęciu tem zamyka się cały stosunek człowieka do życia i jego sposób postępo-

wania wobec tak nieraz zawiłych i różnorodnych faktów zewnętrznego świata.

Mojem zdaniem, zdrowy proces wychowawczy musi się opierać na zdrowym poglądzie religijnym i ekonomicznym, a zatem zgodnie z podstawowemi regułami nauczania, my — rodzice i wychowawcy — musimy przygotować się do naszego zadania przez uprzednie wyjaśnienie naszych własnych przekonań w tych dwóch dziedzinach myśli, przez ustalenie swego własnego stanowiska. Nie możemy pomyślnie sobie radzić z duszą dziecka, póki nie dojdziemy do ładu z własną duszą; nie zdołamy rozwiązać sprawy jego potrzeb fizycznych, póki nie poznamy związku pomiędzy naszemi własnemi potrzebami a współczesnym ustrojem społecznym i gospodarczym.

Dążenie do oparcia wychowania na religji sprzeciwia się panującym w Ameryce współczesnym zapatrywaniom, z wyjątkiem—naszych braci katolików, których szkoły parafjalne stanowią dla naszych niereligijnych szkół publicznych poważną konkurencję. Sądzę, że Kościół, łącząc wychowanie z religją, postępuje zupełnie logicznie i konsekwentnie. Zarówno dla umysłu protestantów, jak szczególniej dla religijnych uniwersalistów, wadą tych szkół parafjalnych jest opieranie prawdy na powadze, nie zaś bezpośredniem doświadczeniu, pojmowanie religji, jako ustalonej i statycznej — nie zaś płynnej i dynamicznej. Można łatwo sobie wyobrazić, że ten błąd zostanie usunięty, gdy w Kościele modernizm zyska przewagę. Pragnąc, by szkoła publiczna dostępna była dla wszystkich dzieci, by otrzymywały w niej wychowanie bez różnicy wiary i wyznania, w chwalebnem dążeniu, by ona żadnych tradycyjnych uczuć domu rodzinnego nie obrażała — postanowiono we wszystkich Stanach, że szkoły publiczne wychowaniem religijnem zajmować się nie będą. Wprawdzie w większości tych szkół odbywa się czytanie Biblji, ponieważ jednak niema zwyczaju komentowania i objaśniania tekstu, praktyczne wyniki tej lektury są co najmniej problematyczne. Język Pisma Świętego jest zbyt archaiczny, by dzieci zrozumieć go mogły, zazwyczaj też

i ton czytającego jest zbyt monotonny i pozbawiony dramatycznego akcentu, który mógłby przykuć uwagę dzieci. Jeżeli się nie mylę, w ostatecznym wyniku te codzienne czytania Pisma Ś-go doprowadzają słuchaczy do wniosku, że religja może być bardzo odpowiednia dla starszych, ale wcale nie dla dzieci.

Sądząc po owocach, szkoły publiczne w Ameryce nie odpowiedziały swemu zadaniu, a nie odpowiedziały dlatego, że nie oparły swych fundamentów na najgłębszych pokładach życia duchowego, t. j. na religji. Staje się to u nas artykułem wiary powszechnej, że szkoła publiczna chybiła celu. Jednakże w ogólnem przekonaniu błąd jej polega na tem, że kształci ona raczej urzędników i stenografistów, niż zręcznych rzemieślników w pożądanej liczbie. Lekarstwem proponowanem ma się stać szkoła zawodowa. Sądzę jednak, że błąd znacznie głębiej leży; tkwi on w tem, że szkoła publiczna nie przynosi plonów moralnych. Amerykanie są zdolni i w pewnym kierunku bardzo praktyczni, ale moralni nie są. Nie mówią prawdy i nie można im dowierzać w sprawach pieniężnych. Jesteśmy bardzo inteligentnym narodem, ale nasz umysł nie jest głęboki. Igramy na powierzchni życia, lecz jego głębie są nam nieznane. To sprawiło, że w dziedzinie materjalnego postępu dokonaliśmy rzeczy zdumiewających, ale bardzo niewiele w sprawach istotnego znaczenia. Nawet nasze prawa i nasze sądy stoją poniżej poziomu innych cywilizowanych narodów. Życie amerykańskie uderza swem duchowem ubóstwem; z wyjątkiem kilku uprzywilejowanych ognisk, wszędzie razi nuda i oschłość. Już oddawna wskazywano na to, że większość mieszkańców w naszych domach poprawy stanowią wychowańcy naszych szkół publicznych, posiadający dość znaczne wykształcenie. W więzieniach Federalnych spotkać się można nawet z nazwiskami wybitnych rodzin. Gdyby wszyscy ci, co sprzedawali dobra, zastawy, towary i inne przedmioty kupna i sprzedaży — na podstawie fałszywych zeznań, mieli iść do więzienia, wątpić należy, czy znalazłoby się pomieszczenie dla nich wszystkich.

Bardzo chwalebne jest dążenie szkoły publicznej, by stać się powszechną, nikogo nie obrażać, nikogo nie wykluczać; ono to tłumaczy wprowadzenie całkowitego rozdziału między wychowaniem a religją, tłumaczy — lecz nie usprawiedliwia. Albowiem cel, jaki sobie założyła szkoła publiczna, jest z natury swej niedościgły i zawód był nieunikniony. Wychowanie jest procesem wewnętrznym; dotyczy ono zasadniczych spraw ducha; tylko duchowemi drogami może się ono dokonać.

Bardzo pożądaną rzeczą jest, by szkoła publiczna nie była wyznaniową; z tego jednak nie wynika, by miała ona być niereligijną.

Chcąc, by szkoła publiczna była powszechna, by mogła istotnie wychowywać, trzeba ją oprzeć na szerokim religijnym fundamencie. Najgłębszą charakterystykę człowieka stanowi jego religja. Ona to rozstrzyga o ogólnym nastroju jego ducha, o jego stosunku do życia. Pomijanie tak zasadniczego pierwiastka każdego wychowawczego systemu przeczy całej istocie wychowania i daje tylko zewnętrzny jego surogat. To znaczy tyle, co gromadzić materjał budowlany, a nie przystąpić do budowy Świątyni. Ponieważ wychowanie jest procesem wewnętrznym, przemianą duszy samej, dzieciństwem i oczywistym nierozsądkiem jest upieranie się przy tem, by ono było niereligijne, by nie tykało ducha, to jest tej jedynej strony ludzkiej, która ją może pogłębić i oczyścić.

Podobny przedział spotykamy w szkole publicznej między wychowaniem i ekonomją, a i tu przyczyna jest analogiczna. Ekonomja jest żywotną wtedy, gdy się wyraża w akcji politycznej. Póki na politykę patrzeć będziemy, jako na sprawę stronnictw, jako na pogoń za urzędem i zyskiem, póty słusznie będziemy szkołę odgradzać od niej bardzo ściśle. Jednakże dziś już zaczyna się wyłaniać wyższe pojęcie polityki. Staje się ona stopniowo rzetelnym, zbiorowym wysiłkiem narodu do poprawienia warunków ekonomicznych całego kraju i jego mieszkańców. Wychowanie nie może się trzymać od niej zdaleka. Wychowanie ma do czynienia z ciałem, z jego dobroby

tem, z jego potrzebami żywności, odzieży, dachu nad głową, narzędzi do pracy i fizycznemi warunkami życia. To wszystko wchodzi w dziedzinę ekonomji. Jakże płytkie i małostkowe byłoby wychowanie, gdyby w swej trosce o ciało pozostało równocześnie zupełnie obojętne na praktyczne metody zaspokojenia potrzeb tego ciała. Bynajmniej nie rozwiązuje zagadnienia przedwczesne udzielanie zawodowego wykształcenia. Trzeba głębiej wniknąć w sprawę; trzeba zbadać ustrój gospodarczy w jego całości, i zupełnie beznamiętnie naszkicować lepszy, skuteczniejszy i sprawiedliwszy porządek ekonomiczny. Wychowanie, które się godzi z obecnym chaosem przemysłowym i obecnem wielce niedostatecznem zabezpieczeniem materjalnego dobrobytu dzieci, jest równie niepraktyczne,—jak niereligijne wychowanie, które usiłuje urabiać ducha, lecz w najważniejszej sprawie duchowej wstrzymuje się od wszelkiej ingerencji.

W następujących kartkach opierać będziemy wychowanie na religji i ekonomji, gdyż są to, naszem zdaniem, jego jedyne logiczne podstawy.

II.

RELIGJA.

Gdy mówimy, że religja to stosunek człowieka do życia, jasną jest rzeczą, że mamy na myśli coś znacznie bardziej indywidualnego i poufnego, niż jakakolwiek postać kościelnych praktyk. Religji nie można utożsamiać z jakiemś wierzeniem lub z jakąś czynnością; stanowi ona raczej najwyższy, najsilniejszy ton duszy, który kieruje wiarą i czynami człowieka. To jest owa twierdza wewnętrzna, źródło, istotna jaźń jednostki. Gdyby trzeba jeszcze inaczej religję określić, dodałbym, że jest ona rzeczywistą osobowością, tem, co każdego z nas czyni tem, czem jest. Zadaniem wychowania jest dotrzeć do duszy człowieka, przeobrazić ją, powiększyć, wyswobodzić. Nie może tego uczynić, nie wnikając do najgłębszych pier-

wiastków jego osobowości. Wszystko, co mniej głęboko działa, jest płytkiem ślizganiem się po powierzchni, ale nie zasługuje na miano wychowania. Biorąc człowieka jako całość wychowanie musi zająć się tem, co w nim najosobliwszą, najżywotniejszą stronę stanowi — to jest jego religją. Jeśli wychowanie wiedzie go w innym kierunku a religja w innym, niechybnie musi się stąd wywiązać nieszczerość i niejasność. Życie zacne musi być nawskroś szczere i z jednej bryły, bez sprzeczności, chwiejności i dwulicowości. Jeśliby religja podawała inny rodzaj prawdy, inny obraz świata, a wychowanie mówiło o innym rodzaju prawd i innym świecie, możnaby rozumieć, dlaczego jedno od drugiego odgraniczamy: nikt jednak dzisiaj nie zechce chyba podtrzymywać tak osobliwej doktryny. Tajemnicą szczęścia w życiu jest harmonja wewnętrzna, nie chaos sprzecznych twierdzeń i przeczeń, lecz w każdym indywidualnym czy społecznym ruchu proste i szczere stwierdzanie tych samych prawd.

Dzieje religji to w istocie historja ducha ludzkiego. To nauka docierająca do najgłębszych źródeł. Powinni się jej oddać rodzice i nauczyciele, którzy chcą wychowanie dzieci zacząć od wychowania samych siebie. Najlepiej zrobią, jeśli, pomijając dzieła polemiczne, sięgną raczej do najbardziej natchnionych talentów oryginalnych. Nie jest to tak olbrzymia praca, jak się napozór zdawać może. Z pomiędzy starożytnych religij należy naturalnie sięgnąć do hebrajskiej, hinduskiej, buddyjskiej, szyntoizmu, konfucjanizmu, do religji Zoroastra — lecz już poprzestając na trzech pierwszych, znajdziemy dostateczny materjał do rozmyślań.

Stary Testament przedstawi nam duchowy nastrój Hebrajczyków. Należałoby go czytać w związku z najnowszemi naukowemi komentarzami do tekstów. Różne Księgi Starego Testamentu czytywano nam tak często i oddawna, jako wyrocznie, a poszczególne teksty przytaczano, jako święte zaklęcia, że trudno dziś zdobyć się na żywe i świeże zainteresowanie przy ponownem czytaniu. Jedynie tylko biorąc Pismo Święte jako literaturę i czerpiąc

zeń bezpośrednio i poprostu treść w niem zawartą, możemy odnieść korzyść. Chcąc osiągnąć wrażenie jednolite, radzę czytać każdą Księgę w całości, za jednem posiedzeniem, nie odrywając myśli do spraw postronnych. Jeżeli w ten sposób kilka ksiąg przeczytamy, sądzę, że wynik zupełnie wynagrodzi nam niewielki wysiłek. Poleciłbym również czytanie takich książek, jak Renana „L'histoire de Beni Israel", oraz inne bezwyznaniowe dzieła historyczne, które uchodzą ogólnie za bezstronne i naukowe. Wartoby przytem być na kilku religijnych uroczystościach w jakiej najbliższej synagodze, by uzupełnić znajomość tej religji konkretną obserwacją. Do pogłębienia doznanych wrażeń może posłużyć swobodna pogawędka z uczonym rabinem o szerokich poglądach. W dodatku należy jeszcze przestudjować nowoczesne prądy, których wyrazem są stowarzyszenia kultury etycznej i niezależne kongregacje żydowskie. Żydzi grali i grają do tej pory tak ważną rolę w świeckich dziejach świata, że studjowanie ich religji musi posiadać znaczenie kulturalne z każdego punktu widzenia.

Święte księgi Hindusów dla czytelników Zachodu są mało zrozumiałe z powodu zbyt bujnej wschodniej obrazowości, lecz jako poezję czytać można Baghavad-Gitę z istotną przyjemnością i pożytkiem. Zwano ją „essencją Wedów". Inne fragmenty pism świętych zostały przetłumaczone na język angielski i są łatwo dostępne. We współczesnej europejskiej literaturze, mianowicie w dziełach filozofów i innych badaczy Indyj, znaleźć można wiele zajmujących i cennych wiadomości. Można powiedzieć, że od czasu, gdy świat zachodni zaznajomił się z literaturą Indyj, żaden z filozofów nowoczesnych nie uniknął jej wpływu. Ta literatura jest nawskroś religijna. Rysem charakterystycznym, wyróżniającym świat wschodni, jest, że tam życie i religja jedność stanowią. Kto może zwiedzić Indje i wejść w bezpośrednią styczność z pobożnymi Hindusami, ten zyska pełniejsze i wierniejsze wyobrażenie indyjskiego ducha. Nigdzie nie spotka się z podobną tolerancją. Obowiązkiem ucznia jest tam przeciw-

stawienie się mistrzowi i nieprzyjmowanie żadnej nauki na mocy autorytetu. Prawda wtedy tylko jest prawdą, gdy wynika z bezpośredniego przeżycia duchowego, a nie jest ani narzuconą, ani wmówioną. Warto zauważyć, że we właściwym Hinduizmie nie jest możliwy żaden ruch modernistyczny.

W braku ustalonych wierzeń, współczesne życie w Indjach jest wyrazem religijnych aspiracyj żyjących Hindusów i w istocie rzeczy stanowi modernizm bezsprzeczny i nieunikniony.

Tak samo i buddyzm—lepiej jest studjować w Japonji, w Cejlonie, w pewnych okolicach Indyj, w Burmie, niż w urywkach literatury, przystępnych dla zachodniego czytelnika. Jednakże naukowy, bezstronny życiorys Buddy, zawierający wierne sprawozdanie z jego nauk, może się przyczynić do wyjaśnienia duchowego życia miljonów naszych braci na Wschodzie. Nieraz wśród badań zapragniemy czytać lub odczytać powtórnie „Światło Wschodu“, lub pociągającą książkę Fielding Hall: „Dusza Narodu“. W ostatnich dniach otrzymałem od jednego z mych przyjaciół, Hindusa, mieszkającego w Indjach, przekład starej indyjskiej modlitwy, którą tu przytaczam w całości, gdyż zasługuje ona na to przez swe wewnętrzne piękno, przez wzniosłą tolerancję i ogromne poszanowanie nienaruszalności indywidualnej wolności duchowej:

Modlitwa codzienna za cały świat.

Spraw, by wszystkie żyjące istoty — wolne od wrogów i przeszkód, przezwyciężyły smutek i osiągnęły radość — chodząc swobodnie, każda własną drogą.

Spraw, by wszystkie stworzenia, gdziekolwiek się znajdują, wszystkie duchy, wszystko, co zrodziło się na świecie — bez wrogów i przeciwności, przezwyciężywszy smutek a osiągnąwszy radość — poruszały się swobodnie, każde własną idąc drogą!

Spraw, by wszyscy mężczyźni i kobiety, Arjowie czy nie Arjowie, bogi i ludzie oraz ci, co spadli poniżej człowieka, — bez wrogów i przeciwności, przezwyciężywszy

smutek a osiągnąwszy radość—poruszali się swobodnie — każdy własną idąc drogą!

Na Wschodzie i Zachodzie, na Północy i Południu, spraw, by wszystko, co istnieje — bez wrogów i przeciwności, przezwyciężywszy smutek a osiągnąwszy radość, poruszało się swobodnie—każdy na swej własnej drodze!

Ktoby pragnął bliżej i szczegółowiej poznać Buddyzm i Hinduizm, znajdzie w niejednem wielkiem mieście stowarzyszenia, oddane wyłącznie badaniu tych religij, a za ich pośrednictwem otrzymać może przekłady niektórych starych tekstów wraz z nowszemi do nich komentarzami. Przytoczę jeden urywek, wydany przez Stowarzyszenie Vedanta:

„Vedanta“ znaczy: „Wiedza Najwyższa“ i zawiera podstawowe zasady wszystkich religijnych ideałów. Wolna od wszelkiej wyłączności i sekciarstwa, opiera się ona na zasadach, nie zaś na osobistościach. Kto bada Vedantę, może całą duszą iść po własnej linji myśli i przekonań religijnych, lecz osiąga szersze wyobrażenie miłości, miłosierdzia i zjednoczenia. Oznajmia ona, że: „Prawda jest jedna; ludzie nazywają ją różnemi nazwami i czczą pod różną postacią zależnie od swych pojęć!“ (Rig Veda); poucza również, że wszystkie religje są to ścieżki, wiodące do jednego celu. „Na jakiejkolwiek drodze ludzie szukać Mnie będą, wszędzie ich spotkam“, mówi Pan wedle Bhagawad-Gity. „Wszyscy ludzie walczą na ścieżkach, które wkońcu do Mnie ich przywiodą“.

Subtelne tchnienie Szintoizmu jest tak wyłącznie japońskie, że cudzoziemiec, nawet przebywając w Japonji, z trudnością pochwyci ledwie jego lekki powiew. Trudność zwiększa się i przez to, że Buddyzm i Szintoizm żyją ze sobą w tak poufnych i przyjacielskich stosunkach, iż niełatwo odróżnić, gdzie się jeden kończy a drugi zaczyna. W większości japońskich domów spotkać można zarówno „półkę—bożków“, jak ołtarz buddyjski. Buddyzm w Japonji ma w istocie liczne domieszki uczuć szintoistycznych, tak jak Kościół chrześcijański przejął niejeden obrządek dawnego pogaństwa.

W pismach Lafcadio Hearn i pana Okakury daje się odczuć coś jakby dalekie echo dawnego narodowego kultu Japonji. A jednak nie jest żadnem urojeniem spostrzeżenie, że między tą niepochwytną wiarą Wschodu a niektóremi chrześcijańskiemi naukami istnieje pewne swoiste powinowactwo. Cześć przyrody, stanowiąca tak integralny składnik Szintoizmu, znajduje odbicie w naszych panteistycznych skłonnościach, by wobec piękna tworów bożych identyfikować Boga i przyrodzenie. Przyroda Japonji jest bardzo piękna. Łatwo pojąć, że część piękna i część przyrody wyrastają tam z tego samego pnia, z estetycznego zachwytu. Drugi najważniejszy pierwiastek Szintoizmu, kult przodków, ma oczywistą analogję z obcowaniem świętych w nauce chrześcijańskiej.

Hearn streszcza w następujący sposób etykę Szintoizmu: „Nakazuje on cześć Niewidzialnego, szacunek dla zwierzchności, przywiązanie do rodziców, czułość dla żony i dzieci, dobroć dla sąsiadów i podwładnych, pracowitość i sumienność w pracy, czystość i umiarkowanie w obyczajach. Choć pierwiastkowo moralność polegała wyłącznie na uleganiu tradycji, z czasem tradycję samą utożsamiono z rzeczywistą moralnością.“

O ileby sądzić z oddziaływania na życie powszednie i piśmiennictwo, należałoby uznać w Konfucjanizmie religję surowej powagi. Wszędzie Chińczycy dali się poznać ze swej nieskazitelności. W świecie handlowym panuje dobrze ugruntowane przekonanie, że słowo Chińczyka jest warte tyle, co weksel. Stary wyznawca Konfucjusza, tak silnie obstający przy prawie moralnem, przypomina obraz surowego mędrca rzymskiego. Nauki i rozmowy Konfucjusza zawsze odczytywać można z pożytkiem, nietylko jako literaturę, lecz jako mądry przewodnik życiowy. Dzieje rozwoju Chin, a nawet i Japonji, byłyby bardzo niepełne, o ileby w nich nie uwzględniono olbrzymiego wpływu, jaki na nie wywarł ten jeden człowiek. Należy pamiętać, że był on najdawniejszym pierwotnym autorem naszego własnego Złotego Prawidła. Obecnie Konfucjanizm ma tem

większe znaczenie, gdy został uznany jako religja państwowa w Republice Chińskiej.

W dziele Jakóba Freemana Clarke „The Great Religions“ (Wielkie religje) znaleźć można zwięzłe, ale wystarczające objaśnienie religji Zoroastra. Niewątpliwie każdy czytelnik zna jego zasadniczą doktrynę o nieustającej, przedwiecznej walce zła z dobrem, Ormuzda z Arymanem, a w amerykańskim purytanizmie spotka się z jej wiernem odbiciem. Bóg i wielki wróg dusz ludzkich, szatan, toczy tę samą walkę w naszej dawnej Nowej Anglji, jak Ormuzd i Aryman w Persji, z równie wątpliwemi wynikami tu i tam. Nauka Zoroastra była jedną z wielkich religij świata, lecz tak samo jak jej podobieństwo, purytanizm, musi być dziś poczytywana za zanikający przeżytek.

Zanim od tych starodawnych wiar przejdziemy do Chrześcijaństwa i nowych religij, ciekawe będzie zaznajomienie się z mitologją Grecji i Rzymu oraz z mitologją ludów Północy. Ich religijne znaczenie nie da się porównać z tem, co zawiera literatura Wschodu. W zestawieniu uderza ich brak subtelności i głębi. Niemniej mają one wartość całkiem swoistą i muszą budzić zainteresowanie, a być może, że po głębszem zbadaniu źródeł pierwotnych odkrylibyśmy w nich nieprzeczuwaną dzisiaj treść duchową. Tak samo jak starczyło trochę dokładniejszych badań, by odkryć, że tak zwani bogowie Induscy nie byli istotnie odrębnemi bóstwami, lecz uosobionemi zaletami Najwyższego Bóstwa, tak i politeizm grecki, rzymski, skandynawski mogą się kiedyś okazać, przynajmniej częściowo, wyrazem ubóstwienia duchowych właściwości.

Nie myślę bynajmniej tutaj zwalczać politeizmu, gdyż nie odpowiadałoby to moim przekonaniom, które są dziś — sądzę — coraz bardziej podzielane przez ludzi rozumnych, duchowo nastrojonych. Istnieje świadomość, że między człowiekiem a Najwyższem Bóstwem przepaść jest zbyt wielka. Nasz zmysł ciągłości duchowej a zarazem i nasze bezpośrednie przeżycia każą nam wierzyć w pośrednictwo istot nieśmiertelnych, świętych, bohaterów, aniołów czy bogów. Czy w tych nadziemskich istotach widzimy od-

rębne bóstwa, czy też tylko posłanników Boga, których moc i wola z Niego biorą początek i z Nim jedność stanowią, to już jest czysto słownem zagadnieniem. Możnaby je porównać do pytania, czy mamy mówić o ludziach, czy o ludzkości. Wiara w jedność i przedwieczność Boga daje się całkowicie pogodzić i z jedną i z drugą interpretacją. Boski pierwiastek czyni boskiemi te nieśmiertelne istoty, tak samo jak w nas zawiązek i wzrost tego boskiego tchnienia jest warunkiem obcowania z niemi. Możemy pojąć i uszanować wiarę, że Najwyższe Bóstwo nie jest jeszcze w pełni urzeczywistnione, że Ono się wciąż staje, że nieustannie samo siebie stwarza; nie jest faktem dokonanym, lecz ostatecznym celem, ku któremu wieczyście dążą bogowie i ludzie. Jest to kwestją wrodzonego usposobienia, indywidualnego duchowego odczucia, czy człowiek wyobraża sobie Boga w ucieleśnionej, skończonej postaci, czy też— tak jak ja —uświadamia sobie obecność mnóstwa istot duchowych, które obcują ze sobą w bezgranicznych sferach przestrzeni, oraz możliwość takiego istnienia. W katolicyzmie kult Ojca, Syna i Ducha Świętego, Najświętszej Dziewicy i świętych pańskich jest bezspornie odmianą pewnego rodzaju politeizmu.

Poznanie Śródziemnomorskich i Skandynawskich mitów ma odrębne znaczenie z religijnego punktu widzenia, niezależnie jednak od niego każdy wykształcony człowiek pragnie się z niemi zaznajomić bliżej dla lepszego rozumienia częstych mitologicznych aluzyj w literaturze i sztuce.

Czy ktoś należy do Kościoła, czy nie, jeśli tylko mieszka w obrębie chrześcijańskiego świata, musi poznać religję chrześcijańską. Chrystjanizm zabarwił i przeniknął całą atmosferę, którą oddychamy, ukształtował cały nasz stosunek do życia, to znaczy urobił naszą religję. Gdyby to było możliwe, pragnąłbym, aby badano chrześcijaństwo nie z chrześcijańskiego ani też antychrześcijańskiego stanowiska, lecz z punktu widzenia religji powszechnej—nieosobiście i z zewnątrz. Pierwszy rozłam w Kościele, na wschodni—grecki i zachodni—rzymski Kościół, oraz następny—na protestantyzm i katolicyzm—są to kwestje histo-

ryczne, tymczasem dla naszego współczesnego pokolenia najważniejsze znaczenie posiada zdumiewająco szybki rozrost modernizmu zarówno w protestanckim, jak w katolickim świecie. Dokładne sprawozdanie z tego ruchu znaleźć można w pracy: „Modernizm“ Pawła Sabatier, który daje obraz jego rozwoju w obrębie katolicyzmu, gdy się jednak czyta tę książkę, narzuca się nieuchronnie ścisła analogja z podobnym ruchem w protestanckim kościele i nie można się oprzeć przypuszczeniu, iż ten prąd może wkońcu doprowadzić do połączenia tych dwóch odłamów chrześcijaństwa w jeden potężny, triumfujący organizm. Jako prąd odrębny, modernizm możliwy jest tylko w tych wyznaniach religijnych, które mają ustalone wierzenia, tam jest on nieuchronnem i wciąż powracającem zjawiskiem. Duch ludzki instynktowo dąży do zerwania więzów i do ustalenia harmonji między życiem religijnem a umysłowem. Dążenie do oparcia wychowania na religji jest również objawem tego dążenia do wewnętrznej harmonji.

Dotąd tylko pobieżnie i ogólnikowo dotknąłem historji religji i przytaczałem raczej nazwiska niż doktryny. Ponieważ jednak Ameryka jest krajem chrześcijańskim a większość narodu stanowią bądź to szczerzy, bądź nominalni chrześcijanie, pragnę teraz roztrząsać, czem jest wiara chrześcijańska. Gdy zalecałem zaznajomienie się z najdawniejszemi religjami, hebrajską, hinduską, buddyjską, radziłem sięgnąć do pierwotnych źródeł. Tak samo badając chrześcijaństwo, sądzę, że najlepiej pochwycimy jego istotę, gdy, nie dotykając literatury wyznaniowej i polemicznej, zwrócimy się do Ewangelji i Listów Apostolskich. Jeśli gdziekolwiek, to tutaj właśnie poznamy, czem jest chrystjanizm w swym rodzimym charakterze. Sięgam do św. Jakóba i czytam ustęp, tak często cytowany:

„Czystą nieskalaną wiarą jest w obliczu Boga i Ojca odwiedzać sieroty i wdowy w ich strapieniu, a uchronić siebie od zmazy świata”.

Oto nauka bezpośrednia i jasna. Religją według św. Jakóba jest czystość i służenie bliźnim. Oczywiście,

nie chodzi tu o treść wierzeń, gdyż tylko przez swój stosunek do życia człowiek jest czystym i miłosiernym.

Lepiej jeszcze celowi naszemu odpowie odszukanie w którejkolwiek Ewangelji bezpośrednich nauk Chrystusa. Wyznaję, że z pomiędzy czterech Ewangelij najbardziej lubię Ewangelję św. Mateusza. Jest ona mniej poetyczna niż Ewangelja św. Jana, lecz jest prostsza i praktyczniejsza; o ile wiem, uczeni bibliści uważają również, że jest autentyczniejsza. U Mateusza znaleźć można najgodniejszy uwagi ustęp z całego Nowego Testamentu. Mam na myśli ową cudowną przypowieść o Sądzie Ostatecznym. Wygłasza ją Chrystus. Nietylko opowiadanie samo jest dziwnie piękne i podniosłe, lecz ze zdumiewającą jasnością określa, jaką miarą mierzyć będzie Chrystus nagą duszę ludzką:

V. 31. A gdy przyjdzie Syn Człowieczy w chwale swojej, i wszyscy święci Aniołowie z nim, tedy usiądzie na stolicy chwały swojej.

32. I będą zgromadzone przedeń wszystkie narody i odłączy je, jedne od drugich, jako pasterz odłącza owce od kozłów.

33. A postawi owce zaiste po prawicy swojej a kozły po lewicy.

34. Tedy rzecze Król tym, którzy będą po prawicy jego: Pójdźcie, błogosławieni Ojca mego! odziedziczcie Królestwo wam zgotowane od założenia świata.

35. Albowiem łaknąłem, a daliście mi jeść; pragnąłem, a daliście mi pić; byłem gościem, a przyjęliście mię.

36. Byłem nagim, a przyodzieliście mię; byłem chorym, a nawiedziliście mię; byłem w więzieniu, a przychodziliście do mnie.

37. Tedy mu odpowiedzą sprawiedliwi, mówiąc: Panie! Kiedyżeśmy ciebie widzieli łaknącym, a nakarmiliśmy Cię? albo pragnącym, a napoiliśmy Cię?

38. I kiedyśmy Cię widzieli gościem, a przyjęliśmy Cię? albo nagim, a przyodzieliśmy Cię?

39. Albo kiedy Cię widzieliśmy chorym, albo w więzieniu, a przychodziliśmy do Ciebie?

40. A odpowiadając Król rzecze im: Zaprawdę, powiadam wam, cokolwiekeście uczynili jednemu z tych braci moich najmniejszych, mnieście uczynili.

41. Potem rzecze i tym, którzy będą po lewicy: Idźcie ode mnie, przeklęci! w ogień wieczny, który zgotowany jest djabłu i aniołom jego.

42. Albowiem łaknąłem, a nie daliście mi jeść; pragnąłem, a nie daliście mi pić.

43. Byłem gościem, a nie przyjęliście mnie, nagim, a nie przyodzieliście mię, chorym i w więzieniu, a nie nawiedziliście mię.

44. Tedy mu odpowiedzą i oni, mówiąc: Panie! Kiedyśmy Cię widzieli łaknącym albo pragnącym, albo gościem, albo nagim, albo chorym, albo w więzieniu, a nie służyliśmy Tobie?

45. Tedy im odpowie, mówiąc: Zaprawdę, powiadam wam, czegoście nie uczynili jednemu z tych najmniejszych, mnieście nie uczynili.

46. I pójdą ci na męki wieczne, ale sprawiedliwi do żywota wiecznego.

W tej nauce niema nic mglistego i zagadkowego. Miara wartości ludzkiej nie jest bynajmniej metafizyczna. Absolutnie niema tu ani wzmianki o wierze, nawet o wierze w Boga. O wszystkiem stanowi tylko to, jak się człowiek zachował wobec potrzeb i cierpień bliźniego — jego głodu, pragnienia, osamotnienia, nagości, choroby, niewoli. Wrażenie jest tem silniejsze, że wyliczenie czterokrotnie się powtarza. Można tedy powiedzieć, że istotą chrześcijaństwa, jako religji, jest tylko dobry uczynek. Religja nie jest wierzeniem, lecz nastrojem ducha, który wyraża się w służeniu bliźnim.

Ramy pracy obecnej nie pozwalają mi nawet w tak zwięzłej formie dociekać istotnej charakterystyki innych religij świata. Polecam jednak to dociekanie wszystkim rodzicom i wychowawcom, pragnącym oprzeć wychowanie na trwałych i pewnych fundamentach. Nieomal w każdej z tych religij znajdą liczne przymieszki obrzędowości i dogmatów. Przekonają się, że wdzięczność i zachwyt skła-

niały ludzi do wznoszenia świątyń i składania ofiar. Sądzę jednak, że poza tem wszystkiem odkryją, iż rdzeń każdej religji polega zawsze na jednem i tem samem: służeniu bliźnim i wewnętrznej czystości.

Od czasu ustanowienia chrześcijaństwa już tylko jedna zjawiła się religja nowa, tj. Mahometanizm. Koran stał się duchowym przewodnikiem miljonów wyznawców rozproszonych po świecie, może stanowiących dziesiątą część ludzkości. Świeżo czytałem Koran, a choć on nie może przemawiać do duszy Anglo-Sasa i modernisty, niemniej polecam uważne odczytanie go. Mahometanizm, jako religja, jest mniej zrozumiały, niż inne wielkie religje Wschodu, a jego fanatyzm i wyłączność mało mogą budzić dla niego sympatji. Jednakże w nowszych czasach nawet do Islamu przeniknęły prądy tolerancji. Wzbudził on w Persji ruch reformatorski, który pod mianem Bahaizmu zwrócił na siebie uwagę świata. W przekładzie angielskim wydano urywki pism Baha u'llach, i stały się one dostępne dla zachodnich czytelników. Może jednak łatwiej zdobyć sobie można pojęcie o tej nowej wierze przez rozmowę z jej wyznawcami, dziś dość licznie rozproszonymi w Stanach Zjednoczonych. Obecnie stojący na czele tego ruchu, Abdul Baha, zwiedzał Amerykę w 1912 roku, głosząc naukę, której najmniej można było oczekiwać ze strony Islamu: wieczny pokój i zbratanie się wszystkich ludzi w jednej, powszechnej religji. Niezależnie od swej własnej wewnętrznej wartości, Bahaizm posiada to znaczenie dla badaczy religji, że stanowi mahometańską odmianę modernizmu, o tak uniwersalnym charakterze, że rozszerzył się na Persję, Arabję, sięgnął poza ich granice, a obecnie krzewi się nawet w obrębie chrześcijańskiego świata.

Ameryka była kolebką niejednej nowej religji, lecz żadna z nich nie stała się uniwersalną, co zdaje się być przywilejem religij wschodnich. W „Nowej Myśli", „Christian Science" (Wiedza Chrześcijańska) oraz wielu innych pomniejszych prądach, które — ledwo się zjawią — już ulegają zapomnieniu, widzimy symptomaty głodu duchowego ludzi, którzy odczuwają żywo potrzebę religji w ży-

ciu powszedniem. Wciąż powracająca fala tych prądów, które zrywają się i poruszają ten kraj, ma głębokie znaczenie. Umysły starsze i dojrzalsze widzą ich znikomość, a nieraz nawet ich błędny kierunek, lecz w każdym razie muszą przyznać, że świadczą one o gorliwem poszukiwaniu wewnętrznego pokoju i harmonji. Nie godzi się gardzić żadnym z tych prądów. Sumienny badacz religji winien im poświęcić należytą uwagę. Nawet wtedy, gdy nas drażnią, jątrzą, odpychają, przypuścić można, że uczucia te są odbiciem walki między nową prawdą, rzucającą wyzwanie starym przesądom.

Jak postaram się później wykazać, znacznie więcej zawdzięczać możemy światła i duchowej dojrzałości tym, którzy się z nami nie zgadzają, sprzeczają się z nami, a nawet nas wyszydzają, niż tym miłym osobom, które uprzejmie i zgodnie przywtarzają płaskim komunałom, przez nas wygłaszanym.

Tak krótki rozdział, poświęcony tak rozległej dziedzinie, musi nieuchronnie sprawiać wrażenie kieszonkowego przewodnika, nie poważnego szkicu, celem jego jednak wyłącznie było zachęcenie czytelnika do głębszych i poważniejszych studjów. Wynikiem tych badań musi być w każdym razie przekonanie, że ponad wszelkie poszczególne wyznania religijne większą jest religja sama w sobie, oraz że w duchowem życiu ludzkości znacznie więcej jest wspólności i łączności, niż różnic i przeciwieństw.

Człowiek istotnie pobożny pragnie być przedewszystkiem wyznawcą religji powszechnej w rzetelnej jedności ze wszystkiemi wyższemi duchami wszystkich krajów i ludów, a dopiero potem zgodnie z duchem swego narodu i ojczyzny lub też z osobistemi skłonnościami Chrześcijaninem, Hindusem, Buddystą, Żydem, Bahaistą, Szyntoistą, Mahometaninem. Głębiej niż wszelkie poszczególne wierzenia tkwi w naturze ludzkiej ta religja powszechna, która nie jest wyznaniem, nie jest odrębnością i różnicą dzielącą ludzi, lecz wewnętrzną treścią każdego ludzkiego serca: dążność do służenia bliźnim i oczyszczenia siebie samego. O niej to myśleliśmy, twierdząc, że wychowanie gruntowne i trwałe musi się opierać na religji.

III.

DOGMAT.

Błogosławiony Bhagawad-Gita mówi: „Kto stracił rozeznanie, wszystko utracił."

W każdem studjum porównawczem cechą naukowej metody jest naprzód stwierdzenie podobieństw, następnie wykazanie różnic; to też byłoby niewątpliwie świadectwem umysłu mętnego, gdyby wszystko razem zmieszać i oświadczyć, że różnice nie istnieją. W życiu religijnem ludzkości istnieją różnice ogromne. Byłoby równym błędem tracić je z oczu, jak pomijać istniejącą zgodność. To znaczyłoby, że straciliśmy rozeznanie, a więc utraciliśmy wszystko. Słowem, dogmat, szczególny przedmiot wiary każdej jednostki, każdego Kościoła, każdego narodu, jest rzeczywistością, którą musimy brać w rachubę, jeśli chcemy uczynić z religji podstawę zdrowego wychowania. My, rodzice i wychowawcy, musimy wobec dogmatów zachowywać się rzetelnie i z zupełną otwartością; przedewszystkiem zaś zachowanie nasze winno być należytą nacechowane powagą i delikatnością, bez protekcjonalnego lub lekceważącego tonu. Napozór niema rzeczy tak błahej, jak wiara, której nie podzielamy. Potrzeba jednak wielkiej przenikliwości, by dogmat ocenić właściwie, i wrodzonego rozsądku, by z niego wydobyć możliwe i uzasadnione, pożyteczne konsekwencje.

W dziejach ducha ludzkiego rola dogmatów może się wydawać rolą zaciętego obstrukcjonisty. Są one jakoby zasłoną, ukrywającą prawdę, a bynajmniej nie źródłem prawdy. W biegu wydarzeń dziejowych widzimy, jak poszczególne dogmaty bywają przekształcane, porzucane lub nawet gwałtownie obalane, i nieraz może gotowi jesteśmy przejść na stronę agnostyków i zaprzeczyć wszystkim dogmatom, dawnym, obecnym i przyszłym. Zanim to uczynimy jednak, warto przypomnieć sobie, że takie same koleje przechodziły również w ciągu swych dziejów teorje filozoficzne i odkrycia naukowe. Nikt nie zaprze-

czy, że w dziejach filozofji i wiedzy hipotezy i teorje grały wielką i pożyteczną rolę. Trudno obliczyć, ile zawdzięczamy hipotezie ewolucji albo teorji o ondulacji światła. Istotnie znaczna większość tych hipotez i teoryj prędzej lub później zostaje obalona. Odrzucamy jedną po drugiej ze zdumiewającym pośpiechem i bezwzględnością. Niemniej prawdą jest, że większość tych przypuszczeń i domysłów oddała w swoim czasie cenne usługi. Były one bodźcem do podjęcia głębszych badań, które prowadziły do sprostowania poglądów, aż wkońcu rodziły potrzebę powołania do życia teorji nowej. Gdybyśmy się nie posługiwali takiem rusztowaniem hipotez i teoryj, nigdy nie bylibyśmy mogli zbudować ani wiedzy, ani filozofji.

W taki to płynny sposób winniśmy, my wychowawcy, ujmować dogmaty; nie jako coś nieomylnego i ostatecznie skończonego, lecz jako wyraz dążeń i przypuszczeń. Są one w życiu duchowem teorją. Czuwać winniśmy nad tem, by w niem dogmat zajmował rolę drugorzędną. Nie należy go utożsamiać z religją, ani traktować jako zasadniczą część religji. Przedewszystkiem zaś uznanie pewnego poszczególnego dogmatu nie powinno być poczytywane za warunek zbawienia. Dogmat winien być zawsze pokornym sługą i pomocnikiem religji. Religja bowiem, nie zapominajmy o tem nigdy — to nie jakieś wierzenie, wyznanie, nie kosmografja, nie teorja zaświata, lecz zgodnie z naszą chrześcijańską wiarą, zgodnie z innemi wielkiemi historycznemi wiarami, jest ona czemś większem i wyższem—stanem ducha, wyrażającym się w służeniu bliźnim i oczyszczeniu samego siebie.

Wstępem do sztuki nauczania, jest wprowadzenie takich zmian do własnego życia wewnętrznego, jakie chcemy przeprowadzić w życiu wewnętrznem dzieci. Dla wielu dorosłych ludzi będzie bardzo trudną sprawą przejście do religji powszechnej, tem trudniejszą, im silniej są w nich zakorzenione ich separatystyczne uczucia i przekonania, im silniej panują nad niemi dogmaty. Jednakże od tego zaczyna się sprawiedliwość zarówno u chrześci-

jan, u hindusów, żydów, buddystów, szyntoistów, bahaistów, czy też wyznawców „Nowej Myśli“. Najpierw trzeba być obywatelem Stanów Zjednoczonych, zanim się zostanie obywatelem jakiegoś poszczególnego stanu lub stałym mieszkańcem jednego miasta. W racjonalnym porządku rzeczy całość obejmuje części. Sądzę zatem, że zasadniczym warunkiem dla rodziców i wychowawców, pragnących rzetelnie wychowywać dzieci, jest, by trzymali się wiernie religji powszechnej i z niej uczynili praktyczną podstawę swej pracy. Rozwijanie i doskonalenie ducha ludzkiego jest to doprowadzenie go do stanowiska powszechnego.

Dla dzieci przejęcie się religją powszechną nie przedstawia najmniejszych trudności, tak dalece, że można ją u nich uważać za wrodzoną, a tylko wpływom wyznaniowym przypisywać, gdy z tej szerokiej drogi zbaczają na boczne ścieżki. Naszą rolą jest czuwać, by dziecko utrzymało się na tem ogólnem stanowisku, by rozszerzać je, i w charakterze sługi nie pana wprowadzać dogmat do religijnego życia.

Jeśli religję ujmiemy tak szeroko i praktycznie—jako stan ducha, wyrażający się w usługach ludzkości i doskonaleniu wewnętrznem, to nietrudno nam będzie traktować dogmat tak, jak należy, rozumnie i rozsądnie. Mimo wszystkich wątpliwości i wahań, jakie w innych kwestjach nasuwać się mogą, niezaprzeczoną psychologiczną prawdą jest, że szczerze wierzyć można tylko wtedy, gdy się żadnej wątpliwości nie doznaje. Leży to w naturze duchowych procesów, że wiara nie może być narzucona ani wyrozumowana. Możemy pod naciskiem przybrać pewne zewnętrzne formy, ale nie możemy pod naciskiem przejąć wiary. Niewybaczalny gwałt zadajemy życiu umysłowemu i duchowemu człowieka, gdy mu podajemy jakiś dogmat, jako niezbędny dla zbawienia duszy.

Przypominam sobie bardzo żywo, czego doznawałem, gdy zbyt młodo, w piętnastym roku życia, przystępowałem do konfirmacji. Przez krótki okres mego dotychcza-

sowego życia byłem zawsze dobrym chłopcem, co nie było bynajmniej osobistą moją zasługą, gdyż słabe zdrowie chroniło mnie od pokusy do jakichkolwiek wybryków i trzymało mnie wciąż pod pieczą bardzo dobrej i pięknej matki. Gdybym nawet chciał, niemógłbym być niedobrym. Jednakże biskup, którego rozwiana siwa broda i majestatyczne brwi wydały się wrażliwemu chłopcu symbolem powagi „Zakonu Bożego“, wmówił we mnie, że byłem strasznym grzesznikiem, niewiele lepszym od najpodlejszego zbrodniarza, zupełnie niezdolnym do osiągnięcia najskromniejszego szczebla cnoty przez własny, osobisty wysiłek, a na tamtym świecie skazany na wielce wątpliwy los. Po wykazaniu, że moja sprawa jest niemal zupełnie beznadziejnie przegrana, wzbudzeniu we mnie przekonania, że jestem straconą duszą, jako jedyną deskę ratunku przedstawił mi dogmat Odkupienia. Najżarliwszą wiarą, najgorętszą pobożnością nie mogłem nic dla swego zbawienia uczynić, ale otrzymam je w darze, o ile złożę wymagany okup w postaci wiary we wskazany dogmat. On sam dokona mego zbawienia, jeśli tylko uwierzę, że on to uczynić może. Siliłem się tedy całą potęgą chłopięcej woli uwierzyć w ów dogmat, — wiedziałem jak wielkie rzeczy w grę wchodzą — uwierzyć nietylko, że on mnie zbawić może, ale że w tej mojej osobistej sprawie już ten cud zdziałał, że ocalenie moje jest faktem dokonanym. Bez najmniejszej urazy wspominam to nielogiczne postępowanie ze mną, gdyż nie wątpię, iż biskup był zupełnie szczery i wierzył istotnie, że udało mu się jeszcze jednemu grzesznikowi drzwi do raju otworzyć.

Jednakże dokładnie zdaję sobie sprawę, jaki gwałt zadano memu życiu umysłowemu i moralnemu, gdy mi tak usilnie zaciemniano wyobrażenie istoty chrześcijaństwa. Dogmat zjawił się jako pan, nie jako sługa. Teraz już wiem, że mi przysługuje zupełna wolność odrzucenia każdego dogmatu i niedawania wiary żadnemu wierzeniu, oraz że jedynie w tej niezmąconej żadną wewnętrzną walką atmosferze duchowej może powstać szczera wiara i zbawienne przekonanie.

Powiedziałem, że każdemu wolno nie wierzyć — naturalnie miałem na myśli moralne prawo. Umysłowo człowiek nie jest zupełnie niezależny w kwestji przekonań, gdyż każde rozumowe przekonanie oparte jest na doświadczeniu, to zaś jest w pewnej mierze dane. Jakkolwiek możemy świadomie rozszerzać nasze doświadczenie i niem kierować na przyszłość, doświadczenie dawniejsze musimy przyjmować równie bezsprzecznie, jak wiele innych rzeczy w życiu. Możemy jednak do doświadczeń dawniejszych wnosić nowe i szersze poglądy, i tym sposobem zmieniać nawet przeszłość, zmieniając jej znaczenie i tkwiącą w niej naukę. Przekonanie, o ile jest logiczne i uzasadnione, jest równie zmienne, jak doświadczenie, lecz w każdym momencie danym nasz zasób przekonań musi być odpowiedni do zasobu doświadczeń. Jednakże wielkie zagadnienia życia wyrastają ponad dziedzinę ludzkiego doświadczenia i musimy się uciec do innej drogi poznania. Niejedno z nich stawia nas wobec bardzo trudnej alternatywy: Czy jest Bóg — czy niema Boga? Czy istnieje, czy nie istnieje życie przyszłe? Wtedy o stanowisku naszem rozstrzyga bardzo wiele czynników — temperament, różne analogje, opinja publiczna i t. p. Czasem na wzór agnostyków — odpowiedź zawieszamy. Czasem — na wzór sceptyków — przeczymy ze zwyczaju. Przeważnie jednak natura nasza skłania nas do szukania takiej lub innej odpowiedzi. Moralnie mamy wolne pole do tych poszukiwań, umysł nasz jednak spotyka na niej różne wskazówki. Sami przechylamy szalę i zgodnie z tem zajmujemy stanowisko. Mielibyśmy jednak znacznie lepsze widoki zajęcia słusznego stanowiska, gdybyśmy żadnemu przekonaniu nie przyznawali praw wyłącznych; zgodzili się na to, że ono w danej chwili jest wyrazem najwyższego prawdopodobieństwa.

W religjach świata istnieje mnóstwo dogmatów — dogmat Trójcy Świętej, Niepokalanego Poczęcia, Wcielenia, Odkupienia, Przeistoczenia, Objawienia w Piśmie, Nieomylności Papieża, Predestynacji, Wiekuistego Żywota. Niezawsze istniały te dogmaty, rodziły się w danej epo-

ce. Musiały one w pewnej chwili powstać w jakiejś duszy ludzkiej, naprzód jako mgliste przeczucie, potem jako wciąż rosnące prawdopodobieństwo, wreszcie—może przedwcześnie—jako pewność rzeczywista. W tej ostatniej, najmniej pożądanej postaci, prawdy niewątpliwej, przeczucie krystalizuje się w dogmat, który zostaje przekazany potomności. Nie jako oswobodziciel, lecz jak dozorca więzienia zjawia się on, a tak mało posiada boskiej powagi, że, gdy przeglądamy dzieje Kościoła, możemy się przekonać, po jakich kontrowersjach i jakiem głosowaniem uznawano go. Nie jest jednak bynajmniej koniecznością przyjmować go w takiej skostniałej postaci. Wiele lepiej, a całkiem możliwie jest brać dogmaty w ich pierwotnym kształcie, jako wyraz wielkiego prawdopodobieństwa, lub jako mgliste przeczucie.

W sprawie dogmatu nauczyciel może obrać jedną z dwóch dróg, albo zupełnie otwarcie wyznać rzeczywistość dogmatów, lecz zarazem i niemożność zajmowania się niemi w swym charakterze nauczyciela, albo też ujmować je w powyżej określonym, pełnym charakterze i objaśnić dzieci, jak je oceniać, jaką z nich korzyść wysnuć można. Opinja publiczna w Ameryce bez wahania przychyliła się do pierwszej metody postępowania, przynajmniej o ile chodzi o szkoły publiczne. Mówiąc poprostu, ignoruje się dogmaty. Z tego jeszcze bynajmniej nie wynika, by to był najbardziej pożądany system, lecz że życie religijne w Ameryce jest dotąd jeszcze bardzo ciasno i wojowniczo wyznaniowe, że zatem ostrożność wskazuje ten sposób postępowania. Jednakże rodzice lub nauczyciele mają jeszcze wolny wybór drugiej drogi i mogą osobiście czuwać nad praktycznem spożytkowaniem dogmatów. Trudno nawet zrozumieć, jak może uchylić się od tego zadania wychowawca, traktujący sprawy poważnie.

Biorąc najważniejsze dogmaty, jako takie. które mamy moralne prawo przyjąć lub odrzucić, sądzę, że powinniśmy znaleźć dla nich sprawdzian, na który zgodzimy się wszyscy, bez względu na nasze osobiste przekonania.

Mojem zdaniem, zanim potwierdzimy lub odrzucimy (co jest równie ważne) jakiś dogmat, musimy zastosować sprawdzian dwojaki. Pierwszym jest *Prawidło Rozumu,* drugim *Prawidło Pragmatyczne.* Pierwszy da nam stopień prawdopodobieństwa danego dogmatu. Drugi poda nam to, co Wilhelm James nazwałby jego wartością kasową.

Prawideł pragmatycznych nie należy utożsamiać z Pragmatyzmem, systemem filozoficznym, który się skojarzył u nas z nazwiskiem James'a. Mimo wielkiej sympatji dla jego twórcy i szczerego podziwu dla jego nauk w ogólności, przyznaję słuszność tym krytykom, którzy utrzymują, że pragmatyzm, jako system filozofji, jest niezadawalniający i nieodpowiedni. To jednak bynajmniej nie zmniejsza wartości *Prawidła Pragmatycznego,* jako kamienia probierczego.

Dla sprawdzenia wiarogodności dogmatu musimy naprzód jak najjaśniej i jak najbezwzględniej ustalić sam dogmat, a potem równie jasno i stanowczo jego przeciwieństwo — zestawiając koniecznie obie alternatywy. Nieomal zawsze okazuje się możliwe takie zestawienie, a umiejętne i rzetelne podporządkowanie argumentów pozwala ważyć szale i dojść do ustalenia wniosków. Te wnioski nie będą niezbitemi dowodami, lecz stoję na stanowisku, że dogmaty nie dadzą się udowodnić. Udowodniony dogmat przeszedłby do rzędu naukowo ustalonych faktów i wszedłby w skład pozytywnej wiedzy ludzkiej. W tym charakterze leżałby on poza granicą naszych obecnych badań. Niema powodu spekulować tam, gdzie można wiedzieć.

W pewnych bardzo ważnych wypadkach szanse prawdopodobieństwa tak się równo dzielą między dogmat i jego przeciwieństwo, że trudno nam dojść do zadawalniającego wniosku. Wtedy skazani jesteśmy na stanowisko agnostyczne i niezdecydowane. Całe znaczenie dogmatu, jako drogowskazu, jest wtedy obrócone wniwecz. W tych wypadkach prawidło pragmatyczne oddaje nieocenione usługi. Stawia nas ono wobec pytania, co wyniknie z tego, gdy odrzucimy dogmat lub też uwierzymy w niego,

jak to oddziała na moralny bieg naszego codziennego życia? Jeżeli dany dogmat nie ma takiego żywotnego znaczenia, a oczywistość jest zbyt sporna, by można dojść do słusznej decyzji, staje się rzeczą jasną, że przyjęcie lub odrzucenie dogmatu jest sprawą obojętną. Jeżeli niepodobna jest wiedzieć, a nicby nam z tego nie przyszło, gdybyśmy wiedzieli, to oczywiście wszelka spekulacja jest bezcelowa. Przypuśćmy dalej, że dogmat ma dość mały stopień prawdopodobieństwa, by zawieszenie sądu było wskazane, jednakże jako hipoteza może się okazać niezmiernie dobroczynnym w życiu. Każdemu z łatwością przyjdzie wskazać znaczną liczbę takich dogmatów. Mojem zdaniem, znacznie rozumniej i pożyteczniej okaże się przyjąć i spożytkować dogmaty, wysnuć z nich konsekwencje w życiu i wychowaniu, słowem, tak postępować, jakby dogmaty były prawdziwe. Jako artykuł wiary, dogmat nie ma siły zbawczej, i człowiek byłby strasznie przygnębiony, gdyby jego zbawienie na tak kruchej wisiało podstawie, lecz jako możliwy sposób widzenia rzeczy, jako twórcza hipoteza, może on uzdolnić człowieka do pełnienia obowiązku służby i udoskonalenia wewnętrznego, a wtedy posiada wartość realną. Taki dogmat nie jest mamieniem. Jest tylko niepewnością i jako taki jest przyjmowany, lecz będąc niemniej prawdopodobny, niż jego zaprzeczenie, znacznie jest użyteczniejszy, jako działająca hipoteza. Wejść on może w tej postaci w skład wiary indywidualnej, zupełnie szczerze, choć wyłącznie jako wyraz pragnień i skłonności. Pozwolę sobie twierdzić, że osobiste przekonania wielu mężczyzn i kobiet, żyjących przykładnie, zawierają niejeden taki dogmat, a zarazem wyrazić przekonanie, że ci sami ludzie bez tych dogmatów byliby mniej szczęśliwi i mniej pożyteczni.

Jak się przekonaliśmy, wszystkie dogmaty zdrowo pojęte muszą być brane w ten sposób, — jako możliwości wyższego czy niższego stopnia. Jednakże coś może być prawdziwe a zarazem ani ważne, ani zajmujące. Tutaj okazuje się znaczenie pragmatycznego prawidła. Wysoce

prawdopodobny dogmat tego rodzaju, że czy kto wierzy, czy nie wierzy, nie stanowi to żadnej różnicy ani dla niego samego, ani też dla kogokolwiek bądź, nie będzie zaprzątać uwagi człowieka, biorącego życie z poważnej strony. Niebezpieczeństwo tkwiące w prawidle pragmatycznem, a przynajmniej nieufność, jaką ono budzi w pewnych kołach, mojem zdaniem, tłumaczy się tem, że w ręku ludzi lekkomyślnych i niedbałych o prawdę może być ono stosowane bez poprzedniego odwoływania się do rozumu. Gdyby pewne nieprawdopodobne rzeczy były prawdą, wyniknęłyby stąd pewne pożądane następstwa, przeto wierzmy, że one są z prawdą zgodne. To prowadzi wprost do Raju Głupców, w którym każdy wierzy w to, w co mu się wierzyć podoba, nie licząc się bynajmniej z rzeczywistością. Dodać wypada, że taki stan umysłów nie jest bynajmniej rzadkością, a mojem zdaniem, on to powoduje wiele błędów i upadków.

Sądzę, że nie potrzebuję popierać tych uwag przykładami ogólnie znanych dogmatów. Każdy czytelnik może takie zastosowanie sam przeprowadzić z wielkim pożytkiem zwłaszcza w stosunku do tych dogmatów, które uważa za stały składnik swej świadomości religijnej. Z takim samym pożytkiem zastosuje również te wskazówki do dogmatów, z któremi może się zaznajomić w biegu swego życia. Równie ważną jest rzeczą trzymać się dogmatów odpowiednich, jak odrzucać nieodpowiednie. Umysł wyprzątnięty i oczyszczony aż do zupełnego obnażenia i pustki — nie na wiele się przyda. Przeczeniem samem niedaleko zajedziemy. Zadania życia codziennego domagają się pozytywnych i twórczych czynników.

Nie wahajmy się wprowadzać twórcze hipotezy do naszego umysłowego życia. Są one szkodliwe i niedorzeczne tylko wtedy, gdy przysięgamy się na niebo, iż one zawierają rzeczywistą prawdę, a całe zbawienie zakładamy na wysoce nieprawdopodobnem założeniu słuszności tego mniemania. W życiu codziennem nieustannie posługujemy się takiemi użytecznemi hipotezami. Jeśli chcemy się z kimś spotkać, staramy się uprzytomnić so-

bie jego rozkład zajęć i idziemy tam, gdzie go prawdopodobnie o tej godzinie zastać można. Jeśli mamy zamiar załatwić jakiś sprawunek, udajemy się do sklepu, w którym — wedle zasięgniętych informacyj — dany towar dostać można. Gdy nam chodzi o wykonanie jakiejś roboty, poszukujemy rzemieślnika, który prawdopodobnie najlepiej ją wykona. I tak radzimy sobie w każdej okoliczności. Nie ograniczamy się na jednej próbie, ani nawet na małej liczbie, ale uważamy, że wiele lepiej kierować się domysłem niezupełnie trafnym lub nawet błędnym, a coś jednak zdziałać, niż bezradnie opuścić ręce w obawie, że możemy się pomylić. Prawdą jest, że w biegu naszego powszedniego życia nieustannie obracamy się w świecie niepewności, w którym błędne domysły grozić nam mogą klęskami i zgubą. Jednakże tylko tchórzów powstrzymuje to od ruszenia z miejsca. I w świecie ducha równie zgubnem okazałoby się odrzucenie dogmatów a pozostawienie bezwładu i martwoty.

Ujęty w tej giętkiej postaci, o jaką mi tu chodzi, dogmat może spełniać ważne zadania, potęgując siłę naszych pobudek w życiu codziennem i gotowość do pełnienia służby, do jakiej jesteśmy powołani. To, w co człowiek wierzy, ma silny wpływ na to, co czyni. Jako aktorzy w dramacie życia zachowujemy się całkiem inaczej, gdy hołdujemy pozytywnym, twórczym poglądom, a inaczej, gdy pogrążamy się w atmosferze wątpliwości i negacji. Wartość dogmatu mierzy się jego wynikami. Dogmaty, które powodują obojętność i bezczynność, mają wartość małą lub nawet ujemną. Stosuje się to do większości dogmatów teologicznych oraz wielu scholastycznych zagadnień. I tak kwestja, ile aniołów zmieścić się może na łebku od szpilki — nie może posiadać żadnego znaczenia. Gdybyśmy nawet jakimś cudownym przypadkiem mogli to odkryć, nicby nam z tego nie przyszło. Natomiast dogmaty, które wywierają wpływ na życie i na postępowanie człowieka, zapalają uśpione w sercach skłonności do ofiar, do wewnętrznego udoskonalenia, takie np. dogmaty jak przedwieczność Boga, wiara w Jego moc twórczą, w ży-

cie wieczne — posiadają użyteczność, podobną do przypuszczeń codziennego życia, do hipotez filozoficznych, do teoryj i założeń naukowych. Wszystkie mogą być błędne, niejeden z nich może ulec sprostowaniu, niejeden znów może zczasem zostać odrzucony; tymczasem jednak lepiej jest posługiwać się niemi i z ich pomocą odnosić zwycięstwa, niż odrzuciwszy je, pogrążyć się w apatji i negacji.

Ludzie trzeźwego umysłu krzywo patrzyli na wszelkie dogmaty, gdyż kto je bierze zbyt ściśle, wpada w fanatyzm i nietolerancję, a kto zbyt dowolnie, tworzy świat fantastycznych fikcyj. Istnieje jednakże trafna droga pośrednia, na której umiejętny wychowawca — kształcąc własne czy cudze dzieci — znaleźć może cenną pomoc w swych zadaniach.

Sądzę, że nietylko dla ustalenia i wzmocnienia naszego własnego stanowiska trzeba koniecznie kwestję dogmatów rozumnie rozstrzygnąć, lecz że poprostu uniknąć tego niepodobna. Nie mamy wyboru między światem bez dogmatu a uznającym dogmaty. Rodzimy się wśród świata nasyconego wiarą dogmatyczną. Spotykamy się z nią wszędzie, w każdej przeczytanej książce, w każdym dramacie na scenie, w każdej uchwalonej ustawie, w każdym artykule prasy, w każdym procesie przed sądem, w każdem poważnem dziele sztuki, słowem cała działalność ludzka jest jej odbiciem. Wszystko to rozwija się na podkładzie jakiegoś poglądu, jakiejś doktryny naukowej czy filozoficznej, czy prawnej, socjalnej, czy też religijnej. Ustalone dogmaty nie podlegają dyskusji; są przyjęte jako prawdy dane. Im są bardziej ustalone, tem są prostsze i ogólniejsze. Nowe dogmaty, takie, jakie obecnie zjawiają się w filozoficznym świecie, rozwijane są bardzo szeroko, wykładane z naciskiem i wysiłkiem, bronione z widoczną zapalczywością. Trudno do nich przywyknąć i z niemi się oswoić. Natomiast bieżące rozpowszechnione dogmaty poczytywane są za oczywiste pewniki. Jeśli mamy usposobienie krytyczne lub jeśli straciliśmy łączność z otoczeniem, instynktowo przejętem

dogmatami, musimy je wyszperać, zanim zdołamy zrozumieć życie tego otoczenia, tak jak adwokat musi wykryć domniemaną pobudkę zbrodni, jeśli jego dowody mają być przekonywające. W szczególności stosuje się to do kwestyj społecznych, w których przeciętna opinja znacznie więcej napomyka niż twierdzi. Przypomnijmy sobie, jakie mnóstwo społecznych dogmatów stanowi tło tego, co w danym kraju lub w danej epoce uchodzi za przyzwoite i godziwe.

W takim to świecie pełnym sofizmatów rodzą się i rosną nasze dzieci. I one nie mogą wybierać między światem bez dogmatów a przepojonym dogmatami. Zaledwie zdołają zrozumieć naszą mowę, zaledwie same mówić się nauczą, zaledwie zaczną obserwować i tłumaczyć sobie ludzkie czynności — już stykają się z dogmatami we wszystkich ich konkretnych zastosowaniach. Bardzo tępym umysłowo musiałby być taki chłopiec, któryby, powtórzywszy z pamięci wszystkie święta w ciągu roku, nie umiał powiedzieć, jakie dogmaty przyświecają umysłom jego rodziców i o ile one zgadzają się ze sobą. Zakazy i nakazy, rządzące światkiem dziecięcym, zarzuty i nagany, kary i nagrody — wszystko to razem składa się w ruchliwym i ciekawym umyśle dziecka na pewnego rodzaju filozofję życiową, gdy zaś zacznie ono zestawiać to, co słyszy i czyta, z tem, co widzi w życiu domowem, w szkole, w kościele, na ulicy — filozofja ta staje się dziwnie ciemna i zawiła. Ponieważ najżywotniejszemi dogmatami są te, które najsilniejsze wyciskają piętno na codziennem postępowaniu człowieka, dzieci nasze przez cały dzień stykają się z dogmatami. To nieustanne oddziaływanie wszechobecnego, wszystko przenikającego, choć niewypowiadanego dogmatu wiele silniejszy wywiera wpływ niż wszystko, co się dla nich mówi w izbie szkolnej, gdzie nauczyciel zdołał się przejąć myślą, że nie powinien dotykać dwóch dziedzin najściślej związanych z życiem człowieka: religji i polityki. Jednakże nie można ich wykluczyć. Całe zagadnienie polega na tem, czy zechcemy podstawowe poglądy na życie pozostawić losowi, czy

chcemy rozumnie niemi pokierować; słowem, czy chcemy pozornie wychowywać dzieci, czy istotnie ich wychowanie wziąć w swoje ręce.

Ta sama niezależność umysłu, która nas skłoni do pojmowania dogmatu w sposób giętki, praktyczny, natchnie nas wyrozumiałością dla wszelkich dogmatów i wszystkich wyznawców. Życie jest zbyt poważną sprawą nawet dla najlekkomyślniejszych natur, by można je opierać na fałszywych wyobrażeniach. Dla wyznawców pewnego danego dogmatu posiada to większą wagę niż dla kogokolwiek, by on został odrzucony, jeśli się żadną miarą nie daje obronić. Ci z pomiędzy nas, którzy hołdują przekonaniu, że dogmat pożyteczną i ważną rolę spełnia w życiu, muszą przyznać, że umysł otwarty jest równie ważny i pożyteczny. Połączenie jednego i drugiego punktu widzenia pozbawia dogmat jego żądła, bynajmniej nie osłabiając jego siły. Czyni go ono wyznawanem przekonaniem, najwyższem prawdopodobieństwem, hipotezą twórczą w życiu codziennem a przez to przedmiotem równie beznamiętnego, objektywnego sprawdzenia, jak każda płodna hipoteza naukowa. To też niema w tem nic niewłaściwego, gdy w praktyce wychowawczej dotykamy dogmatów; przeciwnie, obowiązkiem naszym jest poświęcić im należytą uwagę.

Oczywiście byłoby bardzo złym systemem postępowania potrącanie o dogmaty przy byle sposobności w szkole i dziecinnym pokoju, na targu czy w salonie. Byłoby to przeciwieństwem skrajnem naszego obecnego rozmyślnego zamilczania w chwilach, gdy rzeczywiście okoliczności mówić każą. Zachowywać milczenie w sprawie tak żywotnych wyobrażeń znaczyłoby chcieć przejść do porządku dziennego nad prądem życia, a czuwać tylko nad tem, by jego siła motoryczna i popędy wprawiające ją w ruch pozostawały zawsze ukryte i niejasne.

Chcąc rozumnie pokierować życiem, rodzice i wychowawcy muszą najpierw jasno określić swoje własne wyobrażenia w zakresie dogmatu, a następnie dopomóc dzieciom do podobnego rozjaśnienia swych pojęć, ustrze-

żenia się od błędnych wyobrażeń i sprzeczności. Dorośli nie potrzebują wyjść ze swej roli, by do takich wyjaśnień doprowadzić, gdyż, jak zauważyłem powyżej — dzieci naogół występują przeciw dogmatom i stawiają pytania bez końca. Kładzenie nacisku na pewne szczególne dogmaty zależeć będzie oczywiście od ich stosunku do dwojakiej miary ich uzasadnienia i znaczenia. Niejeden dogmat, który niegdyś odegrał rolę historyczną, dziś zaliczony został do rzędu jałowych spekulacyj. Dzisiaj naprzykład, wspominając zawzięte walki między Unitarjaninami a Trynitarjaninami, dochodzimy do wniosku, że był to raczej spór o wyrazy. Nikt jednakże nie może zrozumieć literatury, nawet minionego stulecia, nie rozumiejąc tych dogmatów, nie mógłby też zdać sobie sprawy ze współczesnego życia umysłowego bez uświadomienia sobie, że dogmaty te zostały gruntownie zmodyfikowane lub nawet odrzucone. Są też i takie ważne dogmaty, wciąż wywalczające sobie prawo bytu, które wydają nam się nietylko niepoparte żadnemi faktami, ale nawet w następstwach swoich szkodliwe; to też przez miłość dla dzieci będziemy się starali ustrzec je od tej szkody. Do takich zaliczam dogmat o Odkupieniu. Wywalcza on sobie nieustannie prawo bytu, ciągle mnóstwo ludzi wyznaje go co najmniej nominalnie, a jednak wystarczy trochę rozwagi i analizy, by dojść do wniosku, że jest on szkodliwy, gdyż odłącza skutek od przyczyny i przeczy fundamentalnej zasadzie nauki chrześcijańskiej — zbawieniu duszy przez dobre uczynki. Dogmaty przeznaczenia (Predestynacji), słownego Objawienia Pisma Świętego, Nieomylności Papieża i tym podobne twierdzenia muszą być brane w rachubę przy badaniu przeszłości, lecz nie można im przyznać żadnego wpływu na teraźniejszość. Tylko oczyściwszy teren w ten sposób, możemy uniknąć zamętu pojęć i położyć należyty nacisk na te dogmaty, które mają wartość nieprzemijającą, aktualną i twórczą. Lista takich dogmatów nie dla każdego będzie równobrzmiąca, lecz niezawodnie zawierać będzie dogmaty wykwitłe ze współczesnych przeżyć duchowych, stanowiące najtrwalsze objawienia wewnętrz-

nego życia, a nie obejmie dogmatów abstrakcyjnej, jałowej scholastyki.

Przez sprowadzenie religji do dobrych uczynków, a dogmatu do twórczej hipotezy doszliśmy do wielkiej prostoty. Lecz wielkie proste zagadnienia życia narzucają się z nieprzepartą siłą. Nie można się im wymknąć. Dla umysłów powierzchownych, niezdolnych do zastanawiania się, jest znacznie łatwiejszą rzeczą przejąć oficjalnie głoszone dogmaty, jako środki osobistego zbawienia, niż pełnić codziennie dobre czyny, bratnie usługi bliźnim, które stanowią istotę każdej wielkiej religji świata. To też w Ameryce niewielu spotykamy Chrześcijan. W długiem mojem życiu bardzo nieznaczną ich liczbę zdołałem poznać. Chesterlin słusznie mówi: „Ideał chrześcijański nie doczekał się dotąd próby urzeczywistnienia; zawsze jeszcze jest ideałem przyszłości. Uznano, że jest zbyt trudny i zaniechano wprowadzenia go w życie“.

Przeszkody nie stanowi tu brak uczuć szlachetnych. Większość ludzi ma wiele życzliwości dla bliźnich. To jednak nie wystarcza jeszcze. Niedość jest powiedzieć: „Chcę, byś był syty, odziany, nie cierpiał zimna“. Trudność zjawia się wtedy dopiero, gdy potrzeby bliźnich krzyżują się z naszemi mniemanemi potrzebami. Naszą miłość dla bliźnich rozciągamy na całą ludzkość z wyjątkiem tej małej cząstki, z którą nas wiążą ekonomiczne interesy. Są to jednak ci sami ludzie, których mamy uważać za bliźnich. Większość ludzi sprzeniewierza się religji dobrych uczynków w tym krytycznym punkcie — jedynym, gdzieby ją można stosować—w codziennych zabiegach o chleb powszedni. Coś podobnego możnaby powiedzieć i o dogmatach. Nietrudno wraz z adeptami poszczególnych wyznań zgodzić się bez namysłu na dogmaty uświęcone tradycją domową i kościelną; nietrudno wraz z agnostykami wszystkie dogmaty podać w wątpliwość, ze sceptykami wszystkie odrzucić. Znacznie trudniej przyjąć je, jako hipotezę twórczą, gdyż to nakazuje rozważyć je, zmierzyć, ocenić z całą sumiennością i umiejętnością. Bardzo wiele czynności codziennego życia, bar-

dzo wiele cennych dobrych uczynków spełniać można doskonale bez najmniejszego związku z dogmatami. Ale tylko do pewnych granic. Czyny większej wagi, dalej sięgające widoki działania — wymagają jasno określonej filozofji życia. Można zrobić niejedną przyjemną wycieczkę, zawsze zdrowo i cało wracając do przystani; gdy jednak chodzi o daleką podróż, trudno się obejść bez dokładnej mapy. Rodzice i nauczyciele, z przejęciem pełniący obowiązki swego powołania, muszą być przewodnikami, muszą przeprowadzić dziatwę z cichej przystani na szeroki ocean życia, a przewodnik musi widzieć rzeczy dalekie i niedostrzegalne. Nie mogą zdawać się na Boga, Opatrzność, społeczeństwo. Sami są bowiem jedynem wskazanem i powołanem narzędziem tych potęg. Machiavelli mówił: „Bóg nie chce się trudnić wszystkiem; każdy musi zachować swą wolną wolę i tę część chwały, która jemu osobiście przypada.“ My, przewodnicy, potrzebujemy mapy dokładnej, wyraźnej, użytecznej mapy. Nie jest wystarczającą racją do odrzucenia dogmatów to, że bywały one nadużywane.

IV.

CHLEB.

Ojciec, matka, czy nauczyciel nie mogą dobrze pokierować wychowaniem dzieci, jeśli naprzód pozostawią je w przekonaniu, że żywność, odzież, mieszkanie, sprzęty, meble, wszystko, co do wygody służy, otrzymujemy darmo od przyrody, — a dopiero potem prostują jego błędne pojęcie, wyjaśniając mu, że to wszystko jest w rzeczywistości wytworem pracy ludzkiej. Niezawsze zdarzy się sposobność do sprostowania tego błędu; czasem sposobność taka minie niepostrzeżona; najczęściej utrzymuje się wbrew niej wyobrażenie pierwotne. Dziś znaczna większość osób zamożnych żyje w przekonaniu, że ich utrzymanie jest przywilejem, który im przysługuje. Gdyby zostały pozbawione żywności, odzieży, mieszkania i tego wszystkiego, co się składa na wygodne życie — widzia-

łyby w tem jakąś potworność przeciwną prawu natury. Dostrzegam ten objaw u większości ludzi wykształconych — nie wyłączając siebie samego. Z niewytłumaczonych powodów sądzimy, że świat winien nam zapewnić utrzymanie. A przecież, ażeby nam dostarczyć tego wygodnego, wytwornego nawet utrzymania, ktoś musi się tem zająć i to jest punkt, który nazbyt łatwo tracimy z oczu. Nawet gdy się o tem przypomni, większość osób zamożnych ma przekonanie, że płacą za wszystko, co otrzymują, że płacą bardzo hojnie. Obecnie najwięcej ludzie przejmują się troską o wysokie koszta utrzymania.

Czemże jednak płacą za nie? — oto pytanie zasadnicze dla wychowania.

Czy płacą oddawaniem usług wzajemnych, przy zdrowo pojętym podziale pracy, w której sami we właściwej mierze uczestniczą? Czy płacą środkami, osiągniętemi przez zysk z jakiegoś korzystnego obrotu handlowego? Czy może płacą dochodem, uzyskanym bez żadnej pracy i osobistego wysiłku, w postaci renty, procentu, dywidendy?

Oto główne źródła, z których ludzie czerpią utrzymanie. Konieczność zmusza człowieka do bezpośredniej pracy na życie. Pewnego rodzaju przebiegłość ułatwia mu zdobywanie wygodniejszego utrzymania przez przywłaszczenie sobie części wartości wytworzonych przez innych. Celem przyświecającym jednej i drugiej grupie jest zdobycie środków na to, by móc przestać pracować i żyć wygodnie z procentu, dywidendy lub renty. Aż do ostatnich czasów ani jedna, ani druga droga nie podlegała żadnym zarzutom i dotychczas ludzie bezmyślnie uważają, że są one zupełnie dozwolone. Jednakże coraz liczniejsi są ludzie, którzy stawiają pytanie, jakiem prawem jedni mają żyć z pracy drugich? Pytanie, z jakiego źródła płynie nasz dobrobyt, niezawsze jest dogodne i przyjemne, jednakże dla rodziców i wychowawców ma ono zasadnicze znaczenie. Obowiązkiem ich jest wyjaśnić moralną stronę tej sprawy. Powinni oni własne stanowisko określić wyraźnie i obmyślić dla dzieci uprawnioną ekonomicznie drogę życia. Tak samo jak łatwiej jest oprzeć

wychowanie religijne na przyjęciu oficjalnie uznanych dogmatów, aniżeli na codziennych dobrych uczynkach, tak również łatwiejszą jest rzeczą utrzymać je w oderwaniu od zagadnień praktycznego życia, w atmosferze czystego idealizmu, niż ugruntować na trwałych podstawach ekonomicznych. W wielu kołach utrzymuje się dotąd mniemanie, że poniżeniem zadań wychowawczych jest zwijanie skrzydeł, otwarte zajmowanie stanowiska wobec kwestji dobrobytu. Jednakże wyznawca religji powszechnej nie może tej kwestji pomijać. Jeśli chce wychowanie oprzeć na religji — religję zaś zasadza na konkretnych, codziennych, dobrych uczynkach—jasną jest rzeczą, że nie może swego utrzymania opierać na zmuszaniu drugich ludzi, by na niego pracowali lub choćby tylko godzić się z tem, że pracują na niego, i pozwalać, by dzieci w ten sposób urządzały sobie życie. Zarówno on sam musi swój dział pracy wykonać, jak i one za jego przykładem, w miarę siły i uzdolnienia swego. Wychowawca naszego typu nie sądzi, by wychowanie zamykało się w zagadnieniach dobrobytu; jednakże życie ludzkie obejmuje ducha i ciało, a wychowanie nie może być pełne i gruntowne, jeśli pominie kwestję, jak potrzeby ciała winny być godziwie zaspokajane.

Potrzeby ludzkie są faktem elementarnym, który musi być brany pod uwagę przez każdego rozważnego wychowawcę. Musi on je uwzględniać wedle kolei, w jakiej się one narzucają: naprzód potrzeby ciała, potem potrzeby ducha.

Wśród współczesnego pokolenia nikt może tyle nie przyczynił się do poruszenia sumień w Europie i Ameryce, co Tołstoj, wskazując moralny obowiązek pracy produkcyjnej, domagając się, by każdy pracował, a nikt nie był obarczony brzemieniem pracy. Zdawał on sobie jasno sprawę z tego, że tak samo jak w militarystycznym narodzie każdy człowiek pracujący musi na swych barkach dźwigać żołnierza, tak samo w naszym współczesnym przemysłowym świecie klasy wytwarzające muszą dźwigać na plecach swoich klasy uprzywilejowane, nieprodukcyjne.

Głosił on, że niesprawiedliwym jest taki porządek społeczny i w imię religji wzywał, „by każdy ulżył brzemienia swych bliźnich, stanął na własnych nogach i osobiście wziął udział w codziennym znoju pracy na chleb powszedni". On to puścił w obieg wyrażenie „praca na chleb", wskazując na pracę, która bezpośrednio żywi ludzi. Pracę na chleb polecał każdemu, bez względu na stan i zawód, i stwierdzał, że on sam, poświęcając pół dnia pracy fizycznej w polu, mógł jednak w ciągu drugiej połowy dnia dokonać większej i cenniejszej pracy umysłowej, niż gdyby tej ostatniej cały dzień poświęcał. Nie sądzę, by tego doświadczyli ci wszyscy, którzy od pracy naukowej przeszli do pracy w polu, lecz może niedość długo wytrwali w tym wysiłku, by nabrać wprawy. Być może, że z pracą fizyczną jest to samo co z wegetarjanizmem, że tylko po dłuższym upływie czasu daje się odczuć jej wynik.

Pewna ilość fizycznego trudu każdemu pracownikowi umysłowemu dla zdrowia jest potrzebna, a zły stan zdrowia odbić się musi zawsze na jakości pracy umysłowej. O ileby ten trud fizyczny przyniósł równocześnie pewne korzyści społeczne, nie potrzebaby już innych argumentów dla uzasadnienia go. Praca na chleb, jako zasada ogólna, wydaje mi się zasadniczym pierwiastkiem w religji, a stąd warunkiem chrześcijańskiego życia. Jednakże czasem zbyt ciasno pojmujemy pracę na chleb i może w tej mierze Tołstoj błąd popełnił. Niekoniecznie może nią być praca wytwarzająca pożywienie. Może ona również na jakiejkolwiek innej drodze zaspokajać pierwsze potrzeby człowieka i to nietylko fizyczne, lecz i duchowe. Jedyną miarą jest to, czy praca jest osobistym wysiłkiem i czy dokonywa czegoś, co jest potrzebne i ważne dla dobrobytu i postępu ludzkości.

Pozostaje jeszcze tylko pytanie, czy sam pracownik nie będzie się cieszył czerstwiejszem zdrowiem, trzeźwiejszym umysłem, lepiej ugruntowanym poglądem na wartość życia i jego cele, gdy pewną część czasu choćby w młodości spędzać będzie w pracy fizycznej. U klas uprzywilejowanych sport pełni tu rolę zastępczą i nie-

wątpliwie niemało się przyczynił do utrzymania siły i rzeźwości młodych pokoleń. Nigdy on jednak nie zastąpi rzeczywistej pracy. Najpierw nasuwa się uwaga, że ten piękny atleta nieraz musi być utrzymywany kosztem osób wiele słabszych od niego, — może nawet starców, kobiet pracą steranych, dzieci nieletnich. Powtóre wpływy współzawodnictwa sportowego są niezbyt dodatnie. Sport rozwija się pod taką presją zewnętrzną, że tylko najsilniejsi z natury, ci, którym on jest najmniej potrzebny, osiągają powodzenie i to nie bez uszczerbku własnego. Znaczna większość tych, co najbardziej potrzebują ćwiczeń fizycznych, skazana jest ostatecznie na podrzędną rolę widzów, oklaskujących cudze triumfy. To też w myśl tego w wielu najstaranniej prowadzonych szkołach naszych gry sportowe wprowadzono obowiązkowo dla wszystkich chłopców, a skasowano wybory.

Z własnego doświadczenia przekonałem się, że ci piękni młodzi atleci, są jako ludzie dziwnie nieużyteczni i nieciekawi. Można powiedzieć, że niemal bez wyjątku, im więcej mają powodzenia jako atleci, tem bardziej są nieudani jako ludzie. Są oni jak koty, które swą zdumiewającą zręczność w polowaniu okupują długiemi okresami leniwej ospałości. O ile się nie ćwiczy, młody atleta jest najgnuśniejszem na świecie stworzeniem i tylko pod silnym naciskiem ruszy się do spełnienia dobrego uczynku. Pada ofiarą pewnej monomanji. Umie tylko myśleć o jednem, mówić, śnić wyłącznie o tej samej rzeczy. Rzetelny socjolog musiałby go zaliczyć do rzędu dotkniętych przejściową chorobą umysłu. Słowem, atleta skończony jest w towarzystwie nudziarzem nietylko dla ludzi starszych, lecz dla tej młodzieży jego wieku, która na szczęście nie zgodziła się na to, by jej piłka skórzana zasłoniła całą kulę ziemską.

Każda istota ludzka potrzebuje ćwiczeń fizycznych, a im jest zdrowsza i silniejsza, tem więcej znajduje w nich upodobania. Nie można się skarżyć na brak podatnego gruntu. Niejeden ruchliwy chłopiec wolałby najcięższą pracę wykonywać na otwartem powietrzu, niż zamykać się

w ścianach szkoły. Szkoda poprostu marnować tę cenną, bujną energję młodzieńczą, zamiast zatrudnić ją pracą domową, która niezależnie od swej konkretnej wartości, mogłaby wpoić młodzieży religję świadczenia usług i wyhodować młode pokolenie w pojęciach społecznego braterstwa. Gdy cofnę się myślą do własnych wspomnień, widzę, że było objawem bardzo źle skierowanej czułości rodzicielskiej, zwalnianie mnie od wszelkich obowiązków domowych i społecznych, pozwalanie, bym cały mój czas poświęcał nauce i pracy nad sobą. Tkwiące na dnie tego systemu przekonanie, że czas mój jest cenniejszy niż czas innych ludzi, tak głęboko zakorzeniło się w mej świadomości, że wątpię, czy uda mi się kiedykolwiek się go pozbyć. W moich latach szkolnych był to pogląd ogólnie rozpowszechniony i sądzę, że nie różniłem się pod tym względem od mych kolegów. Obecnie, wśród współczesnego pokolenia, ten spaczony pogląd wciąż jeszcze się utrzymuje, i hołduje mu przeważająca większość młodzieży, nie przez jakiś osobliwy egoizm, lecz przez brak zastanowienia, bezkrytycznie przyjmując zwyczaj, z którego korzyść ciągnie. Odpowiedzialność spada na nas, na ludzi dorosłych.

Najważniejszy argument na rzecz powszechnego obowiązku umiarkowanej pracy na chleb jest jednakże charakteru społecznego, nie indywidualnego. Tylko bowiem tą drogą można podołać całej pracy, której wymaga zaspokojenie potrzeb ogółu, a zarazem pracownikom pozostawić tyle czasu i sił, by mogli żyć umysłowem i duchowem życiem, które stanowi całą wartość i urok ludzkiego istnienia. W obecnym porządku rzeczy tylu ludzi pod różnemi formami usuwa się od wszelkiej pracy na chleb, że zbyt ciężkie jej brzemię spadać musi na istotnych pracowników, oraz na całą masę niezdolnych do pracy — dzieci, kalek, matek, starców. Gdyby można dowieść, że dwie godziny dziennie pracy wytwórczej, a choćby cztery godziny ze strony każdego dorosłego i zdrowego obywatela starczy na zaopatrzenie w żywność, odzież, mieszkanie, wszelkie sprzęty i narzędzia miljona mie-

szkańców naszego kraju, moralnem zagadnieniem nie byłoby zaprawdę, o ile ten dzienny wysiłek byłby zdrowy i miły dla naszej wykształconej inteligencji, lecz jak rozłożyć ten niezbędny wysiłek pracy produkcyjnej między tych, którzy są do niego zdolni. Nie ma żadnej racji, czemu ja miałbym zwalniać się od tego, co ciąży na wszystkich. Whitman formułuje to w ten sposób: „Boże, nie przyjmę niczego, coby nie stało się udziałem wszystkich na tych samych prawach".

Oczywistem niepodobieństwem jest zdjąć ze wszystkich ciężar pracy na chleb; może nawet jest to niepożądane. Żywność, odzież, mieszkanie, sprzęty — ciągle trzeba wytwarzać i ciągle odnawiać. W danych warunkach życia ziemskiego, przy danych właściwościach natury ludzkiej — uniknąć tego niepodobna. — Musimy pracować lub zginąć. Między istnieniem a zniszczeniem jest bardzo wąziutka granica i bardzo znikoma. Jeśli jednak owa nieodzowna praca na chleb wydaje nam się ciężka lub szkodliwa dla ciała i duszy, mamy znakomitą drogę wyjścia z tej trudności. Przez rozwój wynalazków, ścisłą współpracą — lepszą organizacją, można zredukować godziny pracy do takich minimalnych granic, że stanie się ona zdrową dla każdego. Żadne zagadnienie nie może silniej podniecać inteligencji, jak sprawa zredukowania lub zniesienia mozołu i znoju życia. Robotnicy sami tego zadania nie rozwiążą. Nie mają na to ani dość czasu, ani wykształcenia, ani dostatecznej świadomości. Mojem zdaniem prawdą jest, że nigdy klasa uciemiężona nie dokonała sama swego wyzwolenia. Dokonać tego może tylko praktyka wychowawcza.

Wciąż wzrastająca trudność znalezienia w Ameryce służby domowej znacznie się przyczyniła do zaprowadzenia prostszego i zdrowego trybu życia. Rozwinęliśmy z tego powodu więcej pomysłowości w budowaniu i urządzaniu naszych domów i mieszkań. Odrzuciliśmy sprzęty, w których się gromadzi kurz, zaprowadziliśmy podłogi gładkie, higjeniczne; bierzemy rozbrat z wyścielanemi meblami, mamy mieszkania puste, czyste, łatwe do sprzą-

tania, sypialnie łatwe do przewietrzania, kładziemy nacisk na łazienki. Wszędzie widzimy to samo zwalczanie przeładowania i zbytku w imię względów na zdrowie i oszczędności pracy. Takie same reformy zaprowadziliśmy w naszych kuchniach. Jadamy dziś mniej nietylko dlatego, że niestrawność stała się naszą krajową chorobą, a powagi medyczne propagują umiarkowanie w jedzeniu, lecz i dlatego, że nie mamy ochoty opłacać kosztów dawnych wybryków. W moich latach chłopięcych „trzy obfite posiłki dziennie“ były normą przyjętą. Obecnie w lepszych domach jada się tylko jeden obfity posiłek, obiad o 6-ej godzinie, a prócz tego dwa lżejsze, łatwe do przygotowania: śniadanie i drugie śniadanie, a coraz więcej osób obywa się zupełnie bez śniadania lub poprzestaje tylko na kawie i bułkach. Zaznaczyć można także, że znaczną część pożywienia jada się w tej formie, w jakiej się ją kupuje: świeże owoce, sałaty, surowe rośliny zbożowe i rozmaite dziwne potrawy gotowe lub niewymagające większego zachodu, niż rozgrzanie na domowej maszynce.

W kwestji odzieży mniej zmian zaprowadzono, ale i tu postęp pewien jest widoczny. Ubrania męskie są bardzo proste a i kobiety dążą w tym samym kierunku. Kostjumy krawieckiego kroju, choć pierwotnie dość kosztowne, dały początek różnym modnym fasonom prostym i tanim. Słowem, wraz z rozwojem inteligencji i *naciskiem konieczności* zaprowadziliśmy różne racjonalne reformy w naszym trybie życia.

Wszelkie dane przemawiają za tem, że te same siły zastosowane do pracy zarobkowej sprowadzą ją do tak małych rozmiarów, że każdy dorosły człowiek w pełni sił będzie mógł wykonać swoją dzienną lub sezonową robotę, a ta mu nie przeszkodzi pozostać nietylko człowiekiem silnym i zdrowym, lecz uczonym, głęboko religijnym, szczerym artystą. Dopiero gdy wszyscy będą pracowali i współdziałali dla społecznego dobra, będzie można pracę na chleb ograniczyć do zdrowego, codziennego ćwiczenia fizycznego; dopiero gdy inteligentne, dobrze wyćwiczone

osoby zaczną pracować, praca ta będzie racjonalna i skuteczna.

Dawniej ideałem życia było pracować produktywnie, o ile trzeba, lecz ile możności nie pracować wcale. Pozostało to i dziś jeszcze ideałem dla mnóstwa ludzi. Ideał ten jednak nie wytrzymuje krytyki i nie da się pogodzić z religją czynną. W oczach bardzo wielu osób uświadomionych społecznie jest on zupełnie podobny do zwykłej kradzieży. Zależy to oczywiście od ścisłego zdefinjowania, czem jest kradzież, czy jakiegoś człowieka nazwiemy uczciwym czy nieuczciwym. Bardzo wielu takich, którzy dwadzieścia lub trzydzieści lat temu uchodzili za zacnych ludzi, obecnie, oceniani miarą nowych wyobrażeń, zaliczają się do ludzi nieuczciwych. Nie oni się zmienili, lecz nasz kodeks moralny stał się bardziej ścisły. Kwestja to ważna dla każdego, lecz przedewszystkiem dla rodziców i wychowawców, którzy muszą mieć dokładne sprawdziany, aby nie mieszać baranków z kozłami. Mamy zupełnie ścisłe definicje kradzieży: kraść, to znaczy brać to, co nie do nas należy, brać—darmo, nic wzamian nie dając. To jednak jeszcze nie wszystko. Obok tej grubej, pierwotnej formy przywłaszczania sobie cudzej rzeczy na własny użytek, istnieją także nowoczesne, delikatne postacie złodziejstwa, mające tak przyzwoite i godziwe pozory, że samego złodzieja w błąd wprowadzić mogą. Oto mamy giełdy prowadzone w biały dzień, jawnie, a stanowiące złodziejski warsztat. Gdyż takiej giełdzie człowiek sprzedaje to, co ma istotną wartość, lecz o wiele więcej zyskuje, słowem, otrzymuje w zysku coś za nic, to zaś jest kradzieżą z punktu widzenia wyznawcy religji powszechnej, jest bowiem przeciwieństwem braterskiego świadczenia usług, które ludzi we wzajemnych stosunkach obowiązuje.

Można całe to zagadnienie przedstawić dobitnie w dwóch małych równaniach, które zrozumie każdy nie będący matematykiem. Powiedzmy, że O. reprezentuje to, co otrzymujemy, zaś D. to, co dajemy.

Kradzież dawnego stylu: O.—o. = łupem jest wszystko, co wziąłem.

Kradzież nowego stylu: O.—D. = łupem jest różnica między tem, co dałem, a tem, co wziąłem.

Można śmiało powiedzieć, że kradzież nowego stylu cieszy się znacznie większemi udogodnieniami, gdyż można ją popełniać w jasnem świetle dziennem, nie narażając się na żadne prawne i społeczne następstwa. W dodatku jeszcze zdobycz może być niesłychanie wielka, może osiągnąć rozmiary plantacji, lasu, linji kolejowej, nawet księstwa i stać się źródłem wielkich dostojeństw, poważania i wpływów. Okoliczność, że łup nie z jednej idzie kieszeni, lecz z wielu, czasem wydarty całemu społeczeństwu—nie zmienia bynajmniej samego charakteru tranzakcji. Jeśli moralną charakterystyką kradzieży jest, że bierze się coś, nic nie dając wzamian, to ta definicja stosuje się do każdego rodzaju zysku. Każdy zyskowny handel, w którym człowiek otrzymuje więcej, niż daje, jest z moralnego stanowiska kradzieżą. Takich operacyj dokonywa się mnóstwo. Nieraz dokonywają ich osoby bardzo świątobliwe, które szczerze wierzą, że są bez zarzutu i którym ani na chwilę nie przyjdzie do głowy, że ich zysk ktoś wytworzył, jakiś mężczyzna, kobieta—dziecko może, że jest on dziełem siły roboczej, której nikt nie ma prawa sobie przywłaszczać. W ostatecznej analizie zysk jest przywłaszczoną siłą roboczą a jest źródłem utrzymania dla wszystkich niemal dobrze ubranych, przyzwoitych osób.

Większość amerykańskich przedsiębiorców uważa się za chrześcijan. Toż samo mówili o sobie właściciele niewolników. Między przedsiębiorcami a właścicielami niewolników jest wiele podobieństwa. Jedni i drudzy przywłaszczają sobie cudzą siłę roboczą, jedni i drudzy nie poczuwają się przytem do żadnej winy. „Nie myślą o grzechu, gdy zysk im go zasłoni“. Przywłaszczają sobie siłę roboczą dla tego samego powodu: tym sposobem najłatwiej jest zbierać najobfitszy plon. Nigdy pożyteczną i ważną pracą, t. j. nigdy pracą na chleb nie dorobi się człowiek majątku, gdyż dzień nie trwa tak długo i siły ludzkie są ograniczone. By zostać bogatym,

człowiek *musi* sobie przywłaszczyć cudzą siłę roboczą i to niejednokrotnie. Musi ją brać od wielu robotników, a dawać im wzamian mniej, niż im zabiera. Są na to rozmaite sposoby, i niekiedy przedsiębiorca musi pracować bardzo ciężko, ciężej może niż niejeden z jego robotników, jednakże ta jego pracowitość, nie stanowiąca zasługi, nie powinna nam zamykać oczu na to, co on czyni. Sprawa jaśniejszą się staje, gdy zwrócimy uwagę na tych spekulantów, którzy wzięli zupełny rozbrat z jakimkolwiek rodzajem pracy, a którzy dzięki pobieranej rencie, procentom, dywidendom gromadzić mogą plony cudzego mozołu.

Osobliwą jest rzeczą, że te same osoby dobrze wychowane, które otrząsają się na samą myśl o kradzieży cudzej własności i brzydzą się złodziejstwem, bez najmniejszych skrupułów kradną to, co jest źródłem wszelkiego bogactwa, cudzą siłę roboczą, i całkiem szczerze podają w wątpliwość zdrowe zmysły człowieka, który im tłumaczy, że i to jest kradzieżą. A przecież równie naganną jest rzeczą przywłaszczać sobie cudzą siłę roboczą, jak przywłaszczać sobie jej wytwór; nie co innego jednak czynią ci, którzy ciągną zyski. Aby oni ten zysk osiągnąć mogli, ktoś musiał pracować ciężej, może jakiś starzec, zmęczona kobieta, wątłe dziecko, i bezpłatnie ten trud swój oddał za nic, co w interesie nazywa się zyskiem, a co moralność kradzieżą nazywa. Zysk z ziemi, to renta; zysk z pieniędzy — jest procentem; bezpośredni zysk z siły roboczej nazywa się dywidendą, wszystkie jednak można sprowadzić do jednego—są one przywłaszczoną siłą roboczą.

Wielkie zło naszego obecnego ustroju gospodarczego nie w złej woli, lecz w niewiadomości bierze początek, tylko więc uświadomienie i nauka mogą je usunąć. Jak już mówiłem, zabierając się do wielkiego dzieła wychowania, musimy je zaczynać od siebie. Łatwo jest brać coś za nic. I nauczyciel może się tego dopuścić, gdy za mało pracuje, za wielką otrzymuje zapłatę, lub robi rzeczy niepotrzebne i bez znaczenia. Może to czynić pod

rozmaitemi pozorami. Winien on sam sobie postawić to pytanie, które zadałby każdemu innemu. Czy praca jego jest pożyteczna i ważna, czy też może on tylko zabija czas przy rzekomej pracy lub na usługach jakiegoś przestarzałego przesądu? Czy uczy czegoś, co ma wartość istotną, i czy uczy dobrze? Takież samo pytanie zadać sobie powinni i rodzice w stosunku do własnego powołania, czy zawód ich jest pożyteczny i ważny, czy jest rzetelną służbą publiczną, czy też jest pospolitym wybiegiem, służącym do tego, by z dóbr wytwarzanych codziennie zaczerpnąć jak najpełniejszą garść osobistego zysku? Ten rachunek ze samym sobą niezawsze jest wygodny i przyjemny, lecz jest bardzo ważny i niezbędny dla każdego, kto się wychowaniem zajmuje.

Z dziećmi o kwestjach ściśle ekonomicznych rozmawiać nie można i nie potrzeba. Nie można jednak pomijać już tych prostych zjawisk ekonomicznych, które wciąż w codziennem życiu spotykamy, których pełno jest w literaturze i historji. Nie mamy wyboru między światem ekonomicznym i pozbawionym ekonomicznej strony, tak jak nie służył nam wybór między światem bez dogmatu a przyjętemi dogmatami. Dziecko rodzi się w świecie skomplikowanych zagadnień gospodarczych tak samo, jak w świecie wyznającym różne dogmaty. Bieżąca, codzienna moralność w znacznej mierze wiąże się ze zjawiskami gospodarczemi, z naszym sposobem zapewniania sobie codziennego dobrobytu. Wielkie dziejowe prądy toczyły się pod naciskiem ekonomicznych potrzeb. Ludy wędrowały z krajów ubogich w środki istnienia do krajów obfitości. Najczęstszem źródłem zatargów i wojen był podział skarbów i plonów ziemi. Przywileje, niezasłużone prawo do plonów, były zawsze kwestjonowane przez tych, którzy istotnie te plony wyprodukowali.

Nie można pomijać milczeniem zagadnień ekonomicznych, a przemilczanie ich bynajmniej pożądane nie jest. Ciekawość dziecięca nie cofa się przed niemi. Dzieci chcą wiedzieć, czem się żywi ich bohater, w co się ubiera, gdzie sypia. Jeżeli umysł jego zajmują wielkie czyny,

prowadzenie wojen, budowanie pałaców, zakładanie parków, zdobywanie księżniczek, triumfy na turniejach rycerskich — mały czytelnik bynajmniej nie traci z oczu tego, co jest sprężyną wypadków. W każdej zajmującej bajce bohater wyrusza w świat z niekłamanym zamiarem zdobycia fortuny. Rodzice i nauczyciele nie potrzebują wcale sztucznie naciągać rozmowy z dziećmi, by je skierować do zagadnień ekonomicznych. Mogliby niewątpliwie zupełnie je pomijać i od nich uwagę odwracać, pozostawiając w ich umysłach zamęt wyobrażeń błędnych i średniowiecznych; czyniąc to jednak, zaniedbują wychowanie dzieci w zakresie pojęć, stanowiących podstawę moralności indywidualnej i społecznej. Sprawę materjalnego bytu może każdy wychowawca rozwiązać we własnem osobistem życiu, a w stosunku z dziećmi styka się z nią na każdym kroku tam nawet, gdzie najmniej się tego spodziewa.

Chleb powszedni trzeba zdobywać za cenę codziennej pracy, a mojem osobistem coraz silniejszem przekonaniem jest, że każdy mężczyzna i każda kobieta, o ile są fizycznie zdolni do pracy, muszą się jej oddawać, jeśli chcą żyć moralnie i zdrowo i jeśli cywilizacja nasza ma się utrzymać. Praca fizyczna jest znacznie lepsza, niż sport i gimnastyka. Podnosi ją to, że ma ona cel określony, a można ją uczynić miłą i produkcyjną zarazem. Nic nie usprawiedliwia poniżającego mozołu naszego współczesnego życia. Razi on i smak i sumienie zarazem. Praca niezbędna — ta, która jest ważna i nieodzowna, — nigdy nie jest poniżająca, nigdy też nie potrzebuje się zamienić w ciężki mozół, jeśli wykonywają ją towarzysze zgodni, życzliwem koleżeństwem połączeni. Gdy człowiek przestanie sobie przywłaszczać cudzą pracę, powróci śpiew przy pracy. Trzeba nam ludzi „śpiewnych", takich, którzyby umieli opiewać urok pracy tak samo, jak urok zabawy. Udziałem pracującego nie może być nadmiar pracy a brak rozrywki, nędzne życie i przytępiony umysł, lecz ścisły równoważnik jego pracy i możność prowadzenia życia doskonałego.

Obecnie dzieci zamożnych domów wyrastają w przekonaniu, że powinny sobie obrać jakiś zawód lub jakieś przedsiębiorstwo, które ich jak najlepiej wyzwoli od ciężaru pracy na chleb i za jak najmniejszy trud wynagrodzi jak najobfitszym dochodem. Dzieci klasy średniej przejęte są myślą,. że celem ostatecznym wszelkiej edukacji jest, by się materjalnie ustalić i zabezpieczyć w życiu. Dzieci biedne rosną i żyją wśród ubiegających się o robotę jakąkolwiek—pożyteczną i godziwą lub nie, zdrową czy niezdrową, byleby była płatna regularnie i sowicie. Obecnie, jako panaceum na niedomagania życia gospodarczego, zaleca się wykształcenie zawodowe i rzeczywiście niema nic lepszego, byle je zaczynać we właściwej porze. Wychowanie nie może być uważane za skończone i pełne, póki nie jest uzupełnione wychowaniem zawodowem. Jest ono jednakże środkiem, nie zaś celem, a poprzedzić je musi dokładne i krytyczne rozważenie wszystkich zawodów, ze szczególnem uwzględnieniem pożytecznych i ważnych a uchyleniem tych, które są szkodliwe lub pasożytnicze. Rodzice i wychowawcy, chcąc dobrze pokierować ważną sprawą wychowania zawodowego, muszą ją rozpatrywać w świetle celów przyświecających życiu człowieka, a w wyborze uwzględniać nietylko gospodarcze, lecz i społeczne wartości.

W ciągu całego dzieciństwa i młodości należy zaszczepiać i rozwijać w dzieciach zdrowe poglądy społeczne w kwestji dobrobytu, jednakże wtedy tylko rodzice i nauczyciele mogą się należycie wywiązać z tego zadania, jeśli sami takim zdrowym ideom społecznym hołdują. Muszą przestudjować kwestję rolną, najbardziej zasadniczą ze wszystkich, kwestję pieniędzy — a potem ściśle zważyć godziwość każdego rodzaju zysku. Dobrze zrobią, jeśli zaczną od jakiegoś prawowiernego podręcznika, a potem przejdą do radykalniejszych pisarzy, takich jak Tołstoj, Ruskin, Henry George, H. G. Wells oraz autorowie z pośród Fabjanistów (Fabian Society). Znajdą tam bardzo wiele wniosków nieustalonych i niepotwierdzonych; nauka ekonomji jest wogóle bardzo zawiła i sporna,

ale tymczasem dzieci już są, i potrzeba je kształcić, a my, którzy tem wykształceniem kierujemy, musimy czynić co w naszej mocy, by sobie wyjaśnić pogląd na te zasadniczej wagi zagadnienia. Pomyślny rozwój ciała jest jednem z naszych ważnych zadań wychowawczych, a my, nauczyciele, zbyt mało zastanawiamy się nad tem, że ten pomyślny rozwój zależy nietylko od higjeny, gimnastyki, ćwiczeń ręcznych — i tego wszystkiego, co obejmujemy mianem wychowania fizycznego, lecz w równej lub wyższej mierze od warunków ekonomicznych w danem społeczeństwie, od naszych poglądów na renty, procenty i dywidendy. Stanowisko, jakie zajmiemy wobec całej kwestji zysków, będzie miało niemały wpływ na fizyczny a przez to i duchowy rozwój—miljonów dzieci. Jako ludzie praktyczni, nie możemy liczyć na zbyt nagłe i natychmiastowe zmiany w świecie przemysłowym. Bardzo powoli przeobrażają się tendencje, zysk przynoszące. Pragniemy jedynie tego, by opinja ogółu coraz jaśniej orjentowała się w tych sprawach, i aby nowe podrastające pokolenia, nasi spadkobiercy i zastępcy, udoskonalili ustrój gospodarczy w znacznie wyższej mierze, niż to się za naszego życia dokonać może. To może nastąpić jedynie w takim razie, jeśli wszyscy ci, co urabiają opinję publiczną: rodzice, nauczyciele, duchowni, pisarze, dziennikarze, publicyści, mężowie stanu, politycy—gruntownie i otwarcie traktować będą te sprawy, a młodzieży od wczesnego dzieciństwa wpajać będziemy rozumne pojęcia o podstawach gospodarczych społeczeństwa. W naturze człowieka leży, że każdy pożąda lwiej części wszelkiego dobra, lecz nie zgadza się z rzeczywistością mniemanie, że ludzka natura się nie zmienia, gdyż wciąż naokoło siebie dostrzegamy jej zmiany, a nigdy one nie były tak gruntowne jak w obecnym czasie. Niezmiennem jest tylko pragnienie osobistej pomyślności i dobrobytu, i to wielkie szczęście, gdyż ono to stanowi sprężynę wszelkiego postępu. Przeobrazić i zreformować pragniemy jedynie ideał pomyślności i dobrobytu, objąć nim wszystkich a zakładać go przedewszystkiem na osobistej wartości i wyróżnieniu. Zwłaszcza w obecnych cza-

sach uzasadnione jest takie usiłowanie. Ze wszystkich stron podnoszą się głosy ludzi wytrwałych a praktycznych, którzy występują przeciw teorji lwiej części. Coraz szerzej rozpowszechnia się mniemanie, że równomierny podział w lepiej urządzonym świecie więcej szczęścia przyniósłby ogółowi i każdej jednostce, niż lwia część w świecie chaotycznym.

Gdy nasze własne poglądy ekonomiczne są już ustalone i na zdrowej podstawie ugruntowane, możemy przy każdej sposobności udzielać dzieciom pożytecznych nauk czy to na lekcjach historji, geografji, arytmetyki, czy też przy czytaniu oraz wszelkich okolicznościach codziennego biegu życia. Może najważniejszą z prawd, jakie im wpoimy, będzie ta, że nikt nie może zostać człowiekiem dobrze wychowanym, jeśli nie ma jasnych, zdrowych pojęć — a także i zdrowych nawyknień — w zakresie stosunków gospodarczych.

V.

CIAŁO.

Gdybyśmy się trzymali metod, wskazywanych przez ludzi rzekomo praktycznych, unikalibyśmy wszelkiej teorji, jednakże czyniąc tak, bynajmniej nie postępowalibyśmy praktycznie. Żyjemy w świecie przesyconym teoretycznemi kombinacjami wszelkiego rodzaju. Widzieliśmy to samo w zakresie religji i ekonomji. Niema wyboru między światem bez dogmatu a wyznającym dogmaty, ani wyboru między światem wolnym od ekonomicznych zagadnień a takim, jakim jest. Można było tylko czynić wybór między dogmatami i między ekonomicznemi kombinacjami. Toż samo stosuje się i do ciała ludzkiego i jego roli w wychowaniu. Można rozmyślnie unikać tak spornego zagadnienia, jak stosunek między duszą i ciałem, ale życie codzienne każdego z nas świadomie czy nieświadomie stosuje się do pewnego domniemania w tej kwestji. Używamy w mowie potocznej wyrażenia „dusza rozstaje

się z ciałem", co oznacza śmierć, to znaczy, że łączność duszy z ciałem jest istotą życia. Za moich dziecinnych lat rozpowszechniony był następujący kalambur. „What is mind?" (czem jest dusza?) „No matter" („nie materja", dosłownie; w mowie potocznej znaczy „nic takiego"), „What is matter?" (Co to jest materja?; w potocznym języku oznacza również „o co chodzi"?), „Never mind" („nigdy dusza" — ale właściwie znaczy „mniejsza o to"). Ten żart malował pojęcia, panujące w owym czasie, i to nietylko w ostatnich dziesięcioleciach 19-go wieku, lecz w ciągu kilku poprzednich wieków. Sądzono powszechnie, że ciało i dusza są to niezależne wzajemnie całości, dla niezbadanych przyczyn przykute do siebie na całe życie, a dopiero w chwili śmierci następuje ich rozłączenie. Panowało również przekonanie, podtrzymywane głównie przez duchowieństwo, że to współżycie bynajmniej nie było harmonijne i pożyteczne. Ciało walczyło z duchem. Ujarzmienie ciała, umartwianie go — oto było dążenie ludzi duchowo udoskonalonych.

Życiorysy świętych roztaczają żałosny obraz osobistego brudu, niezdrowych praktyk, udręczeń fizycznych, biczowania, katuszy zadawanych sobie samemu, ubiegania się o chorobę, pożądania cierpień. W tym charakterze rozumiane chrześcijaństwo staje się pewną odrębną postacią pesymizmu. Wychodzi ono z założenia, że świat doczesny jest nawskroś zły. Wszystko, co tchnie doskonałością i szczęściem, należy do innego, lepszego świata. Ciało oczywiście należy do doczesnego świata, jest ziemską powłoką, którą zrzucamy z siebie radośnie, gdy śmierć otwiera nam wrota do szczęśliwego istnienia. Stąd stałym artykułem wiary i nakazem moralności staje się pogarda ciała i jego przyrodzonych żądz i skłonności. W wielu religijnych zakonach różnych części świata stale utrzymuje się ten pogląd, jako część składowa wiary obowiązującej. Mniej ściśle sformułowany spotykać się on daje i u poszczególnych ludzi, — cierpienie lepsze niż rozkosz, celibat lepszy niż ojcostwo i macierzyństwo, głód niż sytość, choroba niż zdrowie, wychudzenie niż tężyzna,

śmierć lepsza niż życie. Rzadko bardzo bywa to wypowiadane w tak kategoryczny i dobitny sposób, lecz pod rozmaitą postacią, mniej lub więcej maskowaną, nieraz zupełnie niespodziewanie zjawia się ten pogląd, który zresztą tkwi na dnie wielu staroświeckich praktyk wychowawczych. W chwilach głębokiego rozgoryczenia nieraz duch ludzki szukał ujścia w różnych odcieniach dobrowolnej martyrologji. W każdej niemal rodzinie, w każdem kółku towarzyskiem kryje się jakaś biedna dusza, która lubi być ofiarą losu. Można niemal powiedzieć, że w każdym z nas tkwi potencjalnie ewentualny męczennik, który wtedy, gdy zwycięstwo okazuje się zbyt drogie i zbyt wielkiego wymaga wysiłku, szuka chluby we własnej klęsce.

Ta doktryna o nieustającej walce duszy z ciałem cieszyła się osobliwem powodzeniem, jednakże zawsze również budziła opozycję ludzi niepozbawionych zdrowego sądu — nietylko historyków-amatorów, lecz również i najtęższych myślicieli i filozofów. Reakcja przeciw ascetyzmowi, i tkwiącej na jego dnie dogmatycznej wierze w zasadniczy antagonizm między duszą a ciałem, znalazła swój krańcowy wyraz w materjaliźmie naukowym, który był nieprzemyślanym i zbyt pośpiesznym wytworem prądów umysłowych połowy 19-go stulecia. Pchnięto wahadło gwałtownie na stronę przeciwną. Dusza i ciało nietylko nie miały być w walce, lecz stawały się nawet nierozdzielne. Ciało było wszystkiem, było jedyną sprawdzalną rzeczywistością, dusza — to była tylko nazwa, określająca wyższe funkcje ciała. Najdobitniejszym wyrazem kierunku ówczesnego była słynna sentencja: „Myśl jest wydzieliną mózgu, tak jak żółć jest wydzieliną wątroby.“

Tak krańcowe stanowisko musiało nieuchronnie wywołać nową reakcję. W obecnych czasach wahadło przechyliło się na stronę przeciwną i zachodzi niebezpieczeństwo, że również pójdzie za daleko, wpadając w spirytyzm. Już za mojej pamięci dokonał się zupełny zwrot kierunku myślenia. Materjalizm nie wyjaśnia niczego; zwracamy się do badania tajemnic ducha.

Empirycznie stwierdzamy stałą równoległość między duchem a ciałem. Mamy bardzo osobliwe, lecz niemniej i przekonywające wskazówki, które zdają się stwierdzać, że w życiu ludzkiem duch jest siłą działającą, a ciało stanowi jej piękne i skomplikowane narzędzie. W tej dziedzinie wiedza pozytywna bardzo powoli postępuje i żaden dogmat nie może sięgać poza prawdopodobieństwo. W wychowaniu jesteśmy obowiązani—mojem zdaniem—trzymać się wiary w ścisłą równoległość między duchem a ciałem i dążyć do utrzymania jednego i drugiego w zdrowym stanie. Poza uznaniem tego ścisłego związku i paralelizmu jest pole dla indywidualnych przekonań, o których prawdopodobnie temperament rozstrzyga. W duchu zachodniego świata leży przekonanie, że ciało ma duszę; w świecie wschodnim przeważa pogląd, że duch ma ciało. Różnica tkwi w akcentowaniu jednej lub drugiej strony.

Co do mnie wolę pogląd Wschodni, gdyż on ma dla mnie wyższy stopień prawdopodobieństwa. Będę się zatem trzymał na stanowisku, że dusza jest siłą poruszającą, kierownikiem, ciało narzędziem wykonawczem. Przyjmuję to twierdzenie nie dlatego, by ono dało się dowieść jako fakt doświadczalny, lecz że z pomiędzy dwóch alternatyw ta lepiej się zgadza z doświadczeniami życiowemi. W każdej dziedzinie działalności ludzkiej przedewszystkiem duch wchodzi w rachubę. Przyjmuję to tylko z pragmatycznych względów, gdyż uznanie kierowniczej roli duszy daje najlepsze widoki. Stojąc otwarcie na tem stanowisku, nie potrzeba jednak zamykać oczu na niezliczone oddziaływania wzajemne między duchem a ciałem, lub zapominać o tem, że, krzepiąc ciało, i duchowi oddaje się usługę.

Te głębokie zagadnienia nie mogą być rozstrzygane prostem obliczeniem głosów za i przeciw, warto jednak zaznaczyć, że współczesna myśl filozoficzna, po czysto przyrodniczym, materjalistycznym kierunku i silnej przeciw niemu reakcji, skłania się obecnie do uznania przewagi ducha, niezaprzeczalnej rzeczywistości wewnętrznego życia, intuicji i bezpośredniego trwałego poznania. Nie

przeczy to bynajmniej powadze nauki, lecz wskazuje tylko jej granice, stwierdza, że jest ona statystyczna, względna, utylitarystyczna, podczas gdy światło wewnętrzne, którem każdy człowiek winien się kierować w życiu, jest dynamiczne, absolutne i bezinteresowne. Z pewnemi zastrzeżeniami można powiedzieć, że nasz wiek 20-ty zaczyna się odrodzeniem duchowem, z którem każdy myśliciel musi się liczyć.

Z jakiegokolwiek będziemy patrzeć stanowiska, wychowanie musi poważnie zająć się ciałem. Dla materjalisty jest ono źródłem, z którego bierze początek całe społeczne i intelektualne życie; dla nas jest ono cudownem i pięknem narzędziem, którem posługuje się duch dla osiągnięcia swych ludzkich celów.

Gdy chodzi o praktykę wychowawczą, niebezpieczeństwo materjalistycznego poglądu leży w tem, że poczytuje się zdrowie i tężyznę fizyczną jako cel sam w sobie, rozwijając muskuły i podniecając apetyt w nadziei, że pośrednim wynikiem będzie rozkwit umysłu, piękny, lecz drugorzędny plon trudu, jak kwiecie na owocowych drzewach. Prawdziwe wychowanie w rozwoju ciała nie ma na celu muskułów i tuszy, lecz takie subtelne wykształcenie fizycznego ustroju, by on jak najwierniej służył duchowi do spełniania jego nakazów. Nie prowadzi do celu rozwijanie organizmu z wyłącznem uwzględnieniem jego strony zwierzęcej i fizycznego zdrowia, a następnie dopiero zaszczepienie cech duchowych na tej podstawie. Trzeba przyznać, że udaje się niekiedy—istnieją także samorzutne nawrócenia — lecz znacznie częściej ta kalkulacja chybia zupełnie. Nie jest polecenia godne i odwrotne postępowanie: wyłączne kształcenie i rozwijanie ducha w nadziei, że jakiś późniejszy wysiłek pozwoli mu zdobyć odpowiednie narzędzie do spełniania jego celów. Oba procesy rozwojowe muszą się odbywać *pari passu*. Ścisła równoległość ducha i ciała, którą przyjęliśmy w teorji, musi być uwzględniana i w praktyce wychowawczej.

Ponieważ ciało, jako narzędzie wykonawcze dla subtelnych i pięknych zadań ducha, powinno być pielęgnowane i ćwiczone z najwyższą troskliwością, wychowanie musi otwarcie zająć się nagiem ciałem. Myślę tu o rzeczywiście poważnem wychowaniu, nie zaś o powierzchownej, dyletanckiej fuszerce, która buduje w powietrzu, nie na trwałej podstawie i staje zmieszana i zakłopotana wobec nagiego ciała. Żaden rzemieślnik, jakiejkolwiek gałęzi naszego przemysłu, nie spróbuje wyrabiać sobie narzędzia w ten sposób, by najpierw zakrył swój materjał i przez szczególną dyskrecję nie troszczył się o poznanie jego właściwości. Tak jednak postępują nazbyt często rodzice i nauczyciele, gdy chodzi o ciała dzieci. Zapominają oni — zdaje się — że ciało ludzkie jest organizmem, które narówni ze wszystkiemi roślinnemi i zwierzęcemi ustrojami przebywa pięciostopniowy cykl organicznego rozwoju, — urodzenie, karmienie, wzrost, rozmnażanie i śmierć. Oto zasadnicze fakty życia cielesnego, a stąd i zasadnicze pierwiastki w sprawie wychowania. Jeśli my, wychowawcy, przez nieświadomość lub fałszywą delikatność odwracamy oczy od tych zasadniczych pierwiastków, a skupiamy uwagę na rzeczach powierzchownych i bagatelnych — popełniamy oczywistą niedorzeczność. Jeśli mamy wyhodować rasę ludzi silnych i zdolnych, musimy mieć na oku ten niezmienny cykl organicznego życia: tajemniczą zagadkę narodzin, praktyczne zadanie odżywiania, statystyczną kwestję wzrostu, zagadnienie gatunku — rozmnażanie, doniosły i poważny problem śmierci.

Jeśli wychowanie ma na celu organiczną doskonałość, musi otoczyć staraniem nagie ciało. Dziś czynimy to z małemi dziećmi. Troskliwi rodzice pielęgnują ciałko swego dzieciątka, rozkoszują się jego czystością i wdziękiem. Badają i starannie dobierają pożywienie. Jeśli mają jakie wątpliwości, zasięgają rady doktora. Co miesiąc ważą śliczne pulchne ciałko, zapisują jego ciężar i porównywają z tablicami normalnego wzrostu. Taki kult dzieciństwa i jego uroków panuje w tysiącznych ogniskach domowych. Każdego wzruszać musi widok młodej pary rodziców, to-

nących w zachwycie nad cudnym urokiem pierwszego dziecka. Można to nazwać szaleństwem, lecz jest to błogosławiony szał. Młodzi ludzie, którzy dotąd może pogrążeni w samolubstwie, lekkomyślni, ubiegali się za pustemi uciechami, obecnie porzucają ulubione przedtem rozrywki, by pełnić służbę w małej, białej świątyni, której ołtarzem jest kołyska i wanienka, a bóstwem drobna dziecina. Obecnie mam możność przyglądać się młodej matce karmiącej sześciomiesięcznego synka i zapowiadającej, że go jeszcze 3 miesiące karmić będzie, gdyż chce dać światu silnego, zdrowego mężczyznę.

W miarę jak dzieci wyrastają, już nie potrzebują tak drobiazgowej pieczołowitości, lecz potrzeba im pieczy równie troskliwej. Zwykle już jej nie otrzymują. Może nowość już się opatrzyła, rodzice powracają do dawnych prac i rozrywek, przybywają drugie dzieci i zkolei pochłaniają ich uwagę. Starsze dzieci zostają wyparte z poprzedniego stanowiska. Jednakże i ich potrzeby — choć nie tak naglące — są przecież równie ważne. Rodzice powinni i nadal oglądać nagie ciało swych dzieci, by stwierdzić, czy są należycie odżywiane, czy ich muskuły i nerwy są w należytym stanie, czy oczy, uszy, ręka, głos rozwijają się i ćwiczą odpowiednio, czy wzrost ich normalnie postępuje. Chodzi nietylko oto, by ich ciało było dokładnie oglądane z tygodnia na tydzień, lecz ono samo potrzebuje bezpośredniego zetknięcia z powietrzem i słońcem. Każdy rosnący organizm potrzebuje tego kontaktu, a dzieci niemniej niż rośliny i zwierzęta. W letniej porze—a w wielu okolicach Stanów Zjednoczonych znaczy to tyle co połowa roku—byłoby najlepiej gdyby mali chłopcy obywali się bez ubrania lub prawie bez ubrania. Nawet dla starszych chłopców para majtek kąpielowych czy wyścigowych byłaby zupełnie wystarczającą odzieżą. W moim własnym obozie letnim w New Hampshire zastosowaliśmy tę prostą modę. Po kilku dniach nie rażą już nikogo gołe piersi, ramiona i łydki. Ubraniem ich staje się po pewnym czasie zdrowa skóra. Ten kostjum przyjmuje się jako tak naturalny i przyzwoity, że choć jest nowością,

nosi się go z prostotą nieświadomą. Wraz z tem wystawianiem ciała na słońce i powietrze idą w parze i inne proste obyczaje: proste pożywienie, zimna kąpiel na świeżem powietrzu, żywy ruch, długie godziny snu na świeżem powietrzu, myśl podniosła i koleżeńskie braterstwo. W praktyce każdy prosty obyczaj ułatwia zastosowanie innych prostych obyczajów. Wzmacniający wpływ tego trybu życia jest wręcz uderzający. Drobne chłopięta, uchodzące zawsze za cherlaków, stają się czerstwe i silne.

Narówni z dobrem zdrowiem cenię męskość ducha i czystość moralną. Jako wychowawcy praktyczni, musimy baczne starania poświęcić ciału, gdyż ono jest zbyt ważnym czynnikiem, by je lekceważyć można. Pierwszym krokiem do zdrowej męskości jest nauczyć chłopców, by się nie wstydzili gołego ciała, by wstydzili się raczej słabości, niedorozwoju, choroby, brudu wszelkiego, lecz szczycili się siłą i pięknością czystego, dobrze rozwiniętego ciała. Dzieci z natury nie wstydzą się swego ciała, gdyż nie mają powodu się go wstydzić. Dopiero my, dorośli, zaszczepiamy im uczucie wstydu.

Rodzice i nauczyciele źle wychowują chłopców, jeśli nie chronią ich czystości — czystości świadomej nie zaś nieświadomej. Brak czystości jest bardzo pospolitem złem wśród chłopców i każdy wychowawca miał z tem do czynienia. Wedle ogólnego mniemania sprawa ta gorzej wygląda w internatach niż w domu. Wszyscy kierownicy szkół w Europie i Ameryce przyznali mi, że jest to bardzo poważne zagadnienie, z którem zresztą spotkałem się i sam w moim obozie wakacyjnym. Niepodobna sprawdzić, jak się ta sprawa przedstawia procentowo, lecz moje spostrzeżenia prowadzą mnie do wniosku, że samogwałt jest bardziej rozpowszechniony u chłopców wychowywanych pojedyńczo w domu, niż w zbiorowem wychowaniu w internatach. W tych wypadkach, z któremi ja się spotkałem, nałóg powstał i zakorzenił się w ukryciu i odosobnieniu, a wyszedł najaw w życiu gromadnem. Usunęła go częścią opinja koleżeńska, częścią zaś osobisty wpływ światłego i energicznego nauczyciela. Oczy-

wiście, światły i sumienny ojciec nie może takiego nałogu tolerować. Dawniej byłem przekonany, że sprawa życia płciowego jest zbyt drażliwa, by mógł ją omawiać nauczyciel z dorastającymi chłopcami, i że ją powinien całkowicie rodzicom pozostawić. I dziś jeszcze uznaję, że jest to właściwem zadaniem ojca objaśnić synowi kwestję płci, jak zadaniem matki jest objaśnić ją córce. Z reguły jednak ojcowie unikają spełnienia tego obowiązku i wyznają otwarcie, że nie mogą się odważyć na poruszanie tak drażliwego tematu w rozmowie z synami. Takie postępowanie jest—mojem zdaniem—bardzo naganne, jest zaniedbaniem poważnego obowiązku. Spada on wtedy na nauczyciela a powinnością jego jest spełnić go z całą delikatnością, inteligencją, prostotą i powagą. Nie sądzę — zapewne — by sama świadomość płciowa i zdrowy zwyczaj chodzenia nago już starczyły dla chronienia chłopców od nieczystości. Doświadczenie jednak pouczyło mnie, że one zmniejszają niebezpieczeństwo, że przyglądanie się bez zawstydzenia nagiemu ciału i pełna świadomość jego właściwości i sił nietylko prowadzi do czerstwiejszego zdrowia, lecz i do głębszej moralności.

Pełnia zdrowia fizycznego winna być pierwszym szczególnym celem wychowania. Jest ona dziś najpilniejszem zagadnieniem, jakie rodzice i nauczyciele w Ameryce mają przed sobą. Śmiertelność wśród dzieci zmniejsza się, i widocznie już opanowano wiele dawnych chorób zakaźnych endemicznych; zaznacza się jednak zastraszający wzrost chronicznych dolegliwości, liczby chorych umysłowo oraz tego rodzaju charłactwa i przedwczesnego wyniszczenia, które odejmuje życiu wszelki urok a czyni je ciężarem. Sądząc po rozpowszechnieniu wad wzroku, słuchu, głosu, chorób zębów, po zmniejszaniu się przeciętnej wagi i wzrostu, wytrzymałości i tężyzny fizycznej, oraz po stałem obniżaniu naturalnego przyrostu we wszystkich krajach cywilizowanych — rasie naszej grozi zwyrodnienie. Zdaje się, że ten stały ubytek cielesnej czerstwości jest wynikiem zmiany obyczajów. Rozwój życia przemysłowego ściąga ludność z otwartych pól do zamknię-

tych lokali fabrycznych. Całe rodziny przenoszą się ze wsi do miast. Wszędzie widzimy coraz większe udogodnienia życiowe, zaznacza się nawet ogólne przedłużenie przeciętnej długowieczności, lecz obok tych korzyści stan zdrowia staje się coraz gorszy. Prawdą jest, że te wszystkie ułatwienia i udogodnienia życia rozmiękczyły nas,— zanadto się chronimy, pielęgnujemy, rozpieszczamy, jemy za wiele, ubieramy się zanadto, grzejemy się nadmiernie i za wiele sobie pozwalamy.

Nieuniknionym wynikiem tego stanu rzeczy jest zwyrodnienie i oczywiste osłabienie. Ujawnia się to w sposób znacznie więcej uderzający u narodów cywilizacyjnie starszych, a szczególniej u tych, które wcześniej rozwinęły u siebie przemysłowy system; lecz i w młodych narodach, jak nasz, te same zjawiska zauważyć się dają. Na szczęście posiadamy wciąż jeszcze duży zapas zdrowia i sił fizycznych. Stanowią one nasz cenny narodowy zasób, który należy strzec zazdrośnie od roztrwonienia. Jednakże dziś żaden kraj i żaden naród nie dziedziczy pełni sił i zdrowia. Wszędzie znać ubytek sił i wytrzymałości. Wprawdzie twierdzą niektórzy, że ludność o pięciu stopach wzrostu może stanowić równie dobrą rasę, jak dawna sześć stóp wysoka. Być może, że tak jest, jeśli podstawą oceny będzie sama tylko siła robocza; ludzie małego wzrostu mogą równie wydatnie pracować w fabrykach. Ze względów ogólnoludzkich jednak, skarlenie rasy spowodowane miejskiem i fabrycznem życiem, jest zjawiskiem pożałowania godnem.

Miarę wzrostu, ustanowioną dla rekrutów armji angielskiej, zniżyć musiano w ciągu ostatniej połowy stulecia z pięciu stóp i sześciu cali na pięć stóp. Wiarogodne informacje stwierdzają, że miasto Manchester zmuszone jest rekrutować swą policję z pośród ludności okręgów wiejskich, gdyż wśród własnych mieszkańców nie może znaleźć kandydatów odpowiedniego wzrostu i siły. Na szczęście, współczesnemu światu potrzeba raczej czego innego, niż żołnierzy i policjantów, ale fakty te zasługują na uwagę. Nietyle jednak ubytek wzrostu, jak zdrowia

i wytrzymałości budzić może zaniepokojenie. Nieczęsto spotyka się ludzi cieszących się mniej więcej dobrem zdrowiem, rzadziej jeszcze krzepkich i silnych. Niemal każdy skarży się na jakieś chorobliwe dolegliwości, lub na jakieś braki wrodzonych fizycznych uzdolnień. Niejedna cenna godzina życia ludzkiego marnuje się na chorobę; niejedno cenne życie ludzkie przedwcześnie się kończy. Więcej jeszcze odbija się to na jakości życia ludzkiego. Słaby lud boryka się z trudnościami życia codziennego, nie czerpiąc zeń ani rozkoszy osobistych, ani społecznych zdobyczy.

Może to i prawda, że człowiek, posuwając się w latach, zwykle mniema, że jego generacja była silniejsza niż nowe pokolenie. Przypominam sobie, że w oczach mego ojca moja młodość wydawała się bardzo anemiczna i bezbarwna, a dziś zkolei ja z ubolewaniem widzę, że moim młodym przyjaciołom nie dostaje tej fizycznej wytrzymałości, która pozwoliła mi wieść życie pełne przygód i wrażeń. Może nietyle niezdolni są do tak wytężonego wysiłku, jaki dawniejsze pokolenie uważało za rzecz zwykłą, ile braknie im do tego ochoty. Jednakże ta niechęć do trybu życia, narażającego na trudy, prowadzi wkońcu do zwątlenia takiego samego jak przyrodzona słabość. Domaganie się większej krzepkości fizycznej nie jest jakimś pustym alarmem, lecz głosem ważnego interesu narodowego, z którym rodzice i wychowawcy koniecznie liczyć się powinni w swych systemach pedagogicznych.

Kilka lat temu, jadąc przez Yosemite, miałem szczęście siedzieć obok woźnicy. W drodze mijaliśmy Indjanina, który pracował przy naprawie traktu. Zapytałem go, do jakiego plemienia Indjan należy, i odpowiedział mi, że zalicza się do Diggerów. Gdy następnie rozpytywałem woźnicę, co wie o tem plemieniu, objaśnił mnie, że naogół nie jest ono cenione wysoko, on sam jednak ma o niem bardzo pochlebne mniemanie, a na poparcie tej opinji opowiedział mi następujące zdarzenie. Brat jego był hodowcą koni i powierzył dozór nad swą stajnią Indjaninowi

Diggerowi. Kiedyś chodziło o to, by kilka koni odstawić w oznaczonym czasie do pewnego wskazanego punktu. Wypadło tak niefortunnie, że hodowca sam był nieobecny, gdyż wyruszył na jakąś inną niezbędną wędrówkę. Indjanin tedy sam zajął się dostawieniem koni i powrócił spokojnie do stajni, a cała podróż trwała trzy dni. Właściciel po powrocie ucieszył się, że sprawę załatwiono i bez niego, lecz był zdumiony, że Indjanin całą drogę odbył bez pieniędzy. Zapytany, jak sobie poradził, odpowiedział, że pasł konie na znanych z dawniejszych podróży zajazdach, mówił, kto jest ich właścicielem, i brał obrok na rachunek. Sam jednakże nie jadł nic przez te trzy dni i nawet nie wspomniał o tem, taką mu się to drobnostką wydawało. Dlatego przypominam to zdarzenie, że znam niezmiernie wiele osób, które narzekają, jeśli je choć jedno ominie jedzenie, lub wpadają w zły humor, jeśli muszą zjeść gorzej niż przywykły. Aż dziwno pomyśleć, że znana rada: „paś bydlę, aby było spokojne“, stosuje się w wyższej mierze do ludzi wykształconych, niż do naszych niecywilizowanych bliźnich.

Dokładny rozbiór wykazuje, że czystość — to zdrowie, brud — to choroba. Zwalczanie brudu, to zwalczanie chorób. Dbałość o zdrowie nakazuje utrzymywać jak największą czystość powietrza, którem oddychamy, wody którą pijemy, jedzenia, które spożywamy, odzieży, którą nosimy, mieszkania, w którem przebywamy, sprzętów, któremi się posługujemy, ulic i placów, któremi chodzimy. Zachowanie tej dokładnej czystości jest jednem z zadań wychowania. Kto chce dziecku zapewnić zdrowie, musi strzec czystości jego duszy i ciała. Kto zachował zdrowie, może przez prosty tryb życia i odpowiednie ćwiczenia fizyczne osiągnąć siłę. Wytrzymałość jest zaletą duchową, wymaga ona oprócz fizycznej sprawności jeszcze i silnej woli. Nigdy nie służyłem w wojsku, lecz sądzę, że oficerowie ćwiczą żołnierzy jedynie w fizycznej wytrzymałości. Wiem, że na zwykłych przeglądach, w których uczestniczyłem, przywódcy zawsze prześcigali swych pomocników, pozornie silniejszych. Przywódcy bowiem

starali się więcej, działała tu ich wola. Wytrzymałość jest znacznie więcej rzeczą ducha niż ciała.

Rodzice z natury rzeczy stoją na straży zdrowia dziecka. Bardzo poważną kwestją jest poznać od czego zależy zdrowie i postarać się tym warunkom uczynić zadość. W razie potrzeby należy zasięgnąć rady doktora, doświadczonej pielęgniarki, technika sanitarnego. Jeśli to niemożliwe, dobre książki z dziedziny higjeny mogą służyć radą. Nauczyciele w internatach muszą swoim pensjonarzom zastąpić rodziców, winni tedy również we wszystkich zagadnieniach higjeny posiadać odpowiednią naukę i doświadczenie. Nawet nauczyciele, udzielający lekcyj uczniom przychodnim, winni również troszczyć się gorliwie o zdrowie dzieci. Przedewszystkiem izba szkolna musi być higjeniczna pod każdym względem, następnie nauczyciel winien udzielać rodzicom rad i wskazówek, bądź to posyłając odpowiednie biuletyny do domu, bądź też osobiście odwiedzając rodziców, bądź wreszcie zapraszając ich na konferencje do szkoły. Ciało ludzkie jest świętością, gdyż jest ono narzędziem ducha. Zanim jednak zdołamy wyostrzyć i urobić narzędzie zdolne do wykonania wysokich zadań, musimy naprzód postarać się o materjał, to jest o silny ustrój fizyczny. Jeśli zdrowie ma tak zasadniczą wagę dla wychowania, jak ja sądzę, warto nad niem pracować rozumnie i wytrwale. Nietrudno ogłosić praktyczne wskazówki zachowania zdrowia, lecz trzeba wielkiej ścisłości i systematyczności w stosowaniu ich.

Szkoła i dom winny być przedewszystkiem prawdziwem sanatorjum.

Sądzę, że niema lepszej i skuteczniejszej drogi do zachowania zdrowia jak przestrzeganie czystości. Jeśli zachowamy bezwzględną czystość w całem otoczeniu dziecka, będzie ono na pewno zdrowe.

Na pierwszem miejscu umieścić należy czystość powietrza, którem ono oddycha. Najbardziej rozpowszechnione i najniebezpieczniejsze są choroby dróg oddechowych, a złe powietrze jest ich źródłem. Jedynym pewnym

i praktycznym sposobem zapewnienia dziecku zdrowego powietrza do oddychania, jest kazać mu spać, jeść, bawić się i uczyć pod gołem niebem, — jak się to czyni obecnie z dziećmi gruźliczemi; jeśli zaś to jest niemożliwe, tak nieustannie odświeżać powietrze w mieszkaniu, aby ono żadną miarą nie mogło się zanieczyścić. Jednakże wentylowanie mieszkań jest sprawą dość trudną. Gdy przypomnimy sobie, że jedna para płuc w ciągu minuty zużywa blisko stopę kwadratową powietrza, wydaje się beznadziejnem usiłowanie utrzymania świeżego powietrza w zamieszkałej przestrzeni. Tak rzadko udaje się to zadanie rozwiązać, że, kto poszukuje świeżego powietrza, musi wkońcu zawsze dążyć do wsi i do życia pod gołem niebem. Jeśli naród nasz ma odzyskać swą pierwotną krzepkość, musi powrócić do życia pod gołem niebem. Obecnie istnieje w tym kierunku dążenie, po którem można sobie bardzo wiele obiecywać.

Drugim warunkiem zdrowia jest pijanie czystej wody. Gorzkiem doświadczeniem pouczone zarządy naszych miast troskliwiej dziś czuwają nad dostarczeniem czystej wody, więc położenie jest lepsze niż było. Na wsi natomiast istnieje wciąż jeszcze niebezpieczeństwo złej wody; czasem wydaje się ona zupełnie czysta, gdy w istocie jest bardzo szkodliwa. Jedynym sposobem uniknięcia niebezpieczeństwa jest przeprowadzenie natychmiastowej dokładnej analizy, po przesłaniu próby do urzędowego laboratorjum chemicznego. Najpierw napisać trzeba o właściwe instrukcje przy zbieraniu próby i postarać się o sterylizowaną butelkę do zlania jej. Póki zaś istnieje choćby najmniejsze podejrzenie zanieczyszczenia, należy unikać użycia danej wody, a sprowadzać w butelkach wodę źródlaną o wiadomym składzie, choćby wypadło dla pokrycia kosztu uszczuplić innych artykułów żywności. Zbyt wielkiem niebezpieczeństwem grozi używanie do picia nieczystej wody, by wolno było narażać się na nie bądź to ze względów oszczędności, bądź przez prostą nieopatrzność. Trudno tu przychodzi pilnować się na każdym kroku i w każdej szklance wody podejrzewać zarazki, rozsądek jednakże

nakazuje każdą niesprawdzoną wodę uważać za podejrzaną, póki niema dowodów, że jest niewinna.

Niedość jednak baczyć na to, by woda nie była szkodliwa, trzeba czuwać, by ją dzieci piły. Nauczyciele i rodzice zwykle wcale nie wglądają w to, ile dzieci wody piją, to też rzadko piją one tyle, ile powinny. To jest rzeczą przyzwyczajenia, a złe zwyczaje łatwiej się przyjmują niż dobre. Małe dzieci często napierają się, by im dać pić, gdy są spragnione, i to nieraz w niewłaściwym czasie i okolicznościach; natomiast w miarę jak wyrastają, przywykają obywać się bez wody, zwłaszcza jeśli jej nie mają pod ręką, albo jeśli starsi stawiają im przeszkody. Przeraża nas myśl sama, że dziecko mogłoby być pozbawione codziennej kąpieli, ponieważ przyzwyczajenie utrzymywania ciała w czystości zostało nam gruntownie wpojone, i rozumiemy, ile nas samych kosztowałoby zrzeczenie się tej kąpieli, nie pamiętamy jednak o tem, że ciało nasze od wewnątrz również musi być obmywane i że należy to robić systematycznie. Obfite picie wody powoduje obfite wydzielanie moczu, ułatwia ruch wnętrzności, a zatem i wydzielanie produktów rozkładu. Ilość wypitej wody zależy od wielu czynników: naprzykład od ilości wydzielanego potu oraz wody zawartej w innych pokarmach. Świeże owoce i mleko zawierają znaczne ilości wody. Można naogół powiedzieć, że dwunastoletnie dziecko w zwykłych warunkach może wypić dwie kwarty wody dziennie. Mało które dziecko tyle wypija, gdy jednak przyswoi sobie ten zwyczaj, uczyni już ważny krok na drodze czystości a zatem i zdrowia.

Staranne utrzymywanie zębów powinno także być zaliczane do obowiązujących zwyczajów. Co najmniej raz na dzień, a lepiej jeszcze po każdem jedzeniu, winny dzieci myć zęby szczotką i płukać je wodą. Jeżeli przytem jeszcze przywykną płukać gardło wodą czystą lub z domieszką jakiegoś środka dezynfekcyjnego, znacznie mniej będą narażone na choroby gardła i inne zakaźne choroby.

Potrzeba częstych kąpieli i czystej wody do picia ma znaczenie pierwszorzędne, lecz jest ona tak oczywista,

że naogół czyni jej się zadość. Równie ważna czystość pożywienia mniej budzi uwagi i baczności. Przyswoiliśmy sobie różne wymagania zewnętrznej wytworności. Żądamy czysto nakrytego stołu, zastawionego czystą porcelaną, szkłem, srebrem. Samo pożywienie jednak nie podlega z naszej strony tak pedantycznej i drobiazgowej kontroli. Skoro tylko zobaczymy wyraźną plamę na obrusie, odrzucamy go. Gdy bułka upadnie na podłogę, gdy dostrzeżemy, że służąca lub gospodyni dotknęła palcem jakiejś potrawy, — nie weźmiemy do ust; lecz różne obrzydliwości, które mogły się dostać do naszego pożywienia, zanim je na stół podano — na targu, przy przewożeniu a nawet w naszej własnej kuchni — zupełnie nas nie niepokoją. Nie widzimy tego, a myśleć o tem jest rzeczą niemiłą. Na co nie pozwalalibyśmy ani przez chwilę w naszej obecności, z tem się godzimy, gdy się odbywa poza naszemi plecami. Gospodyni domu, gdy częstuje nas drugim kawałkiem pieczeni, nakładając go na nasz talerz swym własnym widelcem, nie może się dziwić, że nam to odbiera apetyt na pieczeń, a tymczasem kucharka w kuchni próbuje łyżką zupy, by się przekonać, czy ją dobrze przyprawiła, a potem tę samą łyżkę na nowo zanurza. Pilnując, by w naszej obecności nic nie zanieczyściło naszego pożywienia, czynimy dopiero pierwszy krok, wprowadzamy powierzchownie przyzwoite zwyczaje, ale stąd jeszcze dość daleko do rzeczywistej czystości i zabezpieczenia zdrowia.

We wszystkich fazach przygotowania żywności naszej dotykają jej brudne ręce. W kuchniach naszych brudni murzyni, ludzie ze wschodu, emigranci wszelkiej narodowości, nie troszcząc się o nic, dotykają naszego jedzenia. My wobec tego stosujemy strusią metodę, chowamy głowę w piasek; nie chcemy sprawdzać, jak się rzeczy mają, i nie lubimy nawet o tem myśleć. Gdybyśmy chcieli naszej wyobraźni popuścić wodze, nie bralibyśmy do ust niczego prócz bananów, obranych jabłek i jaj gotowanych w skorupie.

W istocie zaś spożywanie jedzenia powinno być ro-

dzajem sakramentu. Jedzenie odnawia i utrzymuje nasze życie dla wzniosłych celów. Nie mogą tej świętej czynności sprawować ręce brudne, gdyż byłoby to sprofanowaniem naszego domowego ogniska. Jeżeli spożywamy brudne, zepsute pożywienie, jeśli się przejadamy, do czego nas wciąż kuszą, sprzeniewierzamy się tym nakazom absolutnej czystości, która jest warunkiem zdrowia. Nie mówię teoretycznie, lecz po dojrzałem rozważeniu sprawy. Przebywałem już w każdym Stanie Ameryki Północnej, byłem w setkach hoteli, pensjonatów i domów prywatnych, podróżowałem zwykłemi powozami i pullmanowskiemi wagonami i obserwowałem swych rodaków z żywem zainteresowaniem.

Wszędzie widziałem ślady tego braku czystości — wybladłe cery, mętne oczy, obwisłe policzki, znękane postacie, niepewne ruchy. Tyle mogłem pochwycić wzrokiem; słuch również niemało dostarczył mi dowodów. Każdy prawie podróżny miał sposobność pochwycić charakterystyczny dźwięk westchnień człowieka przejedzonego. Słyszałem go na statkach parowych, i w restauracyjnych wagonach, w hotelach i domach prywatnych, i wiem dobrze, co on zapowiada: niezdarne maniery i głupie rozmowy. Jedzenie winno być pokrzepieniem i przedłużeniem życia, lecz to objadanie się nieświeżem jadłem w wielkiej obfitości wymaga odpoczywania na fotelu lub szezlągu do nabrania oddechu i zaspania ujemnych następstw obżarstwa. Obraża to nasze oczy i uszy, a jak zapewniają Chińczycy — również i nos. Wytykają nam różne rzeczy, a między innemi i to również, że źle pachniemy.

Uważam to za rażącą śmieszność, gdy wychowanie, zwracając uwagę na tyle różnych rzeczy mniej ważnych, pomija tę zasadniczą sprawę elementarnej czystości. Nie chodzi mi tu o stawianie zarzutów, lecz o wytknięcie zła i wskazanie dróg poprawy. Środek na to jest bardzo prosty: usunąć brud, a zaprowadzić czystość. Rodzice i nauczyciele winni to naprzód zastosować do siebie: zachować czystość w piciu i jedzeniu, przestrzegać jej

u dzieci i objaśniać je, że jest ona zasadniczym warunkiem zdrowia ogółu. Co do mnie, to nie wierzę, abyśmy kiedykolwiek zdołali zastosować czystość w jedzeniu, póki gotowanie żywności pozostawimy w rękach służących i najemników. Jakże możemy sobie wyobrażać, by jakaś murzynka, osobiście tak brudna, mogła zachować czystość przy przyrządzaniu naszego jedzenia? W istocie bynajmniej nie liczymy na to i dlatego wolimy wcale nie zaglądać do kuchni. Przyrządzanie jedzenia może znowu stać się świętym obrządkiem, gdy przejdzie w czyste ręce gospodyni lub gospodarza domu, lub jakiegoś innego członka rodziny, którego otoczy się należytym szacunkiem za spełnianie tej wysokiej misji.

Ze stanowiska demokracji wiele się da powiedzieć przeciw służbie domowej; ze stanowiska religijnego również, a równie poważne zarzuty postawić można z punktu widzenia higjeny. Wychowawcy powinni się z tem liczyć i pouczyć chłopców i dziewczynki, jak ważną jest rzeczą czystość i umiarkowanie w jedzeniu i piciu, oraz jak należy ich przestrzegać. Zarówno z osobistego, jak z narodowego punktu widzenia ta nauka jest wiele ważniejsza, niż niejedna czysto akademicka umiejętność.

W wychowaniu dążność do zachowania czystości może się bardzo łatwo wyrodzić w nadmierne skupianie uwagi na jednym drobiazgu, przy zaniedbaniu innych ważniejszych punktów. Znamy bardzo dobrze różne zacne osoby, które dbają bardzo o czystą wodę, obstają uporczywie przy odpowiedniej ilości najlepszego mleka, a co do innych środków pożywienia patrzą przez szpary na rzeczy wręcz skandaliczne. Prawdą jest, że brud ze wszech stron nam zagraża: z powietrza, którem oddychamy, z wody, którą pijemy, z potraw, które spożywamy — a dziać się to będzie póty, póki pomyślność człowieka schodzić będzie na drugi plan wobec zysku materjalnego przedsiębiorców. Trzeba tedy zwalczać brud na każdym kroku, a nie chcąc ponieść klęski, musimy walkę tę prowadzić ochoczo, z wiarą niewzruszoną, że przełamiemy i pokonamy przeciwnika. Walka ta nie może żadnych granic

uznawać; wszędzie prowadzić ją trzeba: — ubranie i mieszkanie, ulice i pojazdy, izby szkolne i sale balowe, powietrze, którem oddychamy, żywność, którą jemy — to wszystko są pozycje, z których nieprzyjaciela wyprzeć należy.

Bardzo wiele osób przyzwoitych oburzyć się może na myśl, żeby nie miały nosić na gołej skórze czegoś, co się nadaje do prania. W zamożnych rodzinach przesąd dotyczący częstej zmiany bielizny doprowadza się do krańcowości, bez najmniejszej uwagi na to, ile cennego życia ludzkiego marnuje się w pralniach. I ja również dawniej uważałem za wielką rozkosz zmienianie bielizny codziennie, czasem nawet dwa razy na dzień; byłem gotów nawet mierzyć stopień kultury człowieka wielkością jego rachunków w pralni. Obecnie inaczej na to patrzę, gdyż doszedłem do wniosku, że tę rozkosz opłacamy zbyt drogo, mozolną i niezdrową pracą naszych bliźnich. Gdybyśmy musieli sami prać naszą odzież, niezawodnie bardzo ograniczylibyśmy nasze wymagania. Dziś tedy nie budzą już mego podziwu sznury obwieszone schnącą po praniu bielizną, gdyż myśl moją zwracają do tych kobiet, które musiały ją prać i wieszać. Można jednak zachować czystość i przyzwoitość, ograniczając swe wymagania. Drogę wyjścia stanowi utrzymywanie ciała samego w czystości wzorowej. Taka przyzwoitość i gruntowna czystość nie pociąga za sobą niczyjej niewolniczej i uciążliwej pracy. Codzienna kąpiel w zwykłych warunkach, w czasie upału lub po zmęczeniu pracą—dwukrotna dziennie—daje znacznie lepsze wyniki społeczne i higjeniczne, niż ciągłe pranie bielizny. Ludzie, przestrzegający ściśle czystości osobistej, mogą zachować taką świeżość ciała, jak maleńkie dzieci. Jednym z praktycznych argumentów, przemawiających za trzymaniem dzieci nago, jest, że skóra kąpana w powietrzu, słońcu i wodzie jest zawsze czysta i zdrowa. Ta sama jednostronność, która sprawia, że, badając podejrzliwie wodę do picia i mleko, tolerujemy brud w stałych pokarmach, okazuje się i w tem, że, dbając niezmiernie o czystość bielizny, przechowujemy bardzo wiele

brudu w zewnętrznej odzieży. Jeżeli dbamy o elegancję, co pewien czas postaramy się wyprasować ubranie, a czasem nawet czyścimy je naftą. Przeważnie jednak nie jest ono bynajmniej czyste. Im staranniej je nosimy, im lepsze, kosztowniejsze kupujemy na nie materjały i im dłużej trwają, tem więcej w ubraniach naszych nagromadzi się brudu i potu. Jeden z bogatych ludzi, z którym w tych dniach rozmawiałem, powiedział mi, że ubranie, które miał na sobie, ma już sześć lat. Może mam zbyt wrażliwe powonienie, lecz od niejednego znajomego, o którym wiem, że jest pedantycznie porządny co do ubrania i bielizny, wolę się trzymać w pewnej odległości, by nie czuć zapachu jego ubrania. W starych hotelach pokoje „pachną dywanami" — jak się wyraził Emerson; ten sam zapach starych dywanów mają suknie zbyt długo noszone. Wielki urok życia podzwrotnikowego stanowi to, że zarówno mężczyźni, jak i kobiety, noszą tylko tkaniny do prania, a przez to nigdy nie wydzielają tego zapachu. To samo powtórzyć można i o małych dzieciach; wszystko, co mają na sobie, jest stale prane, a zatem zawsze świeże i czyste. Życie w obozie letnim z tego względu jest niezmiernie zdrowe i miłe, że niewielka ilość używanej tam odzieży jest raz wraz prana i ciągle ma się wrażenie absolutnej świeżości i czystości. Nigdy nie będziemy narodem czystym i zdrowym, jeśli nie zaczniemy się ubierać w ten sposób, by każda sztuka garderoby używana przez kobiety, mężczyzn, czy dzieci mogła być nietylko czysta pierwotnie, lecz stale w czystości utrzymywana.

Zatrzymałem się tak długo nad tym drażliwym tematem, gdyż nie budził on nigdy tyle uwagi, na ile zasługuje. Sądzę, że nic na świecie nie jest równie uprzykrzoną i natrętną przykrością, jak zły zapach. Dokucza nam on wszędzie, gdzie tylko gromadzą się ludzie licznie i tłumnie, i to zupełnie niezależnie od ich społecznego stanowiska. Jeżeli te wyziewy zgniłe wydzielają się z nieczystego ubrania, nieczystych zębów, nieświeżego pokarmu, nieporządnych zwyczajów — to jasną jest rzeczą, że dane osoby, bez względu na swe pretensje, nie mają prawa do

nazwy dobrze wychowanych. Zwykliśmy zgóry patrzeć na naszych braci ze wschodnich krajów, lecz co do osobistej czystości przewyższają nas oni niezaprzeczenie.

Co do czystości mieszkań ludzkich dokonał się znaczny postęp w ciągu ostatniej ćwierci wieku. Gołe posadzki, malowane ściany, otwarte kominki, elektryczne lampy, niewyścielane meble, łóżka bez zasłon, okna tylko lekką zasłonięte firanką, niewielka ilość drobnych sprzętów i ozdób niemało się przyczyniły do utrzymania należytej higjeny mieszkań. Pozostało jeszcze jedno niebezpieczeństwo, mianowicie rura gazowa, zanieczyszczająca powietrze. Nietylko sam płomień gazowy napełnia atmosferę sadzą i produktami spalenia, lecz z samej rury gaz się wydziela. Przypominam sobie pewien piękny stary dom w Bostonie, którego dostojna właścicielka niedawno chorowała śmiertelnie, a doktór przypisywał jej chorobę zatruciu gazem od rur gazowych. Zaprowadzono je w domu przed 40 laty, a choć napozór nie były wcale uszkodzone, okazało się, iż mają mnóstwo niewidzialnych szczelin, przez które gaz wciąż się ulatniał, zatruwając atmosferę domu. Obecna dążność do zastąpienia oświetlenia gazowego elektrycznem jest bardzo zbawienna, ale na nieszczęście równolegle do niej idzie dążność do zastąpienia kuchen węglowych gazowemi. Gdyby się z niemi dobrze obchodzić, stanowiłyby one wielkie udogodnienie, ale — niestety — naogół źle się ich używa, pozwalając, by bądź to sam gaz, bądź też produkty spalenia unosiły się w pokoju. Niemal zawsze, wchodząc do jakiegoś mieszkania, czuję gaz błotny, gaz świetlny, albo gaz węglowy. Żaden lokal nie może uchodzić za czysty, jeśli jest napełniony tak zanieczyszczonem powietrzem.

Oświecona opinja publiczna nieustannie domaga się lepszej wentylacji i większej czystości w budynkach szkolnych, kościołach, czytelniach, teatrach, wagonach kolei żelaznej. Trudno takie sprawy sprowadzać do danych statystycznych, ale wciąż wzmagające się powodzenie szkół na otwartem powietrzu w Chicago wskazywać

się zdaje, że i tu czysta atmosfera sprzyja rozwojowi oświaty.

Utożsamiając czystość ze zdrowiem, a chorobę z brudem, musimy pamiętać, że oprócz brudu fizycznego istnieje i brud duchowy, że istnieje również czystość duchowa, ze wszystkich znanych sił najpotężniej działająca na oczyszczenie i uzdrowienie ciała. Więcej starań i wysiłków wymaga usunięcie tego, co jest zawadą na drodze ducha, niż usuwanie brudu i śmiecia z otoczenia naszego ciała: „Daj, by wszystkie żyjące istoty, bez nieprzyjaciół, bez przeszkód, pozbywszy się smutku, radością tchnące — szły swobodnie każda swą własną drogą". Gdybyśmy wszyscy — rodzice i nauczyciele — wprowadzili w życie tę prostą a tak wzniosłą modlitwę, oczyściwszy nasze własne dusze, nauczylibyśmy się szanować indywidualność naszych dzieci i pomagali, by „szły każde swą własną drogą." Tem jest wychowanie: rozwijaniem i doskonaleniem jednostkowej duszy ludzkiej. Gdy duchowe przeszkody usuniemy, w czystej niezmąconej atmosferze dzieci rozkwitną i wyrosną na dojrzałych ludzi. Słusznie zaczynamy od ciała, lecz nie zapominajmy, że duch naprzód oczyszczony być musi, gdyż on jest źródłem życia, które posługuje się ciałem, jako swem narzędziem.

VI.

NAJWDZIĘCZNIEJSZE LATA.

Pierwszym wstępem do wychowania jest nieskazitelność i nienaruszalność ciała ludzkiego. Trzeba rzecz traktować gruntownie i naukowo. Trzeba z tą samą prostotą i bez fałszywego wstydu doglądać nagie ciało naszych dzieci, jak matka pielęgnuje nagie ciało swego niemowlęcia. Równie starannie i bacznie należy to ciało mierzyć, ważyć, porównywać ich miarę i wagę z tablicami normalnego wzrostu i ciężaru, wyrównywać braki, ukrócać nadmiar. Na końcu obecnego rozdziału podałem tablicę normalnego wzrostu i wagi dzieci różnego wieku. Nie-

wątpliwie jest to sprawdzian dosyć mechaniczny, jednakże i on przydać się może, a nawet oddać ważne usługi. Rodzice i nauczyciele powinni sobie zdawać sprawę z tego, czy chłopiec, którego wychowują, rozwija się normalnie, rośnie i tyje odpowiednio do swego wieku. Powinni prócz tego wiedzieć o nim i inne rzeczy związane z jego rozwojem i przyszłością, mianowicie, czy jest zbudowany normalnie, czy nie ma płaskich stóp, skrzywienia kręgosłupa, jakiejkolwiek wady serca. Winni wiedzieć, czy jego organy wewnętrzne funkcjonują należycie, czy cyrkulacja krwi jest normalna, czy wydzielanie moczu jest łatwe i obfite, czy wnętrzności poruszają się swobodnie, czy trawienie jest w porządku. Dalej jeszcze wchodzi w grę sprawa ważna, a zbyt mało brana pod uwagę: stan narządów zmysłów. Dziecko poznaje świat za pośrednictwem zmysłów, jeżeli te nie funkcjonują należycie, otrzymuje ono fałszywy obraz świata. Ważnem zadaniem rodziców i nauczycieli jest sprawdzić, czy uczniowie są pod tym względem normalni, czy mają dobry wzrok, czy nie potrzebują szkieł? Czy słyszą dobrze? czy nos i krtań są w porządku? czy ich nerwowy i mięśniowy system znajduje się w dobrym stanie?

Zwykle przyjmuje się zgóry, że to wszystko jest tak, jak należy, gdy jednak obecnie po zbadaniu tysiąca pięciuset dzieci szkolnych w Nowym Jorku okazuje się, że 93% ma jakąś organiczną wadę, nie można nawet sądzić, że badania są zbyteczne. Obowiązkiem jest sprawdzić co do każdego dziecka, czy nie ma jakiego defektu i starać się o usunięcie go, o ile to jest możliwe. To są wiele ważniejsze zabiegi, niż przyswojenie mu danej sumy wiadomości z arytmetyki lub gramatyki.

Nietylko ścisła obserwacja doprowadza nas do stwierdzenia takich wad ustrojowych, lecz naukowe dane każą je przewidywać. Materja tem łatwiej ulega rozkładowi, im wyższy ustrój organiczny przedstawia. Najprostsze ciała są najtrwalsze: piasek, woda, powietrze. Złożone molekuły są nietrwałe, a jeśli w ich skład wchodzi ciało niechętnie łączące się z innemi, np. azot, są tak niestałe, że łatwo

wybuchają. Najbardziej skomplikowanym organizmem na świecie jest człowiek. Osiąga on ten wysoki stopień organizacji za cenę nietrwałości. Jako dziecko musi być otoczony opieką; gdy dorośnie, musi się opiekować sam sobą. Jeśli jego ustrój osiągnie szczyt genjalności, musi być niemal osobiście pielęgnowany. Nie dziwmy się bynajmniej, że współczesne cywilizowane dzieci skłonne są do zwyrodnienia. Musimy to niebezpieczeństwo poczytywać za nieuchronny wynik ich cudownego ustroju i jak najumiejętniej starać się mu zapobiegać.

Doniosłem i rozległem zadaniem rodziców i nauczycieli jest czuwać nad organizmem dziecięcym i śledzić jego rozwój, badać jego wady i ułomności, i w miarę możności je poprawiać, rozwijać i kształcić narządy zmysłów, utrzymywać całość ustroju w pomyślnym stanie zdrowia. Zależnie od okoliczności zasięgać mogą rady rzeczoznawców lub polegać na własnym rozsądku i doświadczeniu. Sumienni rodzice i nauczyciele radzić sobie będą sami póty tylko, póki to bezpiecznie czynić mogą. Ich własna inteligencja wskaże im granice, poza które ich umiejętność nie sięga, a potrzeba udać się po radę specjalistów. Zaopatrzywszy się w odpowiednią wagę i miarę, oraz tablicę normalnego wzrostu i ciężaru, co miesiąc, co dwa lub trzy sprawdzać będą ogólny przyrost ciała. Człowiek, który bacznie czuwa nad swymi uczniami — nawet nie będąc lekarzem, dostrzeże na mocy osobistej obserwacji defekty, wymagające leczenia. Nawet takie subtelne wady słuchu i wzroku, choć powinny być badane przez lekarzy, nie ujdą troskliwego oka wychowawcy, który niewątpliwie odróżni wypadki, wymagające natychmiastowego leczenia i postara się o pomoc lekarską nawet tam, gdzie wszystkich uczniów trudno poddać ścisłemu badaniu. Osobiście mam wielki szacunek i zaufanie dla fachowej umiejętności, lecz więcej jeszcze dla tych wychowawców, którzy w swą pracę nad dziećmi wnoszą jasnowidzącą potęgę, zrodzoną z miłości połączonej ze zdrowym rozsądkiem. W szczególności stosuje się to do stawiania diagnozy. Uczony lekarz tem się głównie interesuje, by ustalić miej-

sce, w którem wada ustrojowa tkwi; rodzice i nauczyciele troszczą się przedewszystkiem o to, by ją usunąć.

Niemała to sztuka utrzymać zdrowie dziecka w należytym stanie. Gdy już zaprowadziliśmy czystość jak najdalej posuniętą, w powietrzu, wodzie do picia, w pożywieniu, ubraniu, mieszkaniu, w duszy — pozostają jeszcze kwestje szczegółów, — ustalenie, ile snu, żywności i napoju, ile odzienia, pracy, ruchu i zabawy potrzeba dziecku dla zdrowia. Mimo bardzo bogatego doświadczenia, jakie posiadam w tej dziedzinie — a może właśnie skutkiem tego — nie poważyłbym się ustanawiać tutaj prawideł obowiązujących i stałych. Właściwe normy dzienne muszą być zależne od warunków klimatycznych, pory roku, stosunków miejscowych, oraz indywidualnych potrzeb każdego ucznia. Podam tu natomiast w ogólnym zarysie wyniki, jakie osiągnąłem w swojej praktyce wychowawczej w dwóch miejscowościach, w Kalifornji i w New Hampshire. Nie myślę bynajmniej podawać mojego programu, jako ustalonego wzoru, i zachęcać kogokolwiek do ślepego naśladownictwa, podsuwam go tylko jako rzeczowy materjał do dalszych studjów w nadziei, że doprowadzi do ułożenia lepszego programu.

W Kalifornji mieliśmy pod naszą opieką 18 chłopców, a ogółem 27 osób wchodziło w skład szkoły. Rok szkolny trwał 8 miesięcy, zaczynał się 1-go października, a kończył 1-go czerwca. Niektórzy chłopcy zostali umieszczeni u nas dla zdrowia, a wszyscy przygotowywali się do kolegjum. Rozbiliśmy nasze namioty — a mówiąc ściśle, zbudowaliśmy nasze szałasy — na wspaniałem płaskowzgórzu pomiędzy puszczą a oceanem, z widokiem na śnieżne góry. Przestrzeń, obejmująca dziewięćset akrów, miała nierówną wyniosłość, lecz osada szkolna leżała na 1700 stóp ponad poziomem morza. Najbliższe miasto leżało o 12 mil od nas. Miało to swoje niedogodności, lecz również i dodatnie strony. Wstawaliśmy wszyscy o wpół do siódmej rano i ubieraliśmy się. O siódmej jadaliśmy pierwsze świadanie, składało się ono z kakao i grzanek; nauczyciele pili zamiast kakao kawę, o ile ją woleli. Po

śniadaniu chłopcy zaścielali łóżka i sprzątali pokoje. W wielkiej sali zbierano się na modlitwę o kwadrans na ósmą; od ósmej do kwadrans po dziesiątej odbywały się trzy lekcje, każda po trzy kwadranse. Dwadzieścia minut po dziesiątej było właściwe śniadanie, złożone z obfitych trzech dań z owoców, roślin zbożowych i t. p. Przy śniadaniu toczyła się swobodna ożywiona rozmowa. Około 11-ej wstawano od stołu i chłopcy szli do stajni czyścić konie. Każdy chłopiec miał swego konia oddanego całkowicie jego staraniu, z wyjątkiem pierwszego rannego obroku. Okazało się, że lepiej powierzyć to stajennemu, gdyż nie byłoby właściwe, gdyby chłopcy szli wprost ze stajni na lekcję. Nim chłopcy załatwili się z czyszczeniem koni i stajni, zbliżyło się południe, zwykle dość ciepłe, by mogli wziąć kąpiel natryskową na otwartem powietrzu pod krzepiącemi promieniami kalifornijskiego słońca. Odświeżeni i czyści przychodzili znowu do klasy na trzy lekcje, trwające od 12-ej do kwadrans na trzecią. Potem jedli podwieczorek, nie siadając do stołu, złożony z owoców, biszkoptów lub ciastek. Większość przychodziła nań z dobrym apetytem, lecz niejeden wcale go nie jadł. Resztę popołudnia spędzano na świeżem powietrzu. Chłopcy jeździli konno do najbliższych ciekawych miejscowości, ćwiczyli swe konie w przeskakiwaniu przeszkód, grali w tennisa lub chodzili na piesze wycieczki po rozległej przestrzeni, otaczającej szkołę. Nie było najmniejszej obawy zabłądzenia w drodze, gdyż okolica jest odkryta, a łańcuch gór, stojących niby na straży, wskazuje drogę do domu.

O piątej cała gromadka wracała. W ciągu dnia ubranie bardzo niekompletne, złożone z flanelowych koszul lub swetrów i pantalonów khaki, a w cieplejszych miesiącach ze zwykłych trykotowych staników bez rękawów i bawełnianych majtek wyścigowych. Wszyscy jednak przebierali się na obiad, który jadano o kwadrans po 5-ej. Nie twierdzę, by brali garnitury wieczorowe z kosztownemi gorsami u koszul, lecz każdy ubierał się świeżo i przyzwoicie. Mniejsi chłopcy przywdziewali swe mary-

narskie ubrania, starsi kładli kurtki i sztywne białe kołnierzyki. O tej godzinie zapalano zwykle lampy i świece i mieliśmy wszyscy jakieś miłe uczucie, ogarniające człowieka odpoczywającego po dobrze i pracowicie spędzonym dniu. Ze szczególną rozkoszą wspominam te obiady. Nietyle pozostało mi w pamięci to, co jedliśmy, choć wiem, że było to smaczne i zdrowe, że był to obiad z pełnych czterech dań, zupy, pożywnej potrawy, sałaty i prostego deseru. Mam żywe wspomnienie tych obiadów dlatego, że były one tem, czem każdy obiad być powinien, ucztą rodzinną lub koleżeńską. Było nam wesoło i przyjemnie, to też każdy czekał obiadu z upragnieniem. Może cztery razy tygodniowo jadaliśmy mięso lub ryby; pozostałe trzy obiady bywały jarskie. Bardzo czysty Chińczyk był naszym kucharzem, ale chłopcy kolejno pełnili dyżury przy podawaniu obiadu. Sprawa nie przedstawia trudności, jeśli potrawy są podawane według ścisłej kolei. Dyżurny przynosił półmiski i zmieniał talerze, lecz siadał do stołu i jadł razem z drugimi. Przyniesiony półmisek podawał nauczycielowi, który, napełniwszy swój talerz, podawał go uczniom i półmisek kolejno, przechodząc z rąk do rąk, we właściwym czasie dostawał się i dyżurującemu chłopcu. Można było w ten sposób obejść się bez usługi, a zachować porządek przy obiedzie.

Zatrzymuję się dłużej przy tych szczegółach zwykłego wiejskiego obiadu, gdyż przyjmuję pogląd ludów wschodu, że posiłek jest pewnego rodzaju sakramentem i że źle spędzamy dzień, jeśli nie kończymy go taką ucztą domową.

Po obiedzie gromadziliśmy się wkoło ognia w wielkiej sali i zabawami towarzyskiemi, muzyką, rozmową, grami zbiorowemi wypełnialiśmy czas do 7-ej godziny. Starsi chłopcy uczyli się do 9-ej, a potem — o ile chcieli — dostawali szklankę mleka i biszkopty. Malcy szli spać między wpół do 8-mą a 8-mą. O 10-ej gaszono wszystkie światła i niezmącona cisza zalegała całe nasze płaskowzgórze. Ten tryb żywienia, złożony z dwóch obfitych posiłków i trzech przekąsek, widziałem w powszechnym

zwyczaju na Kubie, w jednej rozległej plantacji cukru, gdzie spędziłem kiedyś cały miesiąc bardzo przyjemnie. Doskonale się on nadawał do warunków życia w Kalifornji. Można wprowadzić w nim pewne zmiany z roku na rok, zarówno jak w rozkładzie dziennych zajęć. Nawet w sprawach gospodarstwa domowego najlepszym nauczycielem jest doświadczenie. Sądzę jednak, że warto było zacytować ten przykład, gdyż wyniki były bardzo pomyślne. W ciągu całego roku szkolnego, to jest przez 8 miesięcy, ani razu nie zaszła potrzeba wezwania lekarza, choć było w domu osób 27, a wśród nich niejedna bardzo słabowita i dla zdrowia u nas umieszczona. W znacznej mierze przypisywać to należy cudownemu działaniu przepysznego klimatu Kalifornji, jednakże w danym roku nie były najlepsze warunki klimatyczne; był to — jak mówiono — w ciągu 30 lat najgorszy rok — to też obstaję przy mniemaniu, że ten fenomenalny stan zdrowotny zawdzięczamy samym sobie.

Zupełnie inne były warunki w New Hampshire. Prowadziliśmy tam obóz wakacyjny w całem znaczeniu tego wyrazu, ponieważ zaś wakacje trwały tylko dwa miesiące — przez lipiec i sierpień — musieliśmy zmierzać do rezultatów przyspieszonemi metodami. Można je jednak przystosować do warunków odmiennych i z odpowiedniemi zmianami wprowadzać w życie wszędzie w ciągu całego roku. Posiadłość, w której spędzaliśmy lato, obejmowała 200 akrów i przylegała do pięknego jeziora, którego czysta woda doskonale się nadawała do kąpieli i pływania, a rozległa powierzchnia do przejażdżek łódką i wiosłowania. Obóz nasz leżał na jakie tysiąc sześćset stóp nad powierzchnią morza. W rzeczywistości obóz ten stanowił jakoby małą osadę z ośmiu czy dziewięciu budynków i tyluż namiotów. Ponieważ nie jest widzialny z drogi, a gości przyjmowało się tylko raz na tydzień po południu, można było w zupełności swobodnie ułożyć tryb życia. Tylko naszej własnej winie musielibyśmy przypisać, gdyby wyniki nie były zadowalniające. Mieliśmy z reguły od 80-ciu do 90-ciu pensjonarzy, a na naszem gospodarstwie

przeszło 100 osób. Prawda, że cały sezon trwał tylko 9 tygodni, ale i ten czas wystarczy, by poznać chłopców, z którymi się przebywa nieustannie 24 godzin na dzień, i to znacznie lepiej, niż w ciągu kilku lat, gdy się przychodzi do nich tylko na godziny lekcji. Trudno znaleźć lepsze laboratorjum do badań nad wiekiem chłopięcym. W dodatku zastosowaliśmy system drużyn, co umożliwiało bardziej indywidualną i gruntowniejszą znajomość. Każdy z wychowawców ma 7-miu chłopców pod swą specjalną opieką. Zczasem staje się on dla nich starszym bratem. Razem z nimi sypiał, jadał, pływał, pracował, bawił się, a pod koniec wakacji lepiej znał każdego z nich, niż rodzony ojciec. Mali chłopcy sypiali w barakach, a starsi w namiotach. Do największego baraku, obszernego szaletu szwajcarskiego,schodzą się wszyscy na jedzenie, na lekcje, na modlitwy, muzykę i wogóle na zbiorowe czynności. Przy stole również utrzymuje się system drużyn tak, że wychowawca i tu może czuwać nad zachowaniem się swych chłopców tak samo, jak nad ich rozwojem fizycznym i moralnym.

Dzień każdy w obozie spędzano w następujący sposób: O godzinie siódmej dzwonek na wstawanie z łóżek i każdy musi się natychmiast zerwać ze snu. Chłopcy naogół śpią nago, zawinięci w swoje koce, są zatem odrazu gotowi do rannej kąpieli. Polega ona na oblewaniu zimną wodą na otwartem powietrzu. Jeśli chłopiec jest delikatny i nieprzywykły do zimnych kąpieli, trzeba go do nich powoli przyzwyczaić. Ponieważ i wychowawca razem z chłopcami bierze kąpiel, może odrazu zauważyć, czy wstrząśnienie nie było za silne. Niezmiernie łatwo to sprawdzić, widząc, jak chłopiec reaguje. Jeżeli wargi i palce sinieją, jasną jest rzeczą, że cyrkulacja jest słaba i że chłopca ochraniać należy. Należy go oblewać tylko co drugi dzień i może lepiej po południu. Jeżeli jednak chłopak śmieje się i czerwieni po kąpieli, zupełnie rozbudzony i ochoczy do zabawy, można uważać, że wiadro zimnej wody zrobiło swoje. W połączeniu ze świeżem powietrzem i promieniami słońca w krótkim czasie

wzmocni ono siły znakomicie. Oprócz rannej kąpieli jeszcze trzy czynności muszą poprzedzić ranne śniadanie: czyszczenie szczotką zębów, uczesanie włosów i wyczyszczenie paznogci. Jeśli wychowawca podejrzewa jakie zaniedbanie, pyta, czy chłopiec jest gotowy; jeśli niegotowy, nie pójdzie do stołu, póki nie spełni, co do niego należy. Są to drobiazgi, które mogą nudzić czytelnika— źle jest jednak pomijać je, jako rozumiejące się same przez się. W dwóch wielkich zakładach wychowawczych, które zwiedzałem w bieżącym roku, a z których jeden był bardzo dobrze, drugi bardzo źle prowadzony, zapytałem, czy ktokolwiek tutaj wie o każdym poszczególnym chłopcu, czy się kąpał rano, mył zęby, obciął paznogcie? Odpowiedziano, że nie; nie uważało się tam za rzecz właściwą stawiać takie elementarne pytania dobrze wychowanym chłopcom, a jednakże lepiej tego nie pomijać, bo może się między nimi trafić ten lub ów niedbały lub zaniedbany z domu. Wpajanie dobrych zwyczajów jest przecież rzeczą wielkiej wagi.

Ubranie w obozie jest dowolne i zależne wyłącznie od pogody. W dni gorące mało który chłopiec zechce wdziać więcej, niż jedno ubranie — parę majtek wyścigowych lub kostjum kąpielowy. Niektórzy wolą nie ubierać się wcale. Nietylko pozwala się na chodzenie nago, lecz nawet się do tego zachęca, zarówno z fizycznych, jak i moralnych względów. Doświadczenie wykazało, że powietrze i słońce najlepiej sprzyja rosnącym organizmom i jest rzeczą bardzo pożądaną, by chłopiec nie wstydził się swej nagości.

Chłopcy sami usługują przy stole. Ponieważ jest ich siedmiu w każdej drużynie, a dyżurny usługuje cały dzień, każdy chłopiec ma jeden dzień w tygodniu dyżur. Dyżurny musi być w jadalni dziesięć minut wcześniej, niż inni i nakryć do stołu. Znajduje stos talerzy przygotowanych dla siebie w pokoju służbowym razem ze srebrem i innemi sprzętami. Każdy oddział ma własną drewnianą tacę (zrobioną w warsztacie robót ręcznych) tak obszerną, że można za jednym razem wszystko zanieść

do jadalnego pokoju. Gdy chodzi o małych chłopców, ktoś starszy przenosi dla nich tacę. Stoły są sporządzone z białych desek z sosny Michigańskich lasów i nie są nigdy nakryte obrusami. Naczynia stołowe są dobierane bardzo starannie. Porcelana jest biała z niebieskiem; kubki i dzbanki są brunatne; szklanki są kształtne, srebro niewykwintne. Jakkolwiek to nakrycie jest proste, można stół nakryć ładnie. W pewne uroczystości zakłada się serwetę pod każdy talerz i rzuca się na nią jaki kwiat lub paproć. Lubię być w pokoju jadalnym, gdy te małe ogorzałe cherubinki nakrywają do stołu. Widok to bardzo miły, a gdy każdy z nich rzuca wkońcu baczne, badawcze spojrzenie na stół, by sprawdzić, jak się wywiązał z zadania, widzę, że wychowanie postępuje. Uczą się robić rzecz pożyteczną porządnie i sumiennie. W kilka minut później, za uderzeniem dzwonka znajdujemy się wszyscy na miejscu, a po ostatnim dzwonku siadamy do stołu.

Mamy wedle zwyczaju Kwakrów — naprzód chwilę ciszy — na dziękczynną modlitwę. Nie jestem pewien, czy chłopcy ją odmawiają; przeciwnie — jako chłopcy zapewne przeważnie nie mówią jej wcale; niemniej ta chwila wprowadza pewien uroczysty nastrój, który posiłek w sakrament zamienia.

A oto od każdego stołu biegnie mały poseł — Merkury w minjaturze — pędzi do służbowego pokoju i przynosi pierwszą potrawę: owoce lub melon. Zasiada i je razem z drugimi. Nie traci przez to udziału w ogólnej rozmowie. Wychowawca podaje sąsiadom, półmisek obchodzi stół wokoło. W rozmowie panuje zupełna swoboda i niemała wrzawa, a jednak przestrzega się przyzwoitych form i dobrych manier. Nikt z chłopców nie zabiera się do jedzenia, zanim każdy nie dostanie swej porcji i zanim nauczyciel nie podniesie widelca lub łyżki; żaden chłopiec nie sięga po jedzenie przed swoim sąsiadem. Gdy półmisek przyjdzie zkolei do jakiego chłopca, najpierw bierze go w rękę, a dopiero potem nakłada sobie jedzenie, jeśli zaś jeść nie chce, albo bierze go i podaje dalej, albo tylko lekko dotknąwszy, puszcza w dal-

szą kolej — jeśli tak jest wygodniej. W tych drobnostkach szybko ustalają się dobre zwyczaje. Bawiło mnie, gdy widziałem, jak chłopiec, odmawiając drugiej porcji zupy, machinalnie odpychał ręką wazę. Bardzo silnym jest w chłopcach popęd do rzucania przedmiotami lub podnoszenia ręki na towarzyszy, ale jedno i drugie w interesie porządku należy poskramiać surowo, a nawet czasem karać. Jeśli się zdarzy, że naraz chłopiec nagle zerwie się od stołu, a ten, co siedzi naprzeciw niego, ma minę rozpromienioną, na pewno trochę zimnej wody wylano pod stołem. Rozumny nauczyciel umie być we właściwej porze ślepym.

Po pierwszej potrawie dyżurny zabiera talerze, a nauczyciel i koledzy pomagają mu ustawiać je na drewnianej tacy. I tu, jak zawsze, musi panować współdziałanie. Nieporządnie zastawiona taca przysparza zbytecznego trudu w pokoju służbowym i pociąga za sobą naturalną karę wedle Spencerowskiej zasady. Dyżurny, przyniósłszy drugą potrawę, siada razem z kolegami do jedzenia; jeśli żądają przykładki, wychodzi i przynosi nową porcję. Czasem na ochotnika wyręcza go który z towarzyszy; zasadą jest tylko, by zawsze jeden tylko na raz wstawał od stołu. Po trzeciem ostatniem daniu dyżurny sprząta ze stołu, zbiera papierowe serwetki i rzuca do koszyka, skąd je biorą do spalenia, zmiata ze stołu szczotką, albo też wyciera ścierką, jeśli się cokolwiek rozlało, a gdy obóz kończy posiłek, wszystko jest już w zupełnym porządku. Wszystko odbywa się porządnie i prawidłowo, a gdy chłopcy dobrze zrozumieją, o co chodzi, przyznają wkońcu sami, że porządek i ceremonjał przyjęty sprzyjają istotnej swobodzie i szczerej wesołości. Słowem, przekonają się, że nawet w tych drobiazgach codziennego życia można zachować przyzwoitość i godność, i że ta jest znacznie milszą, niż zamęt i nieład, do którego prowadzi niedbalstwo i bezmyślność.

Rozszerzałem się nad temi drobnostkami, gdyż mojem zdaniem mają one duże znaczenie wychowawcze. Tysiąc razy w ciągu roku siadamy do stołu, choćby dlatego

warto tę czynność uszlachetnić. Nasze zachowanie się przy stole zabarwia resztę naszych codziennych czynności i staje się ważną częścią naszego ogólnego sposobu życia. Trzeba przyznać, że Amerykanie nie zachowują się bardzo wytwornie przy jedzeniu. W Europie, jeśli naprzeciw nas w hotelu lub pensjonacie przyjdzie jakiś gość zająć miejsce i nie powie „dzień dobry", można być pewnym, że to Amerykanin. Charakterystycznym rysem chłopców jest pogarda dla dobrych manier. Płynie to stąd, że widzą w nich rzecz konwencjonalną i pozbawioną sensu, a gdyby starsze głowy były się wysiliły na inne pomysły, to samo, co nie uchodzi, mogłoby być uważane za przyjęte i polecenia godne. Jeśli jednak wyjaśnimy im, że prawdziwa grzeczność, rzeczywiste formy towarzyskie wynikają ze względów, jakie winniśmy mieć dla drugich, że są cząstką tego poszanowania, jakie człowiek dobrze wychowany ma dla siebie samego —*noblesse oblige*— łatwo pozyskamy ich dla naszego systemu.

Możnaby sądzić, że stadko półnagich chłopców, zasiadające wokoło gołych sosnowych stołów, pozbawione towarzystwa płci pięknej — robi wrażenie jakiejś hordy bawiących się dzikusów raczej, niż towarzystwa młodych gentelmenów. Jednakże wprost przeciwnie się dzieje, to ostatnie wrażenie przeważa. Przedewszystkiem strój nie jest bynajmniej tak niedbały, jakby się zdawało. Chłopiec może przyjść bez ubrania, jeśli mu się podoba, lecz nie może przyjść w bylejakiem ubraniu; nie może się okryć szlafrokiem ani pijamą; nie może zamiast jersey'a wziąć koszuli zwykłej, nie może mieć koszuli bez kołnierzyka; nie wolno mu przyjść bez kurtki, a w kamizelce lub w szelkach. To wyklucza wszelkie niedbalstwo i pospolitość, a w rzeczywistości nagi chłopiec, opalony na słońcu, nie razi bardziej swem przebraniem, niż grecki posąg. W sztuce ceni się wysoko nagie ciało nietylko dlatego, że może być piękne, lecz że może mieć siłę wyrazu. Spędziwszy siedemnaście razy lato w obozie wakacyjnym, wyznaję, że nie mogę orzec, czy dany chłopiec jest piękny i dobrze wychowany, póki nie widzę go na-

gim, gdyż charakter przebija się w każdym ruchu, w każdem zajęciu, w każdym ruchu ramion i postawie. Dopiero o nagim chłopcu można powiedzieć, czy jest dobrze rozwinięty i odchowany. My wychowawcy i rodzice winniśmy mieć na celu pełny, harmonijny rozwój dzieci.

Po drugie gołe stoły i proste drewniane ściany bynajmniej nie są barbarzyńskie. Stoły są nieskazitelnej czystości, a barwa surowego drzewa znakomicie harmonizuje z kolorem porcelany i nakryciem stołu. Krzesła są zwykłych kształtów kuchennych, lecz nie są malowane na żółto, tylko na zielony kolor mchu. Ściany nie są obite, ale między belkami są półki zapełnione książkami. Istnieje niewątpliwie piękno przepychu i obfitości, piękno klejnotów i sztukateryj, haftów i adamaszków, ale istnieje również piękno barwy i kształtu, a to jest dostępne dla każdego, kto posiada w duszy poczucie estetyczne. Piękno jest bądź co bądź duchową cechą i żadnym nakładem zbytku i przepychu nie osiągnie go ten, kto ma duszę tępą i ubogą. Bynajmniej nie chcę obniżać znaczenia subtelnych tworów sztuki, zdobnictwa i artystycznego kunsztu, lecz zawsze największy mój podziw budził ten, kto prostym i tanim materjałem bez długiego zachodu osiągał wrażenie piękna i estetycznego powabu.

Chłopcy mają naogół niezbyt subtelne usposobienie i niezbyt się interesują sztuką, niemniej jednak zauważyłem w nich ciekawą wrażliwość na te efekty barwy i kształtu, zwłaszcza wieczorem przy dobrze obmyślonem oświetleniu.

Przyznać trzeba, że daje się odczuwać brak wpływu kobiet i że ich nieobecność znacznie obniża urok towarzyskiego życia. Jednakże w obozie wakacyjnym lepiej jest, że ich niema, gdyż dzięki temu można prowadzić prostszy i swobodniejszy tryb życia. Zauważono również, że u najlepszych typów mężczyzn znajdują się pewne wyraźne cechy kobiecości, które można pielęgnować i rozwijać bez uszczerbku cech męskich. „Siła i wdzięk: pierwszą rozwijają mężczyźni, drugi kobiety; ty staraj się pielęgnować obie zalety“. Oto jaki typ męż-

czyzn pragnę widzieć w szkołach męskich, zwłaszcza w obozach wakacyjnych i internatach: — jednostki silne, czyste, dzielne, ale zarazem miłe i uprzejme. Najlepsze nawet z naszych uniwersytetów systematycznie tępią ten rodzaj osobników. Do obozu, choćby najściślejszą odgrodzonego klauzulą, nie przestają przenikać wpływy kobiece. Przynoszą je listy z domu, wspomnienia z niego wyniesione, nauki udzielane w obozie, dotyczące obowiązków względem rodziny, panie przybywające z wizytą w popołudnia przeznaczone dla gości, lub na obiady niedzielne, po których przysłuchują się muzyce w kaplicy.

Zaraz po śniadaniu chłopcy robią porządek w swoich kwaterach. O 9-ej gromadzą się wszyscy w kaplicy. Nabożeństwo jest bardzo proste i pozbawione cech wyznaniowych. Jest ono w najwyższym możliwie stopniu wyrazem religji powszechnej. Odmawia się unisono Modlitwę Pańską, a potem śpiewa się hymn. Ponieważ chłopcy w kaplicy są umieszczeni wedle głosów, łatwo jest prowadzić chór na głosy. Posługujemy się Psałterzem Episkopalnym, nie dlatego, by on zawsze odpowiadał współczesnemu poczuciu religijnemu, lecz że wyraża bardzo bogaty historyczny zbiór dokumentów kultu oraz najwyższe dążenia ducha religijnego. Nie znam dotąd lepszej kolekcji. Następnie odczytuje się naukę na dany dzień. Bywa ona wybrana z dawnych greckich lub indyjskich filozofów, z Konfucjusza lub Zoroastra, ze Starego Testamentu lub z Nowego, a wtedy najczęściej z Ewangelji św. Mateusza, z pisarzy współczesnych lub poetów wszelkich krajów i epok. Ta nauka obejmuje bardzo szeroki zakres duchowych przeżyć a ma na celu przed rozpoczęciem zajęć codziennych natchnąć słuchaczy jakąś piękną myślą, wpajać w nich tolerancję i dostarczyć dowodów powszechności religji. Na zakończenie nabożeństwa znów śpiewa się hymn, poczem udzielane są wskazania na dany dzień.

Ja osobiście przywiązuję dużą wagę do ceremonjału, do dobrych manier, do pewnego rodzaju etykiety, nauczyło mnie bowiem doświadczenie, że one nietylko pod-

noszą piękno i dostojność życia lecz w rezultacie czynią je bardziej swobodnem. Podróżując angielskiemi okrętami po Dalekim Wschodzie, nawet tak małemi, że zaledwie garstkę pasażerów mieściły, przekonałem się, że zwyczaj oficerów przebierania się do obiadu, że nieodmienne odczytywanie angielskiego nabożeństwa w niedzielę—przyczyniały się bardzo do utrzymania porządku i przyzwoitego tonu na pokładzie. W szczególności przy prowadzeniu chłopców przyda się trochę obowiązkowego ceremonjału i form zewnętrznych, gdyż poza tem dzień cały mogą spędzać w sposób bardzo swobodny a prosty i niekonwencjonalny, nie zniżając się do prostactwa i grubjaństwa.

Po nabożeństwie następuje lekcja uwagi. Jest to zupełnie lokalny wynalazek, lecz mojem zdaniem wart naśladowania. Zasadza się ona na tem, że wypowiada się jakieś twierdzenie, w którem kryje się coś niedorzecznego, lub jakieś zagadnienie, albo poprostu zagadkę, wreszcie spostrzeżenie samodzielne wymagające wyjaśnienia. Odpowiedzi są dowolne a temat ich poddany przez pierwszego mówcę. Trzeba trochę zręczności, by utrzymać w biegu rozmowę. Gdy wychowawca wyczerpie zapas własnych pomysłów, zwraca się do różnych grup, by one podały jakiś nowy orzech do zgryzienia. Jeśli im się to szczęśliwie uda, chłopcy promienieją z radości. Cała historja trwa dwie do trzech minut; chodzi w niej oto, by zmusić do skupienia uwagi, zarazem do szybkiego i bystrego myślenia.

Potem następuje zbiorowa lekcja śpiewu. Nauczycielem śpiewu jest człowiek bardzo doświadczony i wykształcony, lecz główną jego zaletą jest piękny baryton, którym śpiewa dźwięcznie i przejmująco. Sztuka znaczy tu więcej niż nauka. Ćwiczenia obejmują zakres szeroki, począwszy od śpiewania gam i interwali aż do kompletnych partycyj. Nasze najpopularniejsze pieśni nie są bez zarzutu, ale jest dużo starych pieśni angielskich bardzo ładnych i wesołych. Niekiedy nauczyciel śpiewa pieśń solo, a chłopcy chórem śpiewają zwrotkę. Dwa dobrze

wypełnione miesiące wakacyj nie starczą na to, by człowieka zrobić muzykalnym, jednakże nawet 15 minut dziennie poświęcając na śpiew, można obudzić zamiłowanie do muzyki i poczucie gustu. Nawet czysto negatywny wynik: wzbudzenie odrazy do tonów krzykliwych i fałszywych— już jest wart zachodu. Przybyły do nas równocześnie trzy młode osoby; ich bliska przyjaciółka tak je scharakteryzowała: pierwsza nie ma gustu, druga jeszcze nie ma gustu, trzecia ma zły gust. Zgodziliśmy się odrazu co do tego, z którą będzie najwięcej trudności.

Tak spędziwszy czas do wpół do 10-ej, chłopcy rozchodzą się na dwie lekcje trzykwadransowe lub do innego zajęcia, jak nauka zręczności, zdobnictwo, studjowanie przyrody, muzyka, gimnastyka lecznicza. Lekcje obejmują cały zakres przedmiotów szkolnych. Są więc lekcje greckiego, łaciny, francuskiego, niemieckiego, angielskiego, hiszpańskiego języka, historji, geografji, przyrody, matematyki—od arytmetyki zaczynając — słowem, wszystkich nauk, jakie może udzielać 14 — 15-stu zdolnych nauczycieli. O jedenastej starsi chłopcy dzielą się na dwie grupy do gimnastyki szwedzkiej, a młodsi idą do jeziora na naukę pływania. Gimnastyka trwa niecałe pół godziny, sądzimy jednak, że jest ona doskonałym środkiem do kształcenia woli i wzmacniania zdrowia. Dobrze prowadzona, wdraża ona ścisłą dyscyplinę, wymaga bowiem zupełnego milczenia i doraźnego spełniania rozkazów. Ćwiczenia odbywają się na otwartem boisku i nie wymagają żadnych przyrządów. W skład ich wchodzą ruchy każdej części ciała osobno — ramion, nóg, ud, rąk, stóp, szyi, głowy — oraz ruchy całego ciała. Celem ich jest nietylko rozwój i wyćwiczenie muskułów, lecz zupełne opanowanie ruchów ciała, aby ono stało się sprawnem i posłusznem narzędziem ducha. Gdy wymienia się jakąś część ciała, uczeń musi natychmiast skupić na niej uwagę; gdy nakazany jest jakiś ruch, musi go doraźnie wykonać. Jeżeli omyli się i np. zamiast prawego ramienia podniesie lewe, jeżeli wykona ruch w fałszywym kierunku, otrzymuje surową naganę. Nie chodzi o sam ruch, lecz

o ruch świadomy, rozmyślny i planowy. Nauczyciel może dzieciom pokazywać, jak się dany ruch robi, ale gdy go chłopcy wykonywają, on musi przyglądać się im nieruchomo.

Na dole, nad jeziorem malcy uczą się pływać i zanurzać. Przyroda była dla nas bardzo łaskawą, dając nam uroczą przystań ze śliczną, zadrzewioną wyspą u wyjścia z przystani, służącą nam zarazem jako osłona i jako cel pływackich wycieczek. Codziennie stwierdzaliśmy doświadczeniem, jaki pożytek przynosi wczesne ćwiczenie fizyczne. Chłopcy dziesięcio- lub dwunastoletni nieraz po dziesięciu dniach lub dwóch tygodniach nauczyli się pływać, a nim minęło lato, umieli przepływać jezioro, to jest odległość przeszło półmilową. Naturalnie wychowawca lub pomocnik jego towarzyszył im, płynąc łódką za nimi. Z drugiej strony chłopcy siedemnastoletni z klasy popołudniowej czasem przez całe lato uczyli się pływać a wkońcu jeszcze nie umieli. Dopiero następnego lata robili wyraźne postępy a zaledwie wkońcu drugich wakacyj odważali się przepływać na drugą stronę jeziora. Właściwie niejeden ze starszych nigdy nie dochodził do tej doskonałości. Obok pływania duży nacisk kładzie się na zanurzanie. Jedno i drugie jest pożyteczne, jedno i drugie znakomicie ćwiczy muskuły i ciało,—a wkońcu—czego również lekceważyć nie można — sprawia dzieciom ogromną uciechę. Mali chłopcy uczą się od wpół do 10-ej do 11-ej, nie potrzebują tedy wracać do Głównego Obozu aż na śniadanie o godzinie 1-ej.

Sprawa ręczników jest wprawdzie drobna ale warto o niej wspomnieć, jako o typowym przykładzie tej prawdy, że typowy wychowawca w każdą drobnostkę wnikać powinien, jeśli chce czuwać nad zdrowiem dzieci. Zauważyliśmy, że chłopcy posługiwali się nieraz zbyt brudnemi ręcznikami, że pożyczali ich sobie wzajemnie—a co najgorsza — brali je zpowrotem do obozu jeszcze wilgotne, zawieszone na szyi lub na ramieniu. W następstwie tego zdarzały się choroby gardła i karku, które natychmiast zniknęły, skoro tylko zabroniono używania ręczni-

ków. Obecnie używamy powietrza za ręcznik, co jest i czystsze, i zdrowsze, i mniej kłopotliwe.

Mimochodem zaznaczę, że używamy również powietrza jako ścierki do talerzy. Umieszcza się je w tym celu w prostej ramie i tam schną na powietrzu, a do następnego posiłku są i czyste i suche. Ten system oszczędza wiele czasu i — jak niejedna oszczędność, daje lepsze rezultaty. Nietylko szkło i porcelana lepiej zachowują połysk, lecz nie mają ani śladu owego kwaśnego zapachu ścierek, który nas tak często prześladuje na letniem mieszkaniu.

O wpół do dwunastej starsi chłopcy mają znowu dwie lekcje lub zajęcia praktyczne, które trwają do pierwszej minut dziesięć, poczem wszyscy zbierają się na drugie śniadanie. W ciągu kilku pierwszych lat, ulegając panującemu przesądowi, sądziliśmy, że dzieci i młodzież mogą obiadować w południe; mieliśmy tedy ten nieznośny obyczaj jadania obiadów w połowie dnia. Przez trzy ostatnie lata powróciliśmy do rozsądnego zwyczaju obiadów wieczornych. Nakłoniły nas do tego trzy względy: przedewszystkiem chłopcy miewają po południu najcięższe ćwiczenia a wieczorami najlepszy apetyt. Po drugie— zajęcia wieczorne są z natury rzeczy spokojniejsze i bardziej sprzyjają spokojnemu trawieniu. Po trzecie—miłe uczucie wypoczynku, świeże ubranie, czar płonącego na kominku ognia, zapalonych lamp i świec, wszystko to podnosi wrażenie świąteczne obiadowej pory. Praktyczne wyniki były bardzo zadowalniające. Śniadanie składa się z niegotowanych roślin zbożowych, jednej potrawy i prostego deseru, złożonego zwykle z owoców i biszkoptów.

Po śniadaniu chłopcy rozpraszają się po swoich legowiskach i odpoczywają pół godziny. Nie wymaga się od nich, by spali; muszą tylko leżeć spokojnie nawznak. W rzeczywistości zwykle wtedy wychowawca czyta im głośno, przeważnie jakąś zajmującą, pełną przygód powieść. Jak najgoręcej polecać należy takie głośne czytanie. Nic tak nie łączy grupy, jak wspólność pewnych duchowych zainteresowań. Przy wyborze czytania roz-

sądek wskazuje, że należy się raczej kierować tem, co pociąga i zajmuje chłopców, niż tem, co wedle naszego mniemania podobać im się powinno. W istocie są oni ogromnymi idealistami. Dla nich bohater musi być wiele dzielniejszy i cnotliwszy, niż dla dorosłych czytelników, takich zwłaszcza, którzy lubią realizm i analizę psychologiczną. Przedewszystkiem jednak chodzi im o to, by bohater jak najwięcej dokonywał czynów i to jak najbardziej zdumiewających, a ja widzę w tem bardzo zdrowy popęd natury ruchliwej i czynnej. Zwiedzałem raz szkołę niemiecką bardzo sławną i trafiłem na głośne czytanie, długie i monotonne. Dzieci siedziały na ławkach pozornie bardzo przykładnie, lecz żadne z nich nie sprzeniewierzyło się o tyle swej dziecięcej naturze, by rzeczywiście słuchać czytania. Potem zapytałem o nazwisko autora — czytano Szopenhauera.

Mam wielkie uznanie dla szkół niemieckich i muszę przyznać, że ten przykład nie jest wcale typowy. Typowe jest tylko owo zboczenie, na które cierpią częstokroć umysły nauczycielskie. Naodwrót w Porto Rico spotkałem się z chorobliwie krańcowem stosowaniem zasady czynnego współudziału uczniów w lekcji. Wedle dawnego systemu dzieci wygłaszały lekcję unisono, przyczem najlepszym uczniem bywał oczywiście ten, który miał najsilniejsze płuca. Wrzawa była straszna i słychać ją było daleko poza domem szkolnym. Jeżeli na jakąś chwilę przerwy cichła, alcalda posyłał zwiady dla stwierdzenia, czy nauczyciel pełni swą powinność.

Pozwoliłem sobie na tę dygresję, by zaznaczyć, że my—rodzice i nauczyciele — jak matematycy, rozumujący o nieskończonych wielkościach i czwartym wymiarze — musimy zawsze poddawać nasze wnioski nieomylnej próbie zdrowego sensu.

Popołudnie, od wpół do trzeciej do wpół do szóstej—spędzają chłopcy na otwartem powietrzu na grach ruchowych, ćwiczeniach i pracy fizycznej, grają w tennisa, piłkę nożną, drapią się na góry, wiosłują, zajmują się stolarką, budowaniem szałasów i t. p. O trzeciej lub

trochę później, gdy zabawa w piłkę się skończy, starsi chłopcy idą na lekcję pływania i nurkowania. Około zachodu słońca zaczynają się gromadzić wpobliżu głównego baraku, a o kwadrans na siódmą zaczyna się obiad. Posiłek prosty, złożony z trzech dań, podany bywa z całym efektem światła i barwy, a zaprawiony wesołą rozmową. Stanowi on biesiadę i czyni się wszystko w tym celu, by wywołać świąteczny nastrój biesiady. Jeśli są urodziny którego z malców, przy obiedzie otrzymuje urodzinowy placek z zapalonemi świecami, tyle świec, ile ma lat, i jedną dużą świecę, by wyrastał dalej.

Jeżeli nauczyciel ma jakie ciekawe opowiadanie lub anegdotkę, zabawia niemi swych współbiesiadników. Miłe obowiązki codzienne już spełniono, teraz pora na odpoczynek i życie towarzyskie. Najpierw trzeba zapracować na tę przyjemność. Wprawdzie — jak już Arystoteles zauważył, człowiek jest zwierzęciem towarzyskiem, lecz wśród naprężenia nowoczesnych warunków życia i pod klątwą zamykania się w sobie, instynkt towarzyski w nim jest uśpiony. Przedewszystkiem dla zbudzenia go stworzyć trzeba przyjazne warunki zewnętrzne. W tej olbrzymiej sali jadalnej panowałby naprzykład hałas nieznośny, gdyby nie postarano się temu zapobiec. Już to samo, że chłopcy są bądź to boso, bądź co najwyżej w trepkach, usuwa bardzo ważne źródło hałasu. Drugim, łatwym do zastosowania środkiem jest ustawianie rzeczywistych stołów jadalnych wkoło brzegów sali, stanowią one jakgdyby ramę hałaśliwą. Środek jej zajmuje wielki stół, przy którym nikt nie siedzi, zastawiony kwiatami, pełen książek, a na nim dwa wielkie kandelabry. Gdy wieczorem świece zostaną zapalone, wygląda on jak ołtarz, i rzeczywiście jest on ołtarzem milczenia. To umożliwia żywą rozmowę wokoło sali. Jednego roku przyśrubowaliśmy kauczukowe gałki pod nogi krzeseł; stały się naogół za ciężkie, by pod zwykłym naciskiem chłopców posuwać się mogły. Wspomnę jeszcze o jednym drobnym środku ostrożności, w zasadzie zrozumiałym sam przez się, a jednak często uchodzącym uwagi: każdy chłopiec musi mieć dość miej-

sca na łokcie, a stoły powinny być rozstawiane dość rzadko, by biesiadnicy nie potrącali się. Zwykle grupa ośmiu osób, wychowawca i siedmiu pensjonarzy, zajmuje stół mający osiem stóp na cztery. Na jednym końcu siedzi nauczyciel i jeden chłopiec naprzeciw niego, po trzech po każdej stronie — ośmiostopowej. Szerokość stołu starczy nato, by każdy malec miał dość daleko do swego vis à vis. Takie to drobne sposoby, dobrze obmyślone, stanowią o wygodzie i uprzyjemniają życie towarzyskie. Uważałem zawsze, że dobre maniery i gładkie stosunki łatwiej jest zachować, gdy otoczenie jest wygodne.

Po obiedzie wieczór zbyt szybko mija. Czasem bywa muzyka w kaplicy; zawsze ożywiona pogawędka wokoło wspólnego ogniska. Przy wielkich stołach bawią się chłopcy w gry towarzyskie. Tu i owdzie chłopiec czyta książkę lub pisze listy. Jakaś grupa oddaje się grze w szachy lub w warcaby, gdy inna z całą zapalczywością młodzieńczą toczy dyskusję o jakiejś wielce interesującej kwestji. Na dworze przed tym i owym namiotem płonie ognisko, na niem piecze się jakiś przysmak lub też toczy się opowiadanie strasznych bajek, które rozkosznym dreszczem przejmują dzieciaków. O ósmej mali chłopcy idą spać, o dziewiątej większość starszych również się kładzie do snu. Obóz zdrowo zasypia. Można o którejkolwiek godzinie nocy obejść go wkoło, a nie spotka się żywej duszy i nie usłyszy żadnego innego dźwięku prócz dalekiego wycia lisów, głosu ptaków nocnych i zdrowego, miarowego oddechu śpiących chłopców.

Ten prosty rozkład dnia przetrwał próbę siedemnastu wakacyjnych sezonów. Należy zauważyć, że jest on mniej radykalny niż w Kalifornji, zwłaszcza co do rozkładu posiłków. Wakacje trwają tak krótko, zaledwie dziewięć tygodni, że nie byłoby rozsądnie zbyt daleko odbiegać od zwyczajów domowych i od ogólnie przyjętych w życiu wsi okolicznych. Nie podaję tego programu jako czegoś osobliwego, jako wzoru skończonego; sami zmieniamy trochę co roku. Godne uwagi są tylko jego wy-

niki. W ciągu siedemnastu lat ani razu nie zdarzyła się jakakolwiek choroba, jakiś wypadek, śmierć, lub fakt niesubordynacji. Z kilkuset chłopców, którzy bawili w obozie, tylko w kilku wypadkach nie osiągnięto wyników dodatnich. Zdarzyły się dwa lub trzy wypadki chronicznie cierpiących, którym prosty tryb życia pod gołem niebem nie służył, dwa lub trzy, w których wada organiczna wymagała kompetentnej kuracji u zawodowych specjalistów, i bardzo nieliczna garstka chłopców, którzy nie mogli się nagiąć do cichego i prostego trybu życia. Olbrzymia większość pensjonarzy, przeszło 90%, czuła się doskonale. Wielu z nich przeobraziło się fizycznie, wielu po raz pierwszy w życiu uczuli się silni i zdrowi; większość wyniosła z obozu nowe pojęcie uroku i powabów zorganizowanego i ujętego w rozsądny system zbiorowego życia. Prostota życia w obozie jest czemś tak nowem i bezprzykładnem, stosunek uczniów z wychowawcą tak nieustanny i bliski, że dwa miesiące spędzone w ten sposób wywierają głębszy wpływ na dorastających chłopców, niż osiem lub dziewięć miesięcy przebytych w przeciętnej szkole.

Rozpisałem się tak obszernie o tych dwóch próbach, gdyż mają one większą wartość — jako konkretne doświadczenie — od wielu szerzej obmyślonych, lecz jeszcze niewypróbowanych przedsięwzięć. Posiadają one — jak powiedziałby Wilhelm James, wiele większą „wartość kasową". Społeczne znaczenie eksperymentu jest względne, gdyż warunki zewnętrzne stają na przeszkodzie rozpowszechnieniu. Niekażdy ojciec lub nauczyciel może rozbić namiot na płaskowzgórzu południowej Kalifornji lub na pagórkach New Hampshire, dać chłopcu konia wierzchowego, jezioro, na któremby pływał i wiosłował, a nawet choćby obszar pola, po którem mógłby się przechadzać. Wielu jednak mogłoby dostarczyć dzieciom podobnych i równoważnych rozkoszy, o ileby tylko mieli tę myśl i byli silnie przekonani, że takie proste życie pod gołem niebem jest piękne i pełne powabów. Znacznie częściej przeszkody są raczej wewnętrzne niż zewnętrzne, brak

zrozumienia natury dziecięcej i jej prostych potrzeb. Ponieważ ogół rodziców i wychowawców musi stosować się do warunków i okoliczności danych, to co w moich eksperymentach stanowi istotną, zasadniczą stronę, może — na szczęście—niemal wszędzie zostać wprowadzone w życie— pedantyczna czystość we wszystkiem, w powietrzu, pożywieniu, mieszkaniu, odzieży i t. p., pokrzepiające zimne kąpiele, prosta dieta i proste ubranie, ruch i światło słoneczne. Wszędzie można chleb powszedni uczynić sakramentem przez chwilę skupienia i ciszy, wszędzie wieczorny posiłek można zamienić w zbiorową biesiadę; wszędzie cudotwórcza moc miłości połączonej ze zdrowym rozsądkiem może stworzyć ogród rozkoszy i zdrowia.

Wszystko, co tutaj tak usilnie polecam, są to środki, które bądź nic nie kosztują, bądź są znacznie tańsze niż to, co mają zastąpić. Życie na otwartem powietrzu jest tańsze niż mieszkanie pod dachem. Gimnastyka szwedzka odbywa się bez przyrządów; można ją prowadzić na podwórzu miejskiego domu albo nawet w pokoju przy otwartych oknach. Łatwiej o zimną wodę niż o ciepłą. Proste jadło i odzież kosztują mniej niż wytworne i skomplikowane. Nie można tedy powiedzieć, by te rzeczy zdrowe były dla kogokolwiek niedostępne; trudność w tem leży, że się o nie bardzo usilnie nie ubiegamy.

Nazwałem te lata dziecięce wdzięcznym wiekiem szczęśliwości. W życiu dobrze przeżytem każdy okres może być szczęśliwym i owocnym, lecz pierwsze czternaście lat są może najważniejsze ze wszystkich. Bóstwo obciążyło nas, wychowawców, wielką opowiedzialnością, gdyż dziecięcy wiek jest zarazem bardzo bezradnym. Dziecko całkowicie zależy od dorosłych. Natura jego jest plastyczna, wrażliwa, bierna. My starsi mamy w ręku jego losy. Stan zdrowia, jaki nam zawdzięcza, umiejętności, które w nim rozwijamy lub zaniedbujemy, wszystko co dla niego robimy lub czego je pozbawiamy, zabarwia całe jego dalsze życie i ma dla niego tragiczną wagę Przeznaczenia. Ewolucja postępuje niedostrzegalnym ruchem. Świat niesłychanie powoli staje się humanitarnym.

Jako jednostki bardzo niewiele uczynić możemy dla swego udoskonalenia. Gdy duch nasz zdobędzie jasną świadomość swych zadań, już wdzięczne lata należą do przeszłości. W dzieciach tylko, w tem nowem pokoleniu rosnącem w naszych oczach — mamy możność drogo zdobyte ideały wcielać w rzeczywistość i spełniać wzniosłą misję twórczą. Nie nam będzie dano osiągnąć cel promienny, lecz w naszej jest mocy, by one się ku niemu zbliżyły.

TABLICA WZROSTU I WAGI.

Uwaga: Między dziećmi istnieją z natury rzeczy indywidualne różnice odchylenia od norm, które podajemy, jako przeciętne, gdy jednak są one bardzo uderzające, należy zbadać przyczyny, zwłaszcza w razie dysproporcji między wzrostem a wagą. Dokładniejsze wskazówki znaleźć można w *Przewodniku* Hastings'a, w komunikatach Biura Edukacyjnego Stanów Zjednoczonych.

Wiek (lata)	Chłopcy		Dziewczynki	
	Wzrost	Waga	Wzrost	Waga
5	3 st. 6 c.	39 f.	3 st. 5 c.	38 f.
6	3 „ 8 „	43 „	3 „ 7 „	41 „
7	3 „ 10 „	47 „	3 „ 9 „	46 „
8	4 „ 0 „	51 „	3 „ 11 „	49 „
9	4 „ 2 „	55 „	4 „ 2 „	55 „
10	4 „ 4 „	61 „	4 „ 4 „	60 „
11	4 „ 5 „	65 „	4 „ 5 „	64 „
12	4 „ 7 „	72 „	4 „ 8 „	73 „
13	4 „ 9 „	78 „	4 „ 10 „	83 „
14	4 „ 11 „	87 „	5 „ 0 „	94 „
15	5 „ 2 „	103 „	5 „ 2 „	103 „
16	5 „ 4½ „	116 „	5 „ 2 „	111 „
17	5 „ 7 „	125 „	5 „ 3 „	111 „
18	5 „ 8 „	130 „	5 „ 3 „	112 „

VII.

DUCH.

Wychowawcy i psychologowie zaczynają uznawać ogromną wagę wieku dziecięcego. Znaczenie tego okresu życia jest wręcz tragiczne. To co się dzieje w ciągu pierwszych czternastu lat życia wywiera tak potężny wpływ na cały jego dalszy przebieg, że daje podstawę naukową do wiary w przeznaczenie. Niejedno wrażenie otrzymane nawet w pierwszych czterech latach trwa podświadomie i staje się czynnikiem rozstrzygającym w późniejszym wieku. Nieraz jakaś anormalność tłumaczy się temi niepochwytnemi a drzemiącemi w duszy odbiciami dawnych przeżyć. Aby zło uleczyć, należy odkryć te podświadome impulsy i wyprowadzić je za próg świadomości. W większości wypadków są one trywjalne i nielogiczne. Cała ich siła tkwi w tem, że działają bez wiedzy tego, kto jest niemi dotknięty, że jest to wróg utajony. Nie wytrzymują światła dziennego. Skoro tylko pacjent uświadomi je sobie, natychmiast sam dostrzega ich pospolitość i niedorzeczność i odrzuca je samorzutnie bez wysiłku. Ich moc pierzcha. Diagnoza stanowi razem i kurację.

Trwa jednak zło, które zdążyły tymczasem zaszczepić krnąbrność, głupota, niemoralność. Psycholog praktyczny musiał poświęcić dużo starań i umiejętności, by odkryć przeszkodę. Pacjent nie mógł mu w tem dopomagać, gdyż wrażenia były nieświadome. Tylko ktoś z zewnątrz mógł je zidentyfikować. Freud i inni badacze uciekali się do skojarzeniowych sprawdzianów i analizy snów. Ze zdumiewającą zręcznością i cierpliwością wnikali w tajemnice wewnętrznego podświadomego życia, by wykraść im zagadkę ich mocy szkodzenia.

Skłaniam się tem bardziej do przyjęcia wyników psychoanalizy, że one są zgodne z wielu zdobyczami mego własnego niezbyt rozległego doświadczenia. Często chwytam sam siebie na postępowaniu, które nie jest ani logiczne, ani konsekwentne, którego nie pochwala moje

lepsze ja. Jednakże pozorne pobudki są tak usprawiedliwione, że mimo wewnętrznego niepokoju nie mogę się powstrzymać i idę aż do końca. Bardzo często i wahanie i jego zagadkowa przyczyna trwają. W wielu wypadkach jednak udało mi się odkryć ich przyczynę. Jest ona bardzo prosta: tłumaczy się tem, że *pozorna pobudka nie jest rzeczywistą.* Gdy uświadomimy sobie pobudkę istotną, cała sprawa odrazu jest załatwiona. Być ostrzeżonym znaczy nieraz tyle, co być zabezpieczonym. Gdy uświadomię sobie swe wahanie i niezadowolenie, chwytam natychmiast wątek i po nitce do kłębka trafiam do źródła mego postępowania, do pobudki istotnej. Niezawsze jestem w możności odkryć intruza, lecz im uporczywsze moje wahanie, tem pewniejszy jestem, że pod pobudką mniemaną kryje się istotna, a skoro ją wydobędę na światło dzienne, natychmiast się przekonywam, że jej powagi wcale nie uznaję. W pewnych razach można wywieść ów ukryty impuls od jakiegoś faktu z dzieciństwa lub młodości wczesnej, od jakiegoś wrażenia, które wryło się głęboko w podświadomą nierozumiejącą jaźń. U mnie w szczególności trudność zrodzić się mogła z jakiegoś zakazu, który może był słuszny w danym konkretnym wypadku, lecz gdy go świadomość dziecięca rozciąga na zbyt szeroki zakres, wytwarza bezradność i wprowadza w błąd.

W miarę lat wzrastającą wciąż niezawisłość osiągamy — jak sądzę — przez opanowanie tych wewnętrznych przeszkód — krnąbrności i egotyzmu, właściwego duszom niedoświadczonym i niekarnym.

To moje osobiste doświadczenie uważam za bardzo powszechny i typowy objaw. Przekonałem się o tem w rozmowie z wielu mężczyznami i kobietami, od których słyszałem podobne wyznania. Można doprowadzić do tego, że podświadoma jaźń sama odkrywa swe tajemnice. Kto ma siłę woli a odczuwa dokładnie zamęt zwalczających się wzajemnie pobudek, może przez silny i stanowczy nakaz zmusić te przeżytki minionego czasu do przestąpienia progu świadomości i poddać je druzgocącej logice teraź-

niejszej rzeczywistości. W licznych wypadkach taki stanowczy nakaz jak: „Przypatrz się“ — rzuca światło na ukryte przyczyny wahania i usuwa je. Nalegałbym na to, by wszyscy rodzice i wychowawcy przeprowadzali taką surową analizę wewnętrzną, ile razy czują, że nachodzi ich jakaś mgła duchowa. Bardzo wiele trudności powszedniego życia, może nawet wszystkie tak zwane „zagadnienia“, biorą początek z takich niejasnych pobudek.

W postępowaniu z dziećmi często tylko zapomocą psychologicznego klucza możemy dojść do rozwiązania kłopotliwej sytuacji. Może to brzmi trochę mistycznie, jednakże z realnego doświadczenia wynika, że dla opanowania trudności trzeba narazie zupełnie usunąć na bok swoją osobowość, nieomal zupełnie przestać istnieć, a całkowicie identyfikować się z tem, co się dzieje, lub co się stało. Człowiek musi własnym spokojem, nastrojem życzliwym i wyrozumiałym rozwinąć i rozjaśnić zagadki małej zaniepokojonej duszyczki. Wtedy dopiero panuje nad sytuacją i może być pomocnym.

Jeśli tak często cytuję przejmujący głos mądrości Dalekiego Wschodu, starodawną buddyjską modlitwę, którą siostra Nivedita przysłała mi na kilka tygodni przed swą śmiercią, czynię to nietylko ze względu na wzniosłe piękno w niej zawarte, lecz że zdaje mi się ona głosem wszechświatowego duchowego doświadczenia. Podstawowe, najistotniejsze zadania wychowawcze odnoszą się do ducha. Wychowanie winno chronić duszę dziecka od błędnych wyobrażeń, fałszywych wniosków, nieuzasadnionych nakazów i zakazów. Winno usuwać przeszkody, nieprzyjaciół i troski. Właściwem zadaniem wychowania nie jest napominać, poskramiać, naginać i zmuszać; raczej chronić od szkody i uszczerbku z zewnątrz; karmić, krzepić, cieszyć—duszę dziecięcą, by ona mogła swobodnie się poruszać wpośród nowego dla niej świata własną swoją ścieżką.

My, dorośli, zadawaliśmy nieraz gwałt dzieciom, tak jak ustanowiony porządek świata nam gwałt zadawał. Łamaliśmy duszę dziecięcą, paczyliśmy, zniekształcaliśmy ją.

Żądaliśmy, by się przystosowywała do starych wzorów, gdy nowe wino życia pobudza do nowych przygód.

Moja praca wychowawcza i moje badania nad dziećmi wogóle doprowadziły mnie do przekonania, że nie należy nam *początkowo* zajmować się umysłowym rozwojem dzieci, lecz że powinniśmy jak najgruntowniej i jak najwszechstronniej zajmować się ich duchem i ciałem, a nieuchronny rozwój umysłowy, towarzyszący rozwojowi ciała i ducha, przyjmować chętnie, jako całkiem naturalny i pożądany produkt uboczny. Czyniąc tak, sądzę — idziemy w głąb od skutku do przyczyny, a wkońcu zbierzemy plon stokroć obfitszy. W rzeczywistości postępujemy bardziej uczenie. Duch i ciało są to znane nam źródła bujnego umysłowego życia. Duch jest siłą działającą, natchnieniem, nieśmiertelnem bóstwem wewnętrznem. Ciało jest narzędziem ducha, wyćwiczonym dostawcą mnóstwa wielorakich wrażeń zewnętrznych, z których umysł buduje rozumną nadbudowę. Zatrzymuję się tak długo na tym punkcie, gdyż ma on dla mnie wagę odkrycia.

Stało się to utartym poglądem, że wielcy ludzie mają dobre matki. Częściowo przypisać to można dziedziczności, synowie szczycą się tem, gdy są podobni do swych matek. Jednakże w wyższym jeszcze stopniu jest to wynikiem wychowania duchowego i fizycznego, które mądra matka, wiedziona zdrowym instynktem, daje swemu dziecku. Bywa ona bystrzejszym psychologiem, niż my wszyscy. Strzeże ona i chroni swe maleństwo od wrogów i złych duchów; pomaga duszy dziecięcej rozwinąć się i rozrosnąć; pielęgnuje ciałko dziecka czule i skutecznie. Matka otacza dzieciątko atmosferą miłości i ufności. Wobec dziecka swego sama usuwa się na drugi plan, by całkowicie wniknąć w jego duszę, usunąć z niej chaos i zamęt, wygnać na zawsze uczucie strachu, wstydu, zwątpienia. A gdy taka matka puszcza synka swego w szeroki świat—to on nie może upaść i wykoleić się, musi zwyciężyć, gdyż w jego duchu nie tkwi żaden ukryty posiew upadku i rozterki wewnętrznej.

Metody wychowawcze, ku którym coraz więcej skłaniają się ci, co poważnie troszczą się o dzieci, zawierają się w przytaczanej modlitwie indyjskiej, w niemieckiej i szwajcarskiej reformie, w naukach Freuda i Montessori, w duchu tak zwanego dziś nowego wychowania. Zamykają się one w jednym wyrazie: *rozwijać.* Nie możemy z dzieci naszych wydobyć więcej niż to, co w nich tkwi, ale możemy osiągnąć mniej.

Im sumienniej dorośli stosują stare metody wychowania, im pracowiciej i wierniej spełniają swe zadanie, tem więcej szkody mogą wyrządzić. Poskramiamy, ukrócamy, naginamy, zmuszamy — a uczyniwszy to wszystko, doznajemy rozczarowania, patrząc na owoc naszej pracy. Zdaje mi się, że rzeczywiste zadanie nauczyciela jest raczej negatywne. Polega ono na usuwaniu przeszkód, złych duchów, strachu, zamętu z duszy dziecka—a potem w słonecznej atmosferze szczerej ufności pozostawianiu mu swobody, by samo mogło odkrywać świat zewnętrzny i wewnętrzny wątek stosunków, by ono rozkoszowało się własnemi zdobyczami samodzielnych badań. Jak słusznie zaznacza Montessori, nauczyciel nie może zaczynać od nauczania dziecka poprostu dlatego, że niema do czego nawiązać tej czynności i nie może stosować naukowej metody. Zaczynać winien od obserwowania dziecka, a dopiero zaznajomiwszy się z materjałem, może mieć jakie takie widoki powodzenia, przystępując do dzieła.

Przy nauczaniu potrzeba takiego samego umiarkowania i powściągliwości, jak przy jedzeniu, piciu i wielu innych okolicznościach powszedniego życia. Wiedza, której dziecko nie może natychmiast spożytkować, nie zostanie prawdopodobnie ani przyswojona, ani utrwalona. Wiedzieć o wielu rzeczach, lecz mieć o nich pojęcie fałszywe, jest wielkiem nieszczęściem dla umysłu. My, nauczyciele i rodzice, nie możemy urabiać duszy ludzkiej. Próby kształtowania jej napełniły świat ciżbą ludzi tępych i nieciekawych, wykolejonych i fałszywie uczonych. W naszej mocy leży jedynie wyzwolić duszę, która się rozwija i sama się kształtuje. Winniśmy być w pogotowiu, by

odpowiadać na pytania, ale odpowiedź nie powinna pytania wyprzedzać. Nie powinna też się spóźniać, by moment zaciekawienia nie przeminął, lecz padać na gorąco, doraźnie, a być jak najszczerszą, jak najlepiej przystosowaną do tego świata, który dziecko gorliwie w swej duszy buduje. Tylko wtedy nasza cenna wiedza stanie się żywotnym i trwałym nabytkiem.

Dobra rada nie ma żadnej wartości, o ile nie odpowiada potrzebie, i to potrzebie żywo *odczuwanej*. Mówią, że Franklin, gdy z jakimś młodym przyjacielem patrzał na księżyc, a ten zauważył: „Podobno rzeczy, które nie znalazły zastosowania na ziemi, przenoszą się na księżyc“—odpowiedział: „Ileż dobrych rad musi się znajdować na księżycu.“ Warto zauważyć, jak skwapliwie chwyta dziecko każdą radę i każdą wiadomość, jeśli nie zasypujemy go niemi nieproszeni, lecz udzielamy na jego własne żądanie. Gdy chłopiec chce czegoś dokonać, pragnie poznać najlepszy i najkrótszy sposób spełnienia swego zamiaru; wtedy to jest właściwa chwila, by go pouczyć. Zbudziło się zainteresowanie, i słowa nasze padają na grunt żyzny. Wtedy możemy być pewni stokrotnego plonu. Więcej potrzeba na to umiejętności i cierpliwości, by przystosować się do dzieci, niż, jak zazwyczaj bywa—sprawić, by one przystosowały się do nas; w istocie jednak tylko tą drogą dochodzimy do celu.

Ogrodnicy i hodowcy bydła stosują się do życia roślin i zwierząt, które chcą uszlachetnić; nie rozumiem, dlaczego wychowawcy ludzi mieliby okazywać mniej względów dla swoich wychowańców. Nie możemy — jak Bóg w Raju — ulepić człowieka z gliny ziemskiej, tchnąć w niego własną duszę i ukształtować go na obraz i podobieństwo własne. Człowiek mieści się już w embrjonie, a naszem wzniosłem zadaniem jest usuwać duchowe i fizyczne zapory i przeszkody, przeszkadzające dziecinie ludzkiej wyrosnąć na istotę przedziwną, ponad nasze oczekiwanie.

Te pierwsze czternaście lat życia, to istotnie lata łaski. I duch, i ciało mają wtedy plastyczność i wrażli-

wość, można więc znacznie więcej z nich zrobić, niż kiedykolwiek później! Każdy dzień ma zbyt wielką cenę, by go trwonić w nudnym mozole zwykłej izby szkolnej— lub w obkuwaniu podręczników, których wartość w najlepszym razie stanowi wiedza z drugiej ręki. Całość pracy celowej i pożytecznej, jaka przypada na ten okres, może być ujęta w dwie rubryki: duch i ciało, a dla ułatwienia zadania należy ściśle i konkretnie określić, jakie zalety ciała i umysłu posiadać winien chłopiec 14-letni—według bardzo umiarkowanej i dobrze obmyślonej normy. Będzie to najpraktyczniejsza droga, wiodąca do rozwiązania sprawy. Ponieważ wychowanie we wszystkich fazach jest działaniem dla określonego celu, tem będzie skuteczniejsze, im później zdajemy sobie sprawę z tego celu i im dokładniej przystosujemy nasze metody do naszych zamierzeń.

Wychodząc z założenia, że duch jest zasadniczą przyczyną, samorodną siłą motoryczną życia, musimy zacząć od pytania, jakie zalety duchowe powinien posiadać chłopiec czternastoletni. Jeżeli usiłowania nasze ujmiemy w giętkich ogólnikowych formach, zdołamy zachować zdobycze rasy a zarazem zostawić szerokie pole do indywidualnej inicjatywy i postępu. Możemy różne duchowe cele sobie zakładać, lecz—osiągnąwszy każdy z nich—musimy wyznać, że nie powiedzieliśmy jeszcze ostatniego słowa i nikt go nie powie, gdyż świat jest wciąż płynny, wciąż w ruchu, a każde pokolenie musi szukać nowych wyjaśnień i wnosić własny udział do ogólnego postępu. W symbolice Wschodu smok jest godłem zmienności, a stąd i samego życia. W nauce Chrystusa zapowiedziano uczniom jego większe cuda, niż Jego własne. My dorośli, gdy usiłujemy nadać kierunek płynnym prądom życia, nie powinniśmy im nigdy stawiać stałej mety. Okatura w ten sposób streszcza nauki chińskiego filozofa, Oyomei, który żył w 16-ym wieku, lecz dotąd w Japonji wpływ żywotny wywiera: „Dla niego bezużyteczną była wszelka wiedza, która się nie wyrażała w działaniu. Wiedzieć, to znaczy być. Cnotą istotną była tylko ta, która objawiała się

w czynie. Cały wszechświat wznosi się wciąż w coraz wyższe sfery rozwoju, wzywając wszystkich do uczestnictwa w tym ruchu". Zdrowa natura chłopca rwie się do udziału w takim duchowym pochodzie, i to z tem większym zapałem, im lepiej on rozumie, że triumf w drobniutkiej cząstce od niego zależy. Zajmując się jego duchem, jako siłą kierowniczą jego życia, zajmujemy się jego religją.

Aby określić zalety duchowe, jakie pragniemy widzieć w chłopcu, musimy najpierw brać go jako indywidualność, a potem jako jednostkę społeczną. Ani przez chwilę życie jego nie dzieli się na takie przegródki, lecz podział służy nam tylko do rozjaśnienia naszych własnych myśli i daje widoki porządnego ujęcia całości. Powiem tedy, że czternastoletni chłopiec powinien posiadać wyobraźnię, inicjatywę, szczerość, prawdomówność, skupienie, gruntowność, odwagę, szacunek, wysokie poczucie honoru, stale pogodny nastrój, a przedewszystkiem zupełny brak zarozumiałości. Łatwo byłoby tę listę powiększyć lub skrócić, lecz sądzę, że każda zmiana wyszłaby na gorsze.

Jako jednostka społeczna, powinien, mojem zdaniem, posiadać chłopiec gorące przywiązanie, dobre ułożenie, usłużność, bezinteresowność i żywe poczucie sprawiedliwości.

Podaję ten spis zalet duchowych — nie jako doskonały, nie jako najlepszy z możliwych, lecz najlepszy, na jaki mogłem się zdobyć po dokładnym namyśle. Każdy nauczyciel, ojciec lub matka mogą poczynić pewne zmiany, lepiej odpowiadające ich poglądom na życie, to jest ich osobistym przekonaniom religijnym. Główna rzecz w tem, by cel duchowy, jaki sobie stawiamy, był określony i wyszczególniony, lecz ujęty w tak płynną formę, by zawsze otwierał pole do rozwoju i rozrostu.

Możnaby tu odeprzeć, że i dziś poważnie myślący rodzice i nauczyciele zawsze taki cel sobie zakładają. Na szczęście jest to poczęści słuszna uwaga, jednakże ten cel jest zwykle traktowany jako uboczny wytwór wycho-

wania, a nie jako jego myśl przewodnia. *Spodziewamy się*, że nasz chłopiec będzie miał pewne zalety duchowe, lecz *zamierzamy* nauczyć go czytać, pisać i coś znaczyć w świecie. Mojem silnem przekonaniem jest, że te zalety duchowe w chłopcu są czemś nieskończenie ważniejszem dla jego obecnego usposobienia i przyszłej doskonałości moralnej, niż jakikolwiek zakres szkolnego wykształcenia, niż najznakomitsza umiejętność czytania, pisania, rachowania, znajomość historji, gramatyki, geografji, ortografji, języków klasycznych, czy nauk przyrodniczych. Doskonałość i piękno leży bowiem w dziedzinie ducha. Jasną tedy jest rzeczą, że powinniśmy w tych zaletach duchowych widzieć cel główny naszej pracy w tym pierwszym wdzięcznym okresie życia, a stąd winniśmy rozwój umysłowy co najmniej aż do czternastego roku życia traktować jako uboczny wynik rozwoju, cenny i pożądany niewątpliwie, lecz nie zamierzony w pierwszym planie. W następstwie osiągniemy tem większy plon siły umysłowej i tem wyższy typ człowieka.

Jeżeli stawiamy młyn nad potokiem górskim, nie zaczynamy od zaopatrzenia go w jak najdoskonalszy mechanizm, a nie przechodzimy później dopiero do zbadania rozmiarów siły wodnej, jakiej potok dostarcza. Jako ludzie praktyczni naprzód sondujemy prąd wody, a potem przez odpowiednie inżynierskie roboty urządzamy rezerwuar, by podnieść poziom i zwiększyć siłę rozpędową do granic możliwości. Potem dopiero zabieramy się do zbudowania młyna lub innej fabryki. Podobny porządek w pracy wychowawczej wydaje się prostym nakazem zdrowego sensu. Przedewszystkiem chodzi o siłę rozpędową życia ludzkiego, o ducha, który naprzód wysondować, a potem na wyższy poziom podnieść należy.

Praktyczna metoda i tutaj polega na tem, by najpierw we własnych duszach dokonać tych zmian, które pragniemy zaprowadzić w duszach dzieci. Rodzice i nauczyciele muszą tedy przedewszystkiem sami sobie zadać pytanie, czy mają imaginację, inicjatywę, pogodę, szacunek i wszystkie inne zalety osobiste, których pragną dla

swej dziatwy; czy mają uczucia przywiązania, sprawiedliwości, dobre ułożenie i inne zalety społeczne, które w nich pragną widzieć. Jeśli tego wszystkiego nie mają sami, nie mogą udzielić i dzieciom.

Niezmiernej wagi rzeczą jest mieć w duszy cześć i uszanowanie dla świętości życia w sobie, w bliźnich, w zwierzętach i roślinach, w gwiazdach i planetach, w bóstwach i Bogu Najwyższym; nie niszczyć nic, nie lekceważyć niczego, miłować wszystkie istoty dla tego świętego płomienia, który tkwi w ich głębi. Być pełnym szacunku, to znaczy unikać wszelkiego świętokradztwa, wszelkiego grubjaństwa, wszystkiego, co jest karykaturą i spaczeniem natury. To znaczy osiągnąć taką szlachetność i subtelność, wobec której bledną wszystkie inne zalety. Przez tę cnotę wnikamy do samej głębi rzeczy. Człowiek nią obdarzony jest pełen godności i dostojeństwa; musi być sprawiedliwy, a widząc doskonałość i piękność świata, musi być pełen podziwu i miłości. Najwyżsi moraliści świata byli ludźmi przejętymi czcią nabożną. W tej najwyższej zalecie streszcza się cała cnota ducha. Jest ona pokrewna greckiemu pojęciu estetyki, która napawa człowieka nienawiścią do wszystkiego, co brzydkie, plugawe, przesadne, a miłością dla wszystkiego, co doskonałe, harmonijne i piękne. Niezmiernie trudno jest zdefinjować, czem jest ta cnota. Jest ona taką właściwością ducha, że język rozumu jest zbyt ubogi, by ją wyrazić. Każdy z nas jednak ma jakieś wyobrażenie o niej, a gdy się sam tem uczuciem szacunku przejmie, uświadamia je sobie tem dokładniej. Gdy patrzymy na człowieka, który ją posiada, widzimy, że jest pełen szacunku, i w jego obecności czujemy się lepsi. Znałem kilka takich osób, a dziś ich wspomnienie jest dla mnie zawsze dobrem natchnieniem. Każdy wielki człowiek jest człowiekiem pełnym uszanowania; u dzieci jest to pierwotną cechą. Tracą one tę piękną zaletę, w miarę jak życie staje się pospolitszem, a przez naśladownictwo przejmują opłakany nabytek — płaskie wyobrażenie o życiu. Nie możemy całkowicie ustrzec dzieci od tej brzydkiej pospolitości, gdyż ona zewsząd

nas otacza; stykamy się z nią w interesach, w polityce, w wyznaniowej religji, w życiu społecznem, nawet w tak zwanem wykształceniu i sztuce. Naszą rzeczą jest jednak stworzyć atmosferę, w której upływa pierwszy okres życia i czuwać nad temi wrażeniami, które są najczęstsze, najtrwalsze. Jeśli z naszego codziennego życia usuniemy wszelką pospolitość, wszelki płaski dowcip, wszelką bezbożność, wszelką karykaturę, wszelkie brudne insynuacje, wszelkie złośliwe plotki i obmowy, możemy osiągnąć takie uszlachetnienie natury dziecięcej, że nie będzie najmniejszego niebezpieczeństwa, by ona kiedykolwiek zniżyła się do prostactwa. Co do mnie, to skłaniam się do przekonania, że szacunek jest najważniejszą zaletą ducha, jaką rodzice i nauczyciele mogą wyhodować w sobie samych, a następnie udzielić jej dzieciom.

Gdy powiemy o kimś, że nie ma wyobraźni, to przypisujemy mu różne aktualne lub potencjalne wady. Z tego defektu płynie tępość i oschłość w całem zachowaniu się i postępowaniu, jałowość w sztuce i nauce, błądzenie poomacku w życiu. Często słyszymy, że dzieci mają za dużo wyobraźni, w rzeczywistości jednak nie mogą jej mieć za dużo. Wyobraźnia może się zanadto rozhulać, a rosnąc z tego, czem się żywi, niebezpiecznie oddalać się od prawdy, gdy zasób faktów jest zbyt mały. Nie będzie na to właściwem lekarstwem krępowanie lub zabijanie wyobraźni, lecz raczej zaopatrzenie jej w zasób faktów i wdrażanie do działania w granicach prawdy lub prawdopodobieństwa. Człowiek bez wyobraźni jest bardzo nudnym towarzyszem. Od chwili, gdy oczy rano otworzy, aż do wieczora, gdy je zamyka, wciąż grzeszy bądź to uczynkiem, bądź zaniedbaniem czynu. Choćby miał najlepsze chęci, wciąż uchybia. Choćby był najpracowitszy, nie zdziała niczego. Można wykryć w braku wyobraźni istotne źródło wielu nagannych czynów, począwszy od uchybień towarzyskich aż do kryminalnych występków. Nieraz ten, kto nas skrzywdził i obraził, uczynił to przez ślepotę, przez nieświadomość naszych uczuć i zamiarów. Wyobraźnia jest warunkiem intuicji. Brak wyobraźni jest źródłem

wielu aktów brutalności w życiu społecznem, a naodwrót jej obecność źródłem wielu objawów przychylności i uprzejmości, tolerancji, współczucia, poważania, słowem, wszystkich tych cnót, któremi jaśnieją dzieci światła.

„Tout comprendre, c'est tout pardonner".

Nie należy sobie wyobrażać, że my, rodzice i wychowawcy, jesteśmy uposażeni takim zasobem wyobraźni, iż możemy odrazu przystąpić do rozwijania jej u dzieci. Przeciwnie, nasze ubóstwo w tej mierze jest aż nadto uderzające, gdy się spojrzy na nasze szkoły, warsztaty pracy, nasze kościoły, nasze rządy i nasze nierozsądne życie. Gdyby nad temi społecznemi instytucjami górowała bujna i żywa wyobraźnia, dawno już byłaby je przeobraziła gruntownie. Ludzie trzeźwi patrzą niechętnie na ludzi obarczonych lotną wyobraźnią, gdyż ona to rozbija niejedną uroczyście nadętą bańkę i łamie uświęcone wiekami a puste formy. Wyobraźnia jest sprężyną wszystkich reform, całego postępu. Jest ona wrogiem wszelkiego absurdu i nierozsądku. Widzieć świat, jakim jest, a malować go takim, jakim być powinien — oto wzniosła rola wyobraźni. Nawet w naukach ścisłych tylko człowiek o żywej wyobraźni rozszerza granice wiedzy. W matematyce, astronomji, fizyce, chemji, nawet w biologji, trzeba być poetą i widzieć oprócz tego, co jest, także i to, czego niema. Trzeba umieć sobie wyobrazić nowe wyniki, ażeby móc je osiągnąć. Zapytałem raz pewnego studenta w Zurychu, co się dzieje z pewnym bardzo pracowitym Anglikiem, który, jak się zdawało, nie mógł dojść do niczego. „Och! — rzekł on, to człowiek nawskroś realny" — a odpowiedź jego nie zdziwiła mnie bynajmniej.

Wszyscy mężczyźni i kobiety, którzy czegoś dokazali, mieli wyobraźnię. Tak cenną zaletę warto rozwijać i w sobie, i w dzieciach. Można ją potęgować bardzo określonemi i praktycznemi metodami. Bardzo dobry środek do tego celu, to nie przyjmować niczego jako gotowe dane, lecz zestawiać każde twierdzenie z odwrotnem przypuszczeniem. Drugi środek, to czytanie opisów podróży i przygód, wyboru bajek czarodziejskich i życiorysów

wielkich odkrywców i wynalazców. Zbyt łatwo zapominamy, że postęp ludzkości jest zwycięstwem ducha i jego siły twórczej. Jeden z wybitnych socjologów tak o tem pisze: „Bogactwo, to co przemija, jest materjalne; postęp — to, co trwa — jest niematerjalnej natury. Wytworami postępu nie są rzeczy materjalne. Nie są to cele, lecz środki; to metody, drogi, zasady, sposoby, umiejętności, systemy, instytucje. Jednem słowem, są to *wynalazki*". Wobec takich świadectw dziwić się należy, że wychowanie zasadzamy na powtarzaniu, a tak mało pola pozostawiamy inicjatywie. Ważnym krokiem w rozwoju wyobraźni jest stawianie się w położeniu drugiej osoby, ażeby zdać sobie sprawę, dlaczego w dany sposób postąpiła. W każdem społecznem studjum tylko wtedy zrozumieć możemy pewien sposób postępowania, gdy poznamy jego pobudki. Przy pomocy wyobraźni widzimy płynność ludzkich dramatów, rozumiemy, jak można było zażegnać jakąś katastrofę, uratować jakąś sytuację, uniknąć jakiegoś zatargu. Wyśledzić przyczyny następstw, przewidzieć następstwa przyczyn, po każdem stwierdzeniu tego, co jest, odtworzyć to, co być mogło, potęgą wyobraźni utrzymywać obraz świata w płynnej postaci — oto nastręczyć miłe ćwiczenie wyobraźni i potęgować jej siłę przez wprawę.

Aby jednak wyobraźnię utrzymać w zdrowym stanie, by uczynić z niej pożyteczną władzę ducha, a nie tylko czynnik trwoniący jego energję, trzeba ją utrzymać we właściwych granicach. Gdy imaginacja nie zapuści kotwicy w stałym gruncie faktów, jeśli się stwierdzonym faktom przeciwstawia, gubi się w sferze czystej ułudy i wraca z niej zwykle z pustemi rękami. Niejedna taka bezcelowa wędrówka bardzo się przyczyniła do zdyskredytowania uprawnionej i użytecznej roli wyobraźni.

Wielokrotnie współczesne wychowanie zamiast pielęgnować i rozwijać tak cenną zaletę, czyni wszystko, co się da, by ją stłumić. Zanim się przekonamy, czem jest chłopiec, którego wychowujemy, jakie on ma cele przed oczami, z osobliwą obojętnością narzucamy mu cele wła-

snego naszego pomysłu i z brutalną przemocą ciągniemy go ku nim. Czynimy to dlatego, że sami pozbawieni jesteśmy wyobraźni i nie zdajemy sobie sprawy, że zamiast wyostrzyć narzędzie ludzkie, przytępiamy je. Jednakże sięgamy do słownika wyobraźni, gdy mówimy o rozwijaniu i uszlachetnianiu ducha ludzkiego, albo o tem, że wychowanie jest zaszczepianiem w sercu dziecka moralnego i estetycznego objawienia wszechświata, duch ludzki bowiem, którego ukształcić chcemy, nie jest faktem, lecz błogosławioną możliwością przyszłości, a objawienie, o które nam chodzi, nie dotyczy faktów, lecz subtelniejszej rzeczywistości — znaczenia faktów. Nigdzie może nie jest tak niezbędnym przewrót w naszej taktyce, jak tutaj, gdyż bez wyobraźni wychowanie jest wogóle niemożliwe. Gdy pod pozorem wychowywania mrozimy wyobraźnię, równocześnie przytępiamy inną, wielce cenną władzę duchową, którą winnibyśmy jak najwięcej potęgować, to jest inicjatywę. Z bólem serca wspominamy ową sumienną matkę w Bostonie, która tak się odezwała do swego synka: „Janku, jutro twoje urodziny; chcę ci zrobić przyjemność. Namyśl się i powiedz, jak chciałbyś ten dzień przepędzić“. Janek nie potrzebował się namyślać i odrazu odpowiedział: „Dziękuję mamie. Najbardziej się ucieszę, gdy mnie zostawisz samym“.

Zostawiać dzieci samym sobie niezawsze prowadzi do rozwinięcia inicjatywy u dzieci, lecz w dziewięciu wypadkach na dziesięć, metoda ta okazuje się bardzo skuteczną. W rzetelnej chęci poprawiania ich, wciąż ulegamy pokusie wtrącania się do nich i wyręczania w tem, co robią, podczas gdy zwykle lepiej byłoby, gdybyśmy się trzymali na uboczu i pozwolili im przy odpowiednich warunkach radzić sobie, jak mogą. Może to, co zrobią, będzie z naszego punktu widzenia znacznie mniej doskonałe, niż nasz rozważnie obmyślony plan. W wychowaniu jednak nie chodzi o objektywne wyniki. Podmiotową wartość ma raczej naiwny i mylny pomysł dziecka, a nie to, co my mu narzucamy. Znałem chłopców uczęszczających do szkoły bardzo wysoko cenionej, którzy przebywali tam od dzie-

wiątej rano do drugiej godziny, a potem, po późnem śniadaniu, pod kierunkiem korepetytora przez parę godzin odrabiali lekcje zadane. Ci z pomiędzy nas, co mieszkają w Nowej Anglji, oswoili się dobrze z widokiem studenta, prowadzącego w sobotę rano grupę uczniów na wieś, by im tam — o Boże! — pokazać, jak się bawić mają! Nie lubię bynajmniej potępiać człowieka za jego postępowanie; przypuszczam, że musi w ten sposób na chleb zarabiać, lecz wiem, jak to zniedołężnia chłopca, gdy go się wciąż prowadzi na pasku, przy nauce, czy przy zabawie. Zadaniem dorosłych jest tylko podsuwanie zajęć, jeśli potrzeba, oraz dostarczanie do nich takich przyrządów, których chłopiec sam sobie sporządzić nie może. Pomagać, wyrozumieć, nawet doglądać w sposób życzliwy i niedrażniący, to nasze zadanie, lecz nigdy nie powinniśmy czynić nic takiego, co ma zastąpić samorzutną pomysłowość i inicjatywę, osłabić samodzielność dziecka.

Ciągle spotykamy wśród naszych uczniów istoty nieradne, które swe niedołęstwo zawdzięczają nazbyt troskliwym rodzicom i nierozsądnym nauczycielom. Często bardzo jedynem lekarstwem na tę ułomność jest rozmyślne zaniedbanie, pozostawienie dzieci samym sobie, aż się ponudzą należycie choćby przez kilka tygodni, by wkońcu przekonały się, że, chcąc się wesoło bawić, muszą same ze siebie coś zrobić, bawić się na własny koszt. Miałem takich chłopczyków w moim obozie. Widocznie byli zdumieni, że nie uważano ich za wyłączny przedmiot powszechnego zainteresowania, że ich drobne niedomagania nie były brane bardzo poważnie, że są w życiu sprawy donioślejsze, niż to, co ich osobiście dotyczy. Niekiedy oburzali się i buntowali; często — znudzeni — pragnęli jak najprędzej wracać do domu. Wkońcu jednak, jeśli tylko natura była dobra, zmieniali się, brali udział w życiu ogólnem i stawali się równie dobrymi uczniami, jak kolegami.

Owi nieradni chłopcy przychodzą przeważnie ze szkół prywatnych dla uczniów przychodnich, gdyż szkoły te są bardzo często przybytkiem głupoty; albo też z bogatych,

tak zwanych lepszych rodzin, w których się hoduje zniewieściałość i wygodę. Szkoły powyżej wspomniane są zależne od miejscowej klienteli, i o ile nie stoją wyjątkowo o własnych siłach, odzwierciedlają społeczne przesądy swych opiekunów w wyższym stopniu, niż rozum swych kierowników. W domach tych, gdzie rodzice sami są rozpieszczeni wygodnisie, trudno byłoby szukać tężyzny u dzieci.

W rzeczywistości dzieci, pozbawione inicjatywy, małe rokują na przyszłość nadzieje; to też zadaniem naszem jest pracować w tym zakresie z taką gorliwością, jakiej nigdy nie stosowaliśmy przy nauce o trybach czasowników, lub reguły trzech.

Szczerość i miłość prawdy są może najważniejszemi zaletami ducha, a jednak nie umieściłem ich na czele, jako celu wychowawczej pracy. Wydają się nam pierwotnemi cnotami, gdyż sięgają w sam rdzeń ducha. Im więcej jednak zastanawiam się nad niemi, im wyżej je cenię i usilniej dla nich pracuję, tem silniej jestem przekonany, że one są wynikiem szacunku i intuicji. Chłopiec jest zwykle szczery i prawdomówny, choć się o tem wcale nie mówi, o ile żyje w zdrowych, normalnych warunkach. Główną przeszkodę stanowi to, że my — rodzice i wychowawcy — po większej części nie bywamy ani szczerzy, ani prawdomówni. W najważniejszych sprawach życiowych kłamiemy, a szczycimy się rzetelnością w drobnostkach. Kłamiemy w sprawie naszej religji, przyznając się do wyznania, w które nie wierzymy; kłamiemy w interesach i zawodowych sprawach; kłamiemy, gdy mowa o wychowaniu i sztuce; kłamiemy bezczelnie w polityce. Kłamstwem torujemy sobie drogę w życiu. Wkońcu płacimy tragiczną, nieuchronną karę za nasze kłamstwa — nieświadomie okłamujemy sami siebie.

Pytano raz Bismarcka, czy zamierza chwycić się pewnych kroków dyplomatycznych. Bez wahania odpowiedział: „Nie; gdybym jednak miał ten zamiar, odpowiedziałbym tak samo". Stawianie pewnych pytań nie jest właściwe, lecz drobny błąd nie usprawiedliwia wielkiego.

Dzieci bardzo bystro podchwytują nieszczerość i fałsz mają również żywą skłonność do naśladownictwa. My, dorośli, musimy w naszych myślach, słowach i uczynkach zachować skrupulatną rzetelność, by dusze nasze mogły wytrzymać badawczy, jasnowidzący wzrok oczu dziecięcych. Gdy Janek weźmie karmelek i zaprze się tego, to jest bardzo brzydko, ale ani w połowie tak brzydko, jak to, co tata i mama czynią przez całe dwadzieścia cztery godziny dziennie.

Główna przeszkoda do mówienia prawdy, jaką się tłumaczą dorośli, bierze początek w bardzo małostkowym poglądzie na naturę ludzką. Wyobrażamy sobie, że ci, do których mówimy, tyle tylko zechcą wysłuchać o sobie, ile można powiedzieć w pochlebstwach. To nasze wyobrażenie bynajmniej im nie pochlebia. Wiele większy wyrządzilibyśmy im zaszczyt, gdybyśmy okazywali wiarę, że oni domagają się od nas tylko prawdy, rzetelnej i całej prawdy, gdybyśmy im ją wyrażali z pogodą, prostotą i ścisłością przyrodnika, bez cienia pochlebstwa czy przygany. Prawda nie leży w niczyim interesie więcej, niż tego, którego dotyczy. Bardzo nisko go szacujemy, jeśli postępujemy tak, jakgdyby on tego nie rozumiał. Istnieją niewątpliwie pewne wyjątkowe, nadzwyczajne okoliczności, które usprawiedliwiają kłamstwo. Ja sam gotów jestem kłamać do najezdniczej armji, do zbrodniarza, do osoby niespełna rozumu lub śmiertelnie chorej; sądzę też, że czyniąc to, służę Bogu. Bardzo rzadko jednak znajdujemy się w podobnem położeniu. Większości osób, z któremi się stykamy, nie możemy zaliczyć ani do najezdników, ani do zbrodniarzy, ani do niepoczytalnych. Są to osoby normalne, które pożądają prawdy i lubią ją niemniej, niż my sami. Gdybyśmy mieli o nich wyższe mniemanie, mówilibyśmy im prawdę.

Nawet wtedy, gdy przypuścimy, że dorośli stali się tak szczerzy i rzetelni, że mogą bez zmieszania wytrzymać wzrok szeroko otwartych, bystrych oczu dziecka, jeszcze musimy uczynić niejedno i niejednego zaniechać, by podobną rzetelność jemu zaszczepić. Nigdy nie po-

winniśmy stawiać dziecka w pozycji obronnej. Zmuszając je do defensywy, premjujemy kłamstwo. We wszystkich naszych stosunkach z dziećmi musimy postępować szlachetnie, pamiętając, że i wzrost, i siła, i doświadczenie, i powaga są po naszej stronie. Gdybyśmy tej przygniatającej przewagi naszej chcieli nadużywać, popychalibyśmy dzieci do chwytania się jedynej broni, która im pozostała—do fałszu. Dziecko najczęściej kłamie wtedy, gdy się boi. Czasem bywa lękliwe z natury; czasem jednak zlęknie się nas poprostu w danej chwili, boi się, że je wyśmiewać, łajać lub karać będziemy. Nie uleczymy kłamstwa, okazując oburzenie lub zgorszenie, lecz pomagając dziecku opanować strach. Rzucając mu gniewne, szorstkie pytanie, czy to i owo zrobiło, lub dlaczego tak zrobiło, przejmujemy je trwogą i zachęcamy do kłamstwa. Najlepiej wtedy wziąć je za rękę lub na kolana, czasem okazać mu, jak bardzo je kochamy, dać mu odczuć nasz niezmącony spokój i bezwzględną ale wyrozumiałą sprawiedliwość. W atmosferze zupełnej ufności można mówić spokojnie a zupełnie szczerze i otwarcie.

Dzieci wielkich win popełniać nie mogą. Ich największe przewinienia, odpowiednio traktowane, są tylko drobnemi wykroczeniami, a kara musi być przystosowana do winy. Najwrażliwsze dzieci już są ukarane przez to, gdy im się wyjaśni ich zły postępek i ujrzą go we właściwem świetle. Gdy dzieci zatracą szczerość, zaczną ukrywać i kłamać, to dowód, że miały niemądrych i niedobrych nauczycieli lub rodziców, którzy stawiali dziecko w fałszywem położeniu. Gdyby dzieci miały więcej odwagi, byłyby może stawiły im czoło, narażając się na wszystkie konsekwencje. Ale czyż można zgóry liczyć na odwagę dziecka? Jest to bardzo wysoka zaleta ducha, lecz rzadsza i trudniejsza do osiągnięcia, niż wiele innych, których pielęgnowaniu poświęcamy dużo wysiłku i cierpliwości.

Każdy dzień życia dziecka jest pełen nieprzewidzianych odkryć, co krok staje ono wobec rzeczy nieznanych. Jego pierwszym i najsilniejszym instynktem jest instynkt

samozachowawczy; rzeczy nieznane łatwo w jego oczach przybierają charakter rzeczy niepokojących i groźnych. Co więcej, dzieje się tak przedewszystkiem u najlepszych typów dzieci, u najwrażliwszych i najżywszą obdarzonych wyobraźnią. Ich trwoga jest tak naturalnym objawem, że rozumniej jest zgóry ją brać w rachubę, niż zgóry im przypisywać odwagę. Wychodząc z tego założenia będzie to wręcz niedorzeczność, gdy budząc w nich postrach, zarazem domagać się będziemy prawdomówności. Strach idzie w parze z kłamstwem, a odwaga z rzetelnością. Wiemy, jak pewien mały chłopiec określał kłamstwo: Obrzydliwość wobec Boga, a bardzo praktyczny sposób radzenia sobie w kłopocie.

Wyśmiewanie lękliwości dziecka nie jest bardzo mądrym środkiem przeciw niej. Co najwyżej doprowadza nas do tego, że dziecko wstydzi się swej obawy, ukrywa ją i drży potajemnie. Wrażliwe dziecko doznaje nieraz zupełnie nieuzasadnionego strachu, nerwowego wstrząsu, który—jak Freud wykazał—może w niem zakorzenić szereg szkodliwych suggestyj, prześladujących je na każdym kroku w dalszem życiu. Jedynie rozsądną rzeczą jest leczyć strach łagodną, delikatną perswazją, wykazując, jak on przeważnie jest bezpodstawny, a jak najwcześniej przyuczając chłopca, by wobec nieuniknionych klęsk życiowych, prawdziwych katastrof, zdobywał się na męską odwagę, która łamie ich ostrze. Emerson słusznie mówi: „Nie lękaj się niczego prócz strachu“. Zdaje mi się przeto zupełnie daremnym wysiłkiem na wiatr zaszczepianie chłopcu odwagi, nim się usunie przyczyny strachu. Strach jest pierwotnym, pozytywnym objawem, naturalnym odruchem niedoświadczonej duszy w obliczu możliwego niebezpieczeństwa; odwaga zaś nie jest niczem innem, jak nieustraszonością. Nauczmy chłopca, że w całym wszechświecie niema istotnego powodu do trwogi, pokażmy mu, że dusza pełna czci i światła nie może doznać rzeczywistej szkody, a wlejemy weń wzniosłą odwagę i wraz z nią — jej nieodłączną towarzyszkę — szczerość. Trzeba tylko do głębi przejąć się przekonaniem, że te kwiaty

ducha, stanowiące rzeczywisty cel wychowania, mogą wyrosnąć tylko na gruncie dobrze postawionego stosunku do życia, czyli na tle religji, oraz, że póki nie zechcemy wniknąć w sam rdzeń tej sprawy, nie możemy sumiennie spełniać obowiązków rodzicielskich czy nauczycielskich.

Skupienie i gruntowność, to zalety duchowe, które nietyle wypielęgnować, ile raczej zachować należy. Obie z natury rzeczy tkwią w zdrowej naturze chłopięcej. Można się nieraz zdumiewać nad gruntownością, jaką chłopiec wnosi w swoje zajęcia, płynące z samorodnego zainteresowania i związane z właściwościami jego ducha. Żaden uczony, ani artysta nie pracuje z takiem skupieniem, jak ruchliwy chłopiec, gdy spełnia jakieś zadanie, które mu odpowiada. W pewnych rodzajach przedsięwzięć, wyraz *chłopięcy* mieści zarazem pojęcie *gruntowny*. Dodatni typ chłopca obdarzony jest pewnym nadmiarem energji, która niepohamowanie wylewa się w tych czynnościach, jakie pochłaniają jego duszę. My dorośli możemy mu tylko pozazdrościć jego zdolności skupienia się i całkowitego oddania się jednej myśli. Zdrowi, żywi, pełni zapału chłopcy stanowią kwiat pacholęcego wieku — ale nasze współczesne systemy wychowawcze czynią co mogą, by ich naturę spaczyć i skarlić. Zamiast spożytkować bujną chłopięcą energję, wysilają się na osłabienie jej; zamiast dziękować Bogu za to ewangeliczne bogactwo ducha, pracują nad jego ujarzmieniem i skrępowaniem. W moich oczach jest to i nienaukowe, i niemoralne postępowanie. Wprost przeciwne zadanie ciąży na nas: zachowanie tej nieocenionej energji, tego wspaniałego bogactwa duchowego, a — jeśli się da — spotęgowanie go, gdyż ono to stanowi siłę rozpędową życia. Słowem, musimy pracować *razem* z uczniem, a nie *nad* nim. Właściwe wychowanie rozwija, lecz nie narzuca.

Wysokie poczucie honoru — podobnie do wielu innych zalet — zawiera się już w szacunku, gdyż jest szacunkiem dla samego siebie, poczuciem tego, co człowiek winien sobie, swojej godności i wartości. Zaleta ta jest tak cenna, że należy kłaść na nią szczególny nacisk w każ-

dym dobrze obmyślonym planie wychowania i nie szczędzić wysiłków dla wyhodowania jej. Trzeba to jednak czynić bardzo umiejętnie i ostrożnie. Poczucie honoru u chłopca—tak samo zresztą, jak i u dorosłego człowieka—może łatwo zostać spaczone, może się przeobrazić w niską i odrażającą postać miłości własnej. Wkońcu może dojść do puszenia się i zadzierania nosa, do chodzenia na szczudłach swej mniemanej wielkości, do ośmieszania i utraty wszelkiej prostoty. Czasem taki człowiek o przeczulonej miłości własnej, obraża się o byle drobnostkę i wybucha gniewem bez powodu, stacza głupie pojedynki, a gdy mu się nie powodzi w sprawach domowych, przestaje być gentlemanem, a staje się tylko rozwścieklonym samcem. Mało która piękna zaleta charakteru bywa tak często podrabiana fałszywym szychem. W rzeczywistości honor jest bardzo delikatnem i wrażliwem uczuciem, z którem igrać nie można. Powinien dźwięczyć szczerością a dawać oddźwięk zawsze. Może to brzmieć osobliwie a nawet paradoksalnie, lecz mojem zdaniem jedynym środkiem do rozwinięcia wysokiego poczucia honoru, czystego poszanowania dla samego siebie, jest przejście do porządku dziennego nad sobą, a wejście do nieosobistego świata czystej doskonałości, w którym ludzkie namiętności i ludzka pycha stają się tak niedorzeczne, że wręcz niemożliwe. Mówmy chłopcu o honorze, wszelkiemi sposobami pomagajmy mu pogłębić to uczucie, lecz nadewszystko pilnujmy, by on się wzniósł do pojęcia rzeczy wielkich, a nie ograniczał się na wydymaniu swej małości i wspinaniu się na szczudła.

Istnieją rozmaite słuszne sposoby odwoływania się do poczucia honoru u chłopca, wszystkie jednak zakrawają na ten pozorny paradoks, że choć są czysto osobiste, zawsze muszą apelować do czegoś zasadniczo nieosobistego, czegoś wyższego ponad sprawy jednostki, wkońcu zawsze do jakiej wzniosłej zasady doskonałości w nadziemskiej sferze, do której nie sięgają namiętności ludzkie. Praktyczni rodzice i wychowawcy nie zaczynają od tych wyżyn, ale do nich prowadzą. Odwołują się do chłop-

ca samego, do wewnętrznego obrazu jego własnej szanownej osobowości, do chłopca, jako członka szanownej rodziny, szkoły cieszącej się dobrą opinją, jako obywatela danego miasta lub stanu, wreszcie Amerykanina. Dopiero, gdy myśl chłopca wzniesie się po tych szczeblach, może nastąpić ten ostatni apel, nieograniczony niczem, wszystko obejmujący, nieosobisty — do chłopca, jako człowieka, stworzonego na podobieństwo Boże, a więc stworzonego do doskonałości. Trudno człowiekowi, a tem mniej chłopcu — pozostać obojętnym na takie wezwanie. Idąc za niem, zostaje bohaterem; przechowując w duszy jego echo, jest bohaterem potencjalnie.

Błogosławiony dar pogody i wesołości najlepiej jest udzielać własnym przykładem. Przyczynia się on znakomicie do złagodzenia wszelkich tarć życiowych, a przez to oszczędza energji i zwiększa jej wydajność.

Brak samowiedzy jest bardzo ważnym pierwiastkiem uposażenia duchowego. Umieściłem go na końcu, by położyć na nim silniejszy nacisk. Samowiedza jest błędem nieomal powszechnym w świecie; jej nieobecność jest pierwszym warunkiem wyższego życia. Mędrcy indyjscy uczą nas, że istnieją trzy fazy samowiedzy. W pierwszej fazie człowiek nie odróżnia swego odrębnego ja. Podmiot i przedmiot, wiedza i wiedzący stanowią jedność. Ja jestem faktem, to co się dzieje, jest budową snów. Bardzo małe dzieci przypuszczalnie znajdują się w tem pierwszem stadjum samowiedzy. Utożsamienie jest tutaj wynikiem nieświadomości. W drugiej fazie zjawia się złudzenie swego ja. Wiedzący i wiedza już są rozszczepione; podmiot i przedmiot stają na przeciwległych biegunach. W tej fazie dramat-świat rozegrywa się niezawiśle od naszego ja. Rozgraniczenie jest wyraźne i interesy rozbieżne. Ja staje się widzem, występuje czynnie, gdy mu się zdaje, że warto grać jakąś rolę, wycofuje się, jeśli sądzi, że lepiej na tem wyjdzie. Udział czynny zresztą niezawsze jest dowolny i to sprawia, że w tej fazie samowiedza niezawsze jest zadawalniającą przystanią. Przy całej swej wyłączności ja wciąż wciągane jest w wir ży-

cia, czasem jako szczęśliwy uczestnik, częściej jako wystraszona ofiara. Ten stan świadomości złudnej jest udziałem niemal całej ludzkości; to wędrówka po jałowej pustyni, w której strach, tchórzostwo, zawiść, złość i wszystko złe napastuje udręczonego ducha.

Jest jednak trzeci stopień świadomości, który nasz mędrzec indyjski zwie świadomością kosmiczną. Przez wiedzę powrót do błogiego stanu wczesnego dzieciństwa, powtórne odkrycie tożsamości wiedzącego z wiedzą, ponowne zjednoczenie podmiotu z przedmiotem. Znowu ja przestają istnieć, gdyż ja sam jestem zjawiskiem, tem co się dzieje, jak burza, jak ogień, jak huragan, jak szept, jak wszechświat sam. Ginie wszelkie samolubstwo i zwątpienie, wszelki strach i tchórzostwo, wszelka zła myśl i kłopot;—zgubiłem siebie a znalazłem świat. Ten trzeci szczebel świadomości, świadomość kosmiczna, jest widownią wielkich zjawisk, heroizmu i doskonałości. To przedsionek nieba, miejsce spotkania ludzi i bogów. Chcąc temu dać wyraz zrozumiały, może nie da się uniknąć pozorów mistycyzmu i fikcji, a jednak w rzeczywistości są to rzeczy bardzo realne, te które z własnego doświadczenia poznaje każdy z nas w ważnych chwilach swego życia. Wobec wzniosłego piękna, pod czarem boskiej muzyki, na widok bohaterstwa natchnionego miłością, patrjotyzmem, entuzjazmem, cudem — maleńkie ja niknie, a w świadomości człowieka panuje tylko cudowne wrażenie wielkiej świadomości człowieka, panuje tylko cudowne wrażenie wielkiej całości. Osobowość zanurza się w tym ogromie i staje się jego cząstką. Ta nieobecność samowiedzy jest zagadką wielu czarów; — czar dzieciństwa, czar młodzieńczego entuzjazmu, pełnej poświęcenia kobiecości, wierności męskiej, dostojeństwa sędziwego wieku. Życie osiąga swój szczyt, szczęście się zjawia. Gdy myślę tylko o sobie, jestem zawsze biedny; gdy o sobie zapomnę, posiądę bogactwa — nie Indyj — lecz całego świata.

Życie spada na najniższy szczebel, gdy sprężyną jego jest świadomość swego ja. Mamy tu niezawodny sprawdzian moralności. Tylko samowiedza stwarza możliwość

grzechu; w świadomości kosmicznej istota ludzka zbliża się do bóstwa. Wychowanie formalne i wykształcenie gotowe udzielane dzieciom potęgują ich samowiedzę i przez to są szkodliwe. Małostkowe zawiści ludzi uczonych, poniżające spory o kwestje pierwszeństwa, dowodzą tego wyraźnie. Tylko tępiąc samowiedzę w dzieciństwie, możemy przygotować umysł do wyższej kultury. I tu również najlepiej uzdolnieni do spełnienia tego zadania będą ci rodzice i nauczyciele, którzy sami nad sobą już zwycięstwo odnieśli. Z natury rzeczy nie można uleczyć samowiedzy morałami. Im mniej o niej mówić będziemy, tem lepiej. Trzeba jednak czuwać i chronić przed nią; trzeba z opowiadań chłopca usuwać każdą zbyt osobistą nutę; trzeba mu dać poznać, że to, co opowiadać warto, musi być interesujące samo przez się, a nie jedynie dlatego, że ono się wydarzyło temu, kto mówi. Z właściwym taktem osoba dorosła może stopniowo miarkować i hamować ton małego samoluba, póki on się nie stanie nieświadomie rzeczowym sprawozdawcą.

Nieraz kobiety ubolewały w rozmowie ze mną nad tym nadmiernie osobistym nastrojem kobiet, a ja doszedłem do wniosku, że nasze społeczeństwo czyni, co się tylko da, by tę cechę spotęgować. Stosuje się to zwłaszcza do młodych dziewcząt z dobrych rodzin i zamożnych domów. Usunięte od wszelkiej zdrowej pracy, pieszczone, strojone jak najpiękniej, zabawiane na wszelkie sposoby, karmione przy każdej okazji—wydają mi się ofiarą jakiegoś spisku ze strony starszego pokolenia, które, zazdroszcząc im naturalnego wdzięku młodości, jak najszybciej zniszczyć go pragnie. Kobieta przejęta sobą może bawić przez jakiś czas, nigdy nie będzie jednak powabną i uroczą. W dziewięciu wypadkach na dziesięć jej mniemany wielbiciel wyśmiewa ją za plecami.

Ten zbyt osobisty ton nie jest wyłączną właściwością kobiet. Spotykamy go również w wysokim stopniu rozwiniętym u mężczyzn, zaczynając od mężów stanu i znakomitości literackich, aż do najemników dziennych i komiwojażerów. Równie opłakana to cecha u mężczyzn i ko-

biet, gdyż w niej leży źródło wszystkich nikczemności i zbrodni świata. Doszedłem do przekonania, że zbawienie jest w rzeczywistości bardzo prostym procesem, przejściem od osobistego życia, z drugiego szczebla samowiedzy do wyższego, uniwersalnego życia, do świadomości kosmicznej. Żyć na tej płaszczyźnie, to stać się na obraz Boga, wolnym od wszelkiej trwogi, nienawiści i zazdrości, małostkowości, żyć życiem wieczystem. Znałem zbawionych ludzi, mężczyzn i kobiety; znałem również potępionych i wiem, jak tragicznie rzeczywisty jest ten proces. Te wielkie, nieosobowe dusze przejmują mnie bezgraniczną czcią. Niczego nie żądają dla siebie i dlatego posiadają wszystko. W ich obecności człowiek odrzuca wszelką małostkowość, jak się odrzuca zniszczone ubranie, a pogrąża się w tem co wielkie, wszechświatowe i wieczne.

Wiele lepiej jest chronić dzieci od samowiedzy, ukrócać ją w zawiązku, ledwie się pojawi, niż zamykać na nią oczy a nawet ją rozwijać, jak to czynimy w naszej pracy wychowawczej i społecznej, licząc, że wpływ późniejszego wieku wykorzeni ją i zbawi duszę za życia. Bezwzględnie najważniejszą i najżywotniejszą sprawą w wychowaniu jest wzbudzić wielkość ducha w dzieciach, czyniąc go uniwersalnym i nieświadomym swego ja. Od urodzenia zaczynając, winno wychowanie nieustannie zmierzać do tego najwyższego dobra,—i dom, i rodzina powinnyby mieć na oku tylko wyższe życie.

Może dla indywidualisty wydaje się rzeczą naturalną wierzyć, że cnoty społeczne biorą początek z indywidualnych, osobistych zwycięstw, nie zaś odwrotnie. Zapewne i mnie się wydaje, że chłopiec pozbawiony samowiedzy, obdarzony żywem poczuciem honoru, odważny i szanujący, szczery, gruntowny, prostego serca, prawdomówny, obdarzony wyobraźnią, inicjatywą, niemal niezawodnie złoży dowody tych cnót społecznych, które wymieniłem jako pożądane. We własnym duchu znajdzie ich żywe i obfite źródło. I tu jednak planowe kierownictwo może być poważną pomocą.

Jeżeli chłopiec z natury ma żywe uczucia przywiązania, możemy je utrzymać i spotęgować. Możemy mu wykazać, że miłość jest istotnie czemś największem w świecie, większem niż wiedza, bogactwo i sława, większem niż atletyka nawet; uda nam się uchronić go od głupiego mniemania, że zdradzić wzruszenie to rzecz niemęska. Stłumienie wszelkiego wyrazu uczuć prowadzi wkońcu do stłumienia samego uczucia, źródło wysycha. Niewiele jest osób całkowicie miłych, ale na szczęście równie niewiele jest takich, któreby nie były niemi choć częściowo. Poszukiwanie ludzi doskonałych i najmilszych może się stać nałogiem. Można chłopca nauczyć, by w każdym z towarzyszy doszukiwał się dobrych stron, a przez przeoczanie stron złych przyczyniał się do ich zaniku, a nie będzie to trudniejsza nauka, niż nauka reguł gramatyki lub arytmetyki. Przedewszystkiem zaś lepiej się opłaca. Złe strony są czasem złe tylko dla tego, że one nam nie dogadzają, rażą nasz egoizm. Zależnie od tego, czy upatrywać będziemy w bliźnich cech pięknych i wzniosłych, czy też stawiać im osobiste wymagania, świat staje się knieją lub ogrodem. Dany chłopczyna jest piegowaty i ma garbaty nos — ale oczy jak gwiazdy. Inny nieszczególnie gra w piłkę — ale pływa jak ryba. Ów wymawia źle, ale jego rysunki każą mu wróżyć sławę Michała Anioła, Rafaela, Velasqueza. O moją przyjaźń on nie dba, lecz jakże wiernym i oddanym przyjacielem jest dla Rolanda i Oliwera. Takie usposobienie duchowe może przejść w naturę równie łatwo, jak obecnie rozpowszechniona małostkowość, a o ileż ono jest zdrowsze i pożyteczniejsze. Można je przez wychowanie wyrobić i rozwinąć. Małe dzieci są z natury swej uczuciowe; ich przywiązanie do ojca, matki, niańki, przyjaciół jest czemś zachwycającem. Jeśli ono ustanie, to tylko dlatego, że zostało zrażone lub zawiedzione. I tu znowuż wina leży po naszej stronie. Potrzeba umiejętności w postępowaniu z dzieckiem, by, kochając je, jego uczucia rozwinąć i utrzymać. Ze strony rodziców i nauczycieli potrzeba taktu więcej, a mniej egoizmu. Cała trudność w tem, że kochamy

dzieci więcej dla własnej przyjemności, niż dla ich dobra; pieścimy je, pobłażamy im, gdy mamy humor po temu, całujemy je, rozpieszczamy, dla dogodzenia sobie posługujemy się dzieckiem jak zabawką. Cieszymy się, gdy nam się dziecko odwzajemnia, zapominając o tem, że myśmy je przekupili. Dziecko nie lubi, gdy mu przerywamy jego zajęcie lub zabawę pieszczotami i ciągłem wtrącaniem się do niego. Przychodzi jednak chwila, gdy zabawa się urwie, robota skończy, zrobi się ciemno, dziecko jest zmęczone, i zbliża się chwila snu. Wtedy to jest chwila właściwa do czułości i zwierzeń, gdy one jemu a nie nam są potrzebne. Kochać dzieci dla swej własnej przyjemności, pieścić je—może goręcej—lecz w ten sam sposób jak ulubione pieski lub kocięta, nam nieszczególnie przystoi, a im szkodę przynieść może. Jedyna miłość godna tej nazwy to ta, która jest do usług skora. My, rodzice i nauczyciele, musimy być sami ze sobą w porządku i ściśle rozróżniać między miłością samolubną a bezinteresowną. Należy nam naprzód dla przykładu, potem z zasady we właściwej porze, podniecać w dzieciach życzliwość dla całego świata, uczucie bogate i szczodre, a nie wymagające i interesowne.

Nie sądzę, aby dzieci bywały z natury grzeczne lub szorstkie. W najlepszym razie okazują spokojne panowanie nad sobą, stanowiące doskonałą podstawę do wszelkiego towarzyskiego wyrobienia. Jeśli poza tem mają wrodzone poszanowanie dla drugich, to już sprawa dobrego ułożenia jest na dobrej drodze. Zbyt często dobre maniery przedstawiają się dziecku jako coś pustego i konwencjonalnego, co mogłoby całkiem przeciwnie wyglądać i również zostać przyjęte, a stąd zdrowe natury dziecięce, a zwłaszcza chłopięce buntują się przeciw tym narzuconym formom. Dla większości ludzi dobre maniery są wytworem kultury, a—jak wiemy—lepiej byłoby cofnąć się do naszych przodków. Jednakże żaden normalny chłopiec nie ma wrodzonej odrazy do dobrych manier; chodzi tylko o to, by mu je przedstawić we właściwem świetle. Proste formalne stwierdzenie: „Tak się robi",

„Tak robić nie należy" — przyjmuje obojętnie, a nawet niechętnie. Jeśli jednak wytłumaczyć mu, że dobre maniery stanowią najrozsądniejszy sposób zachowania się, najwyżej ceniony przez innych i najlepiej odpowiadający jego własnemu pojęciu o przyzwoitości, nietylko się tem przejmie, ale wykaże ogromną gorliwość. Najpierw należy go zainteresować sprawą, a potem udzielić wskazówek. Chłopiec o żywej wyobraźni nauczy się tego szybko, a jeżeli przykładem poprzemy naukę, bardzo prędko przyswoi ją sobie. Jednakże dobre maniery są zbyt cennym nabytkiem, by je zdać tylko na okolicznościowe wskazówki i napomnienia i wogóle na los przypadku. Trzeba ich uczyć systematycznie, wytrwale, gruntownie, gdyż są one o wiele ważniejsze dla osiągnięcia powodzenia w życiu, niż różne przedmioty naukowe, którym poświęcamy tak wiele pracy i starań. Jako przedmioty dyscypliny, przewyższają matematykę. Nietrudno jest postępować systematycznie, wystarczy przejść kolejno zwykły przebieg dnia. Chłopiec wstaje i idzie spać, ubiera się i rozbiera, zjada trzy posiłki, spotyka się z ludźmi, rozmawia z nimi, znajduje się sam lub w towarzystwie, w domu, w szkole, na ulicy, w miejscach publicznych, przy robocie i przy zabawie. Wszystkie te i inne czynności dnia powszedniego winny być roztrząsane i uszlachetnione. Poza tem należy przewidzieć okoliczności niezwykłe, omówić i ilustrować przykładami najwłaściwsze postępowanie w takich wypadkach. Przedewszystkiem zaś chłopiec winien zrozumieć, że dobre maniery to nie ubranie, które zmienia się odpowiednio do okazji i towarzystwa, w jakiem się przebywa, lecz są przeciwnie cząstką rzeczywistej treści życia, że dobrze wychowany człowiek równie przyzwoicie zachowuje się, gdy jest sam, jak kiedy znajdzie się w najwytworniejszem towarzystwie.

Ta niezmienna wytworność dobrze wychowanego człowieka irytuje i wprawia w kłopot ludzi, którzy zmieniają swe obejście zależnie od okoliczności. „Salonowe ułożenie" często zawodzi i robi zawsze wrażenie czegoś sztucznego i wymuszonego. By umieć we właściwym cza-

sie zachować się przyzwoicie, trzeba się przyzwoicie zachowywać zawsze. Ta wskazówka jest niezbędna — zwłaszcza dla amerykańskich rodzin, gdzie ojcowie i matki rozpaczają nieraz nad gburowatem zachowaniem się swych dzieci, zapominając, że oni sami bardzo często nie pilnują się i ukazują im się — że tak powiem — w duchowym negliżu. Gdy ktoś ma subtelne odczucie tej strony życia, bardzo łatwo odgadnie, czy dzieci są tylko grzeczne od święta, czy gospodarz jest rzeczywiście gentlemanem, czy gospodyni przybrała tylko miły głosik i słodki wyraz twarzy dla gości, czy też używa ich stale na codzień, gdyż są jej drugą naturą. Nie znam równie uciążliwych i męczących rzeczy w drobiazgach życia codziennego, jak przestawanie z osobami, które widocznie grają jakąś rolę i które muszą wciąż pamiętać o tem, żeby nie popełnić grubjaństwa.

Tam, gdzie grzeczność jest czysto zewnętrzna i konwencjonalna, jest co najmniej niepewna, znika przy pierwszej sposobności. Tam jednak, gdzie ona stanowi tylko zewnętrzny wyraz wewnętrznej dobroci, trwa aż do ostatniego błysku świadomości. Być grzecznym przez wewnętrzną konieczność, to znaczy być dobrze wychowanym, a czy to dziecko, czy mężczyzna, czy kobieta, nie posiadając tej cechy, nie może rościć prawa do nazwy kulturalnej, dobrze wychowanej jednostki.

W pomyślnych warunkach wrodzony zmysł sprawiedliwości u chłopca jest naogół trafny. Może on czasem popełniać rzeczy okrutne, niedorzeczne, niesprawiedliwe, zwykle jednak przez nieświadomość tylko, przez tchórzostwo, które wielu dorosłych z nim dzieli, to jest przez obawę zachowania się inaczej, niż wszyscy. Jednakże w dziewięciu wypadkach na dziesięć rzeczywiście domaga się on rzetelności. Naszem zadaniem jest pokazać mu, na czem ona polega, wyjaśnić, że jego prawem jest robić, co mu się podoba, póty tylko, póki jego swoboda nie czyni uszczerbku takiemuż samemu prawu innych, czy to towarzyszy zabawy, czy kobiet i mężczyzn dorosłych. Każdy chłopiec może to zrozumieć, lecz zwykle dopiero,

gdy mu to wyjaśnimy, gdyż w nadmiernem nawyknieniu do pewnych norm skłonny jest zwykle sądzić, że kto postępuje inaczej, nie ma racji. Dobrze jest ilustrować przykładami elementarne zasady sprawiedliwości, zwłaszcza posługując się wypadkami bieżącemi, czy to gdy chłopiec sam je obraża, czy gdy jest pokrzywdzony. Najlepiej jednak jest uczyć sprawiedliwości poglądowo, trzymając się jej ściśle w postępowaniu z chłopcem. Chłopcy mają umysły konkretne i — jak dobrze wiemy — silny popęd naśladowczy. Jeśli mają zaufanie do rodziców i nauczycieli, czerpią od nich gotowe wzory. „Ciekawym, co powiedziałby na to mój ojciec", albo „Ciekawym, co zrobiłby mój nauczyciel na mojem miejscu", te pospolite słowa wskazują, gdzie szukają klucza do rozwiązania wielu zagadnień i rozwikłania wszelkiej kazuistyki.

Sprawiedliwość jest pierwszą z cnót kardynalnych, a w stosunkach ludzi z ludźmi jest cnotą o największej doniosłości praktycznej; w postępowaniu z dziećmi należy jednak pamiętać o tem, że pojęcie sprawiedliwości jest zbyt szerokie i abstrakcyjne, by je dziecko mogło zrozumieć z łatwością. Rozwój tej idei ciągnął się przez długie tysiąclecia, a dziś jeszcze w naszych umysłach obraz jej jest jednostronny i chwiejny. Sądzę, że na początek pojęcie sprawiedliwości musi wykwitać na tle bardziej konkretnych cnót, wyobraźni i szacunku, poczucia honoru, miłości, grzeczności. Życie zacne, tak jak i prawo moralne, jest z jednej bryły. Kto posiada jedną z kardynalnych cnót, posiada potencjalnie i wszystkie inne. W miarę jednak jak chłopiec dorasta, może wobec każdego faktu takiego czy innego postępowania stawiać pytanie, czy to słuszne? czy sprawiedliwe? Jeśli sam zawinił, można go doprowadzić do tego, by uznał swą winę wiele szybciej, niż przez łajanie, przez rozumną, spokojną analizę faktu i wezwać go do wydania bezstronnego sądu o słuszności lub niesłuszności danego czynu. W takich chwilach chłopcy przeważnie mówią prawdę.

Usłużność i bezinteresowność idą w parze, a obie są wynikiem dobrego zdrowia i braku egotyzmu. Czło-

wiek słabowity nie ma tego zasobu, któryby mógł oddać na usługi drugich. Samolub jest zbyt wyłącznie zaprzątnięty swemi drobniutkiemi osobistemi sprawami, by mógł mieć czas i ochotę służenia komukolwiek. Dobre zdrowie i wyższe, nieosobiste zainteresowania są najlepszym środkiem wychowawczym w tym wypadku. Już poprzednio wymieniałem warunki dobrego zdrowia: czystość ciała zewnętrzna i wewnętrzna, czystość powietrza, jedzenia, napoju, odzieży, mieszkania; przedewszystkiem zaś czystość myśli. Do bezinteresowności nie prowadzi droga przez pouczanie i napominanie. Trzeba chłopca wziąć za rękę i, wiodąc go ze sobą, odwrócić od mizernego światka małostkowych, egoistycznych przeżyć, wprowadzić w szeroki świat wielkich zadań, wobec których znikają z uwagi i rozwiewają się w nicość wszystkie osobiste sprawy. Zbawienie, jak już poprzednio wskazałem, jest to odrodzenie się, w którem zrywamy z dawnem życiem ciasno osobistem, aby ogarnąć cały świat. Bezinteresowność stanowi ważną część religji, gdyż jest ona decydującym czynnikiem w naszym stosunku do życia. Większość z pomiędzy nas zakosztowała samolubnego życia i przekonała się, jak marne są jego plony; to też w wyniku tego doświadczenia większość samorzutnie pozbyła się egoizmu, widząc, że bezinteresowność jest lepszą drogą życia. Naogół jednak postęp jest niewielki; świat jest zawsze bardzo samolubny, a stąd i bardzo nieszczęśliwy. Przeszkadza tu — mojem zdaniem — nasza mylna metoda, nie wnikająca dostatecznie w istotę rzeczy. Nie możemy zależnie od przyjętego zgóry postanowienia zabrać się do hodowania egoizmu lub bezinteresowności z równemi widokami powodzenia. Obie te cechy są bowiem wynikiem przyczyn tkwiących głęboko, do źródeł więc sięgać należy. Jeżeli główny cel, jaki sobie zakładamy w życiu, jest osobisty, nieuchronnie musimy być egoistami, bez względu na świętość naszych dążeń, naszych uczynków miłosiernych, naszych przemówień.

Bardzo poważna szkoła myślicieli, uznając ten fakt zasadniczy, twierdzi, że dobrze pojęty, oświecony egoizm

indywidualny musi współdziałać dla ogólnego dobra. Może to być słuszne w stosunku do pewnego okresu życia, do wieku dojrzałego od 30 do 50 lat mniej więcej, ale nie jest prawdą, gdy mowa o całem życiu, ponieważ osobnicze życie śmiertelnych jest skazane na ostateczny upadek i zmierzch. Ciało i duch tylko część swej wędrówki odbywają łącznie, rosnąc w siłę i potęgę. Każdego z nas jednak czeka chwila, gdy ciało niedotrzymując kroku, pozostanie w tyle, a duch musi iść dalej naprzód, jeśli postęp niema się zatrzymać. Przeważna część zadań ducha nie dotyczy drobnostkowych spraw osobistych, zajmujących tak przeważne miejsce w życiu ciała, lecz wszechświatowych spraw, które obchodzą całą ludzkość i trwają dłużej, niż życie osobnika. Wzbudzić w dzieciach zainteresowanie do spraw ogólnych, to znaczy wykorzenić z nich egoizm. Jedynacy i jedynaczki są zwykle egoistami poprostu dlatego, że życie ich jest przeważnie osobistemi sprawami zapełnione. Przeciwdziałać temu może wychowanie zbiorowe, zarówno zbiorowe gry i zabawy, jak wzajemna wymiana usług. Życie ma wysoce indywidualną stronę, której żaden zdrowy umysł lekceważyć nie może, ta jednak musi być podporządkowana czemuś szerszemu i wyższemu. Jeżeli życie ma mieć trwale pomyślny przebieg, jeśli szczęście człowieka ma być dobrze zabezpieczone, muszą w nim wziąć górę interesy nieosobiste, leżące poza ciasną skorupką maleńkiego, w sobie zasklepionego ja, sięgające do celów wszechświatowego znaczenia.

Oto jakie zalety duchowe winien mojem zdaniem posiadać dobrze wychowany czternastoletni chłopiec. Gdy je sobie przyswoi, będzie posiadał wszystko. Niby nowoczesny rycerz wyjdzie w świat pełnić służbę, a służąc, dorobi się wszystkiego. Postęp ochoczo towarzyszyć mu będzie, a „człowiek nie z tego świata" stanie się znowu możliwym. Naszym — rodziców i nauczycieli — obowiązkiem jest pracować nad wyhodowaniem tych duchowych zalet. Gdy widzimy, jak niesłychanie są one potrzebne, zdumienie ogarnia nas poprostu, że można w tak nie-

mądry i brutalny sposób marnować nieoceniony okres pierwszych czternastu lat życia, okres najplastyczniejszej podatności na wychowawcze wpływy, najbardziej decydujący dla kształtowania charakteru dziecka. Jako ludzie praktyczni, dbający o wychowanie gruntowne, winniśmy dla każdego nam powierzonego chłopca ustanowić tablicę postępów w powyższych zaletach i zaznaczać je w sposób wyraźny. Dopiero, gdy po ścisłem i skrupulatnem rozważeniu, będziemy mogli przy każdej z tych cnót zapisać znak plus, dzieło nasze zostanie uwieńczone. Tablicę tę nakreślimy nie dla chłopca, lecz dla siebie samych.

SPRAWOZDANIE.

Zalety indywidualne.		*Zalety społeczne.*	
Wyobraźnia	+	Przywiązanie	+
Inicjatywa	+	Obyczajność	+
Szczerość	+	Sprawiedliwość	+
Prawdomówność	+	Usłużność	+
Pogoda	+	Bezinteresowność	+
Skupienie	+		
Gruntowność	+		
Odwaga	+		
Szacunek	+		
Poczucie honoru	+		
Brak samowiedzy	+		

Polecając tę tablicę głębszej uwadze ogółu rodziców i nauczycieli, chyba nie potrzebuję się rozszerzać nad wysoką wartością duchowego uposażenia, jakie ona obejmuje, ani też podkreślać, że dziś przeciętnym chłopcom w Ameryce daleko jeszcze do posiadania wymienionych w niej zalet, niezależnie od tego, czy pochodzą oni z rodzin bogatych, czy też wprost z zaułków miejskich. W rodzinach bogatych widoki rozwoju chłopca są bardzo marne. W dziewięciu wypadkach na dziesięć wyrośnie on na samoluba, gbura, bez wyobraźni, leniucha, pełnego samowiedzy. Z zasady, im świeższe bogactwo jego rodziców, tem gorsze jego wychowanie. Chłopiec, wychowany w zaułkach, uniknie niebezpieczeństwa rozpieszczenia

i dogadzania, lecz natomiast cierpi skutkiem pierwotnego zaniedbania i złych przykładów, a to stanowi tak ciężką zaporę, że rzadko uda się ją przełamać. W obecnym stanie rzeczy najlepsze warunki spotykamy w przeciętnych rodzinach średniej klasy, gdyż tu ma chłopiec szkołę pożytecznych usług i sposobność spotkania się z dobrym przykładem.

U czternastoletniego chłopca jest rzeczą bez znaczenia, czy chłopiec umie czytać i pisać lub nawet dodawać. W każdym razie nie łożyłbym bezpośredniego wysiłku na przyswojenie tych podrzędnych umiejętności. Gdybym był pewny, że będę mógł zatrzymać chłopca przy sobie w okresie szkoły wyższej, tj. od czternastu do osiemnastu lat, wolałbym, żeby nie umiał czytać, mając lat czternaście. Skoro tylko chłopiec zacznie czytać, odrywa się od wspaniałego świata obserwacyj i doświadczeń z pierwszej ręki, a wstępuje w świat bladych cieniów i odbitek z drugiej ręki, świat sprawozdań; życie jego staje się mniej realne i rodzime. Im namiętniej umiłuje swoje książki, tem mniej jest widoków, że sam dokona czegoś nowego i użytecznego. Tak znacznie łatwiej jest przeżywać wstrząsające przygody przez imaginację, w powieściach, historji, podróżach, życiorysach, dziełach naukowych, niż samemu jakiś fakt zaobserwować, że stopniowo dochodzę do wniosku, iż—wbrew ogólnemu przekonaniu—czytanie nie jest bynajmniej dobrodziejstwem, lecz może się stać tak samo, jak nadmierne uczęszczanie do kościoła, pewną postacią gnuśności i niedołęstwa. Wolałbym, ażeby mój chłopiec w czternastym roku, a w każdym razie w dwunastym, nie umiał czytać, gdyż wierzę, że przez to z czasem będzie mędrszym, wyższym, oryginalniejszym człowiekiem. Wielka prawda zawiera się w cytowanych często słowach Hobbesa: „Gdybym był czytał tyle co inni ludzie, prawdopodobnie wiedziałbym równie mało jak oni".

Rzadko się jednak zdarza, by chłopiec w jakiejś chwili, wskazanej zrządzeniem losu, sam nie zapragnął nauczyć się czytać; gdy zaś taka godzina wybije, głupim byłby nauczyciel, któryby mu tego zabraniał. Ten głód

nie jest przywiązany do żadnego wieku; zjawia się w każdym okresie życia. U mnie zjawił się w ósmym roku. Pewnego dnia zbudziła się we mnie szalona chęć poznania, co znajduje się w książkach, które widziałem wkoło siebie, i rozpaczliwe uczucie bezsilności, że sam ich treści odkryć nie mogę. Równocześnie z tem pragnieniem czytania powstało inne osobliwe, a trudniejsze do urzeczywistnienia: chciałem zostać „nawróconym". Zdawało mi się, że gdybym został nawrócony i nauczył się czytać, już nie chciałbym niczego więcej. Nie pamiętam, jakim sposobem nauczyłem się czytać, pamiętam tylko, że, zanim się sam spostrzegłem, już czytałem i odtąd już zawsze czytałem wiele, szybko i rozumiałem całą rozkosz czytania. Nigdy nie osiągnąłem jednak trzeciego stopnia umiejętności czytania, tej fazy ekonomicznej, do której niekażdy dochodzi, choć dojść może, kiedy to czyta się—nie literami, jak dziecko w początkach nauki, nie wyrazami, jak większość dorosłych, lecz zdaniami, jak Mackoley i inny genjalny lecz mniej znany człowiek z pośród moich znajomych. Mój przyjaciel rzadko brał dwa razy do ręki tę samą książkę; umiał przeczytać w półtorej godziny tom o czterystu stronach. Po przeczytaniu nietylko zdumiewająco dobrze znał zawartość książki, lecz miał takie zrozumienie całości, jakiem nie mógł się poszczycić nikt z tych, co ją czytali powoli i z rozwagą. Kończąc tom, doskonale pamiętał jego początek i wszystkie następne rozdziały. Umiał określić całość, tak jak kto inny umie nakreślić obraz gmachu. Jeżeli chcemy, aby dzieci czytały, czemużbyśmy nie mieli odczekać psychologicznego momentu, a potem przeprowadzić sprawę umiejętnie i z dobrym skutkiem.

Chciałbym pomówić jeszcze o sprawie „nawrócenia", która okazała się wiele trudniejszą, lecz znacznie więcej zajmującą, gdyż człowiek nigdy nie może jej uważać za zupełnie załatwioną. Przeciwnie, wymaga ona całej serji kolejnych odrodzeń. Niedość raz się odrodzić; człowiek musi się odradzać nieustannie. Zbliżywszy się do każdej upragnionej mety, dostrzegamy drugą—dalszą, aż wkońcu

dopiero osiągamy spokój i pogodę, trwającą wśród natłoku nieustannych zmian. Cel nasz nie jest ani tu, ani tam. Znajduje się on tuż i w każdej chwili, — jest nim życie samo, nieskończone, twórcze stawanie się.

Mniej więcej te same uwagi nastręczają się i przy innych punktach zwykłego programu. Póki nie wybije godzina właściwa, pracujemy źle i bezskutecznie. Głównym jednak zarzutem, który można postawić przyjętemu powszechnie szkolnemu wykształceniu, jest ten, że pierwsze czternaście lat życia stanowią zbyt ważny i cenny okres, by wolno było je trwonić w tak kosztowny sposób. Plon umysłowy jest ubogi i skarlały; czasem tak gruntownie spaczony, że zniedołężnia człowieka na całe życie. W najżywotniejszych sprawach swego życia podlega fałszywym wyobrażeniom, te zaś ukryte w zakamarkach nieświadomości zasłaniają mu zawsze rzeczywisty i wierny obraz świata. Poza tem jednak każda drogocenna chwila tego pierwszego okresu życia powinna być spożytkowana dla kultury ducha w powyżej podanym zakresie i dla kształcenia ciała, o czem zaraz mówić będę. Ciało i duch są zawsze mniej więcej wrażliwe, nigdy później nie są jednak tak plastyczne, jak u dziecka.

VIII.

WYCHOWANIE CIELESNE.

W ciągu pierwszych czternastu lat życia niema czasu na formalne kształcenie umysłu, najpierw dlatego, że jeszcze nie przyszła na nie odpowiednia chwila, a powtóre dlatego, że te lata trzeba spożytkować aż do ostatniej godziny dla wiele ważniejszej i pilniejszej sprawy kształcenia ducha i ćwiczenia ciała. Nie jest to rzeczą wyboru i decyzji powag szkolnych, lecz organicznej konieczności. Duch, odpowiednio wyćwiczony, sam mimochodem zbierze sobie obfity i zdrowy pokarm umysłowy, gdyż w wielkim dramacie życia siłą kierowniczą jest duch. Gdy nadejdzie pora właściwa, około czternastego roku życia, silny

duchem chłopiec bez trudności opanuje język, matematykę, historję, nauki przyrodnicze. Właściwie pozna je już wcześniej przy sposobności i w wysokiej mierze przyswoi sobie. Nie można jednak powiedzieć odwrotnie, by dary ducha rozwinąć się miały nieuchronnie, jako następstwo akademickiego wykształcenia; faktycznie, zazwyczaj one się nie zjawiają same. Dlatego to słusznie jest przedewszystkiem zająć się duchem, jako siłą kierowniczą, bynajmniej nie zdając się na los, lecz wiernie bacząc, by duch ten był silny, uświadomiony i wolny.

Mógłby się przytem znaleźć czas na naukę szkolną, gdyby nie to, że jest to również wiek najwdzięczniejszy dla rozwoju fizycznego, że organizm ma wtedy plastyczność szybkiego wzrostu i wrażliwość większą, niż kiedykolwiek później. Wszystko, co wychowanie może zdziałać dla ćwiczenia ciała, musi być w tym okresie dokonane, a co najmniej zapoczątkowane, jeżeli praca ma mieć jakiekolwiek widoki powodzenia. Większość ludzi nie posiada wcale owego cielesnego wykształcenia; bardzo niewielu pojmuje, ile osiągnąć można przez ćwiczenie fizyczne, a jeszcze mniej jest tych, co uznają wielką wagę i konieczność przystąpienia do dzieła zawczasu, póki istnieją widoki pomyślnego wyniku. Doskonale wiemy wszyscy, że nie można starego psa uczyć nowych sztuk; niejeden z nas przekonał się również — może z wielkim żalem — jak ciężko jest w wieku dojrzałym przyswoić sobie jakąś sprawność, wymagającą giętkości ciała, właściwej młodemu wiekowi. Rodzice i wychowawcy winni jednak mieć przedewszystkiem na pamięci pozytywną stronę prawdy, zawartej w przysłowiu o starych psach, a mianowicie, że młode psy nowych sztuk uczyć można. To samo dzieje się w świecie ludzkim. Sprawność fizyczną należy wyrabiać w dzieciństwie, a jeśli ona będzie odpowiednio pokierowana i zastosowana, przyniesie znacznie więcej korzyści, niż cała w podręcznikach zawarta wiedza z drugiej ręki. Jaki zakres obejmować ma ta sprawność, wykaże się, gdy i tu zadamy sobie pytanie, czego można wymagać i pragnąć dla czternastoletniego chłopca.

Już na wstępie zgodziliśmy się, że musi on mieć zdrowie znakomite; na to samo już potrzeba czasu i rozumnego starania. Jeśli jednak przyjmiemy zgóry, że ten cenny dar jest zapewniony, to jeszcze pozostanie bardzo długa lista takich zdolności fizycznych, z których żadnej pomijać nie można.

Chcąc gruntownie traktować przedmiot, należy być systematycznym. Z tego powodu podzielę wszystkie pożądane uzdolnienia fizyczne na następujące rubryki: Ciało z przyrządami; ciało bez przyrządów; oko; oko i ręka; słuch i głos; nos i podniebienie; sprawność i koordynacja wszystkich funkcyj. Tak ugrupowany spis obejmuje i wyczerpuje całość i jest zarazem dogodny. W powyżej oznaczonym porządku rozpatrywać będziemy każdą grupę, zawsze pomnąc na to, że celem wychowania nie jest hodowanie atletów, ani też wyrabianie nadzwyczajnej sprawności fizycznej w jakimkolwiek specjalnym kierunku, lecz jedynie takie wszechstronne i ogólne ćwiczenie ciała, by ono było podatnem narzędziem ducha ludzkiego. To podwójne kształcenie duszy i ciała, to przyswajanie zalet duchowych i fizycznych sprawności, musi iść równomiernie — krok w krok. Jak słusznie powiada Montaigne: „Nie duszę, nie ciało kształcimy, lecz człowieka—i dzielić go nie należy."

Oto głos myśliciela, potwierdzony przez wyniki ostatnich badań i doświadczeń, jak zawsze bywa z pismami, opartemi na wewnętrznem poznaniu. Wiemy, że nie należy oddzielać duszy od ciała; wiemy, że nie można naprzód kształcić duszy a potem we właściwej chwili -- obdarzyć ją dobrze wyćwiczonem i uposażonem ciałem; wiemy też z niemniejszą pewnością, że nie możemy rozwijać ciała, a później dopiero w upatrzonej porze zaopatrzyć je w dary duchowe. Dusza i ciało muszą rosnąć społem, a porą wzrostu dla nich jest ów pierwszy, wdzięczny okres życia, od urodzenia do czternastego roku.

Biorąc pod uwagę sprawność fizyczną bez przyrządów, sądzę, że chłopiec winien w czternastym roku życia umieć chodzić, biegać, wspinać się, skakać, tańczyć, mo-

cować się, pływać i nurkować. W dodatku do tego przez systematyczne ćwiczenie dojść winien do zupełnego opanowania swego ciała. Zasadnicze umiejętności, wyliczone powyżej, nie wymagają żadnych przyrządów; dla ich nabycia, nie potrzeba nic więcej, prócz towarzysza i otwartej przestrzeni. Na żadną z nich nie można liczyć, że sama się wyrobi. Chłopcy wprawdzie oddają się im samorzutnie bez nauki i kierownictwa, nam jednak powinno chodzić nie o to, by to robili, lecz by robili dobrze.

Chodzenie jest sztuką, większą jeszcze bieganie. Kto chce dobrze chodzić, musi być odpowiednio ubrany. Powinno się w tym celu nosić jak najmniej ubrania, na ile tylko przyzwoitość i temperatura pozwala, jak najlżejsze obuwie—byle mogło być trwałe, i nie używać kapelusza. W kieszeni nie trzeba mieć nic ciężkiego, a wogóle niczego na plecach ani w ręku. W razie kilkodniowej pieszej wycieczki zwykle można cały niezbędny bagaż wysłać pocztą. Niejedna piesza wycieczka nie udała się tylko z powodu pakunków, ciężkiego obuwia i nadmiaru odzieży. Dla tych, którzy w swem ostatniem wcieleniu [1]) byli czy to Indjanami, czy sosnami w lesie, najodpowiedniejszą wycieczką jest wędrówka po lasach zupełnie nago. W danej chwili człowiek przestaje być istotą obarczoną obowiązkami, a staje się integralną częścią lasu. Wszystkie czucia są spotęgowane. Każdy krok daje bezpośrednią styczność z Matką Ziemią, odczucie jej powierzchni, miękkiej lub twardej, skalistej lub błotnistej, wilgotnej lub suchej, omszonej czy zadrzewionej. Promienie słońca i wiatr letni pieszczą ciało tchnieniem życia.–Trawy i gałęzie, spuszczające się ku ziemi, garną się, przyjaźnie obejmując wędrowca. Idąc tak cicho, bez szelestu, łatwiej można dostrzec całą różnorodność mieszkańców lasu,

---

[1]) Autor wierzy w metampsychozę. Praktycznego znaczenia jego rada niema, gdyż trudno rozróżnić, kto był sosną, a kto Indjaninem, chyba właśnie z upodobania do chodzenia nago po lesie, co zresztą niezależnie od wiary w preegzystencję traktować można. Przyp. tłum.

spotkać jelenia, lisa, wiewiórkę, bażanta. Doznaje się przygód i wrażeń niezapomnianych, a serce unosi się dumą, jakgdyby jaźń już zamarła, a duch wcielał się w ogrom przyrody.

Zwykle jednak chodzimy wielkiemi bitemi traktami i musimy się ubierać jak najlepiej. Gdy się ma odzież lekką, nietrudno jest chodzić dobrze. Mojem zdaniem, należy przestrzegać trzech prawideł: Po pierwsze, trzymać się prosto i w swobodnej postawie. We wszelkich okolicznościach postawa taka przystoi istocie, stworzonej na obraz i podobieństwo Boga. Powtóre, lepiej jest chodzić raczej z biodra niż z kolana. Po trzecie, opierać się na przegubie nogi, a piętami dotykać ziemi, tylko przystając na miejscu. Chodząc w ten sposób, oddycha się lekko, bez zmęczenia przebywa się długie odległości i doznaje się wrażenia, jakgdyby się płynęło przez fale upajającego eteru, a nie dreptało po twardej ziemi. Kto się tej sztuki nauczy, ten w chodzeniu może znaleźć niewypowiedzianą przyjemność, i nawet długie marsze, po dwadzieścia i trzydzieści mil, wykonywać może bez nadzwyczajnego zmęczenia. Co do mnie, to dochodziłem do czterdziestu dwóch mil dziennie, a niektórzy z moich chłopców aż do pięćdziesięciu [1]).

Chodzenie jest zarazem sztuką i nawyknieniem. W naszych czasach przy szybkich komunikacjach — nie jest ono cenione tak, jak na to zasługuje. Mojem zdaniem jest to najlepszy ze wszystkich sportów. Przedewszystkiem nie kosztuje nic, prócz czasu i wydatku na utrzymanie w drodze. Sądzę, że w przyszłości prawdziwi dżentlemani będą coraz więcej brali w rachubę koszta swych rozrywek, poczytując za czyste i godziwe tylko te, które nie wymagają przywłaszczania sobie cudzej siły roboczej, odrzucając jako niegodne te, które nie mogą się obejść bez jakiegoś rodzaju niewolnictwa, narzuconego innym mężczyznom, kobietom czy dzieciom. Następnie—

[1]) Mila angielska.

człowiek odbywać musi wędrówki piesze sam, a jeśli tylko jest w zgodzie ze sobą, ma zapewnione dobre towarzystwo; jeśli zaś szczęście mu sprzyja, że ma towarzysza podróży, będzie to zapewne doskonały kolega, gdyż co najmniej nie będzie leniwym, obojętnym i niestrawnym. Nakoniec wycieczki piesze mają ten powab, że nie zmuszają do trzymania się gromady, lecz pozwalają samodzielnie wybierać sobie drogę, górą czy doliną, gdzie fantazja poniesie i wzrok pociągnie, bez oglądania się na mapę i kompas, lecz kierując się wedle słońca i gwiazdy polarnej. Wspaniałe poczucie nieograniczonej swobody rodzi się w człowieku, który krąży wśród przyrodzenia, niby bóstwo zamierzchłych przedhistorycznych wieków. Piesze wędrówki to sztuka, w której warto kształcić naszą młodzież męską i żeńską, nawyknienie, które warto jej zaszczepiać.

Prawie każdy chłopiec lubi biegać, bądź to dla samej przyjemności ruchu, bądź też dla gonitwy. Jedno i drugie jest dobre. Trzeba tylko nauczyć chłopców, jak mają swobodnie oddychać w biegu, jak utrzymać ciało spokojnie, biec z bioder i zatrzymywać się zawsze na końcach stopy. Szybki bieg składa się w istocie z serji zręcznych skoków, a o umiejętności biegania świadczy to, gdy się może długo wytrzymać w ruchu bez utraty tchu i bez zmęczenia. Zdrowy chłopiec powinien umieć przebiegać dwie do pięciu mil bez szkody dla zdrowia a nawet z korzyścią. Rzadko który tego dokaże, może nawet jeden na stu. Warto jednak nauczyć się tego, gdyż jest to nietylko sztuka zręczności, lecz próba wytrzymałości i siły woli. By się w tej sztuce wydoskonalić, trzeba wprawy i inteligencji. Tak samo jak chodzenie, i bieganie również jest umiejętnością i nawyknieniem, niebezpiecznem, gdy mu się oddaje człowiek już niemłody, obciążony odzieżą i przekarmiony, ale bardzo zdrowem, jeżeli się rozpoczyna we wdzięcznym okresie młodzieńczym. Nie chciałbym, by to, co mówię na pochwałę biegu, miało być zrozumiane, jako zalecanie wyścigu. Z moich obserwacyj na torze wyścigowym, z wizerunków zwycięzców na wyścigach, zamieszczanych w dziennikach, widzę po ich

wymęczonych twarzach, że naprężenie tego rodzaju w każdym razie nie może wychodzić na zdrowie. Moją myślą przewodnią w całym tym rozdziale nie jest zalecanie sprawności atletycznej, lecz harmonijnego ćwiczenia ciała, czyli rzetelnego wychowania fizycznego. Doskonałość tego wychowania na tem polega, by ciało ludzkie jak najlepiej zostało przygotowane do poważnych i artystycznych celów życia.

Toż samo stosuje się do skakania i wspinania się; kto zamłodu tego się nie nauczy, nie nauczy się nigdy, a jednak jednego i drugiego nauczyć się warto. Może człowiek nigdy nie być zmuszony dla celów praktycznych wdrapywać się na drzewo, przeskakiwać strumień, wspinać się na dach płonącego domu, lecz zręczność nabytą w porę zastosuje wtedy, gdy zajdzie potrzeba. Na początek chłopiec powinien uczyć się wspinania na drzewo gałęziste, gdyż, mając pewne oparcie dla nóg, łatwiej mu będzie o przytomność umysłu i opanowanie swych muskułów. Gdy zdobędzie trochę wprawy, przejść powinien do trudniejszych ćwiczeń, kończąc na gładkim słupie — nie posmarowanym tłuszczem bynajmniej — lecz pozbawionym oparcia dla nóg. Wspinanie się wprawia w grę wszystkie muskuły, — człowiek musi baczyć na to, kiedy się trzymać i kiedy się puszczać; — szybkość i bezpośredniość stanowi wielką zaletę tego ćwiczenia. Myśl i ciało muszą być równie wytężone, na nieuwagę i roztargnienie pozwolić sobie nie można. Przyglądając się chłopcu wdrapującemu się na drzewo, będziemy mieli obraz rzeczywistości, jakiemu lepszego nie wymyśli żaden filozof.

Dobrze jest łączyć naukę wspinania z nauką skakania, to jest kazać chłopcu zeskakiwać z gałęzi różnej wysokości na ziemię, równemi nogami przy umiejętnem użyciu muskułów, chroniąc się od rozbicia. Pożądane jest również łączenie z wdrapywaniem takiego ćwiczenia, przy którem chłopiec przy pomocy ramion — trzymając się poziomej poręczy, unosi się wgórę z brodą o poręcz opartą. Na oko wydaje się to rzeczą łatwą, a jednak, kto chce to

zrobić dobrze, a zwłaszcza wiele razy z rzędu, musi mieć bardzo wyrobione muskuły i silną wolę. Ćwiczenie to wprawdzie wymaga przyrządów, lecz tak prostych, że w każdej wiosce można się o nie postarać.

Kto widział jelenia, przeskającego przez rów, lub dobrze wyćwiczonego wierzchowca, gdy sadzi przez barjerę, musiał obok podziwu doznawać pewnego rodzaju zazdrości. Może minie kilka pokoleń, zanim młodzież nasza nauczy się przeskakiwać przez płot, nie tykając go, tymczasem jednak nie tak trudno będzie nauczyć ją przesadzać płot, opierając się lewą, prawą ręką, dwiema rękami, a przeskakiwać mniejsze przeszkody równemi nogami. Wyobraźmy sobie, jaką rozkoszą staje się wycieczka na wieś, przy wprawie i zręczności, pozwalającej przeprawiać się z łatwością przez wszystkie przeszkody, u człowieka, który ma duszę ludzką, a nogi jelenie.

Nie polecam bynajmniej skakania na szczudłach nietylko dlatego, że wymaga to specjalnych przyrządów, że staje się bardzo niebezpiecznem, gdy szczudło się złamie, lecz i dlatego, że ta umiejętność nie ma zastosowania w życiu powszedniem. Można równie dobrze wyćwiczyć mięśnie w sposób mniej ryzykowny a pożyteczniejszy.

Taniec ma wiele różnorodnych zalet, nietylko jako ogólne ćwiczenie ciała, lecz że w szczególności rozwija wdzięk, zalety towarzyskie, że może być wyrazem uczuć patrjotycznych i religijnych. Kto widział w Chicago dzieci szkolne, jak tańczą ludowe tańce różnych narodów, albo Ruth St. Denis w Zaklinaniu Ognia, albo Michała Mordkin w Bachanale, lub wreszcie starą o łagodnej twarzy kapłankę w Nikko w Ceremonjalnym Tańcu w Świątyni, będzie musiał przyznać, że zaniedbanie tańca w naszem życiu prywatnem i publicznem pozbawia nas bardzo cennych środków wyrażania uczuć.

Taniec nietylko ma wiele zalet, jako ćwiczenie ciała, lecz pomaga przebrnąć przez wiek niebezpieczny, zbliżając do siebie chłopców i dziewczęta w warunkach zdrowych i miłych. Prawdopodobnie matka rodziny w dziewczęcym wieku bardzo lubiła taniec i zbyt wcześnie go za-

rzuciła. Wyjdzie to na dobre i jej, i dzieciom, jeśli sama będzie je uczyła tańca, skupiając wkoło siebie gromadki dzieci z sąsiedztwa po ośm lub dwanaście razem. Aby wszystkie matki mogły uczestniczyć, winny się zmieniać kolejno, a tem lepiej, jeśli który z ojców może przygrywać na fortepianie i tym sposobem brać udział w zabawie. Istnieje nieprzeliczone mnóstwo pięknych tańców, a wciąż można jeszcze wymyślać nowe. W tak prosty, swojski sposób można bardzo zwiększyć radość życia, a w niejeden długi, słotny wieczór uchronić się od nudy i zasępienia. Z rozkoszą wspominam jedno lato, które wraz z siostrą spędziłem w domu pewnego farmera w Connecticut. Było tam coś ośmioro dzieci w naszym wieku, i niemal co wieczór w miłym staroświeckim salonie — usunąwszy ze środka meble — wesoło puszczaliśmy się w taniec. Kolejno tańczyliśmy wszystkie tańce, o jakich tylko słyszeliśmy, a gdy przyszło do „Sir Roger de Coverley“ — i dorośli łączyli się z nami. Najzdrowsza rozrywka, nie kosztuje nic, trzeba tylko dobrego pomysłu i inicjatywy.

Mocowanie się tak samo, jak wspinanie — wprawia w ruch wszystkie mięśnie ciała; tu jednak przezwyciężyć trzeba nie siłę ciężkości, działającą zawsze w jednym tylko kierunku, lecz siłę czynną i zaczepną, mogącą w różnych, nieprzewidzianych działać kierunkach. Mocowanie się ma tę dobrą stronę, że uczy chłopca trzymać swój temperament na wodzy i trzymać się w granicach gry uczciwej (fair play). Chłopiec, który unosi się gniewem i chce się mścić na przeciwniku, musi być od gry usunięty. Tutaj trafia się ojcu dobra sposobność do kierowania grą, uczestniczenia w niej w razie okoliczności odpowiednich i wejścia w stosunek koleżeński z synem łatwiej, niż przy jakiejkolwiek innej okazji.

Do prowadzenia zapasów tego rodzaju w domu nie potrzeba nic więcej, jak trochę wolnego miejsca i kilku materaców. Najlepiej, gdy chłopcy mocują się boso i mają na sobie tylko obcisłe spodnie. O ile to jest możliwe, to japońskie zapasy „jiu jutsu“ są najbardziej polecenia godne.

Przyglądałem się w Tokio nauce jiu jutsu i podziwiałem nietylko zdumiewające wyrobienie mięśni, lecz jeszcze więcej uprzejmość i panowanie nad sobą, jakie przy tem rozwijano w chłopcach. Później jeszcze przyglądałem się w Cambridge, w Studio House, popisom dwóch Japończyków, studjujących w Harward. Obaj byli małego wzrostu i bardzo poważni. Ukłonili się ceremonjalnie, a wszystkie ich ruchy wydawały się tak rozważne i planowe, że gdy od czasu do czasu jeden ze studentów przerzucił przez ramię drugiego i położył go na łopatki, robiło to wrażenie, jakgdyby ruch ten był zgóry ułożony za obopólną zgodą. Patrzącym zdawało się, że ruch taki nie byłby możliwy, gdyby obie strony nie przystały na niego, i że przeciwnik raczej zezwalał niż ulegał. Mój przyjaciel, dobrze rozwinięty kadet, obecny na popisie, wypowiedział tę uwagę do jednego z Japończyków i zapytał, coby było, gdyby jeden z zapaśników — nie znając prawideł gry, uderzał poprostu tak, jak mu się podoba, chcąc zwyciężyć za wszelką cenę. „Chce pan spróbować?“ zapytał student. Mój przyjaciel zgodził się na próbę; nie przeszła minuta, a już — ten tęgi mężczyzna — znalazł się w powietrzu i padał na łopatki, podczas, gdy jego drobny przeciwnik kłaniał mu się z miłym uśmiechem. Tem śmieszniej to wyglądało, że przyjaciel mój był w wytwornem ubraniu wieczornem, a choć z natury łagodny, musiał mieć minę podrażnioną. Jakkolwiek to jest wielka sztuka, a może właśnie dlatego, nie należałoby zaczynać jiu jutsu, o ile się nie ma doskonałego nauczyciela. Dobrze jest na wstępie przeczytać dobrą książkę na ten temat.

Chłopcy tak ciągną do wody, że zawsze skłonni jesteśmy przypuszczać, iż już umieją pływać i nurkować. W istocie jednak wielu z nich nie ma sposobności nauczyć się tej sztuki, a dla niejednego z nich jedyna sposobność zjawia się w tak niepomyślnych warunkach, że opłacają ją utratą życia. Jak już poprzednio zaznaczyłem, najlepiej jest zaczynać tę naukę w bardzo młodym wieku; im wcześniej, tem lepiej. Obecnie mój przyjaciel z korpusu kadetów ma synka i chce go uczyć pływać, póki jest nie-

mowlęciem. Sądzę, że to doskonała myśl, równie naturalna, jak wykonalna. Dziecko mogłoby się dobrze nauczyć pływać, nim umie chodzić, gdyż woda unosi jego ciało, a ono nic więcej nie potrzebuje, tylko poruszać rękami i nogami. Mało który chłopiec ma to szczęście, by tak wcześnie uczyć się zaczynał, ale zdrową zasadą jest nie odkładać ani na chwilę, lecz zaraz brać się do nauki bez względu na wiek, począwszy od pierwszego do ośmdziesiątego roku życia. Ponieważ pływanie należy do przyrodzonych umiejętności, nauczyciel potrzebuje tylko dać kilka prostych i praktycznych wskazówek, opartych na własnem doświadczeniu. Pierwszą rzeczą jest, by chłopiec przezwyciężył obawę wody i wstręt do mimowolnego nurka. Najlepiej opanuje się jego trwogę, gdy mu się doświadczalnie pokaże, jak bardzo woda unosi, i jak mało wysiłku mięśniowego potrzeba, by się na jej powierzchni utrzymać. Chcąc uleczyć go ze wstrętu do nurkowania, nie należy go zanurzać, lecz skłaniać do wielokrotnego zanurzania głowy w wodę, póki się nie nauczy wstrzymywać oddechu, nie doznając przykrości. Chłopiec, który już się nie lęka trzymać głowy pod wodą, łatwo nauczy się pływać. Z własnego doświadczenia wiem, że nie jest dobrze używać przyrządów korkowych, czy jakichkolwiek innych sztucznych środków dla utrzymania się na powierzchni. O wiele lepiej zaczynać naukę pływania na płytkiej wodzie, gdzie chłopiec czuje się zupełnie bezpiecznym i może skupić całą uwagę na koordynację ruchów nóg i ramion. Gdzie brzeg jest piaszczysty i ma łagodny spadek, dobrze jest, by chłopiec szedł w bród, póki woda nie sięga mu do brody, a potem skoczył na powierzchnię i próbował płynąć w kierunku brzegu. Gdy chodzi o malców, którzy już przeszli początkową naukę, dobrze jest, gdy nauczyciel pływania brodzi razem z nimi; posunie się dalej, zanurzając się naprzykład po ramiona, i każe chłopcom płynąć ku sobie. Tym sposobem posuwają się oni po za głębokość na miarę swego wzrostu, a nie tracą pewności siebie, wiedząc, że silne a przyjazne ręce w każdej chwili gotowe są ich pochwycić i podtrzy-

mać. Później tratwa, stojąca na kotwicy na głębi, nie daleko od brzegu, stanowi metę, do której płyną. Lepiej jeszcze, gdy wyspa o kilkaset stóp od brzegu leżąca—jak w moim obozie—stanowi równocześnie i metę, i przynętę. Nie jest dobrze, ani roztropnie pozwalać chłopcom pływać po głębi, bez wyraźnie określonego celu. Gdy się czemś spłoszą, lub cośkolwiek niespodzianego się zdarzy, trudno do nich trafić, i każdy uczuje się bezradny, gdy w takiej chwili jest osamotniony. Nauka pływania powinna się odbywać na ograniczonej przestrzeni i to takiej, którą wytrawny kierownik może objąć wzrokiem. Najlepszy basen—to jezioro zasilane przez świeże źródła, gdyż ma wodę czystą, nie ma rwących nurtów i posiada równomierną temperaturę. Na nieszczęście, my w Ameryce mamy mało jezior; przeważnie musimy poprzestawać na rzekach, strumieniach lub sztucznych basenach do pływania. Rzeki — zwłaszcza w swym górnym biegu — mają tak zmienne prądy, głębokość i temperaturę, jak góry, z których wypływają. Czasem płytki, letni i powolny strumień zmienia się w ciągu doby w wartki, mętny potok. Mój pierwszy obóz umieszczony był nad takim strumieniem w Górnem Delaware, wiem przeto, jakie stąd niebezpieczeństwa i trudności wynikają. Tylko nieustające i najdalej posunięte ostrożności mogą zaradzić złemu.

W Stanach Zjednoczonych rzeczywiście większość miejscowości nie posiada wód odpowiednich do nauki pływania i nurkowania, co zmusza bądź to do zaniechania danych ćwiczeń, bądź też do tworzenia stawów sztucznych. Pominąwszy już ogromną wartość umiejętności pływania w razie niebezpieczeństwa, jest to ćwiczenie tak doskonałe, stanowi taką rozkosz dla każdego rzeźwego chłopca, że powinniśmy kopać tysiące sadzawek do pływania. Nie trzeba ani bardzo wielkich, ani bardzo głębokich, ani bardzo kosztownych. Dno nieprzepuszczalne, ściany z cegły, kamienia lub darni—można mieć kosztem kilkuset dolarów, a za tę cenę mamy źródło zdrowia i uciechy dla licznej gromady chłopców. Minimum stanowić będzie 20 stóp przez 30; 50 przez 100 to będzie już

przepych. Obecne nasze baseny do pływania podlegają wielu zarzutom, gdyż mieszczą się pod ziemią, w jakichś ponurych suterenach, pozbawione światła i powietrza. Niekiedy są one wręcz szkodliwe dla zdrowia. Powinny się one zawsze mieścić na powierzchni w pełnem świetle słonecznem. W południowych Stanach powinnoby się na jakieś dwa lub trzy miesiące przerywać używanie basenów, a te winny być odkryte, by chłopcy mogli doświadczyć działania słońca i powietrza. W północnych muszą one być pod dachem, lecz ten powinien być szklany, jak w cieplarni, a budynek powinien być ogrzewany i wentylowany. Chyba nie potrzeba dodawać, że woda od początku powinna być czysta, a potem odnawiana tak często, by się nie zmąciła i nie zabrudziła. Jeżeli zdrowi i czyści chłopcy pływają codziennie w basenie, może im to zastąpić kąpiel; lecz jeśli basen jest publiczny i dla wszystkich dostępny, należy ustanowić regułę, by każdy przed wejściem do wody użył najprzód natryskowej kąpieli. W niektórych naszych zakładach pływackich woda zmieniana jest bardzo rzadko, a zważywszy, że chłopcy, zwłaszcza ci, co zaczynają naukę, nieraz łykną wody, nie może to im być ani przyjemne, ani zdrowe. Czysta woda, świeże powietrze i światło słoneczne, to trzy zasadnicze warunki.

Rozumie się samo przez się, że ilekroć okoliczności pozwalają, chłopcy powinni pływać nago. Nietylko mają wtedy większą swobodę ruchów, ale łatwiej mogą się ustrzec od kurczów. Chłopcy wielokrotnie wskakują i wyskakują z wody, a jeśli mają na sobie kostjumy kąpielowe lub choćby tylko majtki, mokre odzienie przylegające do ciała może wywoływać zaburzenia organiczne. I tu znów powietrze jest lepszym ręcznikiem, niż wszelka tkanina, gdyż jest idealnie czyste i nie nasuwa wątpliwości, kto go używał poprzednio. Dodam jeszcze, że wyższość „ręczników powietrznych“ i pływania nago, uznaję z głębszych, społecznych pobudek. Ręczniki i kąpielowe ubrania przyczyniają trudu i kłopotu osobom postronnym, a w tej istotnej demokratyzacji, która wszelki arystokra-

tyzm wyklucza, unikać będziemy równie starannie zbytecznego trudu dla drugich, jak dla samych siebie.

Ucząc chłopców nurkowania, a raczej zachęcając, by się go nauczyli sami, dobrze jest polecić im, by w uszy kładli watę, jeżeli mają jaką skłonność do choroby uszu. Wogóle pierwej muszą umieć pływać. Miewałem dzielnych malców, którzy próbowali nurkować na głębi, zanim nauczyli się pływać samodzielnie, tak byli pewni, że skoro wypłyną na powierzchnię, silne ramiona pochwycą ich i wyciągną. Bezpieczniej jednak, gdy najpierw dobrze już pływać się nauczą, gdyż czysta, spokojna woda jest bardzo nęcąca, a zuchowaty chłopak może się skusić na nurkowanie i wtedy, gdy niema wpobliżu ramion dość silnych, by go wyciągnąć z toni. Jeśli chłopiec wzdraga się przed nurkowaniem, czasem dobrze jest kazać mu skoczyć w wodę z tratwy lub burty, zanim nawyknie do nagłego zanurzania się. Z tratwy lub niskiego pomostu łatwiej mu będzie zanurzać się, gdy zaczyna naukę, niż z większej wysokości. Mojem zdaniem roztropność nakazuje, by unikał wyższych przedmiotów, niż miara jego wzrostu.

Ucząc pływania i nurkowania, trzeba — mojem zdaniem — liczyć się z psychicznemi nastrojami chłopców, a unikać metod brutalnych i wstrząsających. Może i prawda, że ten i ów chłopiec nauczył się pływać w ten sposób, że go rzucano w wodę, i usiłował wypłynąć dla ocalenia swego życia, ale naukę opłacił niepotrzebnem wstrząśnieniem i utracił wiarę w dobroć swych dorosłych opiekunów. Bardzo często skutkiem takich eksperymentów rodzi się w chłopcu silny wstręt do wody i niepodobna go przełamać. O wiele jest lepiej — nietylko dla nauki pływania, lecz i dla ogólnego rozwoju chłopców — usuwać wewnętrzne moralne przeszkody, obawy i wahania, tłumaczyć ich bezzasadność, wyjaśniać i wykazywać, jak woda unosi ciało wgórę, i raczej przyjazną zachętą, niż zewnętrznym przymusem, skłaniać do prób.

Rozszerzyłem się tak bardzo nad nauką pływania i nurkowania, gdyż uważam to ćwiczenie za bardzo poży-

teczne i ważne. Dla chłopców jest ono niewyczerpanem źródłem uciechy. Podnieca ono w wysokim stopniu poczucie siły i opanowania siebie. Istotnie dobrze wychowany chłopiec powinien władać swem ciałem równie dobrze w wodzie, jak na lądzie, i powinien czuć się panem siebie. Przyszłe lub zaprzyszłe pokolenie może się i w powietrzu będzie czuło równie pewnem i swobodnem.

Wszystkie fizyczne sprawności, o których dotąd mówiłem, chodzenie, bieganie, wspinanie się, skakanie, taniec, mocowanie, pływanie i nurkowanie—mają tę dobrą stronę, że są dla wszystkich dostępne. Nic nie kosztują, nie wymagają przyrządów, nawet taniec od biedy może się obejść bez muzyki instrumentalnej i odbywać się przy gwizdaniu lub śpiewie. Na szczęście, są to właśnie najważniejsze dla zdrowia, wdzięku i opanowania ciała. Należałoby tu jeszcze dodać naukę oddychania, lecz to jest umiejętność osobna, którą mało kto z nas posiada. Nie trzeba jej jednak pomijać i można ją włączyć jako poszczególne ćwiczenie do gimnastyki szwedzkiej.

Najlepiej prowadzić tę naukę z gromadką chłopców, dobranych wiekiem i siłą. Obszerna drewniana platforma na wolnem powietrzu jest odpowiedniem miejscem, ale każdy trawnik lub boisko może służyć równie dobrze. W ciepłej porze roku chłopcy winni być boso i ubrani tylko w spodnie wyścigowe. To pozostawia swobodę ruchów ramion, nóg, tułowia i rąk. W chłodnej porze należy stosować ten sam strój, jeżeli ćwiczenie odbywa się w zamkniętym lokalu, w przeciwnym razie trzeba, by chłopcy byli należycie zabezpieczeni od zimna, nigdy jednak ich odzież nie powinna być ciężka. Przedewszystkiem unikać należy staroświeckich sweaterów z wysokiemi kołnierzami. Szwedzką gimnastykę uważam za lepszą, gdyż nie wymaga przyrządów i ćwiczy wszystkie mięśnie ciała. Przeginanie się wtył, wprzód na boki i różne zgięcia tułowia doskonale wpływają na trawienie. Głębokie oddychanie i ruchy ramion sprzyjają rozwojowi płuc. Wielu nauczycielom i rodzicom znane są główne zasady gimnastyki szwedzkiej oraz najbardziej używane ruchy. Jak-

kolwiek dla prowadzenia ćwiczeń trzeba oczywiście przejść systematyczny kurs gimnastyki szwedzkiej, jednakże bardzo dużo dokonać mogą i ci, którzy przyglądali się ćwiczeniom i przestudjowali dzieła, traktujące tę sprawę. I tu, jak zawsze, ćwiczenie fizyczne musi iść ręka w rękę z kulturą ducha. Dobrze prowadzona gimnastyka szwedzka stawia chłopcu duże wymagania, gdyż ćwiczy wolę w wykonywaniu doraźnych i precyzyjnych ruchów. Dobry nauczyciel wyjaśnia starannie każdy ruch i pokazuje go przyglądającym mu się uczniom. Gdy ci jednak wykonywają ruchy, nauczyciel musi stać spokojnie. Jak już mówiłem, nie o to chodzi, by je naśladowali na oko, lecz raczej by słowne rozkazy szybko i dokładnie ruchami wykonywali. Najprzód musi chłopiec zrozumieć, co ma robić, a potem dopiero robić. Nie ma on mechanicznie, jak baran, iść za swym kierownikiem. To właśnie sprawia, że gimnastyka staje się wspaniałem ćwiczeniem woli. Wymaga ona prócz tego szybkiego współdziałania chłopców między sobą, cierpliwości i milczenia. Jeśli ćwiczenia są męczące, wystarczy dwadzieścia minut, na powietrzu 30 minut, poczem pięć do dziesięciu minut odpoczynku i pokrzepienia.

Ćwiczenia zbiorowe są lepsze, lecz gdy ich zorganizować nie można, gimnastykować można po dwóch chłopców lub pojedyńczo; każdy może się również sam gimnastykować. Nawet pięć minut gimnastyki dziennie niemało przyczynić się może do zdrowia i sprawności fizycznej. W takim razie najlepiej jest gimnastykować się po zimnej kąpieli a przed ubraniem. Ruchy powinny się składać na jednostki, np. po dwadzieścia ruchów na jedno ćwiczenie. Dobrze jest przytem rachować. Pięć do dziesięciu ćwiczeń—zatem sto do dwustu ruchów—można wykonywać co rano, zmieniając program raz na tydzień, lub co najmniej raz na miesiąc. Takie proste ruchy są doskonałe dla dzieci, które rosną, lecz może jeszcze lepsze dla literatów i innych ludzi, oddających się zatrudnieniom umysłowym w siedzącym trybie życia. Ja osobiście uważam, że sto silnych ruchów bezpośrednio po rannej kąpieli więcej po-

maga, niż jakikolwiek środek wzmacniający. Przyznaję, że kwestja zdrowia jest nudną, a jednak musimy jej poświęcać należytą uwagę. Dziś nie wielu ludzi w średnim wieku lub starszych cieszy się dobrem zdrowiem, nie troszcząc i nie starając się o to. Pierwszym warunkiem indywidualnej i społecznej sprawności jest ciało czysto utrzymane, dobrze wyćwiczone i dyscyplinowane.

Z pośród tych ćwiczeń fizycznych, które wymagają przyrządów, na pierwszem miejscu umieszczę jazdę konną. W mieście jest ona bardzo kosztowną rozrywką, gdyż dobry wierzchowiec kosztuje 300 dolarów lub więcej, a jego roczne utrzymanie conajmniej takąż samą sumę. Jednakże o ile tylko rodzice mogą sobie na to pozwolić, należy chłopców wychowywać na wsi, wtedy zaś—zwłaszcza w zachodnich i południowych stronach i dziś jeszcze konie są dość tanie na to, by każdy mniej więcej zamożny człowiek mógł konnej jazdy używać. W Texas, gdy spędzałem latem jakiś miesiąc na górskich wycieczkach, ofiarowano mi dobrego konia za 35 dolarów, a w Kalifornji jeździłem na doskonałym wierzchowcu za sześćdziesiąt. Nawet i w starszych Stanach przy cierpliwem poszukiwaniu znaleźć można niezłego wierzchowca za cenę przystępną. Niejedna rodzina mogłaby się postarać o wierzchowego konia dla syna lub córki, gdyby zdecydowała się oszczędzić na mniej ważnych wydatkach. Najwłaściwszą dla chłopca porą do nauki jazdy konnej jest okres przed 14 rokiem życia. Może się on nauczyć i później, lecz nigdy już nie będzie się czuł tak pewny w siodle, Wiele lepiej jest dać mu konia niż motocykl lub samochód. Już samo oprzątanie konia jest zajęciem zdrowem i pouczającem, z którego dowie się o życiu i naturze zwierzęcia niejednej pożytecznej rzeczy.

Chłopiec na koniu użyje ruchu i zaczerpnie pełną piersią świeżego powietrza. Może — nie oglądając się na drogi i trakty, jeździć, gdzie mu się podoba,—niby wolny rycerz i podróżnik. Jeśli nie używa kapelusza, nie będzie zmuszony zsiadać z konia, by go podnosić. Jeżeli zakasze rękawy aż do łokcia, będzie miał ręce swobodne

do trzymania cugli. Jeżeli nie będzie używał ostrogi i szpicruty, nauczy konia, by słuchał jego głosu. Wogóle przekona się, że łagodnością dokaże więcej, niż przemocą — co wyjdzie na korzyść jemu i koniowi. Chłopcy z łatwością uczą się konnej jazdy, trzeba im tylko kilku praktycznych wskazówek i wierzchowca. Należy ich oczywiście nauczyć trzymać cugle w lewej ręce, aby prawą mieli wolną, wsiadać zawsze od lewej strony, mocno ująć za cugle, zanim wsiądą, wskakiwać na siodło, nie trzymając się niczego, jeśli zaś muszą się czego chwycić, to raczej za kulę, niż koniec siodła. Obecnie uważa się, że lepiej jest siedzieć mocno na siodle, lecz chłopiec, który nauczył się unosić na siodle z łatwością — to jest jeździć po dżokejsku, może dosiadać najbardziej trzęsącego konia i przebywać najdalsze przestrzenie bez zmęczenia.

A teraz jeszcze słowo o wierzchowcu. Uważam, że zbrodnią jest pozwolić chłopcu wsiadać na narowistego konia, a szaleństwem na źle ujeżdżonego. Prawie w każdej okolicy na wsi spotkać można amatora koni, posiadającego specjalny talent w tym kierunku, a ten zgodzi się za pięć lub dziesięć dolarów przełamać narowy konia, wyuczyć go należytego chodu i poddawania się woli jeźdźca, słowem ujeździ go na dobrego wierzchowca. W New Hampshire zeszłego lata miałem młodego konia zaprzęgowego, który miał zły narów, że nigdy nie chciał się cofać. Mój sąsiad, chłopiec posiadający specjalny talent do obchodzenia się z końmi, zaledwie dziesięć minut na to poświęcił, by go oduczyć i od tej chwili nigdy już nie miałem z moim koniem kłopotu. Na krótkiej poobiedniej przejażdżce każdy z nas woli szybko galopować, lecz na całodziennej wycieczce kłus jest wiele odpowiedniejszy. Chłopiec umiejący jeździć po dżokejsku może prześcignąć najtęższego kolegę. W Kalifornji przebywałem wraz z mojemi chłopcami po sto sześćdziesiąt pięć mil w ciągu trzech dni i śmieliśmy się z generałów, którzy głośno oburzali się, gdy pan Roosewelt nakazywał w tym samym czasie przebywać mil 90.

Co do siodła, to wybierać należy między dwoma rodzajami: małem angielskiem siodłem skórzanem z wąskiem

metalowem strzemieniem, a wygodnem głębokiem rogatem siodłem wojskowem z szerokiem strzemieniem drewnianem i skórzaną podporą na nogi. Angielskie siodło jest bardzo dobre do jeżdżenia po parku; przyznaję nawet, że jest ładniejsze, ale dla wycieczek dalekich po dzikich okolicach kraju, jakie chcielibyśmy z chłopcami odbywać, rogate siodło meksykańskie jest znacznie lepsze. Starczy trochę uwagi, by chłopiec nie spadł z siodła; szerokie strzemiona nie męczą nawet bosej nogi, a w razie wypadku skórzana ochrona nóg pozwala łatwo oswobodzić stopę i jeździec, spadając, nie naraża się na to, że koń go powlecze. Nie można uważać, że wychowanie chłopca jest ukończone, póki się nie nauczył doglądać konia, siodłać i na nim jeździć.

Niemało powiedzieć się da i o powożeniu. Chłopiec, który nie umie ubrać i zaprząc konia i zręcznie powozić, nieraz i sam będzie w kłopocie i okaże się mniej pożytecznym, niżby pragnął. To sztuka tak łatwa, że istotnie nie można wybaczyć jej zaniedbania. Każdemu z ludzi, prowadzących życie czynne, zdarzy się nieraz sposobność do powożenia. Wydaje się to bardzo prosta rzecz, a jednak nie jest bezpieczna, jeśli ktoś się tego nie nauczył, a również jeśli nie zna się na uprzęży i wozie, nie zdaje sobie sprawy, czy wszystko znajduje się w należytym stanie. Pomimo współzawodnictwa samochodów, koń zawsze ma swoje znaczenie, a w bardzo wielu okolicznościach okazuje się lepszą siłą pociągową. Umiejętność doglądania konia, kulbaczenia, zaprzęgania, dosiadania, powożenia przynosi równie wiele pożytku, jak przyjemności.

Bicykle nie grają już tej pierwszorzędnej roli, jak dawniej, nie straciły jednak swego praktycznego znaczenia, jako szybki a tani środek lokomocji. Np. na równinie — a kraj nasz jest przeważnie równiną — przyda się chłopcu posiadać dobry bicykl i umieć go używać. Nie potrzebuje osłabiać swego serca, jeżdżąc pod górę. Nie potrzebuje narażać ani swego, ani cudzego życia, pędząc naoślep. I w tym razie, jak w każdym innym, trzeba go nauczyć rozwagi.

Przed czternastym rokiem nie powinno się chłopcu pozwalać kierować ani samochodem, ani łodzią motorową, gdyż to groziłoby zbyt poważnem niebezpieczeństwem dla niego i drugich. Jednakże we właściwej porze, jeśli go to interesuje, dobrze jest objaśnić mu budowę maszyny, mechanizm transmisji i przyrządu sterowego, nauczyć go, w jaki sposób funkcjonuje to wszystko. Choć byłoby wielką nieostrożnością pozwalać mu już dziś kierować samochodem czy łodzią, bardzo pożądaną jest rzeczą, by był inteligentnym pasażerem, zanim zostanie kapitanem.

Gdy chłopczyk umie już pływać, dobrze będzie, jeśli się jeszcze nauczy wiosłować łódką, sterować lekkim bacikiem, a na bezpiecznej wodzie żeglować jakimś stateczkiem łatwym do manewrowania. Pożytek z takich żeglarskich umiejętności zależeć będzie oczywiście od tego, czy zdarzy mu się często spędzać czas nad wodą, nadającą się do żeglugi, co dla niektórych będzie może bardzo rzadką okazją; w każdym razie jednak życie na otwartem powietrzu, wychowawcze znaczenie sztuki „kierowania samodzielnie swą własną łodzią“, są to korzyści nieprzemijające. Wszelkie rodzaje sportu żeglarskiego są dla większości chłopców zdrowem źródłem niewyczerpanej rozkoszy, a przy należytej ostrożności mogą nie przedstawiać żadnego ryzyka. Oczywiście szaleństwem jest pozwalać, by mały chłopczyk sam się posługiwał łodzią lub by jakikolwiek chłopiec próbował wiosłować lub żeglować, zanim się pływać nauczy. Bardzo lekkomyślnie jest również pozwalać chłopcom na żeglowanie i wiosłowanie na wodach, przepełnionych ruchem statków lub o zdradliwych prądach. Oczywiście, przy każdem wiosłowaniu należy chłopca przestrzec, że, siedząc na małej łódce, nie powinien nią trząść, ani stawać, ani przesiadać się z towarzyszem podróży. Jednem słowem, jadąc małą łódką, trzeba — jak zawsze i wszędzie — zachowywać się rozsądnie.

W Stanach naszych o chłodniejszym klimacie bardzo rozwinięty jest sport zimowy. Każdy prawie chłopiec z północy umie się ślizgać, zjeżdżać na saneczkach po

śnieżystych wzgórkach, każdy prawie próbował jeździć na nartach lub łyżwach. Ten i ów może zaryzykował wiosłowanie na krach. Niejeden z tych zuchów woli zimę niż lato, gdyż śnieg, lód, podniecające wrażenie mrozu, sprawiają mu więcej uciechy. Wszystkie te sporty zimowe są bardzo cenne, lecz wymagają dozoru ze strony starszych osób, inteligentnych rodziców lub nauczycieli, by nie były zbyt ryzykowne, nie przewyższały sił dziecka, były umiejętnie prowadzone i nie pochłaniały zbyt wiele czasu przy krótkim zimowym dniu.

Wszystkie ćwiczenia wprawiające w ruch całe ciało, czy to z przyrządami czy bez nich, mają wielką wartość dla utrzymania zdrowia w dobrym stanie i poddania ciała panowaniu woli, czyniąc je sprawnem i posłusznem narzędziem ducha. Jeżeli nauka ta iść będzie równolegle z pielęgnowaniem tych zalet ducha, o których już była mowa, może ona z czasem wyhodować nowe pokolenie Amerykanów, silniejsze, piękniejsze, zręczniejsze i milsze niż widziano kiedykolwiek poprzednio. Ona stanowi podstawę wychowania, a późniejszy rozwój umysłowy na tej mocnej podstawie musi się opierać. To jednak nie wyczerpuje jeszcze sprawy wychowania fizycznego nawet w ramach tego pierwszego czternastoletniego okresu życia, gdyż w tym okresie jeszcze kształcić trzeba zmysły, zaszczepiać liczne zainteresowania i rozwijać smak. Pora jest właśnie najodpowiedniejsza, gdyż w tym czasie organizm jest wrażliwy i plastyczny. Łatwo zrozumieć, że mając tak liczne i ważne cele do osiągnięcia, rozumni rodzice i nauczyciele nie zechcą trwonić tak cennych lat na formalne nauczanie dawnych kursów szkolnych. Do formalnej nauki można się zabrać później i to z wiele lepszym skutkiem, ale fizyczne umiejętności tylko w tym wieku przyswoić sobie można albo nigdy.

Jeżeli ten rozdział mej książki wywoła uwagę, że rozwijam w nim plan czysto spartańskiego wychowania, to będzie mi bardzo miło, gdyż właśnie takie wrażenie chciałem wywołać. W ciągu długiego i bardzo pracowitego życia poznałem setki i tysiące chłopców, a niektó

rych bardzo blisko. Niektórzy z nich są wspaniałym i szlachetnym wytworem naszej starzejącej się cywilizacji. Większość jednak nie posiada ani siły duchowej, ani tej tężyzny fizycznej, a stąd i ich umysłowe zdolności są mierne. Nie obwiniam tych chłopców; obwiniam starsze pokolenie, rodziców i nauczycieli, bo oni wychowali tych chłopców w przekonaniu, że można osiągnąć doskonałość ludzką nie za cenę dyscypliny i opanowania siebie samego. Wyrosnąć ze swego niskiego „ja“ do wyższego nie jest rzeczą łatwą, kto ten proces chce zanadto ułatwiać, uniemożliwia go. Obecna chwila wymaga silnych duchów w zdrowych ciałach.

IX.

OSTRZENIE NARZĘDZIA.

W świeżo ogłoszonym życiorysie naszego najosobliwszego angielskiego dramaturga stwierdzono, że usiłował on zawsze robić to, czego nie umiał. Z charakterystycznym humorem tłumaczy on, że jego namiętność do sztuki, w której chciał się wzorować na Michale Aniele, wynikała stąd, iż nie umiał rysować, zapał do muzyki stąd, że ani śpiewać, ani grać nie umiał. Nigdy nie pragnął pisać, gdyż nie przychodziło mu na myśl, by literackie zdolności były czemś wyjątkowem. Ponieważ sam je posiadał, więc myślał, że wszyscy są niemi uposażeni. Ci, którzy kształcili swoje talenty, a stąd zdobyli możność wypowiadania się w formie artystycznej, nigdy nie pojmą i nie odczują namiętnej tęsknoty tych biednych dusz, co się garną do ognia, by w jego płomieniach wykuć narzędzie twórcze, gdy już jest zapóźno na to. Może żaden system edukacyjny, nawet zastosowany we wdzięcznym wieku młodości poniżej lat czternastu, nie zdoła doprowadzić człowieka do opanowania wszystkich gałęzi sztuki lub choćby kilku tylko. Może chcąc dojść do mistrzostwa choćby w jednej lub dwóch, człowiek musi wyrzec się wszystkich innych dążeń, a całkowicie oddać się umiłowanej sztuce. Wedle

powszechnie panującego przekonania każdy specjalista musi okupić doskonałość w pewnym kierunku dobrowolną i całkowitą ignorancją we wszystkich innych. Niejeden ze specjalistów stanowi potwierdzenie tego mniemania. Można mieć wielkie uznanie dla zasług takiego człowieka, a zarazem litować się nad nim. Dzieciństwo nie jest wiekiem odpowiednim dla specjalizacji, w żadnym razie pierwszy okres do lat czternastu. W tej dobie życia trzeba rozwijać siły i wszechstronne zdolności. Nikt nie wie, co może robić, póki nie sprobuje. Wedle mego zdania, choć człowiek winien dążyć do mistrzowstwa w jakiejś jednej dziedzinie ludzkiej działalności, stanie się doskonalszym mistrzem, a zarazem wyższym i milszym typem człowieka, jeśli z taką samą prawie energją i wytrwałością kształcić się będzie we wszystkich kierunkach. Wybór powołania należy odroczyć do chwili, gdy chłopiec ma już pogląd na różne pola pracy. Niejeden idzie na uniwersytet z gotowym planem studjów i programem życia, a skoro zetknie się z innemi kierunkami badań, dochodzi do wniosku, iż jego istotne powołanie leży w zupełnie innej dziedzinie niż jego pierwotne zamiary. Czasem odkrywa je dopiero w kilka lat po otrzymaniu dyplomu; czasami również—niestety—nie odkrywa go nigdy. Musimy się opierać specjalizacji u chłopca, nie wojowniczo lub kaznodziejsko, lecz pozwalając mu swobodnie przejść całą skalę chłopięcych zamiłowań, od żołnierza do misjonarza, prawnika czy cowboya, nie biorąc żadnego z nich poważnie, a przedewszystkiem nigdy nie naciskając o wybór i postanowienie. Rozumie się, że nie naszą rzeczą jest postanowić i wybrać za niego, lecz naszem zadaniem jest rozszerzyć pole wyboru, dostarczając mu odpowiedniego narzędzia. W tym duchu, chcąc chłopca uposażyć na dalsze życie w zdolność uczestniczenia w twórczości współczesnego mu pokolenia, chcę znaczną część jego pierwszych czternastu lat młodości poświęcić na kształcenie zmysłów. Pierwszą rzeczą jest utrzymać w dobrym stanie same narządy: oko, ucho, rękę, nos, podniebienie; drugą—osiągnąć wprawę i doskonałość w posługiwaniu się niemi.

Chcąc dać odpowiedni program ćwiczenia zmysłów, trzeba,—wyliczywszy je kolejno, każdy z nich ćwiczyć oddzielnie, lub łącząc zmysły pokrewne, doprowadzić do jak najzgodniejszego współdziałania i sprawności. Mamy tylko pięć zmysłów do rozwinięcia, a wszystkie czynności naszego materjalnego życia sprowadzają się do działania tych narzędzi pod rozkazami ducha. Z natury rzeczy oko i ręka pracują razem, tak samo jak ucho i głos, węch i smak. Kształcenie zmysłów ma cel podwójny: chodzi nie tylko o to, by w życiu praktycznem istota ludzka stała się użyteczniejszą, lecz by stała się pełniejszą i wszechstronniej rozwiniętą w świecie umysłowym. Zmysły gromadzą materjał dla życia umysłowego i poniekąd rozstrzygają o jego wartości. Jeśli dostarczają materjału zdrowego i obfitego, jeśli o zewnętrznym świecie dają wierne i wyczerpujące informacje, to bieg myśli będzie żywy i prawdziwy. Większość ludzi nie umie ani patrzeć, ani słuchać, ani dotykać, ani wąchać, ani kosztować dokładnie i z pełnem zrozumieniem. Często tkanki są niezdrowe i same narządy zmysłów nie funkcjonują prawidłowo. Pierwszym krokiem winno być tedy uleczenie tkanek i doprowadzenie narządów do zdrowego stanu. Byłoby oczywiście marnotrawstwem czasu i pieniędzy opłacanie rzemieślników, artystów, muzyków, by uczyli dzieci, gdy te nie mają zdrowia, a organa, które ćwiczyć mamy, nie znajdują się w normalnym stanie. Zdrowie jest pierwszym warunkiem pomyślnych wyników wychowania, jak to już wielokrotnie i może aż do znudzenia powtarzałem. Szkoła i dom winny być w pierwszym rzędzie dobrze urządzonem sanatorjum, w którem wątłe dzieci stają się silne, a zdrowe jeszcze silniejsze. Znamiennym faktem jest, że przy obecnym systemie tak często zdarza się wycofywanie dzieci ze szkoły ze względu na zdrowie.

Zdrowie organizmu wymaga czystości i prostego trybu życia na otwartem powietrzu; natomiast narządy zmysłów winny być starannie zbadane przez specjalistów, nim je ćwiczyć zaczniemy. Gdy powszechnie wiadomą rzeczą

jest, że ledwie mały procent ludzi cywilizowanych ma wzrok normalny, byłoby oczywistym absurdem opierać system wychowawczy na założeniu, że wszystkie dzieci widzą dobrze. Można się spodziewać, że w przyszłych latach normalny wzrok będzie znacznie częstszem zjawiskiem niż obecnie, tymczasem jednak mamy do czynienia z dziećmi, które przeważnie są go pozbawione. Jasną jest rzeczą, że najprzód należy zbadać każdą parę oczu, usunąć te wady, które wyleczyć można za pomocą odpowiedniej gimnastyki, a jeśli zajdzie potrzeba, zapisać odpowiednie szkła. Rodzice i nauczyciele, nie będący sami krótkowidzami, mogą stwierdzić najbardziej uderzające objawy wady wzroku, gdy naprzykład dzieci zezują przy robocie, zrywają się z miejsca, by jaknajbliżej dostać się do tablicy, pochylają się nad książką lub zeszytem, by je mieć tuż przed oczami, niemniej lepiej jest i bezpieczniej zażądać kompetentnego badania wzroku dzieci. Dziecko krótkowzroczne lub astygmatyczne, czy to w klasie, czy na otwartej przestrzeni, znajduje się w położeniu takiem samem jak dziecko normalne, gdy ma opisać coś, co leży poza jego widnokręgiem. Oczywiście jest niedorzecznością stawiać takie żądanie, a jednak rodzice i nauczyciele codziennie taką niedorzeczność popełniają.

Podobnie dzieje się i ze słuchem. Dr. Blake w Bostonie mówił mi, że w klimacie Nowej Anglji, prawdopodobnie conajwyżej 60 procent ludności ma słuch normalny. Blisko połowa z pomiędzy nas niedosłyszy i to przeważnie z przyczyn, którym można zapobiec. Wielkim błędem wychowawczym jest zaniedbać defekt, dający się usunąć, a ujemnie działający nietylko na obecną zdolność do pracy, lecz mogący się potęgować z wiekiem. Zamiast pytać, czy dziecko umie czytać, pisać, zna liczby, inteligentny nauczyciel winien zbadać, czy ono dobrze słyszy. Niejedno dziecko wydaje się tępe tylko dlatego, że ma słuch tępy. Gdy odkryliśmy wadę, musimy dociec jej przyczyny i jaknajspieszniej przeprowadzić gruntowną kurację. W wielu wypadkach głuchoty przyczyną jest chroniczny katar, a wtedy leczenie musi być i lokalne i ustrojowe równo-

cześnie, zaś przedewszystkiem systematyczne i trwałe. Dobre zdrowie, normalne krążenie krwi, czystość, świeże powietrze, światło słoneczne—wszystko to pilniejsze sprawy niż umawianie nauczyciela muzyki, czy jakiegokolwiek innego. Gdy zastanowimy się, jak odciętym od świata, jego wrażeń i podniet, jest człowiek głuchy, dojdziemy do wniosku, że większość naszej dziatwy potrzebuje raczej lekarza niż nauczyciela.

Zmysł smaku zależy w znacznym stopniu od zmysłu powonienia, ten zaś znowu od zdrowego stanu błony śluzowej. Te same zewnętrzne czynniki zatem, które są warunkiem dobrego słuchu, wpływają na dobry smak i powonienie. Nigdy wychowanie nie kładło nacisku na stan narządów węchu i smaku, i nigdy — sądzę — nie usiłowało rozwijać tych zmysłów. Jasną jednakże jest rzeczą, że utrzymywanie tych narządów w pomyślnym stanie jest nieodłączne od czuwania nad zdrowiem, o co przecież wychowanie w pierwszym rzędzie troszczyć się winno, oraz, że subtelny i wrażliwy smak i węch nie są bez wpływu na treść myśli i ogólną sprawność organizmu.

Wrażliwość ręki zależy od ogólnego stanu zdrowia, a szczególniej od zdrowia mięśni i nerwu. Odpowiednie ćwiczenia przy gimnastyce lub osobno—potęgują tę wrażliwość; wpływa na nią również dodatnio utrzymywanie rąk w czystości i niedopuszczanie do nagniotków. Typowy chłopak ma w pogardzie delikatne, białe ręce. Lubi mieć ręce opalone, szorstkie, twarde a nawet trochę zniekształcone w dobrej sprawie. Można jednak bardzo łatwo pohamować to upodobanie do twardej ręki. Chłopiec zatraca zręczność i sprawność ręki, jeśli ją niszczy przez nadmiar pracy lub sportu. W razie, gdy praca, do której się zabiera, naraża na to, że może ona stracić swą giętkość i wrażliwość, rozsądek nakazuje raczej nakładać mocne i twarde rękawice. Przed kilku laty niektórzy muzycy uciekali się do operacji wycięcia tego ścięgna, które krępuje swobodę ruchów „serdecznego“ palca i tak bardzo utrudnia należyte odegranie pewnych pasaży. Co do mnie, nie poddałem się tej operacji w obawie, że

utratą zdolności chwytania pewnych subtelnych laboratoryjnych narzędzi opłacę to, co zyskam na giętkości palców. Nie uciekając się jednak bynajmniej do chirurgji, każdy może sam wynaleźć tysiące skutecznych ćwiczeń palcowych, zwiększających siłę i giętkość ręki oraz opanowanie jej ruchów.

Nawet u zupełnie zdrowych chłopców, organy zmysłów z braku należytej wprawy i ćwiczenia oddają bardzo niedostateczne i jednostronne usługi. Jest to pewnego rodzaju bezwładność, która pozostaje w związku z umysłowem lenistwem. Czasami chłopiec kwitnie zdrowiem, ma zupełnie normalne oczy, uszy, ręce, cały organizm nic nie pozostawia do życzenia, a jednak on sam bardzo słabo zdaje sobie sprawę z otaczającego świata i okazuje się rozpaczliwie nieudolny, zarówno w czynnościach umysłowych, jak fizycznych. Jakość jego czuć zależy od czegoś niezawisłego od zdrowych tkanek i anatomicznej budowy narządów. Zależy ona od woli, od ustroju ośrodków mózgowych, związanych z zewnętrznemi narządami zmysłów. Najwidoczniej jest to sprawa subtelnej budowy tkanki mózgowej, jej złożoności i stopnia rozwoju. Najzdrowsze oko musi jeszcze nauczyć się patrzeć, ucho — słuchać, krtań — śpiewać, ręka — ćwiczyć swą giętkość. Tego dokazać można tylko przez ilość ćwiczenia. Dawno już stwierdzono, że posiadamy tyle nauki ile matematyki. Teraz należy stwierdzić, że tyle tylko posiadamy wychowawczego udoskonalenia fizycznego, ile systematycznych ćwiczeń. Zdolnościom naszym potrzeba praktycznej dyscypliny, ale można je wyćwiczyć tylko przez wykonywanie czynności określonych zgóry. Ulicznik, obdarzony świetnemi płucami, może robić ogromny hałas, a niepodobieństwem jest nauczyć go śpiewać. Ci, którzy głoszą potrzebę nauki pracy ręcznej — ściślej mówiąc — ćwiczeń organicznych, jako nieodłącznej cząstki harmonijnego wychowania, spotykają się często z pytaniem, czemu w takim razie — jeśli praca ręczna ma tak ogromne wychowawcze znaczenie, ci, co kopią rowy lub całe dnie spędzają przy robocie ręcznej, nie są doskonalszymi członkami spo-

łeczeństwa niż ich rodacy wykształceni w kolegjach. Ten zarzut jest zupełnie nieuzasadniony i świadczy, że kwestja już w założeniu źle jest postawiona. Kopacz nie jest bynajmniej tem, czem go nauka pracy ręcznej uczyniła, czynności jego są bowiem czysto mechaniczną robotą i fizycznym trudem. Niema żadnego czynnika ilościowego, kultura zmysłów i umysłowe reakcje są minimalne. Osobisty zysk może polegać tylko na wyrobieniu siły, lecz nigdy zręczności. Nie zapominajmy, że nie istnieje w rzeczywistości nigdy zupełnie prosta i oderwana percepcja. Nawet najprostsza zawiera jakąś bezpośrednią treść oraz dużą przymieszkę przypomnienia i przewidywania. Każde doznane wrażenie podlega interpretacji, a interpretować możemy tylko zestawiając z tem, co było i z tem, co być może. Percepcja nie jest bynajmniej rzeczą tak prostą, jak się zrazu wydaje. „Percepcja jest zawsze zgadywaniem“ — jak mówi M. Le Roy. Powtarzam raz jeszcze—nie można wychowywać inaczej, jak kształcąc razem duszę i ciało. Nawet przy doskonałych narządach zmysłów postrzegamy to tylko, co postrzec chcemy.

Zadaniem tych niesłychanie ważnych organicznych ćwiczeń, przynajmniej w wieku chłopięcym, jest wyostrzenie narzędzia, takie ukształcenie ciała, by ono mogło jaknajwierniej spełniać nakazy ducha.

Przejdźmy teraz do poszczególnych zagadnień. Przy kształceniu oka i ręki, naprzykład, nie potrzeba systematyzować nauki zwłaszcza we wcześniejszej fazie. Inteligentni rodzice i nauczyciele rozumiejący, że wyrobić wprawę oka i ręki jest rzeczą pożądaną dla wychowania, bez trudności znajdą odpowiednie sposoby. Mogą narazie zaczynać od samego oka, ucząc je rozróżniać barwę, cień, odległość, kształt, deseń. Wtedy można wprowadzić w grę rękę, nauczyć ją sprawdzać kontury i powierzchnię, kontrolować wzrokowe informacje. Znamiennem jest, że pewne rodzaje rąk nazywamy artystycznemi, gdyż artysta nietylko tworzy, lecz i patrzy swemi delikatnemi rękami — a nietylko oczami. O japońskim rzemieślniku powiedzieć można, że ogląda przedmioty dotykiem nie mniej niż

wzrokiem. Rękę niezdarną od ręki zręcznej dzieli cała przepaść straconych percepcyj. W naszym świecie kultury zbyt wyłącznie językowej i matematycznej, a zbyt mało organicznej, zanadto przeceniamy rolę oka i mózgu, a zamało cenimy usługi, jakie nam oddają ręce. Pani Montessori wykazała, że dzieci mogą się szybciej nauczyć czytać i pisać przy pomocy rąk niż oczu, szybciej przez wielokrotne przesuwanie palcami po kształtach liter niż przez liczne przyglądanie się im. Sądzę, że można to uogólnić i powiedzieć, że wszystkie wrażenia skojarzone z czynnością mięśni silniej i trwalej rysują się w pamięci. Ćwiczenie ręki w najlepszem znaczeniu tego słowa nie ogranicza się do wykonywania robót, naprzykład do wytworzonych prac stolarskich, lecz ma również na celu udoskonalenie percepcji. Znałem mineraloga, który umiał z zawiązanemi oczami rozróżniać dotykiem minerały, a wszyscy wiemy przecie, jak zręcznie umieją niewidomi posługiwać się ręką w zastępstwie oczu, a głuchoniemi używać jej do mówienia. Pospolite lenistwo wychowawców sprawia, że nasze bieżące wychowanie jest tak wyłącznie książkowe, a tak cudowny organ jak ręka pozostaje zaniedbany. Początkowo nauka książkowa mniej kosztuje, lecz w dalszej kolei okazuje się ona najkosztowniejszym systemem wychowawczym, gdyż daje tak niesłychanie mało w stosunku do nakładu. Wiele ważniejszą jest rzeczą, by chłopiec miał rękę spostrzegawczą, niż by poznał treść licznych podręczników; odpowiednią porą do takiego wyrobienia ręki jest okres przed 14-ym rokiem życia. Jeżeli ma tak wyćwiczoną rękę, może się łatwo nauczyć rysować i malować, oraz posługiwać się prostszemi narzędziami przy slojdzie drzewnym i modelowaniu z gliny. I tu jednak musimy przypomnieć, że chodzi tu o rezultat wewnętrzny, o ukształcenie ducha mającego się wyrazić za pośrednictwem oka i ręki. Wynik ten osiągnąć można tylko przez pracę samodzielną i samorzutną. W tej fazie objektywne rezultaty mają małą wagę. Nie wielką różnicę stanowi to, co chłopiec zrobi, lecz bardzo wielką, czy to, co zrobił, jest wyrazem jego własnej woli oraz

czy w miarę pracy jego zdolność realizowania swych pomysłów wzrasta. Przedmiotowa użyteczność robót dziecięcych niechaj nas nie wprowadza w błąd. Pozwolę sobie powiedzieć, że na początek musi ona być zupełnie przypadkowa. Społeczeństwo wcale nie domaga się, by chłopcy i dziewczynki zaopatrywali je choćby w drobne rzemieślnicze wyroby, a tem mniej, by bogacili jego sztukę dziełami malarstwa czy rzeźby. Naszem zadaniem jest dać dziecku czas, miejsce, przyrządy, materjał, wskazówki odpowiednie, a potem pozwolić mu samemu opracować własny pomysł i wyrazić go. Bardzo często nasza nauka robót ręcznych, wyrobów drzewnych, modelowania z gliny, koszykarstwa, wyrzynania, klejenia z papieru—jest znacznie mniej warta niż być może, gdyż chybia głównego celu: wyrażania samodzielnych pomysłów przez samodzielną pracę. Tak nadmiernie ubiegamy się za konkretnemi wynikami i tak namiętnie trzymamy się systemu, że poświęcamy stale pewną ilość tygodni, daną liczbę lekcyj dla wykonania określonej liczby projektów, z których każdy powstał w cudzej głowie, nie zaś w głowie ucznia. Gdy już nauczyliśmy jaknajwierniej naśladować drugich, zamiast wypowiadać się samemu, szanujemy wartość jego roboty bez związku z osobą małego robotnika, zamiast oceniać jego zamiar i stopień przystosowania roboty do zamierzonego celu — jako świadectwo rozwoju siły twórczej.

Wyobraźmy sobie, że zgromadziliśmy w danym pokoju pewną liczbę chłopców w chwalebnym zamiarze ćwiczenia ich ręki i oka. Na wstępie przypominamy, że proste przyglądanie się nie wiele ich nauczy, że jest ono i pedagogicznie i społecznie najgorszym środkiem. Ćwiczenie wtedy będzie skuteczne, gdy towarzyszyć mu będą ruchy ciała i ręki. Naprzykład zapytajmy, jak wielkim jest pokój? Nie na wiele się zda siedzieć i zgadywać. Architekt, czy przypuszczalny gospodarz domu, chcą wiedzieć jego wielkość oznaczoną w stopach i calach. Nie o niego nam na razie chodzi, lecz o małego chłopca, dla którego lepiej jest obrać jakąś indywidualną jednostkę miary.

Przypuśćmy, że wymierzy on krokiem długość i szerokość. To jest sposób samorodny, organiczny i nawet mały chłopiec może go zastosować bez pomocy. Kilku innych zrobi to samo. Wyniki będą między sobą niezgodne, stąd spór o to, kto ma słuszność, mierzenie będzie się powtarzało i każdy chłopiec dojdzie do jakiejś oceny rozmiarów pokoju. Niebawem narzuci się wniosek, że kroki są nierównej wielkości i jeżeli miara ma być ilekolwiek ścisła, musi być ujednostajniona. Każdy malec będzie chciał krokom swoim dać pewną równomierność, co go nauczy normować ilość mięśniowej energji przy stawianiu kroków. Wykaże się również, że kroki Janka nie są równe krokom Roberta lub Ryszarda. Gdy przyjdzie do mierzenia wysokości pokoju, okaże się, że metoda mierzenia krokiem niema zastosowania i trzeba się uciec do innej. Może Janek poda myśl, by użyć dwuch żerdzi, jedną dotykając podłogi, drugą sufitu, a związać je tam, gdzie się nie stykają, a żerdź równej długości położyć na podłodze i wymierzyć krokami—jak poprzednio. Robert poda inną myśl; niech Janek stanie oparty o ścianę, a on z Ryszardem odgadną, ilu Janków potrzeba postawić jednego na drugim, by dosięgli do sufitu. Ryszard znowu oświadczy, że gdyby znali wysokość drzwi, łatwiej byłoby im ocenić odległość między końcem drzwi a sufitem, a stąd dojść, jaka jest wysokość pokoju. Niebawem nasunie się chłopcom samym oczywista użyteczność stałej jednostki miary, stopy, jarda lub metra. Nim ta myśl się ustali w ich pojęciu, chłopcy osiągnęli już pewną wprawę w ocenianiu odległości i można proces odwrócić, nauczyć ich mierzyć krokiem dane odległości, najprzód małe, potem coraz większe, aż dojdą do stu stóp, stu jardów, pół mili i mili. Następnie mogą sprawdzać te wyniki taśmą mierniczą. Celem nie jest tutaj mierzenie odległości, choć i ono ma znaczenie, lecz wyćwiczenie zmysłu rozmiarów i wielkości — co jest wiele ważniejszą rzeczą. Można przenieść te ćwiczenia na pola. W Kalifornji chłopcy moi mierzyli na kroki kwadraty wielkości akra.

Może nikt z rodziców i nauczycieli nie powtórzy dosłownie tego ćwiczenia, które tu opisałem, jeśli jednak przeprowadzi coś innego w tym rodzaju, dobrze użyje swego czasu. Chłopcy wyćwiczeni w ten sposób, będą wkładali konkretną treść w wyrazy: stopa, jard, mila, akr.

W rozpoznawaniu kolorów i ich odcieni, oczywiście oko samo musi być czynne, ale w pomoc przychodzi mu skoncentrowana uwaga i umiejętnie dobrane kontrasty, najprzód uderzające przeciwieństwa kolorów przeciwnych, potem subtelne odmiany tego samego koloru. Już bardzo wcześnie chłopiec może zrozumieć, że tak jak krajobraz nie jest zawsze tej samej barwy, tak i barwy nie mają bezwzględnego znaczenia, lecz są względne, zależnie od barw sąsiednich i od oświetlenia. Są to bardzo widoczne fakty, lecz naogół tylko artyści zdają sobie z nich sprawę. Mało kto je uwzględnia w malarstwie pokojowem, a nawet w ubraniu.

Całe to organiczne rozwijanie oka i ręki powinno być oparte na samouctwie i samodzielnie prowadzone, a nawet — o ile to możliwe — na pracy z wolnej ręki. Napozór wyda się to osobliwym sposobem dochodzenia wartości ilościowych, musimy jednak przypomnieć, że poczucie ilości jest subjektywne, nie objektywne i że w ten sposób musi ono być rozwijane. Jeśli praca jest ciągle regulowana prawidłem i miarą, może być objektywnie ścisła, ale sam proces redukuje się do dyscypliny wzroku, do regestrowania faktów, nie rozwija zaś subtelnego wewnętrznego poczucia ilości. Omyłka o dziesięć na sto w pracy z wolnej ręki stanowić może znacznie lepszy wynik wychowawczy, niż błąd o jedną dziesiątą na sto w robocie ściśle mierzonej. Powszechne upodobanie do pomiarów płynie z przywiązywania nadmiernej wagi do samego wytworu pracy, a może także z naszego lenistwa. Łatwiej jest sprawdzać robotę ściśle odmierzaną, niż inteligentnie ocenić biegłość w utworach z wolnej ręki. Nauczyciele wolą wystawiać na pokaz stos konwencjonalnych piórników lub paterek, wszystkich jednego kształtu i równie banalnie brzydkich, niż wykazać mniej widoczny plon

pracy, posiadającej jednak znacznie większe znaczenie wychowawcze, w postaci samodzielnych prac dzieci. Wyroby pracy ręcznej — czy to z drzewa, gliny, rafji, papieru czy tkanin — winny być tak indywidualne i niepodobne do siebie, jak odrębne są natury małych robotników. Ich utwory winny ich własną myśl wyrażać — nie naszą — ich wyobrażenia kształtu, barwy, rysunku. Straszna jednostajność obecnego wychowania, nawet tak zwanego nowego wychowania, skłaniać musi do przyznawania słuszności tym, co wprost głoszą, że wychowanie takie, jak współczesne, jest bardzo wątpliwem dobrodziejstwem, raczej zaporą dla postępu, niż bodźcem. Nie chcemy ludzi szablonowych, nawet w takim razie, gdyby mieli nam się tak podobać, jak my sami. Chcemy ludzi rozmaitych, aż do najwyższego stopnia, aby każdy mógł swą cenną indywidualność zachować, rozwinąć i spożytkować. Wielu dawniejszych zwolenników nauki robót ręcznych zraziło się do niej, nie tylko dla tego, że naukę tę zaczęto eksploatować dla celów handlowych, lecz że coraz więcej opanowywał ją szablon.

Dla kształcenia ich ręki i oka jesteśmy zmuszeni — ze względów praktycznych — skupiać uczniów w klasach, lecz ze względów pedagogicznych praca ich musi być indywidualną. Pewne ogólne wskazówki trzeba dawać całej klasie; niejedno ćwiczenie będzie zresztą wymagało pracy zbiorowej, to jednak będzie wyjątkiem, a nawet — dodam — w tej zbiorowej pracy każdy z uczniów powinien mieć jakieś specjalne zadanie, za które odpowiedzialność ponosi. Dzień po dniu musi każdy swą własną wykonywać robotę. Okaże się to zupełnie możliwe nawet w bardzo licznej klasie, gdy zaznaczymy, że potrzeba kierownictwa i formalnej dyscypliny ogranicza się do minimum przez to samo, że każdy z chłopców wykonywa swój własny, samodzielny plan, przeto podnieta wewnętrzna, inicjatywa osobista, starczą do utrzymania na właściwej drodze. Kłopot sprawiają tylko chłopcy leniwi lub tacy, którzy mają pracę nieodpowiednią dla siebie, a przeto i niezajmującą. Bez tej wewnętrznej indywidual-

nej podniety, żadna praca szkolna, czy pozaszkolna nie wyda rezultatów, gdyż nie jest wyrazem osobowości ucznia, chyba że wyraża istotną wadę jego charakteru, gotowość do poddawania się nakazowi wykonywania woli cudzej. W nowem wychowaniu potulność nie zalicza się do cnót, lecz do bardzo poważnych wad. Istnieją bardzo liczne zadania, które chłopiec ma spełniać skwapliwie i dokładnie na życzenie rodziców i nauczycieli, ale chcemy, by je spełniał z pobudek wewnętrznych, lecz nie opornie, pod zewnętrznym przymusem. To nowe wychowanie zajmuje się w pierwszej linji pobudkami, a tylko okolicznościowo zadaniami. Słowem — wychowanie jest od początku do końca procesem wewnętrznym.

W warsztacie (sądzę, że to wiele lepsza nazwa, niż pedagogiczne omówienie „wydział robót drzewnych") najlepiej jest zaczynać od najprostszego narzędzia, powiedzmy — noża do slojdu. Ponieważ musi być ostry — więc jest niebezpieczny. Dając uczniowi w rękę tego rodzaju narzędzie, nauczyciel winien mu zwrócić uwagę na jego ostrość, polecić mu ostrożność, lecz nie powinien pokazywać, jak ma się nim posługiwać. Gdy ma dany nóż i kawał drzewa, bardzo prędko wpadnie na myśl, co ma robić; dopiero gdy jego własne pomysły się wyczerpią, nauczyciel może poddać nową myśl. Wtedy uwagi nauczyciela będą miały znaczenie i będą chętnie przyjęte. W wyborze pomysłu należy chłopcu pozostawić zupełną swobodę, lecz utrzymać go w granicach zakreślonych przez jego własne siły i zasoby warsztatu. Jeżeli wystąpi z własną inicjatywą, tem ci lepiej. Jeżeli jest pozbawiony pomysłowości, może, przyglądając się okazom wystawianym w szkole, lub robotom towarzyszy, zdobędzie się na wybór projektu. We właściwym czasie kolejno nauczy się posługiwać i innemi narzędziami: piłą, heblem, młotkiem, dłutem, cyrklem, świdrem i t. d. I tu również powinien sam odkrywać sposoby ich użycia, zanim nauczyciel zasili go swą wiedzą.

Elementarna uprzejmość każe nam powstrzymać się od śmiechu, gdy widzimy pierwsze nieudolne próby chłopca.

Wyśmiewanie byłoby odczute, jako nielojalność ze strony rodziców i nauczycieli, gdyż oni sami narazili chłopca na niepowodzenie, podsuwając zajęcie, którego jeszcze umieć nie może. Przeciwnie, trzeba go zachęcać do przezwyciężenia trudności i nie zrażania się niemi, do popełniania błędów i prostowania ich, aż w końcu własne porażki nauczą go, jak ma zwyciężać. Słusznie powiedział Leibnitz: „Pokażcie mi człowieka, który nigdy błędów nie popełniał, a będzie to człowiek, który nigdy niczego nie dokonał".

Mówiłem w szczególności o robotach drzewnych, gdyż stanowią one taki doskonały i praktyczny środek kształcenia oka i ręki. Jeśli tylko baczyć będziemy na odpowiednią wysokość warsztatu i na postawę chłopca przy pracy, będzie ona stanowić mogła dla niego bardzo zdrową gimnastykę. To samo jednak powtórzyć można o wszystkich innych robotach ręcznych: o rysunku, malowaniu, modelowaniu, szyciu i t. p. Też same prawidła wszędzie stosować należy: dać narzędzia, materjał i sposobność w obecności starszego biegłego artysty, który zachowa się przychylnie i milcząco. „Daj mi o Boże, trzymać język za zębami i niewtrącać się niepotrzebnie", oto, jak modlić się powinni codziennie rodzice i nauczyciele, gdy pracują nad rozwojem zdolności dziecka. Nie to jest celem, by chłopiec zrobił jak największą ilość drewnianych przedmiotów, wymodelował z gliny mnóstwo ornamentów i zwierząt, by zapełnił zeszyt szkicami, wymalował całą tęczę kolorów — lecz by rozwinął spostrzegawczość oka, wrażliwość i zręczność ręki, aby one zdolne były dokładnie wyrazić zamiary jego woli, a równocześnie dostarczały mu ścisłych i jasnych danych o otaczającym świecie.

Kształcąc słuch i głos, nauczyciel musi działać bardziej pozytywnie i aktywnie, gdyż tutaj on musi dawać wzór i poprawiać wykonanie. Gama muzyczna nie należy do wiecznie nieodmiennych zjawisk przyrodzonych w świecie. Jest ona naturalną, jako wytwór ewolucji estetycznej, ale całkowicie sztuczną, jako pojęcie konwencjonalne,

różne u różnych ludów, a nawet u tego samego ludu w różnych epokach. Wystarczy porównać muzykę starożytnej Grecji z muzyką orkiestry współczesnej, muzykę nowoczesnej Japonji z muzyką dzisiejszych Niemiec, by stwierdzić, jakie ewolucje przechodzi smak muzyczny i muzyczna miara. Już za mojej pamięci rodzaj muzyki, uznawany za niemożliwy, przyjął się następnie, a nawet został wyniesiony na stanowisko górujące. Niedorzecznością są słowa Thoreaux, że ptaki dają lepszy koncert, niż każdy z tych, które możemy słyszeć w Filharmonji, gdyż w istocie wcale tak nie jest. Śpiew ptaków składa się z kilku tonów wciąż powtarzanych z zabijająco nudną monotonją. Mało który z hałasów, prześladujących nas w codziennem życiu jest tak irytujący, jak śpiew wyuczonego kanarka. W przyrodzie jest wiele miłych szmerów i głosów, lecz fantazją jest nazywać je muzyką. W rzeczywistości muzyka jest rzeczą sztuczną i nawet u najlepiej uposażonych natur nie powstaje samorodnie, lecz wymaga nauki; jeżeli jednak nauka jest umiejętna, dzieci z rozkoszą ją przyjmują. Wrodzonem jest upodobanie do wrzawy, do krzyku, do śpiewania w podnieceniu ducha, bez najmniejszego względu na logarytmy oktawy. To jest instynkt, który opanować trzeba. Dzieciom trzeba dać coś określonego do roboty, zachęcać, by robiły to, jak mogą najlepiej, a wtedy nie będzie z niemi kłopotu. Widziałem, jak niesforne, krzykliwe dzieci doprowadzono do uwagi i porządku bardzo prostym sposobem: dano każdemu z nich do ręki cienką laseczkę do wybijania taktu. Był to osobliwy widok owych czterdziestu, czy więcej dzieci w internacie w Bostonie, jak gorliwie wybijały takt, śpiewając przytem na całe gardło, choć może niezbyt dokładnie.

Prawda, że każdy kto może mówić, może i śpiewać. Przynajmniej każdemu trzeba dać do tego sposobność, a widoki są tem lepsze, im wcześniej się to zaczyna. Śpiewać gamę majorową, zwykłe interwale, czytać głosem prostą muzykę, rozumieć choć początki muzycznych prawideł i kompozycji — tego powinno się nauczyć każde

dziecko. My Amerykanie nie jesteśmy bynajmniej muzykalnym narodem, mimo obfitej przymieszki niemieckiej i włoskiej krwi, ale zaczynamy już trochę lepiej się prezentować i u siebie i w Europie. Nie wydaliśmy jeszcze ani jednego pierwszorzędnego kompozytora, ale posiadamy już kilku doskonałych wirtuozów i wielu słynnych śpiewaków operowych. Jest u nas dobry materjał, a przy umiejętnem elementarnem nauczaniu, możemy w ciągu niewielu pokoleń stać się bardzo muzykalnym narodem. Potrzeba nam jednakże znacznego podniesienia ogólnych wymagań. Większość Amerykanek gra na fortepianie w sposób anemiczny i bezduszny a śpiewają źle. Przeważnie przyczyna leży w braku siły — częściej w braku temperamentu. Mężczyźni często grają lepiej niż kobiety, poprostu dlatego, że mają więcej siły mięśniowej i mogą lepiej opanować instrument. Muzyka tylko w muzykalnej atmosferze zakwitnąć może, tak samo jak sztuka rozwija się wśród artystycznie wrażliwej masy ludowej. Trudno byłoby w szkole wykształcić wielkich muzyków, lecz można rozwinąć smak muzyczny, który umożliwi z czasem rozwój muzyki w kraju.

Dzieci trzeba uczyć śpiewać, skoro tylko nauczą się mówić, oraz nauczyć posługiwać się śpiewnym głosem w mówieniu. Trzeba ludzi śpiewających przy pracy na polu, w kopalniach, fabrykach i handlach, w szkole, a przedewszystkiem w domu. Potrzeba nam kobiet, mówiących dźwięcznie modulowanym głosem. Nawet głos dziecięcy musi być uszlachetniony. W powszedniej sztuce życia jest to wiele cenniejszy nabytek niż wiele tych, którym poświęcamy dużo wysiłku i uwagi. Gdyby amerykanie mieli muzykalniejszy głos w mowie i śpiewie, raziłby nas straszny hałas naszych miast i wsi, który nam zamienia w piekło naszą cywilizację, a w końcu pozbylibyśmy się go. Trudno się spodziewać, by starsze pokolenie poprawiło się,—po czterdziestce człowiek rzadko się zmienia—młodsze pokolenie natomiast może dojść do tego, by mowa jego stała się dźwięczniejsza, czystsza, bardziej muzykalna. Codzienne ćwiczenie głosów w mo-

wie i śpiewie w domach i szkołach wiele więcej podniesie urok życia w Ameryce, niż dokładna znajomość nominatiwów, possessiwów i accusatiwów. Warto uprawiać talent miłego i estetycznego posługiwania się głosem, i mamy rodzaj wdzięczności dla każdego dorosłego człowieka czy dziecka, kto po hałasie, dręczącym wciąż nasze uszy, przyniesie im ulgę i ukoi nerwy rzadką muzyką dobrze modulowanego głosu.

Dziecko, śpiewające i żyjące wśród atmosfery muzykalnej, będzie się oczywiście rwało na wyższy stopień artyzmu, do fortepianu, skrzypiec, wiolonczeli, harfy, organów. Choć dziecięcy głos jest czarowny, gdy dobrze kształcony, ograniczać się musi do prostych melodyj i zamykać w ciasnej skali tonów. Jeżeli mamy dzieci różnego wieku, lub jeśli wszyscy domownicy śpiewają, można urządzać chóry na głosy. Muzyka taka, prócz swego uroku, ma tę jeszcze dobrą stronę, że można ją produkować wszędzie, na polu i w lesie, w warsztacie czy na wędrówkach, a nie tylko w eleganckim salonie.

Gdyby amerykanie chcieli śpiewać, cóżby to był za wielki i dzielny naród.

Wtedy — mniejsza o to ktoby był prezydentem.

Chciałbym zawsze kłaść największy nacisk na muzykę wokalną, ponieważ uczestniczyć w niej mogą wszyscy, ponieważ ona nic nie kosztuje, ponieważ można jej się oddawać w każdym czasie i w każdem miejscu—wreszcie ponieważ ona podnosi i zagrzewa serca. więcej niż jakakolwiek inna. Równocześnie kształci się głos i słuch, a zmysł muzykalny się pogłębia. Tam jednak, gdzie można z nią łączyć muzykę instrumentalną, zyskujemy bogatszą harmonję, rozleglejszą skalę tonów i nieporównanie większą rozmaitość. Fortepian, dzięki swym stałym tonom, rozległej skali, bogactwie możliwej harmonji — jest najpożądańszym instrumentem domowej orkiestry. Dowodzi to jednak bardzo niskiej kultury, jeśli poprzestajemy na złym, rozstrojonym fortepianie i na lichej grze fortepianowej. Bardzo wiele osób gra źle na fortepianie, przynoszą one tylko szkodę rozwojowi muzykalności ogólnej. Czasem

braknie im wrodzonego uzdolnienia do muzyki; ich gra zdradza anemję ich organizmu. Trzeba na to gorącej krwi, sprężystych muskułów i silnych nerwów, by dobrze grać na fortepianie. Serce się ściska, gdy się pomyśli o tych tysiącach kobiet i dziewcząt w Ameryce, które codzienie brzdąkają na fortepianie tak nieudolnie, że czynią go narzędziem tortur dla słuchaczy. O ile jednak fortepian jest dobry, a pianista uzdolniony, to muzyka fortepianowa dostarczać może trwałych i niewyczerpanych rozkoszy. Chcąc grać dobrze, trzeba wcześnie zaczynać naukę, od ośmiu lub dziesięciu lat, póki organizm jest jeszcze plastyczny i może sobie przyswajać mięśniowe nawyknienia i postrzeżenia. Od samego początku nauką kierować winien kompetentny nauczyciel. Fatalnym błędem jest powierzać naukę początków byle komu, w miłej nadziei, że uczeń, gdy już się grać nauczy i zdoła ocenić korzyść (i cenę) nauki, przejdzie w ręce utalentowanego mistrza. Mistrz jest potrzebny do pokierowania pierwszemi krokami. Lepiej zaczynać naukę pod dobrym kierunkiem, a gdy oszczędność zmusza się go wyrzec, niech raczej uczeń poprzestaje później na samokształceniu, mając podstawę w dobrych nawyknieniach i zdrowej wiedzy muzycznej. Każdy nauczyciel jakiegokolwiek przedmiotu woli zaczynać z uczniem, który nic jeszcze nie umie, niż z takim, którego źle uczono, co zmusza wiele cennego czasu trwonić na oduczanie. To ostatnie jest zawsze w pewnej mierze beznadziejnem usiłowaniem, gdyż nigdy nie można na pewno wiedzieć, czy wady i złe narowy raz zakorzenione wracać się nie będą. W szczególności w muzyce sprawdza się niemal zawsze, że zły start zapowiada niedojście do mety. W wielu miejscowościach panował, a poniekąd i panuje, ten zwyczaj, że młode kobiety, niespodzianie zmuszone przez niepowodzenia materjalne do pracy na utrzymanie, pozbawione jakiegokolwiek zawodowego wykształcenia, chwytają się lekcyj muzyki, choć ich wiedza muzyczna jest bardzo powierzchowna. Życzliwi sąsiedzi, chcąc im przyjść z pomocą, powierzają im naukę swych dzieci, na czem te ostatnie równie źle wychodzą, jak muzyka sama.

Niewielu z pośród nauczycieli rozumie w pełni, ile istotnego organicznego wyćwiczenia wiąże się z nauką gry na fortepianie. Niezależnie od uszlachetniającego wpływu muzyki, uczeń rozszerza pole swej percepcji, rozwija rękę i ucho, ćwiczy mięśnie w doraźnem reagowaniu na umysłowe podniety, słowem sama biegłość w grze na fortepianie już warta jest trudu i czasu. Stanowi ona ćwiczenie ręczne najlepszego rodzaju, obok tego, że jest sztuką otwierającą tak szerokie pole do wypowiadania się i wzbogacającą życie ludzkie szlachetnemi wrażeniami.

Niejedno z tego, co powiedziano o fortepianie, mógłbym również powtórzyć o skrzypcach, wiolonczeli, harfie, a w pewnym stopniu i o prostszych instrumentach, jak gitara, mandolina, flet, kornet, cytra, gitara murzyńska. Przeważnie mają one tę niższość w stosunku do fortepianu, że ograniczają się tylko do melodji i nie nastręczają bogactwa harmonji dwóch kluczów; każdy jednak z poważniejszych instrumentów — jak skrzypce i wiolonczela, mają własne piękno dźwięku, a w porównaniu z fortepianem przedstawiają tę dogodność, że są łatwo przenośne.

Nie mówiłem o organach, może najwspanialszym ze wszystkich instrumentów, ponieważ wymagają one tak cudownej koordynacji rąk, nóg, oczu i ducha, że nie można przystępować do nich wcześniej, niż po czternastu latach życia, i to tylko w takim razie, jeśli chłopiec ma już zdrową podstawę gruntownego wykształcenia muzycznego. Lepiej jest grać dobrze na flecie lub mandolinie, niż licho na organach.

Wiadomo powszechnie, że kto chce osiągnąć pewien stopień artystycznej doskonałości w grze na skrzypcach, wiolonczeli lub harfie, musi zaczynać w chłopięcym wieku, i to niemal w dzieciństwie. Artyzm odroczony, to artyzm zaniedbany. Niepodobna przeceniać znaczenia istotnie umiejętnej gry na którymkolwiek z tych przepysznych instrumentów. Skrzypce naprzykład wymagają pewnej przyrodzonej wrażliwości ustroju, lecz zarazem ją potęgują i wydobywają na jaw takie przymioty ducha i ciała, których nic innego nie zdoła w człowieku rozwinąć. Zu-

pełna nieobecność ustalonych tonów, a stąd możliwość stosowania prawdziwej muzycznej skali, sprawiają, że chłopiec całkowicie musi polegać na sobie co do brzmienia każdej nuty i wartości każdego interwalu. Może żaden instrument nie jest w tym stopniu całkowicie zależny od ucha, ręki i duszy artysty. Niewątpliwie żaden nie daje grającemu pola do tak całkowitego wypowiadania się, takiego cieniowania interpretacji, takich subtelnych nadtonów, do tak pełnego objawienia indywidualności artysty. W pewnych chwilach skrzypek całkowicie wciela się w swój instrument i słuchacz ma wrażenie, jakoby popełniał niedyskrecję, gdyż widzi nagą duszę ludzką. Chłopiec grający artystycznie na skrzypcach jest zupełnie odmiennym okazem człowieka, niż ten, który umie tylko z otwartemi ustami przysłuchiwać się jego grze, niezdolny wydobyć ani jednej nuty. Grajek stanowi całkiem inny i to o wiele szlachetniejszy okaz ludzki.

Chwaląc tak gorąco muzykę, zarówno wokalną, jak instrumentalną, twierdząc z takim naciskiem, że sztuka tonów stanowi w wychowaniu zasadniczy i niezbędny czynnik, nie przeczę bynajmniej, że kultura muzyczna, o którą mi chodzi, nie da się pogodzić z naszym bieżącym industrjalizmem i z rozpowszechnioną bezbożnością, na którym on się opiera. Wrażliwość duchowa i fizyczna, wyhodowana przez muzyczną kulturę, nie mogłaby się pogodzić z wielu objawami naszego codziennego życia; stąd jednak nie wynika, by należało tępić wrażliwość, lecz że trzeba usuwać to, co ją razi. W pojęciu wychowania należy wyłącznie liczyć się z człowiekiem.

Smak i powonienie grają rolę w codziennem życiu naszem i przeto zasługują na uwagę wychowawcy. Od węchu i smaku zależy nasze upodobanie do jadła i napoju. Zupełnie uprawnioną jest przyjemność jedzenia smacznych potraw i wąchania miłych zapachów, a posiadanie wrażliwego węchu i smaku wchodzi w skład tej ogólnej wrażliwości ustroju ludzkiego, którą wychowanie ma rozwijać i potęgować. Trudno jest bardzo opisywać smak lub zapach, ale warto próbować je określać, gdyż stanowi to

zarazem dobre ćwiczenie zmysłu postrzegawczego i rozszerza nasze wyobrażenia zmysłowe. Prawie wszystkie dzieci lubią kwiaty. Byłoby dla nich bardzo zajmującem opisywanie właściwego zapachu każdego kwiatu, a potem rozpoznawanie kwiatów po zapachu, z zawiązanemi oczami. Możnaby na tem tle prowadzić różne miłe ćwiczenia, które zresztą mogłyby się nie często powtarzać, raz na tydzień lub dwa tygodnie. Chodzi tylko o to, by uwagę dzieci zwrócić na ten przedmiot i pielęgnować w nich cenne nawyknienie do uważnego obserwowania i rozróżniania. Warto jest odróżniać charakterystyczny zapach roślin, drzew, metali, pokarmów, przedmiotów codziennego użytku. Pewne delikatniejsze rzemiosła drzewne wymagają subtelnego węchu. Dzikie zwierzęta posiadają ostrzejszy węch niż swojskie, a jedne i drugie przewyższają w tym względzie człowieka. Nie możnaby ćwiczyć dzieci w odróżnianiu szkodliwych zapachów, ponieważ jednak te pojawiają się nawet w najprzedniejszych środowiskach, należy objaśniać o ich ostrzegawczem znaczeniu i wskazywać środki zaradcze przeciw nim.

W kwestji smaku chłopcy są bardzo stanowczy. Jedno lubią, drugiego nie lubią. Całemi dniami oczekują pojawienia się jakiejś ulubionej potrawy, a uporczywie odmawiają zjedzenia tego, co wedle nich jest niesmaczne. Te upodobania i niechęci są tak określone i zdecydowane, że nasuwały mi przypuszczenie, iż smak jest wrażliwszy w wieku chłopięcym niż w późniejszych latach. Nie zmuszałbym dzieci do jedzenia rzeczy, których wyraźnie nie znoszą, lecz nie pozwalałbym im również jadać wciąż tego samego. Z naszymi chłopcami trzymamy się bardzo prostej reguły — dajemy im zdrowe i urozmaicone pokarmy, bez możności wyboru, i pozwalamy im jeść lub nie jeść, jak im się podoba. O ile tylko chłopiec nie jest chory i nie potrzebuje specjalnej djety, w bardzo krótkim czasie przyzwyczaja się do jadania z apetytem wszystkiego. Byłoby dobrze zachęcać dzieci do opisywania smaku pokarmów, a nawet do określania na domysł, ile soku cytrynowego, cukru czy soli znajduje się w danej ilości wody.

I tutaj nie tyle zależy na ilości ćwiczeń smaku, ile na pobudzeniu uwagi i przyzwyczajaniu do obserwacji dokładnej. Kto nigdy nie robił takiej próby, zdziwi się, jak niewiele osób umie opisać smak potrawy, którą jedzą. Tak jak nam chodzi o bystry wzrok, słuch, o wrażliwą rękę, w mniejszej mierze, ale również zależeć nam powinno na wrażliwości nosa i podniebienia.

Kwestja kształcenia narządów zmysłów, rozwijania i potęgowania ich funkcyj, a przez to ostrzenia narzędzia, którem się duch posługuje — zasługuje na to, by jej poświęcić tom cały, choć ją muszę zamknąć w jednym krótkim rozdziale. Jeśli jednak udało mi się wykazać, jak niesłychanie pożądanem jest kształcenie zmysłów, dopiąłem zamiaru, gdyż resztę dokona praktyka. Zakończę oświadczeniem, że na ogół ze względów wychowawczych lepiej byłoby, gdyby chłopiec czternastoletni nie uczył się czytać. Jeśli przebywał w dobrem towarzystwie ludzkiem, zwierzęcem i roślinnem, zarówno zmysł spostrzegawczy jak umiejętność obserwowania rozwiną się lepiej, niż gdyby pozwolono mu poznać życie z drugiej ręki, to jest z książki. Jak już poprzednio nadmieniłem, mało który normalny chłopiec do czternastu lat dojdzie nie nauczywszy się czytać sam, a tego prawa żadnemu z nich nie odmawiam. Gdy zjawi się głód tego rodzaju wiedzy, wtedy jest odpowiednia pora, by go zaspokoić. Nie pozwoliłbym tylko na to, aby ta nowo zdobyta sztuka zabierała chłopcu zbyt wiele czasu, ani bym też nie utrzymywał go w przekonaniu, że ta zdobycz ma jakieś szczególnie ważne znaczenie. Przedstawiłbym mu raczej, jako rzecz zwyczajną, że każda inteligentna osoba kiedyś nauczy się czytać i że czytanie jest dobrem zajęciem pobocznem, z braku zajęć ważniejszych: czerpania wiedzy u źródła i bezpośrednich czynności samodzielnych. Takie umiarkowane posługiwanie się książkami jest czemś bardzo różnem od naszej nauki szkolnej, niemal wyłącznie książkowej, pozostawiającej w zupełnem zaniedbaniu rzeczywiste źródła siły ludzkiej: rozbudzoną duszę i wyćwiczone ciało. Jak już dawniej usiłowałem wykazać, to są

jedyne doniosłe zadania wychowawczej pracy. Dla rozwoju ducha, dla wzmocnienia i udoskonalenia ciała tyle nam trzeba dokonać, że mimo najlepszego talentu, przenikliwości, poświęcenia i starania wychowawców, pierwsze czternaście lat życia ledwie starczą na spełnienie wszystkiego, co leży w naszych obowiązkach. Jeśli w pracę swoją chcemy kłaść sumienność i gruntowność naukową, musimy starannie wyzyskać każdą minutę czasu. Wtedy nie pozostanie ani chwili na te wszystkie normalne nauki szkolne, na które obecnie trwonimy lata dzieciństwa, gdy one powinny przypadać na wiek młodzieńczy. Idę o zakład, a wiem to z doświadczenia, że całą szkolną naukę, udzielaną chłopcom przed czternastym rokiem życia, mogą oni sobie przyswoić łatwiej, gruntowniej i dokładniej w ciągu jednego roku, po ukończeniu lat czternastu.

Przy tak radykalnym wniosku obstawalibyśmy jeszcze uporczywiej, gdybyśmy sobie zdawali sprawę, że w ścisłym związku skutku i przyczyny—rozwój umysłowy osiągamy pewniej, jako uboczny wytwór intensywnego, bezpośredniego życia duchowego i fizycznego, niż jako bezpośredni plon szkolnego wysiłku. Tę wielką, przełomową prawdę życiową z jak największym naciskiem głosić będę. Sądzę, że ma ona znaczenie odkrycia, a poświadczają ją życiorysy niemal wszystkich naszych znakomitych mężów i kobiet. Wzywam czytelnika, by sam sobie wybrał jakąś setkę wybitnych ludzi i zbadał źródło ich wyższości. Nie znajdzie go w ogólnie przyjętej nauce szkolnej, — jedni z niej korzystali, inni nie. Znajdzie je w sile ducha, w zdrowiu i w tężyznie ciała.

A teraz, patrząc na sprawę z punktu widzenia nauczycieli szkolnych, zaznaczę, że, jako materjał dla późniejszego wychowania szkolnego, chłopcy kształceni w sposób powyższy, rozwijani duchowo i fizycznie, ze zdolnościami ćwiczonemi odpowiednio, będą mieli większy zapas sił, będą znacznie bardziej obiecującymi uczniami, niż ten zwykły materjał, jaki dziś do szkoły napływa. Umieśćmy obok siebie dwóch takich chłopców, dajmy im tę samą pracę umysłową w ciągu trzech czy czterech lat, spędzo-

nych zwykle na przygotowywaniu się do egzaminu wstępnego do kolegjum, a chłopiec rozwinięty duchowo i organicznie wyćwiczony, zdrowy na ciele i umyśle, zawsze wyścignie szkolnego towarzysza.

Istnieje jednak jeszcze i inny sprawdzian. Każdy racjonalny system wychowawczy, kiedykolwiek go przerwiemy, musi wykazać swą wyższość przez to, że zdziałał więcej, niż każdy inny w danym czasie. Twierdzę to w przeciwieństwie do wielu fachowych pedagogów, którzy rozmyślnie tworzą odrębne kursy w szkole średniej — jedne dla uczniów, którzy pójdą do kolegjum, inne dla tych, którzy iść nie chcą lub nie mogą. Mojem zdaniem to postępowanie jest niesłuszne. Nie należy rozstrzygać sprawy, czy chłopiec ma iść do kolegjum, gdy on ma dopiero lat czternaście. Wielu chłopców aż do chwili wstąpienia nie wie na pewno, czy mogą lub nawet czy zechcą kształcić się w kolegjum. Główny jednak zarzut, jaki stawiam takiemu dzieleniu uczniów na kozły i baranki, jest, że naszym celem winno być danie wszystkim jak najlepszego, jak najzdrowszego wykształcenia zupełnie niezależnie od późniejszych studjów, jakie mogą wybrać. Jeżeli nauka otwierająca wstęp do kolegjum ma tę wielką wartość kształcącą, jaką im przyznają powagi uniwersyteckie, to ci chłopcy, którzy będą wyższych studjów pozbawieni, tembardziej jej potrzebują, niż kandydaci do kolegjum. A natomiast jasną jest rzeczą, że jeśli ta nauka poza murami nie ma zastosowania w życiu, należy zmienić wymagania. Ten podział podlega wielu zarzutom, a nie znam ani jednego logicznego argumentu, któryby za nim przemawiał. Bez porównania lepiej jest dać wszystkim te same szanse i dać jak najszersze.

W Ameryce nasze systemy edukacyjne ciągle się przerywają i wciąż będą przerywane, póki będziemy woleli liczyć na toczące się koło fortuny, niż na porządną planową pracę. Przyjmując na razie chaos naszego współczesnego przemysłowego życia, zapytajmy — jako praktyczni ludzie — jakim będzie los czternastoletniego chopca, wychowywanego do lat czternastu wedle naszej racjonal-

nej metody kształcenia ducha i ciała, a potem skutkiem jakiejś rodzicielskiej nieudolności lub pomyłki zmuszonego bezpośrednio zabrać się do pracy, zamiast iść do szkoły średniej i kolegjum? Jest to sprawdzian dość surowy, ale słuszny. Żaden system wychowawczy nie da się usprawiedliwić, jeśli ucznia wykoleja w jakiejkolwiek fazie jego wychowania. Otóż bez wahania odpowiem, że chłopiec wychowany w ten sposób będzie miał zawsze przewagę nad swym rówieśnikiem z ławy szkolnej, gdyż on tylko jeden z nich obu ma istotne wychowanie. Ma tęższą siłę rozpędową i lepsze narzędzie. On będzie bardziej pomysłowy, żywszy, bardziej zajmujący. Będzie posiadał więcej ludzkiego wdzięku, lepsze zdrowie, większą zręczność. To, co umie, będzie wiedzą z pierwszej ręki, o wartości codziennie sprawdzanej — co stanowić będzie wielki zysk. Może jego zasób wiadomości będzie bardzo szczupły, lecz będzie zaszczepiony gruntownie, jako wynik osobistego doświadczenia, a więc nabytek trwały. Nie trzeba mu będzie trwonić drogocennego czasu na powtarzanie, gdyż tego rodzaju wiadomości się nie zapomina. Tu spotykamy dawne przeciwieństwo między siłą a luźnym faktem. W życiu zawsze siła bierze górę.

Jakkolwiek sam wychowany jestem w obozie ludzi nauki i znam rozkosze naukowych badań, doszedłem do przekonania, że formalna nauka—języki, matematyka, czy przyrodoznawstwo — jest poważną przeszkodą do dobrego wychowania, gdy zaczyna się w zbyt wczesnem dzieciństwie, lub zbyt wyłącznie pochłania czas w młodości. Tego rodzaju nauka bowiem jest z konieczności analityczną i statyczną; osiąga się ją przez rozpatrywanie przedmiotu z rozmaitych stron, lecz zawsze z zewnątrz. Staje się nieuchronnie *nauką o rzeczach.* Gdy tego rodzaju wiedzę ujmiemy w wyrazy, chcąc ją uporządkować i przekazywać, musimy się posługiwać słownikiem, jaki się nadarza, złożonym z gotowych określeń i nazw. Wiedza polega na wyjaśnianiu. Dąży ona do tego i szczyci się tem, by nieznane objaśniać przez znane. To jednak jest możliwem tylko o tyle, o ile pojmujemy wszechświat jako coś skoń-

czonego, gotowego, a jedyną możliwą nowością jest nowy układ dawnych pierwiastków. Taki pogląd pozostaje w rażącem przeciwieństwie z tem pojmowaniem życia, w którem każde istnienie jest samo przez się twórczem, a każda nadchodząca chwila niesie możliwość wszelkiej nowości. W wiedzy formalnej objaśniamy to wszystko, co nie wymaga wyjaśnień, a brak nam słów i pojęć dla wyrażenia tego jedynego czynnika w każdem wydarzeniu, który mu daje całe jego znaczenie i wartość. Mówiąc to wszystko, nie myślę przeczyć, że i taka wiedza jest pożądaną i użyteczną w naszem codziennem życiu pracy i wysiłków. Chcąc jej dać wartość wychowawczą, trzeba ją jednak umieścić na właściwem miejscu w odpowiednim okresie życia, to jest wtedy, gdy chłopiec jest już dość rozwinięty, by zrozumieć jej granice i jej zastosowanie, zdaje sobie sprawę, że w nauce ma do czynienia z symbolami i obrazami, z wycinkami rzeczywistości, nie zaś z całością istnienia i myśli.

Warto również zauważyć, że gdy chcemy udzielać dzieciom rozległego zakresu naszej formalnej nauki, staje nam na przeszkodzie nie tylko niejasność naszej mowy i pojęć niedokładnych, lecz i to, że dzieci nie mogą jasno rozumieć tej mowy i pojęć i wkładają w nie treść błędną lub ułamkową.

Dlatego, mojem zdaniem, rozsądek nakazuje oszczędzić dzieciom, przynajmniej do lat czternastu, tego przedwczesnego intelektualizmu i zajmować je prawie wyłącznie rzeczywistością i doświadczeniem.

Niechaj raczej poznają rzeczy niż dowiadują się o rzeczach. Lepiej dla nich, by bez zastrzeżeń weszły w życie i z niem się utożsamiały, aniżeliby miały, stojąc na uboczu, analizować je. Tak samo, jak w nauce języka często popełniamy ten błąd, że uczymy gramatyki, zanim dziecko posiada dość obfity zasób wyrazów, któremi by mogło w gramatyce operować, tak i w innych dziedzinach formalnej nauki żądamy od dziecka, by ono analizowało życie, tworzyło symbole rzeczywistości, posługiwało się twórczemi pojęciami, zanim należycie pozna rzeczywistość życia.

Zarówno dla dzieci, jak dla nas samych, najwłaściwsza droga do zebrania obfitego plonu wiedzie przez uczestniczenie w życiu, utożsamienie się z niem i tylko na tej drodze zdobywamy wiedzę intuicyjną, absolutną, tę jedyną, przez którą poznajemy rzeczywistość. Przez ten proces osiągamy owe duchowe zalety, które poprzednio już wskazywaliśmy jako cel wychowania, a przedewszystkiem nieświadomość swego „ja". Kto poznaje życie przez utożsamianie się z niem, zatraca swe ułamkowe, odrębne życie i wkracza na drogę zbawienia. Wtedy wiedza i wiedzący jednem się stają i wnikamy w samą istotę rzeczy.

X.

WIEK PRZEJŚCIOWY.

Zdrowy, czternastoletni chłopak jest bardzo pociągającem stworzeniem. Zdaje mi się, że to najlepszy wiek dla chłopca. Posiada on wtedy jeszcze cały wdzięk dzieciństwa, a obok tego rozległe zainteresowanie umysłowe i pewne błyski dojrzałości, które czynią go doskonałym towarzyszem. W miarę, jak płynie miesiąc za miesiącem, stawać się on może nie mniej pociągającym, gdyż istotnie koleżeńskość jego wzmaga się, trzeba jednak przyznać, że przy obecnym naszym systemie wychowawczym jego urok osobisty zwykle zatraca się. Przestaje być tym pucołowatym, potulnym chłopcem, który tak poruszał w nas instynkty rodzicielskie. Musimy się z tem pogodzić tak samo jak z ową przykrą chwilą, gdy nasz chłopak zdejmuje swoje krótkie spodeńki, by przywdziać długie spodnie, co dla starszego pokolenia jest sygnałem nieomylnym, iż mama coraz mniej będzie potrzebna i że będzie musiała niebawem ustąpić z pola młodszym siłom. Po czternastej rocznicy urodzin zaczynają się jednak i mniej pożądane jeszcze zmiany, za które my starsi ponosimy odpowiedzialność, a których nie wolno nam zwalać całkowicie na barki przyrody.

Wraz ze wzmagającą się dojrzałością przychodzi i wzrost samowiedzy, powodując niezgrabność, zanik bezinteresowności, rozwijając egoizm. Prócz tego zachodzą zmiany fizyczne. Pucołowatość, tak ponętna u małego chłopca, przestaje być ładna u pacholęcia, gdyż nasuwa podejrzenie o obżarstwo i lenistwo. Uroda pacholęcego wieku nie polega na pulchności, lecz na muskularnej smukłości, świadczącej o gruntownem wyćwiczeniu ciała. Jeżeli wyrostek rozwija się zdrowo, można te zmiany notować z dnia na dzień. Świeża jak kwiat, pulchna twarz chłopca przechodzi w coraz subtelniej rzeźbioną twarz pacholęcia; jego ciało cherubina ustępuje chudej a muskularnej budowie młodego atlety. Tam, gdzie życie duchowe jest silnie rozbudzone, a dyscyplina fizyczna daleko posunięta, zmiany te mogą podnosić urodę. Szczupła, zuchowata twarz szesnastoletniego młodzieniaszka, jego harmonijnie rozwinięte muskularne ciało mogą mieć urok nie mniejszy, niż poprzednio wdzięk obiecującego dziecka. Zwykle jednak tak się nie dzieje. W rzadkich wypadkach tylko z Kupidyna wyrasta Adonis, jakgdyby dla stwierdzenia możliwości; zazwyczaj jednak młodzieniaszek jest znacznie brzydszym niż dziecko, z którego wyrósł. Mężczyzna powinien być coraz piękniejszy do lat czterdziestu, nawet pięćdziesięciu jeszcze, a i później jeszcze zdobyta w ciągu długich lat mądrość, harmonja, godność i powaga powinna go czynić coraz więcej postacią na obraz Boga stworzoną. Zaczynając życie jako Kupidyn, winien je kończyć jak Jowisz.

Ten okres od czternastego do ośmnastego roku życia jest wiekiem niezgrabnym za zgodą powszechną; jest on z punktu widzenia chłopca samego najeżony trudnościami. Jedne z nich są istotne i nieuchronne może, gdyż towarzyszące radykalnym zmianom zachodzącym w organizmie, subtelnym zaburzeniom młodości. Sądzę, że choć nie można ich uniknąć całkowicie, można je sprowadzić do takiego minimum, by nie groziły wcale wykolejeniem. Mamy zwyczaj opuszczać chłopca i zostawiać własnym siłom wtedy, gdy najwięcej potrzebuje po-

mocy, postępować tak, jakgdyby te zaburzenia nie istniały i tak traktować wiek młodzieńczy, jak gdybyśmy nic nie wiedzieli o najżywotniejszych zagadnieniach tego okresu. Ten nonsens pedagogiczny przypisać można częścią wulgarności naszych nauczycieli, którzy doszli do nieprawdopodobnego wniosku, że każda wzmianka o kwestji płciowej jest nieskromna, a nawet niemoralna, ponieważ jest to kwestja bardzo delikatna i drażliwa, częścią znów nieszczęsnej przewadze liczebnej nauczycielek w naszych szkołach publicznych. Jeżeli chcemy pomyślnie rozwiązywać trudności niebezpiecznego wieku dojrzewania, musimy w męskich szkołach mieć nauczycieli, w żeńskich nauczycielki, tu i tam jednostki zdrowe, dzielne, wykształcone, niewstydliwe.

Do tego okresu wieku przywiązane są jeszcze i inne trudności, społecznej raczej niż fizycznej natury, które opanować leży zupełnie w naszej mocy. Wydaje mi się to wielką niedorzecznością, że my, rodzice i nauczyciele, wciąż zapewniający o naszej wielkiej miłości dla dzieci, rozmyślnie przedwcześnie pozbywamy się ich, obciążając je postanowieniami, odpowiedzialnością i miarą wymagań ponad ich wiek. Dorośli ludzie jako strażnicy cywilizacji nie powinni żądać od chłopców, aby za wcześnie stawali się mężczyznami. Powinniśmy ich raczej szanować niż przynaglać, aby wtedy, gdy już po najdłuższym czasie uderzy ich godzina, wyczerpali do dna wszystko, czem dzieciństwo zasilić ich mogło i osiągnęli pełniejszą, bujniejszą dojrzałość męską niż nam się udało. Amerykańskie szkoły średnie (high-schools) zasługują na surową krytykę, ale może żaden zarzut nie jest tak usprawiedliwiony, jak ten, że one przedwcześnie niszczą dzieciństwo. Ten i ów z łaski Boga, i niezwykle rozumnych rodziców, uniknie tego szkodliwego działania, większość jednak ich wychowanków to nie są chłopcy przyjemni i wysoko rozwinięci, obdarzeni ponadto gruntownem wykształceniem szkolnem. Typowy wytwór tych szkół — dobrze mi znany — to osobnik nieokrzesany, zarozumiały, nie chłopiec i nie mężczyzna, o wykształceniu co najmniej wątpliwem.

W ciągu czterech lat nauki w szkole wyższej, przeciętny chłopiec nieomal zawsze zatraca prostotę i bezinteresowność pierwotną wraz z fizycznym wdziękiem dziecięcego wieku, nabiera natomiast wyrachowania i pewności siebie, przykrego samolubstwa i nieokrzesania. Kto tylko umie trzeźwo patrzeć na społeczeństwo, widzi to zło; usypiamy jednak nasz niepokój miłem złudzeniem, że ci chłopcy — choć tak się wydają nieprzyjemni i źle wychowani, nie mniej zdobywają wykształcenie i na razie trzeba brać na cierpliwość. Jeśli jednak słuszną jest moja definicja wychowania, że ono jest równoznaczne ze wzrostem i pogłębieniem wartości ludzkiej danej jednostki, spotęgowaniem jej powabu i uroku, z objawieniem się ducha, jego uszlachetnieniem i rozwojem, — tedy oczywistą jest rzeczą, że ci chłopcy nie są wykształceni, ani wychowani, lecz zostali zepsuci, stali się bowiem mniej oryginalni, mniej przyjemni, mniej uzdolnieni. Jeżeli od tego głębszego, religijnego pojęcia wychowania przejdziemy do powszechnie przyjętych formalnych norm, wynik bynajmniej lepszym się nie okaże. Nie jest to mój gołosłowny i powierzchowny sąd. Realnym sprawdzianem wykształcenia jest jego przystosowanie do zamierzonego celu. Szkoła wyższa ma być przygotowaniem do uniwersytetu. O ileby nasze szkoły wyższe odpowiadały swemu celowi, większość ich wychowanków szłaby na uniwersytet. Tymczasem połowa nie dochodzi wcale do matury, a z tych, co ją otrzymują, zaledwie niewielki procent idzie na uniwersytet, jedni z własnej woli i chętnie, inni pod przymusem, nieraz może wprost dlatego, że to rzecz przyjęta i dobrze widziana. Niektórzy ze względów materjalnych zmuszeni są wprost z wyższej szkoły iść do pracy zarobkowej, a co do tych spytajmy, ilu z nich w dalszem życiu dąży do powiększenia samouctwem bardzo skąpego zasobu wiedzy wyniesionej ze szkoły, a choćby tylko do zachowania i utrwalenia w pamięci i umyśle nauk, jakie sobie przyswoili? Powiedzmy otwarcie, że nasze amerykańskie szkoły średnie nie dają rzetelnej nauki. We wszystkich stanach rozpatrzmy szkoły średnie, nie wedle ich pretensji, lecz rze-

czywistych wyników, a przekonamy się, że nawet w tej formalnej edukacji, o którą się wyłącznie ubiegają, chybiają celu.

Młodzież amerykańska ma wśród dorosłych amerykanów opinję bardzo zdatnej, dlaczegóż tedy, gdy chodzi o rzetelną uczoność, nie umie dotrzymać kroku swym eupopejskim rówieśnikom? Sądzę, że odpowiedź jest jasna. Wychowanie w każdej swej fazie jest sprawą ducha i ciała. Tam gdzie duch i ciało nie są zajęte, wychowanie popada w zastój. W naszych amerykańskich szkołach wyższy duch i ciało nie są zajęte dla tej prostej przyczyny, że są zajęte gdzieindziej. Życie w typowej szkole wyższej jest życiem rozrywek i im bardziej postępową i nowoczesną jest szkoła, tem większa ilość tych rozrywek. Ducha ucznia pochłaniają: organizacja klasy, polityka klasy, wydawnictwa szkolne, tajne stowarzyszenia, kluby śniadaniowe, kluby dyskusyjne, kółka fotografów amatorów, operacje handlowe, kolekcjonowanie marek, społeczne ambicje, pierwsze flirty. Ciało zaś nie jest zajęte pielęgnowaniem zdrowia, wdzięku, zręczności, lecz uprawianiem najniedorzeczniejszego sportu atletycznego, wyścigów i rywalizacji, jakgdyby wymyślonych na zgubę ludzkiej doskonałości przez odwiecznego wroga duszy ludzkiej. Kto powie, że nasze obecne międzyszkolne popisy i pokazy atletyczne przyczyniają się do rozwoju sił i dzielności młodzieży — ten dopuszcza się oczywistej obłudy. Najgłówniejszą rolę grają tam ci chłopcy, którym ćwiczenia fizyczne są najmniej potrzebne. Chłopcy, którzy ich najwięcej potrzebują, nie grają żadnej roli, uczestnictwo ich ogranicza się na tem, by krzyczeć aż do zerwania gardła, dla okazania szczerego czy nieszczerego zachwytu. Tak mało chodzi tutaj o zdrowie, że, jak wiemy dobrze — chłopiec, który staje do rekordu, musi — dla honoru szkoły — wygrać go za wszelką cenę. Nasze zapasy atletyczne są wychowaniem fizycznem na wspak. U nas w szkołach wyróżniani są nie ci, co otrzymują nagrody za naukę, lecz zdobywający odznaczenia w zapasach atletycznych i sukcesy w życiu koleżeńskiem poza klasą. Bo-

haterem szkolnym, tym, którym szkoła się szczyci, jest uczeń rozwijający żywą działalność w każdym innym kierunku raczej, niż w tym, który stanowi oficjalny cel i rację bytu szkoły—t. j. w nauce. Pierwszy zasadniczy zarzut, jaki stawiam szkole wyższej w Ameryce, jest ten, że nie pojmuje ona głębokiej religijnej i ekonomicznej strony wychowania, że nie dostrzega jedynej pewnej drogi wiodącej do wykształcenia umysłowego—przez rozwój ducha i ciała. Drugi zarzut, jaki jej stawiam, to, że nie osiąga nawet tego celu, jaki sobie zakłada, to jest formalnego szkolnego wykształcenia. Jedyna rzecz, której istotnie dostarcza młodzieży, to wszelkiego rodzaju rozrywki, bądź to niewinne, bądź płoche, bądź też wręcz szkodliwe. Jednakże rozrywki dla młodzieży, niewinne, błahe czy niemoralne—nie stanowią wychowania. Ja mam osobisty bardzo trzeźwy pogląd na szkołę wyższą. Pojmuję ją jako fazę ewolucji młodzieży. Zasadniczą miarą moją jest miara ludzka, jak oddziaływa szkoła na ucznia jako na istotę ludzką? Jakie przeobrażenie sprowadza w jego duchu i ciele? Jakiemi nabytkami bogaci jego umysł? Czy wiedzie go z ciaśniejszego do szerszego świata ludzkiego? Każda cywilizacja musi ostatecznie dochodzić do wyników wcielonych w pewne typy jednostek o spotęgowanej wartości ludzkiej, piękniejszych, dzielniejszych, doskonalszych—nie zaś w gromadzeniu wartości handlowych i materjalnych. Powszechne jest mniemanie, że nasze olbrzymie parowce stanowią ogromną zdobycz postępu. Istotnie, ich zdolność transportowa równa się przenoszeniu pięciu tysięcy ton czystej, słonej wody, czy jednak pracują one w służbie Boga, czy szatana, to nie zawisło od ich pojemności, lecz od natury ludzi, którzy się niemi posługują.

Symbolem postępu i cywilizacji stają się one tylko wtedy, gdy ludzie, którzy niemi jeżdżą, są osobistościami pełnemi wdzięku, talentów i siły duchowej, zdolnemi pełnić cenne posłannictwa, nie zaś marnemi pygmejami, błądzącymi to tu, to tam, dla tej prostej i żałosnej przyczyny, że nigdzie nie mają nic do roboty. Z natury rzeczy nasze wychowawcze ideały są i muszą być ideałami spo-

łecznemi, a dajemy się sprowadzać na niebezpieczne manowce, gdy te ideały obniżamy, schodząc od osób do rzeczy.

Szkoła wyższa obejmuje kurs czteroletni, niektóre prywatne szkoły — pięcioletni. Lepiej byłoby go skrócić do trzech, a możnaby to zrobić z łatwością, gdyby z niej usunąć te rozrywki młodzieńcze, o których mówiłem tak niepochlebnie. Jeżeli zgodzimy się, że szkoła wyższa ma być wstępem do kolegjum, to może ona przygotować uczniów w ciągu trzech lat, nie szczędząc im niezbędnego wypoczynku. Znam wypadki, w których jeden rok starczył. Moje własne przygotowanie trwało pięć miesięcy, a nie byłem bardzo zdolnym chłopcem, ale interesowała mnie nauka. W ciągu całego życia nie dłużej przebywałem w szkole niż półtora roku i nie wyciśnięto z niej całego soku przez nauczanie. Było też wtedy łatwiej dostać się do kolegjum niż obecnie, łatwiej dla studjowania nauk niż umiejętności.

W czasach mędrszych niż obecny, będziemy mieli szersze pojęcie o zadaniu szkoły. Odrzucimy wszelkie szkoły przygotowawcze. Nie będziemy nigdy chcieli być gotowi do niczego, nawet nie będziemy się gotować na śmierć. Będziemy żyli uczciwie i godnie dla teraźniejszości, a czyniąc to, będziemy zawsze do wszystkiego przygotowani należycie. Nie chodzi mi więc o szkołę wyższą, jako przygotowawczą. Interesuje mnie ona tylko z tego punktu widzenia, czy odpowiada przejściu z wieku chłopięcego do młodzieńczego. W mojem pojęciu obejmuje ona trzy lata, od czternastu do siedemnastu, lata nie posiadające tej wagi, co okres do lat czternastu, lecz niemniej bardzo cenne jako odpowiednia pora dla spotęgowania i utrwalenia duchowych i fizycznych nabytków wieku chłopięcego i dla dodania do nich rzetelnych pierwiastków nauki formalnej. Proszę zauważyć, że mówię o dodaniu, a nie o zastąpieniu. To jest okres konserwowania i zdobywania zarazem. Istotnie, gdybym miał wybierać między konserwowaniem ducha i ciała, a nabywaniem wiedzy formalnej, jak mniema większość nauczycieli

szkolnych w swej gorliwości do pracy przygotowawczej, zrobiłbym wręcz przeciwny wybór niż oni: bez wahania wybrałbym konserwację, a co do nabywania wiedzy, polegałbym na wciąż rosnącem zaciekawieniu umysłowem młodzieży.

Wychowanie jest rzeczywiście sztuką bardzo swobodną i zasłania twarz, gdy widzi zbyt wiele zamętu i krzątaniny. Chłopcy, tak samo jak dorośli, muszą mieć czas swobodny, by obcować z duszą. Plan nauk, jakie należy studjować w ciągu tych trzech lat, musi się opierać na naszem, powziętem po gruntownym namyśle przekonaniu, co winien umieć zdrowy siedemnastoletni chłopiec z zakresu wykształcenia umysłowego. I tu, jak poprzednio, widzę w tem jedyną nieomylną metodę. Tylko wiedząc dokładnie, czego chcemy, możemy znaleźć odpowiednią drogę do osiągnięcia tego, czego chcemy. „Gdy idzie człowiek, który wie, dokąd idzie, świat schodzi mu z drogi".

Podam tu wykaz kolejny nauk, które, mojem zdaniem, musi sobie przyswoić gruntownie chłopiec siedemnastoletni, a proszę, by zwrócono równie baczną uwagę na wymienione jak na opuszczone przedmioty. Wymieniam nauki w porządku kolejnym, wedle stopnia ich znaczenia i doniosłości:

1. Język angielski, włączając w to staranne ćwiczenia źródłosłowów łacińskich i greckich, wypracowania, czytelny charakter pisma i wprawę w ścisłem wysłowieniu.

2. Literatura i historja, podawana w postaci obfitej lektury, nigdy zaś w postaci wykładów i opowiadania.

3. Matematyka, obejmująca arytmetykę bez rachunków handlowych, początki algebry i planimetrja.

4. Nauki przyrodnicze z botaniką, zoologją i hygjeną praktyczną.

5. Język francuski przez całe trzy lata.

6. Początki języka niemieckiego, najlepiej tylko w trzecim roku nauki.

Zaliczałbym do dobrze wychowanych chłopców każdego, który ukończywszy lat siedemnaście, zachowałby

duchowy i fizyczny wdzięk chłopięcego wieku, a obok tego posiadał gruntowne wiadomości w tych pięciu działach nauki, z dodatkiem szóstego: liberalnego wyobrażenia historji jako literatury, a literatury jako obfitej krynicy uszlachetniających rozkoszy duchowych. Nie będę stawał w obronie mego wyboru. Ktokolwiek zechce, niech sporządzi lepszą listę, a o ile okaże się lepszą, przyjmę ją tak skwapliwie, że nie będzie czasu na dyskusje o pierwszeństwo. Z przyjemnością jednak objaśnię mój wybór nauk tak szczegółowo, jak najgorliwszy obrońca, aby usunąć wszelki powód do sporów, wynikających z nieporozumienia. O wszystkich tych naukach wogóle oświadczyć muszę, że nie zamieściłem żadnej ze względów praktycznych, żadnej z powodu jej domniemanej użyteczności teraźniejszej czy przyszłej i żadnej w charakterze wstępnego przygotowania do czegokolwiekbądź. Trzymałem się jedynie miary bezpośredniej, wybierałem te, które mojem zdaniem posiadają bezsporną wartość na dziś. Z wielkiej liczby możliwych nauk wybierałem te, które w mojem przekonaniu najwięcej przyczynią się do tego, by chłopiec stał się istotą ludzką wszechstronnie rozwiniętą i sympatyczną. Nie pragnę uczynić go potulnym obywatelem, sprytnym kupcem, biegłym rzemieślnikiem, chodzącą encyklopedją, uczonym lingwistą, lub też wogóle jakimkolwiek specjalistą. Wyznaję, że chodzi mi wyłącznie o wyższy stopień ludzkiego dostojeństwa i powabu. Jeżeli po trzyletnim kursie szkoły wyższej chłopiec stanie się bardziej interesującym, milszym, wszechstronniej uzdolnionym, w takim razie system wychowania okaże się dobrym. Jeżeli tego nie osiągnie, będzie on chybiony. Jeżeli zaś wyda rezultaty wręcz przeciwne, jeśli chłopiec wyjdzie ze szkoły mniej ludzkim, mniej przyjemnym i rozsądnym niż był poprzednio, wtedy oczywiście szkoła wyższa okaże się szkodliwa. Chciałbym każdego, kto studjuje zasady wychowania, skłonić, by praktyczną, ludzką miarą mierzył uczniów i uczennice szkoły wyższej, spotykanych na ulicy, w szkole, na zebraniach publicznych, w teatrze, w sklepach i w domu.

Ktoś może niewątpliwie odrzucić mój sprawdzian bezpośredniości, a w takim razie argumentacja na nic się nie przyda. Różnimy się w zasadniczym punkcie, drogi nasze rozchodzą się w przeróżne strony. Niektórzy z mych przyjaciół są większymi niż ja optymistami, a w przeciwieństwie do mnie — zamiast *bezpośrednich* natychmiastowych widoków, wpatrzeni są w pośrednie *ostateczne*. Stąd znacznie więcej mają pobłażliwości dla impertynenckich niemiłych chłopaków w nadziei, że z nich kiedyś wyrosną bardzo sympatyczne i piękne typy ludzkie. Podziwiam ich złudzenia, ale ich nie podzielam; co posiejesz, to i sprzątniesz. Nawiasem dodam, że zawsze zwalczałem i zwalczać będę bluźnierczą zasadę, iż mamy młodzież wychowywać dla takiego świata, jaki jest, nie dla takiego, jakim być powinien, świat bowiem jest tem, czem my go uczynimy dziś, a lenistwo, zwalające na Opatrzność, na Boga, na los i przeznaczenie odpowiedzialność za wszystkie świętokradztwa i barbarzyństwa naszego współczesnego życia społecznego i przemysłowego jest tylko lichym wykrętem dusz upadłych i straconych.

Jeżeli bezpośredni doraźny wynik przyjmiemy jako miarę wartości wychowania w każdej jego fazie, pozostanie jeszcze dość szerokie pole dyskusji co do wyboru środków osiągnięcia tego wyniku. Zajmiemy się obecnie tym przedmiotem, tak ważnym, że musimy go wyświetlić w sposób jasny i przekonywający. Rozważać będziemy tedy doraźną ludzką wartość tych nauk, które wybrałem i wyliczyłem.

Zacznijmy od angielskiego języka.

Umieściłem go na czele poprostu dlatego, że w całym biegu naszego codziennego życia musimy się posługiwać pisanem i mówionem słowem, a naszą mową potoczną jest mowa angielska. Opanowanie języka angielskiego ma więc dla wymiany myśli wielkie znaczenie w naszem życiu. W mniejszym stopniu, niż ludy łacińskie, posiłkujemy się dla cieniowania naszych myśli gestami rąk, wyrazem twarzy, ruchami ramion i głowy, lecz głównym wyrazem naszych myśli jest zawsze słowo.

Umieć używać słów ze zrozumieniem, zestawiać je z innemi w takim porządku, by jak najjaśniej wyrażały nasze myśli, wypowiadać je głosem dźwięcznym i z właściwym akcentem, a pisać czytelnym charakterem lub drukować odpowiedniemi czcionkami, oto najskromniejsze chyba wymagania, jakie można postawić osobie wykształconej. A jednak większość ludzi i tym wymaganiom nie odpowiada. Mówić to, co się myśli, to najpospolitszy nakaz moralności potocznej, a większość porządnych ludzi we własnem przekonaniu nie sprzeniewierza mu się. Jednakże w pełnem znaczeniu rzadko kto stosuje tę zasadę. Nie mam tu na myśli tych konwencjonalnych kłamstw, obłudnych uprzejmości naszego towarzyskiego i zawodowego życia, kiedy rozmyślnie słowa nasze mijają się z myślami. Myślę tylko o tych rzetelnych, lecz nieudolnych wysiłkach przeciętnych ludzi, nie umiejących wiernie i dokładnie swych myśli wyrazić. Możemy przystać na to, że czyny są wymowniejsze niż słowa, a jednak ubolewamy nad tem. W naszem obecnem wychowaniu muszą być jakieś dotkliwe braki, jeżeli umiejętny dobór słów w naszym macierzystym języku jest taką rzadkością nawet w piśmiennictwie i dziennikarstwie, a niedościgłą sztuką dla przeciętnych ludzi z ulicy. My starsi przywykliśmy już domyślać się znaczenia słów tych ludzi, którzy się do nas odzywają i stopniowo nabieramy wprawy. „Z tego, co ten pan mówi, wnoszę, że chciał powiedzieć to i to" — mówi się nieraz bez żartu. Słowa te zdradzają zupełnie szczere zakłopotanie, jak sobie wytłumaczyć usłyszane zdania, i chęć rozwiązania zagadki domysłem najprawdopodobniejszym. Ciekawą jest rzeczą obserwować szczere a wytrwałe dziecko, jak się naprzykrza dorosłym, by mu wyjaśnili znaczenie niezrozumiałych dźwięków artykułowanych, które słyszy. Zdolne dziecko szybko się przekona, że starsi niechętnie przyjmują to naprzykrzanie się, że pod krzyżowym ogniem pytań niecierpliwią się, więc dla uniknięcia ich złego humoru, dziecko również ucieka się do domysłów. Potem, rozmawiając z niem, przekonamy się nieraz, że jego domysły były błędne. Pomyłki

jego płyną poczęści z dziecięcej nieświadomości i braku doświadczenia, lecz może jeszcze w znaczniejszej mierze z niedbałego sposobu wyrażania się u dorosłych.

Dobieranie odpowiednich wyrazów jest pierwszą i może najważniejszą umiejętnością, jakiej żądamy od formalnego nauczania, a zanim nasz ogół przyswoi sobie tę sztukę, sądzę, że prostą niedorzecznością jest dążność do rozszerzania programów. Nieudolność nasza w doborze wyrazów zdradza się w coraz powszechniejszem posługiwaniu się ulicznym żargonem. Główny zarzut, jaki stawiamy tej mowie, to nie to, że ona jest pospolita i nieelegancka, lecz że nas utwierdza w naszych błędach. Uprawnia nas do mielenia wyrazów, zamiast wypowiadania myśli. Przypominam sobie pewną znajomość moją z lat chłopięcych, człowieka bardzo niedbałego i nieudolnego we wszystkich czynnościach swego życia, który przy rozmaitych okolicznościach mawiał do mnie: „Nie daj się żyrafie nad sobą, chłopcze". Przypuszczam, że ten osobliwy układ wyrazów miał kiedyś coś oznaczać, ale znaczenie dawno się zatraciło w powtarzaniu z coraz to inną intencją.

Amerykańscy chłopcy popisują się niedbalstwem w mowie. Lubią rzucać urywane zdania, wykrzykniki, przysłowia, a niech kto chce odgadnie sens ich mowy. Czasem odgadywanie jest tem trudniejsze, że mowa nie ma żadnego zamierzonego sensu, — była poprostu szwargotem, zabawą w mówienie. Te złe nawyknienia zakorzeniają się i trwają dłużej niż wiek szkolny, zanieczyszczając mowę potoczną naszych mężczyzn i kobiet. Prawdopodobnie pierwsza przyczyna tkwi w tem, że chłopcy biorą ścisłość i jasność za pedanterję i nienaturalność. Wyobrażają sobie, że mowa poprawna jest mową akademicką, wyszukaną. Mylą się bardzo. Mamy wspaniałe narzecze anglosaskie, w którem każdy może z jasnością i prostotą wyrazić dokładnie swoje myśli, bynajmniej nie uciekając się do cudzoziemskich terminów i angielszczyzny szkolnej. W rzeczywistości to narzecze anglosaskie jest najlepsze i jest mową wielkich mistrzów. Póki jednak

nasi chłopcy i dorośli ludzie będą swe myśli wyrażać ciemno i mętnie, czy to przez nieudolność mowy, niejasność myśli, czy też rozmyślnie przez lekceważenie, nie możemy uchodzić za naród wykształcony.

Dobra angielszczyzna polega nietylko na wyborze właściwych wyrazów (wolę to, niż „właściwy wybór wyrazów"), lecz i na takiem szykowaniu ich w zdaniu, aby ich znaczenie, to które *my w nie kładziemy* — wystąpiło dobitnie i niedwuznacznie. Wybrać odpowiedni wyraz a powiedzieć rzecz mylnie, to wręcz tragedja. Wiemy dobrze, że można przez maleńką zmianę w układzie zdania, zupełnie odmiennie zaakcentować treść, a nawet dać mu treść wręcz inną. Nie będzie nadmiernem wymaganie, by chłopiec przed ukończeniem szkoły nauczył się wyrażać swe myśli jasno i poprawnie i przywyknął do tego.

Nie byłoby również wygórowanem żądanie, by każdy swoją myśl wyrażał nieodmiennie w tej literackiej formie, którą nazywamy stylem. Rozmyślnie użyłem wyrazu „nieodmiennie", gdyż fatalnym a bardzo rozpowszechnionym błędem jest, że można zaniedbywać swój styl przy pogawędce rannej, a używać go przy obiedzie, rozstawać się z nim w potocznej rozmowie i korespondencji rodzinnej, a posługiwać się nim przy opracowywaniu ćwiczeń szkolnych. Styl nie jest rzeczą zewnętrzną i powierzchowną dla przyozdabiania od święta naszej codziennej angielszczyzny. To nie jakiś haft czy ornamentacja, stosowana tylko przy odpowiedniej okazji. Styl to nieodłączna forma myśli; wtedy jedynie może być piękny i poprawny, gdy myśl jest piękna i dobra. Niechlujna angielszczyzna świadczy nietylko o jakiemś niedbalstwie i roztargnieniu godnem wybaczenia, lecz o niechlujnem myśleniu. Są między nami niezawodnie fachowi styliści, którzy temu zaprzeczą. Gdy uważają, że nadarza się odpowiednia okazja, dobywają klejnoty słów i nawlekają je w pięknie brzmiące zdania dla osiągnięcia literackiego efektu. Jedni wydają książki, inni piszą dla wydawnictw perjodycznych, inni wreszcie rymują wiersze. To się na-

zywa „literaturą piękna", jednakże nikt z ludzi wykształconych nie nazwie tego stylem. Styl literacki stanowi pewien dział istotnej twórczości życiowej, a osiągnąć go można tylko przez wieloletnie poświęcenie się sprawom ducha. Stylu przejmować i przekazywać nie można. Każdy chłopiec musi sam sobie styl wyrabiać, a przedewszystkiem tym sposobem, by mieć coś do powiedzenia.

„Ludzie myślą, że mogę ich stylu nauczyć" rzekł Matthew Arnold.

„Cóż za głupstwo! Miej coś do powiedzenia, powiedz to najjaśniej jak zdołasz. Oto tajemnica dobrego stylu".

W życiorysach literackich czytamy o ludziach, którzy całe życie spędzili w poszukiwaniu stylu. Byli między nimi tacy, co go nie znaleźli nigdy i pozostali zawsze naśladowcami, autorami drugo, trzecio lub czwartorzędnymi. Ci, co istotnie styl sobie wyrobili, dokazali tego znalazłszy samych siebie, gdy myśl ich skrystalizowała się, gdy wypracowali sobie własną filozofję sztuki i życia o tyle oryginalną i cenną, by warto je było udzielać drugim. Gdy tego dokazali, mieli styl i wygrali sprawę. Wydaje się to na pozór paradoksem, a jednak jest prawdą, że chcąc mieć styl literacki, należy stylem literackim wzgardzić, a oddać się bez zastrzeżeń kształceniu swej myśli. I oto wracamy do naszego punktu wyjścia: poprawna mowa nie jest rzeczą ćwiczeń i analizy, lecz wytworem charakteru, dzieckiem bogactwa ducha, który, mając coś do powiedzenia, znajduje wyraz dany swej myśli. Angielszczyzna, która zachwyca dziś angielskich i amerykańskich czytelników i słuchaczy, nie jest dziełem stylistów. Jest ona mową ludzi, którzy nie ienili się myśleć, a mieli dość dzielne serce, by myśleć oryginalnie i pięknie.

Amerykańskie szkoły wyższe nie uczą dobrej angielszczyzny skutkiem swej duchowej ułomności. Szkoła zaniedbuje to, co jest żywotnem źródłem mowy: życie ducha. Z czystego tchórzostwa ucieka od religji, a uczy komunałów z wypisów. Nie chcąc nikogo urażać, nawet największych zacofańców, odwraca się od twórczej ekonomji i próbuje tworzyć taki schemat życia, w którym

przyjmuje się, że sprawa chleba powszedniego nie istnieje. Jakżeż może wychowanie wznosić trwałą i pożyteczną budowę, jeśli uporczywie wzbrania się stawiać ją na jedynych możliwych fundamentach? Jakże może rozwijać i doskonalić ducha, jeśli z duchem nie chce mieć nic do czynienia? Jakżeż ma w końcu budzić zdrowe życie umysłowe, stanowiące wspólny wytwór duchowego i fizycznego rozwoju, jeśli w swem wulgarnem, obłudnem pojęciu skromności wstydzi się widoku nagiego ciała, a w obawie narażenia się jakiejś pełnej kieszeni, nie odważy się spytać, jakiemi godziwemi środkami dzieci mogą zdobywać żywność, odzież, mieszkanie? To, że my w Ameryce nie umiemy posługiwać się dobrą angielszczyzną, mówić i pisać naszym pięknym ojczystym językiem, świadczy o naszem ubóstwie duchowem. To bardzo poważna i wiele znacząca wada, to ułomność ducha naszego.

Od zdrowego siedemnastoletniego chłopca żądać będziemy jednak więcej niż posiadania pięknego stylu angielskiego, choć to zaleta wielka i w Ameryce rzadka. Swoją piękną angielszczyznę może ujawnić w mowie i piśmie. Nie będzie zbyt wygórowanem żądanie, by mówiąc do nas, trzymał głowę prosto, patrzył w oczy, wyrażał się jasno i nastroił głos w ten sposób, aby go z przyjemnością słuchać można było. A jednak przeważnie te wymagania nie bywają uwzględniane. Na ogół czy dorosły mężczyzna, czy młody chłopak, mówiąc do kogoś, patrzy na wszystkie strony, lecz nie na tego, do kogo mówi, mamrocze przez zęby lub przez nos, niedomawia wyrazów i albo odzywa się niedosłyszalnym pomrukiem, albo krzykliwie podniesionym głosem. A bynajmniej nie mówię tu o tak zwanych klasach niewykształconych, lecz o tych uprzywilejowanych, co przeszli przez szkoły, spędzili w nich po dziesięć i dwanaście lat, a jednak nie wynieśli z nich tych elementarnych nabytków angielskiej kultury.

I to nie będzie chyba zbyt wiele, jeśli domagać się będziemy, by taki siedemnastoletni chłopak, pisząc list, postarał się go napisać czytelnie, równo, w formie takiej,

która nie razi oczu. Kto prowadzi obfitą korespondencję, przyzna, że w najszczęśliwszych wypadkach raz na dzień otrzymuje list podobny.

Jako człowiek praktyczny, wierzący w ścisły związek skutków i przyczyn, pragnę włączyć i kaligrafję i wymowę do programu nauki naszych szkół wyższych, gdyż obie poczytuję za bardzo ważne.

Starodawne krasomówstwo agitatorów wiecowych i mówców ulicznych, połączone z gwałtowną gestykulacją i teatralnemi efektami głosu, słusznie bardzo zostało ośmieszone. Jest jednak inny rodzaj wymowy, kultura głosu ludzi dobrze wychowanych, której w szkołach zaniedbywać nie należy. Bardzo niekompletnem jest wychowanie, które nie nauczy chłopca mówić wyraźnie i dźwięcznie. Skuteczność jego przemówień zależy nie tylko od tego, co mówi, ale i od tego, jak mówi; pytanie zresztą, czy jedno nie oddziaływa na drugie. Umiejętność prowadzenia rozmowy znaczy więcej niż umiejętność przemawiania publicznie, ponieważ nasze obcowanie z ludźmi w większości wypadków w formie rozmowy się odbywa, niemniej jednak i to ma wagę, by umieć publicznie mówić dobrze i posiadać tę pewność siebie, z której płynie naturalność i swoboda w publicznych wystąpieniach. Zalety te są bardzo potrzebne w republice. Milczeć na publicznem zgromadzeniu, gdy się widzi, że sprawa bierze zły obrót, to proste tchórzostwo. Człowiek mądry, ale zbyt nieśmiały, zbyt słabym głosem lub zbyt ułomną wymową obdarzony, by mógł swe mądre myśli udzielać drugim, ze społecznego punktu widzenia nie jest pożyteczniejszym, niż gdyby w tych samych warunkach był głupim. Wśród mnóstwa dowodów mądra myśl się znajdzie, jeżeli jednak—jak zaznaczono świeżo, tkwi ona w jednym lub dwóch, a ci nie mają odwagi mówić, wychodzi to na jedno, jakgdyby i oni byli demagogami. — Znamy wszyscy takich mówców, którym kolana drżą, pot płynie kroplami po twarzy a język się plącze, ile razy próbują przemówić choćby do grona kolegów; znamy — ale ich nie podziwiamy. Świadczy to o opłakanym nadmiarze samowiedzy, stanowi to mimo-

wolne wyznanie, że dany człowiek nie otrzymał żadnego gruntownego wychowania. Dobrze wychowany siedemnastoletni chłopiec musi umieć mówić, prywatnie czy publicznie, w sposób jasny i wytworny; tu jest lepsza niż kiedykolwiek sposobność do usunięcia ze świadomości tej drobnostki, jaką jest jego własne *ja*. Kto mieszka w szklanym domu, musi się powstrzymać od rzucania kamieni, a wszyscy mamy skłonność do wynajdywania mnóstwa okoliczności łagodzących dla tych niskich wahań, lęków, i wybiegów, z których płynie nasze milczenie. W istocie jednak winniśmy tępić i piętnować publicznie te błędy, jako objaw karygodnego egotyzmu. Jakiekolwiek pozatem posiadałby zalety, człowiek nieśmiały jest człowiekiem źle wychowanym, gdyż nie panuje nad sobą.

Kaligrafja w naszych szkołach wyższych, choć na ogół czytelna, nie zasługuje na to, by jej okazy przechowywać pod woskiem. Charakter pisma wszystkich uczniów nosi cechy fabrycznego szablonu, niewolnicze odbicie wzorów kaligraficznych używanych w danej szkole. Jej jednostajność jest nudna. Głównie jednak grzeszy tem, że słabość linij i ich cieniowanie dowodzi, iż nie są one tworem swobodnie poruszającej się ręki i przedramienia, lecz pilnego i uważnego naśladownictwa. Kto choć dziesięć minut poświęcił sprawie pisania, wie, że w racjonalnej kaligrafji jednostajność jest niedopuszczalna. Charakter pisma człowieka jest cechą równie charakterystyczną i organiczną, jak wszystkie inne jego ruchy. Zależy on od stosunku rozmiarów kości ręki i ramienia, od stanu mięśni i nerwów, wreszcie od rozwoju odpowiednich ośrodków mózgowych. Jedyny racjonalny typ pisma jest indywidualny, jedyną racjonalną nauką ta, która tę indywidualność uwzględnia i zachęca chłopca, by sam pracował nad dwudziestupięciu literami naszego alfabetu, dziesięciu znakami cyfrowemi naszego systemu dziesiętnego i nad rzymskiemi cyframi, póki nie zdobędzie wprawy i umiejętności pisania ich czytelnie i ładnie.

Niewątpliwie pewne wskazówki przydadzą mu się ze strony nauczycieli. Warto mu powiedzieć, że — o ile

się da—lepiej nie odrywać pióra od papieru przy pisaniu jednego wyrazu, aby oku dać wrażenie jednostki, oraz że miejsce zaoszczędzone należy użyć na odstępy między wyrazami. Tym sposobem zyskujemy jak największą czytelność pisma przy jak najmniejszej rozwlekłości. Oczywistą niedorzecznością jest rozpraszanie liter i sylab każdego wyrazu a potem takie zbliżenie wyrazów, że niewiadomo, gdzie się jeden zaczyna a drugi kończy. W wielu wydawnictwach nieczytelne rękopisy nie są wcale czytane, lecz odrazu rzucane do kosza. Zupełnie słusznie pozbywają się one korespondentów, którzy są tak niedbali i leniwi, że pismo ich budzi lęk i odrazę zamiast zadowolenia.

Mimochodem zauważę, że jest dobrym zwyczajem nie zaniedbywać kropek nad *i* i przekreślać każde *t*. Ponieważ pisanie, tak samo jak mowa — służy do wymiany myśli, trzeba tę wymianę uczynić gładką i unikać tarcia. Każda przeszkoda jest opłakana. Jeżeli chłopiec przejmie tylko te kardynalne zasady i utwierdzi się w nich, nietylko chętnie korzystać będzie z dalszych wskazówek lecz sam odkryje nowe prawidła. Całe nasze życie powszednie najeżone jest niedorzecznościami, zarówno w wielkich jak małych rzeczach, jednakże ludzie istotnie przeważnie chcą być rozsądni, trzeba tylko im uwagę zwrócić i pomóc odpowiednią zachętą. Staranny nauczyciel zaleci uczniom trzymać się wszystkich rozumnych prawideł przyjętych przy pisaniu, takich jak posługiwanie się białym papierem, bardzo czarnym atramentem, pozostawianie dużych marginesów na czterech brzegach każdej stronicy, by umożliwić wszelkie spinanie rękopismu, zachowanie należytych odstępów przy adresowaniu koperty oraz wypisywanie adresu tak pełnego i wyraźnego, by list mógł bez trudności trafić do miejsca przeznaczenia. Nie pominie również ogólnie ustalonych form nagłówka i zakończenia listu. Chłopiec, który, pisząc list do przyjaciela lub krewnego, zaczyna od słów: „drogi panie“, potrzebuje oczywiście właściwych wskazówek. To, co przelewamy na papier, stygnie — jak mówi przysłowie, słuszną zasadą jest pisać listy o tyle

serdeczne i przyjacielskie, o ile okoliczności nakazują. Mogą one poruszać serca, choć nie są ani zbyt poufałe, ani natarczywe. Wszystko to są drobnostki i kładąc na nie zbyt wielki nacisk można dojść do dziwactwa, lecz, traktując je jako drobnostki, można je cenić, gdyż ułatwiają stosunki ludzi z ludźmi.

Listy bywają rzeczą niebezpieczną, gdyż odsłaniają tak bezwzględnie nasze życie wewnętrzne. Ci, co umieją czytać między linjami i przywykli to czynić instynktownie, w każdej drobnej odmianie pisma lub stylu odkryją znacznie więcej, niż przypuszczał i niżby chciałby ich korespondent. W ciągu kilku lat korespondowałem ze znakomitym człowiekiem, którego talent i charakter podziwiałem. Jednakże życie jego toczy się na różnych poziomach, jedne z nich leżą w bardzo wzniosłej dziedzinie, inne niżej. Słowami nigdy o nich do mnie się nie wypowiadał, — listy jego były zawsze bardzo przyzwoite, — a jednak zawiadamiał mnie w sposób bardziej niezawodny. Niektóre listy jego niszczyłem, a gdy na moim kominku w popiół się obracały, zadawałem sobie pytanie: „Czy ja jestem księdzem, abym schodził do moralnych zakamarków konfesjonału?“ Gdy wielki człowiek umiera, nawet gdy umiera człowiek znany i głośny, ukazuje się tomik zatytułowany: „Życie i listy“. Po takiej publikacji, wszelkie pochwały i obrony są już daremne, gdyż istnieją dokumenty, niezbite świadectwa za lub przeciw.

Opuściłem grekę i łacinę w programie nauk naszego chłopca, gdyż nie zdaje mi się potrzebnem, by, mając lat siedmnaście, znał jedną lub drugą. Znam wszystkie argumenty, przemawiające za temi naukami i przeważnie zgadzam się na nie. Nauka łaciny i greki jest znakomitą dyscypliną, a władanie temi językami, zwłaszcza greckim, jest cenną umiejętnością. Niezaprzeczenie mądrość starożytnego świata i dziś jeszcze zasługuje na głęboki szacunek młodych pokoleń, a przekłady nigdy w pełni jej nie oddadzą. Oczywiście znajomość łaciny ułatwia bardzo naukę nowoczesnych języków, francuskiego, włoskiego, hiszpańskiego. Sądzę natomiast, że niesłuszne jest mnie-

manie, iż czytanie utworów klasycznych pomaga człowiekowi do wyrobienia stylu. Czasami tak bywa, a czasem i nie. Jeżeli nauka oraz mądra treść dzieł pomaga do rozjaśnienia myśli, to niewątpliwie oczyszcza również i styl. Ale czysto lingwistyczna erudycja nietylko nie wpływa na wyrobienie własnego stylu, lecz czyni go napuszonym i sztucznym. Już sama skłonność do naśladowania klasycznych wzorów budowy zdań, może się stać rażącą wadą.

Praktyczna korzyść ze znajomości języków klasycznych jest dziś znacznie mniejsza niż niegdyś była. Wszyscy autorowie klasyczni znaleźli biegłych tłumaczy i można ich poznać z przekładów; współcześni autorowie unikają wszelkich cudzoziemskich cytat; sentencje i napisy używane na herbach, pieczęciach, godłach i t. p., oraz w języku prawnym są tak powszechnie znane, że nie wymagają osobnej nauki. Uznając wszakże w pełni wielką wartość klasycznych studjów, jako dyscypliny, oraz ich znaczenie dla oświecenia umysłów, nie uważam, by one były odpowiednie dla chłopców między czternastym a siedemnastym rokiem życia, a to dla tej jedynie przyczyny, że inne nauki są pożyteczniejsze i bardziej nieodzowne.

Póki nasza młodzież amerykańska tak słabo włada swoim językiem ojczystym, wydawałoby mi się bardzo niewłaściwie dawać jej jeszcze bardziej ułamkową i wadliwą znajomość greki i łaciny. Może w kolegjum, gdy sami zapragną poznać jeden z tych języków lub oba, przyjdzie chwila odpowiednia i osiągną należytą korzyść z nauki, w tym okresie jednak ta nauka byłaby niewczesną, gdy bardziej naglące bezpośrednie potrzeby wciąż jeszcze nie są zaspokojone.

Poczytuję to nawet za zamach na zdrowy bieg nauczania szkolnego, gdy chłopcy i dziewczęta biorą tak liche lekcje greki i łaciny, jak się to powszechnie praktykuje, a uczą się tak niedbale i niechętnie.

Nauka języków starożytnych wymaga czasu; łacina czterech lat codziennej wytężonej pracy, greka co najmniej sześciu lat. Gdy nie mamy dość czasu na te stu-

dja, a sądzę, że istotnie czasu na to niema, lepiej jest uczyć się czego innego gruntownie.

Należy jednak do nauki angielskiego włączyć lekcje etymologji, a w szczególności naukę łacińskich i greckich źródłosłowów. Nie pochłania to zbyt wiele czasu a znakomicie pomaga do zrozumienia i starannego doboru wyrazów. Nasz angielski słownik rośnie gwałtownemi skokami. W ciągu jednego pokolenia przybywa po sto tysięcy do czterechset tysięcy wyrazów i wcale nie widać końca. Większość stanowią wyrażenia techniczne, nie wchodzące w skład literackiego języka. Jednakże bardzo wiele z pomiędzy nowych wyrazów przenika ze słowników do mowy potocznej, a współczesna młodzież winna znać ich pochodzenie i znaczenie, by umieć ich odpowiednio używać. Sądzę, że ćwiczenia etymologiczne były przed trzydziestu i czterdziestu laty znacznie więcej rozpowszechnione niż dziś, gdy ich znacznie więcej potrzeba. Doskonale sobie przypominam miły dreszczyk, jaki doznałem w chłopięcym wieku, gdy po raz pierwszy spotkałem się ze słowem „telepatja“ i zrozumiałem jego znaczenie. Myślę, że naukę obcych źródłosłowów moglibyśmy rozciągnąć i na inne języki prócz łaciny i greki i tym sposobem zbogacić ogromnie nasz słownik.

Gruntowna teoretyczna i praktyczna znajomość języka angielskiego wydaje mi się tak potrzebna, tak wielką wagę przywiązuję do tego, by siedemnastoletni chłopiec umiał ustnie i piśmiennie wyrażać swe myśli w jasnej i poprawnej formie, że nietylko umieściłem ją na naczelnem miejscu w spisie przedmiotów, lecz bez wahania przyznaję jej wartość równą pięciu następnym razem wziętym. Jeśliby nie można obok angielskiego uczyć tych innych, trzeba wybrać angielski, a decyduje o tem przyjęty przez nas sprawdzian aktualnej użyteczności.

System uczenia literatury i historji razem i traktowania ich obu jako systematycznej lektury raczej, niż jako wykładanego kursu, ma same dobre strony a żadnej ujemnej. Nasi angielscy przyjaciele wyśmiewają nasz narodowy zwyczaj „uczenia się“ literatury. „Literatura“, —

mówią oni ze swobodą elżbietańsk:ego wieku, — „nie jest rzeczą, której możnaby się uczyć. Literaturą można się karmić, rozkoszować, tonąć w niej. Ona krzepi serce i odświeża umysł. Czytać jak najwięcej, zastanawiać się, wnikać — lecz na miły Bóg — nie psuć sobie czytania, odsuwając się od utworu i studjując go. Toż to to samo, co analizować kwiaty w ślubnym wieńcu lub na trumnie zmarłego przyjaciela!“ Sądzę, że to całkiem słuszna uwaga. W ciągu pięciu miesięcy mojego życia szkolnego spamiętałem jedno świętokradztwo: polecono mi rozbierać zdanie z „Raju Utraconego“: „To mówiąc, chwyciła z boku fatalny klucz, nieszczęsne narzędzie całej naszej niedoli“. Minęło odtąd kilka lat, zanim zdołałem czytać „Raj Utracony“ z jakąkolwiek przyjemnością i zrozumieniem.

W wyborze książek do czytania z uczniami możemy niekiedy wywierać wpływ na ich upodobanie, ale rozum nakazuje czytać te, które ich rzeczywiście interesują, nie zaś te, które naszem zdaniem interesować ich powinny. Tu przypomina się słynna uwaga Miss Etchingham: „Ludzie bawią się tylko tem, co ich bawi“. Czyż może być gorsza strata czasu, jak czytać na głos chłopcom, którzy wcale nie słuchają. Wiem coś o tem, gdyż sam tak robiłem. Znacznie lepiej czytać im Verne'a lub Sherlocka Holmesa, jeśli to im się podoba, niż najpiękniejsze rzeczy z Emersona, Malthew Arnolda lub Waltera Patera. Wytrawny nauczyciel umie jednak rozbudzić pożądane zainteresowanie w uczniach, a potem je zaspokoić. To wiele lepsza metoda postępowania, niż odwoływać się do upodobań, których chłopcy jeszcze nie mają i mieć nie mogą.

Traktując historję jako literaturę i łącząc historję danej epoki i danego narodu z jego literaturą, możemy wzbudzić szczery zapał w młodych, wrażliwych i ciekawych umysłach uczniów. Jeśli naprzykład pierwszy rok nauki w szkole wyższej poświęcimy historji i literaturze Grecji i Rzymu, drugi historji i literaturze Europy w średnich wiekach, trzeci historji i literaturze współczesnej Europy i Ameryki, chłopcy wnikną w ducha narodu i epoki,

którą studjują, staną się na ten czas Grekami i Rzymianami, średniowiecznymi rycerzami i krzyżowcami, współczesnymi mężami stanu i przywódcami. Miałem ucznia, bardzo żywego chłopca, jeszcze w krótkich spodeńkach, który aż czerwienił się z zachwytu, czytając jakiś dramat grecki w angielskim przekładzie Andrzeja Lang. Trudno pojąć, skąd wzięło się mniemanie, że pożądaną może być rzeczą, by chłopcy *studjowali* literaturę i *uczyli się* historji. Taka drobiazgowa nauka nie ma żadnej wagi i żadnego żywotnego interesu nie przedstawia w życiu prawdziwego chłopca. Literatura i historja mają wartość istotną tylko przez to, że przemawiają do ducha. Ich rolą jest zapalać umysł chłopca, rozszerzać ramy jego ciasnego światka, wprowadzając weń tchnienie wielkich wydarzeń, porywać go szerokim prądem spraw wielkich, nieosobistych, uniwersalnych. Chłopca winny literatura i historja — każda na swój sposób — unosić nad poziomy. Jego twarz powinna płonąć, jego puls bić przyspieszonem tętnem. W nich czerpać on ma podnietę do wysiłków heroicznych. Olśniewać go powinien blask wielkich myśli i wielkich czynów ludzkich. Trudno wprost uwierzyć, jak mogliśmy dojść do tego, by dawać chłopcu znajomość literatury i historji na zimno; musimy go pozostawiać zimnym, gdy te przedmioty—tak dynamiczne w swej istocie – przedstawiamy mu w postaci nudnego werbalizmu, analizy wyrazów i faktów pamięciowych.

Mojem zdaniem osobliwą niedorzecznością jest żądanie, by naprzykład chłopiec spamiętał błyskawiczny potok wypadków składających się na karjerę Napoleona pierwszego. Prawda, że Korsykanin zajmuje wybitne miejsce w dziejach — lecz w jakich dziejach? Nie w dziejach ducha, lecz w dziejach zewnętrznego i przemijającego przewrotu i anarchji. Zmienił oblicze Europy, lecz tylko na przelotną chwilę. Epoka współczesna coraz bardziej skłania się do orzeczenia, że był on genjalnym kryminalistą, człowiekiem doraźnego i potężnego czynu, lecz w istocie niskich, niegodnych pobudek. Tradycja napoleońska coraz bardziej schodzi do znaczenia powieści o przygodach jed-

nej osoby. Historja Napoleona może żywo zainteresować niejednego chłopca i nie zaszkodzi przeczytanie jej byle dojść aż do świętej Heleny i europejskiej reakcji. Byłoby jednak obrazą inteligencji i moralności, gdybyśmy chłopcu kazali uczyć się tej historji we wszystkich jej zbrodniczych szczegółach i kazali mu widzieć w Napoleonie wielkiego człowieka i bohatera. Jeśli chce się dowiedzieć, jak zapatruje się na Napoleona rozumny Francuz współczesny, niechaj przeczyta w książce Anatola France, „L'île des Pinguins", rozdział pod tytułem „Trinco".

Co do naszej wojny domowej, dobrze byłoby, gdyby chłopiec przeczytał pobieżny wyciąg jej przyczyn, przebiegu i ostatecznych wyników, byłoby jednak bardzo niepożądane, gdyby miał poznać bitwy, studjować pola bitew i wogóle zajmować się bratobójczemi, ponuremi szczegółami zatargu, który dziś w oczach najlepszych ludzi z Południa i Północy uchodzi za potworny błąd i katastrofę.

Kazać chłopcu zapamiętać złe czyny, wydaje mi się szczytem niedorzeczności, gdyż jest nietylko trwonieniem czasu potrzebnego na rzeczy dobre i pożyteczne, lecz zapełnia jego duszę obrazami i namiętnościami bardzo niepożądanego charakteru. Co do mnie, to nie znam bitew naszej Wojny Domowej, a gdybym miał nieszczęście je znać, to czyniłbym wszystko, co w mej mocy, by o nich zapomnieć. Zasada bezpośredniości potępia nieodwołalnie szczegółowe studjowanie dziejów jakiegoś okresu, w jego bohaterstwach, czy też błędach. Być wykształconym, to nie znaczy szukać nowego oświetlenia dla minionych martwych faktów, lecz nowego oświetlenia faktów bieżących, wciąż żywych, których zawsze potrzeba. Badania naukowe posiadają tę doraźną bezpośredniość. Każdy uczony zna w ogólnych zarysach dzieje rozwoju myśli naukowej, ale wyniki tego rozwoju daje swym uczniom w formie skondensowanej. Uważalibyśmy zapewne, że niegodnym swej katedry jest ten uczony, któryby trwonił czas swych słuchaczy na dokładne i szczegółowe podawanie im przebiegu sporów i kłótni między Platonistami a Neptunistami, zwolennikami Darwina a Kreacjonistami.

Lekką wzmianką zbywając tę stronę kwestji, zatrzymując się tylko nad tem, co ma znaczenie trwałe, poświęcim cały czas swój i talent na wyjaśnienie wiecznej Teraźniejszości. O całej jałowości szczegółowych historycznych dociekań nie mogę nic powiedzieć. Jeśli człowiek woli iść przez życie, twarzą wstecz odwrócony, z oczami wlepionemi w przeszłość, to jest to oczywiście jego sprawa osobista; ale żądać, by ruchliwe chłopaki od czternastu do siedemnastu lat odwracali wzrok od pulsującej teraźniejszości a oglądali się wstecz poza siebie, nie dla oglądania rzeczy wyjątkowo cennych i wiekopomnych, czynić to w imię wychowania—wydaje mi się rzeczą nietylko niesłuszną, lecz wręcz karygodną.

Literaturę i historję umieściłem na drugiem miejscu w moim programie nauk szkoły wyższej, nawet przed matematyką i przyrodoznawstwem, gdyż dotyczą one ducha ludzkiego a wychowanie jest kształceniem i doskonaleniem ducha. Myślę jednak, że wyjaśniłem dostatecznie, iż nie chodzi mi o *studjowanie* literatury i historji, lecz wyłącznie o swobodne czytanie pięknych i cennych utworów piśmiennictwa, oraz tych rozdziałów historji, które mają szczególną doniosłość i wartość. Wyczerpująca historja literatury jest niemal równie nudna, jak szczegółowe dzieje dynastji. Jeżeli dany pisarz nie miał nic osobliwego do napisania a pisał nieszczególnie, dajmy mu pokój. Jeżeli król i parlament rządzili źle, a narodowi zbywało na duchu i odwadze, zapomnijmy o nich. Wszelkiemi środkami zmierzajmy do tego, by unieśmiertelnić w naszej pamięci, w pomnikach i zabytkach to, co doskonałe, wiekopomne, co było zwycięstwem ludzkości, lecz poco uwieczniać rzeczy niegodne, trywialne, brutalne? Jeśli stracimy zdolność odróżniania, stracimy wszystko— mówi Gita.

Gdy zastanowimy się nad tem, że przeciętny amerykański chłopiec nie trzyma głowy prosto i nie patrzy w oczy, mówiąc do kogoś, że nie włada dobrą, jasną, dźwięczną mową ojczystą, że nie umie napisać przyzwoitego listu, że ma tak mało pojęcia o higjenie osobistej,

iż nie kąpie się codzień, nie myje ust, że trzyma się fatalnie a chodzi niezdarnie, — niedorzecznością najwyższą wydaje mi się kazać mu trwonić czas na wbijanie w pamięć społecznych, politycznych i wojskowych błędów przeszłości, zamiast naprawiać obecny swój sposób życia.

Zdrowy siedemnastoletni chłopak powinien mieć ogólne pojęcie o przebiegu ewolucji powszechnej we wszystkich sprawach ludzkich, nie potrzebuje jednak bynajmniej krążyć wśród bitew, morderstw, nagłych śmierci, przebiegać długą kolej bezwartościowych powieści o intrygach, plotkach, wiarołomstwach. To ogólne pojęcie może sobie utworzyć na podstawie dzieł literackich, które przetrwały i historji traktowanej jako literatura, z uwzględnieniem tego, co ważne i znamienne, z pominięciem tego, co trywjalne i gorszące.

Od Assurbanipala do obecnego prezydenta Stanów Zjednoczonych odległość czasu ogromna, lecz wszystko, co w ciągu tego czasu się zdarzyło, traktowane jako literatura, zredukowane do faktów ważnych i kształcących, może być zakomunikowane chłopcom w ciągu trzech lat, a jeszcze pozostanie im dużo czasu na inne przedmioty programu szkolnego oraz na przyswojenie sobie umiejętności najpotrzebniejszych w rozsądnym codziennym trybie życia.

Z praktycznych względów lepiej jest połączyć geografję z nauką literatury i historji, niż czynić z niej osobny przedmiot nauczania. Może to być zarówno fizyczna, jak polityczna geografja, i można ją traktować jako tło dramatu dziejowego, widownię, na której on się rozgrywał. By znaleźć odpowiednią tonację dla takiej zharmonizowanej nauki, trzeba się oczywiście posiłkować wszystkiemi środkami ekspresji, malarstwem, rzeźbą, architekturą, muzyką, zarówno jak literaturą. Aż do narodzin naszej epoki wiedzy i wynalazków, te środki ekspresji, tak zwane sztuki piękne, będą dawać wskazówki, jaki nacisk kłaść należy i ile czasu poświęcić dziejom danego narodu oraz jak szeroko w przestrzeni rozciągał się jego wpływ. Rozwój tych sztuk w związku ze społecznemi i politycznemi in-

stytucjami, jakie dany naród wyłonił, stanowią miarę wartości i głębokości jego myśli, uczuć i czynów. Jeżeli tylko obciążał i zawalał miejsce na ziemi, nie warto się tem zajmować, jak długo to czynił i ile miejsca zabierał,—jego historję i geografję można śmiało pominąć.

Z tego punktu widzenia rzecz oceniając, uznamy, że 29 lat wieku Peryklesa znaczą więcej, niż wiele długich lecz bezpłodnych okresów w dziejach Grecji przed nim i po nim. I tu jednak samo pamięciowe przyswajanie faktów nie ma wartości. Był to moment rozkwitu ducha ludzkiego i nie możemy go ocenić należycie inaczej, jak rozkoszując się nim i błogosławiąc go. W obrazkach i odlewach gipsowych postarajmy się odtworzyć jego architekturę i rzeźbę, w przekładach dajmy poznać jego literaturę. W najlepszych historycznych opracowaniach owej epoki zaznajomić się trzeba z jego społecznemi i politycznemi instytucjami. Potem zaś, gdy już uczniowie zostaną olśnieni blaskiem tego okresu, postawmy pytanie, co doprowadziło do takiego wezbrania ducha, oraz drugie — żałosne pytanie — co sprawiło, że to światło zagasło.

Przez takie rozkoszowanie się twórczością minionych wieków, a potem stawianie pytań i badanie, historja, literatura, geografja i sztuki piękne mogą bogacić i krzepić ducha naszych uczniów, stać się pierwszorzędnym środkiem wykształcenia. Wielką osiąga się korzyść przez koordynowanie takich studjów, gdyż to pozwala chłopcom przeżywać w duszy epokę, o której mowa, a chroni ich od rozproszenia myśli i zamętu, wynikającego nieuchronnie stąd, gdy w historji zajmują się innym krajem, inną epoką i narodem, w geografji innym i jeszcze innym w literaturze. Przyglądałem się małym dzieciom, idącym do szkoły, i rachowałem, ile każde z nich niesie książek. Często niosą ich tyle, ile mają lat. Wtedy, nie zaglądając nawet do ich klasy wiedziałem, że idą do lichej szkoły, która, zamiast kształcić i oświecać ich umysł, zamęt do niego wnosi. Niema nauki równie ważnej dla nas, jak nauka mowy ojczystej; niema nauki równie cennej dla

rozwoju ducha ludzkiego, jak ta druga grupa przedmiotów historyczno-literackich, a oto pierwszej uczymy źle, a drugą kierujemy na błędne tory.

Matematykę poczytywali zawsze wychowawcy jako znakomite ćwiczenie umysłu, a ludzie praktyczni jako najcenniejsze narzędzie. W szkołach wszelkiego czasu, poczynając od Talesa aż do obecnej chwili, zajmowała ona honorowe miejsce. Nie sądzę, by ktokolwiek chciał jej przeczyć prawa do tego niezmiennego pierwszeństwa, ani też, by wielu ludzi umiało je uzasadnić. Moje własne doświadczenie co do nauki matematyki zaliczyć mogę wręcz do typowych. W ciągu dwóch lat uczęszczania do szkoły uczono mnie bardzo starannie lecz bardzo nieinteligentnie arytmetyki, algebry i geometrji. Z całej duszy nienawidziłem ten przedmiot a gdy przyszło do geometrji, jako mały chłopiec, zalewałem się złami. W kolegjum system nauczania był znacznie lepszy, doszedłem nawet do tego, że otrzymałem nagrodę za matematykę; zawsze jeszcze w duszy mej nie było najmniejszego zainteresowania. Otrzymanie nagrody przyszło mi kosztem wysiłku umysłowego, było jakąś łamaną sztuką, do której próżność była mi podnietą, nie miłość wiedzy. Dopiero po wyjściu z kolegjum zabrałem się sam do nauki matematyki i dostrzegłem cudowne piękno tego subtelnego, nietykalnego świata liczb i wielkości. Przemawia ona raczej do poczucia logiki, do umysłu, który rozkoszuje się ćwiczeniem swej siły i przebywaniem w świecie prawd niezbitych w przeciwieństwie do chwiejnych i niepewnych spekulacyj. Sądzę wszelako, że przy umiejętnem prowadzeniu nauki te umysłowe podniety mogą być bardzo kształcącym czynnikiem w głębszem, duchowem znaczeniu.

Arytmetyka nie pociąga umysłu chłopca. Zwykle tylko podnieca jego chciwość, kojarząc się z wyobrażeniem kupna i sprzedaży, interesów i procentów oraz innych równie nieużytecznych spraw. To prawda, że arytmetyka—jako nauka—jest bardzo trudna. Gdy chłopiec zdobędzie już pewną biegłość w początkowych działaniach: dodawaniu, odejmowaniu, dzieleniu, mnożeniu, ułamkach zwyczaj-

nych i dziesiętnych, — a tę zdobywa zwykle przez doświadczenie praktyczne przed czternastym rokiem życia— dobrze będzie pominąć wyższą arytmetykę i przejść do bardziej konkretnych zadań algebry i geometrji. Jednakże obecne podziały matematyki i kolejny porządek, w jakim one są uczniom podawane, mniej mają znaczenia, niż to, w jakim duchu udzielana jest nauka i w jaki sposób z pierwotnej niechęci dochodzi się do rozbudzenia zamiłowania. Sądzę, że lepszy system nauczania zerwie z wszelkiemi etykietami i podziałkami, a będzie usiłował z religijną gorliwością zaszczepiać uczniom umiejętność matematycznego myślenia i wynik matematycznych dociekań, jako pożyteczne czynniki kształtowania własnych nawyknień myślowych. Stąd też—mojem zdaniem—zwykli nasi nauczyciele elementarni, w szczególności zaś kobiety, z których niejedna ze łzami wyznaje, jak nienawidzi matematyki, nie powinni być dopuszczani do nauczania tego przedmiotu, nietylko bowiem trwonią czas uczniów lecz tamują im na przyszłość drogę do zdobycia rzetelnej wiedzy matematycznej. Albo będzie uczyć matematyki człowiek posiadający umiejętność matematycznego myślenia albo lepiej dać pokój i wcale tego przedmiotu nie uczyć.

Nasza kardynalna zasada bezpośredniości odrzuca zgóry argument, że — dobrze czy źle prowadzona—nauka trzech działów niższej matematyki musi być udzielana w każdym razie, gdyż jest ona wymagana przy egzaminie do kolegjum i poczytywana jako niezbędna dla przyszłych urzędników i zawodowców. W istocie jednak chwila obecna rozstrzyga. Należy ją wyzyskać jak najlepiej bez względu na wszystko inne teraźniejsze czy przyszłe. Mistycy mają zupełną słuszność, mówiąc, że tylko w chwili teraźniejszej człowiek obcuje z Bogiem. W tym duchu uczyć winniśmy matematyki i wszystkiego innego. W praktyce będzie to znaczyło, że należy uczyć matematyki, jako obecnego systemu myślenia, jako nowego, ściślejszego i pożyteczniejszego sposobu patrzenia na rzeczy. To też nie powinna być traktowana jako zadanie obowiązujące, lecz jako cenny przywilej.

Podstawowem pojęciem we wszelkiej matematyce jest wielkość. Stanowisko chłopca wobec matematyki jest wtedy racjonalne, gdy ma jasne pojęcie wielkości, a nie przywiązuje do niego błędnego wyobrażenia niezmienności. W przyrodzie wielkość jest zmienna z natury rzeczy. Przez proces wzrostu lub kurczenia zmienia swe rozmiary, że zaś ten proces toczy się nieprzerwanie, każda dana wielkość jest zawsze tylko chwilowa.

Główny zarzut, jaki stawiam nauce matematyki elementarnej, udzielanej przez przeciętnych nauczycieli, jest, że pod mianem arytmetyki szczepią w umysłach chłopców dwa całkiem błędne wyobrażenia, które wkońcu wprowadzą zamęt w ich rozumowanie. Pierwszem jest wyobrażenie, że matematyka przedewszystkiem zajmuje się liczbą, gdy w istocie liczba jest najmniej ważnym elementem matematyki, jest prostym współczynnikiem, czyli mnożnikiem, a jest wielką i małą zależnie od jednostki, jaką się posługuje. Tak często przytaczane twierdzenie, że „dwa a dwa to cztery", nie jest bynajmniej takim truizmem, za jaki uchodzi napozór. W istocie nie jest ono ani prawdziwe, ani nieprawdziwe, póki nie jest wyjaśnione. Jeżeli mówimy, że dwie jednostki danego gatunku dodane do dwóch jednostek tegoż gatunku, wyniosą cztery jednostki tego gatunku, to jest to oczywistą prawdą, lecz prawda tkwi w tej identyczności, nie w jakiemś abstrakcyjnem i nieuchronnem prawie samych liczb. To pominięcie zasadniczego pierwiastka sprawia, że arytmetyka jest bardzo trudną dla chłopca myślącego jasno i logicznie, a utwierdza w szkodliwych nałogach chłopca, przywykłego pracować bezmyślnie. Drugiem błędnem wyobrażeniem jest to, że wielkości mają wartość stałą, gdy, jak już powyżej zaznaczyłem, są z natury rzeczy zmienne, a stałe są tylko w danych, ściśle określonych warunkach. Później, gdy chłopiec dojdzie do wyższych działów matematyki, przekona się, że liczby grają w niej rolę bardzo nieznaczną, oraz, że wielkości, z któremi ma do czynienia, są zmienne. Ponieważ to jest w matematyce pojęcie zasadnicze, jasną jest rzeczą, że od niego winno się rozpoczynać

naukę i nigdy go nie naruszać. Nierozsądnem i nienaukowem postępowaniem jest wychodzić w nauczaniu z fałszywego założenia, licząc na to, że los sam lub jakiś późniejszy, zdolniejszy nauczyciel sprostuje pierwotny błąd.

W ciągu trzech lat zdolny i pilny chłopiec może sobie przyswoić te wiadomości, które się zawierają w arytmetyce, początkowej algebrze i planimetrji. Właściwie sądzę, że, nie poświęcając zbyt wiele czasu matematyce, mógłby jeszcze przejść z geometrji stereometrję i trygonometrję. Nie o to jednak chodzi, jak obszerny kurs uczeń przejdzie, lecz jak głęboko myśl jego wniknie w subtelny świat wielkości, o ile zbogaci się ona i rozszerzy swój horyzont. Cała wartość nauki na tem polega, by chłopiec stawał się człowiekiem, by myśl jego, zyskując szerszy i swobodniejszy lot, uczyniła jego życie szerszem i swobodniejszem. Tymczasem, póki podatnikom nie naprzykrzy się płacić podatek szkolny w przekonaniu, że ich pieniądze idą na nieprodukcyjne fantazje, pozwolę sobie zauważyć, że gdyby szkoła wyższa umiała istotnie rozwinąć w chłopcu zdolność matematycznego myślenia, nie danoby mu iść do uniwersytetu, gdyż świat przemysłowy i finansowy równie chciwie pożądałby jego usług i licytował je, jak obecnie uniwersytety licytują zręcznych graczy piłki nożnej. Mojem zdaniem matematyka może zajmować bardzo wysokie miejsce w programie nauki chłopców od czternastu do siedemnastu lat, wyższe niż przyroda lub jakikolwiek obcy język, starożytny czy nowożytny; jeśli bowiem usuniemy z naszego rozumowania czynnik wielkości, bardzo obniżamy jego wartość, czynimy je znacznie mniej ścisłem i określonem i zgóry już skazujemy ucznia na to, że w kołach ludzi myślących zawsze drugorzędne miejsce mu przypadnie. Nigdy już umysł jego nie będzie się mógł stać istotnie naukowym. Nauka tem się różni od prostego zdrowego rozsądku, że jest ilościowa. Współczesny uczony jest przedewszystkiem matematykiem. Jego praca polega na mierzeniu. Ile zawdzięcza temu najdoskonalszemu narzędziu badań, dowiadujemy się ze słynnego wyznania: „Tyle tylko mamy wiedzy, ile matematyki“.

Obmyślając program nauk przyrodniczych dla szkoły wyższej, kierowałem się myślą, że systematyczna nauka o życiu zwierzęcem i roślinnem będzie bardzo zajmująca i pożyteczna dla chłopca, który prawdopodobnie spędza dużo czasu na świeżem powietrzu i z bezpośredniej obserwacji poznał już świat roślinny i zwierzęcy. Myślałem również, że nauka ta pomoże chłopcu do zrozumienia jego własnego życia, do wyrobienia sobie szerszego, mniej osobistego poglądu na pięć faz życia: narodzin, karmienia, wzrostu, reprodukcji i śmierci. Ja osobiście kształciłem się zawodowo w geologji i technice górniczej i nigdy nie przestanę cenić dobrodziejstwa zainteresowań intelektualnych, jakie we mnie te studja obudziły. Nie robię sobie jednak złudzeń na punkcie nauki przyrody. Może ona być niesłychanie nudna, i to bywa często, ale może również być źródłem rozkoszy i istotnego oświecenia umysłu. Nudną jest wtedy, gdy jest drobiazgową i mikroskopijną. Pożyteczną staje się wtedy, gdy jest w miarę powierzchowną i gdy zajmuje się organizmami dość wielkiemi, by uczniowie i uczenice mogły je widzieć gołem okiem. Pole jest bardzo rozległe. W niektórych miejscowościach nauka o skałach i minerałach może być ciekawsza i pożyteczniejsza, niż o roślinach i zwierzętach. W pewnych porach roku i w pewnych warunkach wskazana jest raczej nauka fizyki w zamkniętych lokalach szkolnych. Nie jest tak ważną rzeczą wybór przedmiotu nauki, ile wybór metody, nawyknień umysłowych, jakie ma uczniom wdrażać. Jeżeli doprowadzimy do tego, że uczniowie nauczą się inteligentnie myśleć o otoczeniu, obserwować dokładnie, wiernie trzymać się zasady przyczyny i skutku, wtedy mamy dowód, że początkowa nauka spełniła swe zadanie.

W trzecim roku szkolnego kursu nauka higjeny osobistej służy oczywiście celom praktycznym i specjalnym, jeżeli chłopiec otrzymał zdrowe wychowanie, nauczono go już starannie utrzymywać ciało, chronić swe siły i używać ich w należyty sposób. Teraz chodzi już o ściślej określone i bardziej osobiste wskazówki. Aż do tego czasu cały wysiłek skierowany był na to, by za-

szczepić zdrowe nawyknienia w jedzeniu, spaniu, ubraniu, do używania kąpieli, ruchu i świeżego powietrza—słowem, umiłowanie czystości we wszystkiem. W szesnastu latach już te nawyknienia powinny być głęboko zakorzenione, a jeśli jest istotnie dobrze wychowany, ten nasz chudy, krzepki, piękny chłopak — to przedewszystkiem jest wzorem czystości — czystości fizycznej i duchowej zarazem. Powinien umieć cenić zdrowie. Teraz nauczyć go trzeba od czego ono zależy. Sądzę, że przedwczesne byłoby wtajemniczanie go w zawiłości anatomji i fizjologji, to bowiem musi się oprzeć na obszerniejszej znajomości fizyki i chemji, ale chłopiec w tym wieku może już pojąć rozumowe uzasadnienie tych prawideł, których kazano mu przestrzegać, może przeto zrozumieć, w czem tkwi tajemnica siły. Ponieważ ta nauka winna być i naukowa i praktyczna zarazem, dobrze jest — mojem zdaniem — przejść całodzienny tryb życia chłopca od chwili, gdy wstaje, kolejno aż do położenia się spać, pytać o przyczyny każdej czynności, roztrząsać słuszność lub niesłuszność odmiennego trybu postępowania, cierpliwie i zajmująco prowadząc rozmowę o najrozmaitszych sposobach urządzania swego codziennego życia. Higjena osobista winna doprowadzić do tego, by uczeń umiał sobie życie urządzić zgodnie z wyższemi zasadami, by w tych powszednich swych czynnościach wprowadził ten sam indywidualny ład, który w literaturze nazywamy stylem. Między życiem bezładnem a harmonijnie ukształtowanem jest taka sama różnica, jak między niechlujnem pisaniem a dobrym stylem literackim. Dobrze wychowany siedemnastoletni chłopiec powinien się wstydzić chorować, źle się prowadzić, spuszczać oczy i wykręcać się, płakać i przepraszać, być lekkomyślnym i nieostrożnym, niepryjemnym i szorstkim w domu, słowem, w jakiem kolwiek miejscu i w jakiejkolwiek okoliczności zachować się gorzej niż należy. Powinien się okazywać rzetelnie, dobrze wychowany pod względem obyczajów, ułożenia i własnej osoby. Do osobistej higjeny zaliczam nietylko to, co bezpośrednio dotyczy zdrowia, lecz i to wszystko,

co stanowi etykę i estetykę codziennego życia. Jak najbezwzględniej potępić i wykorzenić należy mniemanie, że można w jednej dziedzinie życia postępować wzorowo i zachowywać się poprawnie a w innej pozwalać sobie na niechlujstwo i zaniedbanie, że można życie łatać z nierównych kawałków, gdy, przeciwnie, winno ono być całe z jednej bryły, a dobre wychowanie — jak dobry styl — nie jest zewnętrzną szatą, w którą można się ubierać od święta, lecz drugą naturą ciała, umysłu i ducha, nabytą przez długie lata ciągłego ćwiczenia woli, zatracającą się, gdy ta ciągłość się przerywa, gdy sprzeniewierzamy się dobrym przyzwyczajeniom.

Co do mnie, to wyżej stawiam tych dobrze wychowanych młodzieńców, silnych i urodziwych, dobrze się prowadzących, wyrażających się jasno a wytwornie, zawsze dobrze ułożonych i pociągających, niż typowych wychowanków naszych szkół wyższych, a jestem przekonany, że szeroki, rozsądny ogół podziela moje zdanie. Fakt, że nasze wyższe szkoły nie wydają takich typów dobrze wychowanej młodzieży, przypisuję temu, że zgodnie z tradycją mają one na uwadze wyłącznie wymagania stawiane przy wstępie do kolegjum, nie zaś ten bezpośredni wynik, o który nam tak bardzo chodzi, a z którym tak rzadko się spotykamy: wzorowy typ siedmnastoletniego młodzieńca.

Niema innego sposobu sformułowania zdrowego programu wychowania, jak wyprowadzić go wstecz od zamierzonego celu, do istotnie skutecznych przyczyn. Wychowanie we właściwem znaczeniu może być tylko racjonalnym procesem, a nie rodzajem fetysza narodowego, musi być działaniem praktycznem dla osiągnięcia społecznego celu. Jeżeli tym społecznym celem jest bogactwo ludzkie, świat współczesny złożony z pięknych, dobrych i uzdolnionych istot, to proces wychowania musi być pokierowany w ten sposób, by to współczesne bogactwo ludzkie produkował.

Na rzecz nauki języka francuskiego i początków niemieckiego nie można przytoczyć argumentów równie przekonywających, jak dla uzasadnienia nauki mowy ojczystej,

literatury, historji, matematyki, przyrody, nigdy zaś nie możnaby usprawiedliwiać zdobywania umiejętności obcych języków kosztem zaniedbania ważniejszych przedmiotów nauki. W każdym razie sądzę, że mając uczniów dzielnych i żywych, odpowiednio chronionych od oddawania się rozrywkom, wypełniającym dzisiaj życie naszych szkół wyższych a tak osłabiającym ich naukowe wyniki, można w ciągu trzech lat nauki znaleźć w sam raz dość czasu na wyczerpanie proponowanego przeze mnie programu. Jeżeli nie można uczyć i niemieckiego i francuskiego języka, radziłbym wybrać francuski. Jego bezpośrednia użyteczność jest większa, a wspaniała jasność wyrażeń skłoni uczniów do pielęgnowania tej zalety i w mowie ojczystej, wzbudzi w nich nawet odrazę do mętności i zawiłości wysłowienia. Nawet jaka taka znajomość francuskiego języka i literatury już odbija się dodatnio na sposobie wyrażania się, nadając i angielskiej mowie większą jasność i giętkość. Zdarzyło mi się już kiedyś zwrócić uwagę na fakt, że większość angielskich mistrzów prozy zawdzięczała swój świetny styl wpływom literatury francuskiej oraz, że ja sam zawdzięczam tymże wpływom pewne techniczne wyrobienie pisarskie. Za młodych lat byłem współpracownikiem pism naukowych i było mojem zadaniem tłumaczyć w popularnej angielszczyznie pewne skomplikowane naukowe wiadomości. Kto nigdy nie podejmował się tej czynności, nie ma wyobrażenia, ile ona trudności nastręcza. Po wielu wysiłkach doszedłem do wniosku, że najlepiej się przygotuję do mego zadania, sięgając do jakiej dobrej książki francuskiej, choćby nawet w poprawnym przekładzie z francuskiego, i wykąpię umysł w atmosferze prostych, jasnych wyrażeń, pobudzających wzrokowych obrazów i ściśle określonych wyobrażeń. Niemiecki język nieraz sprawia takie wrażenie, jakgdyby nas niepotrzebnie otaczano jakąś drażniącą mgłą. W francuskim ciągle świeci światło słoneczne, mamy piękną pogodę i kryształowo przezroczyste powietrze. Odetchnąwszy taką atmosferą, wracałem do mej pracy zawsze z nowemi siłami i doskonale usposobiony.

Znajomość języka francuskiego jest bardzo pożytecznym nabytkiem dla chłopca, który ma być w przyszłości kosmopolitą w najlepszem znaczeniu, podróżować i czytać, ale już sama praca nad językiem francuskim ma tę wielką wartość, że nauczy go lepiej opanować mowę ojczystą. Mam tu oczywiście na myśli gruntowną znajomość gramatyki, taką, jaką się zdobywa tylko przez usilną, natężoną pracę i ćwiczenie. Nie można się obejść bez tej nauki, jeśli się chce przyswoić sobie francuski tok myśli i wysłowienia, jego wspaniałą giętkość, bezpośredniość i jasność. Język francuski nie jest trudny; jego słownik jest bardzo ograniczony w porównaniu z naszym, jego formy gramatyczne, włączając w to już nawet trudny tryb łączący, nie nastręczają trudności, którymby nie mógł podołać siedemnastoletni chłopiec. Najlepiejby go uczył Amerykanin, który dużo przebywał we Francji lub francuskiej Szwajcarji, ale musi mieć dobrą wymowę, inaczej będzie lichym kierownikiem, a jego uczeń nigdy nie nauczy się dobrze mówić po francusku. Może się jednak zdarzyć, że człowiek, który sam ma jak najlepszy akcent, nie nauczy go drugich, skutkiem tego, że albo niedosłyszy albo nieuważnie słucha. Gotów jestem twierdzić, że nauczyciel obcego języka musi być muzykalny, mieć ucho wrażliwe nietylko na dźwięk własnego głosu, lecz również głosu swych uczniów. Ukończywszy wyższą szkołę, chłopiec, którego w równej mierze chroniono od nadmiaru rozrywek i przeciążenia nauką, powinien tak biegle władać językiem francuskim jak angielskim, mówić równie płynnie i poprawnie, pisać z łatwością szybko i bez zarzutu. Coprawda, nie wielu ludzi z wyższem uniwersyteckiem wykształceniem odpowiada tym wymaganiom praktycznym, lecz nie wychowywano ich tak mądrze jak naszego siedemnastoletniego chłopca, nie są takiemi indywidualnościami jak my, a ich życie umysłowe było rozproszone. Gdy zwiedzałem pod Paryżem w Liancourt szkołę „de l'Ile de France", siedziałem przy śniadaniu z jednym z jej kierowników, a obok nas jakich może ośmiu chłopców żywych i sympatycznych. Wszyscy mó-

wili tak doskonałym rdzennym angielskim językiem, że wziąłem ich za Anglików. Rozmawiali bez przerwy, o swoich grach, o planach na popołudnie, o nauce, a przytem żaden z nich nie zawahał się w użyciu wyrazu, nie szukał i nie dobierał zwrotów. Gdy wyraziłem zdziwienie, że tyle młodzieży angielskiej kształci się w tej szkole, nauczyciel objaśnił mnie, że to są sami Francuzi, niema między nimi ani jednego Anglika. Myślę, że, zwiedzając nasze amerykańskie szkoły, żaden Francuz nie popełni podobnej omyłki. Gdy Piotr Loti był gościem królowej rumuńskiej, Carmen Sylva czytała mu ona nagłos jedną ze swych książek. Dopiero po pewnym czasie, gdy królowa przerwała czytanie i zwróciła się do jednej z dam dworskich z zapytaniem o jakieś słowo, spostrzegł się Loti, że książka pisana była po niemiecku, a królowa tłumaczyła ją, czytając.

Choć francuski język zalecam przed niemieckim dla uczniów wyższej szkoły, nie znaczy to bynajmniej, bym nie odczuwał muzyki dobrej wymowy niemieckiej i nie uznawał poważnej wartości niemieckiego piśmiennictwa; sądzę jednak, że chłopcy w tym wieku nie są zdolni łamać się z zawiłościami niemieckiej myśli i sposobów jej wyrażenia. Obawiam się, że mogą się zagubić w mgle. Zwłaszcza język uczony i literacki wydaje mi się zbyt trudny dla chłopców niżej lat ośmnastu. Lepiej tę naukę odłożyć aż do kolegjum, a jeśli uczeń chce się zabrać do niemieckiego już w szkole wyższej, niechże to będzie niemczyzna elementarna i dopiero w trzecim roku szkolnym. Jeżeli przez jeden rok wytrwale i gruntownie uczyć się będzie, chłopiec może zdobyć doskonałą podstawę dalszej nauki, władać językiem niemieckim potocznym i z wielką korzyścią przejść do wyższych stopni nauki w kolegjum.

Po nauce tych sześciu przedmiotów, spodziewam się, że uczniowie zdobędą znacznie wyższy stopień wykształcenia niż to, jakie obecnie z wyższej szkoły wynoszą jej maturzyści, a moje nadzieje opieram na trzech następujących okolicznościach: Po pierwsze, że, zaczynając po czternastym roku życia, nasz uczeń znacznie lepiej będzie

uzdolniony do przyswajania wiedzy, niż nierozwinięty fizycznie i umysłowo chłopiec; powtóre, że doskonały wynik nauki w tym najodpowiedniejszym okresie życia, od czternastu do siedemnastu lat, osiągnąć można przy zredukowaniu kursu do najważniejszych i niezbędnych nauk, ścisłem trzymaniu się teraźniejszości, z usunięciem wszelkiego zbytecznego balastu pamięciowych faktów i pamięciowego obkuwania, wreszcie całkowitem usunięciu tego równoległego kursu rozrywek dla młodzieży, wciąż współzawodniczącego z kursem nauk a poczytywanego przez wielu uczniów, uczenic i przemysłowców, którzy z tego ciągną zyski, jako w istocie ważniejszy niż program oficjalny. Ani na chwilę nie przypuszczam, by tak wysokie wykształcenie, lub choćby zbliżone do niego, mogła młodzież osiągnąć przy obecnym rozproszonym trybie życia szkolnego w amerykańskich szkołach wyższych.

Zapewne zauważy kto, że, choć na wstępie żądałem, by wychowanie opierać na ekonomji i religji, by już od wczesnego dzieciństwa uczyć chłopców i dziewczęta zastanawiać się nad sprawą chleba powszedniego i wpajać w nich przekonanie, że źródłem ich utrzymania jest współczesna siła robocza — w obecnym rozdziale nie poświęciłem ani słowa temu, co jest dziś popularnem bożyszczem, t. j. wykształceniu zawodowemu. Nie przez omyłkę to uczyniłem, lecz rozmyślnie. Nietylko bowiem jestem zdania, że w pełni rozwinięte, dobrze wychowane jednostki ludzkie są bardziej pożądanym celem pracy wychowawczej dla nas wszystkich, którzy kochamy Amerykę i cywilizację, niż przedwcześni zawodowcy z naszych szkół technicznych, lecz mam silne przeświadczenie, że nasze społeczne i gospodarcze życie nigdy nie będzie zdrowe, jeśli nie usuniemy dzieci, nieletnich chłopców i dziewczynek od wszelkiej pracy zarobkowej, a nie zwalimy całego jej brzemienia na szerokie barki silnych, dobrze wychowanych, dojrzałych mężczyzn i kobiet. Uczeń szkoły wyższej powinien się dowiedzieć, że dobrowolnie i wspaniałomyślnie dostarczają mu środków do życia ludzie dorośli, a jeśli chce godnie i rzetelnie z tego dobro-

dziejstwa korzystać bez poniżenia dla siebie, niema innej drogi — jeno narazie jak najlepiej użyć dostarczanej mu możliwości pracy nad sobą, zanim dane mu będzie we właściwym czasie podjąć przypadający nań dział pracy dla utrzymania ogółu. Oddamy największą usługę społeczeństwu, jeśli — zamiast pchać chłopca przedwcześnie do pracy zarobkowej, nauczymy go, że szanujący się mężczyzna nie zniży się do tego, by żyć kosztem cudzej pracy. Wykształcenie zawodowe stanowi integralną część wszelkiego wykształcenia, lecz bardzo fałszywy byłby pogląd, że jedni mają poświęcać się swemu zawodowi przedwcześnie. a inni nie potrzebują żadnej zawodowej pracy się oddawać. Kto szczerze przywiązuje wagę do pracy zawodowej, będzie się starał w wychowańcach wzbudzić to stałe uczucie przenikające całe życie człowieka, naglące młodzież do rzetelnych studjów dla rozwinięcia sił i zdolności, stania się użytecznym w rodzinie, a skłaniające ludzi dorosłych, będących w pełni sił, do roli czynnej przy wielkim warsztacie twórczej pracy.

XI.

SIŁA ŻYCIOWA.

Kilka miesięcy temu wykładałem w normalnej klasie z dwudziestu kilku słuchaczy. Ich wiek wahał się od dwudziestu do czterdziestu lat. Uczyłem ich tak, jak tutaj, że początkowe wychowanie powinno dotyczyć ciała i ducha, i chciałem im polecić jaki krótki a kompetentny podręcznik fizjologji, który mógłby ich objaśnić o każdej kwestji, dotyczącej organizmu i dać im jasny, poglądowy pogląd na proces reprodukcji. Ponieważ nie znałem żadnej książki dość treściwej, by odpowiadała memu celowi, postanowiłem zasięgnąć rady znanej firmy wydawniczej, drukującej podręczniki naukowe. Może byłbym lepiej trafił, gdybym był zastał człowieka, którego szukałem; ponieważ jednak był nieobecny, zetknąłem się z obcymi dla mnie ludźmi, a pewien podstarzały jegomość, słucha-

jąc mych słów, wpadał w coraz większe podniecenie, a wkońcu pośpieszył mnie zapewnić tonem bardzo podrażnionym, iż nietylko taki podręcznik wcale się nie ukazał, lecz wydanie go uważałby *za bardzo niewłaściwe*. Wytłumaczył mi dalej, z niesłabnącem rozdrażnieniem, że komitet osób kompetentnych roztrząsał tę sprawę gruntownie i orzekł (miałem wrażenie, że ostatecznie rozstrzygająco), że wszelka wiedza o kwestjach płciowych przyczynia się do demoralizacji płciowej, cieszący się powszechnem uznaniem obecnie, spisek milczenia, jest jedynym wskazanym i dopuszczalnym sposobem postępowania. Na zakończenie mój sędziwy rozmówca — wciąż bardzo podrażniony — winszował sobie i mnie, że przypadek zetknął nas ze sobą i uchronił mnie od tego, co byłoby — w najlepszym razie — ryzykownym eksperymentem.

Przytaczam to zdarzenie dlatego, że jest dość świeże, by nie zatarło się jeszcze silne a niemiłe wrażenie, jakiego doznałem, a także i dlatego, że uważam je za typowe dla punktu widzenia wielu dobrze myślących osób. Gdy wspomnę moje chłopięce lata, to — o ile mogę sobie zdawać sprawę z ówczesnego ducha czasu — sądzę, że spisek milczenia był wtedy jeszcze ściślej przestrzegany niż obecnie. Co do mnie, to nie wiedziałem, jak dzieci przychodzą na świat, i nikt mi tego nie powiedział. Moje wyobrażenia o tej sprawie były naiwne i nienaukowe. Wyrastałem wśród bardzo troskliwej, bardzo pieczołowitej rodziny, a jednak o tym ważnym przedmiocie nie mówiono do mnie nigdy, wyjąwszy jakichś mglistych ogólników, których nie zrozumiałem, a które zrobiły na mnie wrażenie, że niedelikatnością byłoby żądać bliższych wyjaśnień. Znaczące milczenie, zagadkowe napomknienia, wzruszenie ramion i marszczenie brwi, spuszczanie oczu, niezręcznie pokrywany śmiech i zawstydzenie, oto czem ówczesny świat dorosłych pchał młode pokolenie na manowce wtedy, gdy powinien był się poczuwać do obowiązku pokierowania niem, pouczania i przestrzegania. Doszedłem do wniosku, że nagie ciało jest czemś nieprzyzwoitem, że, zamiast je wzmacniać i upiększać, należy się go wstydzić

i zakrywać je. Wiedziałem także, że dzieciństwo jest czemś cudownem i świętem, że Chrystus zrodził się z kobiety, i że święcimy zarówno Zwiastowanie jak Narodzenie. Wiedziałem, że rodzina jest instytucją ważną i uświęconą, społeczną jednostką, stanowiącą podstawę wszystkich innych związków między ludźmi. Z doświadczenia znana mi była bezcenna tkliwość macierzyńskiej miłości i gorące przywiązanie synowskie. A oto jednak społeczeństwo pozwala nam rosnąć w zupełnej nieświadomości stosunków płciowych, z których bierze początek święty dramat rodzinnego życia, i gorzej niż w nieświadomości, bo w przekonaniu, że jest niewłaściwością mówić o tych sprawach, wiedzieć, myśleć o nich, choćby najpoważniej i najskromniej. Nie miałem żadnych informacyj o sprawach płciowych, póki natura nie pouczyła mnie bezpośrednio, na swój prosty sposób, wywołując moje zdziwienie, zmieszanie i tylko ułamkowe zrozumienie rzeczy. Rzeczywiste objaśnienie otrzymałem dopiero od bardzo prostackich kolegów w szkole i niemniej prostackich towarzyszy w kolegjum. Z natury rzeczy było ono gorszące i odrażające, a jak najmniej nadające się do oświecenia umysłu.

Pogląd na własne dzieciństwo, świeże wrażenie rozmowy z owym sędziwym, tak bardzo wzburzonym jegomościem, są mi dowodem, że spisek milczenia jest istotną nieprzyzwoitością. Niechaj nie sądzą rodzice i nauczyciele, by mogło od nich zależyć, czy traktować świat, jako płciowy, czy bezpłciowy. I tutaj tak samo nie mają wyboru, jak gdy chodziło o świat dogmatów i świat ekonomicznych zagadnień. Zrodziliśmy się w świecie, w którym istnieje podział płci. Każdy z nas jest mężczyzną lub kobietą—nie zaś hermafrodytą, i całe zadanie na tem polega, by stosunki płciowe traktować mądrze i przyzwoicie. Ignorować je—tak jak się działo za moich młodych lat, lub jak zalecają nasi sędziwi wydawcy, to narażać młodzież czystego umysłu na bardzo poważne i niebezpieczne pomyłki życiowe, a mniej szlachetnie usposobioną—na pokusy, które mogą ją zniszczyć fizycznie a wykoleić moralnie.

Gdyby system przemilczania spraw płciowych istotnie gwarantował czystość obyczajów w narodzie, możnaby stawać w jego obronie. Jeżeli jednak pomyślimy, że mamy w Ameryce od pół miljona do miljona jawnych prostytutek a prócz tego dziesiątki a może setki tysięcy kobiet uprawiających nierząd potajemnie, że w wielu mniejszych miasteczkach amerykańskich okazało się, że trudno znaleźć choćby jednego czystego mężczyznę, przyznać trzeba, że tchórzliwy system przemilczania bynajmniej nie dał sobie dobrego świadectwa w osiągniętych wynikach. Bez porównania lepiej, by chłopcy nasi dowiadywali się o życiu płciowem wszystkiego, co im wiedzieć należy, od porządnych mężczyzn, przedewszystkiem od swych ojców a przynajmniej nauczycieli, aniżeli, by chwytali dorywcze wiadomości od źle wychowanych chłopców w szkole lub zepsutych młodzieniaszków w kolegjum.

Porą odpowiednią dla uświadomienia ich o sprawach płciowych nie jest ani okres poprzedzający dojrzewanie, ani też późniejszy, lecz ten, gdy natura sama pierwszemi symptomatami rozwoju płciowego budzi zainteresowanie dla tej tajemniczej, kosmicznej siły życia, która powołuje go do służenia jej celom.

Wspomniałem, że moje własne doświadczenia uważam za typowe, jednakże pod jednym względem były one raczej krańcowe. Długo wierzyłem w to, że idealiści liczą się naprawdę do najpraktyczniejszych ludzi na świecie. Idealistycznie, marzycielsko nastrojeni chłopcy mają ten ciekawy rys praktyczności w swem postępowaniu i zdumiewający talent dociągania swego życia do poziomu swych teoryj. Jeżeli spotkacie chłopca, czyniącego ukradkiem coś nadzwyczajnego, i kładącego w swą czynność zapał niemal religijny, bądźcie pewni, że to jest idealista, opanowany jakąś manją, którą usiłuje przelać w czyn. Co do mnie, to choć nikt mi o tem nie powiedział ani słowa, sam doszedłem z różnych napomknień i niedomówień, że ciało jest czemś, czego się wstydzić należy, o czem się nie mówi. Ponieważ byłem poważnym chłopcem, chciałem stosować w praktyce tę zasadę. Gdybym

żył w średnich wiekach, byłbym niewątpliwie wstąpił do jakiego klasztoru. Jako człowiek nowoczesny i protestant ustanowiłem swoją własną regułę. Niekiedy pościłem; czasem wstrzymywałem się od spożywania pewnego rodzaju pokarmu; z wyjątkiem krótkich chwil kąpieli zakrywałem swe ciało z dziewczęcą wstydliwością. Codziennie zaś w ciągu szeregu lat modliłem się: „O Boże! spraw bym był jak najwięcej duchem a jak najmniej zwierzęciem!“ Nie wiedziałem wtedy, że ludzie mądrzy nigdy nie modlą się o specjalne rzeczy. Raczej mówią razem z Platonem: „O Jowiszu! daj nam to, co dobre, czy prosimy cię o to, czy nie, a chroń nas ode złego nawet wtedy, gdy cię o nie prosimy“.

W tym moim chłopięcym ascetyzmie był rzeczywiście jakiś absurd, lecz był również — sądzę — rys szlachetny i heroiczny, gdyż dowodził on, że chłopiec chce w swych czynach zachować logiczną konsekwencję. Zawdzięczam mu późniejszą zdolność odczuwania i rozumienia nierozsądnych postępków poważniejszego rodzaju chłopców, gdyż odgaduję tkwiący w nich idealizm. Ujemne strony dały mi się później we znaki, gdy okazało się, że niedość znając i rozumiejąc życie—nie mogę być tak użyteczny, jak trzeba. Jak już powiedziałem, nie mamy wyboru, nie możemy dowolnie prowadzić życia bezpłciowego lub płciowego. Jeżeli nie chcemy uwzględniać płci w naszem pojmowaniu życia i kierowaniu niem, wynika stąd tylko, że nasz stosunek do życia staje się nieinteligentny i bezplanowy. To właśnie zdarzyło się ze mną; niektórzy z mych uczniów wykolejali się—gdy jakieś rozumne słowo pouczenia i przestrogi z mej strony byłoby mogło — wyrzeczone w porę — uchronić ich od złego. Jednakże mój jednostkowy, zakonny pogląd na życie wzbraniał mi poruszania tak drażliwej kwestji, i owo zbawcze słowo nigdy nie zostało wypowiedziane. Tego rodzaju doświadczenia utwierdziły mnie w przekonaniu, że milczenie dorosłych i doświadczonych ludzi w stosunku do niedoświadczonej i nieświadomej młodzieży, w kwestjach tak żywotnej wagi, jest istotną nieprzyzwoitością i niewybaczalnym występ-

kiem. Znalazłem wyjście z tej sieci spisku przez otwarty, pewny gościniec biologicznej wiedzy. Za moich młodych lat teorja ewolucji była tą nową ideą, która przenikała umysłową atmosferę. Najzapaleńsza młodzież akademicka rzuciła się do biologji, tak jak za naszych czasów do nauk społecznych. Kwestją palącą było to, czy cechy nabyte przekazywane są dziedzicznie, czy nie. Moje geologiczne studja zbyt wiele wymagały pracy, bym mógł obok nich pracować w laboratorjum biologicznem, gdy jednak znalazłem czas wolny, przeczytałem Darwina „w oryginale“ oraz niektóre dzieła Spencera i Huxley'a. Przedewszystkiem jednak dostałem się w grono młodych biologów i uczestniczyłem potroszę w ich dyskusjach. Otóż nikt nie może zajmować się życiem zwierząt i roślin bez szczegółowych badań nad procesem rozmnażania i bez zdania sobie sprawy z jego ogromnej wagi dla obrazu organicznego życia. Ktokolwiek zaś pracował naukowo w jakiejkolwiek dziedzinie, wie, ile powagi i subtelności ma każde badanie naukowe. Dla studenta biologji wszelka milkliwa pruderja i świętoszkowska nieświadomość byłaby znamieniem pospolitości i nieprzyzwoitości. Wogóle byłaby niemożliwa. Tak więc, gdy wniknąłem w biologiczne idee moich czasów i zdałem sobie sprawę z ich wielkości, pozbyłem się całkowicie tego pospolitego sposobu widzenia, dla którego piękne, nagie ciało jest czemś nieprzyzwoitem i nieskromnem, oraz pruderji, która nie dopuszcza rozsądnych i użytecznych rozmów o stosunkach płciowych.

Ale przesądy i suggestje, zaszczepione za młodu, mają twarde życie. Przestałem pozwalać sobie na milczenie tam, gdzie obowiązkiem moim było mówić, jeszcze jednak nie pojmowałem ogromnego psychicznego znaczenia płci i dominującej roli, jaką ona gra w codziennym dramacie życia. Być może, że już nigdy w pełni tego nie zrozumiem i pozostanę zawsze jednostronnym nauczycielem i przewodnikiem—choć byłbym mógł być wszechstronniej pożytecznym. Prawdopodobnie również i każdy chłopiec rozmyślnie utrzymywany w nieświadomości przez tych, którzy wyżej cenią niewinność i nieświadome wy-

stępki, niż wiedzę i jej możliwe zwycięstwa, nigdy nie pojmie w pełni psychicznego znaczenia płci. Przyroda nauczyła go z całą otwartością, bezpośrednio, czem jest płeć z punktu widzenia fizycznego, lecz bardzo powoli odsłaniać mu będzie jej głębsze znaczenie. Tego może on się nauczyć tylko od istot duchowych, nie od przyrody, jeśli zaś te milczą, małe są widoki, by on sam sobie pozostawiony zdołał odkryć prawdy, które ludzkość w ciągu licznych pokoleń zdobywała. Biologja—jak już mówiłem—oddała nam wszystkim tę nieocenioną usługę, że położyła kres wahaniom, wytępiła przesądy i ukazała nam człowieka czystego i bez wstydu. Uciszyła ascetyczną modlitwę mych lat młodzieńczych, z jej żałosnym, chorobliwym lękiem przed pełnią męskości, a nauczyła nas modlić się o doskonałość ducha w doskonałem ciele. Zdrowym apetytom i funkcjom ciała odjęła piętno rzeczy zakazanej i nauczyła bez wahań i niedomówień, że pragnienie kobiety jest u mężczyzny równie szlachetne, jak jego pragnienie czystej, zimnej wody. Ta nauka jest równie daleka od rozwiązłości, jak wschód od zachodu.

Biologja oddała nam wielką usługę, a utorowała drogę jeszcze większym zasługom tych współczesnych filozofów, którzy dla objawienia nam swych idei ubrali je w przejmującą postać dramatu. Zarówno angielscy, jak kontynentalni dramaturgowie rzucili nowe światło na kwestję płci. Dla nich płeć jest wytwórcą siły życia, dążącej wciąż do osiągnięcia swych celów, — zaludnienia ziemi — nie bacząc na żadne następstwa. W tem świetle stosunek płciowy między mężczyzną a kobietą urasta do godności, ale zarazem i grozy tragedji greckiej. Siła życiowa jest bowiem powszechna; pulsuje w każdym z nas, każdego z nas używa jako swe narzędzie, gotowa nas pogrążyć i zabić, nie troszcząc się o nic, jedynie tylko o nowe pokolenia. Symbolizm grecki wcielał siłę życiową w Erosa, kochanek był jego ofiarą a przestawał działać samoistnie. W nowszym poglądzie na płeć, mężczyzna sam bierze los w swoje ręce, a świadomość odejmuje tragedji jej fatalistyczny charakter, t. j. zasadniczą cechę tragiczności.

Wykształcony mężczyzna, który wie, czem jest siła życia, od roli ofiary przechodzi do roli pana, on bowiem rozstrzyga w ostatniej instancji. Może on dowoli bądźto współdziałać z siłą życia i płodzić dzieci, których ona się domaga, bądź też — z równie dobrem prawem — odmówić swego współdziałania, i może — jak oddawna nauczali mędrcy Indyj, tak dalece okazać się panem, że samą siłę życia odwróci od jej zwykłej kolei fizyczno-psychicznego dążenia, a przeobrazi ją w coś nawskroś duchowego. Wprost nie do wiary wydaje się, jak mogą rodzice i nauczyciele pozostawiać chłopca w nieświadomości tych doniosłych spraw, a wolą go natomiast uczyć jakiegoś starożytnego języka. Dowodzi to, że w stosunkach płciowych widzą tylko ich fizyczną stronę i to najniższej postaci — wyuzdania. A może ich własne życie jest tak mało wzorowe, że nie mogą wytrzymać jasnego, otwartego wzroku nagiego chłopca.

Ani biologowie jednak, ani twórcy dramatów nie powiedzieli ostatniego słowa w tej tak zawiłej kwestji płci. Psychologowie wieku dziecięcego wskazali równoległość między wiekiem dojrzewania, a psychiczną nierównowagą młodzieży, a psychologja ogólna stwierdziła związek między zmianami, zachodzącemi w życiu płciowem, a ogólnym nastrojem i umysłowością. Tak więc tylko wstęp jest podany do wiadomości, bo tylko wstęp został opracowany. Kwestja wcale jeszcze nie jest zamknięta, a podczas gdy my wciąż błądzimy, rozprawiając o niej, winniśmy zastanowić się, że i sama płeć nie jest wielkością określoną, lecz — jak wszystko w obrębie tego płynnego wszechświata — wciąż się przetwarza w coś całkiem odmiennego.

Wobec tych wszystkich rozważań musiałbym sobie wyrzucać sprzeniewierzenie się mym obowiązkom nauczyciela, gdybym uczniów swych wypuszczał w świat nieświadomych zagadnień płciowych. Nie pragnę bynajmniej, by młodzieniaszek dużo o tych sprawach myślał, lecz by o nich myślał trafnie i właściwie. Ojciec lub nauczyciel rozumny i taktowny, szczery a wolny od fałszywego

wstydu, może chłopcu wyjaśnić kwestję płci w tak naturalny, prosty a rozważny sposób, że już zawsze myśli jego pozostaną czyste i prawe. Chłopcy z natury swej nie są grubjańscy i ordynarni; stają się niemi bądź przez nieświadomość, bądź przez zły przykład. Człowiek wyższego umysłu, ojciec lub nauczyciel, może usposobić chłopca tak, by go zupełnie zabezpieczyć od prostaków, nie czyniąc go przesadnie wstydliwym. Najlepiej jest ująć zagadnienie płci w związku z naukowem biologicznem objaśnieniem pięciostopniowego cyklu organicznego życia: narodzin, karmienia, wzrostu, rozmnażania i śmierci.

Chłopcu nietrudno będzie zrozumieć, jak naturalny i nieuchronny jest ten cykl, gdyż wciąż widzi on wkoło siebie rośliny, zwierzęta, ludzi w różnych stadjach życia, aż do nieuniknionego kresu. I tu, jak wszędzie, najwłaściwiej jest przechodzić od prostego do złożonego. Zdrowa pedagogja nakazuje zaczynać od roślin i zwierząt.

Chłopiec żyje w świecie konkretnych zjawisk. Ciasne granice tego świata czynią go bystrym obserwatorem i uczą prostego wnioskowania. Zawsze się okaże, że dostrzegł i spamiętał mnóstwo zjawisk w otaczającym świecie roślinnym i zwierzęcym, lecz ich nie zrozumiał. Krótkie, wyraźne wyjaśnienie przyjmie z wielkiem zainteresowaniem, a ono mu wskaże, jak działa siła życiowa w organizmach roślinnych i zwierzęcych. Gdy już przyswoi sobie tę wiedzę, stosunek płciowy w świecie ludzkim może mu być przedstawiony z punktu widzenia przyrodniczego z całą prostotą i powagą. Nie można jednak w tym punkcie zawiesić kwestji w powietrzu. Trzeba ją związać z życiem domowem chłopca i z jego życiem fizycznem. Musi on się dowiedzieć, czem są popędy płciowe, czego winien unikać, czem jest małżeństwo, w jakich warunkach ojcostwo jest zaszczytne i czyste, jakie okoliczności mogą się odbić na losach potomstwa, jaka powściągliwość jest wskazana w pożyciu małżeńskiem i poza niem.

Siedemnastoletni chłopiec winien wiedzieć o istnieniu zła społecznego, o tem, czem ono grozi jemu indywidualnie i ogółowi, w jakie piekło wtrąca się prostytutka.

Obecnie we wszystkich miastach naszego kraju toczyliśmy walkę z prostytucją i zorganizowaliśmy dość pomyślnie akcję, celem wytępienia handlu żywym towarem. Jakież beznadziejne głupstwo ojców i nauczycieli wyraża się w ich postępowaniu, gdy, udając, jakoby nic o tej pladze nie wiedzieli, pozwalają chłopcom naoślep pędzić w błoto, nie uzbrajając ich najmniejszą przestrogą przeciw groźnemu niebezpieczeństwu. Sądzę, że my, nowocześni humaniści, jesteśmy szczególnie zobowiązani sprawę jak najjaśniej chłopcom przedstawić, gdyż cała nasza praca w ciągu lat siedemnastu, rozwijająca z taką gorliwością najpiękniejsze cechy ludzkie w naszych uczniach, nie wyłączając urody i osobistego uroku, tem bardziej naraża ich na pokusy i zasadzki groźnego wroga. Jeszcze raz przypominam, że ani ojcowie, ani nauczyciele, ani chłopcy sami nie mogą wybierać między światem płciowym i bezpłciowym, lecz muszą żyć w tym jedynym, jaki jest. Prędzej czy później, zwykle prędzej, uczeń nasz dowie się całej tajemnicy; kwestję sprowadza się więc tylko do tego, od kogo ma się dowiedzieć? czy od ludzi nieskazitelnych, szlachetnych, w sposób rozumny i poważny, czy od zepsutego, bezmyślnego świata w prostackiej, głupiej i wyuzdanej formie?

Gdy mamy do czynienia z mniej rozwiniętymi chłopcami, lepiej jest traktować całą sprawę jako zagadnienie z historji naturalnej, mówiąc o człowieku równorzędnie z roślinami i zwierzętami, natomiast wszystkie szczegółowe rozważania psychicznej strony zagadnienia odłożyć na później, gdy chłopiec będzie starszy i lepiej przygotowany do tych roztrząsań. W każdym razie nie można przed nim przemilczeć głębokiego znaczenia tych zjawisk, a zawsze należy unikać uczucia zawstydzenia. Nigdy nie można dopuścić do tego, by poczytywał pociąg płciowy za coś poniżającego i niemoralnego. O ile wogóle myśleć o nim będzie, niech widzi w nim podstawę życia rodzinnego i źródło wielu cennych i uszlachetniających uczuć. Daleki od ascetyzmu, zarówno jak od zmysłowości, niechaj będzie zdrową, normalną istotą ludzką.

Umiałbym jednak na wszelki wypadek uchronić chłopca od jednego fałszywego i niskiego wyobrażenia, mianowicie, że jeśli się nie ożeni i nie spłodzi dzieci, sprzeniewierzy się jakiejś swojej powinności względem państwa, społeczeństwa, czy niedoszłej żony i matki. To niedorzeczne wyobrażenie popycha tu i owdzie nasze prowincjonalne prawodawstwo do projektów ściągania specjalnego podatku od kawalerów, jakoby oni popełnili jakiś występek i musieli się okupić komuś, kto ich na nim złapał. W świecie tak pełnym przestępstw, tak nawykłym do zaniedbywania obowiązków, już chyba nie potrzeba doszukiwać się fałszywych i fikcyjnych win i wykroczeń. Zdaje się, że to Jerzy Eliot przed laty rzucił myśl, by w pewnym zgóry oznaczonym dniu wszyscy popełnili samobójstwo i tak doraźnie zakończyli ziemski dramat, przeciągający się bez końca po dawno rozegranym piątym akcie. Na tę myśl, czy to poważnie, czy żartem wygłoszoną, burzy się nasz anglo-saski optymizm i nasz zdrowy instynkt odrazy przeciw samobójstwu. Jednakże, czy to pojedyńcza rodzina, czy cały naród może doskonale bez grzechu popełnić samobójstwo przez samo proste i naturalne postanowienie, niewydawania potomstwa; żaden moralista jakiejkolwiek szkoły, nie przytoczy ani jednego wytrzymującego krytykę argumentu przeciw takiemu postanowieniu. W rzeczywistości nawet już dziś dokonywa się to. Wielu ludzi jak najlepiej nadających się do wydawania na świat dzieci, wychowywania i wyposażenia ich, rozmyślnie uchyla się od współdziałania z siłą życia i żyje w bezżennym stanie; równocześnie małżeństwa, najlepszego może typu, miewają po jednem dziecku lub nie mają ich, wcale. Ludziom tym przysługuje święcie to samo prawo dowolnej decyzji, jak ojcu dziesięciorga dzieci. W czasach tak oświeconych, jak obecne, niedorzecznością jest wmawiać w jakąkolwiek kobietę, że jej powołaniem naturalnem jest rodzenie dzieci, a w jakiegokolwiek mężczyznę, że jego powinnością jest założenie ogniska rodzinnego i płodzenie potomstwa. Można twierdzić, że byłoby to dla tych ludzi większem szczęściem,

że dałoby im to więcej zadowolenia czy dostatku, albo że to przeciwnie przysporzyłoby im kłopotów, gdyby się żenili i mieli dzieci, ale w każdym razie im samym tylko wolno o tem decydować, a kto inaczej sprawę przedstawia, ten ją grubo przeinacza. Tak więc — mojem zdaniem — kształcąc chłopców i pragnąc uczynić z nich światłe, dobrze wychowane jednostki ludzkie, winniśmy im zagadnienie życia przedstawić szeroko, otwarcie i śmiało. Winniśmy im powiedzieć, że nie istnieje żadna konieczność naturalna czy moralna, by dzieci przychodziły na świat, by ród ludzki koniecznie ziemię zamieszkiwał, bez względu na to, czy mu się to podoba, by mężczyźni i kobiety poddawali się owemu ślepemu popędowi, którym posługiwała się przyroda, by władać nimi, zanim nastąpił wiek oświecenia. Jeśli wychowanie mamy oprzeć na religji, musimy wpoić w uczniów przekonanie, że duch ludzki w swej całości jest imanentnym Bogiem ziemi, że jako uczestnicy tego ducha muszą oni, każdy za siebie przyjąć cząstkę ogromnej odpowiedzialności, ciążącej na nich, jako namiestników Boga, i swą oświeconą wolą rozstrzygać, w jakim kierunku ma się potoczyć los ludzkości. Muszą oni zrozumieć, że ludzie nie są już dziś ślepemi narzędziami siły życia, lecz teraz ich rzeczą jest rozstrzygnąć, współdziałać lub odmówić jej współdziałania, orzec, czy ludzkość ma nadal korzystać z gościnności ziemi, czy nie.

Żyjemy teraz w Ameryce w pełni odrodzenia religijnego, a prąd ten pełen jest świetnych zapowiedzi. Ożywia go nowy duch, nie ta dawna bierna pobożność, błagająca Boga, by za nas działał, by chronił nas od następstw naszych błędów, głupstw i zbrodni—najgorsza rzecz, jaką mogłoby jakiekolwiek bóstwo zrobić—lecz ta podniosła, choć jeszcze trwożliwa świadomość, że my sami jesteśmy cząstką Boga, że w pewnej mierze my sami czynimy świat tem, czem jest, i że naszą rzeczą jest zmienić go, jeśli po głębszem zbadaniu dojdziemy, że ten świat jest zły.

Nie jest to wygodna wiara, a sądząc z własnego doświadczenia, człowiek wzdryga się przed nią i chce się

od niej uchylić, tak, jak nieśmiały książę wzdraga się przyjąć korony z trwogi przed zbyt wielką odpowiedzialnością. Przychodzi jednak chwila, gdy człowiek musi dojść do takiego poglądu na świat. Jeśli bez hipokryzji i bez przesądów patrzy na życie, musi stwierdzić istnienie zła, musi je brać w rachubę i szukać praktycznych środków dla zwalczania go. Wiele wygodniej jest zwalić wszystko na Boga, całe brzemię odpowiedzialności za gwałty, okrucieństwa, łupiestwa, zdrady, fałsze, cierpienia, choroby i nieszczęśliwe wypadki; to jednak bardzo zaciemnia i gmatwa całe zagadnienie, a zasadniczą ideę Boga podaje w wątpliwość. Nikt tego brzemienia nie zwali, jeśli my nie weźmiemy go na swoje barki, z całą rozwagą i pobożnością działając jako zastępcy Boga dla udoskonalenia ziemi.

Już dawniej zaznaczyłem, że dogmat pokuty nie da się obronić rozumowo, gdyż gwałci elementarną zasadę skutku i przyczyny, ani też moralnie, gdyż grzech dający się tak łatwo odkupić, tem łatwiej może się powtarzać. To też niezaprzeczalnie widzimy faktycznie wokół siebie dowody, że wyznawcy tych sekt, które najżarliwiej obstają przy doktrynie łaski, najwięcej lekceważą prawość w swojem własnem życiu i najmniej okazują szczerej pobożności. Istotnie, dźwiganie wszystkich swych grzechów na barkach może być zbyt ciężkiem brzemieniem dla człowieka, jak dla narodu dźwiganie brzemienia swoich grzechów, a dla całego świata—wszystkich, jakiemi się obciążał, lecz nikt nie może się uchylać od tego ciężkiego zadania i o tem nas poucza nauka głębszej religji, — co posiejesz, to zbierać będziesz—wielka i święta nauka, którą i wiedza i doświadczenie potwierdzają.

Jeśli tedy chcemy, by nasz siedemnastoletni chłopak był istotnie jednostką dobrze wychowaną, a nie tylko pięknem zwierzęciem, musimy go nauczyć, że żaden z jego postępków nie może znaleźć uniewinnienia i usprawiedliwienia w tem, że jest *naturalny*. Może on być powszechniej przyjęty, łatwiejszy, przyjemniejszy, dogodniejszy — ale to wszystko. Więc przeciwny postępek byłby równie

naturalny, o ile się na niego zdecydujemy, a może być logiczniejszy lub uczciwszy. Niechaj również nie przyjmuje za prawdę tej pospolicie używanej obrony: „Ktoś to i tak zrobi“. Leży w tem fałsz, uwodzący wielu młodych na ścieżki pospolitego, bezmyślnego życia, a skazujący niejedno społeczeństwo na mierność i wyjałowienie. Zwykle dla każdego naszego czynu istnieją dwie racje: racja rzeczywista i słuszna racja. Jeżeli chłopiec ma być istotą wolną na obraz i podobieństwo boże, musi się zawsze nauczyć, by jego racja rzeczywista była zarazem słuszną racją, i musi się raz na zawsze zrzec wszelkiej połowiczności i dwuznaczności. Bardzo to źle, gdy okłamujemy drugich, ale potępienia godne jest okłamywanie samego siebie.

Chłopiec musi się nauczyć zasadniczej prawości i rzetelności w stosunku do swych popędów płciowych. Jeśli chce kochać jakąś dziewczynę, ożenić się i mieć z nią dzieci, to dobrze; — dla wielu jest to jedyna droga do szczęścia; niechajże jednak wie, że to jest rzeczą dowolnego wyboru, i że przeciwny sposób postępowania jest równie uczciwy. Nie pozwólmy mu żadną miarą wpaść na niedorzeczną myśl, że to jest jego „powinnością“. Nie jest bynajmniej koniecznością dla rasy, aby trwała, jak nie jest niezbędną rzeczą dla katów, by za pieniądze wieszali ludzi, ani dla przedsiębiorców pogrzebowych, by ich za pieniądze grzebali. Bynajmniej nie potrzeba, aby rasa ludzka trwała; można nawet z zupełnie równą słusznością chcieć, by się zakończyła w obecnem pokoleniu. Pożądane raczej jest to, by lepsza rasa trwała, i to są właściwie te wielkie możliwości, w których wychowanie tak silnie jest zainteresowane. Nigdy nie osiągniemy udoskonalenia rasy, jeśli wydawanie na świat potomstwa uznamy, jako powszechny obowiązek, gdyż powoływać będziemy tym sposobem do świętej misji rodzicielskiej i odpowiednie i nieodpowiednie jednostki. Zamiast pouczać chłopca, że jego obowiązkiem jest ożenić się, zamiast dopuszczać, by tę herezję przejął z fałszywej a wielce popularnej opinji współczesnej, winniśmy mu raczej wpoić świadomość zu-

pełnej swobody, jaka mu przysługuje w tym względzie, i wielkiej odpowiedzialności, jaka na nim ciąży za sposób użycia tej swobody. Jeśli się żeni, niechaj to czyni w poczuciu, że jest odpowiednim ojcem i znalazł godną siebie towarzyszkę; jeśli będzie miał dzieci, niechże przychodzą na świat w takich warunkach, by mogły przewyższyć ojca i matkę. (Jakże często rodzice — polecając jakieś nieszczęśliwe dziecko specjalnemu uwzględnieniu — mówili do mnie: „Biedactwo! nie powinno się było wcale urodzić"). Jeśli jednak chłopiec postanawia nie żenić się wcale, gdyż nie może się spodziewać silnych, szczęśliwie z natury uposażonych dzieci, lub też woli sam iść za głosem swego przeznaczenia, nie wmawiajmy w niego, że zaniedbał jakiś obowiązek, zostawmy mu raczej wewnętrzne zadowolenie z godnie dokonanego wyboru.

Tylko tą drogą, przez świadomy, dobrowolny akt woli mężczyzny i kobiety, może się dojść do odrodzenia i uszlachetnienia rasy. Nie wiem, czy kiedykolwiek państwo będzie miało tyle rozumu i władzy, by zmusić do celibatu chorych, ułomnych, upośledzonych i dziedzicznie obciążonych, jednakże opinja publiczna całkiem słusznie coraz usilniej się tego domaga. Wystarczającym argumentem jest wymaganie elementarnej sprawiedliwości względem nienarodzonych, by im nie narzucać egzystencji zgóry skazanej na niedolę; niemniej silny jest argument ekonomiczny, by pracującego świata nie obarczać ciężkiem brzemieniem utrzymywania tych, którzy sami do pracy nie będą zdolni. Ja osobiście nie uznaję kary śmierci, lecz sądzę, że niegodne jest naszej inteligencji ani ceny, jaką okupiliśmy ją, uprawnianie do utrwalania egzystencji zwyrodniałych i upośledzonych istot, czy to pojedyńczych jednostek, narodów czy ras. Trudno nam będzie jednak dojść do logicznego jasnego poglądu na tę pierwszorzędnej wagi sprawę, ani też do odpowiednio konsekwentnego sposobu postępowania, póki nie przestaniemy wielbić bezkrytycznie ojcostwa i macierzyństwa. Nie leży bynajmniej w interesie wychowania, by człowiek miał dziesięcioro dzieci, lecz by te, które ma, były silne, piękne, zdolne i dobre.

Poprzednio już wspomniałem, jak pożądaną rzeczą jest, by chłopiec nie wstydził się swego nagiego ciała, gdyż to stanowi pierwszy krok do traktowania swych funkcyj cielesnych z właściwą delikatnością i przyzwoitością. Grecy, jak wiemy, pielęgnowali nagość ze względu na piękno, higjenę, wygodę, mieli w pogardzie swych azjatyckich wrogów ze względu na zniewieściałość, wydelikacenie i rozmiękczenie ich ciała. Ich ideałem był człowiek silny, ogorzały, nagi. Poniekąd z powodu ostrego zimowego klimatu, przeważającego w północnej części Stanów Zjednoczonych, wiele więcej jednak z powodu pospolitego poglądu na nagość, chłopcy poprzednich pokoleń mieli zewsząd wpajane przekonanie, że nagość jest nieprzyzwoitością, a jeśli w jakikolwiek upalny dzień letni wymykali się do najbliższej wody, chcąc użyć pływania, i nacieszyć się rozkoszną swobodą nagości, musieli się bardzo strzec, by ich kto nie zobaczył, a nawet by nie wspomnieć w mieszanem towarzystwie, że pływali. Taki był powszechnie obowiązujący obyczaj w całej Ameryce, a utrzymuje się on dotąd w niektórych zacofanych okolicach. Na szczęście dla zdrowia, piękna i rzetelnej obyczajności nadchodzących pokoleń, obecnie najlepsze typy mężczyzn i kobiet powracają do greckich tradycyj. Zawdzięczamy to różnym zbawiennym wpływom takim, jak wzmagające się upodobanie do życia na otwartem powietrzu, gimnastyki, pływania, lepsze zrozumienie higjeny, sztuki, podróże za granicę, a nadewszystko rozumniejszy kierunek duchowego rozwoju człowieka. Nasze obozy letnie w wysokim stopniu przyczyniły się do pielęgnowania tej zdrowej nagości. Moi chłopcy noszą jak najmniej ubrania, o ile tylko pogoda pozwala, czasem nieubrani wcale, często tylko w majtkach do kąpieli, bardzo rzadko mają na sobie coś więcej, niż wyścigowe bawełniane trykoty i bluzki bez rękawów. Słońce i powietrze są najlepszym środkiem wzmacniającym dla tych młodych, rosnących organizmów, ale jeszcze większą wartość ma ten nastrój duszy, który przejmuje chłopca nagiego a nie wstydzącego się swej nagości. Piętnaście lat temu takie traktowanie ciała ucho-

dziło za eksperyment i to dość ryzykowny. Doświadczenie późniejszych lat usprawiedliwiło i uświęciło ten eksperyment. Nie rozwiązało ono kwestji samogwałtu u chłopców, lecz bardzo zmniejszyło to złe, a zeznania nauczycieli i uczniów prowadzą mnie do wniosku, że to otwarte wystawianie ciała staje się silnym czynnikiem czystości myśli i życia.

Dotąd mówiłem tylko o płciowem wychowaniu chłopców; że jednak kobieta ciężej przypłaca wykroczenia płciowe, że jej udział w wydawaniu na świat dzieci i karmieniu ich jest znacznie większy, ważniejszą przeto jeszcze jest rzeczą, by dziewczęta otrzymywały należyte wskazówki w sprawie życia płciowego. Udzielać ich powinna kobieta-matka, jeśli jest dość kompetentna, w przeciwnym razie — medyczka. Trudno cierpliwie słuchać osób, które utrzymują, że niewinność dziewcząt musi iść w parze z nieświadomością, choć wiedzą jak strasznie drogo przyjdzie im nieraz opłacić tę nieświadomość. Dziewczyna ma prawo wiedzieć prawdę, tak samo jak chłopiec ma prawo wiedzieć, i dopiero wtedy, gdy zrozumie, czem jest płeć, może godnie i pomyślnie spełnić osobiste swe zadanie jako kobieta. Obyczaje towarzyskie przyznają dziewczęciu prawo przyjęcia lub odrzucenia mężczyzny, który chce je poślubić. Słuszną konsekwencją tej wolności wyboru musi być dostarczenie jej odpowiedniego zrozumienia rzeczy i właściwego sprawdzianu, by wybór mógł być świadomy i rozumny.

Jedna strona życia płciowego została zaniedbana i pominięta całkowicie zarówno przez Kościół, jak przez wychowanie: sprawa dzieci nieślubnych. Zczasem liczba tych dzieci wzrosła do pokaźnego zastępu, a wśród nich znalazło się wiele jednostek wybitnych i utalentowanych. Nawet Leonardo miał w ciągu swego życia nieraz do czynienia z takimi, co mu wytykali jego urodzenie. Okrucieństwem, niegodnem rozumu i uczuć ludzkości, jest postawić dziecko w tem położeniu, by znosiło przez całe życie piętno nieodpowiedzialnego ojcostwa i kazać mu cierpieć za nieswoją winę. Niedawno proponowano w nie-

których stanach, by już samo ojcostwo decydowało o legalności związku i nadawało kobiecie i jej dziecku prawa takie, jak ślubnej małżonce i ślubnym dzieciom. Pragnąć należy, by to ludzkie prawo powszechnie weszło w życie, tymczasem zaś każdy powinien z własnego słownika usunąć wszelkie pogardliwe nazwy dawane tym niewinnym istotom, zrodzonym poza małżeństwem, i okazywać ludzkie, życzliwe uczucia tym sierotom, ile razy spotka je na swej drodze.

Ogólnie uznano, że najpierwotniejszym, najpotężniejszym instynktem w człowieku jest instykt samozachowawczy, a zaraz po nim popęd zachowania gatunku. W jednym i drugim zarówno działa siła życia, ślepa wola zachowania i przekazywania życia. W pewnych chwilach dwa te instynkty mieniają się na miejsca co do swej potęgi imperatywnej. Każda matka, wydając na świat dziecko, świadomie i dobrowolnie staje nad brzegiem grobu, a każdy ojciec, kochający swe potomstwo, nietylko gotów jest poświęcić życie za to, co mieni dobrem swych dzieci, ale nieraz nawet to czyni. Sądzę, że wychowanie powinno brać w rachubę oba te instynkty. Starałem się dowieść, że gdy ono usuwa z pola swych roztrząsań sprawy płciowe, staje się niekompletnem i nienaukowem. Sądzę również, że chłopiec siedemnastoletni winien być uzdolniony do rozstrzygania kwestji zachowania swego istnienia. Ważny krok uczynił już na tej drodze, gdy nauczył się inteligentnie czuwać nad swem zdrowiem, zdobył panowanie nad swym duchem i ciałem — na lądzie, wodzie, a do pewnego stopnia i w powietrzu. Jeżeli jest dobrze wychowany we właściwem znaczeniu tego słowa, jest przygotowany do tego, by sobie dawać radę wśród okoliczności a nawet i niespodzianek dnia powszedniego. Jego rzeczą jest nietylko nie szkodzić sobie, lecz wzmacniać i rozwijać swe siły. Jednakże, nawet w życiu najspokojniejszego chłopca, jakiś nadzwyczajny wypadek może się zdarzyć, narażając go na anormalne natężenie sił i woli; w życiu żywego chłopaka, o temperamencie awanturniczym i żądnym wrażeń, trudne i niebezpieczne sy-

tuacje wciąż się powtarzają. Chłopiec niezdolny dawać sobie rady w nieprzewidzianych wypadkach, nie może uchodzić za dobrze wychowanego. Los ma niewyczerpaną pomysłowość i mimo wszystko każdego schwyci wkońcu w jakąś zasadzkę. Tymczasem jednak jego najpospolitsze pułapki i niespodzianki, tak samo jak komplikacje ciekawej powieści — sprowadzają się do kilku typowych wypadków, którym sprostać można przy posiadaniu pewnych zalet. Chodzi o to, by chłopiec był żywy, zręczny, pomysłowy, by umiał się bystro orjentować w rodzaju niebezpieczeństwa i szybko decydować w wyborze środków, któremi je odwrócić można. Dziwię się nieraz, że poświęcamy tyle czasu, trudu i pieniędzy na wychowanie naszych chłopców, aby życie ich uczynić cenniejszem indywidualnie i społecznie, a nie uczymy ich wcale bronić tego życia. Rzutki umysł w ruchliwem ciele jest zewsząd narażony na rozmaite niebezpieczeństwa. Niektóre z nich są wręcz nieuchronne, gdyż wynikają z zewnętrznych wypadków i katastrof. Inne wynikają z lekkomyślności lub rozmyślnych napaści a przed temi można się chronić z korzyścią dla społeczeństwa. Religja nakazuje nam wprawdzie nadstawić drugi policzek temu, kto nas w jeden uderzył, lecz takie postępowanie, niezależnie od tego, czy nam na dobre wyjdzie, wychodzi na złe napastnikowi, gdyż utwierdza go w złych obyczajach. Bardziej uniwersalna etyka pouczy nas, że winniśmy nietylko rządzić się sprawiedliwością najbezwzględniejszą, na jaką nas stać, lecz równie usilnie domagać się sprawiedliwości dla sanych siebie. Uważam, że strasznie nieszczęśliwy jest człowiek, który pod naciskiem jakichkolwiek okoliczności zmuszony jest zabić bliźniego swego, i gorąco modlę się, bym nigdy nie podlegał takiej konieczności, uważałbym jednak za tchórza tego, kto zawahałby się zabić w obronie własnej, lub w obronie niewinnych i słabych. W praworządnym kraju przywykliśmy polegać na urzędowych wykonawcach prawa, i w większości wypadków wiarę naszą usprawiedliwiają fakty. Nie w każdym kraju rządzi prawo, a nawet w najlepiej administrowanych zdarza

się chwilami i miejscami, że prawo i porządek są jakgdyby w zawieszeniu, a siła rozstrzyga — słusznie czy niesłusznie. Z żalem wyznać trzeba, że w Ameryce takie wypadki nie są rzadkie i to nietylko na pograniczu, w odległych, mało zaludnionych stronach Zachodu i Południa, lecz nawet w sercu tych ziem, które uważamy za główne ogniska naszej cywilizacji. W Ameryce naprzykład liczba morderstw popełnionych w ciągu roku jest w stosunku do liczby ludności większa, niż w jakimkolwiek cywilizowanym kraju. Podobno liczba tych ofiar ludzkich — mężczyzn, kobiet i dzieci — wynosi około 10.000 rocznie. Może liczba ta przesadzona, ale nawet połowa, czwarta lub piąta część — już musi wywoływać zdumienie. Jak dalece w naszych czasach rozpowszechniły się napady i rozboje, świadczyć może charakterystyczny symptomat, że najpopularniejsze pisma perjodyczne drukują teraz całe strony ogłoszeń o możności nabycia małych rewolwerów gwarantowanych, trafiających w cel nawet w najmniej doświadczonem ręku. Nie byłbym godny miana wychowawcy, gdybym miał zalecać użycie siły w jakimkolwiek wypadku, prócz ostatecznej konieczności, gdyż wychowanie ma rozwijać ducha ludzkiego a nie zwierzęce popędy; nie byłbym jednak mężczyzną, gdybym nie nauczał, że każdy chłopiec musi przyswoić sobie szlachetną sztukę samoobrony i umieć jej użyć dla ocalenia swego życia, a jeszcze więcej dla ratowania życia lub dobra kobiet, starców i dzieci. Najpewniejszą bronią będzie zawsze dla niego jego własne silne i zręczne ramię, gdyż ono zdolne będzie powalić nieprzyjaciela bez zadawania mu śmiertelnego ciosu. Zdarzają się jednak chwile w życiu najszlachetniejszych nawet ludzi, kiedy jedynie gotowość i umiejętność użycia broni śmiercionośnej, może uratować sytuację i zapewnić zwycięstwo rozumu i spełnienie woli Boga. Bolesną i wzniosłą a zarazem bardzo odpowiedzialną powinnością jest przeciwstawianie się złemu, sądzę jednak, że każdy z nas, służąc sprawiedliwości, musi być gotowy do spełnienia jej, gorliwie i skutecznie, nie w gniewie i nienа-

wiści, lecz natchniony łaską, jako z ramienia bożego pan ziemi. Sądzę również, że gdy dzieci ciemności przekonają się, że dzieci światła umieją opierać się złemu i zwalczać je z taką samą a nawet większą siłą i zręcznością, z jaką zło samo się szerzy, coraz mniej będzie tego zła, które zwalczać trzeba. Życie współczesne pełne jest takich przykrych możliwości, którym dobrze wychowany chłopiec musi umieć stawić czoło. Nigdy nie wiemy, co uczyni człowiek pijany, obłąkany lub straceniec. Nawet zabłąkany koń, wściekły pies, rozwścieczony byk, drapieżny zwierz, zbiegły z menażerji — może zagrozić życiu, a jeśli żadne silne ramię nie odwróci niebezpieczeństwa, niejedno ognisko rodzinne okryje się żałobą. Groza niebezpieczeństwa zawsze zjawia się znienacka, i obrona musi być również nagła, jeśli ma być skuteczna. Istnieją również i mniej groźne krzywdy, których prawdziwy mężczyzna nie może w swej obecności dopuścić bez narażenia swego honoru,—rabunki, złodziejstwa, obelgi i napaście, — zwłaszcza zaś winien je poskramiać, gdy zwracają się przeciw innym, słabym i bezbronnym, chroniącym się pod osłonę jego męstwa. Nasi wychowawcy naogół nie odznaczają się wielką tężyzną, niezbyt sprawni w samoobronie, niebardzo groźni jako obrońcy słabych i uciśnionych. O ile ich o tem nie zdołamy przekonać, nie wpadną sami na myśl, że dzielność i cnoty rycerskie stanowią równie żywotną część programu wychowania, jak ta erudycja, którą przywykli wpajać w głowy uczniów; a jednak ja myślę, że póki sprawa sprawiedliwości nie znajdzie się w silniejszych rękach niż obecnie, trudno się spodziewać, by zwyciężyć mogła.

Mówiłem o samoobronie, jakgdyby ona miała zastosowanie tylko w okolicznościach przypadkowych, w razie zamierzonego, rozmyślnego gwałtu; a przecież te przypadki stanowią tylko drobną cząstkę zadania, jakie spełnić należy. Istnieje przemoc, o wiele szerzej rozciągająca krzywdy i spustoszenia, a doniedawna ani przypadkowa, ani rozmyślna, lecz wręcz nieświadoma. Ta przemoc pozbawiła klasy pracujące ich dawnej siły i tężyzny; jest to

bowiem przemoc wyzysku przemysłowego. Przejawia się ona w rozmaitej postaci, jako przeciążenie pracą, przedłużanie dnia roboczego, złe powietrze i brak światła, nudna, jednostajna robota, niezdrowe mieszkanie, niedostateczna odzież, pożywienie skąpe i brak wypoczynku. Ten stan rzeczy wzmagał się w miarę rozwoju przemysłowego, a odpowiedzialność zań spada tylko na społeczeństwo. Nie można obwiniać żadnej poszczególnej klasy, ani robotników, ani ich pracodawców. Niemniej ta postać przemocy jest fatalna i muszą ją zwalczać obie te klasy równie rozumnie i stanowczo. Prawodawstwo czyni, ile zdoła, by zaprowadzić lepszy stan rzeczy i tak zwaną ochronę społeczną. Działa powoli, lecz w sumie dokonało już bardzo wiele. Wskażę tylko to, co uczyniono świeżo w sprawie pracy dzieci. Po wszystkie czasy w Ameryce jednostki ożywione poczuciem ludzkości oburzały się na przedwczesne zatrudnianie dzieci, dopiero jednak w ostatnich dwunastu latach kwestja ta została uznana za palącą. Stanowi to jednak pozytywną stratę dla wychowania, gdy społeczeństwo lub osoby uboczne czynią dla pomyślności człowieka to, co byłby lepiej uczynił sam dla siebie, gdyby był więcej oświecony. Wychowanie szerzej pojęte winno obejmować również samoobronę, opór przeciw wyzyskowi przemysłowemu tak samo, jak przeciw napaści przygodnych złoczyńców, powinno zaszczepiać dzieciom, chłopcom i wyrostkom tę zasadniczą ideę, że nie mają się podejmować żadnej roboty, któraby narażała na szwank ich siły duchowe, fizyczne lub umysłowe, chyba w nagłych wypadkach jakiejś dobroczynnej akcji. Mówi się wiele o świętem prawie własności. Otóż my — rodzice i nauczyciele — powinniśmy głosić święte prawo osoby. Powinniśmy uczynić z niego ważny czynnik wychowania, wpajając poszanowanie tego prawa nietyle kierownikom przemysłowym, ogłuszonym chęcią zysku, ile samej młodzieży rozpoczynającej pracę na chleb powszedni w świecie zarobkującym. Niech się nauczą samoobrony i niechaj się zdobędą na odwagę stosowania jej. Będzie to dowodziło elementarnych braków wycho-

wania, jeśli się nie nauczą ochraniać własne życie i stawiać opór wyzyskowi przemysłowemu i jego szkodliwym, niszczącym wpływom. Ani na chwilę nie myślę zmniejszać moralnej odpowiedzialności wyzyskiwaczy, przedsiębiorców. Ich wykształcenie nakłada na nich wielkie zobowiązania. Nie oczekuję stąd jednak żadnych wydatnych rezultatów, póki siła życiowa, dążąc do ochrony życia tak samo, jak do przekazywania go, nie wyrazi się odpowiednio we wzmożonym instynkcie samoobrony. Przyroda sama — jak wiemy — rozrzutnie szafuje życiem. Rodzi miljony istot na to, by z nich jedna przetrwała. Zdaje się, że równie okrutnie postępuje i z ludzkością. Z roku na rok wszakże człowiek w coraz większej mierze staje się panem własnych przeznaczeń i nie daje się przedwcześnie usuwać z widowni życia. Obok zakazu: nie zabijaj! musimy równie silnie obwieszczać zakaz: nie daj się zabijać! Kto chce być mężczyzną, musi swych praw męskich przestrzegać i na nikogo nie zwalać obowiązków, które jemu przypadają.

Możemy powiedzieć, że w swej nadziemskiej szczodrobliwości Bóg zlecił człowiekowi zadanie stworzenia lepszego świata. Nie można sobie wyobrazić wznioślejszego posłannictwa, ale chcąc je godnie spełnić, człowiek musi z poczuciem głębokiej pokory i nieustraszonej odwagi przejąć się zasadą ludzkiej odpowiedzialności.

XII.

ROK WĘDRÓWKI.

W rodzinach zamożnych i mających wyższe ambicje przyjął się zwyczaj, by po ukończeniu szkoły wyższej posyłać chłopca do kolegjum; w mniej zamożnych o skromniejszych ambicjach, by go odrazu pchnąć do pracy zawodowej. Nie uważam, by te zwyczaje były rozsądne. Pomnąc, że wychowanie jest rzeczą ducha i ciała, musimy troszczyć się o to, by świat i doświadczenie mogły zrobić swoje. Siedemnastoletni chłopiec jest bądź co bądź

trochę za młody, by z pożytkiem kształcić się w kolegjum. Po trzech latach nieustannej nauki formalnej, a czternastu pierwszych latach, spędzonych pod ścisłą opieką i kierownictwem, nastała teraz pora dla innej nauki. Przyszedł czas, kiedy chłopiec powinien się nauczyć patrzeć na świat z mniej partykularnego stanowiska i pod mniej egocentrycznym kątem widzenia.

O ile warunki życia rodziny pozwalają na to, nie znam lepszego sposobu przepędzenia ośmnastego roku życia, niż podróż naokoło świata. Chłopcy w tym wieku, którzy jadą do Europy tylko na letnie wakacje, a choćby i na rok cały, niewiele korzystają z podróży, gdyż udają się w nią tylko z tą myślą przewodnią, by się jak najlepiej zabawić. W rezultacie jest to dla nich zwykle rok stracony i powracają do domu raczej gorzej usposobieni, niż wyjeżdżali. Przedwcześnie pozwolono im iść własną drogą wtedy, gdy należało im raczej iść śladem innych. Skutkiem tego omija ich sposobność korzystania z tego, co mogło być dla nich wielkiem przeżyciem duchowem. Zaliczam to do naszych pospolitych narodowych dziwactw, że tak trwonimy młodość, pieniądze i dobre okazje. Gdyby w ten sam sposób wysłać chłopca w podróż naokoło świata i dać mu wałęsać się dowolnie, omijając cały przepych bujnych i barwnych dziwów świata dla oglądania lichych jarmarcznych widowisk, to i z takiej wędrówki nie osiągnąłby żadnych korzyści. To też jeśli polecam podróż naokoło świata, to jedynie o tyle, o ileby ona mogła stanowić część poważnie obmyślonego planu wychowania i odbywała się w odpowiedniem towarzystwie. Żywy, dzielny i bystry chłopak siedemnastoletni niechybnie będzie się „dobrze bawił“ w takiej wyprawie — w przeciwnym razie należałoby podejrzywać jakąś pożałowania godną anormalność. Istnieje jednak tyle różnych sposobów zabawienia się, ile jest natur ludzkich. Już sama rozmaitość rodzajów jazdy: na okręcie, w wagonie kolejowym, gondoli, powozie, wozie zaprzężonym w woły, dżinrykszy, konno, na wielbłądzie — już nic nie mówiąc o siedmiu jeziorach i wdzieraniu się na wysokie góry—

starczy na to, by chłopak radował się i zapalał. Może on użyć wrażeń nadzwyczajnych, a poza tem przywieźć z podróży do domu bardzo cenne zdobycze.

Pierwszym owocem takich doświadczeń będzie otrząśnięcie się z prowincjonalizmu, z lekceważenia dla całego świata, jako dla cudzoziemców, przekonanie się, że są oni takimi ludźmi, jak i my, a pod wielu względami może lepszymi od nas. Zapewne, jeśli chłopiec rusza w świat, nie rozstając się ani na chwilę z łokciem domowym, którym mierzy wszystko, co widzi, lekceważąc to, co do jego miary nie przystaje, tylko dlatego, że odmienne i niezwykłe, to lepiej niechaj siedzi w domu. Powinien się nauczyć notować różnice a oceniać ich wartość w związku z warunkami otoczenia. Co jest bardzo dobre w Indjach, może być zupełnie niewłaściwe w Teksas. Przypominam sobie naprzykład nawadnianie w południowych Indjach. Wydawało mi się ono niesłychanie prymitywne: płytka studnia, skórzane wiadro, lina, winda, para wołów o łagodnych oczach i stary poganiacz. Później spotkałem inżyniera Anglika w szkole technicznej w Madwin, który mi oświadczył, że z początku i jego sąd o rzeczy był równie surowy, lecz później przekonał się, że w wielu wypadkach te proste krajowe urządzenia pokazały się praktyczniejsze,—skórzane wiadro, choć drożej kosztuje, w użyciu jest tańsze, gdyż lepiej wytrzymuje nagłe zmiany temperatury, wilgoci i suszy, niż czyto metal czy drzewo; z drugiej strony, w braku paliwa i umiejętnych mechaników, woły są lepszą siłą motoryczną niż para. Chłopiec, otrząsając się ze swej parafjańszczyzny, w sądach swoich uczy się brać w rachubę względność i proporcjonalność.

W towarzystwie odpowiedniego dorosłego mężczyzny, chłopiec nauczy się ze skromnością i sprawiedliwą miarą cenić to, co doskonałe, bez względu na narodowe odrębności. Przysłuchując się opowiadaniu o bohaterstwie Japończyków, wierności Chińczyków, świątobliwości i poświęceniu Hindusów, pozbędzie się raz na zawsze tego lekceważenia, z jakim Zachód patrzy na świat Wscho-

du. W sercu jego spotęguje się uczucie braterstwa. Przyglądając się tym ludziom oko w oko w ich rodzinnem gnieździe, widząc ich niezmienną uprzejmość, łagodny rozsądek i godność, z jaką znoszą mozoły i cierpienia—o ile tylko ma serce w piersi, musi się zawstydzić i przejąć podziwem.

Gdy byłem nad pięknem jeziorem Czuzendżi, pewien młody poeta właśnie popełnił był samobójstwo, skoczywszy do wodospadu Kegon. Czyn jego był tem gorszy, że miał matkę, wdowę, dla której był jedyną podporą. Starowina zmartwiona przyszła do małej herbaciarni u stóp wodospadu, by zabrać ciało swego syna. Tu zaznała przychylności wzruszającej. Gdy odchodziła, ludzie utrzymujący herbaciarnię nie chcieli od niej przyjąć zapłaty, mówiąc, że była ona gościem wodospadu.

Jeżeli nasz siedemnastolatek ma wynieść korzyść ze swej podróży, musi się bezpośrednio stykać z ludźmi, o ile możności mówić ich językiem, wnikać w ich życie i oceniać ich wedle ich najlepszych a nie najgorszych stron. Szczególniej powinien unikać towarzystwa innych turystów, czyto Amerykanów czy Europejczyków, a wogóle omijać zagranicznych agentów dyplomatycznych. Mogliby mu oni zapewne udzielić wielu cennych informacyj, lecz w tem niewiele znalazłoby się wiarogodnych, a na pewno nasz wędrowiec spotkałby się ze zdumiewającą ilością uprzedzeń i przesądów. Jedyna droga pewna, to brać wszystko z pierwszej ręki, stale szukać w każdym razie faktów i tych się trzymać raczej, niż cudzych komentarzy, opierających się najczęściej na czemś bardziej niepochwytnem, niż fakty. Bolesne to, ale prawdziwe, że z najgorszej strony poznaje się Japonję w tak zwanych portach traktatowych, gdzie ludność krajowa wchodzi w najbliższy kontakt z tak zwaną „chrześcijańską cywilizacją".

W Indjach najlepiej się przedstawiają ci Hindusi, którzy zachowali czysty typ rodzimy, a oparli się wpływom angielskiej asymilacji. Jeżeli chłopiec wyrusza w drogę życzliwie usposobiony dla ludzi, uprzejmy, z umysłem

badawczym i naukowo wykształconym, powróci z sercem przepełnionem, jako kosmopolita w najlepszem znaczeniu tego słowa, i pozostanie na całe życie przeciwnikiem zawziętym tych nędznych małostkowych przegród, dzielących między sobą narody świata, wojny i fałszywego patrjotyzmu, ceł protekcyjnych, wszelkiego rodzaju wyłączności i partykularyzmów. Taki plon duchowy, takie szczere poczucie solidarności ludzkiej, poczytuję za najcenniejszą zdobycz podróży po świecie. Nie jest ona jednak jedyną. Znajomość geografji i historji współczesnej, sztuki i budownictwa, religji i ekonomji — czerpać w niej może z żywych, bezpośrednich źródeł. Mając obok siebie starszego inteligentnego przewodnika, chłopiec bystry i ciekawy ma w podróży najwymowniejszą lekcję poglądową o działalności ludzkiej, konkretny pokaz tego, czego ludzie dokonali i nad czem pracują. Jego bujną wyobraźnię przejmuje dreszcz podziwu, widząc cały przepych i bogactwo twórczości ducha ludzkiego. Odczuje zarazem także jakoby podnietę i wyzwanie. W obliczu takiego ogromu pracy dokonanej i bieżącej, nieuchronnie musi sobie zadać pytanie: *Co ja uczynię?* i do tego to pytania chcieliśmy go właśnie doprowadzić. Wszędzie zobaczy on wkoło siebie pracujących mężczyzn, kobiety, a niestety—nieraz również i dzieci i będzie musiał stwierdzić, że nietylko całe bogactwo nagromadzone w przeszłości, całe współczesne bogactwo rynków światowych, lecz i jego własny dział ogólnego dobytku—łóżko, w którem sypia, jego dach nad głową, ranna kąpiel, ubranie, pożywienie, przybory podróżne, wszystkie kulturalne urządzenia—biorą początek z ludzkiego znoju. Jakiś mężczyzna, kobieta, dziecko, musieli pracować na to, co jest, a on, silny, zręczny, dobrze wyćwiczony fizycznie – dotąd darmo korzysta z hojnych plonów cudzej pracy. Będzie to bardzo dosadną nauką, jeżeli ją oświetlimy z humanitarnego stanowiska. Mężczyznę czy chłopca, który w ten sposób dzieje postępu ludzkiego pozna, zacznie dręczyć niepokój wewnętrzny, póki nie zdoła ze swej strony złożyć należnej daniny pracy, odmierzonej hojnie w stosunku

do sił, a ściśle w stosunku do zdolności. Mógłby kto myśleć, że zaprzęgam bryczkę przed końmi, uprzedzając o wynikach podróży, zanim jej plan nakreślę; jeśli ktoś jednak nie zna wartości samego przedsięwzięcia, jeśli myśli o niem ciągle, jako o pustej włóczędze bezczynnego bogacza, nie zaś jako o poważnem duchowem dociekaniu, trudno wymagać, by w projekcie podróży widział ważną część wychowawczego systemu i kładł wiele zapału w wykonanie go. Wielu odstrasza od myśli o podróży bądźto zbyt wielki wydatek, bądź też brak zrozumienia jej wielkiej wartości. Chciałbym usunąć obie te przeszkody. Podróż moja, trwająca przez dziewięć miesięcy akademickiego roku, nie kosztowała mnie więcej, niż byłbym wydał w ciągu tego samego czasu, żyjąc bardzo skromnie w miasteczku Concord, w Massachusetts. Odbyłem tę podróż razem z bratem przed 8-miu laty. On był właśnie w tym wieku, o którym mowa, miał lat siedemnaście, a ja dwadzieścia ośm. Poza tem, co wydaliśmy na ubranie i na zbiory artystyczne, właściwy koszt podróży wyniósł na każdego tysiąc pięćset dolarów, począwszy od wschodnich drzwi naszego domu do zachodnich. Ponieważ — na nieszczęście — koszty utrzymania wzrosły do obecnej chwili, dziś podróż taka musiałaby niewątpliwie więcej kosztować, jednakże przy unikaniu wszelkich zbytecznych wydatków, możnaby ją odbyć — sądzę — za jakieś dwa tysiące dolarów. O ileby można pozwolić sobie na wydanie kilkuset dolarów na dobrze wybrane artystyczne przedmioty — druki, bronzy, szkatułki, hafty, ceramiczne wyroby, latarnie, fotografje i t. p. — byłyby to niezmiernie miłe pamiątki, co wiem z własnego doświadczenia.

Puszczając się w podróż, każdy sam powinien zdecydować, czy woli zwykłym szlakiem podróżnym wyruszać na wschód, czy przeciw stałemu prądowi, na zachód. Niejedno powiedzieć można na rzecz pierwszej lub drugiej decyzji. My obraliśmy drogę na Zachód i zaczęliśmy podróż na początku września. To nas zawiodło do Japonji w porze złocieni i klonów, nie zaś na wiosnę,

gdy kwitną sady wiśniowe. Sądzę, że było to rozsądne postanowienie, choć gdybyśmy byli jechali na wschód, byłbym prawdopodobnie tak samo myślał. Nie leży w moich zamiarach opisywanie całej tej cudownej podróży ze wszelkiemi szczegółami, gdyż zajęłoby to osobny tom i stałoby się zbytecznym dodatkiem do naszej bogatej literatury podróżniczej. Chcę tylko nakreślić ogólny szkic podróży i podnieść niektóre jej znamienne epizody. Jak dalece pewne i akuratne są obecne środki podróżowania, świadczy fakt, że człowiek, który chciał nam towarzyszyć, lecz wolał wyruszyć w kierunku na wschód, obliczył, iż powinniśmy spotkać się w Benares, w samem sercu Indyj Wschodnich. Istotnie, przyjechaliśmy tam równocześnie, a on nazajutrz puścił się w dalszą drogę. Nadmienię jeszcze, że po powrocie do domu obliczyliśmy z bratem, iż spędziliśmy 65 nocy na morzu, a nie zdarzyła się wśród tego ani jedna burza morska. Nie zaznaliśmy również rozbicia okrętu, prócz w samym środku Kanału Suez, gdy *Persja* zaryła się dziobem w piasek, na ostrem zagięciu przy El-Ferdan, przez co straciliśmy cały dzień. Przeszliśmy nudną, ośmiodniową kwarantannę w Kandy na Cejlonie, gdzie brat mój zachorował lekko na wietrzną ospę. Naogół jednak odbyliśmy drogę tak wygodnie, dobrze, bezpiecznie i szczęśliwie, tak mało zaznaliśmy przeszkód jakichkolwiek, że chwilami miałem wyrzuty sumienia, myśląc, jak małym kosztem zaznaliśmy takiego mnóstwa wrażeń. Korzyść z podróży odnieśliśmy ogromną.

Faktycznie podróż zagraniczną rozpoczęliśmy właściwie w Montreal, skąd zwróciliśmy się na Zachód linją „Canadian Pacific“. Aż do Calgary było dość nudno, później jednak tydzień spędzony w górach, przebywanie Gór Skalistych, Selkirk, łańcucha nadbrzeżnego, Coast Range, całodzienne przystanki w Banff, Lake Louise i Glacier, możemy postawić narówni z najpiękniejszemi epizodami całej naszej podróży. Większą przyjemność sprawiła nam tylko jedna rzecz w Indjach: Himalaje widziane od strony Darjeeling, jedna w Japonji: Fuji-yama, od cieśniny aż do „Ośmnastu prowincyj“, jedna w Europie:

okolica wokoło mego zamku genewskiego w kwitnącym miesiącu maju, oraz jedna w Ameryce: powrót do domu. Ośm lat temu podróżowanie po Kanadzie było wygodniejsze i bezpieczniejsze, niż po Stanach Zjednoczonych, to też nie dziwiło nas to wcale, że spotykaliśmy tam wielu Europejczyków w drodze do Japonji i Indyj, ale bardzo byliśmy zdziwieni, że wielu z nich nawet na myśl nie przyszło, by przejechać granicę i rzucić okiem na Stany Zjednoczone. Było to dla nas uderzającem odkryciem.

Dla przeprawy przez Ocean Spokojny można wybrać kilka różnych dróg. Parowce angielskie, wychodzące z Vancouver, uchodzą za najlepsze, sądzę też, że są najszybsze, gdyż podróż do Yokohamy trwa dziesięć dni. Płyną one jednak bardzo blisko Koła Biegunowego, a w kajutach temperatura jest tak unormowana, że lepiej dogadzać może Anglikom niż Amerykanom. Z tego powodu, jak również i dlatego, że chcieliśmy zwiedzić Honolulu, zawróciliśmy do San Francisco na linję japońską. Na takim okręcie dowódcą jest Anglik, lecz wszyscy inni oficerowie, załoga i służba są to Japończycy. Płynąc takim okrętem, można się wyćwiczyć w milczeniu. Drobny brunatny ludek krząta się przy swych zajęciach z dokładnością i akuratnością maszyny, cichutko, bez szmeru, jakby w poduszeczkach z waty. Jedyne dźwięki, jakie wpadają w ucho, oprócz wysokich głosów Amerykanów i niewczesnych śpiewów grupy misjonarzy, to dzwonki okrętowe, a od czasu do czasu wstrząsający odgłos sygnałów pożarnych. Ćwiczenia strażackie stanowiły stałą część codziennych zajęć, i zawsze znienacka się zaczynały. Ocean Spokojny jest straszliwie, odrażająco pusty. Płynęliśmy nieraz kilka dni, nie widząc żadnego statku, a wtedy zrozumieliśmy, jak rozumne było zarządzenie tych ciągłych ćwiczeń, gdyż pożar na takim osamotnionym okręcie na pełnym Oceanie musiałby mieć bardzo tragiczny epilog, nawet gdyby udało się wszystkich w porę umieścić na szalupach ratunkowych.

Życie na Oceanie Spokojnym jest czemś jedynem w swoim rodzaju. Nie lubiłem morza, póki nie znalazłem

się na Pacyfiku. Siedemnaście dni przeprawy bynajmniej nam się nie wydały długie. Zrozumiałem, dlaczego Robert Ludwik Stevensone zaliczał żeglugę na południowych morzach do najlepszych środków odzyskania zdrowia. Komendant Hong-Kong Maru trzymał się poniżej 30° szerokości, omijał przeto strefę burz. Dzień za dniem przyświecało nam wciąż słońce, a noce księżycowe były jedne od drugiej piękniejsze. Uciszały się najbardziej stargane nerwy, najruchliwszy umysł kołysał się do snu. Mogliśmy tak żeglować bez końca, sunąć po lśniącym Oceanie, który wprawdzie dawał nieprzerwaną jednostajność widoku, łagodnie falującej toni, bezkresnego sklepienia nieba, niezmąconej powodzi słonecznego światła i tajemniczego uroku cichych nocy, lecz napełniał dusze poczuciem nieskończoności i spokoju, co wieczór zaś darzył ekstazą żeglugi po roztopionem złocie ku glorji zachodzącego słońca. Dla żywego, wrażliwego chłopca siedemnastoletniego, toż to znakomita szkoła — owa przeprawa przez góry skaliste, bezkresny widok oceanu, bezmiar niebieskiego sklepienia, słońce, księżyc, gwiazdy, czyliż można mu ukazać jakiś równie piękny obraz świata?

Towarzystwo na okręcie — powiedzmy szczerze — było znacznie mniej ciekawe, niż można było pragnąć. Większość pasażerów w kajutach stanowili misjonarze. Zdarzały się wśród nich dodatnie wyjątki, lecz naogół wydał mi się bardzo niedorzecznym, pomysłę wysyłania takich ludzi dla naprawiania tak subtelnych i cennych tworów, jak dusze ludzkie. Dziwiłem się, jak tego rodzaju stworzenia mogłyby dawać sobie radę i zarobić na siebie, gdyby były pozostały w domu. Tutaj jednak, odbywali wędrówkę podjętą w teoretycznie jak najlepszej myśli, choć w praktyce może ku jak największej szkodzie, wspierani przez biedaków swej ojczyzny, którzy może składają ostatnie grosze ze swej krwawicy na to, co poczytują za ofiarną służbę bożą. Raz od pewnej filji pocztowej w Waszyngtonie daremnie usiłowałem kupić znaczek pocztowy. Dama, która stała w ogonku przede mną, na nieszczęście znała urzędnika pocztowego i wdała się z nim

w tak długą rozmowę, że wkońcu musiałem odejść, nie załatwiwszy mego sprawunku. Póki jednak sądziłem, że się doczekam, z konieczności musiałem słuchać rozmowy. Dama opowiadała o wspólnym znajomym, który wyjechał jako misjonarz do Japonji i dwa lata gorliwie pracował, walcząc przeciw Złemu Duchowi. Urzędnik zadał bardzo rozsądne pytanie, czy ta praca uwieńczona była nawróceniem jakiej duszy. Odpowiedziano mu, że jeszcze nie — niestety — ale dodała na pociechę, że w najbliższym czasie zanosi się na kilka nawróceń. Wkońcu, z uczuciem triumfu nadmieniła, czego ona dokonała, gdy była w Japonji. Gdy przyjechała, kobiety i mężczyźni kąpali się razem; obecnie prawo nakazuje im kąpać się oddzielnie. Ponieważ te wspólne kąpiele nie były połączone z żadnem zgorszeniem, przeprowadzenie takiej zmiany po dwóch latach pracy wydać się musi bardzo marnym plonem, nawet gdy ktoś na własny koszt robotę prowadzi, a pożałowania godnym, gdy się pomyśli o osamotnionej żonie i dzieciach, wychowanych marnie lub zaniedbanych dlatego, aby ich ojciec mógł siać niepokój w duszach ludzi, których nie zrozumiał.

W pięknem Kioto spotkałem interesującą młodą osobę, która byłaby mogła — mojem zdaniem — mieć wielkie powodzenie w Ameryce, zaś w Japonji była rozdrażniona i kwaśna. Jej rodzice byli najdawniejszymi misjonarzami w Kobe, ona zaś długo i szeroko tłumaczyła bratu mojemu i mnie, jak mało warci byli Japończycy i jak oszukiwali jej ojca i matkę przy każdej sposobności. Z nią i bratem już im się to nie udawało. Mnie nikt nie oszuka,— oświadczyła—bo ja traktuję ludzi tak, jak proch pod nogami! (Przytaczam dosłownie jej wyrażenie). I takie doświadczenie jest pouczające. Jako wyznawca religji powszechnej, wierząc w nietykalną świętość duchowego życia narodu, nie mogę być zwolennikiem żadnego prozelityzmu. Gdybym nawet sankcjonował takie duchowe najazdy, z moich spostrzeżeń nad dziećmi misjonarzy w kraju i zagranicą musiałbym dojść do wniosku, że nawet znacznie większe sukcesy niż te, jakie wogóle na tej drodze

osiągnąć możemy, nie zdołają zrównoważyć strat, poniesionych w wychowaniu dzieci.

Nie mieliśmy wiele szczęścia, gdyż niedłużej niż ośmnaście godzin mogliśmy się zatrzymać w Honolulu, tak długo, jak trwał postój okrętu. Właściwie należałoby pozostać aż do przyjazdu następnego okrętu. Postaraliśmy się jak najlepiej skorzystać, z krótkiego postoju, tylko nocując na okręcie, obiad i śniadanie zjedliśmy na lądzie, by — ile tylko się dało — obejrzyć miasto i okolicę. Największą rozkoszą Honolulu, z którą spotykamy się we wszystkich szczęśliwie położonych miejscowościach podzwrotnikowych, to wszędzie przenikające, otwarte, świeże powietrze. Wszędzie drzwi i okna naścieżaj otwarte, i wszędzie rozkoszny przewiew niczem nieskażonego powietrza. Gdy tylko wspomnę o Honolulu, mimowoli oddycham szeroko i w oczach mi stają szerokie plamy słonecznego światła. Jest to miejscowość, w której wyrafinowane pozory cywilizacji wciąż przeplatają się z prymitywnością rdzenną. W pewnej miłej bocznej uliczce, wpobliżu głównych gmachów stolicy, zauważyliśmy kabrjolecik, a w nim dwóch dwunastoletnich chłopców. Byli ładni, ogorzali, a przyodziani tylko w białe spodnie. Oni sami wydawali się bardzo swobodni i naturalni, ale troszkę śmiesznie odbijały ich postacie od brzydkiego modnego kabrjoletu, w którym siedzieli. Na każdym kroku oko natrafia tutaj na takie zestawienie rzeczy nowych ze staremi, a sądząc z tego, co świeżo o tem pisano w prasie, panuje taka sama pstrocizna i niewspółmierność w dziedzinie duchowej: stare przeżytki społecznej krzywdy obok nowoczesnych poglądów na słuszność i sprawiedliwość.

Niedaleko za Honolulu okręt przepłynął międzynarodowy południk, od którego oficjalnie liczy się dzień. Ponieważ płynęliśmy na Zachód, straciliśmy jeden dzień. O ile sobie przypominam, położyliśmy się spać we wtorek a obudziliśmy się we czwartek rano. Choć to rzecz bardzo prosta, jednak człowiek jest pod wrażeniem, gdyż zdobywa konkretne poczucie tych wielkich norm w obli-

czeniu czasu i miejsca, o których dotąd wiedział tylko rozumowo. Może to dzieciństwo przywiązywać wagę do takich osobistych doświadczeń, wyznaję jednak, że od czasu mej podróży naokoło świata uczułem się lepiej zaznajomiony i spoufalony z obrazem planety, którą zamieszkuję.

O ile powietrze jest czyste, za pierwszem spojrzeniem na Japonję dostrzegamy jej wielki, śniegiem uwieńczony wulkan Fuji-yama. Jest on symbolem Japonji — zarówno jej religji, jak i jej sztuki. W ciągu krótkiej pory letniej, w której droga na górę jest dostępna, tysiące pielgrzymów wdrapuje się na szczyt. Nie jest to dla nich bynajmniej sportem, zwykłą turystyką górską, lecz aktem religijnym, pobożną pielgrzymką do najwyżej położonej świątyni Szintoizmu. Idą tam, by obcować z bogami. W sztuce japońskiej Fuji-yama powtarza się w rozmaitych postaciach. Zarówno wielcy artyści, jak pośledniejsi malowali Fuji-yamę w przeróżnem oświetleniu, o każdej porze roku, z dowolnemi pierwszoplanowemi akcesorjami, tak, że obecnie sylwetka Fuji-yamy znana jest na całym świecie cywilizowanym. My mieliśmy szczęście poznać oryginał wizerunku i pierwszy plan obrazu zwiedzić osobiście.

Kilka lat przed moim wyjazdem do Japonji, znajomy mój artysta, będąc u mnie, oglądał obrazki Hiroszigo, które powiesiłem u siebie na ścianie. W owym czasie niewiele mi one mówiły, i wyobrażałem sobie nawet, że one przedstawiają fikcyjne widoki. Uderzyło mnie też osobliwie, gdy, wskazując jeden z tych obrazków, powiedział do mnie: „Ach! to jest Kioto, i tu na tym pagórku za mostem mieszka pan Fellonosa“.

Istotnie najsławniejsze z tych rycin przedstawiają rzeczywiste widoki, przeważnie wzdłuż wielkiego traktu, wiodącego z Tokio do Kioto, dawnej stolicy Szogunów i historycznej stolicy cesarzy japońskich. Dla mnie, jak zapewne i dla niejednego z czytelników, nowością będzie to, że obie te stolice Japonji nowej i starej noszą tę samą nazwę z prostem przestawieniem sylab: To-kio i Kio-to. Pierwszą naszą przejażdżkę dżin-rykszą, zaraz po wylą-

dowaniu, skierowaliśmy na tę pochyłą drogę pod Yokohamą, którą przedstawiają najładniejsze ryciny Hiroszigo. Ile razy dostrzegliśmy jaką grupę krajowców. wydawało nam się, że są to typy z rycin Hokusa nagle wprawiane w ruch. Nie tak łatwo było spotkać pierwowzory powabnych kobiet Honolulu i innych potrecistów japońskich, gdyż w owe czasy stroje kobiet były jaśniejsze, niż to jest dziś przyjęte w dobrem towarzystwie w Japonji; tylko twarze miłe i pociągające przypominały te znane z portretów, i widzieliśmy, że te piękne stare ryciny nie z wyobraźni, lecz z rzeczywistości są wzięte. Trudno nam było pogodzić się z myślą, że znajdujemy się w XX wieku, nie zaś w jakimś nieokreślonej epoki świecie barw i linij. Poza Tokio i traktatowemi portami, Japonja dzisiejsza jest dosłownie taka sama, jak ją malowano, stanowi najestetyczniejszy zakątek kuli ziemskiej. Japończykom wprost we krwi leży poczucie piękna, miłość piękna i dążenie do odtwarzania go w sztuce. Żądza zysku handlowego skłania obecnie lud do wyrabiania mnóstwa przedmiotów wcale niepięknych, nawet wręcz brzydkich, ale nie nato, by niemi szpecić własne ogniska domowe, lecz by je wywozić do Ameryki i Europy. Osobliwe jest to, że Japończycy, gdy się przebierają po europejsku, nie umieją tego robić dobrze i wyglądają brzydko. Mężczyźni, znakomicie się przedstawiający w swych narodowych strojach, przebierali się w obszarpane jasne surduty i haniebne bufiaste spodnie, nie zdając sobie sprawy, jak jedno się z drugiem nie zgadza. Gdy po raz pierwszy ukazały się w Japonji ubrania frakowe, Japończycy — jak nam mówił pan Fellmosa — nosili je bez odpowiedniej bielizny; można sobie wyobrazić, jak śmiesznie to wyglądało. Toż samo powiedzieć można i o domach. Dziś każdy postępowy i zamożny Japończyk ma to, co nazywa „europejskim salonem“; te, które widzieliśmy, były nad wyraz brzydkie. To prawda, że meble były przeważnie fabrykacji niemieckiej pośledniejszego gatunku. Japończycy musieli kupować to, co mogli dostać na rynku Yokohamy. Jednakże rzeczywiste wyjaśnie-

nie głębiej leży, a docierając do niego, działaliśmy w myśl naszego systemu wychowawczego. Widząc ludzi, którzy ubierali się z takim smakiem, póki nosili własne, narodowe stroje, których domy i ogrody były tak harmonijne i estetyczne w każdym szczególe, a skoro tylko sprzeniewierzyli się swym własnym tradycjom estetycznym, wpadali w tak szpetne tandeciarstwo — dochodziliśmy do przekonania, że sztuka nigdy nie rodzi się gotowa w duszy jakiejś jednostki czy narodu, lecz wyrasta z długich i wytrwałych wysiłków urzeczywistnienia ideałów piękna, dziedzicznie przechodzących z pokolenia na pokolenie. Słowem, sztuka musi mieć tradycję, musi być spuścizną po minionych wiekach. Japończycy posiadają taką sztukę i w swoim własnym zakresie doszli do zdumiewającej piękności linij i barw, stworzonej pracą licznych pokoleń. Gdy jednak tylko odstąpią od swej tradycji, są zupełnie oszołomieni, a choć można ich słusznie nazwać spadkobiercami Greków w dziedzinie piękna, zdolni są tworzyć tak szpetne rzeczy, na jakie my nie zdobyliśmy się nigdy. To odkrycie sprawiło na mnie wrażenie objawienia, i dużo nad niem rozmyślałem.

Widzieliśmy szkołę współczesnego malarstwa w Uyeno Park w Tokio, gdzie krajowcy uczyli się malować w stylu Zachodu. Wystawa prac tej szkoły pobudzała do śmiechu i łez, jednakże łez było więcej. Pan Okakura bardzo wiele zdziałał dla swej ojczyzny, lecz największą jego zasługą było, że nalegał na to, by Japonja w sztuce powróciła do swych rodzimych tradycyj i ideałów, nie pozbywając się lekkomyślnie cennych zdobyczy wiekowego rozwoju. W wielu polach działalności człowiek może z wielkiemi widokami powodzenia iść własną drogą i na nowych nieznanych torach zasłużyć się i odznaczyć. Tak dzieje się w nauce, przemyśle, rolnictwie, lecz nie w sztuce. Tutaj artysta musi się liczyć z psychologją rasy, a jeśli z nią weźmie rozbrat, nie zachwyci nikogo—prócz chyba samego siebie.

A jednak choć jeden naród nie może z powodzeniem naśladować sztuki innego narodu, może ją zrozumieć

i ocenić, jeśli oba znajdują się na wysokim poziomie rozwoju. Warto zaznaczyć, że znakomita japońska harmonja linij i barw—w obrazach, strojach, świątyniach, bronzach, ceramice, haftach, emaljach, snycerstwie, ogrodnictwie—przemawia nietylko do duszy Japończyków, lecz budzi podziw wykształconych sfer Ameryki i Europy. Najpoważniejsza krytyka artystyczna cywilizowanego świata przyznaje Japonji pierwszeństwo w tej dziedzinie i podsuwa myśl, że tutaj naród japoński sięgnął poza obręb objęty jego rasowemi tradycjami i wywiera wpływ na kształtowanie powszechnych estetycznych zasad. Nie zapominam, że jest dotąd sporną kwestją, czy takie zasady wogóle istnieją, co do mnie jednak, to już ją rozstrzygnąłem dla siebie.

Japońska literatura i muzyka nie osiągnęły tak powszechnego znaczenia. O ile cudzoziemiec może się w tem zorjentować, literatura obraca się około dwóch tematów: uwielbienie przyrody i cześć dla poświęcenia. Ani tu, ani tu jednak Japończyk nie uderza w strunę ogólnoludzką. Sądząc z przekładów, utwory, opiewające przyrodę, wydają się umysłom zachodnim bardzo ubogie i niegłębokie, gdyż nastrój i temperament artysty nie odbija się w nich należycie, a opis znacznie gorzej oddaje urok przedmiotów niż linje i barwy. Niema tego duchowego czaru, jakim tchnie angielska poezja w obrazach przyrody. Poświęcenie może znaleźć oddźwięk powszechny, ale japońskie pojęcie poświęcenia zamyka się w gotowości oddania życia pod wpływem pobudek, które nam nie wydają się dość uzasadnione, jak w owej sławnej powieści o czterdziestu Rominach i tym podobnych przykładach bohaterstwa. Temat jest ogólnoludzki, lecz w tym wypadku uczucie nie jest powszechnie zrozumiałe. O muzyce japońskiej również powiedzieć można, że dla ucha Zachodniego nie ma ona uroku. Najpopularniejszy instrument muzyczny, samisen, jest słaby i poniekąd monotonny. Przypomina gitarę murzyńską. Muzyka orkiestrowa w teatrach japońskich może poprostu do rozpaczy doprowadzić. Widocznie uszom krajowców sprawia ona rozkosz,

i rodzi się pytanie, czy przy odpowiedniej kulturze nie bylibyśmy zdolni zrozumieć i ocenić muzyki japońskiej, tak jak umiemy cenić japońskie malarstwo. Muzyka jednak— choć jest najsubtelniejszą, najbardziej uduchowioną ze sztuk pięknych, choć stanowi artystyczną formę kultu ducha, podlega bardzo ścisłej analizie matematycznej, a ta analiza wykazuje, że współczesną muzykę Zachodu znamionuje olbrzymi postęp w stosunku do tego, co zna Japonja współczesna lub znała starożytna Grecja. Pracowite badania mogą nas doprowadzić do zrozumienia muzyki japońskiej, lecz musielibyśmy się bardzo cofnąć wstecz, aby ją przekładać nad własną lub wogóle znajdować w niej przyjemność. Po wysłuchaniu symfonji Bethovena, pan Okakura rzekł do swego towarzysza: „Oto jedyna może sztuka, w której Zachód prześcignął Wschód".

Duch japoński czuje się w swoim żywiole w świecie linij i barw, w tem, co przemawia do oczu. W naszem własnem pojęciu artysta jest człowiekiem, który ma oczy szeroko rozstawione. W Japonji wszyscy mają taki układ oczu, i można też powiedzieć, że wszyscy są poniekąd artystami. Bliższe poznanie Japonji pogłębiło nasze uznanie dla potęgi tradycji, a powoli przekonaliśmy się, że mimo swej artystycznej przewagi, Japonja nawet w sztuce nie dała początku niczemu, lecz wszystko zapożyczyła. Źródła sztuki japońskiej szukać trzeba po drugiej stronie morza — w Chinach. Wszystko, co w Japonji jest poprawne lub „klasyczne", jest chińskie. W niektórych kierunkach Japonja prześcignęła swego mistrza, w innych jednak, jak w ceramice i snycerstwie, nie dorównała mu żadną miarą, sądzę nawet, że się wyrodziła. Zaznaczam fakty te — ogólnie znane — nie dlatego, by zniżać sztukę japońską, sądzę bowiem przeciwnie, że pod względem wytwórczości stworzyła ona rzeczy najpiękniejsze w świecie, lecz dla potwierdzenia prawdy, której odkrycie tak silnie nas uderzyło, a która objawiła nam konieczność ciągłości wysiłków twórczych rasy i potęgę tradycji narodowej. Ta nauka potrzebna jest szczególniej nam, mieszkańcom Nowego Lądu.

Tylko trzy miesiące spędziliśmy w Japonji a użyliśmy ich tak, jak powinny użyć osoby o środkach ograniczonych, skupiając uwagę na niewielu wybranych przedmiotach, nie rozpraszając się na oglądanie wszystkiego powierzchownie. Nie próbowaliśmy nawet zwiedzać całej Japonji. Z niewielkiego zasobu rozporządzalnego czasu, dwa tygodnie poświęciliśmy na Tokio; dziewięć dni na świątynie Szogmaw Tokagawa i poświęcany las w Nikko: cudowny miesiąc spędziliśmy w pięknem Kioto, japońskiej Florencji. Resztę czasu zabrała nam Kama-kura, Mijonoszita, Hakome, Myojima, Enoszima, Nagoya, Nara, Kobe, Osaka, miejscowości, z których niejedna zasługiwałaby nato, by w niej zabawić tygodnie lub nawet miesiące, a w których my zatrzymywaliśmy się dzień lub godzin kilka. Listy polecające są w Japonji wielkiem ułatwieniem, jak wszędzie zresztą, gdyż nastręczają sposobność do wielu ciekawych spostrzeżeń, do rzutu oka na domowe życie, do uczestniczenia w proszonych obiadach, obejrzenia prywatnych zbiorów, zwiedzania krajowych szkół i warsztatów. Lepiej jest jednak, gdy listy te są zaadresowane do Japończyków a nie do ekspatrjowanych Amerykanów, ci ostatni bowiem są często malkontentami i zjadliwymi krytykami. W życiu japońskiem istnieją niezaprzeczenie ciemne strony, każdy podróżny może co najmniej stwierdzić dwie z nich, robiąc sprawunki i stawiając pytania. Przekona się, że Japończycy z reguły nie mówią prawdy, a jako kupcy — oszukują. Obie te właściwości może zilustrować jedno drobne wydarzenie. Gdy pierwszy raz stanęliśmy w Tokio, a nie znałem jeszcze wcale japońskich zwyczajów i sposobów postępowania, kupiłem duży haft rozmiarów zwykłych drzwi, a ceniłem go tem więcej, że wedle zapewnienia kupca miał to być haft starożytny. Zawiesiłem go w mym pokoju na ścianie. Wkrótce odwiedził mnie pewien dostojny Japończyk i nie mógł nie zauważyć mego świeżego nabytku. Ponieważ był on dyrektorem cesarskiego muzeum i znaną powagą w rzeczach sztuki, pochwyciłem sposobność, by go zapytać, co sądzi o hafcie i jak ocenia jego wiek. Przyjrzał mu się

z wielką uwagą i powiedział, że jest on bardzo piękny i bardzo stary. Przekonałem się później, że był on zupełnie nowy i wcale niezbyt piękny. Gdy spytałem jednego z mych rodaków, jak sobie wytłumaczyć postępek mego gościa, powiedział mi, że skłamał on świadomie z dwóch pobudek: Po pierwsze sądził, że zależy mi na tem, by haft był stary, chciał mi więc zrobić przyjemność i skłamał przez grzeczność. Powtóre nie chciał, aby poważny turysta, za jakiego mnie uważał, wyjechał pod wrażeniem, że Japończycy kłamią dla zysku. Wogóle zauważyłem, że Japończycy klas wyższych kłamią równie gładko i bez zająknięcia, jak rzetelni Amerykanie mówią przykre prawdy, czynią to jednak dlatego, by komuś zrobić przyjemność a nie z małostkowych osobistych pobudek; kłamstwo tego rodzaju wchodzi w skład ich narodowej etykiety. Kupcy kłamią, tak samo jak we wszystkich częściach świata, by więcej i lepiej sprzedać, aby handel szedł.

Każdy rozważny zbieracz szybko przekona się, że Japończycy są prawdziwymi mistrzami we wszelkiego rodzaju fałszerstwach i podrabianiach. Wyrabiają np. żelazne dzbanki, „saki“, noszące podpisy starożytnych mistrzów, i to tak umiejętnie, że wprowadzają w błąd nawet swych rodaków. Istnieją zupełnie nowoczesne reprodukcje obrazów, naśladujące tak dokładnie stare pierwowzory, że nie braknie na nich śladów wszelkiego rodzaju uszkodzeń, plam, wyblakłych kolorów, dziur wygryzionych przez robactwo. Nawet za życia sławnych malarzy zręcznie podrabiane prace ich bywają sprzedawane jako oryginały na odleglejszych targowiskach. Choć są to oczywiście rzeczy bardzo naganne, dzieją się przecież nietylko na Dalekim Wschodzie i bynajmniej nie zmieniają faktu, że i pierwowzór i jego podobizna bywają niewysłownej piękności dziełami sztuki.

Niewszystko w kupiectwie japońskiem jest tak pospolite; spotyka się i tam cechy wielkiej subtelności. Czasem właściciel małego sklepiku osobliwości lokalnych ma niemniej zamiłowania piękna niż zbieracz, który u niego kupuje. Gromadzi on i chowa swój najcenniejszy towar

i nie raczy go nawet pokazywać profanom, póki nie trafi na prawdziwego znawcę. Dopiero gdy kupujący zdradzi wytrawny sąd i smak wykształcony, pokazuje mu najlepsze rzeczy. Czasem trzeba iść do sklepu dwa i trzy razy, zanim się te skarby zobaczy, zawsze okazując zupełną obojętność na każdy drugorzędny towar. I to jednak nie jest jakąś wyjątkową właściwością Japończyków. Kupując konie, przekonałem się, że najlepiej jest pomijać te, które handlarz najgoręcej zachwala, sięgnąć głębiej do tego zapasu, który chowa dla znawców.

Najwięcej uderza delikatność Japończyków na publicznej licytacji.

Gdy bawiliśmy w Kioto, pewnego ranka przyszedł do nas ładny chłopczyk japoński do hotelu z listownem zapytaniem, czy nie zechcielibyśmy wybrać się na odbywającą się właśnie licytację. List pochodził od Amerykanina, z którym nie spotkaliśmy się dotąd, lecz który wiedział o naszym pobycie w mieście i zaofiarował się, że gotów być naszym przewodnikiem. Niebawem wybraliśmy się z nim razem w drogę. Dostrzegliśmy obszerny budynek, który musiał być lub był jeszcze prywatnem mieszkaniem. Obecnie pokoje były szczelnie zapełnione różnemi artystycznemi przedmiotami, a japońscy zbieracze chodzili z jednego do drugiego, przyglądając się im. Najbardziej uderzyła nas cisza, która tam panowała; — nikt nie wywoływał towarów, nie zachęcał do kupna. W każdym pokoju milczący urzędnik siedział na podłodze, grzejąc sobie ręce nad „hibachi“ i pijąc z filiżanki jasną niesłodzoną herbatę. Miał gdzieś przy sobie nieznaczną książkę rachunkową. Każdy przedmiot miał swój numer. Kto chciał go kupić, zapisywał swoje nazwisko, adres, numer przedmiotu i kwotę, jaką za niego ofiarował; kartkę swoją pozostawiał w ręku owego milczącego urzędnika i wracał do domu. Jeżeli się okazało, że zaofiarowana cena była najwyższa, przesyłano mu pożądany nabytek do domu i płacił za niego przy odbiorze. — Ten system wydał nam się o wiele wytworniejszym od naszych hałaśliwych wyprzedaży.

Po licytacji nasz przewodnik zaprowadził nas do swego ślicznego, japońskiego domu. Mieszkanie jego zawierało znacznie więcej przedmiotów, niż się ich widzi w domach krajowców, a różniło się tem od wszystkich mieszkań, jakie widzieliśmy kiedykolwiek, że na cokolwiek się spojrzało, wszystko było na sprzedanie. Spotkaliśmy się tam z tą osobliwością Wschodu — z handlem domowym. Od owego czasu zdarzało mi się być w podobnych domach w Ameryce — i wyznaję, że doznawałem w nich dziwnego wrażenia. Niewiele tych okazów japońszczyzny pochodziło z licytacji, gdyż krajowi zbieracze płacą tak wysokie ceny za rzeczywiście wartościowe okazy, iż nawet kupcy, mający amerykańskich nabywców, nie mogą z nimi współzawodniczyć.

Rodzime arcydzieła sztuki japońskiej nie są na sprzedaż, – nie wszystkie najcenniejsze widuje się w muzeach. Są one rozproszone po cichych domach japońskich lub nawet przechowywane bezpiecznie w rodzinnych skarbcach. Będąc w Tokio, poszliśmy w jakieś pochmurne popołudnie z wizytą do pewnego sędziwego szlachcica japońskiego, wice-hrabiego Fukuoka. Przyjął nas w zwykłym salonie na sposób europejski, ale i tam znalazło się kilka rzadkich rycin. Po kilku wstępnych formalnościach, wice-hrabia zaprowadził nas do rodzimej części domu, i tu przechodziliśmy z pokoju do pokoju; jeden piękniejszy od drugiego. W każdym siadaliśmy na chwilę, by ucieszyć wzrok widokiem jednego lub kilku rzadkich dzieł sztuki. W jednym pokoju śliczny wazon z lawy, chińskiego wyrobu, zwrócił naszą uwagę; w drugim kakemono starej szkoły; w trzecim cudowna pozłacana szkatułka, malowana przez słynnego artystę, Korina. W ostatnim pokoju, na najwyższem piętrze, służąca odsunęła „shagi“, które stanowiły zewnętrzną ścianę pokoju, abyśmy mogli zobaczyć ogród, a poza nim niskie miasto o szarych dachach. W tej chwili chmury się rozeszły, i złocisty blask zachodzącego słońca oblał niezrównanie piękny kontur Fujiyamy. Był to tak nagły a tak wspaniały widok, że zdawać się mogło, jakoby stary wice-hrabia zachował dla

gości naostatek najpiękniejszy ze swych obrazów. On sam był tego obrazu piękną pierwszoplanową postacią, dostojny i dobrotliwy, ubrany w ciemnoniebieski i czarny jedwab, wierny wyznawca Konfucjusza.

Japonja dała nam lekcję estetyki — olśniła mistrzowstwem linji i barwy. Może ona jednak nauczyć jeszcze i innych rzeczy, a wśród tych może najbardziej kształcące jest jej pojęcie państwa i podporządkowania państwu jednostki.

Bawiąc w Japonji, mieliśmy sposobność widzieć nieboszczyka cesarza. W dzień swych urodzin robił przegląd wojsk na placu ćwiczeń pod miastem. Pawilon cesarski mieścił się tuż obok trybun ambasadorów zagranicznych, mogliśmy tedy przyglądać się cesarzowi z odległości sześćdziesięciu stóp, co najwyżej. Było to tuż przed wojną rosyjsko-japońską, i uczucia narodowe były podniecone do najwyższego stopnia, ale cesarz wchodził i wychodził wśród najgłębszej ciszy. Głęboka cisza panowała również i później, gdy objeżdżał ogromną równinę, siedząc na swym karym wierzchowcu pełnej krwi, a żołnierze defilowali przed nim. Dla większości ludu cesarz był zawsze jeszcze osobą świętą, czemś zbliżonem do bóstwa, na które patrzeć można tylko z lękiem. To też wszystkie usta milczały, a oczy odwracały się, jakgdyby unikając nadmiaru wrażenia. Był to bardzo wysoki mężczyzna o pięknem czole i równie pięknych oczach. Dolna część twarzy była trochę obwisła, a na koniu siedział fatalnie. Nawet w naszych hardych republikańskich sercach budziło się uczucie, że widzimy bardzo niezwykłą i dostojną osobistość. Patrzeliśmy bowiem na cesarza, jako na wcielenie idei państwa i czuliśmy niezmierną ciągłość i trwałość jej tradycji.

Kilka tygodni później, gdy byliśmy w Kioto i pewnego dnia jechali wąwozem, by zwiedzić piękne jezioro Oziwa, zauważyliśmy mały japoński domek obficie udekorowany powiewającemi flagami, kolorowemi chorągiewkami i girlandami kwiatów. Widocznie odbywała się tam jakaś niezwykła uroczystość. Jeden z ludzi wioza-

cych naszą dżinrykszę wyjaśnił nam, że mieszkali tam bardzo ubodzy ludzie, którzy dla urządzenia tej demonstracji wydali wszystko, co mieli, i zadłużyli się tak, że przez całą zimę będą musieli pracować na spłacenie zaciągniętego długu. Zdaje się, że syn ich został powołany do wojska i tegoż wieczora ma się z nimi pożegnać. A mieli tem uroczystem świętowaniem okazać, jak dalece cenią zaszczyt, jaki na nich spada, że cesarz zezwolił ich synowi, by służył pod jego rozkazami. Zastanawiałem się potem nieraz nad tem, czy ich syn przeżył wojnę i do nich powrócił. Zasługiwali na to szczęście. Już wtedy łatwo było przewidzieć, jak się wojna skończy.

To zupełne, bezgraniczne podporządkowanie jednostki państwu sprawia, iż Japonja jako naród jest wprost podziwu godna, że jest może najbardziej jednolitym narodem naszych czasów, najbardziej ofiarnym a przy swej liczebności i zasobach niezwyciężonym. Drugim wynikiem jest to, że Japończycy indywidualnie są znacznie mniej interesujący, niż ich sąsiedzi w Chinach i Indjach. Umieją naśladować, przyswajać sobie wszystko, iść z postępem, lecz zdaje się, że brak im oryginalności, a gdy się znajdą poza obrębem własnych instytucyj i tradycyj, wykolejają się szybciej i gruntowniej niż inni cudzoziemcy. Gdy mieszkałem w Kalifornji, nigdy nie słyszałem nic dobrego o Japończykach, a zdaje się, że ani razu nic złego o żadnym Chińczyku. Słyszałem, że Japończycy zjednali sobie lepszą opinję w Hawaji; może dlatego, że tam są bardziej wyodrębnieni, a stąd mają większe poczucie zbiorowej odpowiedzialności. Sądzę, że w tem tkwi jądro „kwestji japońskiej“, — jak tego rodzaju naród zdoła się przystosować do indywidualizmu współczesnego Zachodu a utrzymać swą moralną wartość. Co do mnie, myślę, że my, którzy narzuciliśmy im to zagadnienie, powinniśmy brać na cierpliwość i pomagać im w rozwiązaniu go, nie zaś odpychać ich i okazywać im wzgardę.

Zdaje się, że religja jest w Japonji sprawą bardzo realną i ma wielki wpływ na lud. Stosuje się to w równej mierze do Buddyzmu i Szintoizmu, a między jedną

i drugą wiarą nie widać żadnego antagonizmu. W Kioto mieszkaliśmy w Yami-Hotel, na zboczu wzgórza, panującego nad miastem. Blisko nas była świątynia Chionin i jej prześliczny ogród. Idąc do miasta — to znaczy codziennie — przechodziliśmy przez ogród, napawaliśmy się pięknością świątyni i jej otoczenia; codziennie też słyszeliśmy dzwony, wzywające na nabożeństwo. Mało jest równie pięknych rzeczy na świecie, jak stara świątynia buddyjska, zwłaszcza jeśli wznosi się wśród ogrodu, a ogród leży na wzgórzu. W Nikko świątynie same są tak wspaniałemi dziełami sztuki, że istnieje japońskie przysłowie: „zobaczyć Nikko i umrzeć“, jednakże i tam zarówno świątynie, jak i grobowce zawdzięczają znaczną część swego uroku temu, że leżą na malowniczym stoku górskim, otoczone prześlicznemi ogrodami z majestatyczną kryptomerją, górującą ponad wszystkiem. W Chionin piękno nie jest równie podniosłe, lecz tak urocze i pociągające, że zdawało mi się, jakgdybym mógł je dotknąć, głaskać ręką puszyste szczyty niskiego, spadzistego dachu, lakierowane ozdoby ołtarza, tulić się do zielonej, świeżej gęstwiny liści w ogrodzie. Przychodziło mi na myśl, że gdy nadejdzie moja godzina, chciałbym umrzeć w podobnym ogrodzie, a kiedy już umilkną moi przyjaciele, i ich pożegnania przenikną do mej duszy, czuć tylko dotknięcie ich ręki, słyszeć coraz słabsze echo dzwonów świątyni i tak przejść do Wiecznego Pokoju.

W tych buddyjskich świątyniach, zarówno jak w wielu szyntoickich — (jeśli się nie mylę, byli tacy, co z równą pobożnością modlili się to w jednych, to w drugich naprzemian) — wierni wydają się bardzo szczerzy i szlachetni, a sądząc po wyrazie ich twarzy, pokój Boży gości w ich sercach. Niezmiernie uszlachetniający wpływ wywiera budzące się wobec tego przekonanie, że żadna świątynia, żadne miejsce święte nie jest obce, lecz każdy może się modlić przed każdym ołtarzem i doznać podniesienia ducha.

Nazwałem Kioto japońską Florencją, gdyż tu owiewa człowieka tchnienie minionej wielkości i nie przemijają-

cego piękna. Podobno niegdyś to miasto miało mieć dwa miljony mieszkańców i wypełniało całą równinę, objętą górami. Obecnie skurczyło się do dziesiątej części swej dawnej rozległości. Kruche domki japońskie, znikając, nie pozostawiają żadnych śladów, żadnych sterczących kominów, żadnych podziemnych fundamentów i piwnic, nic— tylko pulchną, zielenią okrytą ziemię, która się oswobodziła z pod nich. Trwają tylko piękne świątynie. I te są budowane z drzewa, równie kruche jak domy, lecz pobożne ręce dbają o nie, wciąż je naprawiają i odnawiają. Wkoło nich prześliczne stare ogrody są stałe przystanią spokoju i porządku. Mila za milą jechaliśmy dżinrykszą przez ciche zielone pola jednej takiej oazy duchowej. Tak jak góry i lasy potęgują urok świątyń w Nikko, a wzgórza i ogrody w Chionie, tu cisza i zieleń pól wyzłoconych blaskiem słonecznym wzruszają serce do głębi, gdyż z jednej osamotnionej świątyni przechodzimy do drugiej. Niegdyś stanowiły one część wielkiego, tętniącego życiem miasta, rezydencji Mikada; niegdyś były one natłoczone tłumem wiernych. Teraz miasto, cesarz, tłumy nabożnych odpłynęły jak fale morskie po przypływie, i świątynie stoją opustoszałe. Przypominają mi one te przecudne świątynie greckie w Pesto, dziś sterczące wśród zielonych pól i sadów oliwnych. Niegdyś roił się w ich pobliżu ruchliwy port latyński, przynosząc im wciąż nowy napływ stęsknionych za ojczyzną dzieci Grecji, które tu w pobożnych modłach koiły swą nostalgję.

Mieliśmy list polecający do pewnego dostojnego kapłana indyjskiego w jednej z najpiękniejszych i najbardziej opustoszałych świątyń. Nie mogąc uzyskać do niego przystępu, ani wyjaśnić jego młodemu akolicie celu i znaczenia naszej wędrówki, napisaliśmy do niego list, prosząc, by przyszedł do nas na obiad do hotelu. Sądziliśmy, że przyjemnie mu będzie przy tej sposobności zrobić tę małą wycieczkę w szerszy świat. Zasiedliśmy do stołu z bratem i zostawiliśmy trzecie nakrycie dla oczekiwanego gościa, ale nie zjawił się; sześć miesięcy temu przeniósł się do Nirwany.

Po miesiącu pobytu opuszczaliśmy Kioto ze szczerym żalem. Pokochaliśmy to miasto, lecz nie poznaliśmy go. Czuliśmy, że zatrzymaliśmy się ledwo na jego progu. Prawdziwe Kioto pozostało niedostępne, nieprzeniknione dla umysłów Zachodu, choć wszystkie jego domy stoją otworem. Z pomiędzy Amerykanów Lafcadio Hearn najbliżej poznał ducha Japonji. Wszystkie jego książki są bardzo pouczające, lecz istotnym duchowym przewodnikiem po Japonji jest „Japan interpretation“ (Japonja w wyjaśnieniach), książka, która pojawiła się wkrótce po naszym powrocie. Zdołałem zaledwie zlekka dotknąć głębokiego wrażenia, jakie na nas zrobiła Japonja. Trzy miesiące starczą co najwyżej na to, by dostrzec jedną cząstkę jej uroku a przy sposobności rzucić spojrzenie w jej głębsze, duchowe życie. A jednak Japonja jest niewyczerpanem źródłem wychowawczego wpływu, i czujemy doskonale codziennie, o ile inni jesteśmy dziś, dzięki temu, żeśmy tam byli.

Żałuję, że nie mogę tego bezpośredniego działania przyznać Chinom. Byliśmy tam zbyt krótko w warunkach niezbyt przyjaznych. Było to krótko po powstaniu Bokserów i swobodna wędrówka po kraju nie była ani zbyt miła, ani bezpieczna. Widzieliśmy Szang-haj, kilka dni spędzili w Hong-kong i odbyliśmy ciekawą wycieczkę do Kantonu. Nie spotykaliśmy się jednak z Chińczykami, nie licząc przewodników i kilku kupców w sklepach. To jednak, co widzieliśmy, podnieciło naszą chęć widzenia więcej, i chyba nigdy nie uspokoimy się, póki nie zobaczymy Pekinu i nie poznamy jakich rodowitych wybitnych Chińczyków w ich własnem domowem ognisku. W Kantonie spotkałem człowieka, którego myśli chciałbym przeniknąć. Był widocznie znakomitą osobistością. Ubrany był w przepyszne ciemne jedwabie i jechał w zamkniętej lektyce. Rzuciłem okiem na jego twarz, gdy nasza otwarta lektyka go mijała, i nigdy nie zdarzyło mi się dostrzec na ludzkiem obliczu takiego wyrazu niechęci i pogardy. Byliśmy widocznie dla niego „obcemi djabłami“, tak samo jak w oczach jego rodaków.

Ciekawy byłbym wiedzieć, co o nas myślał i o co nas obwiniał. Poznaliśmy Chiny niesłychanie powierzchownie, ale i to się na coś przydało, gdyż rozszerzyło pole naszych zainteresowań. Uważniej dziś śledzimy przejmujące wieści, jakie stamtąd dochodzą, i może trochę lepiej je rozumiemy, niż gdybyśmy tam weale nie byli.

Hong-kong jest bez wątpienia miastem angielskiem, i dobrze byłoby zatrzymać się tutaj, by uczynić kilka uwag praktycznych. Pierwsza i najważniejsza to ta, że nie zrobilibyśmy drugi raz tak, jak się nam teraz zdarzyło, by kupować bilet naokoło świata z Bostonu i zpowrotem. Wiele praktyczniej byłoby kupić bilet tylko do Hong-kong, z dowolnemi przystankami w drodze, stąd do Londynu, a wkońcu do domu. Człowiek w ciągu podróży nabiera doświadczenia, a przy takim sposobie podróżowania, może mieć większą swobodę w wyborze drogi. Koszt podróży niewieleby się zwiększył. Druga uwaga jest nietyle ważna, ile ciekawa. W Hong-kong niepodobna zatrzymać się na jeden dzień w hotelu. Tak było przynajmniej przed ośmiu laty. Można tylko przenocować, zjeść śniadanie i obiad, ale płaci się rachunek za dwa dni. Motywuje się to w ten sposób, że jeśli przyjechałeś wczoraj, a dziś wyjeżdżasz, byłeś wczoraj i dziś, zatem przez dwa dni korzystałeś z gościnności. Trzebaby przyjechać o 12-ej 1 m. w nocy, a wyjechać następnie na minutę przed północą, by hotel obliczano na jedną dobę, ale takie godziny nie dogadzają nikomu z podróżnych Spodziewam się, że ten zwyczaj się nie utrzymał, gdyż jest on nietylko niesprawiedliwy, lecz wywołuje zadrażnienia, które miastu nie robią dobrej opinji, a gościom nie wychodzą na zdrowie.

Kto czytał Kiplinga, zwłaszcza zaś „Kim'a“ i „Plain Tales from the Hills“ (Powieści ze wzgórza), ten od chwili przybycia będzie się czuł w Indjach, jak w znajomym kraju. Da się to już odczuć i w Hong-kong, gdyż skłoni do wybrania się stamtąd statkiem P. L. O. do Colombo. Parowiec, na który wsiedliśmy, był mały. Było na nim tylko dwunastu pasażerów, a jednym z nich jakaś biedna

kobieta, która zmarła w drodze, i pochowano ją o świcie w połyskujących, letnich falach Zatoki Bengalskiej. Nie żałowaliśmy naszego wyboru, gdyż nie spotkała nas żadna burza, a marudziliśmy w Singapore i Penang dłużej, niżby to było możliwe, podróżując większym statkiem. Między innemi zyskaliśmy sposobność do bliższego poznania oficerów, a warto było ich obserwować. Byli to napozór bardzo przyzwoici panowie — co wieczór przebierali się do obiadu, a co niedzielę rano odczytywali w południe anglikańskie nabożeństwo. Poza tem byli jednak wciąż całkiem niepotrzebnie szorstcy i gburowaci. Gdy kapitan powiedział mi, że powinienem się dać usmażyć w oleju zato, że pozwalam bratu uczyć się na morzu francuskiego języka, wziąłem to za zwykły angielski żart i nie obraziłem się. Ale wszystkie ich rozmowy były zaprawione drwinami nietylko z Ameryki i Amerykanów, lecz z całego nieangielskiego świata. Można się było wprost gorszyć, patrząc na takich podróżników, co niestrudzenie obiegają świat, a mimo to wciąż pozostają wyspiarzami. Mając taką lekcję poglądową, tem usilniej postanowiliśmy pielęgnować i szerzyć kosmopolityzm. *„Niech każdy idzie swobodnie własną swoją drogą“.*

Do najciekawszych książek, godnych polecenia każdemu, kto się wybiera na Daleki Wschód, należy znane dzieło Meredith Townsend: „Europa i Azja“. Czytałem tę książkę dwukrotnie, a za każdym razem uderzała mnie bystrość obserwacji i umiejętne grupowanie faktów. Po długoletniem studjowaniu stosunków na Wschodzie, autor dochodzi do wniosku, że Azja nie zeuropeizuje się nigdy, co wydało nam się bardzo mądrem zdaniem, gdyż zgadzało się z naszem. Nie mogliśmy jednak podzielać dalszych wniosków, wysnutych z poprzedniego, gdyż autor w tej głębokiej i niewzruszonej odrębności widzi nieuleczalne zło, gdy wedle mnie jest ona błogosławiona. Nie dlatego, abym sądził, że Azja jest lepsza od Europy, lecz że doskonałość nie mierzy się jednym szablonem. Nie chodzi wcale o to, by wszystkie narody były do siebie podobne, jak nie zależy na tem, by wszyscy ludzie

byli podobni jedni do drugich. Pomyślmy tylko, jak nudny byłby świat, gdyby wszyscy ludzie tak wyglądali, jakgdyby się wychowali w Hoboken, lub nawet w Bostonie. Do najważniejszych zarzutów, jakie stawiać można naszym bardzo niewłaściwym programom elementarnego wychowania, należy ten, że one łamią indywidualność i produkują tłumy istot nudnych i beznadziejnie banalnych. Europa zawsze jeszcze pozostaje znacznie bardziej interesującą niż Ameryka. Nieraz słyszymy naszych mędrków, głoszących zasadę, że naprzód należy poznać własny kraj, a mówią to z tem większem namaszczeniem, jeżeli nigdy nie byli za granicą, ale też bardzo mało znają Amerykę. Prawdą jest jednak, że u nas jest niewiele rzeczy godnych widzenia, ponieważ taka straszna panuje jednostajność. Kto widział jedno miasto w Nowej Anglji, jedno w Stanach środkowych, jedno w okręgach pustynnych, jedno w południowej Kalifornji i jedno na północnem wybrzeżu Oceanu Spokojnego — ten już widział wszystko. Wszystkie domy amerykańskie można podzielić na pięć różnych typów — Kolonjalne, Bungalow, Włoskie, w stylu Królowej Anny, oraz Carpenter & Builder — tych ostatnich zaś jest najwięcej. Istnieje specjalny wzór współczesnych kolonjalnych budowli, który pojawił się w Battle Creek, San Antonio, Jacksonville i setkach innych miejscowości. Kto przyjedzie o zmierzchu i znajdzie się w podobnym domu, nie zgadnie, w jakiej się znajduje okolicy i w którym ze stanów. Ta szablonowość wynika stąd, że jesteśmy społeczeństwem nowem, które bardzo szybko się dorabiało, i dokonaliśmy bardzo wiele w bardzo krótkim czasie — ale nie są to rzeczy podziwu godne. Powszechnie stwierdzono ich banalność i pospolitość, a ogół coraz lepiej zdaje sobie z tego sprawę. Zaczyna się objawiać dążność do uwzględniania lokalnych warunków i tworzenia odpowiadającego im budownictwa, do popierania wytworów rodzimych i rękodzieł. Europa musiała od tego zaczynać. Rosła ona przed epoką kolei żelaznych. Miasta oddalone od siebie o trzydzieści mil oddzielała całodzienna podróż, a stan dróg nie pozwalał na

przewóz wielkiej ilości ciężkich towarów. Wskutek tego rozwijała się nieuchronnie miejscowa sztuka, architektura, rzemiosło, jako piękny wynik tych trudnych warunków. Kto widział jedno miasto w Europie, ten jeszcze niema wyobrażenia o innych. O godzinę drogi spotkać może zupełnie odrębną indywidualność. Z tego powodu nie jest to bynajmniej brakiem patrjotyzmu twierdzić, że najkorzystniej jest zwiedzać najpierw stare kraje, gdzie człowiek dłużej i dawniej mieszka i pracuje, i gdzie przy tym samym nakładzie czasu i pieniędzy człowiek może zgromadzić większą skalę i rozmaitość pouczających wrażeń i spostrzeżeń. Dość jestem optymistą, by wierzyć, że obecny okres surowizny przejściowej przeminie w Ameryce i utoruje drogę do bardzo pięknego rozkwitu, że odzyskamy i rozwiniemy indywidualistyczną bujną twórczość naszych przodków, nie wznawiając ich błędów i przesądów. To jest możliwe, ale nie jest nieuchronne. Bez pracy, bez wysiłku nie osiągniemy niczego. Pracowano nato, by świat uczynić tem, czem jest, trzeba również pracować, by uczynić go lepszym niż jest. Z podróży naokoło świata chłopiec winien powrócić jako skończony typ człowieka, jako kosmopolita, który wszędzie czuje się u siebie i dla którego nikt nie jest „cudzoziemcem". „Niechaj nikt nie szczyci się tem — mówił Baha'u'llah — że kocha swą ojczyznę; niech raczej tem się szczyci, że miłuje rodzaj ludzki". Taki chłopiec będzie lepszym Amerykaninem i lepiej służyć będzie ojczyźnie, gdyż służyć jej będzie rozumniej.

W Indjach człowiek nauczyć się może duchowej i umysłowej tolerancji. Zdaje się, że nawet Islam stępił tam ostrze swego fanatyzmu. Islam jednak nie jest tam górującą potęgą, tylko Hinduizm, a tonem zasadniczym w Hinduizmie jest uniwersalizm, bezgraniczna tolerancja. To jest religja bez dogmatyzmu, religja, której naczelnym nakazem jest, by uczeń nigdy słów mistrza nie przyjmował na wiarę, lecz oponował mu póty, póki nie zostanie przekonany. Może inaczej się rzeczy mają w dalekich zapadłych wioskach, ale Hindusi, których my spotykaliśmy,

nie okazywali wcale niechęci dla chrystjanizmu. Przeciwnie, szanowali go jako europejską metodę poszukiwania prawdy Bożej. Chrześcijaństwo nie dało się poznać Hindusom z nazbyt pociągającej strony. Widzą oni w niem religję narodu zdobywczego, narodu, który nie okazuje im uszanowania i względów. Anglikańska pogarda dla indyjskiej niższości i odrębności obejmuje nietylko religję, lecz i filozofję Indyj. Kto zwiedzał Indje ożywiony duchem badawczym, musi się bardzo mieć na baczności, by utrzymać właściwą miarę sądu. Poznać Indje jest równie trudno, jak poznać Japonję — a co do mnie, mam poważne wątpliwości, czy człowiek Zachodu zdoła kiedykolwiek przeniknąć tajemnice azjatyckiej duszy. Sądzę jednak, że bardzo wiele wygra, jeśli unikać będzie styczności ze szczupłą garstką angielskich urzędników, tej panującej klasy, która zimą sprawuje rządy w Indjach a co lato do Anglji powraca, a natomiast postara się zbliżyć do wykształconych krajowców.

Na szczęście, mieliśmy listy polecające do grona wybitnych mężczyzn i kobiet w Kalkucie, którzy dali nam trochę rzucić okiem w głąb serca Indyj, a cnoć Hindusi, z równym zapałem polecali nam zwiedzić Budh-Gaya, najświętsze miejsce na ziemi wedle pojęć buddyjskich, oraz Benares — ich własne Miasto Święte. Przewodnikiem naszym był pobożny Hindus, człowiek może najbardziej religijny ze wszystkich, jakich znałem w mojem życiu. Religja była treścią jego życia, wypełniała mu dwadzieścia cztery godziny na dobę. Obecnie już przeszedł do pozagrobowego bytu. Może najwięcej wzruszał mnie u niego jego wielki zachwyt nad Budha-Gaya i bezgraniczna cześć, jaką tu okazywał. Przypominam, że tutaj właśnie Buddha doznał Objawienia swej wzniosłej nauki o miłości dla wszelkiego żyjącego stworzenia. Istnieje tu niezmiernie starożytna świątynia i sławna barjera Asoka, w obrębie której potężne drzewo, wedle podania pochodzące od tego świętego drzewa, pod którem siadał Buddha. Buddyzm dotąd co do liczby wyznawców zajmuje pierwsze miejsce wśród religij świata, miejsce to jest zatem świętem dla

najliczniejszej kategorji mieszkańców ziemi. Trudno, znajdując się tam, nie być czcią przejętym i wzruszonym. Już sama wiara miljonów pobożnych uświęca takie pamiątkowe miejsca. Jeżeli poza tem przypomnimy sobie wzniosłą naukę Buddhy i stwierdzimy, że w niej znajduje się źródło ważnych elementów nauki Chrystusowej, świętość ta tem głębiej nas poruszy.

Łatwo zapominamy, jak rozległe są Indje, gdyż widujemy je zwykle na mapach o tak małej skali, że ich obszar nie działa na wyobraźnię. Chciałbym niekiedy widzieć taki piękny atlas, w którym wszystkie kraje świata byłyby przedstawione w tej samej skali, równie szczegółowo i z porównawczemi zestawieniami. Mówi się, że Indje są gęsto zaludnione, ale nie pamiętamy, że ludność ich jest cztery razy liczniejsza niż Stanów Zjednoczonych. Słyszymy o trapiących je plagach i głodach, jako o klęskach—nie wiemy, że one trwają nieprzerwanie, a wtedy tylko stają się głośne, gdy przechodzą w stan ostry. Wyobrażamy sobie Indje, jako kraj bajecznie bogaty, nie myśląc o tem, że tam codziennie zachodzi słońce nad miljonami wygłodzonych istot ludzkich. Bez przesady powiedzieć można, że w Indjach każdej chwili ktoś z głodu umiera. W ciągu naszego krótkiego pobytu w Indjach, t. j. w ciągu dwóch miesięcy, przebyliśmy około czterech tysięcy mil, zaczynając od Tutikorin, wschodniem wybrzeżem aż do Kalkuty i Dardżeling, przecinając kraj linją wielkich miast: Benares, Agra, Delhi, Lucknow, Jajpur, Ajmir — aż do Bombaju, gdzie rozstaliśmy się z Indjami, by ruszyć w dalszą drogę. Widzieliśmy zaledwie cząstkę Indyj, ale usiłowaliśmy wedle możności pojąć ducha ożywiającego ich życie narodowe, ich religję i sztukę. Sądzę, że niema nic równie pouczającego, jak zwiedzanie Indyj po Japonji. Japonja, to kraj, w którym naród jest wszystkiem, a jednostka niczem, przeto kraj niesłychanie interesujący jako całość, a zdumiewająco nieciekawi ludzie. W Indjach naodwrót: niema tam zupełnie ducha narodowości, zbiorowości, współdziałania. Ich dzieje, to dzieje zaburzeń i przewrotów. Bywały one zawsze ofiarą we-

wnętrznych zamieszek, lub zewnętrznego najazdu. Dziś pół miljona Anglików rządzi i trzyma w poddaństwie czterysta miljonów krajowców, zatem jeden Anglik wypada na 800.000 Hindusów. I to się nie zmieni w ciągu wielu przyszłych pokoleń. Indje mogą otrzymać od Anglji mniej lub więcej ograniczoną autonomję, mogą nawet w razie niepowodzeń polityki europejskiej — dostać się pod inne panowanie — ale też na tem koniec. Nie stanowią one całości w tem znaczeniu jak Japonja, ani nawet w tem znaczeniu—jak my. Są one tylko olbrzymiem zbiorowiskiem jednostek, i tem się tłumaczy, czemu tak są słabe, jako naród, a tak interesujące, jako ludność. Myśląc o Indjach, można w pamięci odtwarzać ich rozległy obszar, niebotyczne góry, wspaniałe świątynie, ich burzliwą historję, ich obecnych władców i zawiłe zagadnienia, z któremi się zmagają. Wszystko to jednak nie będzie stanowiło myśli najgłębszej, najistotniejszej. Właściwe Indje to duchowy zespół ludzi, z których każdy szuka Boga, którym dlatego tak braknie wszelkiego zmysłu administracyjnego i gospodarczego, ponieważ pochłania ich ta jedna wielka namiętność. W tem wszystkiem jest coś niesłychanie szlachetnego i podniosłego. Dla Anglików jednak, posiadających taki talent do rządzenia i do wszystkich praktycznych zadań życia — to jest wręcz irytujące, i widzą w tem objaw narodowego niedołęstwa. Tutaj jest znakomita sposobność do rozszerzenia swych poglądów i sądu o rzeczy. Można słusznie krytykować naród, który nie dąży do osiągnięcia czegoś, co uznaje za cenne i chwalebne, można go zato nawet potępiać, lecz nie można obwiniać o niedołęstwo narodu, który nie osiąga tego, do czego wcale nie dąży i nie dążył nigdy. Indje nigdy nie dążyły do przewagi w sprawach praktycznych. Ich celem były zawsze sprawy duchowe. Z punktu widzenia Anglo-Sasów, zarówno Anglików jak Amerykanów, Indje zbyt wiele cierpień fizycznych przyjmują bez oporu, zbyt łatwo godzą się z tem, że mnóstwo ludzi umiera z głodu i zarazy, a niewątpliwie i myśl cierpi skutkiem zbyt wielkiego rozdźwięku między

duchem a ciałem. Mimo swej subtelności i swych wielkich triumfów, uderza ona pewnym brakiem tężyzny, kładąc cały nacisk na życie wieczne, zagrobowe, lekceważąc świat doczesny i byt teraźniejszy.

Kółko moich indyjskich przyjaciół należało do nowoczesnej szkoły; wielu było między nimi nacjonalistów, kołysanych marzeniem o niepodległości Indyj. Wszyscy oni czuli i uznawali, że obecne potrzeby Indyj leżały w dziedzinie praktycznego życia, że niezbędne było szerzenie wiedzy przyrodniczej i jej zastosowań w życiu. Szczególniej chodziło im o wykształcenie zawodowe, techniczne. Mam ochotę przytoczyć fakt, który mi sprawił dużą osobistą przyjemność, ale dzięki sprzyjającym przypadkowym okolicznościom. Siostra Niveditha prosiła mnie, tak jak wszystkich poważniejszych gości, o oddanie pewnej przysługi jej ukochanym Indjom. Chciała, bym został na miejscu, jako wychowawca jednego z krajowych książąt, a następnie jako kierownik wychowania publicznego w jego kraju. Gdy to okazało się niemożliwe, zadecydowała, że w ciągu krótkiego czasu, którym rozporządzałem, powinienem jej poświęcić obszerny wywiad w sprawie pracy ręcznej i nowoczesnego technicznego nauczania. Spędziliśmy bardzo pracowicie całe popołudnie. Kto czytał świetną książkę Nivedithy o życiu Indyj, łatwo może sobie wyobrazić, jak zręcznie gromadziła i układała pożądany materjał. Został on opublikowany w „The Statesman“ a potem przedrukowany w formie ulotnego pisma i rozesłany do wszystkich krajowych książąt. Wskutek tego pewną liczbę młodzieńców krajowych wysłano na studja do Europy i Ameryki. Dwa czy trzy lata później jeden z nich wpadł mi w ręce w Bostonie, a dzięki wspaniałomyślności pani Shaw zdołał zabrać do Indyj pana Larsona, by tam prowadził normalne kursy slöjdu dla krajowych nauczycieli. Minął jeszcze rok czy dwa, gdy doszła mnie z Indyj wiadomość, że w tem jednem księstwie uczy się już tysiąc trzysta dzieci. Sądzę, że do dzisiejszego dnia już kilka tysięcy dzieci indyjskich uczy się robót ręcznych dzięki szczęśliwej myśli Siostry Nivedithy. Mój

udział w tej olbrzymiej zasłudze był minimalny. Zastałem już nabitą i wycelowaną strzelbę, a przez uprzejmość pozwolono mi pociągnąć za cyngiel.

Dla Anglosasa, nawet serdecznie przychylnego Indjom, nie jest łatwą rzeczą zdobyć się na cierpliwość wobec swoistego nastroju umysłów w Indjach. W Kalkucie np. nawet w zimie jest gorąco i wszędzie trzeba jeździć. Wsiadasz do dorożki, wskazujesz woźnicy cel drogi i ruszasz pełen dobrej myśli. Po pewnym czasie woźnica odwraca się i pyta, dokąd zamierzasz jechać. Wtedy jedzie gdziekolwiek we wskazanym kierunku i—pytając po drodze różnych przechodniów — wkońcu dowozi cię na miejsce zawsze za późno na umówioną godzinę. W Paryżu woźnica, któryby cię nie zawiózł najkrótszą drogą pod wskazany adres w mieście, naraziłby się na utratę swego konsensu. Gdy skarżyłem się na dorożkarzy w Kalkucie, Niveditha powiedziała mi, że myśl ich zajęta jest wiele ważniejszemi sprawami, niż moja marna osoba i jej wędrówki; ona się pogrąża w zagadnieniach duchowych. Oczywiście niema dwóch zdań, co jest ważniejsze: rozmyślania duchowe, czy powożenie dorożką; niemniej człowiek powinien robić naprawdę to, co jako swe zatrudnienie podaje.

Może to zaniedbywanie ciała a całkowite oddanie się sprawom ducha spowodowało, że Indje tak mało dały w dziedzinie sztuki. Ich świątynie należą do najstarszych i najciekawszych na świecie; mówią nam one bardzo wiele i posiadają bardzo niezwykłe cechy, lecz bynajmniej nie są piękne. Tym, co je budowali, chodziło widocznie o wrażenie ogromu, śmiało użytej masy, brakło im jednak poczucia wdzięku linji, barwy i kształtu. Widzieliśmy w Indjach wiele rzeczy niezapomnianych, ale dzięki niezrównanej piękności ich przyrody; — niezrównany jest naprzykład widok Himalajów od Darjeeling — nie widzieliśmy żadnego pięknego tworu czysto rodzimego, to znaczy dzieła Hindusów. W szkole technicznej w Madura, uprzejmy dyrektor pokazał nam kilka przedmiotów rzadkiej brzydoty, które mu zrobili chłopcy Hindusi, i z dumą objaśniał, że są one gotyckiego rysunku z ornamen-

tacją drawidjańską. Wynik jednak był bardzo niefortunny. Zbudziła się w nas szczera sympatja dla duchowego życia Indyj, szczere zainteresowanie dla ich wspaniałych zabytków historycznych, a dla ich ludności żywa przychylność. Dziwnem wydało mi się już wówczas, a dziś jeszcze więcej może, że ten wysoce rozwinięty, uduchowiony lud aryjski może mieć tak mało poczucia piękna. Jego stroje ludowe były nieraz bardzo estetyczne, ale w każdym rodzaju rękodzieł, naprzykład w oprawianiu klejnotów i innych rzemiosłach artystycznych, zdradzał zawsze brak smaku. Po towarach japońskich indyjskie wydawały się niezdarne, a niekiedy odrażające.

Nie zapominam bynajmniej miasta Agra z jego wspaniałą świątynią Taj Mahal, którą zaliczam do najpiękniejszych budowli na świecie. Nie jest ona jednak indyjską; jest dziełem mahometańskiego najeźdzcy, Szach Jedana, a wiele swych najcenniejszych ozdób, swe marmury, swe koronkowe ołtarze, delikatne arabeski, inkrustowane drogiemi kamieniami — zawdzięcza francuskiemu artyście, wziętemu do niewoli. I to jest znamienne, że Taj Mahal jest dziełem nawskroś indywidualistycznem. Zbudował ją jeden mężczyzna przez miłość dla kobiety. Nie czyni to najmniejszej ujmy piękności tego dzieła, że ono jest egzotyczne i osobiste; przeciwnie ten ostatni rys sprawia, że ono żywiej przemawia do duszy. Do sztuki indyjskiej zaliczać go nie można. Warto zaznaczyć, że w kraju, którego książęta posiadają takie nieprzebrane bogactwo drogich klejnotów i innych osobistych kosztowności, trzeba było dopiero zamorskich cudzoziemców, Anglików, by uchronić Taj Mahal od ruiny i przywrócić budowli pierwotną wspaniałość. Do Agry przyjechaliśmy rano i z niemałym wysiłkiem woli powstrzymaliśmy się od zwiedzania Taj Mahal aż do właściwej chwili, pod zachód słońca. Wtedy przedstawia się najpiękniej a następnie przy świetle księżyca. Rano i w świetle dziennem wrażenie jest znacznie słabsze.

W takim krótkim rzucie oka na nasz pobyt w Indjach należałoby może mówić tylko o ogólnych wrażeniach, nie

mogę jednak pominąć milczeniem dwóch drobnych faktów, jakie nam się wydarzyły przed rozstaniem się z tym krajem w porcie Bombaj. Miasto to jest stolicą Parsów, wśród których dzięki listom wysłanym uprzednio, doznaliśmy gościnności i życzliwości. W całem państwie liczba ich nie przenosi pół miljona, tak, że co do liczebności stanowią oni tylko maleńką sektę wśród wielkich sekt indyjskich. Są oni jednak tak inteligentni, tak racjonalistyczni, tak wykształceni, że zdają się wywierać wpływ nieproporcjonalnie wielki. Zwiedzaliśmy ich sławną „Szkołę Pestalozziego“, gdzie doprowadzono naukę o rzeczach aż na skraj manjactwa. Przechadzaliśmy się z nimi nad brzegiem morza o zachodzie słońca w godzinie wieczornej modlitwy; obejrzeliśmy z zewnątrz ich osobliwe cmentarze — trupiarnie, gdzie obnażone ciała zmarłych wystawiają na żer sępów, przyczem wyjaśniali nam, że jest to wyrazem demokratycznej idei, że wobec majestatu śmierci wszyscy są równi. Dwa razy gościł nas pewien bardzo sympatyczny Pars i jego prześlicznie ubrane córki. Wszystko to trwało krótko — zaledwie parę dni, ale dostarczyło nam zupełnie nowych i odrębnych wrażeń i obserwacyj.

Drugie zdarzenie zajęło tylko kilka chwil, lecz wyryło się trwale w naszej pamięci, gdyż pozwoliło nam przekonać się naocznie o tym wspaniałym anglo-saskim zmyśle sprawiedliwości, który budzi szacunek dla Anglji w całym świecie, nawet tam, gdzie przez swą zimną nieczułość i bezwzględność nie zdołała ona sobie zjednać przychylności. Zaproszono nas, byśmy przysłuchali się sesji Wysokiego Trybunału (High Court), a trafiliśmy na zakończenie słynnego procesu, którego dotychczasowy przebieg był nam już znany. Jeden z krajowych wydawców, zdecydowany nacjonalista i zawzięty przeciwnik angielskich rządów, przez dwa lata doznawał prześladowania ze strony swoich własnych rodaków. Sąd krajowy, dla pobudek jemu tylko znanych, potwierdził ciężkie i niedorzeczne zarzuty przeciw niemu podnoszone i zasądził go na więzienie. Skazany odwołał się od sądu w Puah

do Wysokiego Trybunału w Bombaj. Sędzia Anglik, znakomicie oświetliwszy całą sprawę, wykazał całą niedorzeczność procedury krajowego sądu, obalił jego wyrok i wrócił wolność człowiekowi, który zapewne żywił do rządów angielskich nienawiść niemniejszą, niż ktokolwiek z mieszkańców Indyj.

W początkach marca wsiedliśmy na pokład „Persji" i wyruszyliśmy znowu na zachód. Ponieważ w tej porze roku angielsko-indyjscy urzędnicy otrzymują urlopy i jadą do domu — domem jest dla nich zawsze Anglja — znaleźliśmy się wśród samych przedstawicieli panującej klasy. Niema co mówić, wielu z nich osobiście byli to bardzo przyjemni ludzie, wprost zachwycający i całkowicie oddani obowiązkom, których się dobrowolnie podjęli. Jednakże dla mego antyimperjalistycznego umysłu, cena, jaką Anglja opłaca dążenie do panowania nad całą niemal resztą świata, wydaje mi się bardzo wygórowana i ryzykowna. Był to—bądź co bądź — światek ciasny, pełen drobnostkowych wyróżnień, wyspiarskich przesądów i tego rodzaju parafjańszczyzny, której należałoby bardzo unikać, gdyby się miało uchodzić za człowieka dobrze wychowanego. Większość tych „Budowniczych Imperjum", byli to ludzie duchowo lub fizycznie chorzy, albo też jedno i drugie razem. W porównaniu z nimi, moi świątobliwi Hindusi, których mało co zajmuje — poza ich duchowemi rozmyślaniami—rozporządzający ogromną ilością czasu, jak każdy, kto się mało wdaje z ludźmi — robili mi wrażenie wielkich panów.

W marcu bardzo miło jest żeglować po Oceanie Indyjskim i przez Morze Czerwone. Po parnej atmosferze Bombaju bardzo odświeża szerokie tchnienie powietrza na otwartem morzu. W Suezie jednak spotkała nas przykra niespodzianka, którą wspominam dlatego, iż może ona się trafić każdemu podróżującemu naokoło ziemi i każdy musi się przygotować na to, by ją znieść cierpliwie. Dowiedzieliśmy się, że urzędnik pocztowy na pokładzie „Persji", Hindus, został pozostawiony w Adenie z powodu choroby, a ponieważ okazało się, że to była zaraza,

każdy z nas, zanimby wstąpił na ziemię egipską, musiałby przebyć kwarantannę. Z tego wynikło, że mieliśmy do wyboru: albo spędzić tydzień lub dwa kwarantanny u Studni Mojżesza (Moses Wells); albo jechać wprost do Europy. Ponieważ my obaj z bratem przebyliśmy już jedną kwarantannę w Kandy i nie mieliśmy ochoty narażać się na drugą, woleliśmy się przesiąść na bardzo szybki, lecz przepełniony i niewygodny stateczek, odpływający stąd do Brindisi i londyńskiego ekspresu. Żałowaliśmy tem więcej, że, ominąwszy Egipt, pomijaliśmy również Palestynę i Grecję. Próbowaliśmy się pocieszać myślą, że po tak ciekawych wrażeniach, jak zwiedzenie Japonji, Chin i Indyj — można Egipt, Palestynę i Grecję na drugi raz odłożyć. Poznanie sześciu takich ciekawych krajów w ciągu jednej zimy i wiosny może wprowadzić zamęt w najtęższe dusze.

Wycieczka poprzez Włochy, Budapeszt i środkową Europę jest w swoim rodzaju równie piękna, jak rzadsza od niej — podróż po Dalekim Wschodzie, o ile ktoś odbywa ją dla nauki, a nie tylko dla prostego oglądania widoków. Ponieważ jednak te kraje są zbyt dobrze znane, nie potrzeba się o nich rozpisywać.

Kładę tak wielki nacisk na podróż naokoło świata, jako najlepszy środek wychowawczy dla chłopca w ośmnastym roku życia, gdyż znaczenie podróży jest zazwyczaj bardzo niedoceniane. Dodaję zawsze, że trzeba ją odbywać w odpowiedniem towarzystwie, dla poważnej nauki, nie zaś w charakterze zwykłego „globe trottera“, goniącego jedynie za rozrywką poszukiwacza wrażeń. W naszym kraju jest bardzo wielu ludzi bogatych, którzy mogliby zdobyć się na taką wycieczkę dla swoich synów. Niemało jest i takich rodziców, którzy mogliby synom swoim towarzyszyć w podobnej podróży, przyczem i sami otrząsnęliby się z niejednego prowincjonalizmu i rozszerzyli swe pole widzenia, dając przykład dzieciom, jak mają tej pracy nad sobą dokonać. Bezporównania więcej przyniesie chłopcu korzyści trzy lata sumiennej pracy w szkole i rok kształcącej podróży, niż cztery lata

nauki, przeplatanej rozrywkami, a bezpośrednio po nich wstąpienie do kolegjum. Naturalnie, przypuściwszy, że uczeń był poprzednio dobrze wychowywany, jeśli bowiem jest głuptasem lub beznadziejnym snobem, na jedno wyjdzie, gdzie jest i co robi.

Rozumiem doskonale, że przeciętny Amerykanin nie ma nato, by choć dwa tysiące dolarów dać synowi na podróż naokoło świata, tem więcej, jeśli ma prócz niego więcej dzieci do wychowania. Wiem i to, że niekażdego stać na umieszczenie syna w kolegjum, że przeto nie ma wyboru i musi go odrazu skierować do zarobkowej pracy. Gdy nasze życie przemysłowe zostanie zorganizowane zgodnie z odpowiednim społecznym planem, gdy zbliżymy się do tego, co pan Wells tak szczęśliwie nazwał „Wielkiem Państwem“, coraz łatwiej będzie urzeczywistniać podobny system wychowawczy dla wszystkich obiecujących chłopców. Narazie jednak większość maturzystów naszych szkół wyższych nie może sobie pozwolić na podróże. Mając lat siedemnaście, każdy z nich posiada zwykle niewielki zapas garderoby, kilka książek, podarunków gwiazdkowych, bicykl, tanią strzelbę, mandolinę, kilka narzędzi, dużo powierzchownych, półnaukowych wiadomości i wielki zapas fałszywych wyobrażeń o życiu. Słowem, typowy siedmnastoletni wyrostek z klas średnich jest bardzo niewyrobiony i zaściankowy. Najpierw więc nastręcza się pytanie, czy metoda kształcenia młodzieży przez rok wędrówki może mieć zastosowanie w rodzinach o skromnych środkach, niewiększych niż te, o których tu była mowa. Skłaniam się do przekonania, że to jest możliwe i że wynik może być pomyślny. Pierwszym warunkiem jest, by chłopiec trzymał się wiernie swej idei. Ameryka może się tem pochlubić, że tu — więcej niż w jakimkolwiek innym kraju, człowiek może ideę swą śmiało i otwarcie w czyn wcielać. Smutne jest tylko to, że tak mało jest u nas chłopców, którzyby mieli jakąś wielką ideę i chcieli jej służyć!

Przypuśćmy, że chłopiec ją posiada; wtedy potrzeba mu starszego, mędrszego przyjaciela, któryby z nim zmie-

rzył pole różnych możliwości i ocenił, która z nich najpomyślniejsze otwiera widoki. Jeśli chłopiec wychowywał się w mieście, oczywiście, wskazaną rzeczą będzie, aby jakiś rok spędził na wsi. Bardzo często zdarzyć się może, że jakiś jego wuj, dziadek lub dalszy krewny, pracujący na roli i trzymający się swej zagrody, chętnie przyjmie takiego gościa, a chłopiec może zdrową pracą na otwartem powietrzu odwdzięczyć mu się za swe utrzymanie, a nawet w czasie żniw oddać mu cenne usługi. Jeżeli w rodzinie niema nikogo takiego, to za pośrednictwem osób zaufania godnych można zawsze znaleźć jakąś godną rodzinę, u której na tych samych warunkach umieścić się można. Naodwrót znów, dla chłopców, wychowanych na wsi, zimą zaznajomienie się z życiem miejskiem w zdrowych warunkach może stać się bardzo pouczające. Resztę roku mógłby spędzić na wsi, w okolicy innej niż jego rodzinne strony. Bardzo dobrze jest, gdy chłopiec z południowych stanów przebywa jakiś czas na północy, lub pochodzący z północnych zabawi dłuższy czas na zachodzie, ten zaś, który się na zachodzie wychował, pozna stosunki w jednym ze starszych stanów. Bardzo często zdarza się, że amerykańskie rodziny mają jeszcze krewnych w Europie, którzy bardzo chętnie przyjmą gościa z za oceanu i przez rok lub kilka miesięcy dzielić z nim będą swe prace i zabawy powszedniego życia. Czasem młodzi krewni mogliby pozmieniać się na miejsca, przyczem każdy korzystałby nietylko z kształcących wrażeń zmiany środowiska, lecz zacieśniłby węzły rodzinne, które dłuższe oddalenie zawsze tak osłabia.

Jeśli chłopiec ma trochę zamiłowania przygód i żądzy wrażeń, nietrudno będzie znaleźć dla niego miejsce przy jakiej komisji pomiarów granicznych, lub u przyzwoitego kapitana, wyruszającego w dłuższą podróż, albo wreszcie w górach, gdzie mógłby już nie „na niby“, jak dawniej w zabawach, odegrać rolę cow-boya. Wszystkie takie próby połączone są z jakiemś fizycznem i moralnem niebezpieczeństwem, ale życie samo przez się jest niebezpieczne. Musimy tu wychodzić z założenia, że nasz

siedemnastoletni chłopiec jest dość rozwinięty umysłowo, fizycznie i moralnie, by mógł sam nad sobą czuwać we wszystkich warunkach zwykłych, oraz że gdziekolwiek się uda w poszukiwaniu zdrowych przygód, będzie zawsze pod okiem człowieka godnego zaufania, którego rady i wskazówki pomogą mu uchronić się od szkody i z każdej przygody wyjść cało. W świecie jest mnóstwo łotrów, ale—na szczęście—znacznie więcej jest porządnych ludzi. Większość stanowią ludzie bardzo pospolici, niezdolni zdobyć się samodzielnie na jakiś nowy plan życia, lecz wśród nich zdumiewająco wiele spotkamy takich, którzy się dadzą pociągnąć a nawet zapalić do wielkiej idei, gdy ją tylko zrozumieją. W obecnej chwili w Stanach Zjednoczonych musi się znajdować miljon do dwóch miljonów chłopców między siedemnastym a ośmnastym rokiem życia. Gdyby ten system „wędrówek“ został przyjęty przez rodziców i nauczycieli, nie wątpię, że znalazłoby się tyleż ludzi chętnych, którzyby pomogli wprowadzić go w życie. Niejedna rodzina w mieście chętnie przyjęłaby chłopca ze wsi; niejeden dom na wsi przygarnąłby miejskiego chłopca. Na północy zapraszanoby gości z południa, na zachodzie ze wschodnich Stanów. Właściwie żaden dom rodzinny nie jest miły, gdy w nim braknie miłego, żywego chłopaka. Tu nie potrzeba żadnej łaski. Rozweselając wszystkich swoją obecnością, chłopiec odwzajemni się za wszystko, co otrzyma, będzie to tylko wymiana, na której w najgorszym razie nikt nic nie straci, a w najlepszym obie strony zyskają. W Ameryce tysiące jest ludzi w średnim wieku, dla których taki młody gość może być błogosławieństwem, małżeństwa bezdzietne lub takie, które straciły własnych synów, lub rozstały się z nimi po ich ożenieniu i czują się osamotnione w swem opustoszałem ognisku. Nietrudno jest sprawdzić, o ile godna zaufania jest rodzina, której chłopca powierzamy. Oczywiście, zastrzec się trzeba, by gospodarze nie psuli swego gościa pobłażaniem i dogadzaniem mu a na przyszłość nie mieli do niego pretensji. Chłopiec powinien płacić, jak i ile może, albo też spełniać jakieś codzienne czynności, a przy roz-

staniu rachunek powinien zostać wyrównany i zamknięty. Może praktycznie byłoby połączyć proponowane przeze mnie wędrówki z ruchem harcerskim. Młodzież zyskałaby nowe, szerokie pole doświadczeń, a ludzie starsi, czasem wbrew woli i upodobaniu usunięci od czynnego życia — miłą sposobność do świadczenia cennych usług a zarazem przyjemność młodego towarzystwa.

Spędziłem niedawno tydzień w pięknem starem mieście Savannach. Założył je — jak wiemy — Oglethorpe na wzór obozu hiszpańskiego. Jego obszerne place do ćwiczeń dotąd dają pozór miasta wojskowego, a sprzyja temu okoliczność, że jest ono dziś wielką stacją poboru do wojska i marynarki. Miasto pooblepiane jest plakatami kolorowemi, niekiedy takich rozmiarów jak ogłoszenia cyrków, a przeważnie wykonanemi znakomicie. Jeden z nich w szczególności tak ponętnie przedstawia życie wojskowe, rzuca je na tło tak uroczego widoku przyrody, że choć jestem członkiem Stowarzyszenia Przyjaciół Pokoju i już poza wiekiem poborowym, patrząc na ten plakat, czuję dreszcz, jaki może przejmować młodego ochotnika. Dlaczego umieszczono „Wuja Sama" na wzgórzu ponad tak uroczem, lecz tak niebezpiecznem miejscem, jak Monte Carlo — trudno zaiste odgadnąć. W tych wszystkich obwieszczeniach i plakatach jedna rzecz uderza mnie najwięcej, mianowicie charakter odezw. Nie odwołują się one do powinności obywatelskich, do powiewającego narodowego sztandaru; ani słowa o patrjotyzmie, o możliwej konieczności obrony ojczyzny. Przeciwnie, przemawia się tam wyłącznie do pobudek egoistycznych z całą prostotą i otwartością. Ciekawość poznania szerokiego świata, upodobanie do parad i pogoń za nowością, popęd awanturniczy — oto o jakie struny serc młodzieży uderzają te wezwania. Obok obietnicy różnych przyjemności, znajduje się zapewnienie, że kształcić się będzie darmo a w dodatku otrzyma ubranie i pieniądze na drobne wydatki. Jakże to uderzające przeciwieństwo do owego pożegnania rodziców z synem, idącym do wojska w Japonji, w małej zagrodzie przy trakcie do jeziora Biwa. Ponieważ nowoczesna wojna ma cele po-

lityczne lub handlowe, nieskomplikowane ideowemi celami, nie daje przeto pola do wylewu uczuć patrjotycznych, ta rzetelność unikająca obłudy i górnych frazesów podoba mi się. Bądź co bądź przenosi nas to myślą do czasów dawnego Rzymu i epoki najemnego żołdactwa.

A jednak uczucia, do których odwołują się owe plakaty, są zupełnie godziwe, sądzę tylko, że możnaby je lepiej zaspokoić, wysyłając chłopca w świat dla studjowania sztuk i umiejętności pokojowych, dla nauczenia się w ciągu swej wędrówki, jak człowiek może najuczciwiej zarobić na życie i jak najlepiej przyczynić się do zwiększenia powszechnego dobrobytu i międzynarodowej solidarności. Bardzo ważnym punktem tego systemu wychowawczego, jaki ja proponuję, byłoby ułatwić chłopcu postanowienie o wyborze zawodu. Ten rok winien być wielkim przełomem w życiu; powinien on każdemu młodzieniaszkowi, biednemu czy bogatemu, zdolnemu czy tępemu, silnemu czy wątłemu, postawić przed oczy tę prawdę, że, chcąc spełnić rzetelnie swą rolę w świecie, musi ze swej strony w ten lub ów sposób przykładać się do powiększenia sumy ogólnego dobrobytu. Przysparzając żywności, odzieży, mieszkań, czy bogacąc literaturę i sztukę, pracując w służbie publicznej, w dziedzinie umysłowej czy duchowej, w każdym razie winien robić coś, co ma istotną społeczną wartość. Zarazem zaszczepić mu trzeba głęboko w umyśle tę prawdę, że nie wolno mu być wyzyskiwaczem cudzej pracy, spekulantem, pasożytem, nie wolno okradać społeczeństwa.

Najcenniejszą nauką, z roku wędrówki wyniesioną, nie jest żadna wskazówka specjalna, lecz ogólna. Mało kto z nas zdoła się otrząsnąć ze swego partykularyzmu. Niewielu dojdzie do tego, by nie myśleć prowincjonalnemi terminami, lecz wyobrażeniami moralności szeroko pojętej, na wielką, kosmopolityczną a nawet kosmiczną miarę. Mało kto jest prawdziwym tolerantem i umie się wyleczyć z małostkowego narowu, by ganić lub chwalić resztę przyrodzenia. Rzadko kto z nas naprawdę godzi się z tem, że inni ludzie żyją wedle własnych pojęć i przekonań, nie

dbając o nasze. A jednak wszystko to są nieodzowne czynniki dobrego wychowania. Chłopiec może się tego wszystkiego nauczyć z doświadczeń i obserwacji, ale przedewszystkiem od ludzi. Najlepszymi nauczycielami są ci, którzy tej nauki udzielają nieświadomie i byliby bardzo zdziwieni, gdyby się dowiedzieli, jakie spełnili zadanie. Kilka lat temu znalazłem się na robotach geologicznych w odległym zakątku Nowego Meksyku, w bardzo pierwotnej osadzie górniczej. Nie było tam żadnej granicy między złym i dobrym; jeden żył obok drugiego, nie kłócąc się wzajemnie. Było to bardzo rażące dla człowieka, który znał życie tylko bardzo starannie podzielone i poukładane we właściwych przegródkach, zaopatrzonych w etykiety. Niemniej już i wtedy w moim zaściankowym umyśle zaczęła błyskać myśl, że może oni wszyscy są dobrzy, każdy na swój sposób, ja zaś nie jestem boskim komornikiem, bym był zobowiązany ich taksować. Do tego wniosku doprowadził mnie pewien młodzieniaszek, którego tam spotkałem i z którym jadłem obiad. Miał on niespełna ośmnaście lat i był cow-boyem. Włóczył się od Montana aż do meksykańskiej granicy, żył pod gołem niebem, nie przez kilka miesięcy roku, lecz niemal całe życie, i była w nim ta osobliwa mieszanina lenistwa i ruchliwości, która znamionuje dzikie natury. Był urodziwy, choć przy cerze ogorzałej miał włosy wyblakłe od słońca a oczy jasno niebieskie o naiwnem, prawie dziecięcem spojrzeniu. W jego wyobrażeniu ideałem towarzyskiego życia była izba taneczna, a wnosząc z jego bezładnych opowiadań, ocierał się o Bóg wie jakie towarzystwo. Nigdy nie przyszło mu do głowy pytać, czy ktoś był dobry, czy zły. Nie odgradzał się od nikogo, gdyż tego go nie nauczono. Na włóczędze wszyscy byli sobie kolegami. A jednak wśród wszystkich tych przygód zachował tak nawskroś zdrową naturę, że zawsze wspominam go jako jedną z najsympatyczniejszych znanych mi istot ludzkich. On to podsunął mi nowy ideał—ideał człowieka, który nikogo prócz siebie samego nie pociąga do odpowiedzialności, dopomógł mi

on przez to do otrząśnięcia się z ciasnych, parafjańskich przesądów.

Rok wędrówki uczy chłopca niejednej rzeczy cennej i godnej poznania, ale przedewszystkiem kształci jego ducha.

XIII.

CO DALEJ?

Najpowszedniejszy argument przeciw podróży jest ten, że ona wykoleja chłopca, że wytrąca go ze zwykłego trybu powszedniego życia, źle usposabia do normalnego porządku życia w kolegjum, czyni go niespokojnym i wymagającym. Mojem zdaniem, niejeden z tych zarzutów raczej przemawia na korzyść podróży. Zarówno w starszem, jak młodszem pokoleniu niewielu jest ludzi zdolnych do samodzielnego myślenia; jeśli tedy podróż po świecie skłania chłopca do zastanawiania się nad życiem, stawiania poważnych pytań i niepoprzestawania na zdawkowych odpowiedziach, tem lepiej, tem lepsze widoki „millenium“ i Wielkiego Państwa. Jeśli chłopiec po powrocie do domu czuje się niezdolnym do ugrzęźnięcia w rutynie, jeśli tępa nuda drażni go i jątrzy, a życie zaciekawia, powiedziałbym, że znajduje się on na dobrej drodze do stania się człowiekiem wykształconym. Ten to właśnie nastrój duchowy, to niepoprzestawanie na rzeczach drugo- i trzeciorzędnych prowadzi go do pierwszorzędnego udoskonalenia. Jest to co najmniej dobrym wstępem do wykształcenia, gdy chłopca niecierpliwi wszystko, co brzydkie, tępe, głupie, pospolite i małostkowe, a zrywa się w nim pęd do tego, co stanowi przeciwieństwo całej tej szarzyzny. Nie ten jest wykształcony, kto jest malkontentem, lecz ten, komu niezadowolenie nie płoszy uśmiechu z twarzy, tylko skłania do wysiłków dla udoskonalenia i postępu.

W ośmnastym roku życia, zagadnienie redukuje się niemal zawsze do wyboru między pójściem do kolegjum a zabraniem się do pracy. Wyboru tego dokonywa się zwykle w sposób mechaniczny. Chłopcy pewnych sfer to-

warzyskich, synowie rodzin zamożniejszych, idą do kolegjum; chłopcy innych klas społecznych, nie posiadający środków materjalnych od rodziców, zabierają się do pracy. Oczywiście, nie jest to najtrafniejszy system rozwiązywania tak doniosłego problemu wychowawczego. Winny tu rozstrzygać względy osobiste, natura i temperament oraz porozumienie się z chłopcem samym. Człowiek, wychowany w kolegjum, zwłaszcza jeśli studjował i w Europie, i w Ameryce, z natury rzeczy nakłania wszystkich chłopców, by się garnęli do tego przywileju. Ja osobiście nie mógłbym się dziś pogodzić z myślą wykreślenia z mego życia trzykrotnych studjów na uniwersytecie; bynajmniej jednak nie twierdzę, by to była odpowiednia droga dla każdego młodego Amerykanina. Największy uniwersytet niewiele da studentowi, jeśli nie poruszy i nie pociągnie jego ducha. Jeżeli nasz chłopiec, mając lat ośmnaście, posiada dobre wychowanie, to nauczył się myśleć, a gdy ten cud się dokonał, wszystko inne przyjdzie samo przez się! Będzie się on kształcił konsekwentnie dalej, czy to w kolegjum, czy też poza niem. Chłopiec nie powinien wstępować do kolegjum tylko dla tej przyczyny, że to jest ogólnie przyjęte, że jego znajomi i rówieśnicy tam idą lub że majętny ojciec bez trudności może sprawić mu tę przyjemność tak samo, jak może mu sprawić samochód lub zafundować wycieczkę do Europy. Z drugiej strony, żaden chłopiec nie powinien być pozbawiony nauki w kolegjum dla tej tylko przyczyny, że ojciec nie chce lub nie może ponosić kosztu tych studjów. *Obecnie w Ameryce każdy ambitny chłopiec ma praktyczną możność kształcenia się w kolegjum.* Istnieją liczne stypendja, dla każdego dostępne, i mnóstwo sposobów zarobienia na utrzymanie. Młody Amerykanin, który twierdzi, że chciałby iść do kolegjum, lecz nie idzie, tylko słabości woli swojej winę przypisać może. Najlepsi, najwybitniejsi ludzie, których znałem, pracowali sami na swoje studja w kolegjum i przez to tem dzielniejsi się stali. Kto nie idzie do kolegjum i ma o to pretensje do społeczeństwa, pogarsza tylko swe własne położenie.

Naukę w kolegjum oceniać należy z najszerszego punktu widzenia, wyłącznie jako kwestję metody. Czy stanowi ona istotnie najlepszą, najskuteczniejszą metodę uzupełnienia wykształcenia po ośmnastym roku życia? Chłopiec sam musi to pytanie rozstrzygnąć otwarcie i jasno. Może zasięgnąć rady najlepszych doradców, jakich posiada, lecz ostateczna decyzja od niego wyjść powinna. Może dla większości chłopców kolegjum okaże się najodpowiedniejszem, a dla znacznej mniejszości przeciwnie. Ponieważ ta mniejszość obejmuje także niektóre bardzo obiecujące i ciekawe typy, z pośród młodego pokolenia, takie, które często nie trafiają na odpowiednią dla siebie drogę, skutkiem pomyłki i braku sposobności, zajmiemy się nią najpierwej.

Coraz silniej utwierdzam się w przekonaniu, że natury artystyczne nie powinny się kształcić w naszych zwykłych literacko-naukowych kolegjach. Bynajmniej nie dlatego, by wykładane tam nauki nie miały żadnej wartości w zawodzie artystycznym, lecz dla względów czysto organicznych. Chłopiec dorasta; gdy ma lat ośmnaście, plastyczność młodego wieku jest już u schyłku. Chłopiec, który chce się oddać muzyce, malarstwu, rzeźbie, — musi zazdrośnie strzec tych cech młodości. Musi on uprawiać sztukę doraźnego tworzenia, wykonywania, rozwijać wirtuozostwo, które ma zachwycać i porywać ludzi współczesnych, nie zaś teoretyczną wiedzę. W starszym wieku ani ręka, ani krtań nie zdoła zdobyć sprawności i giętkości potrzebnej. Chłopiec, zamierzający zostać muzykiem, powinien zaraz iść do konserwatorjum lub na naukę do mistrza i codziennie długie godziny pracować nad obranym instrumentem, czy to będzie fortepian, skrzypce, wiolonczela,—harfa czy głos. Cały czas i całą duszę musi oddać sztuce, wobec czego nie stać go już będzie na równoczesne studja w kolegjum.

Przychodzi mi na myśl znajomy muzyk, którego umysł i temperament nadawały się do osiągnięcia wysokiej artystycznej karjery, lecz, na nieszczęście, ojciec nalegał, by naprzód ukończył kolegjum. Obecnie ma on

bakalaureat w sztuce i to jest całą jego pociechą, gdyż minęła już odpowiednia pora, i nigdy nie zdoła on osiągnąć artystycznej wyżyny, do jakiej był zdolny. Mając lat dwadzieścia kilka, posiada on rozwinięty w pełni mózg artysty-muzyka, lecz braknie mu wyćwiczonej i sprawnej ręki, i na ulubionym swym instrumencie, na fortepianie, sam swych muzycznych pomysłów odtworzyć należycie nie umie.

Toż samo jest z malarstwem. Mam na myśli szesnastoletniego chłopca, który wbrew radom swych najlepszych przyjaciół, nie wyłączając mnie samego, nagle przerwał swe wykształcenie literackie z końcem drugiego roku szkoły wyższej i oddał się wyłącznie malarstwu. Pracował kilka lat w Ameryce, następnie rok zagranicą—przeważnie kopjując Franza Hals'a i Velasquez'a—a obecnie jest jednym z najbardziej obiecujących malarzy wśród młodego pokolenia amerykańskich artystów. Zwiedzałem świeżo jego pracownię i widziałem w niej portrety, równające się portretom starych mistrzów. Jeden z mych przyjaciół w Waszyngtonie, znakomity rzeźbiarz, mówił mi, że toż samo stosuje się do rzeźby. Młodzian musi zawczasu nauczyć się myśleć końcami palców — nietylko myśleć, lecz czuć i widzieć. On sam zaprawiał się do tego bardzo wcześnie; nigdy nie był w kolegjum.

Niewątpliwie większość naszych artystów i muzyków dobrze wyszłaby na tem, gdyby posiadała wyższą kulturę umysłową i duchową; jako artyści i muzycy wyżej wznieśćby się mogli; to jest prawda oczywista i niezaprzeczalna. Gdyby przed ośmnastym rokiem życia byli otrzymali odpowiednie wychowanie, posiadaliby już zadatki tej kultury i popęd do dalszego jej rozwijania, zarówno jak i niezbędne wstępne wyćwiczenie narządów zmysłów. W takim razie, nawet oddając się niemal wyłącznie umiłowanej swej sztuce, nieuchronnie rozwijaliby się i kształcili dalej również i w innych kierunkach.

Nie zapominam bynajmniej, że do rzędu artystów zaliczyć należy i mistrzów słowa, literatów. Spornem pytaniem jest, czy oni powinni kształcić się w kolegjum.

Dawniej uznawano za rzecz niezawodną, że kolegjum dla nich istnieje przedewszystkiem. Pierwszym krokiem każdego kandydata do literackiego powołania było wstąpienie do kolegjum. Niemniej okazało się, że laury zdobywali przeważnie ludzie z poza kolegjum. Istnieje coś w rodzaju akademickiej choroby, jakaś przeklęta samowiedza, która przeszkadza człowiekowi dokonać wielkich dzieł w literaturze, gdyż on zbyt dobrze wie, jak się je tworzyć powinno. Wielu naszych poetów, dramaturgów, powieściopisarzy, biografów i publicystów kształciło się w kolegjum i oddało cenne usługi piśmiennictwu, lecz najwięksi twórcy zjawili się z zewnątrz. W obecnej chwili nasze pierwszorzędne kolegja zdały sobie sprawę z tej anomalji. W szkołach kompozycji dramatycznej, w szkołach dziennikarskich, różnemi praktycznemi sposobami starają się dawać uczniom podnietę do tworzenia, nietylko do badania, jak tworzyć należy, i ćwiczą ich w początkach literackiego rzemiosła. W tej sprawie wahałbym się udzielać chłopcu jakichkolwiek rad. Co najwyżej porozmawiałbym z nim na ten temat, zachęciłbym do odbycia dłuższej samotnej przechadzki a następnie do wypowiedzenia się szczerze, co powiedział mu jego głos wewnętrzny.

Mojem osobistem przekonaniem jest, że artystyczne natury nie powinny iść do zwykłego kolegjum, gdyż ryzykują, że nie dopisze im sztuka. Prócz nich są jeszcze inne typy wśród młodzieży, którym nauki w kolegjum nie można zalecać. Istnieje naprzykład bardzo uderzający typ awanturniczy, młodzieniec, w którym krew krąży przyśpieszonem tętnem. Rwie się do morza, gór, puszcz dzikich. Ma on tak samo prawo iść za swym wrodzonym popędem, jak jego rówieśnicy mają prawo pogrążania się w książkach. Zapewne i o tem zapominać nie można, że awanturniczość u młodzieńca polega czasem na pomyłce. Może zakosztował on zwykłych prac, powszednich interesów, któremi większość ludzi wypełnia sobie życie, i wydały mu się one nudne i bezmyślne. Stąd wyprowadza wniosek, że dla wyzwolenia się z tej nieznośnej szarzyzny musi się rzucić w daleki nieznany świat. Ten jednakże,

który otrzymał należyte wychowanie, który duchem i ciałem rozwijał się pomyślnie, w szkole wyższej otrzymał zdrową podstawę kultury umysłowej a następnie w ciągu roku wędrówki rozszerzył swój widnokrąg — nie popełni podobnego błędu. Jeśli z otwartemi oczami wybierze drogę przygód, to sądzę, że skrzywdzilibyśmy nietylko jego samego, lecz i społeczeństwo, gdybyśmy przed nim tę drogę zagrodzili. W istocie, młodzieniec obdarzony tą skłonnością jest wiele rzadszym okazem, niż się to pospolicie wydaje ludziom dorosłym. Wszyscy mali chłopcy — o ile nie są anemiczni, lubią przygody, ale w miarę, jak wyrastają, stają się zdumiewająco szybko konwencjonalnymi i aż nazbyt wcześnie wchodzą w pospolicie przyjęte szablony życiowe. Najpierw bowiem większość chłopców nie nauczyła się myśleć samodzielnie, powtóre widzą wokoło siebie dorosłych, których przywykli szanować, a którzy tak samo postępują, po trzecie ich brak doświadczenia sprawia, że nieraz nowem jest dla nich to, co okazuje się bardzo odwieczne. Dla zwykłego chłopca zatrudnienie w gospodarstwie rolnem okaże się bardzo zajmującą nowością; jeśli mu tylko pozwolimy, spędzi kilka miesięcy w pracy, kładąc w nią wielki zapał i bogacąc się nowemi wrażeniami. Nigdy nie powinniśmy się lękać, że młodzieniec zbyt szeroki plan życia sobie zakreśla, że zbyt śmiało mierzy siły na zamiary, gdyż, znając dobrze chłopców, wiemy raczej na pewno, że w każdym poszczególnym wypadku zbyt ciasno, zbyt skromnie ogranicza swe życiowe zadania. Pomyślmy tylko, ile jeszcze nowych i śmiałych wysiłków pozostaje dotąd, przez nikogo niepodjętych, a tem mniej niedokonanych przez nikogo; mówienie prawdy, rzetelność w życiu, niewtrącanie się do cudzych spraw, kosztowanie szczęścia oraz poważny, uroczysty wysiłek poznania Boga. Gdyby jakiś młody, ruchliwy i żywy Amerykanin miał szczęśliwy pomysł stania się chrześcijaninem w całem znaczeniu tego wyrazu, sądzę, że miałby wiele więcej nowych przeżyć i zajmujących przygód w ciągu jednego roku, niż zdołał ich nagromadzić Sherlock Holmes w swej oryginalnej i ciekawej biografji. Kto moje przypuszczenie

podaje w wątpliwość, temu radzę się zaznajomić z życiem św. Franciszka.

Bardzo blisko spokrewniony z typem artystycznym i awanturniczym jest typ wynalazczy. I tutaj uważam, że kwestja pójścia do kolegjum jest wątpliwa i sporna, i tu jeszcze powtórzę to samo, co poprzednio, że po należytej rozwadze, po udzieleniu rady i wypowiedzeniu swego zdania—ostateczną decyzję jemu samemu zostawić należy. W bardzo wielu razach systematyczna nauka w kolegjum stanie się dla niego wielką pomocą. W szczególności okaże się to wtedy, gdy ma przed sobą jasno określony cel i szuka do niego dróg i środków. Bardzo często oszczędzi sobie przez to badań bezowocnych i prób chybionych, a odrazu wejdzie na właściwe tory. Niekiedy jednak młodzieniec genjalny lub bardzo utalentowany zrazi się i odstręczy. Im wyżej cenimy i lepiej pojmujemy właściwe zadanie kolegjum, tem mniej jesteśmy skłonni upatrywać w niem jakieś panaceum. Zadanie to nie polega na udzielaniu wiedzy. To jest błąd ogromny i niewybaczalny. Zadaniem tem jest wciąż jeszcze wychowanie, rozwijanie i doskonalenie ludzkiego ducha, tępienie prowincjonalizmu, przeobrażanie i rozświetlanie duszy ludzkiej. To się dokonywa poniekąd przez naukę, lecz nauka winna być zawsze traktowana jako środek, nie jako cel. Można nawet poniekąd twierdzić, że o ile szkoła wyższa i wędrówka spełniły swe zadanie, sprawa kolegjum nie gra roli, gdy bowiem duch się obudził i zapalił, niewątpliwie rosnąć on będzie i dojrzewać dalej, bez względu na to, dokąd chłopiec pójdzie i czem się zajmie.

Ważną jest rzeczą nie przeceniać znaczenia kolegjum. Bezwarunkowo nie dla każdego ono się nadaje. Po uczynieniu jednak wszystkich dotychczasowych zastrzeżeń, po wyłączeniu natur artystycznych, awanturniczych, wynalazczych, pozostaje prawdą, że dla większości przeciętnych chłopców, pragnących się szczerze kształcić, (pomijam tych, którzy wolą pozostać ludźmi zaściankowymi) najlepszą metodę stanowi nauka w kolegjum na okres trzech lat: od ośmnastego do dwudziestego pierwszego. Przeważnie

w kolegjum żądają czteroletnich studjów, lecz mowa tu o bardzo skróconym roku akademickim, obciętym jeszcze o cztery tygodnie wakacyj różnego rodzaju i przerywanym nową serją młodzieńczych rozrywek. Trzy lata starczą całkowicie na każdy racjonalny kurs nauki, zwłaszcza jeśli się ją prowadzi gruntownie i z należytą koncentracją.

Bynajmniej nie taję, że w obecnym stanie rzeczy nasz ośmnastoletni wychowaniec nie będzie mile widziany w większości amerykańskich kolegjów. Będzie miał wychowanie, lecz nie będzie posiadał wymaganych wiadomości i będzie się musiał przystosowywać, jak zdoła. Jestem jednak przekonany, że da się to odczuć tylko w okresie przejściowym. W przyszłości wierzę, że kolegja się wyzwolą i otworzą szeroko dostęp dla wszystkich przybyszów i cały zasób swej energji poświęcą na piękne zadanie kształcenia, a nie na sztukę odkrywania, jak niewiele zdoła spamiętać ośmnastoletni umysł postawiony w najmniej przyjaznych warunkach. Małostkowość naszego obecnego życia w kolegjum, z jego niedorzecznemi egzaminami wstępnemi, sprawdzaniem listy, szpiegowaniem, poważnem kiwaniem głową z powodu lada drobnostki a pomijaniem rzeczy zasadniczych, z zupełnym brakiem idealnej swobody akademickiej a babskiem stawianiem ograniczeń i lękiem nowości, — jest czemś skandalicznem i musi budzić odrazę wszystkich ludzi uczonych i ceniących swobodę. Już samo wyrażenie: *wymagania kolegjum*, jest rażące. Nie kolegjum, lecz student ma prawo stawiać wymagania, gdyż celem jest jego rozwój duchowy, a najwyższym przywilejem kolegjum jest zadość uczynić tym wymaganiom. Jeżeli nasz system edukacyjny jest coś wart, to ośmnastoletni młodzieniec nasz dobrze jest przygotowany do używania i szanowania akademickiej swobody. Właściwem zadaniem kolegjum jest udzielanie wykształcenia w każdej z ważnych dziedzin wiedzy ludzkiej, wskazanie, w jakim porządku wedle jego mniemania naukę tę przyswajać sobie należy, a poza tem pozostawienie już samemu studentowi wyboru przedmiotów i uczęszczania na wykłady. Każdy młodzieniec i każde dziewczę, ukończywszy lat ośm-

naście, zarówno jak dojrzali mężczyźni i kobiety, nim dojdą do sędziwego wieku, może sobie przecież wybrać tyle kursów, ile się spodoba, takich, jakich sobie życzy, i słuchać ich w najdogodniejszej dla siebie kolei. Jak już poprzednio zaznaczyłem, niema najmniejszej obawy, by ktokolwiek chciał iść na drugi semestr języka francuskiego, nim poznał kurs pierwszego semestru, lub by się upierał słuchać wykładów takiego działu matematyki, do którego nie jest należycie przygotowany. Młodzież bynajmniej nie lubi nudzić się i czas tracić. My, Amerykanie, co się tak szczycimy naszą demokratycznością i miłością swobody, powinnibyśmy w tym razie brać wzory z Europy kontynentalnej.

Opłakane mniemanie, że każda instytucja na świecie: Kościół, państwo, rodzina, szkoła, kolegjum — musi wiecznie wtrącać się do jednostki i, czy chce czy nie chce, prowadzić ją na wytknięte i udeptane trakty, świadczy, na jak błędne bezdroża zeszedł umysł ludzki i jak palące są nasze duchowe potrzeby. Zadanie wszystkich tych instytucyj jest jedno i to samo: wyzwolenie jednostki. A tymczasem każda z nich nakłada na nią nowe więzy.

Gdy człowiek cokolwiek uważniej przygląda się całemu naszemu mechanizmowi społecznemu, w polityce, przemyśle, religji, życiu rodzinnem, wychowaniu, gdy widzi, jak daleko sięga wytrwałe dążenie do opanowania i skruszenia tego wolnego ptaka empirejskiego, jakim jest dusza ludzka, doznaje na tę chwilę wrażenia, że jedynem możliwem wyznaniem wiary społecznej jest filozoficzny anarchizm. W szczególności uczucie to staje się bardzo wyraźnem i żywem, gdy się stoi przed bramą jakiegokolwiek amerykańskiego kolegjum i widzi się, ile pracowicie nagromadzonych przeszkód zagradza do niego dostęp dla młodzieży, ile niepotrzebnych formalności i przegród potworzono dla niej, gdy już się do kolegjum dostała, jaka tam panuje ślepota na punkcie istotnych wychowawczych zagadnień.

Przypuśćmy jednak, że nasz wychowaniec, postanowiwszy wstąpić do kolegjum, ma to szczęście, że się do nie-

go dostał; wtedy najważniejszą kwestją jest, jak ma on spędzić te trzy cenne lata nauki.

Mniejsze kolegja dotąd mają pretensje do wszechwiedzy i narzucają swoim uczniom przejście całego kursu; większe natomiast doskonale się pogodziły z metodą dowolnego wyboru. W pierwszym przypływie entuzjazmu system wyboru doprowadzono niewątpliwie za daleko; zastosowano go nawet już w szkole wyższej. Było to oczywistym błędem, gdyż układanie programu nauki nie jest sprawą, o której mogłyby rozstrzygać dzieci. Powinny one być tak pochłonięte aktualnem życiem, że nie mogą zdawać sobie sprawy z jego mechanizmu, i w tym okresie przynajmniej muszą się zdać na wytrawny sąd dorosłych. Obecnie w kolegjach daje się zauważyć dążność do ograniczenia dowolnego wyboru; niektóre przedmioty są obowiązkowe; inne dowolne. Przyznać trzeba, że system ten nie daje tak pomyślnych wyników, jak możnaby pragnąć. Przyglądałem się temu w Harward i widziałem niejeden błąd. Spotkałem się z jednym z moich wychowańców, który w pierwszym roku studjów uczęszczał na kursy pięciu języków a poza tem niczego innego się nie uczył. Inny znowu bardzo potrzebował kierownictwa, gdyż wszystkiego się uczył po łebkach a im dłużej się uczył, tem bardziej był oszołomiony i ten większy miał chaos w głowie. Był okres, w którym nie można mu było powierzyć najprostszego zlecenia, gdyż nie można było na niego liczyć. Mimo to sądzę, że system wolnego wyboru jest jedynym słusznym i pożytecznym, a jeśli niezawsze daje dobre wyniki, to nie jest wadą systemu lecz nierozsądnego zastosowania. Dwaj młodzieńcy, o których mówiłem powyżej, nie mieli dobrych i troskliwych doradców.

Pomnąc na to, że jedynym celem trzyletniej nauki w kolegjum jest wyzwolenie ducha z jego pierwotnej ciasnoty i prowincjonalizmu, oraz danie chłopcu dokładniejszego wyobrażenia o istniejącej rzeczywistości, uznać musimy, że idealny program nauki musi być ogólno-kształcący i wszechstronny. Jasną rzeczą będzie dla nas, że musi istnieć gdziekolwiek, czyli w jakiej mądrej głowie,

właściwa formuła, dla wszystkich chłopców odpowiednia, wskazująca im szeroką drogę, wiodącą do wolności z pozostawieniem każdemu z nich wyboru środków lokomocji dla przebycia tej drogi. Dzięki tej formule system dowolnego wyboru uniknąć może swych cech ujemnych, to jest rozpływania się w niepewności i chwiejności, staje się planowym i ma jasno określony cel. Niewątpliwie różne będą zdania o tem, jaką formułę ponad inne wybrać należy; jednakże każdy doświadczony nauczyciel o szerszym umyśle, zdoła bez trudności podobną formułę zbudować. Ta, którą ja dla swych wychowańców ułożyłem, przyjmuje na każdy rok pięć i pół do sześciu kursów, które tylko ogólnikowo wskazuje, a pozostawia każdemu swobodę przetłumaczenia tych ogólnych określeń na szczegółowe tematy.

Ogólna formuła przedstawia się w następujący sposób.

1. Język ojczysty.
2. Jeden język obcy.
3. Nowoczesna humanistyka.
4. Jakiś dział matematyki.
5. Laboratoryjne studja przyrodnicze.
6. Sztuki piękne.

Nazwałem moją formułę: „Kursem równomiernym“; sądzę też, że niejedno da się powiedzieć na jej korzyść. Daje ona pewien systematyczny zarys, który student samodzielnie wypełnić może. Z tuzina młodzieńców, którzy trzymać się jej będą, każdy może inaczej pokierować swą pracą. Tak naprzykład, dla nowowstępujących typowym będzie plan poniższy:

1. Codzienne ćwiczenie angielskie.
2. Nauka prozy francuskiej.
3. Wstęp do filozofji.
4. Stereometrja.
5. Praca w laboratorjum fizycznem.
6. Architektura gotycka.

Daleki jestem od mniemania, jakoby moja formuła miała być jedyną racjonalną, lecz pozwolę sobie zwrócić uwagę, że ma ona niezaprzeczone zalety praktyczne. Ujaw-

nią się one zwłaszcza wtedy, gdy nasz młodzieniaszek, idąc za dobrą radą, lecz nie za nakazem, opracuje sobie dobrze skoordynowany schemat studjów w każdym z sześciu wymienionych działów. Powyżej cytowany, typowy plan pracy nowicjuszów, wyda się napozór złożony z sześciu przedmiotów, zupełnie pozbawionych związku między sobą, dowolnie wziętych pierwsze z brzegu. Tak jednak nie jest. Są one luźne o tyle, że każdy z nich dotyczy innej strony życia, odrębnej jego dziedziny, i właśnie ta wielostronność decydowała o wyborze; lecz już nawet w ciągu tego pierwszego roku składają się one na organiczną całość w tem znaczeniu, że kształcą równomiernie i wszechstronnie umysł, który dąży do uniwersalności. Właściwą ocenę dopiero wtedy mieć będziemy, gdy zestawimy program pierwszego roku z programem dwóch następnych. W każdym z sześciu działów powinno się pracować w pewnym zgóry ułożonym porządku. O ile młodzieniec pragnąłby nadal oddać się filologji lub badaniom, wymagającym znajomości języków klasycznych, powinienby zamiast języka francuskiego wziąć łacinę a zamiast architektury studjować grekę. Nie byłoby bynajmniej błędem traktowanie greki jako literatury i zaliczenie jej do sztuk pięknych. W danym wypadku mam na myśli chłopca, który ma się poświęcić interesom i któremu chodzi o wszechstronną kulturę. W drugim roku dobrze byłoby, gdyby wybrał następujące studja:

1. Opisy i opowiadania.
2. Francuscy pisarze klasyczni.
3. Psychologja elementarna.
4. Trygonometrja.
5. Chemja nieorganiczna (analiza).
6. Malarstwo włoskie.

Nie ulega wątpliwości, że wszystko zależy jeszcze od indywidualnych zamiłowań młodzieńca i od jego planów na dalsze życie. W trzecim roku, w myśl tegoż samego planu, mógłby wybrać wykłady następujące:

1. Dramat, powieść, wersyfikacja.

2. Francuskie kompozycje i dramat francuski współczesny.
3. Początki ekonomji.
4. Rachunek różniczkowy i całkowy.
5. Biologja ogólna.
6. Porównawcze studja nad elżbietańskim i wiktorjańskim okresem literatury.

O ileby wykłady tych ośmnastu kursów były dobrze prowadzone, a uczeń pracował sumiennie, by z nich odnieść korzyść, po upływie trzech lat nie byłby jeszcze osobistością wysoko wykształconą, lecz sądzę, że *na swój wiek* byłby wykształconym młodzieńcem. Ważnym składnikiem jego wykształcenia byłaby świadomość, że wszystko, czego się nauczył, jest bardzo ograniczoną cząstką królestwa wiedzy, i że on stanął w niem zaledwie na progu. Powinien zrozumieć, że nieprzebrane skarby wiedzy ludzkiej należą do niego nie aktualnie lecz potencjalnie, od chwili, gdy posiadł odpowiednią metodę zdobywania ich i, że od tej chwili wyłącznie w jego własnem ręku leżą dalsze jego umysłowe nabytki.

Przy wyborze studjów w kolegjum młodzieniec, szukając konkretnego zastosowania dla ogólnikowej formuły, nietylko może popełniać omyłki lecz na pewno nie zdoła ich uniknąć. Będą one tylko zwykłą ceną, którą opłacamy wyrobienie trafnego sądu, uczymy się własnemi błędami. Jednakże obowiązek wyboru studjów i opierania tego wyboru na jakimś racjonalnym planie, uczy młodzieńca rozważać, zastanawiać się i sądzić, wdraża weń świadomość, że całe życie składa się z szeregu postanowień. To istotnie stanowi całą trudność. Szczęśliwy ten, kto zamłodu nauczył się szybko i trafnie postanawiać. Układając samodzielnie własny program nauk, młodzieniec nietylko uczy się wybierać, lecz zarazem pojmować zaczyna, że samo zaniechanie decyzji jest już również postanowieniem i to nieraz najszkodliwszem. Uświadamia sobie ciężką wagę postanowień negatywnych. Jeśli, naprzykład, nie może sobie pozwolić na więcej niż jeden kurs sztuk pięknych, postanowienie studjowania włoskiego malarstwa wyklucza

wszelkie inne wykłady z tej dziedziny a przez to nadaje cokolwiek odmienny kierunek całemu dalszemu biegowi jego życia. Może w jakiejś sali wykładowej, tuż obok, jakiś znakomity umysł wygłasza porywające prelekcje o Dantem, Browningu, lub o dziejach i legendach świętego Franciszka z Assyżu, może jego słowa byłyby zapaliły wyobraźnię naszego młodzieńca i do wielkich dzieł go natchnęły—a to go ominie. Na przeznaczenie nasze składają się zarówno postanowienia zaniechane, jak powzięte i wykonane. Stąd płynie dla nas wszystkich wstrząsająca nauka, że w istocie każdy z nas jest dzieckiem własnych przeżyć. Nigdy nie za wcześnie dla naszego młodzieńca przyswoić sobie tę naukę. Roztrząsając różne alternatywy i malując w duszy przypuszczalny wpływ danych przeżyć na naturę taką jak jego, może przez odpowiedni wybór kształtować swą duszę wedle wzoru, który sam sobie obrał. Stopniowo dochodzi do tego, że staje się panem swego losu.

Kładę tak silny nacisk na kwestję wyboru, gdyż ten czynnik wychowania zbyt często jest przez nas niedoceniany. W istocie od niego zależy kształcenie woli i możnaby nieomal twierdzić, że w tem tkwi wszystko. Jeśli chłopiec ma silną wolę a obok tego obdarzony jest duchem dyscyplinowanym i humanitarnym — można mu zgóry przepowiadać powodzenie. Natomiast jeśli ma słabą wolę, możemy być pewni, że w braku krzepiących bodźców zmarnuje się. A przecież, choć wiemy o tem doskonale, zatrudniamy się drugorzędnemi sprawami erudycji i uczoności, nie atakując głównej twierdzy przeznaczenia— czyli woli. Byłoby znacznie lepiej dla chłopca, gdyby przy wyborze swych ośmnastu kursów popełnił ośmnaście błędów poważnych, ale wyszedł z kolegjum z wolą wyćwiczoną i wykształconą oraz z gruntowną świadomością zasad, na jakich opierać się należy w wyborze swych postanowień, niż gdyby trzymając się najściślej programu, ułożonego bez zarzutów przez kogoś innego, ukończył studja z głową pełną wiadomości, lecz zupełnie pozbawiony siły woli. To jest kwestja zasadnicza, pierwszo-

rzędnej wagi dla wychowania i, jak wszystkie kwestje zasadnicze opiera się na religji, to jest na naszym istotnym stosunku do życia. Rozwój woli jest nietylko jednem z najsubtelniejszych zadań, lecz zarazem należy do najdonioślejszych. Jeśli chłopiec nawyknie polegać zawsze tylko na Bogu i Opatrzności, nie zaś na samym sobie, jeśli go nauczą, że cały naturalny bieg rzeczy dąży ku dobremu, niezależnie od błędów i win, jakie on popełnić może, jeśli mu wpoją przekonanie, że ewolucja, postęp, cywilizacja, czy jak kto zechce nazwać pochód ludzkości naprzód, są czemś nieuniknionem i zgóry dostatecznie zabezpieczonem, — to w istocie jego własna wola wyda mu się czemś przypadkowem, kapryśnem i zbytecznem, a bynajmniej nie wchodzącem w skład ogólnego boskiego planu. On sam nie jest Bogu na nic potrzebny, a w wielkim dramacie kosmicznym, który się wkoło niego rozegrywa, to, co on robi, nie ma żadnego znaczenia. Byłoby mu może bardzo miło przyłożyć rękę do spraw tak wielkich i pięknych, lecz ponieważ one mają się dokonać tak czy owak w każdym razie, inteligentny chłopiec musi sobie uświadomić zupełną błahość i jałowość tego, co czyni, a wkońcu prosta logika nakaże mu zaniechać. Nacóż kształcić wolę i równocześnie kazać się modlić codziennie. *Bądź wola Twoja!* jeśli sądzimy, że wola boska i nasza są to dwie siły obce sobie? Nie tak jednak nauczali Buddha i Jezus. Jeden i drugi mówił, że człowiek zbiera to, co zasiał. Nie tego również uczy nas wiedza. Mówi nam ona, że dane przyczyny wywołują nieuchronnie dane skutki, a zamierzone następstwa osiągać można tylko przez odpowiednie przyczyny. Nauka o woli jest rzeczą zasadniczą, jest kwestją religijną. Nie pojmuję, jak można pominąć jej wskazówki a jednak zajmować się wychowaniem lub religją.

Nieśmiałe dusze, nawykłe do polegania na jakiejś potędze a nie na sobie i nie na wszędzie obecnym imanentnym Bogu, zlękną się zuchwałej myśli pouczenia chłopca, że jego wola jest integralną, decydującą cząstką woli boskiej, a od szybkości, trafności i mądrości jego

własnych postanowień pomyślność świata zależy. Jednakże ta myśl, choć niewątpliwie bardzo śmiała, jest nieunikniona.

Takie pojęcie woli, na nasze pojmowanie wychowania wywiera wpływ głęboki i daleko sięgający. My, rodzice i nauczyciele, zaprzątnięci wyłącznie powierzchownemi drobnostkami domowego i szkolnego życia, sami nieraz krótkowzroczni i nie mierzący wysoko, w istocie handlujemy czemś tak dostojnem i świętem, jak samo Przeznaczenie. Marnujemy i trwonimy dla celów bagatelnych większość sił ludzkich i tym sposobem opóźniamy nastanie Królestwa Bożego i panowanie na ziemi ludzi dobrze wychowanych. Jednakże, wbrew wszelkim wybiegom i wykrętom, nasze najważniejsze zadanie pozostaje niezmienne i dokonywa się pod wpływem okoliczności. Polega ono na wpojeniu naszemu chłopcu przekonania o wszechwładzy jego woli, świadomości, że ten różnobarwny świat, który go otacza, mieszanina powabnych i szpetnych zjawisk, jest w rzeczywistości wytworem skombinowanej woli ludzi, aniołów i bogów. Kształcenie tej woli, opanowanie jej, powściąganie, ćwiczenie, oświecanie, wychowywanie—stanowi naczelne zadanie moralnego i praktycznego życia. Stosować się to powinno do postanowień codziennych, każdej godziny. Czemu chłopiec ma iść do kolegjum? Jeżeli wcale nie umie odpowiedzieć na to pytanie, to wola jego nie bierze udziału w całem tem przejściu a widoki osiągnięcia korzyści wychowawczych są bardzo znikome. Czemu nie ma iść do kolegjum? Dlaczego ma wybrać pewne kursy a inne pominąć? W danej chwili nastręczają się niezliczone różnorodne alternatywy; czemu jedne z nich ma wybrać, a z konieczności odrzucić inne?

Podając moją ogólną formułę studjów w kolegjum, wychodziłem z założenia, że najlepiej spożytkuje chłopiec ten trzyletni okres nauki, jeśli zdobędzie szeroką podstawę dla wszechstronnego wykształcenia, a nie odda się żadnej specjalności. Ta teorja może być trafna lub błędna. Już na samym wstępie młodzieniec musi rozstrzygnąć.

Jeśli moja teorja wyda mu się błędną, musi wynaleźć lepszą lub też kilka lepszych, w ostatnim razie z pomiędzy kilku wybrać najlepszą. Jeśli przyzna, że dobrą jest moja teorja, — istotnie najlepsza ze wszystkich — wtedy krokiem następnym będzie sprawdzenie, czy formuła odpowiada jej zupełnie ściśle, czy rzeczywiście wprowadza ona zamierzoną równowagę w programie, czy też może istnieje formuła, która zabezpiecza lepiej równomierność i proporcjonalność zamierzoną. Wiem, że kształcenie literackich, humanistycznych, matematycznych, przyrodniczych i estetycznych zdolności nie wyczerpuje jeszcze całego pola zainteresowań duszy ludzkiej, sądzę jednak, że chłopiec, rozwinięty w pięciu powyżej wymienionych kierunkach, wejdzie na drogę, wiodącą do pełnego wykształcenia. W wyższym stopniu osiągnie ten wynik, jeśli samodzielnie oceni wartość mej formuły w porównaniu ze wszystkiemi innemi alternatywami, które jej przeciwstawić zdoła. Jeśli skłoni się do zasady studjów specjalnych, wtedy wybór ośmnastu przedmiotów musi być zupełnie indywidualny i tylko on sam dokonać go może. I tu jednak kierować się winien jakąś ogólną zasadą. Mówiąc, że wybór musi być indywidualny, bynajmniej nie przyznajemy, by miał być kapryśny. Postaram się przeto roztrząsnąć każdy dział zosobna i wskazać odpowiednie metody wyboru.

W kwestji angielskiego języka sądzę, że każda osoba wykształcona pragnie przedewszystkiem poprawnie władać mową ojczystą, a w wolnych chwilach rozkoszować się czytaniem głównych arcydzieł literatury angielskiej i amerykańskiej. Wychodząc z tego założenia, praca nad angielskim językiem będzie się zasadzała na praktycznych ćwiczeniach piśmiennych i na czytaniu angielskich klasyków. Chłopiec już poprzednio przyswoił sobie umiejętność jasnego wypowiadania się słowem i piórem, przeważnie jednak brak mu będzie wprawy i giętkości wysłowienia. Dobrze więc będzie, jeśli na początek codziennie opracuje jakieś zadanie, biorąc jak najrozmaitsze tematy i ubierając je w przyjętą literacką szatę. W drugim roku

drogi się rozchodzą, a chłopiec musi jedną z nich wybrać, kierując się własnym literackim smakiem, oraz zamiarami swemi na przyszłość. Jeśli myśli o dziennikarstwie, dobrze będzie ćwiczyć się w opracowywaniu typowych dziennikarskich tematów, w opisach, opowiadaniach, komentarzach redakcyjnych, sprawozdaniach, streszczeniach, przeglądach książek, krytykach muzycznych i artystycznych. Jeśli zamierza zostać literatem, niechaj próbuje układać takie utwory literackie, w jakich ma nadzieję dojść do doskonałości: wiersze, powieści, szkice, dramaty. Mojem zdaniem rozmiary utworów winny również wchodzić w rachubę, a nietylko ich jakość. Tylko w szerszych ramach utworu można osiągnąć pewien rozmach, pewną swobodę kompozycji, a nie są to zalety do pogardzenia. Pisarz, który tylko w pewnych okolicznościach chwyta za pióro z powściągliwością wyszukaną, naraża się na to samo, co człowiek milczący, który wydaje się strasznie mądry, póki ust nie otworzy, bo wtedy złudzenia się rozwiewają. Jeden i drugi mają skłonność do wygłaszania sentencyj, co jest niebezpieczną słabostką. Kto wiele pisze, nabywa wprawy wypowiadania swych myśli z miłą swobodą i łatwością, lecz nie ulega pokusie poczytywania za arcydzieło i wyrocznię wszystkiego, co napisze. Zawsze sądziłem, że pisarze dobrzeby zrobili, gdyby naśladowali przykład swych kolegów, malarzy. Jedni i drudzy wyrażają swe myśli, ci w linjach i barwach, tamci w słowach. Otóż malarze szkicują nieustannie, nie wpadając w błąd przechowywania lub rozprzedawania wszystkich swoich szkiców. Mojem zdaniem, podobnie winni postępować i pisarze nietylko w okresie swego nowicjatu, lecz w ciągu całego swego zawodu.

Chcę jeszcze powiedzieć słówko na korzyść wierszowania. Poszukiwanie rymu i rytmu kształci poczucie dźwięczności języka, prowadzi do pisania taką angielszczyzną, która brzmi dobrze w głośnem czytaniu — a zarazem darzy język większem bogactwem wyrazów, zwrotów i odcieni. Jeśli chłopiec, pisząc, wyobrazi sobie, że mówi, spróbuje w duszy słyszeć wypisane zdania,

uchroni się od wielu błędów stylu. Jeśli po ukończeniu utwór jego przejdzie próbę głośnego czytania, młody autor może być spokojny, że nie napisał rzeczy zupełnie nieudatnej. W ciągu trzeciego roku studjów nasz przyszły literat i dziennikarz może oddać się krytycznemu i analitycznemu badaniu najlepszych dzieł innych pisarzy. I tu również polecałbym raczej badania szerokie, niż szczegółowe. Chłopiec powinien obrać sobie pismo perjodyczne, które najbardziej mu się podoba, i dzień po dniu studjować jego metody i językowe nawyknienia. Chłopiec, który zamierza zostać dramaturgiem, będzie, oczywiście, gorącym wielbicielem jakiegoś umiłowanego mistrza, lecz dobrze zrobi, ucząc się, jak inni również tworzyli swoje dramaty. Trzeba mu będzie także uczęszczać pilnie do teatru i przyglądać się utworom znanym z czytania, jak wyglądają na scenie współczesnej. Tym początkującym dziennikarzom i literatom zalecić można również czytanie pism i dzieł, które im się narazie nie podobają, i wogóle zaznajamianie się w pewnej mierze z literaturą, podlegającą surowej krytyce. Przyda się, by pamiętali, że większość nigdy nie ma słuszności, a mniejszość miewa ją niekiedy. Niekiedy dziennik razi nas lichym papierem, brzydkiemi czcionkami, ogłoszeniami pospolitemi, a jednak podaje nowiny dnia z niezwykłą dokładnością i szybkością, a w artykułach redakcyjnych podaje czytelnikom najtrafniejsze uwagi o faktach bieżących, podczas gdy wydawnictwo zbytkowne i wytworne może być przepełnione niedorzecznościami.

Nasz uczeń jest już prawie mężczyzną; niebawem — za rok—zostanie wyborcą, godzi się przeto, by nie miał wstrętów, których nie może usprawiedliwić, i zachwytów, których nie zdoła uzasadnić. W tem stadjum studjów lingwistycznych należałoby poświęcać niewiele czasu na historję literatury i arcydzieła minionych wieków. Uwagę przykuwać winna raczej twórczość nowoczesna, lub wręcz współczesna, zarówno angielska jak obce, które należy czytać w najlepszych przekładach, jeśli nie można czytać w oryginale. Młodzież jest bardzo konserwatywna. Może

okazać obojętność dla utworów nowoczesnych a zwracać się chętniej do klasycznych dzieł, których piękno nauczyła się podziwiać. Jednakże ze względów wychowawczych tak będzie lepiej. Posunę się nawet do twierdzenia, że im bardziej jakieś współczesne dzieło nie podoba się naszemu chłopcu, im więcej go razi, drażni, oburza, tem większe prawdopodobieństwo, że wynika to ze starcia się zestarzałego przesądu z nową prawdą. Pospolitość wcale nas nie porusza, a gdy jest przybrana w nową szatę, może nawet podniecać fantazję. Wielkie idee niemal zawsze są zwalczane. Wielkim prawdom przeciwstawiają się małe prawdy, przesądy występują przeciw rzeczywistości. Sam tego nieraz doświadczyłem, że od ludzi, którzy mi wchodzili w drogę, i z literatury, której byłem przeciwny, wkońcu najwięcej się nauczyłem.

Streszczając te bardzo ogólne uwagi, dodam, że mądrze uczyni młodzieniec, jeśli dążyć będzie do opanowania mowy ojczystej aż do tego stopnia mistrzowstwa, którego wyrazem jest styl literacki, a trwałem uwiecznieniem cenna treść w utworach zawarta. Ostrzegam go jednak, by unikał podobieństwa do tego pisarza epoki elżbietańskiej, o którym Bernard Shaw powiedział, że „posiadał imponujący, podziwu godny, talent wypowiadania się, lecz nie miał nic do powiedzenia".

Wybór obcego języka otwiera szerokie pole dla indywidualnych upodobań. Chłopiec, który celem osiągnięcia raczej ogólnego niż specjalnego wykształcenia—trzyma się naszej formuły równomiernego programu, nie może studjom językowym poświęcać więcej kursów, niż dwa z pomiędzy sześciu, że zaś jednym z tych dwóch musi być kurs języka angielskiego, przeto na obcy język pozostaje tylko jeden, trwający trzy lata wedle programu, który ja popieram. O ile żadne poważne względy nie nakazują wybrać łaciny lub greki, będzie znacznie lepiej poświęcić tak ciasno odmierzony czas na język francuski, niemiecki, włoski lub hiszpański. Wiele korzystniej jest opanować jeden język dobrze i poznać jego literaturę, niż uczyć się kilku języków, ale nie wyjść poza zakres objęty

jakimś podręcznikiem do rozmówek. Wybór języka zależy od upodobania chłopca. Już poprzednio poznał on dość dobrze język francuski i początki niemieckiego, to też trzy lata starczą mu zupełnie, bądźto na wydoskonalenie się w jednym z tych dwóch języków, bądź też na wyuczenie się włoskiego lub hiszpańskiego. Jeśli jego zamiarem jest kształcić się na literata, lub poświęcić się jakiej sztuce pięknej, najlepiej zrobi, wybierając język francuski. Jeżeli przeciwnie chce zostać muzykiem lub przyrodnikiem, zapewne będzie wolał kszkałcić się w języku niemieckim, którego gruntowna znajomość będzie dla niego bardzo pożyteczna. Łatwo sobie wyobrazić okoliczności, które wskażą wybór włoskiego lub hiszpańskiego języka. Powierzchowna znajomość wielu języków nie stanowi wykształcenia, jest tylko nową postacią rozproszenia umysłowego. Natomiast ważnym czynnikiem wykształcenia jest przyswojenie sobie, obok rodzinnego języka, jednego obcego tak gruntownie, by można w nim myśleć, mówić, czytać i pisać bez potrzeby tłumaczenia każdego zdania z jednego języka na drugi. Powiedziano — i zapewne powiedziano słusznie — że człowiek wtedy dopiero poznaje gruntownie język własny, gdy obok tego pozna jakiś obcy. Powiedziano również, z mniejszą, jak się zdaje, słusznością, że, zdobywając każdy nowy język, człowiek bogaci się o nową duszę. Niewątpliwie zyskuje coś na tem, lecz nie tak dalece wiele.

Wielką wagę przywiązuję do tych studjów, które objąłem nazwą nowoczesnej humanistyki, — t. j. do filozofji, logiki, etyki, psychologji, ekonomji, nauki o państwie, socjologji, pozostają one bowiem w bezpośrednim związku z czynnościami ducha ludzkiego, a przez to samo muszą rozwijać i kształcić. Wydają mi się one wiele cenniejsze i bardziej kształcące, niż szczegółowa nauka historji. Z natury swej są one uogólnieniami wyższego rzędu, jako takie są więc oszczędniejsze i pożyteczniejsze. Historja jest z konieczności beznadziejnie konkretna. Historja nieubłaganie się powtarza, a taka nauka, jeżeli czegoś uczy, zabiera nieproporcjonalnie wiele czasu, a zara-

zem jej prawdy są tak chwiejne i nieokreślone, że albo bywają źle zrozumiane lub niezrozumiane wcale. Nawet i w kolegjum — mojem zdaniem — historja winna być udzielana jako literatura, i to w najbardziej skończonej postaci, w dziale sztuk pięknych. Wybierając wykłady humanistyczne, wskazywałem zwykle filozofję, elementarną psychologję i ekonomję, jako najodpowiedniejsze przedmioty. Każdy z nich jest tak bogaty treścią, że mógłby niewątpliwie zapełnić całe trzy lata studjów, jeżeli jednak chodzi o wykształcenie ogólne, więcej pożytku przyniesie wstęp do każdej z nich i zaznajomienie się z jej zagadnieniami i metodami, niż szczegółowe studjowanie którejkolwiek z nich. W najlepszym razie zasób wiedzy, wyniesiony z kolegjum, może być punktem wyjścia do rozleglejszych badań poza kolegjum. Takie przygotowanie pozwoli chłopcu w dalszym ciągu pracować nad każdą z tych nauk, a o ile będzie miał czas i ochotę, przez czytanie uczyć się logiki, socjologji, nauki o państwie. Niekiedy bardzo poważne względy mogą przemawiać za zastąpieniem trzech wyżej wskazanych przez inne nauki humanistyczne. Przyszły prawnik może wybrać psychologję, ekonomję i naukę o państwie; przyszły duchowny będzie wolał filozofję, logikę i etykę. Głównym celem nie jest tu udzielenie wiadomości z danego zakresu, lecz podtrzymanie w jego duszy żywego zainteresowania dla humanistyki i ciągłej pamięci o tem, że każde zagadnienie życiowe, ujęte we właściwy sposób, wchodzi w jej zakres. W wielu nowoczesnych instytucjach zapomina się o tem na każdym kroku. W Ameryce, tak pochłoniętej pracą i interesami, wiele spraw odwrócono nawspak. Nasz przemysł mówi wciąż o zysku, nie zaś o pożytku. Nasze wychowanie publiczne kształci rzemieślników lub buchalterów, lecz nie ludzi. Nasze prawa w 90% zajmują się własnością. Nawet nasze kościoły wydzierżawiają lub sprzedają ławki w świątyniach, zaciągają hipoteki i zastawy, płacą pensje duchownym i chórom, biorą zewsząd pieniądze, nie pytając o ich pochodzenie — zapominając, że ich istotnem powołaniem jest troska o dusze. Mojem

przekonaniem jest, że najszerszemi wiadomościami i najlepszemi intencjami obdarzona młodzież nie ma dostatecznego wychowania póty, póki jej myślą przewodnią nie są idee humanistyczne. Jakiekolwiek powołanie życiowe obiera sobie młodzieniec, rozum nakazuje, by się zaznajomił z psychologją i ekonomją, gdyż jedna i druga pozostaje w ścisłym związku z każdą ważną sprawą naszego codziennego życia.

Nie jest przyjętym zwyczajem, by studjował matematykę ten, kto obiera zawód literacki, jednakże nauka ta powinna się mieścić w każdym programie naukowym. Ona reprezentuje ilościowy czynnik w życiu, stąd też nikt nie może jej pomijać. Nauka tem się różni od mądrości życiowej, czerpanej z doświadczenia, że jest wiedzą zorganizowaną, ilościową, a z tej różnicy wszyscy doskonale zdajemy sobie sprawę. Nieprzemijającą wartość ma starodawna sentencja, że tyle tylko mamy nauki, ile matematyki. Niema w tem tedy najmniejszej przesady, jeśli powiemy, że umysł niewyszkolony matematycznie nie może być umysłem naukowym, a człowiek z takim umysłem nigdy prawdziwie wykształconym nie będzie. Gdy mówimy o kim, że jest nienaukowym, mamy zwykle na myśli to, że nie jest ścisłym.

Powszechne jest mniemanie, że matematyka jest trudna i potrzeba specjalnych zdolności, by ją rozumieć. Stąd wynika, że pozwalamy chłopcom kończyć kolegjum i otrzymywać dyplomy przy bardzo niedostatecznych wiadomościach z matematyki, o ile natomiast przykładali się pilnie i skutecznie do nauki języków. W moich oczach jest to bardzo szkodliwy błąd, gdyż z samej natury rzeczy matematyki nic zastąpić *nie może*. Chłopiec, który pracuje nad greką i pozna ją doskonale, zdobędzie umiejętność bardzo rzadką i cenną, lecz pozostanie bardzo jednostronnym i niegruntownym myślicielem, jeśli rozmyślnie odrzuci to, co stanowi o ścisłości i ilościowej dokładności myśli. Jeżeli uprzytomnimy sobie, że wiedza przyrodnicza i matematyka zajmują się czasem i przestrzenią, materją i ruchem, że w naszym trójwymiarowym

świecie są to ostateczne pojęcia, do których się sprowadzają wszystkie zjawiska otaczającego nas świata i w których się mieści cały surowy materjał naszych myśli, stanie się dla nas rzeczą jasną, że pominięcie matematyki i wiedzy przyrodniczej w programie wykształcenia jest błędem fatalnym, skazującym człowieka na całe życie niedomagania umysłowego. Chłopiec, powołujący się na swój brak zdolności do matematyki, by mógł ją zastąpić jakim równorzędnym przedmiotem naukowym, w istocie żąda sankcji dla swego lenistwa i pozbawienia się pojęcia o jedynych, ściśle dokładnych stosunkach, jakie nam dano w życiu poznać, to jest o stosunkach wymiernych i obliczalnych. Uwzględnić taką prośbę, to wyrządzić krzywdę. Niesłuszne również jest twierdzenie, że matematyka jest trudna, nawet gdy chodzi o wyższą matematykę. Trudna jest ona tylko wtedy, gdy jest źle wykładana, lub gdy uczeń odpycha wszelką ścisłą i skoncentrowaną myśl. Chłopiec, który myśli o czem innem wtedy, gdy napozór zabiera się do nauki, który w klasie słucha objaśnień z uwagą rozproszoną lub połowiczną, nie może istotnie pojąć matematyki. To świadczy jednak, że był źle wychowany. Ten, który przed osiemnastym rokiem otrzymał wychowanie odpowiednie, nauczył się wkładać duszę we wszystko, co robi, z pożytkiem i rozkoszą studjować będzie trzyletni kurs wyższej matematyki w kolegjum. Jeżeli w szkole wyższej przeszedł planimetrję, w pierwszym roku pobytu w kolegjum stereometrja będzie dla niego tak łatwa, że nie zajmie mu więcej niż jeden semestr, a drugi będzie mógł poświęcić na trygonometrję. Trygonometrja sferyczna będzie mu potrzebna tylko w takim razie, jeżeli zechce zostać astronomem lub inżynierem. Nie jest ona ściśle związana z rozwojem myśli matematycznej i można się jej wyrzec.

Jeżeli w ciągu drugiego roku studjuje wyższą algebrę i analizę matematyczną, to w końcu roku będzie dostatecznie przygotowany do najważniejszego działu matematyki — do rachunku różniczkowego i całkowego. Nigdy nie zwracano na tę naukę uwagi dostatecznej, jako na

środek kształcący. Naogół mówi się o niej, jako o bardzo oderwanej gałęzi wyższej matematyki, pożytecznej tylko jako narzędzie badania pewnych zagadnień z mechaniki i fizyki, lecz nie nadającej się wcale dla tych, którzy nie zamierzają zostać ani inżynierami, ani fizykami. W istocie jednak rachunek różniczkowy i całkowy jest nietylko ważnem narzędziem takich badań, lecz stanowi zarazem zupełnie nową i odrębną metodę myślenia o ilości, a jako taki powinien wejść w skład programu naukowego każdej osoby, która chce się nauczyć myśleć, więc nietylko każdego uczonego, lecz każdego człowieka wykształconego. Rachunek różniczkowy i całkowy jest narzędziem tak doskonałem, że niejedno zawikłane zagadnienie rozwiązuje z łatwością i szybkością, niby jakąś czarnoksięską sztuką. Odpowiedź zjawia się jak przez magiczne zaklęcie. Oczywiście, niema nic mistycznego ani okultystycznego w żadnym dziale rachunku tego... Jest w nim przeciwnie prostota, właściwa wszystkim rzeczom wielkim. Jeżeli w szkole wyższej geometrję wykładano dobrze, to umysł miał już przedsmak tej metody matematycznego myślenia, gdy pojęcia ilościowe stawały się czemś płynnem i zmiennem. Zaczęło już zanikać sztywne, skostniałe pojęcie ilości. Dokonał się już ważny krok w rozwoju myśli. Nauka rachunku różniczkowego i całkowego doprowadza ten rozwój do logicznego krańca, do wyzwolenia myśli. Bada ona nietylko to, co stałe i zmienne, lecz zmienne stosunki między zmiennemi wielkościami, a przez to daje naszym pojęciom matematycznym taką giętkość i swobodę, jakiej żadna inna nauka dać nie może. Ponieważ wartość każdej nauki mierzę jej oddziaływaniem na umysł ucznia, utrzymuję, że rachunek różniczkowy i całkowy jest równie potrzebny tym, którzy chcą się nauczyć myśleć ściśle, jak tym, co w nim widzą narzędzie technicznych badań.

Już poprzednio wymieniałem najważniejszy argument, przemawiający za naukami przyrodniczemi. Nie utylitarne ani przemysłowe względy, lecz czysto intelektualne decydują o nim. Żyjemy w świecie materji i ruchu, czyli

inaczej: materji w ruchu, to jest energji. Jeśli nie zaciekawia nas poznanie postaci tej energji, ich powstawania, przeobrażeń, praw niemi rządzących, to pozbawiamy się wielkich umysłowych rozkoszy, a zarazem umysłowej tężyzny. Nie możemy rozumować i filozofować o świecie z jakim takim wynikiem, jeśli nie próbujemy nawet tego świata poznać. Prawda ta jest tak oczywista, że zdumiewają mnie wprost ci duchowni, nauczyciele, pisarze, ekonomiści i inni przywódcy społeczeństwa, którzy nie dążą do zaznajomienia się, choćby w ogólnych zarysach, ze zjawiskami przyrody, zanim zechcą zajmować się znacznie trudniejszemi zagadnieniami świata ludzkiego i jego przeznaczeń. Mr. Arnold znakomicie określił te niby-sentencje bez znaczenia, nazywając je *hałasem*, i czczym hałasem muszą się wydać wszystkie ogólnie przyjęte nauki o głębszych zagadnieniach życia każdemu człowiekowi myślącemu, który rozumie, że są w nich tylko słowa, nie zaś żywe pojęcie rzeczy. Ten błąd jest tak opłakany, że wszyscy rodzice i wychowawcy winni go się wystrzegać i bronić przed nim, choćby postem i modlitwą, a chronić dzieci przed nim jak przed malarją lub tyfusem.

Wśród mych prac geologicznych we wschodniej stronie Kentucky zatrzymałem się kiedyś na obiad w chacie starego górala. Mieszkańcy gór bywają zwykle bardzo gościnni; tym razem jednak byłem podwójnie pożądanym gościem, gdyż starzec chciał zasięgnąć mego zdania o pewnej rudzie. Nie miał pod ręką okazów, lecz obiecał po obiedzie zaprowadzić mnie do samych jej pokładów. Bardzo byłem ciekawy, co to była za ruda i dlaczego mój gospodarz przypisywał jej szczególną wartość, ale stary nie umiał mnie objaśnić. Mówił tylko, że jakiś geolog przejezdny oświadczył, że „w tej rudzie jest niebywałe bogactwo“, a zapytany o nazwę, odrzekł, że sam nie wie dokładnie, co to za ruda, lecz bynajmniej nie wątpi, że jest bardzo cenna. Nie potrzebuję dodawać, że znalazłem bardzo lichy rodzaj rudy żelaznej, której nawet dobywać nie warto. W salonach ludzi wykształconych nie spotykamy się z tak naiwnie gołosłownemi za-

pewnieniami, lecz często posłyszymy zdania, które z niemi można postawić narówni.

W ciągu trzech lat chłopiec nie może przyswoić sobie wiedzy przyrodniczej, słuchając corocznie tylko jednego kursu, lecz pod kierunkiem zdolnych nauczycieli może przejść wstęp do nauki, to znaczy poznać zasadnicze fakty i przyswoić sobie metodę przyrodniczego myślenia. Mniej ważne są specjalne przedmioty, niż sposób zaznajamiania się z niemi. Dla uczniów kolegjum najodpowiedniejszą drogą będą prace laboratoryjne, prowadzone pod umiejętnem kierownictwem. W każdej innej gałęzi wiedzy uczeń ma do czynienia tylko z symbolami rzeczy— ze słowami; jedynie w przyrodoznawstwie wchodzi w styczność z rzeczą samą, — ze zjawiskami. Dla bardzo zrozumiałych przyczyn wybór mój padłby na fizykę ogólną, chemję nieorganiczną i ogólną biologję. Młodzieniec, mający jasne pojęcie o energji, o układzie materji i reakcjach, o objawach siły życiowej w świecie roślinnym i zwierzęcym – znajduje się na drodze do rozumnego pojmowania świata zewnętrznego. Rozumie się, że, chcąc ten zdrowy pogląd osiągnąć, trzeba umiejętnie tę naukę prowadzić. Naogół jest ona źle prowadzona. W szczególności stosuje się to do fizyki. W samej rzeczy jest to najbardziej zajmujący przedmiot programu, a jednak mam przekonanie, że większość uczniów nienawidzi fizyki i tak mało o niej wie, jakgdyby nigdy nie pracowali w tych pałacach, mieszczących laboratorja, a służących niewątpliwie jakiemuś celowi, lecz nie istotnym potrzebom uczniów. Wszelkie uogólnianie może być ryzykowne, a jednak pozwolę sobie wyrazić przypuszczenie, że płynie to z braku podniet dla ducha. Młodzież poznaje mnóstwo szczegółów, lecz z nadmiaru drzew nie dostrzega lasu. Nie widząc w całej robocie planu ani celu, doznaje oszołomienia i ma wrażenie chaosu. O ile system nauczania się nie zmieni, będziemy zawsze widywali w tych laboratorjach młodzież, zatrudnioną bardzo pracowicie, ale zdradzającą za każdem waszem pytaniem, że bynajmniej nie zdaje sobie sprawy z tego, co robi. Ja sam uczyłem

fizyki w jednej szkole wyższej przez kilka lat, napisałem też podręcznik tego przedmiotu, wiem tedy doskonale, jak trudno jest, jak niemożliwie prawie, naukę tę prowadzić. A jednak ogromne znaczenie kształcące tej nauki skłaniać nas powinno do jak największego udoskonalenia sztuki nauczania i całkowitego oddania się jej ze strony pana profesora fizyki.

Najzwięźlejsza definicja konkretna określa fizykę, jako naukę o własnościach ciał, że zaś te zależą od ruchu, przeto jest ona nauką o energji, ostatecznej treści materjalnego świata. Znajomość fizyki stanowi tedy integralną część wykształcenia i pod żadnym pozorem nie można jej pominąć. Czynności dokonywane w laboratorjum fizycznem wydają się bardzo różnorodne, w istocie jednak wszystkie sprowadzają się do mierzenia, stanowią więc rodzaj matematyki stosowanej. W fizyce mamy te ścisłe, realistyczne postaci doświadczenia, których unika umysł leniwy, chroniąc się w dziedzinę wyobraźni, gdzie panuje dowolność niesprawdzana i niekrępowana. Właściwie jednak i w fizyce wyobraźnia gra cenną rolę, gdyż zmuszeni jesteśmy tutaj wyobrażać sobie rzeczy niedostrzegalne dla wzroku, słyszeć to, czego słuch nie pochwyci, obracać rzeczami zbyt drobnemi, by można je wyczuć, i zbyt wielkiemi, aby można je objąć, jednakże sprawna wyobraźnia, potrzebna dla podołania tak trudnym zadaniom, musi naprzód zostać wyszkolona przez tysiączne doświadczenia i łamania się z trudnościami, a w każdej fazie strzeżona przed zabłąkaniem się w dziedzinę czystej fantazji. Uczeń, który nie chce się uczyć fizyki dlatego, że nie ma do niej zdolności, jest w tem samem położeniu, co uczeń, który dla tejże przyczyny nie chciał się uczyć matematyki — a bardzo często jest tym samym osobnikiem.

Odrzuca on to, co jest ścisłym, ilościowo określonym obrazem doświadczenia, a własnowolnie godzi się żyć w świecie materji i ruchu, nie znając go. Nie potrzebuję osobno podkreślać, jak dalece taka umysłowość jest niekompletna i niezdrowa.

Wspomniałem o chemji, jako o odpowiednim przedmiocie studjów dla drugiego roku nauki. Ściśle mówiąc, stanowi ona dział fizyki, i łatwiej ją opanować po przyswojeniu sobie zasadniczych pojęć z fizyki ogólnej. Mówi się zwykle, że chemja zajmuje się składem ciał, jest zatem nauką o pierwiastkach i ich możliwych połączeniach. Chemja jednak stała się nauką dopiero wtedy, gdy zaczęto studjować te reakcje w świetle tego, jak one pochłaniają lub wyzwalają energję. Takie studja wykazują, że wszystkie reakcje są zależne od fizycznych warunków, a stąd—o ile znamy warunki — możemy przewidywać ich wyniki z taką samą pewnością, z jaką astronomowie przepowiadają zaćmienia. Jeżeli wolno cofnąć się do starego przykładu, to zwrócę tu uwagę na płonący prąd gazu. W nim widzimy zarazem przykład pierwszego prawa termochemicznego i ogólnego prawa ewolucji. Gaz składa się z węgla i wodoru, obu pierwiastków palnych. W zwykłym palniku wymykający się gaz nie wchodzi odrazu w należyty kontakt z tlenem powietrza, by oba pierwiastki mogły się zapalić. Cóż się dzieje? Jak wiemy, wodór zapala się naprzód bardzo gorącym płomieniem, podczas gdy węgiel ulega spalaniu w postaci stałych cząsteczek, które, żarząc się, nadają płomieniowi blask. Węgiel płonie dopiero wtedy, gdy wodór już jest zupełnie nasycony, to jest, gdy jego cząsteczki dostaną się do zewnętrznej granicy płomienia. Dlaczegóż jednak wodór zapala się zawsze pierwszy, a węgiel dopiero drugi zkolei? Ostateczna przyczyna jest oczywiście nieznana, ale bezpośrednia przyczyna jest fizyczna. Zdaje się, że gdy możliwe są dwie reakcje: spalanie się wodoru i spalanie węgla, naprzód dokonywa się ta, która wyzwala większy zasób energji i daje najbardziej zwarty wytwór. Wodór płonący wyzwala wielką ilość ciepła i wydaje parę, która, stygnąc, staje się wodą. Płonący węgiel nietylko daje znacznie mniej ciepła, lecz wytwarza dwutlenek węgla, produkt, który w zwykłych warunkach pozostaje nadal gazem. O ile doprowadzimy dostateczną ilość powietrza, jak w palniku Bunsena, oba pierwiastki płoną razem i wydają

dobrze znany nam, bezbarwny płomień. Ta prosta reakcja ilustruje prawo ewolucji, która, wedle ogólnie znanej frazeologji Herberta Spencera, jest przejściem materji od nieokreślonej, luźnej jednolitości do określonej, zwartej złożoności, czemu towarzyszy wyzwolenie ciepła i ruchu.

W chemji mamy do czynienia z tym samym płynnym, poetycznym światem zmienności, co i w rachunku różniczkowym i całkowym. Ponieważ nie sądzimy, byśmy mogli poznać, czem jest materja, dawno już zerwaliśmy z wyobrażeniem gotowych odrębnych pierwiastków, a rozwinęliśmy pojęcie pierwiastków, różniących się między sobą tylko objawami energji, a stąd w skomplikowanym procesie świata nietylko zdolnych do ciągłych przeobrażeń, lecz na nie skazanych. Dla chemika widzialny wszechświat tem, czem jest, jest tylko w danym momencie czasu, gdyż nieustannie, w każdej chwili, przekształca się on w inny, zupełnie od niego różny. Człowiek wykształcony musi sobie przyswoić ten szerszy, pogląd, to płynne pojęcie materjalnego świata. Jeśli obojętność, gnuśność lub niepotrzebne zaprzątanie umysłu zawiłościami językowemi i morderczemi faktami z historji nie pozwalają chłopcu zaznajomić się z tajemnicami i cudami materji, bezmyślnie poprzestając na wiadomości, że cegła jest cegłą a kamień kamieniem, to oczywiście ma on prawo wolnego wyboru, lecz naszą rzeczą — jako ludzi doświadczonych — jest zwrócić mu uwagę na następstwa tego postanowienia i przestrzec, że tym sposobem chybi celu, do którego zmierza, nie osiągnie wykształcenia. Niewątpliwie w każdym czasie znajduje się na naszym planecie zaledwie mała garstka istotnie wykształconych ludzi, tak jak istnieje niewielu ludzi wybitnych w Stanach Zjednoczonych, złe nie wynika jednak z przewagi nieuctwa, lecz z przewagi pozorów wiedzy. Nikt nie może w ciągu roku zostać fizykiem ani chemikiem, może jednak pod umiejętnem kierownictwem przyswoić sobie zasadnicze fakty z zakresu tych nauk i zdobyć pewien stopień gruntowności i szerokości umysłu.

W programie trzeciego roku studjów biologja ogólna

wydaje mi się nietylko bardzo pożyteczną dla oświecenia umysłu, lecz równie niezbędną dla umiejętności trafnego i mądrego myślenia, jak fizyka i chemja, ponieważ jednak opiera się ona na tych dwóch naukach, może dopiero po nich nastąpić. Nieraz już uderzano w mur, odgradzający świat organiczny od nieorganicznego, i zapowiadano, że on zupełnie obalony zostanie, to jednak nie nastąpiło dotąd, musimy zatem dotąd uznawać i badać odrębną klasę zjawisk, wchodzących w skład materjalnego świata a wywoływanych przez siłę życiową. Reakcje mają tu cechy takiej swoistej odrębności, której ignorować nie można. Gdy z grą materji i ruchu połączy się siłę życia, mamy cały dramat, składający codzienną egzystencję. Obejmuje on organizmy ludzkie i wszystko, co im jest potrzebne do odżywiania, odziewania, oraz to, co im służy za schronienie i narzędzie. Możemy powiedzieć o biologji, że ona w praktyce dotyka wszystkich umiejętności codziennego życia, gdy zaś pomyślimy, jak działa siła życia w mężczyźnie i kobiecie w dziedzinie płciowej, okaże się, że biologja stawia nas w obliczu najgłębszych i najdonioślejszych zagadnień indywidualnych i społecznych. Chłopiec, wychowywany we właściwy sposób, wszedł już w racjonalną i przyjazną styczność z życiem, jako faktem i jako sztuką. Mając lat dwadzieścia i dwadzieścia jeden, jest uzdolniony do rozpatrywania życia ze stanowiska naukowego a w świetle świeżo zdobytych wiadomości z fizyki i chemji zrozumieć może podstawowe uogólnienia nowoczesnej nauki. Trudno pojąć, jak może człowiek z wyższem wykształceniem, dążący do tego, by umysłowo stanąć na wysokości swego czasu i pokolenia, nie chcieć wcale rozumieć biologicznych procesów. A jednak na naszych uniwersytetach liczba uczęszczających na studja biologiczne jest zdumiewająco mała. Każdy może sprawdzić słuszność tego twierdzenia, przeglądając listę słuchaczy jakiegokolwiek kolegjum lub uniwersytetu, i zestawiając liczbę zapisanych na biologję z ogólną liczbą studentów.

Polecając gorąco studjowanie biologji, warto zaznaczyć, że współczesna myśl filozoficzna nietylko nie prze-

widuje, by runąć miał mur, odgradzający świat organiczny od nieorganicznego, lecz raczej, wręcz przeciwnie, skłania się do przekonania, że są one zasadniczo odrębne, że życie jest w istocie jedyną potęgą twórczą, materja zaś jest tylko osadem. Bardzo zajmujące roztrząsanie tego tematu znajdzie czytelnik w „Ewolucji twórczej“ Bergsona.

Nie sądzę, abym kładł przesadny nacisk na studja przyrodnicze. Ja sam wychowałem się wśród przyrodników i wcześnie miałem sposobność poznać ich gruntowną prawość i ich inteligencję szeroką. Zdarzyło się, że w dalszem życiu przestawałem przeważnie z ludźmi, którzy nie mieli przyrodniczego wykształcenia, a przez porównanie z przyjaciółmi młodych lat stwierdziłem u nich brak realizmu.

Szósty dział, sztuki piękne, powtarza się w kursie corocznym, a mimo nacisku tych studjów, którym każdy skłonny jest przyznać większą wagę, utrzymać może swe znaczenie w każdym zrównoważonym programie wykształcenia. Tutaj ani kolejność w ciągu trzech lat, ani specjalny wybór przedmiotów nie grają takiej roli jak gdzie indziej, gdyż myśl przewodnia nie jest ani informacyjna, ani historyczna. Celem jedynym jest budzenie, podtrzymywanie, rozszerzanie i pogłębianie poczucia piękna, zaznajomienie się z dziełami wielkich mistrzów, jako podnietą dla młodzieży, któraby chciała wstąpić w ich ślady. Nie chodzi tu wcale o obejmowanie bardzo szerokiego zakresu, lecz o gruntowność, o wnikanie do głębi rzeczy. Malarstwo, rzeźbiarstwo, architektura, muzyka i literatura dają ogromne bogactwo materjału. Studjowanie włoskiego malarstwa danej epoki, rzeźby greckiej, muzyki wagnerjańskiej, współczesnego skandynawskiego dramatu — by tylko wymienić drobną cząstkę z nieprzebranego mnóstwa — dostarczą obfitego żniwa żywemu i wrażliwemu umysłowi młodzieńca. Ameryka nie jest bardzo pięknym krajem, ale ma pod względem piękna bardzo szerokie możliwości. Na całym obszarze ziemi znać dewastację, dokonaną ręką ludzką w lasach i w polu, na zboczach gór i wybrzeżach wód. Mieszkania, faktorje,

magazyny, sklepy, kościoły, gmachy publiczne — to dzieła tej ręki, urągające duchowi. Jednakże zaznacza się tu i owdzie zapowiedź reformy. Świeżo odbyłem dość daleką podróż po Południowych Stanach i doznałem miłego wrażenia, widząc korzystne zmiany w architekturze gmachów państwowych. Naprzykład budynek poczty w Atlawie może niemal być postawiony narówni z bibljoteką publiczną w Bostonie. Gmachy pocztowe w Macon, Savannah, Brunswicku, Jacksonville, choć nie tak piękne, są również godne podziwu. Podobną zmianę zauważyć można w gmachach banków i urzędów. Zaczyna się w nas budzić pewien zmysł piękna i dążenie do wcielania go w nasze dzieła. Dotychczas jednakże we wszystkich okolicach kraju doznaje się przerażającego wrażenia powszechnej, beznadziejnie tępej brzydoty. Bardzo na czasie byłoby rozwijanie estetycznych dążeń u każdego ucznia szkół publicznych i kolegjów, by uświadomił sobie, że jako młody obywatel Republiki winien troszczyć się o jej nieskazitelność estetyczną równie gorliwie, jak o jej praworządność.

Pożałowania godnym objawem dla narodu jest, że nasze stare budowle są tak znacznie piękniejsze niż nowe, wznoszone przez właścicieli domów lub władze państwowe. Tutaj np. w Macon, na wzgórzu, otaczają mnie gmachy z czasów *ante-bellum*, wzory południowej architektury kolonjalnej, pełne powagi i piękna, a tuż obok nich stoją nowsze, pretensjonalne, lecz znacznie brzydsze z okresu mniej wrażliwego na piękno. Takiż sam upadek smaku zauważyć można w Nowej Anglji. Piękne domy są to niemal zawsze domy bardzo stare. Nie można tego uważać za dzieło przypadku, że dawne miasta, które zwiedzałem świeżo w Teksas, Luizjanie, Mississipi, Alabamie i Georgji, są tak wiele piękniejsze od nowopowstałych. W Teksas i Kalifornji dość porównać piękne starodawne misje z nowozbudowanemi kościołami, by ocenić, czy dusza amerykańska rozwinęła w sobie czy zatraciła poczucie piękna. Kilka lat temu pojechałem do Porto-Rico z ramienia rządu i tam objechałem wyspę, wygłaszając

odczyty, zalecające nowy system edukacji. Wszędzie spotkałem się z ogromnym zapałem dla spraw wychowania i wszędzie nowe budowle szkolne, lecz, począwszy od kosztownej szkoły normalnej w Rio Pedras aż do najskromniejszej szkoły okręgowej, nowe budynki były uderzająco brzydsze od tych, które wzniesiono za rządów hiszpańskich. Szczególniej szpetna była szkoła normalna. Wyglądała tak, jakby ją jakiś złośliwy cyklon porwał z naszych pogranicznych okręgów i umieścił tutaj, niby natrętnego przybłędę, wśród pięknego podzwrotnikowego krajobrazu wyspy. Ten brak piękna w naszem otoczeniu nie jest jednak rzeczą obojętną lub małej wagi. Piękno barw i proporcyj jest tak samo jak piękno stylu — wyrazem ducha. Brak tego piękna świadczy o duchowem ubóstwie. Każdy, kto kocha Amerykę, jest — mojem zdaniem — obowiązany czynić wszystko, co w jego mocy, dla pogłębienia i uszlachetnienia smaku estetycznego w narodzie i kształcenia zdolności twórczych w dziedzinie piękna.

W wielu sztychach japońskich zauważyć można zupełnie czarne miejsca, niekiedy nawet dwa nie jedno. Dawniej sądziłem, że wyobrażają one wodę, albo — gdzie to nie mogło się stosować — chmury. Ten domysł był niewątpliwie mylny. Japończycy tak są rozmiłowani w barwach i linjach falistych, że nie pominęliby sposobności odtwarzania chmur. W rzeczywistości te ciemne plamy pozostawiano tam, gdzie stwierdzano, że niema nic godnego odtworzenia i z całą naiwnością pozostawiano puste miejsce. Rozpatrując nasze plamy wychowawcze, natrafiamy na wiele takich pustych miejsc. Zaliczam do nich długie wakacje. W większości naszych amerykańskich kolegjów przegradzają one krótkie lata szkolne przerwą, trwającą trzy do czterech miesięcy. Co do mnie, to uważam, że wakacje te są dużo za długie i że wiele rozumniejsze byłoby podzielenie roku na cztery okresy, odpowiadające czterem porom roku, i przegrodzenie ich krótkiemi przerwami wytchnienia przez tydzień, lub co najwyżej dziesięć dni. Jakiekolwiek jednak ustanowimy przerwy wakacyjne,

są one o tyle tylko pozbawione interesu, o ile je rozmyślnie tak traktujemy. Istotnie jednak dają one bardzo szerokie pole możliwości, których umiejętne wyzyskanie powinno być równie poważną częścią wychowawczego programu, jak umiejętne spożytkowanie roku szkolnego. W naszych zwyczajach szkolnych znać już powszechne zrozumienie, jak niewłaściwe są te długie miesiące próżniactwa. Przerwę, trwającą od czerwca do września, wypełniają obozy letnie, kursy wakacyjne, ogrody szkolne, kluby zbożowe i pomidorowe, ćwiczenia harcerskie i inne zdrowe zajęcia. W ciągu trzyletnich studjów w kolegjum są dwa takie okresy wakacyjne. Jeśli chłopiec prosto ze szkoły wyższej przeszedł do kolegjum i nigdy w Europie nie był, nie może lepiej użyć choćby jednych wakacyj, niż na wycieczkę do Europy, lecz nie powinien jej, mojem zdaniem, odbywać w towarzystwie równie niedoświadczonego kolegi, jak on sam, tylko ze starszym, wykształconym towarzyszem, który postara się, by ta podróż nie była bezcelową włóczęgą. Jeśli jednak chłopiec odbył już podróż naokoło świata, lub był w Europie w warunkach ilekolwiek pomyślnych, to dobrze zrobi, poświęcając oba sezony wakacyjne na zwiedzenie Ameryki, nie hotelów amerykańskich, uprzywilejowanych letnisk i stacyj turystycznych, gdzie ludzie bawią się, odpoczywają lub próżnują, lecz tej wielkiej Ameryki, w której pracach i wysiłkach już niebawem będzie musiał czynnie uczestniczyć. Ażeby obraz pracy stał się realnym, najlepiej jest przyłożyć do niej rękę. Aby stał się kształcącym, wybór jej musi być samodzielny, podyktowany osobistemi zamiłowaniami chłopca i jego przekonaniem o doniosłości danej pracy. Dla zrozumiałych powodów zaleca się raczej praca na otwartem powietrzu. W tych gałęziach produkcji naszej, gdzie roboty dokonywają się pod gołem niebem, nasz chłopiec będzie miał niejedną sposobność zetknąć się z wielkością przyrody. Może wybrać tę wielkość, która najbardziej przemawia do jego ducha, wielkość gór, lasów, otwartych obszarów, zielonych pól lub bezbrzeżnych mórz. Byleby umiejętnie poszukać, nie-

trudno mu będzie znaleźć na lato kondycję przy terenowych pomiarach, w przedsiębiorstwie górniczem, w leśnictwie, w hodowli bydła, przy pracach rolnych Północo-Wschodu, w obozie letnim lub na okręcie. Lato spędzi przyjemniej i z większą korzyścią dla siebie, niż gdyby brał udział w sztucznie obmyślonych zajęciach na czas wakacyjny. Nieraz może praca jego będzie twardym mozołem, lecz tę złą stronę wynagradza zupełnie zahartowanie i prostota życia.

W ciągu moich czteroletnich studjów w kolegjum dwa razy spędziłem długie wakacje letnie w prywatnych wycieczkach turystycznych w Południowe Apallachy, a trzeci raz w sposób o wiele pożyteczniejszy, biorąc udział w pomiarach kolejowych w zachodniej Pensylwanji. Moje bardzo skromne zadanie polegało na tem, by przy wytyczaniu pozostawać wtyle przy ostatnim zatkniętym znaku, tam czekać na sygnał przewodnika, który szedł zatknąć następny, by zaznaczać dane miejsca, oraz na każdym przystanku, o sto stóp wbok od linji, mierzyć kąt nachylenia, potrzebny do dokonania obliczeń. Nie była to wcale robota trudna, ale cały dzień trzymała mnie pod gołem niebem i dawała mi w sam raz dość ruchu, by potęgować apetyt i powodować zdrowe zmęczenie fizyczne. Zostawiała przytem dość swobodnego czasu, by w drodze, wałęsając się wzdłuż trasy, przyglądać się wszystkiemu, co się dzieje. Te przygodne obserwacje były dość ciekawe i pouczające, gdyż dawały mi poznać sposób zachowania się naszych amerykańskich obywateli przy ich codziennych zajęciach. Takie wycieczki nie wykluczają pewnych niebezpieczeństw, ale młody chłopak musi nawyknąć do narażania się na nie i czuwania sam nad sobą. Przypominam sobie jedno zdarzenie bardzo typowe. Pewnego dnia przeprowadziliśmy naszą linję przez moczary pomiędzy lesistym stromym grzbietem górskim a rzeką Clarion River. Czekałem na sygnał idącego przede mną przewodnika, by wskazać ostatni wytyczny punkt. Wtem usłyszałem dziwny łoskot, zupełnie niepodobny do wszystkich innych, i skierowałem się w tę stronę, by zo-

baczyć, skąd on pochodzi. Olbrzymi kloc drzewa leciał, przecinając powietrze, na wysokości mej głowy i tylko na pięć stóp przede mną. Przeciął bagna i zatoczył się na burtę nadbrzeżną nad rzeką z taką siłą, że cała kora z niego zdarta została doreszty. W istocie znajdowałem się na samym wylocie żlebu, służącego do staczania budulca z gór na miejsce spławu nad rzeką, mogłem tedy każdej chwili spodziewać się wznowienia tej osobliwej kanonady. Od tej chwili nauczyłem się rekognoskować teren przed zajęciem posterunku pod lasem. Kompanja kolejowa pokrywała koszta mego utrzymania i dopłacała mi po dolarze dziennie. Ponieważ były to pierwsze pieniądze, jakie zarobiłem w życiu, byłem niesłychanie dumny z mego zarobku. Mam jednak wrażenie, że byłem wynagradzany podwójnie, gdyż zdobyte doświadczenie było samo już wielkim zyskiem. Do dziś wspominam cenne społeczne i naukowe prawdy, któremi wzbogaciło mnie owo pamiętne lato, spędzone wśród lasów.

Takie korzystne okazje nie przychodzą same z codzienną pocztą. Trzeba ich szukać skrzętnie i wytrwale, póki nie trafi się taka, która odpowiada naszym planom i upodobaniom. Sama czynność układania i ustanawiania dla siebie programu zajęć wakacyjnych, zabiegi, podjęte dla wprowadzenia go w wykonanie, są kształcącem ćwiczeniem woli. Patrząc wstecz, człowiekowi nieraz żal niejednej z tych wesołych i łatwych chwil w życiu, gdy rodzice, nauczyciele i przyjaciele puścili go na swobodę, jeśli jednak zdaje sobie sprawę z istotnych wartości życia, nie żal mu żadnej chwili spędzonej w twardym znoju.

XIV.

ŻYJ WŁASNEM ŻYCIEM.

Proces nabywania wychowania i wykształcenia, jeśli tylko kierowany jest z pewną umiejętnością i polotem, zbyt wielką darzy rozkoszą, by można go zamykać w chwili otrzymania dyplomu. Nie byłoby to również ekonomiczne.

Wprawdzie doszedłszy do dwudziestu jeden lat, młodzieniec zatracił część tej plastyczności, która stanowi cechę wczesnej młodości, jeśli jednak dobrze spędził lata poprzednie, posiada już oprócz zdrowego i sprawnego organizmu doskonale wyostrzone i gotowe do pracy narzędzie pracy umysłowej. Byłoby to zbyt wielką stratą indywidualną i społeczną, gdyby miał właśnie w tej chwili to narzędzie odłożyć nabok, gdyby nie miał go użyć dla jak najlepszego celu. W każdym razie zasadniczy proces wychowania nie może się zatrzymać, chcemy, czy nie chcemy, postępuje on dalej aż do ostatniej fazy, do śmierci. Właściwem zagadnieniem jest celowość wychowania. Wychowanie młodzieńca nie jest skończone w 21 roku życia, choćby go jak najlepiej wychowywano. Co najwyżej doprowadzone jest do roku pełnoletności. Nie osiągnęło ono nawet tej mety, jeśli nie nauczyło go, że ta rewelacja moralnego i estetycznego świata, stanowiąca istotę wychowania, to rozwijanie i doskonalenie ducha ludzkiego i że winien do niego przystąpić z sercem mężnem i radosnem. Jeżeli przestrzegano wiernie i konsekwentnie zasady ćwiczenia samodzielności, to chłopiec nie będzie bezradny i oszołomiony w chwili, gdy mu każą własnem życiem kierować, będzie to bowiem tylko dalszym ciągiem tego, co robił dotąd co rok z rosnącą miarą samoistności. Ostateczny egzamin i otrzymanie dyplomu nie będą dla niego ryzykownym skokiem nurka, pogrążającego się w nieznany żywioł, lecz wydarzeniem w łańcuchu innych, zamknięciem jednego tomu w księdze życia i przejściem do następnego. Szalonym pomysłem byłoby nagle w 21 roku życia stawiać młodzieńca wobec nowego, odpowiedzialnego zadania—właściwego unormowania swych zajęć dziennych. Jeżeli życie jego nie było życiem bez celu, przywykł on to robić oddawna. Jedyną nowość stanowi to, że od tej chwili sprawa pracy na utrzymanie staje się bardzo realną częścią zagadnienia, ale i tu nowością jest tylko zastosowanie, myśl sama bowiem wcale dlań nowa nie jest. Jeżeli otrzymał wychowanie dobre, to było ono oparte nietylko na religji,

lecz na ekonomji, rozumie tedy jasno rolę pracy w każdym racjonalnym planie życia i pilno mu teraz, skoro posiadł już odpowiednie przygotowanie, wziąć w niej czynny udział.

Człowiek młody, którego ideałem jest uniknąć konieczności pracy, zwalać na barki innych—mężczyzn. kobiet i dzieci — brzemię trudu, który na niego przypada, nie jest istotą wychowaną i potrzebuje dalszej dyscypliny. Nagłe stawianie młodzieży przed zagadnieniem pracy na utrzymanie, szczególniej w naszym chaotycznym ustroju gospodarczym, sprawia, że nieprzygotowany umysł wpada w szkodliwą przesadę. Ojciec oświadcza mu dość cierpko, że już czas, by się zabrał do pracy. Matka — trochę wzruszona—poprawia mu krawat i zapina surdut z miną taką, jakgdyby przypinała pancerz, wyprawiając go w szeroki świat na rycerskie przygody. Ciotka, stara panna, z oczyma pełnemi łez, z namaszczeniem i wzruszeniem rozwodzi się nad tem, jakie czekają go walki i jak ona ufa w jego zwycięstwo, jak się gorąco o nie modli. Walki, o których mówi, to obecna niska pogoń za zyskiem, a trofea, o które się świętokradzko modli, to tenże zysk i fortuna. Jego narzeczona, jeśli ma narzeczoną—choćby nawet bardzo zakochana—podnieca go do tej walki, obiecując samą siebie w nagrodę zwycięstwa, pod którem zwykle rozumie osiągnięcie takiego dobrobytu, by mógł jej zapewnić egzystencję wygodną, bezczynną, pasożytniczą.

Młodzieniec bez wychowania — a większość młodzieży dyplomowanej w kolegjum dotychczas wychowania *nie ma* — z całą prostotą godzi się na ten karykaturalny sposób pojmowania życia. Widzi on, że w obecnej naszej anarchji gospodarczej przeciętna porcja dostatków jest bardzo skąpa. Przyjmuje więc podsuwaną mu przez ojca, matkę, ciotkę, narzeczoną i całą klasę społeczną, do której należy, myśl, by, dążąc do osobistej karjery, manewrować tak zręcznie, ażeby przywłaszczyć sobie znacznie więcej niż rację przeciętną, przypadającą na niego, i na tej drodze uszczęśliwić siebie, rodzinę, krewnych i przy-

jaciół. Życie staje się walką, nie chwalebną walką *wraz* z bliźniemi o wszelkie dobro dla ogółu, o urzeczywistnienie Królestwa Bożego w jakiejś pięknej, dalekiej przyszłości, lecz wstrętną, bratobójczą walką *przeciw* bliźnim o niesłusznie nadmierny dział dobra, aż nazbyt często wytworzonego bez udziału tego, który tak wygórowane rości do niego pretensje. Za zgodą jednomyślną wszystkich bliskich, młodzieniec rzuca się w ten bezbożny nurt powszechny, w to zaprzeczenie wszelkiego braterstwa i służby, a wtedy jego matka, ciotka, narzeczona, dziś już trzeźwa i praktyczna żona, dziwią się i gorszą, dlaczego religja już na ludzi nie ma żadnego wpływu. Źle wychowany młodzieniec z natury rzeczy przyjmuje świat takim, jak jest, i gotów jest zaprzedać swą młodość, czas, zdrowie, może nawet swą dawniejszą drażliwość sumienia, wyższym nakazom, póki nie przekona się kiedyś poniewczasie, jak nikczemnej dopuścił się frymarki. W dziewięciu wypadkach na dziesięć, uniewinniać będzie tę nierzetelność względem społeczeństwa i siebie samego, głosząc hasło obrony porządku społecznego, polegającego na walce drapieżników między sobą, choć żaden człowiek z głową i sumieniem tego porządku bronić nie może. Nie słyszy on, lub nie chce słuchać głosu wewnętrznego, który mówi do każdego z nas: „Poprzestawanie na tem, co jest, to najgorszy los, jaki człowieka dotknąć może. Rzeczywistą tragedją życia, to służyć ludziom samolubnym do celów, których nikczemność sami widzimy“.

Ponieważ większość ludzi, wśród których żyjemy, nie ma należytego wychowania, przeto poddaje się temu nędznemu losowi i przeżywa tę istotną tragedję. Nawet mniejszość, ta garstka dobrze wychowanych pada częściowo ofiarą pokus szatańskich, łudzących wszelkiemi społecznemi i gospodarczemi ponętami, a ledwie niewielu wychodzi cało, chroniąc się w wyższym świecie rozumu, sprawiedliwości i religji.

Obecnie przejdę do rozpatrywania tej drobnej garstki z pośród mniejszości i postawię pytanie, jak pokierować winien sobą młodzieniec, dążący do światła i sprawiedliwości.

Jako dewizę dałbym mu motto, umieszczone w nagłówku tego rozdziału: „Żyj własnem życiem“. Dotąd czynił to, wspierany radami i wskazówkami starszych; obecnie szukać musi oparcia tylko w sobie samym i w Bogu.

Rozumnie pojęte wychowanie nie jest takiem działaniem na chybi-trafi, jak się niejednemu zdaje i jak bywa zwykle traktowane. Jest ono jasno określonem i konsekwentnie przeprowadzonem urzeczywistnieniem pewnych fundamentalnych zasad. Życie samodzielne po opuszczeniu kolegjum w 21 roku życia winno być temże samem. Powinno być wyrazem woli. Wola objawia, czem człowiek jest, ile rozumu, religji, wykształcenia, intuicji wziął od swych poprzedników i współczesnych. U młodzieńca, nawet bardzo dobrze wychowanego, wola zwykle jest słaba i nieśmiała. Ani nie jest bardzo twierdząca, ani też nie ma wiele do stwierdzenia. Instynktownie młodzieniec dokonywa wiele czynów, wymagających natężenia energji, dzielności, tężyzny — wskazanych przez przyjęte konwencjonalne normy, a te mylnie uchodzą za objawy woli. W istocie jednak świadczą one o tem, że wola jego jest jeszcze niedorozwinięta, nieopanowana i dlatego poddaje się biernie wpływom zwyczaju, instynktów i konwencjonalnych norm. Może w późniejszym czasie wykonywać będzie niektóre z tych samych czynności, lecz już nie ulegając konieczności, lecz kierując się świadomością oświeconą doświadczeniem. Będzie tak postępował, gdyż sam tego chce. Może działać zgodnie z instynktem i z przyjętemi zwyczajami, lecz jeżeli to uczyni, to dlatego, że z otwartemi oczami wybrała wola jego ten sposób postępowania, jako pożądany i pożyteczny. Dobrze wychowany chłopiec będzie zatem stawiał pytania, odrzucał fałsz, poszukiwał prawdy. Popełniać będzie własne wielorakie pomyłki, obejmujące całą szeroką skalę, oddzielającą śmieszność od tragizmu, nie padnie jednak przynajmniej ofiarą błędów przyszłych lub współczesnych, narzucanych mu z zewnątrz wprost przez to, że popełnia je mnóstwo innych ludzi. Będzie cierpiał, będzie błądził,

lecz będzie miał w sercu niezmącony pokój, zrodzony z bezwzględnej ufności, że nie grozi mu upadek. Wkońcu dojdzie do poznania Boga.

Współczesna młodzież amerykańska, po dojściu do pełnoletności, przedewszystkiem ma rozwiązać kwestję chleba powszedniego. Większość oddaje się jej z taką gorliwością, że zaniedbuje wszystko inne. Dla owej wybranej garstki z pośród lepszej mniejszości to zagadnienie wcale nie istnieje. Świat istnieje i różne rzeczy na nim. Życie nie jest wcale zagadnieniem, ani też wielkiem zagadnieniem. Jest czemś intuicyjnem, pulsującem — jest doświadczeniem. Głównem zadaniem życiowem jest być czemś, objawiać w sposób jak najpotężniejszy wolę jak najbardziej zbliżoną do woli boskiej. Niewielu skłania się ujmować życie w ten sposób wielki i prosty zarazem. Ludzie chwytają różne rodzaje powikłań dawnych i teraźniejszych, wynajdują nowe zawiłości własnego pomysłu, a potem z namaszczeniem obwieszczają, że te pułapki duchowe są wielkiemi zagadnieniami. Gdy staje przed wami człowiek, który stara się zrobić jak najmędrszą minę i zaczyna rozprawiać szeroko o różnych swoich i cudzych sprawach, bardzo pospolitych, jako o zagadnieniach, lepiej mu zejść z oczu, gdyż w dziewięciu wypadkach na dziesięć jest to tylko pusty hałas. Warto zauważyć, że wielcy duchowi nauczyciele ludzkości, Buddha i Jezus, oraz ich wybrańcy, nie znali takich zagadnień. Odrywali oni ludzi od tych drobnostkowych łamigłówek, a zwracali w stronę szerokiego przestworza niebieskiego. Wiekuista Bezpośredniość. Wielkiem zadaniem życia jest ta Wiekuista Bezpośredniość, nieskończony prąd czasu, stwierdzenie woli. To jest żyć własnem życiem, iść naprzód swobodnie, każdy własną drogą.

Wszędzie widzimy wokoło siebie ludzi, żyjących napozór swem własnem życiem, którzy widocznie źle wychodzą na tem; są to próżniacy, marnotrawcy, uganiający się za rozkoszami życia. Nie można powiedzieć, by ten przykład obalał naszą zasadę, gdyż oni się jej wcale nie trzymają. Poprostu idą oni za ciżbą i niejednokrotnie

sieją wśród niej spustoszenie. Jasną jest rzeczą, że jeśli nasza zasada ma się utrzymać, musi obejmować wszystkich. *Żyj własnem życiem*, to z konieczności zawiera nakaz: *Daj innym własnem ich życiem żyć.* Nawet i w tej postaci nie jest to nauka dla tchórzów i próżniaków, lecz dla ludzi odważnych i wielkodusznych, jedyna nauka mogąca dać trwałe zadowolenie. Nie jest to nauka nowa, choć głosili ją tak nowocześni ludzie jak Schopenhauer, Nietzsche, Ibsen, Shaw — a w złagodzonej formie mniej błyskotliwe umysły, Emmerson i Matthew Arnold. W istocie tkwi ona na dnie, przytoczonej na wstępie, modlitwy buddhystów i była myślą przewodnią zarówno w Grecji, jak w Aleksandrji. Nie wyda się ona nauką przewrotową dwudziestoletniemu chłopcu, wychowanemu zgodnie z tą nauką. Dokona on w rzeczywistości wielkiej rzeczy, odważy się być sobą — jeśli jednak wychowanie jego dało dobre wyniki, będzie mu się zdawało, że to nic osobliwego. Przyznaję, że byłby to wręcz rewolucyjny program dla zwykłego wychowańca szkoły publicznej, lub internatu, dla zwykłego nauczyciela, przeciętnego duchownego, kupca, zawodowca jakiegokolwiek rodzaju, gdyż żadnego z nich nie nauczono być sobą, lecz — o ile osobista przekora i zachcianki nie stoją na przeszkodzie — przystosowywać się do całego zespołu tradycyj, przesądów, obyczajów, zmierzających do tępienia wszelkiej nowości i oryginalności.

Różnica między chłopcem, wychowanym wedle naszej myśli, a pospolicie niewychowanym uczniem kolegjum, zaznaczać się będzie na każdym kroku aż do grobowej deski, lecz nigdy może nie wystąpi tak jaskrawo, jak w sprawie chleba powszedniego. Dobrze wychowany chłopiec weźmie się do niej z taką prostotą, jak bierze płaszcz i parasol w dzień dżdżysty; bez wielkiego wysiłku traktować ją będzie, jako środek do celu; jako nieuchronny sposób podtrzymania swej fizycznej egzystencji, w każdym razie jako coś, co jemu służy. Zwykły młodzieniec będzie ją brał bardzo poważnie, tak poważnie, że gdy zapewniać będzie głosem przejętym, że wierzy, iż *dojdzie*

do czegoś, to w istocie wcale nie poprzestaje na rozwiązaniu kwestji chleba, lecz roi o stokrotnie obfitszej zdobyczy. Nie dodaję bynajmniej, że w drodze do swego celu prawdopodobnie, a nawet niemal na pewno, dozna klęski w swem istotnem życiu, w życiu duchowem. Krótkiem jest bowiem istnienie człowieka na ziemi; — jeśli czyni jedno, musi zaniedbać drugie, jeżeli odda się całkowicie temu, co podrzędne, musi pozbawić się tego, co treść życia stanowi.

Różnicę między jednym i drugim typem można zamknąć w łupinie od orzecha: wykształcony chłopiec traktuje rzeczy zasadnicze poważnie a drugorzędne przygodnie, podczas gdy przeciętny chłopiec zajmuje się przygodnie zasadniczemi rzeczami, a poważnie podrzędnemi.

Kwestja utrzymania musi w naszych czasach zajmować wszystkich, zarówno idealistów jak materjalistów, lecz w dobrze obmyślonym zawodzie stoi ona na drugim planie i polega na przystosowaniu poziomu do środków. Ten zwłaszcza, kto chce żyć własnem życiem, musi stawiać kwestję chleba na drugim planie, w przeciwnym razie bowiem przegra sprawę, staje się sługą swej pracy, nie jej panem, zepchnięty do ciżby pospolitych ludzi bez wartości. Chłopiec, który z kolegjum lub pracowni artystycznej wyniesie dzielne, ochocze serce, nie upada pod brzemieniem „zagadnienia“ chleba powszedniego. Do niego należy dzień dzisiejszy i nie myśli on bynajmniej strwonić go na marne. Zamierza on pracować dalej nad swem wykształceniem, nadal napawać się głęboką radością życia, służyć i wzajemne usługi odbierać, poświęcać się rzeczom zasadniczym — i obok tego płacić koszty swej życiowej wędrówki. Znam wiele czcigodnych, pobożnych osób, które kręcić będą głową nad takim planem życia. Ich moralnością jest obyczaj, przeto z ich stanowiska jest on niemoralny, w nim jednak jest zaczątek nowej wyższej moralności, która kiedyś stanie się przyjętym obyczajem.

Żyć takiem wolnem, religijnem życiem bez kompromisów i bez wahań można bez walki z ludźmi przeciętnie rozsądnymi. Źle jest mówić, że życie jest bojo-

waniem, gdyż przez to usprawiedliwia się całą nieludzkość wojny. Istotna walka polega na skutecznem opieraniu się demoralizującym wpływom światowców we własnej rodzinie, wśród przeciętnych nauczycieli, księży, wydawców, aferzystów, wybitnych obywateli. Wszyscy oni znajdą pół tysiąca ważnych powodów, dla których młodzieniec winien zerwać z własnym promiennym światem i skłonić się do ich gałgańskich planów, a wszystkie ich argumenty pokrywają się złudną maską moralności. Moralność, którą głoszą z takiem zacietrzewieniem, nie jest jednak niczem innem, tylko wykrętem, który sami wymyślili dla usprawiedliwienia swej niemożności postępowania naprzód. Młodzieniec, który to widzi jasno, może śmiało rozbić w puch niejedną bańkę mydlaną i iść z uśmiechem swoją drogą, wiodącą do Królestwa Bożego. Są także złudne bańki, wciąż powracające na nowo, które nieustannie na nowo rozbijać trzeba. Do nich należy owo, na niczem nieoparte i niedowiedzione, mniemanie, że pewne rzeczy *muszą* być zrobione. Słyszymy, że dzieci muszą się rodzić, że węgiel trzeba kopać, koleje muszą iść, kotły statków parowych muszą być zasilane, że pewne towary trzeba wytwarzać i sprzedawać tak samo, jak budować drapacze nieba i tysiące innych rzeczy, że zatem ktoś to robić musi. Te proste gołosłowne twierdzenia, nie dające się uzasadnić, ani obronić, służą do uniewinnienia najbardziej gorszącego postępowania, zarówno w rozumowaniu wytwornego kaznodziei, jak handlowego agenta i prostytutki. Na całą tę sofistykę jest tylko jedna odpowiedź prosta i bezsporna, że taka konieczność wcale nie istnieje. Nie można jej udowodnić ani pośrednio ani bezpośrednio. Niektóre z czynności, uważanych za nieodzowne, można uznać za pożądane, ale z chwilą, gdy pojęcie konieczności zastąpimy pojęciem prawdopodobnej celowości lub użyteczności, już bańka prysła, już samo założenie podlega dyskusji i może być rozpatrywane z punktu widzenia wyższej moralności i wolnej woli.

W ciągu mych licznych podróży, nieraz tutaj wspominanych, a dających mi sposobność do osobistego pozna-

nia wszystkich czterdziestu ośmiu stanów naszej republiki zwiedziłem niejeden zapadły zakątek kraju i musiałem stawać w takich hotelach, których nie można nazwać ani wygodnem, ani wytwornem schronieniem. Najuciążliwszą stroną tych popasów była chmara ajentów handlowych. Jeśli jest lepszy sposób beznadziejnego i kompletnego zmarnowania życia człowieka, niż przez zrobienie go komiwojażerem, to przyznam się, że ja go jeszcze nie znam. Choć może się to wydać nie do wiary, każdy z nich ma głębokie przekonanie, że towar, który on kolportuje, *musi* odchodzić, dla nich przeto kwestja sprzedania tego towaru góruje nad wszystkiem, nawet nakazy obowiązku i przyzwoitości muszą jej ustąpić. Jeden z tych komiwojażerów, ładny chłopak, oświadczył mi z rozbrajającą otwartością, że towar, który sprzedaje, jeśli się nie mylę — obuwie, nie mogło być rozprzedawane na zasadzie swych zalet, gdyż brakło mu tego warunku, zmuszony jest zatem kłamać dla pozyskania nabywców. Ten grzech okłamywania kupujących wydał mi się jednakże drobnostką w porównaniu z grzechem okłamywania samego siebie co do swego przeznaczenia.

Niewątpliwie istnieją i inne pułapki na tych, co pragną się dać złapać, jeśli jednak załatwimy się z tym argumentem nieuchronnej konieczności, odrazu oczyścimy sobie szerokie pole do wolnego wyboru kierunku życia. Nic już nie krępuje naszego młodzieńca, ani tradycyjne rzemiosło lub powołanie jego przodków, ani ponęty zysku, ani niedorzeczne zobowiązania. Jeżeli od sześciu pokoleń każdy Jan Smith był duchownym, prawnikiem, doktorem, golibrodą, świniopasem czy młynarzem — to nie racja, by dany Jan Smith miał koniecznie chwytać się tego samego zawodu. Pole jest wolne, młodzieniec sam tylko może wybierać.

W niejednym zawodzie trzeba mu będzie naprzód poświęcić trzy lub cztery lata na przygotowanie się do pracy. Tak się rzecz ma w szczególności, gdy chodzi o tak zwany zawód naukowy lub o zastosowanie nauki do techniki, jak w zawodzie inżyniera, chemika, agronoma.

W innych gałęziach pracy może najwięcej nauczyć się przez praktykę. Nikt nie może wybierać zawodu dla kogoś, ale umysł dojrzały i wyzwolony może i powinien młodzieńca objaśnić o właściwościach i warunkach każdej zarobkowej pracy. Rodzajów pracy jest mnóstwo, ale zasada wyboru jest niezmiernie prosta. Pozwolę sobie powiedzieć, że wybierać należy takie zatrudnienie, w którem tkwi pierwiastek wieczności, to znaczy, które posiadają wagę zasadniczą i przedstawiają trwały, podstawowy interes. Nie należy zaś wybierać takich zajęć, które są same przez się błahe i bez znaczenia i trwale interesować nie mogą. Ta wskazówka może być dla młodzieńca sprawdzianem, którym sam może się posługiwać dla oceny dodatnich i ujemnych stron każdego zawodu. Czy dana praca odpowiada istotnym, czy też tylko fikcyjnym potrzebom człowieka? ważnym czy bagatelnym? artystycznym czy pospolitym? zdrowym czy niezdrowym? Może również nasz chłopiec postawić samemu sobie pytanie następujące: wyobraź sobie, że masz już siedemdziesiąt lat, stoisz nad grobem i, patrząc wstecz, zastanawiasz się, czy warto było spędzić życie całe w tej pracy, poświęcić tyle lat swej egzystencji dla zrobienia tego, co zrobiłeś? To pytanie najdonioślejsze do głębi przejmuje człowieka, gdy się je stawia w formie przypuszczenia na przyszłość, staje się wręcz wstrząsające, gdy istotnie odnosi się już do minionej przeszłości. To zagadnienie musi sobie postawić każda jednostka wykształcona. Spróbujmy zastosować powyżej ustalony sprawdzian do kilku typowych zawodów, zaczynając od tak zwanych zawodów naukowych. Czy poważny, religijny, duchowo rozwinięty młodzieniec, zamierzający żyć własnem życiem, może zostać duchownym, prawnikiem lub lekarzem? Przyjęło się powszechnie mniemanie, że są to niewątpliwie szlachetne powołania i że jedyne przeszkody mogą zajść ze strony samego kandydata: brak zdolności, upodobania, warunków osobistych, albo też leżyć w warunkach lokalnych, naprzykład brak pola pracy z powodu dostatecznego zaopatrzenia w siły odpowiednie. Młodzieniec, zamierzający żyć wła-

snem życiem, a kierować się wskazaniami surowej moralności, która widzi w każdym człowieku odpowiedzialnego urzędnika Boga, a w każdym postępku—akt twórczy, nie podda się w tak ważnej kwestji poglądom ustalonym, powszechnie przyjętym, lecz zechce samodzielnie zważyć i ocenić złe i dobre strony każdego z tych zawodów. Prawda, że sąd jego może inaczej wypadłby, gdyby był starszym i posiadał doświadczenie, lecz musi się na niego zdobyć dziś, przed wyborem zawodu, nie zaś poniewczasie.

Patrząc trzeźwo na powołanie duchowne, w duchu religijnym, lecz bez przesądów, chłopiec dobrze wychowany oceni odrazu, że to nie dla niego zawód, gdyż ścisłe sformułowanie artykułów wiary w każdem wyznaniu sprzeczne jest z zasadniczą ideą przewodnią jego życia, nieustannem poszukiwaniem prawdy i dążeniem do poznania Boga. Wszystkie wielkie religje, wyznawane w Stanach Zjednoczonych, katolicyzm czy protestantyzm, już są w posiadaniu ustalonej prawdy, i pierwszem wymaganiem, stawianem kandydatom do stanu duchownego jest, by zgóry, bez zastrzeżeń, tę prawdę przyjęli, obowiązując się uroczystą przysięgą do rzetelnego wyznawania i bronienia jej przed wszelką zmianą. W pięknym Kościele, do którego ja należę, trzeba wyznawać prawdę, sformułowaną w 325 r. po Chrystusie, oraz trzydzieści dziewięć artykułów, ustanowionych w 1563 roku. Są to bardzo ważne i doniosłe dokumenty, wyrażają one bowiem to, w co wierzyli Ojcowie Kościoła w danym momencie dziejowym, lecz chcieć narzucić dosłowną treść ich wierzeń współczesnemu pokoleniu, to podejmować niewdzięczne, niewykonalne wręcz zadanie zatrzymania czasu w biegu. Dla współczesnego, religijnego chłopca, niemożliwe jest przyjęcie jakiegokolwiek wyznania o trwale i niezmiennie określonych artykułach wiary. Nie może on się *zobowiązać* do wierzenia w cośkolwiek, gdyż wierzenie jest samorzutne, giętkie, rozlewne, jeśli zaś dąży do poznania Boga, musi być gotów iść tą drogą, która mu to dążenie wskazuje. Idea ustalonych wierzeń odpowiada staremu po-

rządkowi rzeczy, starym nawyknieniom wtrącania się do spraw, które z natury swej są dziedziną indywidualnej swobody, starej akademickiej manji definjowania tego, co jest z natury swej nieokreślone. Ale ten stary porządek mija, a dla najlepszych duchów współczesnych już przeminął. Nie gra on już roli w nowszej moralności, która przyjmuje samorodny postęp, twórczość, odpowiedzialność. Nastał okres krytyczny w życiu Kościoła Chrześcijańskiego. Nowe objawienie wewnętrzne, które porusza serca, zawitało w samem łonie Kościoła i nosi miano modernizmu. Jeśli Kościół przyjmie modernizm i stanie się świątynią tych, którzy swobodnie szukają Boga, stanie na progu nowej, wspaniałej ery rozkwitu. Jeśli go odrzuci, to sądzę—skazany jest na to, by stać się takim przeżytkiem i anachronizmem, jak niewola murzynów, procesy czarownic, święta Inkwizycja—i ulec ich losowi.

Wykształcony młodzieniec dwudziestoletni o przeciętnych zdolnościach, czytając ten wielce praktyczny przewodnik religijny, jakim jest ewangelja ś-go Mateusza, czytając go z równie uważnem skupieniem, jak jakikolwiek traktat filozoficzny, z łatwością odkryje przeciwieństwo między chrześcijaństwem a nauką kościelną. W wymownej przypowieści o Sądzie Ostatecznym, gdzie Pan Jezus jak najwyraźniej wypowiada swoją myśl o drodze do zbawienia, wzywa nagą duszę ludzką na sąd i uznaje tylko jeden sprawdzian powszechny, dobre uczynki, usługi oddawane. W obliczu potrzeb ludzkich—głodu, pragnienia, opuszczenia, nagości, choroby, więzienia—jak zachowałeś się, człowieku? Czterokrotnie powtarza się ta litanja i czyni potężne wrażenie. Tu niema mowy o metafizycznych dogmatach, niema nawet mowy o tem, czy wierzysz w Boga. A tymczasem Kościół uzależnia zbawienie od metafizycznych wierzeń. Wtedy chłopiec staje wobec ciekawego dylematu, bo nawet gdyby mógł przez jakiś środek, znieczulający umysł, nagiąć się do idei ustalonych wierzeń, musiałby przestać być chrześcijaninem, by móc zostać duchownym chrześcijańskim. Chrześcijanin może niewątpliwie uznać wszystkie dogmaty chrześcijańskiego

Kościoła, rzymskiego, anglikańskiego, czy nonkonformistów, może w nich widzieć poważne i zbawienne hipotezy, dotyczące duchowego życia. Osobiście uznaję wysoką wartość niejednego z tych dogmatów. Trudno jednak być chrześcijaninem pierwotnego typu, a jednak poczytywać je za niezbędne do zbawienia. Zdaje mi się, że niema innego wyjścia. Trzeba wybierać między chrześcijaństwem Chrystusowem, a chrześcijaństwem kościelnem. Trzeba odpowiedzieć na pytanie, co ma być sprawdzianem: uczynki, czy dogmaty? Choć jednak młodzieniec szczerze religijny nie może być urzędowym płatnym kapłanem żadnej ustalonej wiary, może być wolnym, bezinteresownym misjonarzem nowej moralności. Nie potrzebuje nawet walczyć i agitować. Sama nieskazitelność życia uczciwego człowieka czyni go nieświadomie kaznodzieją cnoty.

Co do prawa, to wiele się tu da powiedzieć, a w tem wiele ostrzeżeń i zastrzeżeń. Nawet w tak postępowej republice jak Massachusetts, przeszło 90 ustaw na sto dotycze własności, a niespełna dziesięć odnosi się do osób. Najczcigodniejsi prawnicy, jak mi mówiono, ci, co najbardziej wyróżnili się w swym zawodzie i prawdopodobnie dojdą do Najwyższego Trybunału, wolą zajmować się sprawami wielkich korporacyj, hurtownych dostaw, bankructw, testamentami zbogaconych nieboszczyków. Bardzo niewielu chce mieć do czynienia ze sprawami kryminalnemi lub innemi, dotyczącemi osób, bardzo niewielu z temi, gdzie chodzi o prostą sprawiedliwość. Słowem, nowoczesny prawnik, mający rozgłos i wziętość, zajmuje się niemal wyłącznie sprawami pieniężnemi. Nie wytwarzają oni bogactwa; pomagają ludziom przywłaszczać je sobie, zachowywać i pomnażać. Zarabiają tem więcej, im więcej wynosi majątek, o który chodzi. Prawnik jest w istocie rzeczy handlowcem, niemniej niż hurtowny kupiec lub sklepikarz. Młodzieniec, pragnący żyć własnem życiem a utrzymać je na wysokim poziomie, nie potrzebuje roztrząsać złych i dobrych stron takiego rodzaju życia, gdyż odrazu zrozumie, że ono nie dla niego. Nie odpowiada ono warunkom wyższego powo-

łania, nie jest ważne, nie przedstawia zasadniczego interesu, nie tkwi w nim pierwiastek wieczności. U schyłku tak spędzonego życia musi powstawać uczucie żalu i niesmaku. Istnieje jednak dla prawnika inne powołanie, wolne od tego zaprzątania umysłu rzeczami błahemi i poziomemi, dotycze spraw zawsze potrzebnych i zawsze ważnych, wymagające czynności, które muszą budzić szacunek myślącego młodzieńca. Prawnik tego rodzaju oddaje się całkowicie na usługi sprawiedliwości i wszystkie jego wysiłki zmierzają do tego, by jej wszędzie zapewnić zwycięstwo, zarówno w trybunałach, do których ma dostęp, jak w społeczeństwie, wśród którego żyje. Jego znakomite umysłowe wyszkolenie i doświadczenie prawnicze uczynią go zczasem rzetelnym, bezinteresownym mężem stanu. O takiej karjerze młodzieniec może myśleć bez zrzekania się swych zasad i swojej duchowej niezawisłości. Zajmując pewne urzędy, będzie musiał przysięgać na wierne dochowanie konstytucji, lecz konstytucja podlega zmianom i reformom, a nigdy od nikogo nie żądają przysięgi na to, że konstytucja w każdym punkcie ma słuszność. W tych dwóch punktach jest ona lepsza, niż artykuły wiary. Uznając, że zawód prawnika jest możliwy, bynajmniej jeszcze nie twierdzę, by on miał być najważniejszy, by dotyczył rzeczy przedstawiających najtrwalszy i najgłębszy interes. Młodzieniec musi sam decydować.

Obecnie przyszły złe czasy na medycynę, a młodzieniec, biorąc pod uwagę ten zawód, musi się bardzo krytycznie zastanawiać. We wszystkich naszych wielkich miastach amerykańskich medycyna zbrukała się i poniżyła panoszącą się szeroko chorobą handlarstwa i pogoni za zyskiem. Są oczywiście budujące wyjątki, lecz większość utalentowanych lekarzy i chirurgów rozgłos swój ceni dla nieproporcjonalnie wysokich honorarjów, jakie z niego czerpią. Nie potrzebuję cytować przykładów, gdyż każdy, kto zebrał obfitsze doświadczenie w naszem miejskiem życiu, nie potrzebuje ich daleko szukać. Znałem doktora, który mnie okłamał, aby mnie wciągnąć na

powtórną wizytę do swego gabinetu. Inny znów ściągnął ze mnie zwykłe honorarjum za objaśnienie mnie, iż mi nic pomóc nie może i muszę zasięgnąć rady innego specjalisty. Ludzie o ograniczonych środkach muszą się lękać choroby nietylko dla cierpień i przykrości, jakie sprowadza, lecz dla rujnujących rachunków, które wkońcu zapłacić przychodzi kosztem całorocznego szczędzenia na najniezbędniejszych wydatkach. Szczególnie chirurgja zdaje się skłonna do zdzierstwa. Znałem rodzinę profesora, zmuszoną zrzec się wyjazdu na letnie wakacje z powodu, że jedno z dzieci chorowało na narośl adenoidalną i ta prosta operacja usunięcia narośli kosztowała tysiąc dolarów. Znałem zdrowego ucznia Harward College, który wpadł w ręce dentysty w Bostonie, ten zaś niepotrzebnie kazał mu przychodzić do siebie tydzień za tygodniem, póki rachunek nie urósł do sumy, stanowiącej czwartą część rocznych dochodów pacjenta podwójnie okradzionego: z czasu i pieniędzy. Osobiście tego nie doznałem, ale wiem o operacjach, wizytach lekarskich, zapisywanych lekarstwach i kuracjach nietylko zbytecznych lecz wręcz szkodliwych, a narzucanych tylko dla honorarjów lekarskich. Znamienne jest to, że ludzie, potrzebujący cokolwiek bardziej skomplikowanej operacji, o ile nie jest niezwłocznie konieczna, jeżdżą czasem do Niemiec, by ją tam odbyć, gdyż nawet w połączeniu z kosztami podróży wypada ona taniej. Ja sam jeździłem do Wiednia, do specjalisty chorób usznych, znakomitości lekarskiej, sławnej nietylko w Austrji, lecz w całym świecie, a za pięć bardzo starannych i długich zabiegów zapłaciłem tyle, ile za powierzchowną konsultację lekarską u przeciętnego lekarza w Ameryce. Warto też zaznaczyć, że na akt oskarżenia, jakim jest przedmowa do „Lekarza na Rozdrożu“, nigdy dotąd nie dano zadowalającej odpowiedzi.

Nie potrzeba dłużej roztrząsać tego niewdzięcznego zagadnienia. Najstraszniejszej strony całego medycznego oszustwa nigdy jeszcze nie dotykano i nie poświęcano jej należytej uwagi. W krytycznych momentach życie

człowieka waży się na chwiejnej szali; jedno tchnienie decyduje o przechyleniu jej na jedną lub drugą stronę. W takiej chwili potęga medycyny lub chirurgji nie leży wyłącznie w naukowej i technicznej umiejętności lekarza, lecz w przenikliwości, która potęguje się, gdy działa w duchu czystej intuicji. Chcąc leczyć pomyślnie, musi chorobę przenikać duchem, a nie tylko rzeczowo stawiać diagnozę. Pogoń za zyskiem pozbawia go tej przenikliwości; odbiera ją zresztą ludziom wszelkich zawodów, ulegającym tej namiętności. W krytycznym momencie zawodzi, a wtedy szala przechyla się na stronę śmierci. Dramat życia wewnętrznego lekarza powoduje dramat w rodzinie chorego i w szerokiem kole jego przyjaciół. U niektórych znakomitych praktyków przytępienie duchowej przenikliwości dochodzi do tego stopnia, że powierzyć im niebezpiecznego pacjenta, znaczy tyle, co go skazać na śmierć.

Młodzieniec, który poświęci się medycynie lub chirurgji, jako służbie społecznej, nie pozwoli sobie traktować tego powołania jako złotodajnego rzemiosła, dobrze jednak będzie ostrzec go o niedostrzegalnych prądach, które wbrew jego wiedzy i woli mogą go porwać i pociągnąć w otchłań. Lekarz może być człowiekiem niepraktycznym, może potrzebować wielu kosztownych rzeczy,—mieszkania w eleganckiej dzielnicy miasta, lub miejscowości uczęszczanej przez bogatych ludzi, szykownego samochodu, narzędzi i sprzętów kunsztownych; może też, jak każdy inny człowiek — mieć rozrzutną żonę i dzieci, nawykłe do dostatku. Często się zdarza, że ambitny lekarz, zanim się spostrzeże, zostanie wciągnięty do życia nad stan, tak samo, jak niejeden kierownik prywatnej szkoły zabrnie w wydatki nad możność, chcąc swoją szkołę odrazu postawić wysoko. Dla jednego i drugiego wynikną stąd zgubne następstwa. Lekarz czuje się zmuszony do zdobywania pacjentów, do czepiania się ich i obciążania takim podatkiem, na jaki ich tylko stać. Właściciel szkoły pod analogicznym naciskiem musi werbować uczniów, a chcąc ich pozyskać, wchodzić w kom-

promisy z panującemi przesądami i głupotą, aż wkońcu jego szkoła stanie się czemś zupełnie bezkształtnem i bezprogramowem. Kto chce oddawać rzetelne usługi, musi się całkowicie wyzwolić z wszelkich pęt.

Jeszcze jedną stronę medycyny winien chłopiec wziąć pod uwagę, mianowicie rozpaczliwą bezowocność większej części zabiegów lekarskich. W istocie lekarz praktykujący jest obecnie nowoczesnym syzyfem, skazanym nato, by codzień pchać kamień pod górę i patrzeć, jak on się ponownie nadół stacza. Wielu chorobom można zapobiec; może nawet wszystkim. Choroba jest zwykle wynikiem nierozumnego trybu życia, lub świadomej lekkomyślności. Mam niemniej uczuć ludzkości niż inni i sam radbym gorąco uczynić, co się da, dla ratowania życia człowieka, nie zastanawiając się nad jego domniemaną wartością. Nie mógłbym jednak zapalać się do zawodu, narażającego mnie dzień po dniu na nalegania, by chronić mężczyzn od nieuchronnych następstw ich lekkomyślności, kobiety od skutków ich niezdrowego, nienaturalnego trybu życia, robotników od następstw naszego systemu przemysłowego, który znacznie więcej dostarcza mi swoich ofiar, niż ja zdążę wyleczyć. Lepiej byłoby sięgnąć do źródła złego i tam przeprowadzić reformę. Jednakże po tych wszystkich zastrzeżeniach przyznać trzeba, że zarówno medycyna, jak chirurgja otwierają szerokie pole do usług ważnych, pożytecznych, którym poświęcić się warto, jeśli się je pełni pod natchnieniem nowej moralności i ideału Wyższego Człowieka. Zadanie medycyny i chirurgji będzie w coraz mniejszej mierze polegało na leczeniu chorych, a w coraz wyższej na zapobieganiu chorobom przez medycynę prewencyjną i higjenę, przez wytwarzanie szlachetniejszej rasy ludzkiej.

Zdrowy, inteligentny chłopiec, obierając sobie zawód, nie będzie działał gorączkowo, ani unosił się zapałem do poświęceń. Jeśli porówna swe własne cele z temi, za któremi ugania się otaczający go ogół ludzi, musi dojść do wniosku, że Ameryce współczesnej potrzeba nietyle specjalnie uzdolnionych zawodowców, jako księży, prawników,

lekarzy, inżynierów, architektów, rolników, nauczycieli, dziennikarzy itp., lecz przedewszystkiem *ludzi*, — ludzi, żyjących życiem pełnem a nieskazitelnem, o woli rzetelnej, nieskłonnej do kompromisów. Pamiętając o tem, że żadne z tych zajęć, które dziś obniżają poziom życia, nie jest niezbędne i obowiązujące, chłopiec wyzwoli się całkowicie z dawnych fałszywych nakazów moralnych i uczuje się zupełnie uprawniony do odrzucenia tych zawodów, które bądź to same przez się są błahe i bezużyteczne, bądź i tych, które nie odpowiadają jego skłonnościom lub przeszkodziłby mogły jego dążeniu do fizycznego zdrowia i owocnej działalności. Ten młody, dzielny, piękny i uzdolniony chłopiec jest sam wiele więcej wart niż te wszystkie błahostki, którym miałby złożyć na ofiarę swoją siłę, piękność i talent. Odrzuci wszystkie te zawody, które wypełniają człowiekowi czas w sposób ludzkiej istoty niegodny a nie są bynajmniej potrzebne dla uszlachetnionego życia społecznego. Nigdy się nie da złapać na wędkę frazesu, że społeczeństwu potrzeba pewnej kategorji usług, gdyż frazes ten został już ostatecznie zdyskredytowany przez niewybaczalne oszustwa, nieopisane zbrodnie przeciw Duchowi Świętemu, które uniewinniał, osłaniał lub gloryfikował. Jako uczestnik ludzkiego dramatu, jako czynna wola, jako świadoma cząstka siły twórczej świata, chłopiec wykształcony musi podźwignąć swój dział odpowiedzialności, spożytkować swój rozległy zakres wolności. Gnuśna, tępa, bierna wola może w praktyce sprawić tyleż złego, ile jawna zła wola. Wola zbiorowa, złożona z samych takich elementów bezwładu, może być sama przez się złą wolą. Zwalczać ją, łamać, drwić z niej, może się stać zadaniem godnem mężczyzny. Nigdy społeczeństwo nie ma prawa narzucać światłemu umysłowi swoich materjalnych nakazów. Nie ma prawa powiedzieć mu: potrzeba mi węgla, masz go dobywać; trzeba mi kolei żelaznej, zbuduj ją; chcę mieć faktorje, zakładaj je; trzeba mi tego i owego i jeszcze innych rzeczy, musisz mi ich dostarczać. Nigdy mu nie wolno jakiegoś materjalnego wytworu mienić swą niezbędną potrzebą i czynnikiem istotnym

postępu. Mówimy o Ameryce, jako o Nowym kraju. W rzeczywistości, ciągłość naszej republikańskiej formy rządu sprawia, że jesteśmy politycznie jednym z najstarszych narodów Zachodniego Świata, starszym niż Norwegja, Niemcy, Francja, Włochy, Portugalja, Rosja, państwa bałkańskie, — starszym nawet niż Anglja, jeśli obalenie Izby Lordów uważać będziemy za początek nowej ery politycznej. Jesteśmy narodem starym, a w ciągu naszego natężonego, ruchliwego życia długo korzystamy już z pary, elektryczności, kolei żelaznych, telegrafów, telefonów, radjotelegrafji, samochodów, komunikacji podziemnej i nadziemnej, oraz wszelakich wynalazków materjalnego postępu. Wszystko to jednak nie stanowi cywilizacji; socjologowie nie zaliczają tego nawet do dzieł wiekopomnych. Prawdą bowiem jest, że cywilizacja i postęp ludzkości są rzeczą ducha, muszą się wyrażać w ludziach, w ich duchowem, cielesnem i umysłowem udoskonaleniu. O ile postęp materjalny sprzyja temu udoskonaleniu, przysparza cywilizacji, lecz sam cywilizacją nie jest, to też żadne nagromadzenie towarów, narzędzi, budowli, cyfr statystycznych nie może zaimponować żywej i czynnej woli ludzkiej. Gdzie te materjalne zdobycze nie sprzyjają udoskonaleniu człowieka — a to o wielu z nich powiedzieć trzeba — są one wrogami cywilizacji i postępu, a nowe przewartościowanie życia, które się obecnie naokoło nas dokonywa, musi je potępić i odrzucić.

Bardzo wiele tych zdobyczy materjalnych, któremi się tak szczycimy, w istocie posiada bardzo wątpliwą wartość. Przypadkiem piszę te słowa w stanie Georgja; otóż w jednej broszurze, pisanej na pochwałę tego kraju, czytałem prawie na naczelnem miejscu twierdzenie, że na jego obszarze sieć kolei żelaznej wynosi siedem tysięcy mil. Sądzę, że w obecnej chwili dosięgła ona już ośmiu tysięcy. Więcej niż niejeden inny podróżnik najeździłem się amerykańskiemi kolejami, ale nieraz zadaję sobie poważne pytanie, czy Ameryka nie byłaby piękniejsza, bardziej interesująca, szczęśliwsza, wyżej ucywilizowana, gdyby nie wynalazek kolei żelaznej. Cywilizacja nie po-

lega na nadmiarze rzeczy. Ten nadmiar może czasem prowadzić do barbarzyństwa, jak to codziennie zauważyć można w naszych wielkich miastach, wschodu czy zachodu, południa czy północy. Koleje nie przyniosły nam nawet materjalnego bogactwa, tylko je skoncentrowały w niewielu rękach. Utorowały one drogę do wszechpotęgi kapitału, która stała się groźną dla narodu i jest przedmiotem zażartej politycznej walki, zmierzającej otwarcie do ostatecznego zwycięstwa. Gdyby nie koleje, ta koncentracja nie byłaby możliwa, nie byłoby wyniszczenia naszych lasów, nie upadłyby różne miejscowe gałęzie przemysłu, śliczne stare miasta nie zostałyby doraźnie obrócone w gruzy, by ustąpić tym ohydnym miastom-grzybom, które narosły na ich miejsce. Kwitnęłaby rodzima sztuka i architektura, rodziny nie byłyby rozproszone, zachowanoby skromność obyczajów. Armja agentów handlowych, trwoniąca życie w strasznym deptaku pospolitych i płaskich zabiegów, spokojnie i pożytecznie pracowałaby w domu; setki i tysiące urzędników kolejowych, obecnie bez celu jeżdżących tam i napowrót po kraju, umieszczonych na stacjach węzłowych lub linjach bocznych, gnuśniejących przy magazynach i frachtowych budynkach, wreszcie te inne setki i tysiące ludzi, mozolących się przy ładowaniu i dowożeniu materjału kolejowego i opału do maszyn — mogliby się oddawać miłym i pożytecznym pracom i żyć wiele zdrowszem i lepszem życiem. Niktby też nie potrzebował myśleć o zakładaniu tych wstrętnych, brudnych i niewygodnych hoteli, stanowiących schronienie całej chmary komiwojażerów. Wielki błąd tkwi w naszym kulcie dla rzeczy... W rzeczywistości wcale nam nie potrzeba tak wiele rzeczy, by osiągnąć szczęście i cywilizację. Trzeba nam tylko trochę pożywienia, nieco odzieży, skromnych mieszkań i pewnej ilości narzędzi, przystosowanych do naszej pracy. Natomiast trzeba nam przestrzeni, piękna, wolnego czasu, życzliwych, przyjaznych uczuć, idei i czynnej woli i trzeba nam jeszcze różnorodne pierwiastki życia utrzymać w równowadze i proporcji.

Chłopiec, który otrzymał rzetelne wychowanie, powinien w ten sposób rozporządzić swym czasem i zorganizować swe życie całe, by przez inteligentne czynności woli zapewnić sobie te proste, niezbędne rzeczy, a zawsze móc żyć życiem własnem i los swój we własnem trzymać ręku. Nie wolno mu sprzedawać swego czasu, ani wynajmować się komukolwiek, dając mu prawo postanawiania, gdzie ma iść, co robić, co mówić. Dla wolnego ducha takie posłuszeństwo jest ciężkim grzechem. Posłuszeństwo tylko wtedy jest uzasadnione, gdy ten, kto rozkazuje, sam na siebie przyjmuje konsekwencje i ponosi odpowiedzialność za życie i pomyślność tego, który go słucha. Słusznie wymagamy posłuszeństwa od dzieci, gdyż my je osłaniamy i chronimy przed skutkami ich słabości i nieświadomości. Bez tej opieki zginęłyby; chętnie tedy przyjmujemy odpowiedzialność za ich życie i dobro, lecz chcąc tę odpowiedzialność ponieść, musimy mieć ich uległość. Jest to bardzo poważne brzemię, od którego powinniśmy się stopniowo zwalniać, w miarę jak dzieci okazują się zdolne i gotowe brać je na własne barki. Nie trzeba jednak tego czynić zbyt pośpiesznie i posuwać za daleko. Nowemu przewartościowaniu życia, które się obecnie dokonywa, towarzyszy bardzo wiele nierozsądnego i szkodliwego sentymentalizmu, który rozwodzi się o potrzebie emancypacji dzieci i młodzieży. Swego rodzaju emancypacja jest celem każdego wychowania — to znaczy doprowadzenie ich do tego, by mogły same kierować swem życiem i uczynić je wyrazem własnej rozumnej woli; najwyższym nierozsądkiem jednak jest przedwczesne przyznawanie, że cel ten już osiągnięty. Chłopiec lub dziewczyna, póki ma dom rodzinny, dający żywność, ubranie, schronienie i stanowisko społeczne, obciąża ten dom poważną odpowiedzialnością, za którą płacić musi posłuszeństwem. Młodzieniec, który chce żyć kosztem ojca, a nie chce się z wolą ojca liczyć, jest nielojalnym — nietyle względem ojca, ile przeciw prawidłom życia i zasługuje na pogardę rzetelnych i dzielnych charakterów. Jeżeli młodzieniec, mający dwadzieścia jeden lat, otrzymał

należyte wychowanie, wie on, że, pobierając pensję lub zarobek, złożył odpowiedzialność za swe utrzymanie na innego człowieka i przez samą naturę rzeczy obowiązany jest za tę cenę spełniać jego wolę. We wszystkich sprawach, związanych z pracą zarobkową, musi iść tam, gdzie mu każą, robić, co każą, mówić, co polecono. Gdy z jakichkolwiek względów dojdzie do przekonania, że nie godzi się w danym razie rozkazu usłuchać, nie ma innego wyjścia, jeno porzucić pracę i płacę zarazem. Jasną jest rzeczą, że młodzieniec, który ma żyć własnem życiem, musi wkońcu sam się o siebie troszczyć. Może trzeba mu będzie pewnego czasu, by stanąć o własnych siłach, by nietylko duchową, lecz materjalną samoistność osiągnąć. Nietylko czasu, lecz wysiłku i zabiegów niemało go to kosztować będzie. Może tymczasem będzie zmuszony sprzedać część swego czasu, wynająć się jakiemu panu, najmożliwszemu z pomiędzy tych, u których może znaleźć zatrudnienie. Taki układ może jednak tylko być tymczasową koniecznością, czemś przejściowem i pożałowania godnem, z czem nie można się pogodzić, jako z ustalonym programem życia.

Samuel Gompers wydrukował następujące oświadczenie: „Jestem członkiem rodziny robotniczej; mój ojciec i mój dziad pracowali w przemyśle. Obecnie żyjące cztery pokolenia mej rodziny należą do członków Związku Zawodowego, zaczynając od mego ojca, osiemdziesięcioczteroletniego starca, robotnika z fabryki cygar, a kończąc na mej najstarszej wnuczce, stenografistce. Pracuję w swym zawodzie od dwudziestu sześciu lat, a wszyscy członkowie mej rodziny żyli, żyją i mają nadzieję nadal żyć z własnego zarobku. Należymy do klasy robotniczej i chcemy w tej klasie pozostać".

Słowa te brzmią jak opowiadanie o strachach, i robią mi takie wrażenie, jakgdybym widział niewolnika brzękającego łańcuchami i wynurzającego swą miłość dla nich! A jednak takie otwarte wyznania, jak pana Gompersa, są bardzo cenne, gdyż świadczą, do czego niejeden robotnik dochodzi. Rysują one jaskrawe przeciwieństwo między

ideałem unjonisty, który chce pozostać najemnikiem, a naszym wychowawczym ideałem wolności i tych wszystkich trudności, jakie są z nią związane. Bardzo źle musi być wychowany młodzieniec, jeśli postanawia być całe życie najemnikiem, i okazuje się bardzo licho uzdolniony do tego, by robotników do wyzwolenia prowadzić. Pozwolę sobie powiedzieć, że pan Gompers nie nadaje się wcale na przywódcę tych ciężko pracujących i zapewne uczciwych ludzi, którzy wypełniają szeregi jego federacji pracy. Gdy niewolnictwo było przymusowe, jak niewola murzynów przed „Proklamacją", jedyną drogą do skasowania niewolnictwa, był akt prawodawczy. Tam jednak, gdzie ono jest dobrowolne, jak dla większości najemników, urzędników, stenografów, kantorzystów i wogóle ludzi, którzy czas swój sprzedają za pieniądze, reforma musi być indywidualna. To niewolnictwo wynika ze stanu umysłu — (który bywa chroniczny, np. w rodzinie pana Gompersa, a grozi wedle jego zeznania, że może stać się dziedzicznym) i można je zwalczyć tylko przez przeciwny nastrój umysłu. Trzeba stoczyć walkę o wyzwolenie w świecie idei. Wszelkiego rodzaju niewola, przemysłowa czy religijna, polityczna czy społeczna, jest następstwem uśpienia woli. Pierzcha, gdy wola się zbudzi. Jak już nieraz mówiłem, rozbudzenie woli, postawienie człowieka na nogi, by żył własnem życiem, stanowi właściwe zadanie wychowania.

Rozstrząsając szereg zajęć, jakie mu społeczeństwo nastręczyć może, chłopiec wierny zasadom, zaszczepionym mu przez wychowanie, a niezachwiany w swem postanowieniu życia własnem życiem, dojdzie do wniosku, że są one przeważnie niedopuszczalne, gdyż sprzeciwiają się naczelnym jego zasadom życiowym. Może nie wyjdzie mu to na złe, gdyż zapewni mu dostatek wolnego czasu, a mały wybór zawodów możliwych naprowadzi go na odkrycie nowych i zajmujących gałęzi pracy. Jako człowiek praktyczny zapewni sobie naprzód żywność, odzież i mieszkanie, gdyż to zaopatrzenie osobiste jest dla niego niezbędnym warunkiem urzeczywistnienia swych planów.

Dojść może do tego przez świadczenie pewnych określonych usług, za określoną cenę, usług, które nie poniżają, nie zaprzęgają w niewolę, u innych, zabierających mu tylko część czasu i nie naruszających w niczem jego osobistej godności. Może również zapewnić sobie środki do życia przez produkowanie ich możliwie więcej, niż mu trzeba, a zbywanie nadmiaru wzamian za rzeczy, których wytwarzać nie może. Od niego samego, jego uzdolnień i upodobań, oraz od warunków otoczenia zależyć będzie, jaką robotę wybierze. Jeżeli wykształcony człowiek pogodzi się już raz z myślą, że to, czego mu trzeba dla zapewnienia sobie swobody, są to pod pewnym względem bardzo małe rzeczy, lecz bardzo zbytkowne pod innym, już staje się bardzo bogatym, gdyż tylko małe opłaca się pieniędzmi, a zbytkowne są darmo. W przeciwnym razie jest człowiekiem ubogim. Jeśli małe odpowiadają potrzebom materjalnym, a zbytkowne duchowym, takie nieocenione skarby, jak przestrzeń i powietrze, miłość, zdrowie, piękność, muzyka, książki, sztuka, wolna i czynna wola,— wszystko rzeczy tanie lub bezpłatne, — to trzeba przyznać, że każdy ma otwartą drogę do wolności i niezawisłości.

Z głębokiem zainteresowaniem śledziłem przez szereg lat rozwój materjalnego postępu w mej ojczyźnie i zagranicą, a poniekąd podzielam poglądy materjalistyczne, które mu towarzyszyły. Zawsze odczuwałem boleśnie wstrętną stronę tego rozwoju, wierzyłem jednak, że ten zawiły, kunsztowny mechanizm w ten lub ów sposób służyć będzie człowiekowi, że w całym tym chaosie Bóg zaprowadzi porządek. Ten materjalny postęp stał się wkońcu dla ludzi schyłku zeszłego stulecia taką potęgą, że został utrwalony w czasie, jako pierwiastek przyczynowy — otoczenie. Nie mógł być zbawiony indywidualnie i niezależnie od otoczenia, gdyż *ono* było przyczyną *on* skutkiem. Jedyną drogą zbawienia była droga ewolucyjna, udoskonalenie otoczenia i oczekiwanie wyników tej reformy. Można było śmiało pozostawić Bogu tę sprawę, gdyż rozciągała się ona na takie obszary i tak

długie wieki, że przerastała siły ludzkie. Wszelkie pozory przemawiały, że Bóg nie działał. Ustrój gospodarczy, środowisko, stawało się coraz bardziej rujnujące, wynik wysiłków ludzkich coraz mniej obiecujący. Ludzie zanosili modły do nieba, tak, jak w dawniejszych czasach. Gdy niebo ich próśb nie spełniało, ten i ów oznajmił: „Niema Boga. Musimy świat brać takim, jakim jest; każdy niech dba o siebie, a niech djabeł weźmie ostatniego". Sami jednak, choć zdumieni, czekali, a zwolna w sercu ich błyskała myśl, że Bóg nie wysłuchał ich próśb, nie dlatego, by Go nie było, lecz, że zwalali na Niego zadanie, które było ich własnem, że, niezależnie od tego, jak się dzieje z drogą mleczną i systemem słonecznym, w sprawach ludzkich Bóg działa przez ludzi. Wraz z tem rodziło się przeświadczenie, że nasze materjalne środowisko z jego systemem wytwórczości, dziś potężne i groźne, jest dziełem ludzkiem, a człowiek nigdy się nie doczeka, by ten wytwór jego pracy przyniósł mu zbawienie. Człowiek jest tu działającą przyczyną, jest jego twórcą. Człowiek uczynił świat tem, czem jest. Żadna siła zewnętrzna nie zmieni jego otoczenia, gdyby zaś się stać to mogło, onby je na nowo przekształcił, gdyż ono jest odbiciem jego duchowego życia, tworem nie twórcą. Nie można szukać zbawienia w zewnętrznych siłach, nie da go ani udział w zyskach, ani trade-unjonizm, ani paternalizm, ani wywłaszczenie kapitałów, ani żadna reforma indywidualnego, korporacyjnego, municypalnego, państwowego czy federalnego prawodawstwa. Tu tkwi błąd zasadniczy w materjalistycznym poglądzie socjalizmu i w zbyt dosłownem stosowaniu ekonomicznej interpretacji dziejów. Z wdzięcznością przyjąć należy wszelkie stwierdzone oddziaływanie poprawy środowiska i nie wolno przerzucać się w odwrotną krańcowość, przecząc lub obniżając znaczenie tego wpływu; jednakże, aby on mógł być istotnie skuteczny, dążenie do naprawy musi naogół poprzedzać samą naprawę, musi być pierwotna siła rozpędowa w cyklu przyczyn i skutków. Słowem, musimy coraz dokładniej zdawać sobie sprawę, że w śro-

dowisku ludzkiem są dwa czynniki — jeden materjalny, ekonomiczny i bardzo ważny, drugi duchowy, przyczynowy i jeszcze ważniejszy. Jeśli Bóg działa tylko za pośrednictwem umocowanego przez siebie zastępcy, to jest człowieka, nie pozostaje ludziom inna droga zbawienia, jak przez działanie ich własnej woli. „Własne chęci wiodą ich do nieba lub piekła“, lub — jak mówi Milton „dusza jest jego miejscem, tam on może z nieba zrobić piekło a z piekła niebo“. Ciężkie to zadanie w drżeniu i trwodze nad własnem pracować zbawieniem.

Chłopiec, wychowany w szkole czynnej woli, w religji woli zdobywczej, nie potrzebuje się godzić ze światem takim, jaki jest, z jego tanią moralnością, gromadzeniem kapitałów, niskiemi, tchórzliwemi wybiegami i zatartemi śladami obrazu boskiego. Będzie on, przeciwnie, dążył śmiało i otwarcie do wyciśnięcia na nim piętna własnej woli, a nigdzie nie będzie tak niezadowolonym i nieustępliwym, jak w pokierowaniu własną pracą, w sposobie pędzenia życia. Poznał on bowiem wielką tajemnicę, tę, która nie dopuszcza fałszywej pokory, a którą każdy przyswoić sobie może, tajemnicę wielkiego przeobrażenia, że w miarę oczyszczania swej twórczej woli, jednoczy się z Bogiem, — „bogami się stajemy, jeśli chcemy”. Ożywiony takim duchem, nie będzie gotów się wynajmować, ani też sprzedawać swój czas dla lichego, niskiego użytku, — na pewno komiwojażerem nie zostanie. Nie oszukają go żadne płaskie frazesy o równości ludzi, nietylko bowiem, patrząc na otaczający go świat wzrokiem otwartym i trzeźwym, dostrzeże widoczne nierówności, lecz jako myśliciel i badacz zrozumie, że ludzie, różniąc się między sobą co do rozwoju i potęgi woli—muszą różną mieć wartość jako istoty ludzkie i znajdują się na bardzo rozmaitym stopniu doskonałości. Nie może zamykać oczu na to, że ludzie typu pana Gompersa, którzy nietylko sami są najemnikami, lecz cieszą się, że ich przodkowie i potomkowie do najemniczej klasy należą, są ulepieni z zupełnie innej gliny niż on sam, ze swą czynną, niezawisłą, ambitną wolą. Sąd jego musiałby być bardzo opaczny lub

obłudny, gdyby miał taki sam szacunek dla najemnika, czy nim będzie osiemdziesięcioletni robotnik z fabryki cygar, czy świetnie płatny funkcjonarjusz Amerykańskiej Spółki Wełnianej,—jaki okazuje tym dzielnym mężczyznom i kobietom, co, może poprzestając na skromniejszym dochodzie, niż pierwszy i drugi z nich, śmiało sterują sami łodzią swego życia, rozporządzają swobodnie swym czasem, żyją własnem życiem. Innym jest ten rodzaj ludzi, co się zaprzedali, wyzbyli się nawet posiadania samych siebie. Odpowiedzialność za własne życie, za swe utrzymanie, złożyli na drugich, mówiąc do nich: „Daj mi chleb, a będę twoim człowiekiem. Zrób ze mnie, co ci się podoba". Wolny duch nie może się oprzeć uczuciom pogardy dla tych niewolników ciasnej idei, którzy się w niej dobrowolnie zamykają i czynią się więźniami i dozorcami więzienia w jednej osobie. Może mieć dla nich politowanie, lecz poważać ich nie może, gdyż oni nie są godni szacunku.

Nikt nie utrzymuje, aby nasza obecna organizacja gospodarcza miała być przyzwoita lub znośna, najmniej zaś ci, których wzrok tkwi w Wielkiem Państwie Przyszłości. Położenie gospodarcze obecnie tak się zaostrzyło, że—jak wszyscy Amerykanie wiedzą,—stało się ono osią całej narodowej polityki. Nigdy za mej pamięci nie interesowano się tak żywo tem, co się dzieje w Waszyngtonie, jak dzisiaj. Stwierdzono, że nasz system gospodarczy załamał się pod własnym ciężarem i że zachodzi potrzeba nowej syntezy. W takim stanie rzeczy bezcelowy byłby zarzut, że pewna grupa ludzi, lub pewna klasa społeczna jest odpowiedzialna bądźto za istniejący system, bądź za jego upadek. Wszyscyśmy winni, każdy z nas odpowiada, gdyż wszyscy się z tym porządkiem rzeczy godzili. Ten, kto wyzyskuje pracę i przywłaszcza sobie nadmierną część jej wytworów, jest w tej tranzakcji tylko jedną stroną i to tą, która stanowi mniejszość. Drugą stroną jest człowiek, który się wyzbywa swej siły roboczej, a tacy stanowią przygniatającą większość. Daremnie pytalibyśmy, która strona bardziej zawiniła, gdyż

tu — jak zawsze — inteligencja odniosła przewagę nad liczbą. Która strona przeprowadzi zmianę systemu? Trudno przypuszczać, by dokonała tego mniejszość, gdyż ona go zorganizowała i ciągnęła z niego zyski. Co do większości, tj. robotników, to okazują się we wszystkich żywotnych zagadnieniach życia bardzo nieinteligentni i tępi. Trzymają oni we własnych twardych i szorstkich rękach klucz sytuacji, mogliby bowiem stopniowo znieść system pracy najemnej przez prosty akt — zaniechania pracy. Organizacje robotnicze niekiedy na jakiś czas zawieszają pracę, czyli strajkują, lecz nie chodzi w tym razie o obalenie systemu najemnego. Pobudką jest błahy cel podniesienia zarobków lub osiągnięcia innych materjalnych korzyści. Prawdą jest w gruncie rzeczy, że większość ludzi, tych zwłaszcza, co się trzymają związków zawodowych, bynajmniej nie pragnie zniesienia najemnictwa, gdyż nie czują się na siłach do dźwigania odpowiedzialności samodzielnego życia. Ludzie, pragnący żyć własnem życiem, nie przystępują do takiej akcji, gdyż nie dbają o pozyskanie drobnych, przemijających korzyści. Ich celem jest— ni mniej ni więcej — jak obalenie całego systemu pracy najemnej, a zaprowadzenie produkcji współdzielczej lub nawet indywidualnej, która uszanuje godność i niezawisłość każdego pracownika. Najlepsze umysły w tym ruchu wyzwoleńczym uznają, że jedyna skuteczna droga propagandy prowadzi przez wychowanie, więc zamiast chwytać się taktyki trade-unjonistów i zwalczać system beznadziejnemi objektywnemi metodami, opierają się w coraz wyższej mierze na znacznie subtelniejszych a skuteczniejszych subjektywnych metodach, zwalczając go w duszach robotników. Zwyczaj działania wielkiemi liczbami prowadzi do zaniedbywania jednostek, wychowawcza propaganda nieraz w ten błąd wpadała. Ma ona słuszność, że przenosi walkę na właściwy teren, na arenę ideową, w dziedzinę ducha, lecz zanadto liczyła na jakąś, daleką jeszcze, akcję zrzeszenia, gdzie każdy ociąga się, czekając na sąsiadów. W istocie dziś już czas nastał i żyją już ludzie, którzy mają świat ocalić. Nie są to osoby w ro-

dzaju pana Gompersa, lecz nowe typy ludzkie, wychowane w szkole czujnej woli, pragnące żyć własnem życiem, gotowe podjąć całą odpowiedzialność za to samoistne życie i służyć drugim, nie wtrącając się do nikogo. Ich siła robocza nie może być przedmiotem wyzysku ani frymarki— dla tej prostej przyczyny, że jej nie wystawiają na sprzedaż. Wierzę mocno, że gdy się ten ruch rozszerzy, a musi się rozszerzyć przez samą tkwiącą w nim słuszność i prawdę, niejedna zewnętrzna cecha tego, co szumnie zwiemy naszą cywilizacją, będzie poddana ostrej krytyce, a gdy się wobec niej nie ostoi, zostanie zniesiona tak całkowicie, jak w swoim czasie zniesiono feudalizm i niewolnictwo. Gdy trzeźwo zastanowimy się nad swojem zadaniem boskich pełnomocników, gdy zbadamy nasze postępowanie, zajęcia, które nam czas wypełniają, zadamy sobie pytanie, jak spełniamy posłannictwo zlecone nam przez Boga, odkryjemy, że opłacamy zbyt drogo wiele z tych rzeczy, które zaliczamy na karb postępu, i że cywilizacja wiele zyskałaby na tem, gdybyśmy wogóle zaniechali znacznej części tych czynności, które są powszechnie przyjęte.

Wyobrażam sobie, że znacznie wcześniej, niż nasze pokłady węgla zostaną wyczerpane i ostatnia tonna rudy żelaznej wydobyta będzie z kopalń, amerykańskie koleje żelazne zostaną rozmyślnie zarzucone, gdyż wykształcony lud nie zechce nadal opłacać kosztów ich budowy i eksploatacji. Wyobrażam sobie, że typowy Amerykanin z czasów bardziej oświeconych niż obecne, powie tym naszym przechwalonym wytwórcom i czynnikom cywilizacji: Nie, zrywam z wami. Imponowałyście naszym przodkom, ale przynosiłyście im bezmiar kalectw i zgonów, kosztowałyście ich nieobliczalną sumę zmarnowanych, mozolnych, ponurych dni. Kaleczyłyście i szpeciły ziemię, a obrażały oczy, uszy i powonienie. Zatrułyście życie ludzkie, wnosząc w nie nieznośny typ pracodawców. Udawałyście kapłanów cywilizacji, a zrodziłyście rasę barbarzyńców, skazanych na hodowanie was, karmienie, kierowanie wami i czuwanie nad wami. Nieustannie wodziłyście tłum handlarzy na zbyteczne wędrówki i przez cały czas swego istnienia

obdzierałyście kraj z jego lasów, a zalewałyście go tanim, brudnym towarem. Od dzisiaj pozbywamy się was. Wolimy żywność z własnego gospodarstwa, ubranie domowego wyrobu, mieszkanie zbudowane własnemi rękami według indywidualnego planu, o ile zaś zechcemy dla przyjemności lub nauki wyruszyć w pole, chodzić będziemy pieszo lub na własnym koniu, wierzchem wzgórz, a nie przecinając je nawylot, przy świetle dziennem, oglądając się po drodze, nie nocą z zamkniętemi oczami.

Mogę sobie również wyobrazić, że i wielu innych rzeczy będziemy radzi się wyrzec, nie dlatego, by nam na nie zbrakło surowca, lub byśmy zatracili sztukę fabrykacji, lecz, że rozumniejsze, bardziej religijne zbadanie życia wykazało, iż zamiast cywilizację naprzód popychać, hamują ją i niszczą. Być z ramienia Boga władcą ziemi, to bardzo poważne i odpowiedzialne zadanie, ale nie wcześniej nastanie Królestwo Boże, aż nauczymy się nasze dzienne sprawy rozpatrywać z punktu widzenia istot ludzkich. Mając na widoku ten głębszy cel musimy w wyborze zawodu widzieć akt religijny, a w przyjętym porządku codziennych zajęć — świadectwo naszej prawości. Jednakże wraz z ogromem odpowiedzialności daje nam ten punkt widzenia radosne poczucie bezmiernej swobody. Przedewszystkiem pozbycie się niedorzecznego przywidzenia, które cięży nad każdem młodem życiem, że człowiek musi się ustalić i jak najprędzej przystąpić do jakiejś zarobkowej pracy, a zastąpienie go zdrową myślą, że człowiek nigdy nie powinien się ustalać, a zarabianie pieniędzy poczytywać tylko za konieczność tymczasową i względną — już samo przez się przynosi ogromną ulgę. Budzić się codziennie w swego rodzaju dniu świątecznym i nie obliczać, ile pieniędzy zarobić można, lecz raczej, jak mało ich potrzeba, — oto właściwe stanowisko dobrze wychowanego człowieka. Mogę z pieśnią w sercu i uśmiechem na ustach pracować codziennie przez jakąś cząstkę dnia lub jakąś część roku w bardzo skromnym dziale, byleby on tylko był pożyteczny i ważny. Bardzo ochoczo mogę się oddawać robocie, która wytwarza smaczną żywność, przyzwoite

ubranie, dogodne mieszkanie; jakiejś czynności twórczej, posiadającej bezsporną społeczną użyteczność, działalności duchowej na polu literatury i wychowania, badaniom i poszukiwaniom z zakresu pożytecznej wiedzy, sztuce, wydającej dzieła muzyczne, malarskie, rzeźbiarskie lub architektoniczne. Czemużbym jednak ja, pełnomocnik Boga, miał profanować dni święte, zapełniając je bezużyteczną, bezcelową, pospolitą robotą konkurencyjną lub co gorsze taką, która do złego prowadzi i poniża człowieka? Nacóż miałbym cały czas, całą myśl, całą energję obracać na zdobycie środków do życia, a nie zostawiał nic na samo życie?

Chłopiec, którego nauczono poznawać istotną wartość rzeczy, nie przystanie na marny surogat życia. Żył pełnem życiem przez dwadzieścia jeden lat, a po dwudziestu jeden latach domaga się jeszcze pełniejszego; nie od Boga, gdyż Bóg, dając mu możliwość, dał już wszystko; nie od społeczeństwa, które może mu tylko oddać, co od niego dostaje, lecz od najhojniejszego szafarza wszelkich dóbr, od siebie samego. Do dwudziestego pierwszego roku życia żył teraźniejszością; obecnie domaga się również realnej, natychmiastowej korzyści. Pewnej miary radosnej pracy własnego wyboru, pewnej miary przyjemności, rozrostu, miłości, usług oddawanych, przyjaznego koleżeństwa, pewnej ilości pożywienia, świeżego powietrza, czystej wody, zdrowego ruchu, wzruszeń, pięknych wrażeń, ciekawych doświadczeń, słodkiego snu, spoczynku odświeżającego siły — wszystkiego tyle, ile w ciągu doby pomieścić można. Wszystkie te żywotne dobra są mu tak znacznie więcej potrzebne, niż wysoka płaca, o którą chodzi p. Gompersowi i jego towarzyszom, niż tania robocizna, na której zależy amerykańskiej Spółce Wełnianej, że, nie oglądając się na jednych i drugich, wybiera rzecz najważniejszą. Osobista korzyść tych, co żyją własnem życiem, jest tak oczywista, że kto ją raz zauważył, nie może innego planu przyjąć. Społeczna wartość tego programu jest również wielka. Tylko na tej drodze społeczeństwo doskonalić się może, nie maszerując w kompanjach i pułkach przy muzy-

ce haseł partyjnych do państwa przyszłości, lecz cichem, nieustannem przechodzeniem indywidualnych duchów od niewoli do wolności.

Szeroko rozpowszechnione mniemanie, że ktoś musi stać wtyle, by inni mogli się posuwać naprzód, że poświęcanie siebie jest czemś lepszem, szlachetniejszem, niż stwierdzanie siebie, opiera się na zasadniczem, błędnem przypuszczeniu, że jeden człowiek może zbawić drugiego. Gdyby to nawet było prawdą, czem nie jest, już sama metoda nasuwa wątpliwości, gdyż człowiek, który sam siebie zbawiać nie próbował, nie może wiedzieć, jak drugich zbawiać, będzie tedy ślepym przewodnikiem ślepych. Nikt jednak nie może zbawić drugiego; takie odkupienie nie istnieje. Zbawienie jest procesem wewnętrznym, jest odrodzeniem indywidualnej woli, osobistem dojściem do poznania Boga. Jest osobistym, bezpośrednim aktem, który nie może być przekazany żadnemu przyjacielowi, choćby najbardziej oddanemu, lub najznakomitszemu. W bezwzględnem odosobnieniu każdy człowiek musi sam zbawić siebie. Jednakże widok człowieka zbawionego jest zawsze zbawienny. Człowiek, żyjący własnem życiem rzetelnem i prostem, śmiało i konsekwentnie stwierdzający swą wolę, może przejść przez życie zupełnie nieświadomy swego kapłaństwa, a jednak być jednym z najpotężniejszych rzeczników prawdy dla swego czasu i pokolenia. Tak często nadużywano wyrazu *obowiązek*, że nieomal stał się synonimem tych rzeczy, których robić nie należy. Zwykle oznacza on jakieś wtrącanie się, jakieś próby zasłaniania człowieka przed naturalnemi następstwami jego uczynków, jakąś formę podstawiania własnej woli w miejsce cudzej. Powszechne zastosowanie zasady „żyj własnem życiem" wymaga nakazu, by innym pozwolić również własnem życiem żyć.

Mówią o nas, że jesteśmy narodem praktycznym. Nie sądzę jednak, byśmy zasługiwali na tę opinję, gdyż nazbyt często oddajemy się materjalnym drobnostkom, a zaniedbujemy zasadniczej wagi sprawy ludzkie. Jako ideał jednak praktyczność jest dobra. Być praktycznym, to już połowa

właściwej moralności. Mieć piękny cel, to pierwsza połowa, umieć osiągnąć go, to druga.

Warto zaznaczyć, że pozostać wiernym najwyższemu ideałowi pracy, to zapewnić sobie w niej powodzenie. Większość powszechnie przyjętych zwyczajów prowadzi do klęski. Kto odważył się żyć własnem życiem, ten kształci się wciąż najlepszemi metodami i zwycięstwo ominąć go nie może. Odrzucając wszelkie zajęcia, w które nie mógłby kłaść całej duszy, prace, na których nie mógłby wycisnąć piętna swej woli, wykazał, że musi się stać nieuchronnie mistrzem w tym zawodzie, jaki sobie obrał. Może wyzywał świat, wyznając wiele śmielszą wiarę, niż ta, jaką on się rządzi, lecz istotne mistrzostwo usuwa mu z drogi wszelkie zapory. Wśród tego zaznaje niezmiernej, niezrównanej rozkoszy pozostania sobą, dokonywania rzeczy zajmujących i wartościowych, unika niewymownej nudy prac bezmyślnych, małostkowych, do których zaprzęga się mała dusza, by się toczyć w nicość. Młodzieniec, który, mając dwadzieścia jeden lat, zaczyna żyć własnem życiem, w istocie rozpoczyna pracę nad własnem wychowaniem, trwającą aż do grobu, wstępuje tedy na drogę pełną wzniosłych i ciekawych przeżyć.

Jeśli taki młodzieniec się żeni, przybywa jeden ważny czynnik do jego życiowych możliwości, lecz nie wynika stąd, by on koniecznie dał zyski lub straty. Trzeba z wielkiemi zastrzeżeniami przyjmować twierdzenie, że jakaś kobieta była dla kogoś dobrą żoną (postronni nic o tem wiedzieć nie mogą) lub, że nią nie była. W naszem nowoczesnem pojęciu małżeństwa, które daje większą swobodę zarówno mężczyźnie jak kobiecie, nie wywiera ono tak wielkiego wpływu jak dawniej. Mężczyzna lub kobieta, jeśli nie wytrzymają próby i małżeństwo ich zgubi, nie mogą swego upadku przypisywać tej jednej przyczynie, lecz niedość wiernemu trzymaniu się odwiecznych prawd i niema wątpliwości, że byliby się w każdym razie rozbili o jakąś przeszkodę, nie tę, to inną. Myślałem nieraz, widząc ludzi, wstępujących w związki małżeńskie, że mężczyzna musi być dzielnym zuchem, gdy tak wiele ryzy-

kuje, a kobieta niewątpliwie jeszcze większy daje dowód odwagi. Dziś jednak już nie z taką namaszczoną i przejętą miną patrzę na ślub, i nie porusza mnie nadmiernie myśl, że zatracają się oto dwie odrębne indywidualności dla wątpliwego celu powołania do życia trzeciej, rozumiem bowiem, że choć napozór jest to najgłębszy, najpoważniejszy stosunek człowieka do człowieka, poważniejszy i głębszy jest stosunek każdego mężczyzny i każdej kobiety do własnej duszy. Kto o tem nie chce wiedzieć, naraża się na klęski. Kto zbyt wiele robi sobie z danego stosunku, na pewno dojdzie do tego, że z niego zbyt mało sobie robić będzie. Łatwo zdarzyć się może, że mężczyzna lub kobieta nie znajdą w małżeństwie oczekiwanego szczęścia, i to jest tragedja, o której ciężko mówić, nie jest jednak usprawiedliwieniem dla wykolejenia się. Religja czynnej woli pozwala usprawiedliwić każdą przegraną, zarówno w małżeństwie jak i w innych, delikatnych i trudnych przedsięwzięciach. Właściwą rolą woli jest opanować osobiste życie, wbrew smutkom, cierpieniom, klęskom zewnętrznym i wyjść zwycięsko z wszelkich przeciwności. Kto zna życie, wie, że wola może tego dokonać. Kto nie posiadł tej tajemnicy, patrzy zdumiony i sądzi, że jest świadkiem niemożliwych zjawisk.

To nas prowadzi do ostatecznego paradoksu w świecie woli. Paradoks tkwi w tem, że choć napozór wydaje się, że potrzeba na to niepospolitej odwagi, śmiałości, bohaterskiego niemal napięcia nerwów, by żyć własnem życiem, dla stanowczego, niezłomnego stwierdzania własnej woli, w istocie jest to najłatwiejsza i najprostsza rzecz, jaką człowiek czynić może. Przyczyna jest całkiem jasna. Trzeba tylko być sobą, słuchać swego wewnętrznego głosu, a wtedy nie grozi żadna klęska. Człowiek, żyjący własnem życiem z religijną prostotą ducha, wydaje się ludziom postronnym i niewtajemniczonym istotą, pozostającą w ciągłych zatargach z instytucjami społecznemi, z obyczajem, tradycją, konwencjonalnemi normami, a również i z przeważającą większością ludzi, o których się ociera w ciągu swej codziennej pracy, a których tryb życia wystawia

w rażącem świetle przez to samo, że żyje wręcz odwrotnie, niż oni. Zdaje się, że żyje on wśród wrzasku oskarżeń i pogróżek. Tylko w pewnej mierze jest to prawdą.

Niema jednak rozdźwięku i zaburzenia w jego duszy. Wkoło niego szaleć może wściekłość, grożąca aż ukrzyżowaniem, lecz niezmąconej przędzy jego serca to nie dotknie, nie zachwieje spokojnej, samoistnej woli, którą: on tylko karci i na wodzy trzyma, czyniąc ją przez to podobną do woli boskiej.

Jasna świadomość wewnętrznego spokoju staje się wynikiem ustalonej równowagi i harmonji wewnętrznej, zjawiskiem bardzo prostem i zrozumiałem dla tego, kto tego pokoju zażywa, lecz wręcz niepojętem dla tych, co widzą fakty, lecz nie znają źródła. Ta niezachwiana pewność, ta zdumiewająca odwaga, to nie sztuczny gest, jak mógłby umierać świat niewtajemniczonych, lecz logiczne i niezawodne następstwo poglądu na życie, stanowiącego rdzeń duchowego wychowania. Kto wie, że dla niego nie istnieje nawet możliwość klęski, czyż może czuć zaniepokojenie i nie zachować pogodnej równowagi?

Jeżeli młodzież, trzymająca się tak jasnego i prostego programu, jak życie własnem życiem, kształcenie i rozwijanie własnego ducha w ciągu całej życiowej wędrówki, może się rówieśnikom wydawać dziwaczna, niepojęta, anarchiczna, to dowodzi, jak głęboko kajdany wżarły się w ich dusze, jak nierzetelnie postępowali z nimi rodzice i nauczyciele, pomijając wszystkie głębsze zagadnienia wychowania, a skupiając całą energję na płytkiej, powierzchownej sprawie programu szkolnego. To stanowisko twierdzącej woli nie jest bynajmniej filozoficzną fikcją; ten wewnętrzny pokój przechodzący wszelkie wyobrażenie nie jest zwrotem poetyckim. To są rzeczywiste fakty, stwierdzone ponad wszelką wątpliwość, w życiu tych mężczyzn i kobiet, którzy budzili i prowadzili ludzkość. Przywołajmy na pamięć wszystkie wielkie duchy twierdzenia od Assyrji aż do Chrystusa, od Chrystusa do Ameryki, a będą to imiona tych, których zwycięstwo głosi historja.

Na wstępie do tak świetnego zawodu nie można pozwalać chłopcu mniemać, że przez sam fakt wyboru czyni go jakąś wyższą istotą, w istocie bowiem to, co czyni, jest przystaniem do tych, co stale i niezmiennie wygrywają, co może być prostym aktem przezorności. Jednakże chłopiec, wychowany w naszej szkole myślenia, nie będzie skłonny zaprzątać sobie głowy takiem cenzurowaniem siebie samego, małostkowemi kwestjami nagany i pochwały, wymagań, poklasków, sprzeciwów, gdyż dramat, który przeżywać zaczyna, jest czemś zbyt pozytywnem i pochłaniającem, by pozostawiał mu czas do zmarnowania. To co mogło się wydać niesłychanym egotyzmem, może być również nazwane głęboką pokorą, w istocie zaś jest równie dalekie od obu. Trudno orzec, co jest bardziej niewłaściwe: samochwalstwo, czy poniżanie samego siebie. Dobrze wychowany chłopiec uniknie jednego i drugiego, gdyż wyda mu się to wszystko czemś tak małem, że zniknie w cieniu tego, górującego nad wszystkiem, faktu, w którym pogrąży się całkowicie, twórczej teraźniejszości chwili obecnej. Nasz ludzki udział jest niezmiernie drobny w obliczu Wszech-Woli, która jest Bogiem.

Nigdy jednak ten udział nie jest pozbawiony wagi. Wielki jest przez swe znaczenie, gdyż im wierniej trwać będziemy w postanowieniu życia własnem życiem, stwierdzania własnej woli, tem pozytywniej Bóg objawiać się będzie w swej dobroci i wszechmocy. Tylko w roli świadomego, dobrowolnego pełnomocnika bożego, młodzieniec dobrze wychowany widzieć będzie swój zawód i swe powołanie i odpowiedni dla siebie udział w życiu swej epoki, nie w chwale, ani w poniżeniu, lecz w duchu jasno określonego, celowego uczestnictwa.

Występki różnią ludzi, cnoty ich jednoczą. Chcąc żyć życiem samolubnem, człowiek ubiega się o to, co się sprzeciwia zamiarom innych ludzi. Im bardziej jednak jest sprawiedliwym i cnotliwym, tem gorącej pragnie tego, czego i oni pragną, staje się coraz bardziej nieosobistym i uniwersalnym. Między małemi duszami są wielkie odległości; między wielkiemi duszami bardzo małe. Cechą

człowieka dobrego jest to, że nigdy nie zamyka się w jakiejś wyłączności, lecz zawsze uczestniczy w jakiemś szerokiem, ogólnem życiu. Kto życie swe chce uczynić twierdzącym wyrazem woli, nie może ograniczać się na wyrażaniu rzeczy małych, błahych, osobistych. Wola domaga się szerokich planów, wielkich zadań i z każdym dniem coraz mniej zajmuje się tem, co zwykle obejmujemy nazwą prywatnych spraw ludzkich. Coraz bardziej obojętnieje dla tej strony życia — nietylko dlatego, że to marna gra, czem jest niezawodnie — lecz że istnieje gra wielka, porywająca, cudowna i trwała, która może pochłonąć całą uwagę człowieka. Niczego nie żądać, a wszystko posiadać, umierać i odradzać się na nowo, tracić życie, aby je znów odzyskać,—oto w czem leży tajemnica świata, tak przezroczysta dla tych, którzy widzą jasno, tak niemądra łamigłówka dla ślepych. To klucz do zrozumienia tych zdumiewających żywotów, które świat wprawiały w podziw, począwszy od Gotamy — Buddhy i Konfucjusza aż do naszych czasów, tego cudownego rozrostu osobowości, który wkońcu prowadzi do najwyższej bezosobowości.

Wielce pouczające jest przypomnienie mowy tych wielkich dusz, które pozostawiły pamięć swych słów. Nigdy one nie pomniejszały siebie i dlatego wydawały się zuchwałe tym, co ich nie rozumieli. Stwierdzały swe własne objawienie. Nazywały się Synami Bożymi. Rozumiały wartość swego cennego posłannictwa. Przemawiały imieniem swej wysokiej powagi. Nigdy jednak nie poczytywały się za istotę jedyną, wyjątkową, niezrównaną. Wręcz przeciwnie, obiecywały uczniom swym moc i siłę dokonania większych czynów i wkładały na nich obowiązek osiągnięcia wyższej doskonałości. Można niemal powiedzieć, że w tem leży różnica między prawdziwym a fałszywym prorokiem, sprawdzian łatwy do zastosowania, czy przypisuje sobie jedyną i szczególną potęgę, czy też głosi potęgę powszechną i ogólną. I tu, jak w wielu innych sprawach, wielcy nauczyciele nie zdobyli wiernego i bacznego posłuchu. Gdy przeczyli swej wyłączności,

uważano w tem szczyt pokory, rozmyślne mijanie się z prawdą dobrotliwego bóstwa, które chce zmniejszyć przepaść bezmierną między niem a jego stworzeniem. Ale bogowie nie mają pokory, a prawdziwi bogowie nie zniżają się do fałszu. Trzeba brać dosłownie prawdy, które głoszą.

Olbrzymie, całkowicie pochłaniające jest zadanie życia własnem życiem, zarówno dla starych, jak młodych, dla mądrych, czy głupich. To najciekawsza, najbardziej zajmująca i pożyteczna rzecz w świecie a zarazem najkorzystniejsza. Nie potrzeba nato nic więcej, tylko szczerej woli. Potrzeba nato tylko jednego talentu, i to talentu żebraka; w miarę używania mnożyć się on będzie. Można widzieć przed sobą tylko krótką odległość, ale też nic więcej oglądać nie potrzeba. Aby żyć własnem życiem, trzeba jednak obok silnego postanowienia, mieć wielkoduszność obojętną na pochwały i nagany, a przedewszystkiem jedną z najrzadszych zalet ludzkich, niezmąconą szczerość, dotrzymywanie wiary samemu sobie. Nie żyje własnem życiem ten, kto gra sztuczną rolę. Stara się on żyć tak, jak — wedle jego słusznego, czy niesłusznego mniemania — żyć trzeba, aby wywierać wrażenie. Zwykle zawodzi się w swych przewidywaniach i w wykonaniu. Konformista (prawowierny) nie żyje własnem życiem. W wielu razach zachowuje się podobnie do poprzedniego z tą różnicą, że pozę swą przybiera w połowie w dobrej wierze, a wątpliwości przypisuje podszeptom wroga dusz ludzkich. Niekiedy, przez prosty brak inteligencji stosuje się do drugich, przyjmuje najbardziej wyświechtany ideał swej małej ciemnej gminy, jako własny, i do niego swe życie dociąga. Człowiek samodzielnego umysłu, szczerze dążący do prawdy, musi bardzo często stwierdzać, że dawna moralność nie wystarcza mu i nie zadowala go. Odkrywa to we wszelkich życiowych stosunkach, w rodzinie, z jej ujarzmieniem dorosłych a nierzetelnością młodych, w szkole, z jej wyniosłością intelektualizmu a zaniedbaniem intuicji, w kościele z jego ustalonemi wierzeniami a niepochwytnem

i chwiejnem braterstwem, w państwie z jego brzemieniem przywilejów i podatków. Dochodzi on do wniosku, że moralność, która się przeżyła, staje się płaszczykiem złoczyńców, kunsztownie obmyślonym zespołem wykrętów dla niedołęgów, tchórzów, leniwców, którzy chcą się usprawiedliwić, że nie udało się im chodzić o własnych siłach drogą prawości. Istotnie bowiem, kto chce prawdziwie żyć własnem życiem, musi zerwać z dawną moralnością, jak z nią zerwał Jezus; musi być głosicielem nowych ideałów. Wśród stu miljonów ludzi zaledwie niewielu rzeczywiście znajdzie się takich, którzy własnem życiem żyją, wszyscy bowiem krępują się jakiemiś względami na miejscowe stosunki, jakiemiś tuzinkowemi, niskiemi widokami tej lub owej grupy, braknie im zaś prostej odwagi upomnienia się o prawo rozporządzania własną wolą. Czasem mąż tyranizuje swą żonę, czasem żona męża. Czasem rodzice dzieci, czasem dzieci rodziców despotyzmem swym przygniatają. Brat ujarzmia siostrę, siostra brata, przyjaciel przyjaciela, sąsiad sąsiada, chlebodawca sługę. Czasem jednostka grupę, częściej grupa trzyma w niewoli jednostkę. Można śmiało powiedzieć, że rzadki jest duchowny chrześcijański żyjący własnem życiem. Oficjalna wiara, biskup—jeżeli w danem wyznaniu istnieje—synod kościelny, prasa, jego kongregacja i rada parafjalna, straszna stara dewotka, pamiętająca dawniejsze czasy niż on, wikary świeżo wyświęcony, nawet chłopcy i słudzy kościelni — wszyscy mają oczy zwrócone na niego, a wypadkowa tych wszystkich wymagań, widoków, opinij tworzy linję przewodnią dla jego codziennego życia. To samo powtarza się z pewnemi odmianami i w życiu innych zawodowców, nauczycieli, prawników, doktorów i t.p. Oczywistą jest rzeczą, że kto czas swój sprzedaje, kto jest najemnikiem, nie może mieć pretensji do życia własnem życiem. Na pewno pan Gompers ani takiego życia nie prowadzi, ani też o niem nie myśli. Wnosząc z wiele mówiącego artykułu, który wydrukował w miesięczniku, żyjąc pracowicie, uważa się za ideał cnotliwego robotnika, który wie, gdzie jego miejsce, i chce pozostać tam, gdzie jest.

Naogół możnaby sądzić, że istnieje powszechne sprzysiężenie, by nie pozwalać nikomu żyć własnem życiem, i to zupełnie niezależnie od tego, czy chcą żyć lepiej, czy gorzej, niż to jest ogólnie przyjęte i uświęcone w społeczeństwie, przyczem szczerość nie jest wcale wymagana. Ci, co nie domagają się wolności dla siebie, rzadko są skłonni przyznawać ją drugim. Ta niechęć do obracania się w świecie szerokim, tolerancyjnym, poszukującym prawdy, jest cechą umysłów prowincjonalnych, i jest przeciwieństwem wykształcenia.

Niema środowiska równie tłumiącego ducha, jak atmosfera typowej, wysoce czcigodnej, amerykańskiej wsi. Tam „kategorycznym nakazem“ pozostaje dotąd zespół zwyczajów, dawno już wycofanych z użycia, tam każdy człowiek wie, co jego sąsiad ma robić, i pilnuje go, by nie robił nic innego; sam zaś, nie wiedząc, co czynić powinien, stara się ze wszystkich sił to czynić, czego inni po nim oczekują. Z takiej atmosfery ludzie chętnie uciekają do wielkich miast, nie dlatego, by się rozkoszowali ciasnemi mieszkaniami i drożyzną, lecz że miłują swobodę. Nęci ich wyjazd zagranicę, nie dlatego, by lubili trudy i niewygody, a nie cenili dawnych przyjacielskich stosunków, lecz że pragną pozostać sobą i żyć wśród szerokiej, życzliwej tolerancji, bo to więcej dla nich znaczy, niż wygody osobiste i zażyłe stosunki towarzyskie. W każdym nowym kraju, naprzykład u nas na Dalekim Zachodzie, spotkać można i mężczyzn i kobiety o nastroju żywym i oczach promieniejących, żyjących w tak skromnych warunkach, że nieomal bez wszystkiego obywać się muszą, a jednak zachwyconych życiem, a tłumaczy się to tem, że przebywają w świecie wielkich, swobodnych idei. Czasem okoliczności sprowadzają ich napowrót do rodzinnego gniazda, wracają już jednak innymi ludźmi, a gdy wspominają swe ubiegłe wyprawy w szeroki świat, posługują się wyrażeniami duchowemi, jako o przeżyciu, o szkole, jaką przeszli.

Program życia nie jest nigdy zupełny, póki nie bierze w rachubę odpowiedniej postawy wobec śmierci.

Z pięciu ogniw cyklu organicznych przemian, śmierć jest ogniwem ostatniem. Każda żyjąca istota umiera i musi umrzeć. Wszędzie naokół widujemy śmierć; umierają rośliny, zwierzęta, ludzie obcy, przyjaciele, krewni. Choć z niechęcią i smutkiem przywykamy do tego. Wiemy, że to nieuchronne, a jednak nie chcemy się z tem godzić. O sobie samych również wiemy, że śmierć nas nie minie, lecz — o ile mi się zdaje — nigdy tej myśli nieuświadamiamy sobie w pełni. Nie można powiedzieć, by człowiek spodziewał się uniknąć powszechnego przeznaczenia, lecz niemniej nie oczekuje śmierci. W obecnej chwili żyje w Stanach Zjednoczonych około stu miljonów ludzi. Co rok umiera dwa do trzech miljonów naszych rodaków. Jak mamy patrzeć na ich śmierć, jak zapatrywać się na śmierć własną? Czy mamy w śmierci widzieć katastrofę, czy też powiemy z Świętym Franciszkiem: „Błogosławiona bądź, siostro nasza, śmierci cielesna, której żaden nie uniknie człowiek“. Trudno się spodziewać, byśmy wszyscy w ten sposób śmierć przyjmowali, gdyż o naszej postawie decyduje temperament, okoliczności osobistego życia i religijne przekonania. Wychowanie musi się jednak liczyć z tak powszechnem, nieuchronnem wydarzeniem i podać jakiś sposób objęcia myślą tej sprawy. Nie wiem, jaki procent stanowią wypadki nagłej śmierci, lecz nawet ci, co mają umrzeć nagle, muszą z pełną świadomością przyjmować śmierć cudzą. Przypuszczam, że w większości zwraca się myśl do własnej, zbliżającej się śmierci. Nim anioł śmierci stanie przy nich, już słyszą jego wezwania. Zdawałoby mi się, że byłoby to bardzo niemądrze i nieszczęśliwie, gdyby duch przed rozstaniem nie przygotował się godnie i dostojnie do tego ostatniego w życiu przejścia. Jeżeli duch trwa i przez śmierć przechodzi tylko do innego życia, a wierzę niezłomnie, że tak jest, że ma on co najmniej prawo wyboru, zdawałoby się, że wiele pomyślniej dokonałoby się przejście w nową fazę istnienia, gdyby przy rozstaniu z dawnem życiem, wola zdobyła się na ostateczne stwierdzenie swych zasadniczych dążeń i marzeń. Jeśli człowiek był sobie wierny,

żył własnem życiem, jego ostateczny charakter jest wyrazem tego, czem on jest, a mieści się w nim tyle nadziei i pragnień, ile ich zdołał uświadomić. Wyobrażam sobie, że umierając zabiera je ze sobą i że one są impulsem jego nowego życia. Można jednak wyobrazić sobie, że w tej ostatecznej chwili może się w nim znaleźć siła odrzucenia wszelkich wybujałych ambicyj ziemskich i doczesnych, w jasnowidzeniu śmierci stwierdza to, co było doskonałe i nieprzemijające. Wychowanie musi mieć do czynienia ze śmiercią, tak jak zajmowało się narodzinami, karmieniem, wzrostem, rozmnażaniem. Ponieważ najdostojniejszą jest śmierć, pragnąłbym, aby wychowanie traktowało ją najszlachetniej, z największą siłą przekonania. Człowiek nie umie jeszcze żyć, jeżeli nie umie się pozbyć wszelkiej trwogi przed śmiercią, jeśli nie umie znieść tego, gdy śmierć wtargnie w koło jego bliskich i wybranych, jeśli nie przygotował się na triumfalne powitanie śmierci, gdy jego godzina uderzy. My — rodzice i nauczyciele, którzy tak dobrze wiemy, jakie spustoszenie czyni śmierć, zmiatając jedną po drugiej chlubę naszych czasów i naszego pokolenia, którzy, czuwając przy łożu chorych, w niebezpieczeństwie lub w miarę posuwania się w latach uczymy się patrzeć otwartemi oczami w twarz śmierci, zaniedbalibyśmy naszego obowiązku względem młodych, gdybyśmy im nie zaszczepili podobnego hartu, spokoju i ufności dla podtrzymania serca. Uczymy ich wielu mniej ważnych rzeczy, a niema cenniejszej nauki niż ta: żyć z odwagą, umierać z ufnością, tą samą zwycięską, twórczą wolę, która kierowała życiem, utrzymać w godzinę śmierci.

XV.

PYTANIE.

W poprzednich rozdziałach przedstawialiśmy wychowanie, jako proces trwający przez całe życie, od chwili narodzenia do chwili śmierci. Właściwie proces ten ciągnie się jeszcze dłużej, obejmuje życie dziecka przed na-

rodzeniem i dalsze losy ducha po skonie. Doczesne życie człowieka porównać można ze światłą częścią widma słonecznego. Rozpoczyna się ona w długich, powolnych drganiach czerwonych promieni. Natężenie wzmaga się, gdy człowiek przeżywa pełnię męskiego wieku, a po fazie krótkich, szybkich drgań przechodzi w niewidzialnę sferę ultrafioletowych promieni. Widzimy to, co dostrzec można, ale na obu krańcach naszego pola widzenia leżą strefy życia, równie realne, jak te części widma, których nasz wzrok nie chwyta, promienie ciepła, poprzedzające czerwień, promienie chemiczne tuż za fioletowemi. W królestwie wiedzy siły niedostrzegalne, niepochwytne, wykryte rozumowaniem — grają rolę górującą; w królestwie ducha stajemy wobec prawd równie autentycznych. Choć nie widzimy, nie słyszymy, nie dotykamy — niemniej z całą pewnością jesteśmy ich świadomi.

Zadania wychowania są konkretne i specyficzne. Dotyczą one praktycznego wypełnienia dni. A jednak nie można było rozważać ich w jakikolwiek owocny i pożyteczny sposób bez ciągłego zwracania się do teorji, na której się one opierają, do tej samorodnej, wewnętrznej filozofji, która określa nasz stosunek do życia. Czasem zwracamy się do niej pośrednio, czasem przez bezpośrednie wywody, zawsze jednak okazuje się to nieodzowne. Wychowanie bowiem zawsze nastręcza dwa pytania: Co chcesz robić? i „Jak to chcesz robić?" Nietylko *jak* zależy od *co*, to jest środki od celu, lecz jedno i drugie w ostatecznej analizie zależą od całego splotu względów, wywodzących się z całego obszaru wiedzy ludzkiej i ludzkiej wiary. W istocie swej proces wychowania jest syntezą, jest on praktycznem i czynnem zsumowaniem wyników całej myśli współczesnej.

Kant ujął zagadnienie ludzkie w trzy znane dobrze pytania:

Co mogę wiedzieć?
Co mam czynić?
Czego mogę się spodziewać?

Życie ludzkie jest w istocie swej pytaniem, badaniem. Już sama forma zagadnienia wykazuje to tak ja-

sno, że nigdy nie można osiągnąć ostatecznego rozwiązania. Nikt jeszcze nie zdobył się na odpowiedź rozstrzygającą nawet dla samego siebie. Tem trudniej znaleźć odpowiedź dla drugich, lub dla tego nowego, innego człowieka, jakim każdy z nas stanie się za rok, za miesiąc— jutro może. W bardzo wielu rozmaitych kierunkach możemy sobie winszować szczęścia, może jednak nic nie jest dla nas takiem szczęściem, jak to, że nigdy nie widzimy przed sobą ostatecznej mety. Miewamy niekiedy chwile złudzeń. Chwytamy wzrokiem coś, co nam się wydaje końcem lub szczytem dążeń. Zbliżamy się do tego, w nadzwyczaj pomyślnych chwilach chwytamy nawet ręką — ale zawsze nato, by się przekonać, że to tylko słup wiorstowy, jeden ze znaków, wytyczających drogę do dalszych celów, ukrytych gdzieś w dali promiennego widnokręgu w przyszłości, ku której idziemy, a której nigdy nie zdołamy dosięgnąć.

Bywają okresy życia, gdy zmęczona dusza tęskni za spoczynkiem, za czemś ustalonem i trwałem. Jej wyobrażenie Wielkiego Spokoju nie jest równoznaczne z wyobrażeniem Wielkiej Pewności, pokoju ducha w wiecznym ruchu, lecz Wielkiej Bezczynności raczej. Wtedy nasze dynamiczne pojmowanie życia wydaje jej się nieznośne, jako nieskończoność zmęczenia. Woli ona obraz trwały, choćby zapadającą zasłonę śmierci, niż to nieprzerwane widowisko bez końca. W takim nastroju łatwo brać słup wiorstowy za metę. W takim stanie duszy dogmat staje się niewzruszonym, prawo krystalizuje się w kodeksie, religja w wyznaniu wiary, społeczne życie w umowie, wychowanie w programie. Między najpromienniejszemi duszami niewiele jest takich, któreby chwilami nie zapadały w drzemkę dogmatyzmu, nie dały się schwytać w pułapkę statyczną. Olśniewa nas zdobycie tego, co zwiemy Prawdą samą, i w tej chwili zapominamy o żyjącej teraźniejszości wraz z jej bezmiernemi pragnieniami, boską radością, jej bujnym, wspaniałym rozkwitem, a korzymy się przed jakąś martwą, nieruchomą wizją przeszłości. A istnieje również mnóstwo dusz, które nie podnoszą się nigdy. Na chwilę zatrzymują się w zastoju, czują się

w nim dobrze, a wkońcu pogrążają się w drzemkę pospolitości. To jest głęboka tragedja, gdyż bez jakiejś silnej, duchowej pobudki, któraby zagrała nad uchem i zbudziła śpiących, byliby oni straceni, taki sen bowiem kończy się śmiercią.

Wychowanie jest procesem życiowym, przerasta każdą formę, by doraźnie tworzyć nową. Jest ono ewolucją przeważnie nieświadomą, półświadomą, gdy staje się formalne. Ustaje w chwili, gdy przestaje iść naprzód, gdyż życie płynie wiecznie, a wychowanie — aby życiu służyć, musi mu dotrzymywać kroku.

W poprzednich rozdziałach usiłowałem wskazać tę zasadniczą, nieodzowną płynność, jednakże mając do czynienia z rzeczami konkretnemi i specyficznemi z łatwością wpada się w ten błąd, że traci się z oczu ruch a mówi się i postępuje w ten sposób, jakgdyby się uważało świat za coś nieruchomego i niezmiennego. Zewsząd otaczają nas krystalizacje: państwo, szkoła, kościół, rodzina, sztuka, wiedza, filozofja, język, pojęcia, podręczniki. Wiemy— coprawda ogólnikowo, historycznie, że wszystkie kształty są tymczasowe, że wciąż nowe powstają. Jesteśmy jednak zawsze pod wrażeniem formy istniejącej, nie tej, która była, a o której bądź co bądź mamy tylko ułamkowe wiadomości, nie tej, która będzie, gdyż o niej wogóle nic nie wiemy pozytywnie, a musimy co najwyżej na mglistem poprzestawać przeczuciu.

Wiele czynników sprzysięga się nato, by zachować ten sztywny obraz stanu rzeczy, by trzymać nas w statycznym świecie sennego bezwładu, zdala od dynamicznego świata pulsującego życia. Są między niemi czynniki wielce czcigodne, które z łatwością narzucają swój punkt widzenia duszy, w której budzi się pytanie, czem jest życie? Mogę co najwyżej dotknąć trzech lub czterech takich czynników hamujących, i to znacznie krócej i pobieżniej, niż należałoby ze względu na ich wpływ i znaczenie.

Po pierwsze, wiemy powszechnie, że niemal każdy łatwo popada w zmęczenie. Stosuje się to w wyższym stopniu do ludzi słabych i niezbyt młodych. Stąd też są-

dzę, iż naturalna i nieunikniona jest ogólna skłonność do konserwatyzmu. Konserwatyści pozwalają sobie mniemać, że dla nich życie za szybko idzie, wymaga zbyt długiego nieprzerwanego wysiłku, przeto najlepszą polityką jest odrazu wyjść z szeregu i tym sposobem samym ciężarem przeważającej liczby opóźnić tłumny i niepokojący pęd życia. Głównem zadaniem konserwatystów jest zachować dawne formy i oprzeć się wszelkim zmianom. Po ich stronie stoją potężnie obwarowane interesy — duchowe, lingwistyczne, materjalne. Cieszą się oni wielkim szacunkiem, a pochlebstwo zwie ich czynnikiem równowagi społecznej. Sami wyobrażają sobie, że stoją na straży porządku i chronią przed chaosem. Naogół są to zacne, malownicze osobistości, kierowane niezaprzeczenie wyższemi pobudkami.

Teza konserwatyzmu bynajmniej nie brzmi niedorzecznie. Głosi ona naprzód, że zdobycze przeszłości muszą za wszelką cenę być zachowane, powtóre, że, ponieważ niekażda zmiana jest postępem, nie należy popierać żadnej nowości, póki się nie wykaże, że ona jest uzasadniona. W praktyce jednak ta teza nie działa korzystnie. Ściśle mówiąc, między zdobyczami przeszłości niema takich, któreby miały wartość trwałą. Były one wielkie, lecz były przejściowe. Przeszłość była równie płynna, jak teraźniejszość. Korzyści osiągnięte przybierały coraz to inną postać i przeważnie wchodzą w skład współczesnej teraźniejszości. Najobfitszym składnikiem naszej chwili w czasie jest pamięć, nietylko pamięć ludzka, lecz pamięć kosmiczna, przechowana we właściwościach zwierząt, roślin, minerałów. Nawoływać wstecz do mądrości ojców jest zwykle bezowocnym wysiłkiem, gdyż ta część ich mądrości, która miała żywotne i trwałe znaczenie, objęta jest naszą teraźniejszością; często jest również usiłowaniem szkodliwem, gdyż ignoruje mądrość współczesną. Jedyną pełną spuścizną przeszłości, jaką posiadamy, jest chwila obecna, nietylko jest ona pełna w danym momencie, lecz sprawdzana i uzupełniana automatycznie dzień za dniem, godzina za godziną. Dalej jeszcze pamię-

tać należy, że opór przeciw przyjmowaniu i doświadczaniu nowości, które czas przynosi, uniemożliwia wszelkie praktyczne sprawdzenie ich wartości. Skądże mamy wiedzieć, czy rzecz nowa jest mądrością, czy szaleństwem, jeżeli witamy ją, odrazu kręcąc głową i odpychając? Na szczęście, zdarzają się niemal zawsze dusze dość odważne, by śmiało im się przypatrzeć i ich zalety ocenić. Gdy nowa rzecz przejdzie próbę w życiu, jej wartość zostanie obwieszczona tchórzliwej większości. Często jednak nową mądrość opłacają jednostki zbyt wielkim kosztem. Teza konserwatywna bierze za punkt wyjścia wadliwy ustrój społeczeństw. Dzieli ona świat na kozły i barany. Baranki to są ci, co boją się eksperymentów, poprzestają na tem, co dała przeszłość, co się opierają, póki można, wszelkim zmianom. Z drugiej strony, kozły idą na zwiady ku nadchodzącemu niebezpieczeństwu, wystawiają się na nie dla wypróbowania jego siły i w tym celu mieszczą się poza zagrodą. Dla konserwatyzmu raj obiecany nastanie wówczas, gdy wszyscy będą barankami, a kozłów nie będzie wcale. Taki stan rzeczy będzie zupełnem zaniechaniem wszelkiego postępu, a w dalszem następstwie rozkładem i śmiercią społeczeństwa. Nie potrzeba wybierać między konserwatyzmem a nieładem. W istocie służy wybór między konserwatyzmem a wolną, współczesną myślą.

Drugi czynnik hamujący jest bardzo osobliwy, daleko sięgający i przeraźliwie płodny w szkodliwe wyniki. Jest nim nieunikniona skostniałość mowy i jej również nieuchronna dwuznaczność. W jednym z poprzednich rozdziałów kładłem nacisk na staranny dobór odpowiednich wyrazów, jako na zasadniczy dział elementarnej nauki języka angielskiego. To oczywiście wskazywałoby, że odpowiednie wyrazy istnieją i dobór ich jest zawsze możliwy. W rzeczywistości jednak to twierdzenie nie ma gwarantowanej podstawy. Smutną prawdą jest, że język musi poprzestawać na wyrażaniu myśli w przybliżeniu, i to w najlepszym razie, gdyż w najgorszym zachodzi ukrywanie myśli. Kilka lat temu, wielu z nas, nie wyłączając mnie samego, było pod urokiem hipnotyzującej formuły Max

Müllera: „Niema myśli bez mowy, niema mowy bez myśli". Łatwo zauważyć, w jak sztywny, kategoryczny świat wtrąciła nas ta formuła, jak beznadziejnemi uczyniła wszelkie próby objęcia zmiennego, dynamicznego świata współczesnych przeżyć. Dziś trudno nam już uwierzyć i zrozumieć, jak mogliśmy sobie wyobrażać, że cały proces myślenia dokonywał się w formie mowy określonej, możliwej do komunikowania, oraz że każda retoryczna kombinacja wyrazów odpowiadała jakiejś określonej myśli. Obawiać się należy, że i dziś wiele osób, nie umiejących się zastanawiać, trzyma się tej formuły. Nic jednak nie jest równie dalekie od prawdy, mimo pewnych pozorów słuszności. Formułę tę obala każde doświadczenie zupełnie elementarne. Usiłowanie uczynienia mowy artykułowaną i posługiwanie się nią do wymiany myśli nastręcza dwie nieuniknione trudności. Każdy myśliciel aż nadto dobrze wie, że dobrane przezeń wyrazy nieściśle oddają jego myśl, że traci ona całą aureolę subtelnych znaczeń, a przyćmiewa ją mrok niezamierzonych odcieni i mglistych skojarzeń. Mimo drobnostkowych, pedantycznych wysiłków modyfikowania i omawiania gotowych, rozpowszechnionych wyrazów, mimo uprzykrzonego podkreślania specjalnego znaczenia, w jakiem dany wyraz jest użyty, po wszelkich zastrzeżeniach jeszcze marny wehikuł nie może toczyć ciężaru, którym go obładowano. Wie również każdy myśliciel, że gdy nakoniec słowo, obciążone tym całym bagażem dojdzie do innego umysłu, zbudzi w nim inne przypomnienia, inne obrazy, w rezultacie stworzy może wyraźną myśl, ale inną, nie jego własną. Myśl dwa razy po drodze została przekształcona; raz, gdy myśliciel ubierał ją w szatę językową, drugi raz, gdy słuchacz usiłował zpowrotem język na myśl przełożyć.

Ta trudność udzielania myśli za pośrednictwem mowy jest tak notoryczna, że każdy uczony, przystępując do pisania traktatu na temat, wymagający ścisłego i pozytywnego myślenia, czuje się obowiązany na wstępie ustalić jak najdokładniejszą definicję terminów, jakiemi się posługuje, co niekiedy wyjaśnia jego myśl, ale niejedno-

krotnie ją raczej zaciemnia. Znamy dobrze pospolite i często usprawiedliwione wymówki pisarzy lub mówców, którzy na zarzuty przeciwników tłumaczą się, że ich słowa fałszywie zrozumiano. Znamy również ów tani rodzaj krytyki, polegającej na wykazywaniu, że przeciwna strona widocznie pewnych wyrazów używa błędnie.

Trudność istotna polega na tem, że niema instancji rozstrzygającej, do której możnaby się odwoływać. Próby odwoływania się do etymologji są tak mało pożyteczne, że raczej nowe nasuwają trudności i wątpliwości. Mało jest wyrazów, któreby zachowały swe pierwotne, etymologiczne znaczenie, i to szczególniej między literackiemi wyrażeniami, to znaczy najstarszemi i najbardziej używanemi. To też, jak mówi Tyler: „Naszemu zrozumieniu znaczenia wyrazów niezawsze towarzyszy świadomość, że one kiedyś dawniej oznaczały coś innego“. Nawet terminy techniczne, ukute w ostatnich kilku latach, bardzo znanego i określonego pochodzenia, zdążyły już tak radykalnie zmienić swój sens, że przeciętny laik posługuje się niemi ze swobodą i bez zastanowienia, nie zdając sobie zupełnie sprawy, że one w ustach jego są pustym dźwiękiem, że treść, którą w jego umyśle budzą dane wyrazy, dawno już zniknęła ze świata naszych pojęć współczesnych, by ustąpić miejsca zupełnie odmiennym wyobrażeniom. Wyraz pozostaje taki sam, jaki był, zmieniła się rzecz, której on jest dźwięcznem odbiciem. W umysłowości wielu osób symbol jest czemś bardzo dalekiem od rzeczywistości. W nauce dawniejsze pokolenia mówią przeważnie o rzeczach, które już nie istnieją. By stać na wysokości chwili, człowiek powinien pamiętać, że w ciągu pewnych okresów czasu język z natury rzeczy zatrzymuje określone, skrystalizowane formy, podczas gdy wyobrażenia są wciąż zmienne i płynne. Stosuje się to do wszystkich dziedzin myśli. W teologji wystarczy powiedzieć wyraz „Bóg“ lub „przeznaczenie“; w sztuce wyraz „impresjonizm“; w polityce wyraz „demokrata“ lub „republikanin“; w filozofji wyraz „ewolucjonizm“ lub „idealizm“; w ekonomji wyraz „socjalizm“ lub „podatek osobisty“.

Nic potrzeba mnożyć przykładów. Dziwić się należy poprostu: że zapomocą tak niepewnej, tak przybliżonej mowy udaje nam się dziś tę trochę myśli wymieniać. Jakgdyby niedość było trudności powyżej zaznaczonych, mamy jeszcze tę nieusuwalną przeszkodę, że nawet w danym momencie, dla większości osób wykształconych, znaczenie tego lub owego wyrazu nie da się ściśle i dokładnie ustalić, lecz zależy od tak chwiejnego i zmiennego czynnika, jak sposób posługiwania się nim.

Oczywistą jest rzeczą, że formuła Max Müllera byłaby wiele bliższa prawdy, gdyby ją nawspak odwrócić. Myśl płynie bez słów. O tem wiemy z osobistego doświadczenia. Próba komunikowania myśli za pośrednictwem mowy prowadzi do okaleczenia jej z powodu niedokładnej równoległości, z powodu zwłoki przy układaniu w kolejnym porządku tego, co jest równoczesne, z powodu wtłaczania przemocą w sztywne, określone formy tego, co jest z natury rzeczy płynne i ruchliwe. Jeśli mamy jeszcze jakiekolwiek wątpliwości na tym punkcie, obserwujmy dzieci. Niejedno z nich, i to wśród najbystrzejszych, nie mówi aż do dwóch lat skończonych. Ich słownik jest przez kilka lat bardzo ubogi, w ciągu kilku lat rozumieją zaledwie małą część tego potoku słów, który rozbrzmiewa w ich otoczeniu. Myliłby się jednak bardzo, ktoby sądził, że w tym czasie te małe istoty nie żyją bardzo czynnem i ruchliwem życiem umysłowem. Okazuje się to w ich twarzach, w ich stanach wzruszeniowych, w ich czynnościach i niewątpliwem wnioskowaniu, jakiego te czynności dowodzą. Cechą zasadniczą myśli nie jest bynajmniej to, że jest przenośną za pośrednictwem mowy. Słowo wypowiedziane ledwie drobną cząstkę jej wyraża, a i to ułamkowo i niedokładnie. A cóż powiemy o dzieciach głuchych i niemych. Dla zrozumiałych przyczyn ich inteligencja jest znacznie mniejsza niż — dzieci normalnych w tymże, samym wieku, lecz bynajmniej nie jest „quantité négligeable“. Co więcej, cóż powiemy o tych głębokich i porywających myślach, których wyrazem są poetyckie dźwięki, muzyka, malarstwo, rzeźba, architek-

tura, scena, cała sztuka faktyczna, która gardzi pośrednictwem słów dla wnikania do umysłów? Cóż sprawia, że przekłady literackie są zawsze tylko jakąś lepszą lub gorszą przeróbką, lecz nigdy wiernem odtworzeniem?

W gruncie rzeczy myślimy, aby działać, nie zaś, aby mówić. Możemy uważać mowę za nieoceniony wynalazek, narzędzie społeczne o wysokiej i niezrównanej wartości, lecz nie możemy jej przyznawać współzależności z myślą, a tem mniej równych z nią rozmiarów.

Zatrzymałem się tak długo nad ograniczonem i przybliżonem działaniem mowy, nad jej statyczną niezdatnością do wyrażania czegoś tak płynnego i ruchliwego jak myśl, gdyż jej połowiczność, niedokładność i niesprawność wywierają despotyczny nacisk na nasze pojęcie umysłowego życia. Przenikają również do naszych programów naukowych, tak jednostronnie literackich, i wypaczają je. Język ojczysty jest najważniejszym przedmiotem w programie szkoły wyższej i kolegjum, trzeba jednak w tę naukę wprowadzić szeroki krytycyzm w stosunku do jego ubóstwa i niedokładności, i zawsze łączyć z nauczaniem języka próby objęcia całej sfery świadomości.

Są jeszcze dwie inne przeszkody, nie pozwalające nam pojmować wszechświata, jako żywej, bezpośrednio odczuwanej rzeczywistości, a zamieniają go w pojęcie statyczne, w świat martwoty, skamieniałości, powtórzeń. Objęte są one już w tem, co poprzednio powiedziano, lecz zasługują na odrębne omówienie, gdyż stanowią tak ważną część składową mechanizmu oświecenia, że niełatwo odkryć ich zgubne działanie. Mówię tu o nauce i sztuce.

Z tych obu nauka jest może większym winowajcą, gdyż dotyka naszego życia w wielu więcej punktach, i ponieważ zmierzając do swego celu ujęcia wszechświata w porządny, zwarty system, musi się uciekać do wiwisekcji i dawać nam cały łańcuch symbolów, podziałów, przecięć, obrazów statycznych w miejsce doświadczalnej, płynnej rzeczywistości. Wyrazem nauka obejmuję tu wszystkie wysiłki osiągnięcia ścisłej, pozytywnej wiedzy w każdej

dziedzinie badań. Te szkody, wyrządzone przez naukę, nie są ani zamierzone, ani potrzebne, są jednak niemal nieuchronne, o ile ich nie naprawi odpowiednio skierowana rozwaga. Nauka mówi nam wiele o ruchu i zmianie, a niejednemu entuzjaście zdawało się, że w teorji ewolucji wypowiedziała o nich ostatnie słowo. W istocie jednak nauka ma do czynienia z ustalonemi, statycznemi pojęciami. Ukazuje nam wszechświat w pewnym, danym momencie, przedstawia jego zawartość w usystematyzowanym, przejrzystym porządku, nigdy jednak nie daje obrazu samorodnej ewolucji, istotnego stawania się. Nie wskazuje nawet wcale istnienia takiego dynamicznego, twórczego procesu, gdyż wraz z dawniejszymi idealistami przyjmuje, że wszystko jest dane, że dziś już istnieje w zawiązku to wszystko, co ma nastąpić w przyszłości. Słowem, dla istotnej, samorodnej nowości nie zostawia wcale miejsca. Przynosi nam swój plan w pojęciach gotowych. Jak wiemy, głównem zadaniem naukowej wiedzy jest wyjaśniać rzeczy nieznane zapomocą znanych, proces, który oczywiście byłby też niedorzecznym, o ile nie przyjęlibyśmy, że nieznane i znane są między sobą jednorodne i współmierne. Wszystko to, co w zbliżającej się przyszłości jest jedyne w swoim rodzaju, co jest tworem samorodnym, uchyla się od tej analizy i wymyka się niedostrzeżone. Wiedza naukowa, opanowana przez prawa, które sama dla siebie ustanowiła, składa się na szereg obrazów świata wielce cennych i użytecznych, gdyż bez nich bylibyśmy umysłowymi nędzarzami; nigdy jednak nie ukazuje nam samej panoramy świata w pełnym ruchu, w całem jej bogactwie, świeżości i rozmaitości, gdyż takiej panoramy nigdy nie można sprowadzić do prostych symbolów i obrazów; można ją tylko przeżywać. Z nauki dowiadujemy się o rzeczach; w świadomości poznajemy rzeczy same. Studja naukowe zmierzają do tego, by uwagę naszą oderwać od życia. Zajmujemy pewne stanowisko i z niego oglądamy wszystko, co widzieć można; wstępujemy wyżej i widzimy jeszcze więcej, obchodzimy jakgdyby wokoło danego przedmiotu i zbie-

ramy obfitość pożytecznych wiadomości. Zawsze jednak pozostajemy po zewnętrznej stronie. Jeżeli przez żywą sympatję duchową przenikamy do wnętrza przedmiotu, identyfikujemy się z nim, przyswajamy go sobie, jako cząstkę naszej własnej świadomości, wtedy wiedza nasza przestaje być symbolicznem odbiciem, przestaje poniekąd nadawać się do przekazywania i udzielania drugim, staje się bezpośrednią, indywidualną. Możemy następnie o niej mówić, ale nigdy nie możemy odtworzyć rzeczywistości samej, w jej bogactwie, bezinteresowności, nie możemy jej zredukować do formalnego, naukowego twierdzenia.

Nie moglibyśmy pomyślnie grać skomplikowanego dramatu naszego codziennego, praktycznego życia, gdybyśmy byli pozbawieni bądź tej absolutnej, intuicyjnej wiedzy, bądź też względnej wiedzy naukowej, to też jałowe jest poniekąd pytanie, która z nich jest więcej warta. Źle byłoby, gdybyśmy z uszczerbkiem jednej przeceniali drugą. W obecnej chwili jednak cywilizowany świat skłonny jest przeceniać znaczenie nauki, a niedoceniać tej pełnej świadomości, która jest życiem samem. Mojem coraz silniejszem przekonaniem (powrócę do tej kwestji) jest, że właśnie dziś jest palącą sprawą przywrócenie straconej równowagi, oraz że w wychowaniu dzieci, zwłaszcza do lat czternastu, winniśmy kłaść daleko większy nacisk na wiedzę wewnętrzną, intuicyjną, czerpaną z doświadczeń pierwszej ręki, czyli z życia; natomiast symboliczną, odtwarzającą wiedzę, biorącą początek z naukowej analizy, zostawić na późniejszy okres wychowania, w szkole wyższej i w kolegjum.

Różnica między temi dwiema postaciami wiedzy jest sama przez się ważna, a ma tak zasadnicze znaczenie dla wszystkiego, co powiedziano w rozdziałach poprzednich, że warto ją ilustrować prostym i poglądowym przykładem. Jeżeli chodzi o konia wierzchowego, czy lepiej znać go w ten sposób, jak Arab zna swego wierzchowca, czy tak jak go zna weterynarz, gdy się zasięga jego rady. Pierwszy zna konia; drugi zna się na koniach. Pierwszy przez życie się z koniem uczynił go częścią swej świadomości,

zna go wewnętrznie, absolutnie, rozumie jego postawę, upodobania, zalety i wady, wie, jakiej paszy i napoju potrzebuje, ile mu potrzeba wypoczynku, ile może wytrzymać trudu, w jakiej mierze jest wierny i przywiązany. Zna swego konia lepiej, niż to się da wyrazić w słowach i konwencjonalną miarą ocenić. Z jego wierzchowcem łączy go nietylko to, że jeden drugiego potrzebuje, lecz że jeden drugiego rozumie. Weterynarz natomiast nie zna twego konia i nie próbuje go poznać. On zna to, co jest właściwie okazem końskiego rodu, typem przeciętnym, pozbawionym wszelkich cech indywidualnych. Umie on obchodzić się z twym koniem, prowadzić go, może nawet leczyć — o tyle tylko, o ile on odpowiada temu typowi przeciętnemu, który istnieje w umyśle weterynarza, a do którego stosują się wszystkie jego środki i sposoby. Bynajmniej nie myślę obniżać znaczenia żadnej wiedzy. Charakteryzuje je dobrze powiedzenie, że jedna jest utylitarna, druga bezinteresowna. Dla mnie jednak jest uderzająco jasną prawdą, że zarówno dla celów powszedniego życia praktycznego, jak dla późniejszych celów naukowego wykształcenia, podstawą winno być intuicyjne, wewnętrzne poznanie, które może być i bogate, i różnorodne, zanim się przejdzie do analizy, i raczej analiza z braku materjału staje się bardzo jałowa, sucha i bezpłodna.

Łatwo dostrzec, że przechodząc do analizy, do porównania, objaśniania rzeczy nieznanych przez znane, nauka musi, ulegając konieczności, wynikającej z jej własnych metod i zamierzeń—uciekać się do martwych, statycznych obrazów, do wycinków życia, do symbolów i zamykać się w dziedzinie wymiarów również na swój sposób martwych, do matematyki mierzenia. Widzieliśmy, że w laboratorjum proces badań naukowych sprowadza się do mierzenia. Nietrudno również zauważyć, że, oddając się studjom naukowym, człowiek wprawdzie odnosi wielką korzyść z naukowego systemu analizy, niemniej naraża się na zapomnienie, że świat, w którym żyjemy jest do najwyższego stopnia płynny, dynamiczny, realny. Jak już Comte wykazał, sprawdzianem wiedzy jest trafność jej przewidywań.

Przez wyłączenie samorodnej nowości, tego wszystkiego, co niewymierne i nieobliczalne, nauka znacznie zwiększyła swą użyteczność, lecz wyparła się szerszego i pełniejszego pojmowania życia. Ceniąc użyteczność, nie zapominajmy jednak o jej ograniczeniach, o jej zasadniczym symbolizmie.

Warto również zauważyć, że wiedza naukowa, znajdując się w rażącem przeciwieństwie do pełnej świadomości przez swą spoistość i zróżniczkowanie, przewyższa pełną świadomość tylko w dziedzinie pomiarów, gdyż wyraża swe obliczalne i wymierne wyniki w jednostkach, dających się komunikować. W absolutnym systemie pomiarów, pomiarów centymetro-gramo-sekundy, nauka zdobyła narzędzie o nieobliczalnej i uniwersalnej użyteczności. Niema nic analogicznego w świecie ducha. Mamy tam jednakże coś znacznie głębszego niż system c. gr. sek., coś, co w nieskończenie szerszym zakresie dotyka ducha ludzkiego, a z przenikliwością niedostępną dla żadnej objektywnej wiedzy, mianowicie zmysł ilości, zapomocą którego duch rozwinięty ocenia wszelkie stany życia, od najwidoczniejszych do najbardziej niepochwytnych. Tylko przy współudziale tego duchowego zmysłu ilości zdoła nauka dokonywać większości swych pomiarów. Tak np. w systemie c. g. s. nie mamy i nie możemy mieć jednostek do mierzenia czy to powierzchni, czy objętości. Mamy tylko centymetr, jednostkę linearną. Przez kwadraty i sześciany dochodzimy do pochodnych jednostek miary powierzchni i objętości, ale ich prawomocność zależy wyłącznie od naszego wewnętrznego zmysłu przestrzeni. Nie możemy się niemi posługiwać wedle jakiejkolwiek bezpośredniej, objektywnej metody. Poczucie przestrzeni, czasu, masy — jest rzeczą zasadniczą. Należy je pielęgnować i rozwinąć u dzieci, aby stało się ono bardzo realnem i głębokiem, zanim zaczniemy mu zaprzątać głowę naukowemi systemami i datami. Ośmielę się twierdzić, że nie co innego, tylko ten wewnętrzny zmysł ilościowy czyni człowieka wielkim matematykiem i uczonym, nie zaś ćwiczenia szkolne i laboratoryjne. Wartość ich występuje

dopiero później, trzeba jednak przyznać, że bardzo wielu uczących się przyjmuje je bez widocznych wyników.

Może się to wydawać dziwne, że i sztukę zaliczam do utrudnień w naszem dynamicznem pojmowaniu świata. Percepcja artystyczna jest w istocie najdoskonalszym typem intuicji. Artysta — chcąc być artystą — musi rzeczywiście duchowem odczuciem wnikać w głąb swego przedmiotu, musi się z nim utożsamić, opanować jego wewnętrzne tajniki. Ogólnie się uważa, że badania naukowe, jako oparte na analizie, nie sprzyjają sztuce. Już sama dążność do poznawania rzeczy, do analizowania, porównywania, mierzenia, prowadzi nazewnątrz poza istotę rzeczy, w świat przedmiotowy, w którym wszystko raczej jest możliwe, ale nie sztuka. A jednak i sztuka staje na przeszkodzie płynnej, ruchliwej grze bezpośredniej świadomości. Nie mam tu na myśli tworzącego artysty, on jest bowiem najwyższym, najbardziej współczesnym z ludzi, jacy się zdarzyć mogą. Myślę o artystycznej krytyce i kontemplacji. Najlepsza ocena sztuki jest niewątpliwie intuicyjna i absolutna; — człowiek wnika w dany utwór i osiąga wewnętrzną, istotną identyfikację. Tego jednak nie doznaje większość ludzi. Patrzą na rzecz od zewnętrznej strony i nawet tak płynne utwory, jak literackie i muzyczne, nabierają sztywności skrępowanych ruchów w ramach przepisanej formy. Dla większości ludzi architektura, rzeźba i malarstwo przedstawiają jakąś chwilę zatrzymaną, coś skończonego, wartość statyczną, której miarę bada objektywna analiza i porównanie. Zamiast poznawać wartość dzieł przez uczestnictwo, obchodzą je dookoła, jak uczony, pomijając jedyny pierwiastek, a mierząc resztę, nieznane wielkości znanemi wymiarami. Stąd to pierwszem pytaniem typowej krytyki nie jest, czy dana rzecz jest sama przez się piękna lub doskonała, lecz — dawne statyczne pytania — czy ona *odpowiada* przyjętym prawidłom estetycznego smaku. Gdy te dawne miary panują bezspornie, dzieło sztuki może być doskonałe tylko wtedy, gdy jest klasyczne, wszelkie zaś nowatorstwa są wykluczone. Stoso-

wanie stereotypowych szablonów, czyli prawidłowych form, przemaga nawet w najbardziej dynamicznych rodzajach sztuki, — w literaturze, na scenie, w muzyce.

Dzieje rozwoju sztuki są historją najgwałtowniejszych, zaciętych sporów. Pojawienie się każdej nowej formy dawało sposobność do osobistych napaści, przewlekłego oporu, czasem nawet faktycznej martyrologji. Przykre i bezużyteczne byłoby powtarzanie nieprzyzwoitych zarzutów, jakiemi usiłowano zakrzyczeć wszystkich twórców nowych kierunków w świecie sztuki. Na wszelkie sposoby utrudniano ruch, zawsze podnosząc najwyżej statyczne pojęcia piękna. Każdy krok naprzód musiał sobie wywalczać drogę. Duch konserwatyzmu opierał się każdej zmianie i szukał rzeczywistości życia nie w bujnym, niepowstrzymanym ruchu, lecz w bezwładnym spokoju. Trudno uniewinniać napaści osobiste i tępe zaślepienie, które im towarzyszyło. Przypuszczać można jednak, że to uporczywe obstawanie przy tem, co było dobrego, miało także i pewien zbawienny wpływ, gdyż chroniło przed dziwactwem i kaprysem i sprzyjało wytwarzaniu się zdrowych artystycznych tradycyj. Odczuwa się to szczególniej na Dalekim Wschodzie, gdzie wszystkie sztuki piękne, z wyjątkiem tej, która polega na ruchu, to jest muzyki, doszły do tak wysokiej doskonałości. To bywa jednak połączone z ogólnym zastojem we wszystkich praktycznych sprawach życia. Bądź co bądź ten kult ustalonych form sztuki działa na umysły wykształcone a zwłaszcza półwykształcone w ten sposób, że podtrzymuje raczej statyczny niż dynamiczny pogląd na życie, a odbija się w wychowaniu przez zalecanie powtarzania, nie zaś doświadczeń z pierwszej ręki.

To samo można w pewnej mierze powiedzieć i o ulubionych przedmiotach sztuki. Zdawałoby się, że architektura z natury rzeczy nie ma nic wspólnego z ruchem. Nasuwa ona raczej wyobrażenie zupełnego zatrzymania ruchu i jej główną zaletą jest trwałość. Nazywano ją (bardzo niesłusznie—mem zdaniem) zastygłą muzyką. Te wyobrażenia biorą jednak początek w pomieszaniu funkcyj.

Okręt jest bardzo sztywną budową, ale mało go cenimy, o ile nie przypisujemy mu szybkości. Nie pragniemy wprawdzie, by jakiś gmach groził zawaleniem lub przesunięciem się, ale chcemy, by tchnął życiem sobie właściwem. Świątynia grecka, budowa, mająca ponad wszystkie inne zalety trwałości, równowagi i spokoju, nie budziłaby naszego zainteresowania, gdyby nie wywoływała obrazu tłumów nabożnych, zapełniających jej wnętrze. Katedra gotycka podobne obrazy przywołuje w pamięci, a jej strzeliste wieżyce i ostre łuki zdają się wskazywać lot myśli ku niebu. Lubimy pojęcie trwałego kamienia węgielnego, ale żaden dom mieszkalny nie może być piękny, jeżeli w każdym szczególe nie jest przystosowany do swej roli, siedziby ludzkiej. Drzwi muszą być szerokie i wysokie, by mieszkańcy swobodnie przez nie przechodzić mogli, okna muszą być duże, gdyż mają przepuszczać światło i powietrze; dach musi stanowić skuteczną osłonę przed słotą i burzą; kominy muszą rosnąć w miarę szerokości geograficznej, przywodząc na myśl ciepło i smaczny posiłek. To nie jest urojenie. Budowle nasze muszą być trwałe i nieruchome, lecz zupełnie mijam się z celem architektonicznego rysunku, jeśli on nie okazuje ruchu codziennego życia.

Rzeźba i malarstwo może wskazywać lub suggerować ruch, a niejedno z naszych arcydzieł daje to złudzenie nawet przy dłuższem oglądaniu; z reguły jednak wrażenie jest tylko chwilowe, a wkońcu pozostaje wrażenie spoczynku i nieruchomości. Nawet wesoły uśmiech, trwający zbyt długo, przestaje być zabawny, a staje się grymasem bezmyślnym. Mało jest równie drażniących widoków, jak wesołość namalowana. Cały wdzięk śmiechu polega na tem, że jest on przelotny. W sztuce lepiej jest suggerować przesilenie, niż je odtwarzać. Dowodzi to jednak braku wyobraźni, jeśli moment utrwalony na płótnie bierzemy za rzeczywistość życia.

Muzyka i literatura, z racji swego materjału, nie tylko dopuszczają ruch, lecz go wymagają. To prawda, że niektóre poetyckie opisy przyrody robią wrażenie głów-

nie przez nastrój spokoju i nieruchomości, że pewne rodzaje muzyki, naprzykład niektóre utwory Mc. Dowella i Griega sprawiają również takie statyczne wrażenie. Naogół jednak zarówno literatura jak muzyka muszą być pełne życia i ruchu. Jednakże okoliczność, że ten ruch musi przybierać pewne przewidziane, prawidłowe formy, wywiera pewien wpływ hamujący i nieuchronnie wywołuje złudzenie spokoju.

Nie można odmówić wielkiej trafności poglądowi, że architektura, ze swą zasadniczą cechą trwałości i niezmąconego spokoju, powinna być tym rodzajem sztuki, który służy czci Boga Ojca, malarstwo, chwytające jeden moment potężnego uczucia, poświęcone być winno czci Syna Bożego, a muzyka ze swym bieżącym rytmem, żywym ruchem i stopniowym rozwojem najlepiej się nadaje do nowszego kultu, uświęcającego Ducha.

Jeśli mówię, że język, nauka i sztuka prowadzą do oderwania uwagi od zawikłanego ruchu, stanowiącego rzeczywistość, a skupienia ich na poszczególnych widokach i obrazach statycznych, nie myślę twierdzić, że to jest czemś bezwzględnie szkodliwem, lub że można było coś uczynić, by tego uniknąć. I oderwanie i skupienie to bywało potrzebne, abyśmy mogli dojść do naszej obecnej kultury umysłowej. To nie powinno nam jednak zamykać oczu na fakt o nieprzemijającem znaczeniu, że w tej analizie ustalonych pojęć i przepisanych form nie zamyka się całe życie, że to jest tylko coś wykrajanego z życia, co od życia zależy, lecz o niem nie rozstrzyga, w istocie nasza współczesna interpretacja życia, która o tyle tylko zdoła się utrzymać, o ile sama siebie poprawiać i uzupełniać będzie, zwracając się nieustannie na nowo do swego źródła.

Dlatego to zbudowałem mój system wychowawczy, rozwinięty w poprzednich rozdziałach, na tej podstawowej idei, że wychowanie musi się zajmować większą sprawą, Rzeczywistością, a nie poprzestawać na mniejszej, Wyobrażeniach. Rzeczywistością zaś nazywam całą świadomość, ducha i ciała razem, całość naszych codziennych ludzkich

przeżyć, całą bezpośrednią, pulsującą, istotną treść chwili. Sądzę, że to właśnie w języku większości idealistów i mistyków nosi nazwę rzeczywistości. Na postawione im pytanie lubią odpowiadać, że to jest: „cała treść obecnej chwili". Dzieli mnie od nich, a także od mego dawnego idealizmu, nie to określenie rzeczywistości, lecz dwa ważne zastrzeżenia, które z niem łączę. Oba mają charakter negatywny. Pierwsze zastrzeżenie, że ten pogląd na rzeczywistość nie wymaga wcale, byśmy — wraz z Kantem — postawili „*rzecz samą w sobie*", realną rzeczywistość poza wszelkiemi pozorami, której nigdy nie mamy nadziei poznać, albo też — wraz ze Spencerem, niepoznawalne, stanowiące szkielet wszelkich rzeczy a zdefinjowane już przez samą nazwę swoją. Te fikcyjne, niepoznawalne rzeczywistości obu powyższych myślicieli i szkół, jakim dali początek, dały im potrzebne w ich metodzie wyjaśnienia wiedzy. Nasza intelektualna wiedza, będąc częściową, wyobrażeniową, symboliczną — zdaje się wymagać jakiejś solidniejszej rzeczywistości poza sobą, nawet gdybyśmy mieli ją sami sfabrykować i nazywać wymijającemi nazwami. Konieczność ta znika, gdy tylko zdamy sobie sprawę, że poza wiedzą względną, która umysł wykrawa z całokształtu naszej świadomości przy pomocy mowy, leży wiedza absolutna, zupełna—świadomości bezpośredniej. Jednem słowem, nie potrzebujemy formułować rzeczywistości, gdyż ona jest gotowa, w świadomości naszej, w naszym duchu. W tym świecie rzeczy są tem, czem się wydają. Mówiłem, że to jest pogląd idealistyczny a nawet mistyczny. Możnaby go równie dobrze nazwać realizmem duchowym. Drugiem zastrzeżeniem jest, że chwila obecna, — rzeczywistość, z którą wychowanie ma do czynienia — zawiera w sobie całą przeszłość, a przynajmniej to wszystko z przeszłości, co ma wagę i znaczenie, ale nie można twierdzić, by zawierała przyszłość, jeśli nie chcemy żonglować słowami. „Brama przyszłości stoi naścieżaj otwarta". Wszystko *nie jest* dane, nawet — jak sądzę — w myśli samego Boga. Nigdzie na całej przestrzeni empireum przeszłość, teraźniejszość i przyszłość nie są zjednoczone.

Nigdzie świat nie jest gotową, napisaną księgą, nawet potencjalnie w zawiązkach teraźniejszości. Mówić o przyszłości, zawartej w teraźniejszości, wydaje mi się szkodliwą przenośnią, frazesem raczej, niż rzeczywistością. My wierzymy wręcz odwrotnie, że nadchodząca chwila niesie ze sobą nową, samoistną treść i dodaje ją do tej syntezy przeszłości, jaką stanowi teraźniejszość, że przeto ta chwila przyszła zawiera możliwość samorodnej nowości. Zgodnie z tym poglądem życie nie jest rozwijaniem kłębka, zwiniętego przez bogów. Jest ono ruchem twórczym samo w sobie, dążeniem do mety, która jest zarazem i nieokreśloną i nieprzewidzialną. Żyć to tworzyć, a dla tej twórczości niema ustanowionych wzorów. Na pierwszy rzut oka taki pogląd zadaje kłam zasadzie przyczynowości i wydaje się raczej krokiem wstecz niż naprzód. Dla umysłu uczonego przyczynowość jest kamieniem probierczym trwałości i postępu rasy ludzkiej. Spencer mierzył poziom rozwoju danego ludu wedle tego, czy on się trzyma tej zasady. Można zasadę przyczynowości sformułować w ten sposób, że my, wyznawcy tego, co można nazwać Postępowym Absolutem, istotnie musielibyśmy jej kłam zadawać. W takim razie uczynilibyśmy to świadomie i rozmyślnie, widząc w danej definicji poważny błąd. Jeżeli w przyczynowości ktoś szuka niepojętej, niezbadanej przyczyny pierwotnej, która w nieprzeniknionej, dalekiej przeszłości wszczęła ruch, działający automatycznie, mechanicznie w ciągu wieków aż do teraźniejszej chwili i dalej działać będzie tak samo wiekuiście przez całą przyszłość, to taka teorja — naszem zdaniem — nie wyjaśnia niczego i zostawia nas tam, gdzie staliśmy przedtem. Nasze własne pojęcie przyczynowości jest również niezbadane, lecz przynajmniej staje się zrozumiałe przez to, że twórczą przyczynę nieprzeniknionych mroków dalekiej przyszłości sprowadza do obecnej chwili i czyni ją nieprzerwaną a zarazem i współczesną. Przyjmując samorodną nowość, bynajmniej nie wprowadzamy kaprysu. Stary, wypróbowany porządek trwa; stare, wypróbowane prawa zostają niewzruszone. Nadchodząca chwila nie przynosi sprzeczności,

przynosi tylko większe bogactwo i nowe możliwości. Słowem, pozostając nadal kazualistami, wprowadzamy pojęcie przyczynowości współczesnej i nieprzerwanej. Streszczamy to, mówiąc, że istnienie jest samo przez się tworzeniem.

Patrząc w ten sposób na życie, czynimy je w znacznie wyższym stopniu wydarzeniem, niż człowiek przeciętny wyobrazić sobie może. Staje się ono nietylko brzemienne w rozliczne możliwości, lecz intensywnie, dramatycznie realne. Gdy szczerze i konsekwentnie trzymamy się tego poglądu, nasze zainteresowanie życiem potęguje się, staje się ono w naszych oczach przedsięwzięciem niesłychanej wagi, a to odbija się na naszym sposobie używania czasu, na zapatrywaniach na pracę zawodową i na ostatecznym wyborze powołania.

Usiłuję tutaj jasno wyrazić rzeczy, które są same przez się trudne do wypowiedzenia; sądzę jednak, że pierwszorzędnej wagi sprawą jest, by przy wspólnym wysiłku piszącego te słowa i czytelnika osiągnąć jasność w pojmowaniu i stwierdzaniu ich.

Ta rzeczywistość, ta całkowita, pełna świadomość, obejmująca wszystko, artykułowane i nieartykułowane, wypowiedziane i niewymowne, wymienne i niewymienne, całą treść chwili teraźniejszej — stanowi podmiotowy materjał wychowania. Ta wszechobejmująca rzeczywistość jest życiem, — nie życiem ciała wyłącznie, nie działaniem umysłu jedynie, lecz tem pierwotnem, przenikającem, pulsującem życiem, stanowiącem przyczynę i siłę powstrzymującą jedno i drugie, życiem Ducha. Wzniosłem zadaniem wychowania jest powiększać rozmiary rzeczywistości, rozmiary życia, jego wysokość, głębokość i szerokość. Najlepiej odpowiemy temu zadaniu, patrząc na dzieci (i na siebie samych również) nie wedle starej, potrójnej formuły, jako na ciało, umysł i ducha, nie ze stanowiska materjalizmu, jako na ciało tylko, lecz wedle jasnych i wyraźnych wskazań nowego idealizmu, wedle którego Duch jest zasadniczym, żywotnym, przyczynowym pierwiastkiem, ciało zaś posłusznem narzędziem i sługą ducha. Bierzemy ducha jako pojęcie obszerniejsze, jako *ja*, pełną

świadomość, nieśmiertelną osobowość. Umysł czy duszę bierzemy, jako jedną stronę ducha, nie całość lecz część, jako narzędzie, zapomocą którego organizuje się i porusza nasze życie społeczne, któremu zawdzięczamy, że duch z duchem porozumiewać się może w słowach ustalonego znaczenia. Jest to nieoceniony organ nadawczo-odbiorczy.

W wychowawczym systemie, który rozwijamy tutaj, bynajmniej nie mieliśmy zamiaru poniżać intelektualizmu, ani też pomijać olbrzymiej wagi tej roli, jaką spełnia mowa w życiu umysłowem i społecznem. Wręcz przeciwnie, w ostatecznym planie takiej edukacji leży ogromne zwiększenie zakresu tej umysłowości oraz sprawności i żywotności mowy ludzkiej. To można najskuteczniej osiągnąć — naszem zdaniem — redukując narazie, przynajmniej do lat czternastu, wymaganie umysłowego życia, z jego symbolami, reprodukcjami i obrazami statycznemi, nieustanną analizą i nieuniknioną skostniałością — a zwracając się całkowicie i niepodzielnie do samego źródła, rozwijając życie duchowe. Jeżeli późniejsze życie umysłowe ma się zdrowo rozwijać, naprzód musi życie duchowe stać się bujne, żywotne i samoistne. Zauważmy, jak wielka jest różnica, czy się jest tęgim, czy zdrowym. Obecne życie umysłowe większej części cywilizowanych narodów jest niewątpliwie tęgie, ale bystra krytyka jego cech z łatwością odkryje, że ono zdrowe nie jest.

Przy nauce języka często popełniamy ten błąd, że przedwcześnie wprowadzamy gramatykę i żądamy, by dzieci uczyły się stosunków, zachodzących między wyrazami, i funkcyj wyrazów, zanim zdobędą one dostateczny ich zapas, aby mieć obfity materjał do tego rodzaju analizy. Właściwie to jest okrucieństwem. Stawiamy dzieciom trudne zadanie, a nie dajemy im środków wykonania. Chcemy, by robiły cegły bez słomy. Później w szkole wyższej młodzież piętnasto i szesnastoletnia może opanować gramatykę w ciągu miesiąca lub chwili, gdyż są to już bywalcy w bujnem królestwie mowy. Właściwie znaczną część gramatyki odkryli już sami. Istnieje tylko

dziewięć części mowy (po angielsku), a ośm, jeśli artykuły zaliczamy do przymiotników, a bystry chłopak i zdolna dziewczyna, gdy umieją się dobrze posługiwać wyrazami, bardzo szybko dojdą do ustalenia ich funkcyj i klasyfikacji. Otóż sądzę, że to samo powtarza się przy przyswajaniu wszelkich innych formalnych przedmiotów nauki. Życie musi naprzód dojść do większej *zawartości*, zanim analizowanie go zacznie posiadać istotną wartość wychowawczą i celowość. Dzieci muszą naprzód poznać życie nim zaczną się dowiadywać o życiu. Muszą poznawać rzeczy bezpośrednio, z pierwszej ręki, z naturalną, właściwą im skupioną uwagą, niezmuszone do wyrażania, do dobierania słów i obrazów, rozstrząsania przedwcześnie; — nie należy nawet żądać od nich, by je pamiętały. Niechaj wypowiadają, co się nadarzy, lub milczą; niech pamiętają lub pozornie zapominają; — to nie ma znaczenia. Ważne jest to, by dramat istotnie się toczył, by dzieci się z nim utożsamiały, by ich wewnętrzne życie było bujne, żywotne, samorzutne.

Nigdy nie należy narzucać dziecku nauki formalnej. Ma ono własne drogi zdobywania nauki i odpowiedni czas. Może ich metody wydają się mniej doskonałe niż nasze, ale nie ulega kwestji, że są skuteczniejsze. Można śmiało twierdzić, że nawet u zupełnie przeciętnego dziecka prędzej czy później pojawia się głód umysłowy, żądza czytania, pisania, dowiadywania się, porównywania. Zanim się głód pojawi, bezcelowe byłoby nasycanie go. Niedorzecznością jest analizować rzeczy, które jeszcze nie weszły do dziecięcego świata i brutalnie karać dzieci zato, że nie widzą przedmiotów, leżących jeszcze poza ich polem widzenia. Można podniecać żądzę wiedzy tysiącznemi, dozwolonemi przynętami, możemy dzieciom nastręczać możność stykania się z bogatym światem zjawisk, lecz, uczyniwszy to wszystko, trzeba brać na cierpliwość i czekać na nieuniknioną reakcję.

Z tego nie wynika bynajmniej, by w ciągu tej pierwszej epoki życia, tych cudownych lat łaski, nie należało skutecznie ćwiczyć i kształcić dzieci we właściwym kie-

runku. Wręcz przeciwnie, jak to już wykazałem w wielu poprzednich rozdziałach z wielką obfitością szczegółów, tyle trzeba rzeczy przeprowadzić w tym okresie, że już z praktycznych względów brak czasu nie pozwala zajmować się czysto umysłowemi zagadnieniami. Właściwie jednak i tych również nie zaniedbujemy. Podtrzymujemy zainteresowanie umysłowe najskuteczniejszemi środkami, jakiemi rozporządzać można. Kształcąc Ducha, rozszerzamy świadomość i wzmagamy późniejsze możliwości umysłowego życia. Ćwicząc ciało, rozszerzamy zapas percepcji, a zarazem pogłębiamy władzę praktycznego i artystycznego wykonania. Uzbrajamy Ducha w odpowiednie narzędzie. Jako dostarczyciel wiadomości i narzędzie wykonawcze jego woli, ciało zasługuje na to, by je jak najlepiej rozwinąć i wyćwiczyć. Bogactwo Ducha i pomyślny rozwój ciała są miarą pomyślności dziecka. Rozwój umysłowy musi z tego wyniknąć we właściwej porze, jak wynika skutek z przyczyny.

Głównym zarzutem przeciw rozpowszechnionemu obecnie przedwczesnemu rozwijaniu umysłu dzieci jest nietylko to, że daje ono w rezultacie plon bardzo ubogi (niewiele mamy osób wykształconych), lecz co gorsze, że to prowadzi do wyników wręcz niezdrowych. Prowadzi do nich nieuchronnie — powtarzam z naciskiem. Gdy analiza poprzedza doświadczenie, jak się to dzieje w tego rodzaju wychowaniu, a dzieci są karmione symbolami i odbiciami nietylko przedwcześnie, lecz pod takim naciskiem, że wszystkie—prócz najtęższych—muszą ściskać nos i przełykać je, za nasze trudy dochować się musimy pokolenia młodych frazesowiczów, nałogowo nieszczerych, skazanych na pozostanie miernotami przez całe dalsze życie. O ileż lepsze te „dzielne indywidua bez wychowania", które opiewa z takim zapałem Whitman. Do frazesowiczów należy większość z nas, jeżeli nie pod każdym względem, co byłoby zupełnem zatraceniem, to przynajmniej częściowo, co jest częściową zgubą. Dosyć to już tragiczne, gdy wiemy wiele rzeczy nie odpowiadających prawdzie, lecz w dodatku mieć wciąż do czynienia z symbolami, obrazami,

przedstawieniami, które nie odpowiadają niczemu i zupełnie są pozbawione treści, to rozpacz zupełna.

Nasi ludzie cywilizowani są naogół ofiarami fałszywego intelektualizmu. Mamy wielkie bogactwo symbolów. Te symbole tak dalece zalewają i przygniatają życie duchowe, któremu miały pierwotnie służyć za wyraz, że w rezultacie obracamy się wciąż w świecie nierealnym i z gruntu fałszywym. Jesteśmy dotkliwie skrępowani, gdy mamy więcej myśli niż symbolów do ich wyrażenia, lecz mieć więcej symbolów niż myśli, które można niemi wyrazić, to istna tragedja.

W wielu dawnych i cywilizowanych Stanach Ameryki spotykamy wiele mężczyzn i kobiet, umiejących rozprawiać dziwnie płynnie o każdym temacie, jaki im podsuniemy, rozprawiać całemi godzinami, o ile nic nie przeszkodzi, a w rzeczywistości w ciągu całej swej mowy nic właściwie nie powiedzieć. Ten typ jest tak pospolity, że wkońcu został oszacowany wedle swej istotnej wartości. Każdy doświadczony przewodniczący znajduje przeciw nim środki ochronne. Nie powinniśmy — ganiąc ich — zamykać oczu na fakt, że ten czczy werbalizm jest tylko kwestją stopnia, gdyż każdy z nas — mniej lub więcej— jest dotknięty tą wadą.

Nie czem innem objaśnić się daje przemagające dążenie do oddzielenia wychowania od religji i ustanowienia tą drogą nieszczerości i połowiczności przez równoczesne podtrzymywanie dwóch odrębnych, a często przeciwstawnych punktów widzenia względem życia. Jeżeli religją w jej najistotniejszem, najgłębszem znaczeniu nazwiemy wewnętrzny stosunek człowieka do życia, to ona jest tonem górującym w jego osobowości. O ile ona nie znajduje wyrazu w jego życiu umysłowem i czynnem, to istnieje w nim wewnętrzny rozłam i całe jego życie staje się nieszczere i powierzchowne. Niepodobna oddzielać wychowania od religji, a równocześnie chcieć uczynić wychowanie odbiciem rzeczywistości, życia Ducha. Oderwane od religji wychowanie pogrąża się w czczym symbolizmie.

Równem niepodobieństwem jest oddzielenie wychowania od ekonomji. Jeżeli uważamy ciało za narzędzie i sługę ducha — w naszym trójwymiarowym świecie czynu, jesteśmy zniewoleni zająć się bardzo poważnie utrzymaniem ciała w pomyślnym stanie, i to nietylko oderwanemi sprawami ogólnego zdrowia i fizycznego wychowania, lecz również podstawową kwestją środków i sposobów. Ażeby najlepiej obmyślony program higjeniczny mógł dać dobre wyniki, trzeba dostarczyć żywności, odzieży, mieszkania, zaopatrzenia i wszelkich zewnętrznych warunków. Wychowanie, które zaniedbuje ekonomiczną podstawę codziennego życia, nie może być zupełnie powszechne. W istocie może mieć zastosowanie tylko u dzieci uprzywilejowanych. Rzucamy słowa na wiatr, gdy mówimy, że wychowanie ma być udziałem wszystkich, póki wszyscy nie mają zapewnionych środków niezbędnych do życia i nie są przez to postawieni w warunkach, w którychby mogli z wychowania korzystać.

Mówiąc o podziale ludzkiego istnienia między Ducha i Ciało, pozwoliłem sobie użyć wyrażenia „dualizm". Uczyniłem to rozmyślnie, aby tem silniej odgraniczyć ten pogląd z jednej strony od pojęć trynitarjańskich, które widzą w człowieku syntezę ciała, umysłu i duszy, z drugiej od materjalistycznego monizmu, nie uznającego możliwości żadnej analizy, ponieważ istnieje tylko jeden dostępny przedmiot badań, ciało. Bynajmniej jednak nie było moim zamiarem zaznaczać tym wyrazem jakieś przeciwieństwo między duchem a ciałem, lub wskazywać jakąś przepaść między życiem a śmiercią. Przeciwnie, radbym nawet głosić monizm spirytualny, dla którego duch jest rzeczywistym ośrodkiem życia, a ciało tylko stanowi jego piękne i doskonałe akcesorjum. Wychowanie dąży do tego, by i duch i ciało doszły do najwyższej doskonałości, ale źle wywiązuje się z tego zadania, jeżeli nie czuwa nad tem, by w każdej chwili ciało podlegało duchowi. Ciało bowiem umiera, umiera nawet w ciągu ziemskiego żywota przed duchem; duch zaś — jak wierzymy — jest nieśmiertelny a zarazem jest źródłem i przyczyną. Zarówno do-

raźne jak ostateczne zwycięstwo duchowi przypada. W młodości i zdrowiu, gdy wszystko dobrze idzie, gdy duch i ciało trzymają się razem, łatwo jest zachować dzielną postawę wobec życia, bujać swobodnie dzień za dniem i śpiewać z pełnej piersi:

„Jestem panem swego losu,
Jestem wodzem własnej duszy".

Później dopiero człowiek przechodzi próbę, gdy zaczyna starzeć się i chorować, gdy śmierć mu zajrzy w oczy, gdy wreszcie sprawy jego tak się ciężko wikłają, gdy klęski sypią się jedna za drugą i człowiek nie wydaje się bynajmniej panem swego losu. Czasem może się zdawać raczej, że jest igraszką przeznaczenia i drogo płaci za swą dawniejszą śmiałość i młodzieńcze ambicje. Tego rodzaju przejścia nie są wcale wyjątkowe. Na każdego z nas czyhają różne zasadzki i potrzaski, które naszą filozofję wystawiają na ciężkie próby. Wzniosłem zadaniem gruntownego i skończonego wychowania jest przygotować człowieka na te przejścia, objaśnić, że duszy wyzwolonej nie może spotkać żadna klęska ze strony zewnętrznego świata, że, biorąc rzecz objektywnie, niema zwycięstw ani porażek, lecz wszystko zależy od ducha. Prawa przyrody, układ i cechy materji, istota czasu i przestrzeni, niezłomne konieczności matematyczne nie są murami więzienia. Są to tylko warunki, w jakich się toczy gra życia; bez nich nie byłoby gry wcale. Stawiając na różny sposób opór, umożliwiają dramat. *Rozegrać grę* jest zarazem wskazaniem i podnietą równie imperatywną dla starca, który patrzy na zbliżanie się anioła śmierci, jak i dla młodzieńca, upojonego myślą o tem, co życiem nazywa.

Wartość gry nie zależy bowiem od liczmanów do niej używanych, ani od pola lub prawideł, lecz wyłącznie od samych graczy. Niepodobna nawet rozstrzygnąć, kto z nich, starzec czy młodzieniec, ma w istocie większą pełnię życia, gdyż życie nie jest sprawą ciała lecz ducha.

Gdy duch jest silny, późny wiek i zamieranie ciała są to tylko wydarzenia z osobistej historji, ani ważne ani tragiczne. Gdy duch jest słaby, a na istnienie skła-

dają się przeważnie tylko cielesne wrażenia i żądze, wtedy zapewne starość i śmierć wydają się czemś bardzo doniosłem i tragicznem. Dziwić się należy, że wychowanie współczesne, które się tak przechwala swą praktycznością, tak wyłącznie zajmuje się tylko przygotowaniem młodzieży do życia, a nie mówi jej ani słowa o starości i śmierci, choć te są nieuchronne. Śmierć może przyjść każdej chwili, starość nieustannie się zbliża. Ciało umiera i oddaje ziemi składniki, które od niej wzięło, ale duch— jak wierzę — był zawsze i zawsze będzie. Duch, owa pełna świadomość, w której ujrzeliśmy rzeczywistość, jest właściwym materjałem wychowania; ciało zaś, sługa i narzędzie ducha, właściwym przedmiotem rycerskiego ćwiczenia. Tylko dla dogodności wyrażenia mówi się o dualizmie ciała i ducha. Duch, przewodnik życia, tworzy ciało, organizuje je, doskonali, posługuje się niem, a potem w chwili wskazanej przez bóstwo, odkłada je. Czy duch miał już dawniejsze wcielenia, czy w przyszłości tworzyć będzie dla siebie nowe ciała, o tem większość ludzi nie posiada bezpośredniej świadomości i nie może powiedzieć nic rozstrzygającego. Mamy jednak wciąż rosnące mnóstwo świadectw pośrednich ze źródeł bardzo od siebie oddalonych i różnych, które sprawiają, że taki pogląd jest i prawdopodobny i logiczny. W kołach wykształconych, naukowych zarówno jak mistycznych, wzmaga się poczucie, że nieśmiertelność i odradzanie się są czemś więcej niż nadzieją, że one faktycznie przedstawiają rzeczywistość substancjalną, oraz że oświecony duch ma prawo uważać siebie za trwałą cząstkę nieśmiertelnego porządku.

W poprzednich rozdziałach niewiele miałem sposobności mówić o wychowaniu społecznem; przez to grzeszyłem przeciw bardzo popularnemu złudzeniu naszych czasów. Zdawało mi się to jednak czemś zbytecznem, bo nigdzie nie spotykamy się dziś z człowiekiem odosobnionym, ani z samotnem dzieckiem. Mamy tego rodzaju abstrakcję tylko w naszej literaturze, w Robinsonie Kruzoe, traktacie pedagogicznym i ekonomicznym; ale to nie

jest postać z krwi i ciała. Zrządzenie przyrody daje każdemu dziecku ojca i matkę i, w normalnych warunkach, pierwsze lata życia każe mu spędzać pod skrzydłem rodziny. Tym sposobem daje mu rozmaitość i towarzystwo. Okoliczności naszego życia religijnego, gospodarczego, politycznego zacieśniają stosunki między ludźmi i wprowadzają życie zbiorowe, wytwarzają społeczneotoczenie, w obrębie którego każdy człowiek rodzi się, żyje, zarabia na swój chleb codzienny, z którego ani chce, ani może się wyrwać. To społeczne otoczenie składa się z ludzkich instytucyj, ukształtowanych przez ludzkość w ten sposób, jak ona urobiła sobie wszelkie narzędzia ludzkie celem zaspokojenia swych potrzeb. Podnoszenie tego społecznego otoczenia do znaczenia jakiejś istności odrębnej poza człowiekiem, przyczynowej, traktowania go jako „społecznego organizmu“ o specjalnych zaletach i władzach, wydaje mi się jakąś czczą grą słów, frazesem, wprowadzającym znacznie więcej zamieszania, niż wyjaśnienia. Społeczeństwo jest mieszaniną mechaniczną, a nie chemicznym związkiem, nie może też objawić żadnych cech, któreby się nie mieściły w jego indywidualnych składnikach. W miarę jak ludzie się rozwijają, stają się bardziej uspołecznieni, gdyż są inteligentniejsi, a coraz lepiej rozumieją przyjemność i korzyść solidarności ludzkiej. Każdy rok przynosi nowe dowody na to, że krzywda jednego jest krzywdą wszystkich. Wychowanie jest rozwijaniem i kształceniem *ludzkiego* ducha, ale dążenie do odkrywania w społeczeństwie życia niezależnego od życia jego członków, zjawisk powstających w zbiorowości jako takiej, a niedostrzegalnych w jednostkach samych, wydaje mi się przedsięwzięciem chybionem i jałowem. Wychowanie prowadzi do wyników społecznych bardzo wartościowych, są one jednak sumą wyników indywidualnych, nie zaś odrębnemi zdobyczami grupy. Zarówno co do celów, jak i co do metody, wychowanie musi mieć na oku indywidualną jednostkę. Jeżeli mądrze i skutecznie z nią postępuje, ogólny rezultat jest pomyślny. Zły czy dobry, każdy wynik ogólny w swym stopniu

i rodzaju odpowiada przeciętnym wynikom, osiągniętym w indywidualnej świadomości. Wychodzić poza tę osobistą świadomość w tę nieokreśloną zbiorowość, którą nazywamy społeczeństwem, to gonić majaki, a tracić z oczu rzeczywistość. Przyjęte obecnie normy wychowania społecznego, wiara w fetysz społecznego organizmu, biorą, mojem zdaniem, początek w coraz silniej zakorzenionym nałogu odwracania się od tętniącej, bezpośredniej świadomości, do martwej pustyni symbolów i metafor. Każde odrodzenie wychowawcze, tak samo jak każde religijne odrodzenie, jest zwrotem do bezpośredniości, do całkowitej, pełnej treści chwili teraźniejszej; jest zarzuceniem martwych form i symbolów, a powrotem do żywej, bezpośredniej rzeczywistości.

Dla dwóch powodów mówiłem niemal z konieczności o wychowaniu chłopców znacznie więcej, niż o wychowaniu chłopców i dziewcząt. Jeden z nich jest natury werbalnej: Nie mamy zaimka, któryby stosował się do obu płci. Trzeba mówić „on“ lub „ona“. Drugi powód jest osobisty. Moja praktyka wychowawcza ograniczała się niemal wyłącznie do chłopców, to też o nich mogę mówić z większą pewnością siebie i znajomością rzeczy. Choć jednak w szczegółach wychowanie jednych i drugich musi się różnić, ogólne zasady stosują się do młodzieży obu płci. W praktyce wszystko, co mówiłem może z małemi modyfikacjami znaleźć zastosowanie i w wychowaniu dziewcząt. Sądzę, że z pewnego względu dziewczęta mniej potrzebują wychowania niż chłopcy, z innego więcej. Mniej — ponieważ kobiety mają więcej naturalnego dowcipu niż mężczyzni. Nieuczona kobieta często wykazuje większą bystrość niż „uczony“ mężczyzna. Więcej — gdyż one są matkami przyszłych pokoleń.

Pozwoliłem sobie umieścić w tytule pytanie, a uczyniłem to, choć ono czyni tytuł ciężkim i długim, gdyż nic nie może równie ściśle malować przedmiotu mych badań. Co to jest być wychowanym? W każdym rozdziale miałem przed oczami to pytanie i szczególniej starałem

się pamiętać o tem, by zawsze pytanie stawiać a przeważnie tylko nasuwać odpowiedź! Nie znam pytania donioślejszego, gdyż jeśli je tak poważnie stawiamy, jak usiłowałem to czynić tutaj, sięga ono do głębi naszego bytu, bada, czem jesteśmy, w co wierzymy, co czynimy, co sądzimy, że wiemy, czego się spodziewać mamy. Sama rozległość tego zagadnienia wskazuje, o czem nieraz tu usiłowałem przekonać, że wychowanie i osobiste zbawienie, to jedno i to samo. Trudna lecz pewna droga, wiodąca w kierunku prawego umysłu i oświecenia, wiedzie ku Bogu. Daleką jest ode mnie myśl, bym zdołał rozwiązać to wzniosłe pytanie, co to jest być wychowanym, lub nawet wyobrażenie, że ono nigdy rozwiązane nie będzie do pewnego stopnia rozstrzygająco. Pytanie to dla każdego dalszego pokolenia będzie znaczyło więcej i wymagało głębszej odpowiedzi. Człowiek wychowany jest tylko wychowanym na dzisiejszą chwilę. Wielka sztuka jest być wychowanym; niemniejsza prawie — pozostać nim. Jedno i drugie wymaga nieustannej pracy duchowej, czyli innemi słowy twórczego życia. Jeżeli jednak człowiek nie może mieć nadziei, że dał odpowiedź ostateczną, to jasne jest, mojem zdaniem, z częściowej i niekompletnej odpowiedzi, już podanej, że rzetelne wychowanie wymaga przedewszystkiem istotnej harmonji w życiu wewnętrznem a potem, jak najwcześniej się da, podobnejże harmonji między wewnętrznem życiem a zewnętrznemi czynami, między duchem a ciałem. Tę zasadniczą zgodność i harmonję wtedy tylko osiągnąć można, gdy we wszystkich codziennych czynnościach przestaniemy trzymać się różnych, sprzecznych między sobą, punktów widzenia, a nauczymy się żyć obecną chwilą, z całą świadomością, całem naszem ja. W bujnem życiu duchowem, w jego bezpośredniości i nienaruszalności szukać musimy źródła wszelkiej trwałej kultury. W zdrowem życiu, w wychowaniu fizycznem wyćwiczonego ciała znajdujemy najwięcej materjału dla naszego myślenia i najlepsze pole do społecznych związków i usług.

Życie stawia tylko jedno wymaganie, żąda czynu, nieustannej, twórczej, teraźniejszej działalności.

Codziennie dusza staje wobec bogactwa możliwych doświadczeń i przeżyć, tak urozmaiconych, niewyczerpanych, tak wspaniałych, że puls tętni boskim zachwytem, a istnienie samo staje się wielkiem wydarzeniem. Żyć duchem, utożsamiać siebie z życiem, z bujnem, pulsującem, bogatem życiem, — to znaczy być wychowanym. To znaczy żyć życiem wiecznem. To znaczy — mówię z czcią i pokorą — poznać Boga.

SPIS RZECZY.

		Str.
Przedmowa		5
I.	Podstawy	13
II.	Religja	22
III.	Dogmat	35
IV.	Chleb	50
V.	Ciało	65
VI.	Najwdzięczniejsze lata	87
VII.	Duch	110
VIII.	Wychowanie cielesne	145
IX.	Ostrzenie narzędzia	166
X.	Wiek przejściowy	192
XI.	Siła życiowa	230
XII.	Rok wędrówki	252
XIII.	Co dalej?	296
XIV.	Żyj własnem życiem	332
XV.	Pytanie	374



Biblioteka AP W
P II
6488/1